



sen_numer_9

david mitchell



David Mitchell

sen_numer_9

Przetłóżył Janusz Margański

O ileż łatwiej pogrzebać rzeczywistość, niż porzucić sny

Don DeLillo, *Americana*

Dla Keiko

Jeden PANOPTICON

– Sprawa jest prosta. Ja znam pani nazwisko, pani dawno temu poznała moje: Eidzi Mijake. Nie inaczej, ten Eidzi Mijake. Oboje, droga pani Kato, należymy do ludzi zajętych, nic więc nie stoi na przeszkodzie, byśmy sobie ucieli małą pogawędkę. Przyjechałem do Tokio, aby odnaleźć ojca. Pani zna jego nazwisko i adres. I jedno, i drugie pani mi da. I to zaraz. – Albo coś w tym stylu. Galaktyka śmietanki rozwija się wstęgą w filiżance kawy i rozmyta w tle paplanina nabiera ostrości. Pierwszy dzień w Tokio i już przechodzę samego siebie. Lunchowy śmiech, piątkowe plany, brzęk talerzyków wypełniają Jupiter Cafe. Trutnie warczą do komórek, trutnice modulują niskie głosy, żeby brzmiały bardziej kobieco.

Kawa, kanapki z rybami, detergenty, para. Przez ulicę mam widok na główne wejście do PanOpticonu. Nieźle się przedstawia ten metalizowany, szary gotyk drapacza chmur. Jego wyższe piętra spowijają chmury. Pod ich ściśle przylegającą pokrywą Tokio paruje – w temperaturze 34°C przy wilgotności sięgającej 86%. Tak pokazuje wielki wyświetlacz Panasonica. Ale nie zawsze to widać, tak ścieśnione jest Tokio. Żadnych odległości. Wszystko masz ponad sobą – dentystów, przedszkola, studia tańca. Nawet drogi i chodniki wznoszą się na ponurych palach.

Wenecja, z której odsączono wodę. Samoloty zwierciadlanymi odbiciami pną się ponad lustrami budynków. Zawsze myślałem, że Kagoszima jest ogromna, a tymczasem spokojnie zmieściłaby się w jakiejś bocznej alei Szindzuku. Zapalam papierosa – Kool, marka,

jaką wybrał stojący przede mną w kolejce biker – i obserwuję ruch uliczny, przechodniów, na skrzyżowaniu alei Omekaido i ulicy Kita. Prażkowane trutnie, fryzjerka z ozdobą w przebitej wardze, pijaczkowie zaczynający w południe, gospodynie domowe objuczone dziećmi. Nikogo, kto stałby w miejscu. Potoki, nawałnice, korowody, bajty, pokolenia, tysiące twarzy na minutę. Jakuszima to tysiąc minut na twarz. A każda wyposażona w szufladkę pamięci opatrzoną tabliczką: „Rodzice”. Migawki, zdjęcia – porządne i spaprane – przeraźliwe wizerunki, delikatne obrazki, niewyraźne ujęcia, porysowane negatywy, nieważne, przecież wiedzą, kto sprowadził ich na Ziemię. Akiko Kato, czekam. Z PanOpticonu na lunch najbliższej jest do Jupiter Cafe. Gdybyś tam właśnie wpadła na kawę, o ileż wszystko byłoby prostsze. Rozpoznam cię, przedstawię się i przekonam, że przyrodzona sprawiedliwość jest po mojej stronie.

Czy mrzonki mogą się ziścić? Wzdycham. Nie za bardzo i nieczęsto. Szturmem przyjdzie mi brać tę fortecę, jeżeli mam dopiąć swego. Kiepska sprawa. Takie gmaszysko ma pewnie parę innych wyjść, a do tego własne restauracje. Siedzisz sobie pewnie już jak cesarzowa w otoczeniu usługujących ci niewolników. Zaraz, a kto powiedział, że w ogóle jadasz lunch? Może czysto ludzka słabość do śniadań pomaga ci przetrwać aż do kolacji. Gaszę kolejnego papierosa marki Kool w doczesnych szczątkach jego poprzednika z niezłomnym postanowieniem, że dopijam kawę i kończę czatowanie. Mam cię, Akiko Kato, już ruszam. Trzy kelnerki obsługujące Jupiter Cafe w komplecie. Jedna – szefowa – kruchotka niczym wdowa po cesarskim dygnitarzu, która z niedoli otruła swego małżonka; druga – rycząca oślim głosem; i trzecia – odwrócona tyłem, ale za to błyskająca najdoskonalszą szyją pod

słońcem. Wdowa po dygnitarzu opowiada oślicy o ostatnim nieudanym małżeństwie swojego fryzjera. – Jak nie umiała spełniać jego zachcianek, to ją rzucił – serwuje znad zlewu życiowe mądrości kelnerka o nieskazitelnej szyi. Wdowa i oślica olewają ją, a może to ona je olewa? PanOpticon stopniowo znika – chmury zeszły już do osiemnastego piętra. Odwracam na chwile głowę, a mgła opada coraz niżej. Na serwetce liczę, ile dni już przeżyłem – 7290, w tym cztery lata przestępne. Zegar pokazuje za pięć pierwszą i trutnie stopniowo odpływają z Jupiter Cafe. Pewnie się boją, że ich przeszerogują, jeśli o pierwszej znajdą się gdzieś poza biurową kabiną. Moja filiżanka pustoszeje w wianuszkach smętnych plam po kawie. Dobra. Kiedy mała wskazówka znajdzie się na pierwszej, ruszam do PanOpticonu. Nie da się ukryć, że jestem podenerwowany. A co do nerwów, to spoko. W zeszłym roku do szkoły przyszedł oficer, żeby werbować do oddziałów samoobrony, i powiedział, że w wojsku nie potrzeba ludzi, którzy nie odczuwają strachu, bo tacy żołnierze, co się nie boją, w ciągu pierwszych pięciu minut walki doprowadzają do wybicia swojego plutonu. Dobry żołnierz panuje nad strachem i wykorzystuje go, żeby zaostrzyć zmysły. Jeszcze jedną kawę? Nie.

Papierosa – na zaostrzenie zmysłów.

Na zegarze dochodzi pół do drugiej – mój termin mija. A popielniczka przepełniona. Potrząsam paczką papierosów – do ostatniego. Chmury zeszły już do dziewiątego piętra PanOpticonu. Akiko Kato wbija wzrok w mgłę, spoglądając z okna swojego klimatyzowanego biura. Wyczuwa mnie tak jak ja ją? Czy wie, że dzisiejszy dzień należy do tych, które całkowicie odmieniają życie? Jeszcze tylko ostatni, najostatniejszy papieros i zaczynam mój szturm, zanim „nerw” osłabnie.

Kiedy wszedłem, w Jupiter Cafe siedział staruszek. Nic go nie rusza i nieprzerwanie gra na vidboyu. Wygląda dokładnie tak samo jak Lao Tse z mojego podręcznika – łysy, brodaty, zwariowany. Inni przychodzą, zamawiają, jedzą, wypijają swoje i wychodzą. W sam raz dziesięć minut. A Lao Tse ani drgnie.

Kelnerki pewnie myślą, że odpaliła mnie dziewczyna albo że jestem czubek, który czyha, żeby je śledzić w drodze do domu. Z głośnika dobiega barowa wersja *Imagine*; John Lennon chyba przewraca się w grobie. Co za bagno. Pewnie nawet ci zdrajcy, którzy to nagrali, nie mogli tego słuchać. Wchodzą dwie ciężarne i zamawiają mrożoną herbatę. Lao Tse kaszle, kaszle kaszlem, któremu nie ma końca, i rękawem koszuli zmazuje flegmę z ekranu swojego vidboya. Zaciągam się głęboko i powoli sączę dym przez nozdrza. Solidna ulewa – oto, czego trzeba, żeby posprzątać Tokio. Gondolierzy grający na mandolinach, sunący łodziami po dzielnicy Ginza. – Do tego – kontynuuje wdowa po dygnitarzu do oślicy – te jego żony to chciwe, mizdrzące się potworki, które zasługują dokładnie na to, co je spotyka. Kiedy sama będziesz wychodziła za mąż, koniecznie wybierz sobie męża, którego marzenia nie będą przerastały twoich. – Sączę piankę z kawy. Na brzegu kubka ślady po szmince. Obmyślam prawne argumenty uzasadniające tezę, że picie z tej strony filizanki oznacza pocałunek z nieznajomą. To oznaczałoby, że liczba całowanych przeze mnie dziewczyn wzrosła do trzech – i tak mniej, niż wynosi średnia krajowa. Rozglądam się po Jupiter Cafe za ewentualną kandydatką do całowania i w końcu powracam do właścicielki realnej, mądrej, jaśniejszej szyi.

Rozwinięty kosmyk włosów muska jej kark. Łaskocze. Różową fuksję z kubka porównuję z różowością jej szminki. Jakkolwiek by patrzeć, pośredni dowód. Kto wie, ile razy myto tę filizankę,

zespajając atomy szminki z cząsteczkami porcelany? A taka zagadkowa tokijka ma tylu adoratorów, że z powodzeniem może wypełnić pamięć kieszonkowego komputera. Sprawa oddalona. Lao Tse warczy przy swoim vidboyu: – Blasted, blasted, przekłete bioborgi. Za każdym razem blasted. – Łykam swoje fusy i nakładam baseballówkę. Czas ruszyć i znaleźć sprawcę – tego, kto mnie zrobił.

* * *

Hol PanOpticonu – przepastny niczym brzuch kamiennego wieloryba – pochłania mnie jednym haustem. Strzałki w podłodze reagują na moje stopy i prowadzą mnie do pustej kabiny recepcyjnej. Drzwi zamykają się za mną z sykiem, pieczętując grobową ciemność. Promień analizatora omiata mnie od stóp do głów, odczytując z piskiem kod mojego identyfikatora. Rozbłyskuje smuga bursztynowego światła, a ja cofam się w myślach i sprawdzam. Oczywiście wszystko gra. Kombinezon, baseballówka, skrzynka z narzędziami i tabliczka do pisania. Na ekranie rozbłyskuje przede mną lodowatym światłem dziewczyna. Jest nieskazitelnie symetryczna i piękna. *OCHRONA* – jarzy się napis na plakietce. – Podaj swoje nazwisko i zawód – rozbrzmiewa głos dziewczyny. Ciekawe, na ile jest człowiekiem. Przecież w dzisiejszych czasach komputery ucłowieczają się, a ludzie się komputeryzują. Gram onieśmiałego kmiotka.

– Dzień dobry. Nazywam się Ran Sogabe. Reprezentuję Przyjaciela Żłotej Rybki.

Dziewczyna marszczy brwi. Znakomicie. To tylko człowiek. – Przyjaciela Żłotej Rybki?

– Nie widziała pani naszej reklamy? – i już śpiewam jej dżingla.

– Zaopatrujemy w żywność naszych płetwiastych przyjaciół.

– W jakim celu prosi pan o wejście do PanOpticonu? Udaję zakłopotanie. – Obsługuję akwarium w kancelarii Osugi i Kosugi, proszę pani.

– Osugi i Bosugi.

Dotykam swojej plakietki. – Oto odznaka.

– W pana torbie zlokalizowałam jakieś dziwne przedmioty.

– Świeżo sprowadzone z Niemiec, proszę pani. Oto jonowa prazarka pigulek fluorokarbonowych – z pewnością pani wie, jak wielkie znaczenie dla optymalizacji warunków w akwarium ma utrzymanie poziomu pH? Chyba jako pierwsi w kraju specjaliści od kultur akwaryjnych będziemy wykorzystywali to чудо. Może zechce pani zapoznać się z krótkim...

– Proszę położyć prawą rękę na skanerze dostępu, panie Sogabe.

– Mam nadzieję, że tylko załaskocze.

– To pańska lewa ręka.

– Najmocniej przepraszam.

Mija trwająca wieczność chwila, po której migocze zielony napis *ZGODNOŚĆ POTWIERDZONA*.

– A pański kod dostępu?

Czujna. Zaciskam oczy.

– Zaraz: 313–636–969.

Lodowata panna aż zamrugwała.

– Pański kod dostępu jest ważny. – I tak miało być. Za te dziewięć cyferek zapłaciłem majątek najgenialniejszemu dorywczo działającemu hakerowi w Tokio. – Ważny do lipca. A muszę panu przypomnieć, że mamy sierpień.

O wy, hakerzy spod ciemnej gwiazdy. – Hmm, dziwne. –

Podrapałem się w krocze, żeby zyskać na czasie. – Ten kod dostępu otrzymałem od pani – jeszcze jedno smętne spojrzenie na tabliczkę – pani Akiko Kato, radcy prawnego w Osugi i Kosugi.

– Bosugi.

– Na jedno wychodzi. No tak. Skoro mój kod dostępu jest nieważny, to przecież nie mogę wejść, prawda? Szkoda. Kiedy pani Kato będzie chciała dowiedzieć się, jak to się stało, że jej bezcenne srebrne rybki z Okinawy zginęły wskutek zatrucia ekskrementami, odeślę ją do pani. Jak, przepraszam, brzmi pani nazwisko?

Lodowata panienka sztywnieje. Gorliwców zawsze łatwo złapać na blagę. – Proszę przyjść jutro, jak pan sprawdzi kody dostępu.

Zapieram się i potrząsam głową. – Wykluczone! Czy pani zdaje sobie sprawę, ile rybek mam w swoim rewirze? Dawniej było więcej luzu, ale odkąd dostaliśmy się w tryby całościowej kontroli jakości, działamy w ramach systemu godzinowego. Jeden przegapiony termin i nasi płetwiaści przyjaciele idą na paszę. I nawet teraz, kiedy tak stoję i przez panią tracę czas na bzdury, mam jeszcze dziewięćdziesiąt aniołów morskich w Metropolitan City Office, którym grozi zaduszenie. Proszę się nie gniewać, ale jestem zmuszony prosić o pani nazwisko, żeby legalnie anulować zgłoszenie – dramatycznie zawieszam głos.

Lodowata panienka trzepocze powiekami.

Mięknę. – A może by zawołać sekretarkę pani Kato? Ona potwierdzi, że miałem przyjść.

– Już to zrobiłam. – Teraz ogarnia mnie niepokój, bo jeśli mój haker popaprał do tego z moim pseudonimem, to leżę i kwiczę. – Ale wygląda na to, że termin ma pan dopiero na jutro.

– Owszem. Jak najbardziej. Termin miałem na jutro. Ale Ministerstwo Rybołówstwa zeszłej nocy wydało ostrzeżenie

dotyczące całego przemysłu. Ze skażonych obszarów Tajwanu przyszła epidemia, yyy, eboli. Przenosi się drogami oddechowymi, lokuje w skrzelach i... co za okropny widok. Ryba dosłownie puchnie, aż pękają jej wnętrzności. Naukowcy pracują nad lekiem, ale tak między nami...

Lodowata panienka pęka. – Dodatkowego pozwolenia udziela się na dwie godziny. Z recepcji proszę udać się do turbowindy. Trzymać się strzałek, inaczej uruchomią się urządzenia alarmowe i cała procedura wywołana nielegalnym wejściem. Winda samoczynnie znajdzie się na poziomie osiemdziesiąt jeden, w Osugi i Bosugi.

– Poziom osiemdziesiąt jeden, panie Sogabe – oznajmia winda. – Zawsze do pańskich usług. – Drzwi otwierają się na wirtualny las deszczowy, skomponowany z paproci i roślin doniczkowych. Rozbrzmiewają telefoniczne trele. Za hebanowym biurkiem młoda kobieta odstawia rozpylacz do pielęgnacji kwiatów i zdejmuje okulary. – Ochrona poinformowała, że ma przyjść pan Sogabe.

– Niech zgadnę! Kazuyo, Kazuyo, nie mylę się?

– Nie, ale...

– No i jak tu się dziwić, że Ran nazywa panią aniołem PanOpticonu!

Recepcjonistka nie daje się na to nabrać. – Pańskie nazwisko?

– Praktykant Rana! Dżodzi. Na pewno o mnie wspominał! Zazwyczaj obsługuję Haradzuku, ale w tym miesiącu zajmuję się także jego klientami z Szindzuku – przez tę malarię narządów płciowych, która go dopadła.

Recepcjonistce opada szczeka. – Słucham?

– Ran nawet o tym nie wspomniał? No cóż, trudno go potępić. Szef jest przekonany, że to tylko ciężkie przeziębienie, i dlatego

właśnie Ran nie wykreślił swojego nazwiska z terminarza... Ale, pst, cicho, sza! – Uśmiecham się ostrożnie rzucając okiem za kamerami wideo. Żadnej na widoku. Przyklękam, otwieram torbę z narzędziami, wewnątrz maskując pokrywą i zaczynam montować moją tajną broń. – Kupę czasu straciłem, żeby się tutaj dostać, wie pani. Sztuczna inteligencja!

Sztuczna głupota. Do biura pani Kato tym korytarzem, tak?

– Tak, ale zaraz, zaraz, niezbędny jest skaning siatkówki.

– Czy to łaskocze? – Gotowe. Zamykam torbę z narzędziami i założywszy ręce do tyłu, podchodzę do biurka, głupawo szczerząc zęby. – W co mam spojrzeć?

Dziewczyna kieruje skaner w moją stronę. – W ten okular.

– Kazuyo – upewniam się, że jesteśmy sami – Ran powiedział mi, no wiesz, to prawda?

– Że niby co?

– Że masz jedenaście palców u nóg.

– Jedenaście czego? – sekretarka kieruje wzrok na swoje stopy, odsłaniając kark, a wtedy ja zasypuję ją takim mnóstwem mikropocisków ze swojego błyskawicznie działającego trankwilizatora, że wystarczyłoby na wybicie całej chińskiej armii.

Osuwa się na swój dziennik biurowy. Dla własnej przyjemności robię jeszcze minę w stylu Jamesa Bonda.

Pukam. Trzykrotnie. – Przyjaciel Złotej Rybki, proszę pani!

Tajemnicza pauza. – Wejść.

Upewniam się, że na korytarzu nikogo nie ma i wślizguję się do pomieszczenia.

Kryjówka Akiko Kato w wersji realnej niewiele odbiega od tej, którą stworzyłem w wyobraźni. Dywan w kratkę. Łukowate okno z zatroskaną chmurą. Rząd staromodnych szafek. Ściana z

malowidłami – zbyt uładzonymi, by przykuć oko.

Pomiędzy dwiema kanapami w kształcie półksiężyca bryła ogromnego zbiornika, w którym flota srebrnych rybek z Okinawy plądruje koralowy pałac i zatopiony okręt. Akiko Kato widziałem po raz ostatni dziewięć lat temu, ale nie postarzała się ani o dzień. Jak zawsze tchnąca chłodnym, bezlitosnym pięknem. Spogląda zza biurka. – Nie jest pan zwykłym facetem od ryb.

Zamykam drzwi i klucz wrzucam do kieszeni, gdzie spoczywa mój pistolet.

Akiko Kato mierzy mnie wzrokiem.

– Nie, nie jestem facetem od rybek.

Odkłada pióro. – Więc co, u licha...

– Sprawa jest prosta. Ja znam pani nazwisko, pani dawno temu poznała moje: Eidzi Mijake. Nie inaczej, ten Eidzi Mijake. Oboje, droga pani Kato, należymy do ludzi zajętych, nic więc nie stoi na przeszkodzie, byśmy sobie ucięli małą pogawędkę. Przyjechałem do Tokio, aby odnaleźć ojca. Pani zna jego nazwisko i adres. I jedno, i drugie pani mi da. I to zaraz.

Akiko Kato mruży oczy, usiłując przymierzyć to do faktów. Potem wybucha śmiechem. – Eidzi Mijake?

– Nie widzę w tym nic śmiesznego.

– A nie Luke Skywalker? Nie Zax Omega? Chyba nie myślisz, że ta rzewna gadka zmusi mnie do posłuszeństwa? „Chłopiec z wysp chce odnaleźć ojca, którego nigdy nie widział, i w tym celu podejmuje niebezpieczną misję”. Czy wiesz, co spotyka chłopców z wysp, kiedy opuszczają krainę swoich fantazji? – kiwa głową, udając rozczulenie. – Nawet przyjaciele nazywają mnie najbardziej jadowitą prawniczką w Tokio. A ty wdzierasz się do mojego biura, bo wydaje ci się, że dam się zastraszyć i przekażę ci poufne

informacje o kliencie? No proszę!

– Pani Kato. – Wyciągam mojego walthera PK 7,65 mm, robię nim zgrabnego młynka na palcu i wycelowuję. – W tym pokoju przechowuje pani akta mojego ojca. Niech mi pani je odda. Proszę.

– To groźba? – udaje oburzenie.

– Mam nadzieję, że skuteczna. – Odbezpieczam pistolet. – Ręce do góry, tak żebym je widział.

– Wybrałeś niewłaściwy scenariusz, dziecko. – Chwyta za telefon, który wybucha jak supernowa z plastiku. Pocisk ze świstem odbija się od kuloodpornego szkła i wali w upiorne słoneczniki na obrazie. Akiko Kato ze zgrozą patrzy na dziurę. – Ty profanie! Uszkodziłeś mojego van Gogha! Zapłacisz mi za to!

– Więcej, niż pani kiedykolwiek za to dała. Akta. Już!

– Za trzydzieści sekund wpadnie tu ochrona – warczy Akiko Kato.

– Znam system elektroniczny tego biura. Dźwiękoszczelne i nie do podsłuchania. Żadnych informacji – i na wyjściu, i na wejściu. Niech pani sobie daruje groźby i da mi akta.

– A tak spokojnie mogłeś sobie żyć, zbierając pomarańcze w Jakuszimie z wujami i z babcią.

– Nie będę drugi raz prosił.

– Żeby tylko chodziło o takie drobiazgi. Ale, widzisz, twój ojciec ma zbyt wiele do stracenia. Gdyby wyszło na jaw, że jest jakiś potomek z nieprawego łoża, taki sprokurowany z dziwką brzdąc jak ty, ci na górze mogliby dostać apopleksji. Stąd właśnie nasza zaliczka na poczet zachowania przyzwoitego milczenia.

– No i?

– No, a ty próbujesz rozhuścić tę naszą spokojną łódeczkę.

– Ach, rozumiem. Kiedy odnajdę ojca, pani nie będzie mogła go

już szantażować.

– „Szantażować” – to słowo zalatuje kodeksem w ustach kogoś, kto jest jeszcze na etapie poszukiwania idealnego środka na trądzik. Jako prawnik twojego ojca apeluję o dyskrecję. Słyszałeś w ogóle o czymś takim jak dyskrecja? To coś, co różni przyzwoitego obywatela od kryminalisty z pistoletem w ręku.

– Nie wyjdę z tego biura bez akt.

– To się naczekasz. Zamówiłabym jakieś kanapki, ale rozwaliłeś mi telefon.

Na to już czasu nie mam. – Dobra, w porządku, może w takim razie rozstrzygniemy to bardziej po dorosłemu. – Opuszczam pistolet, a pani Kato zuchwale pozwala sobie na zwycięski uśmiezek. Ale w jej karku już tkwią trankwilizatory. Akiko Kato osuwa się na krzesło, bez czucia, jakby rozpływała się w błękitnej morskiej toni.

Najważniejsze to pośpiech. Nakładam odciski palców Akiko Kato na odciski Rana Sogabe i mam dostęp do jej komputera. Przesuwam jej ciało. Niedobrze – w głowie kołacze myśl, że ona w każdej chwili może odzyskać przytomność. Pliki w kolejnych podkatalogach są zastrzeżone hasłami, ale z zabezpieczeniami na szafkach mogę sobie dać radę. *MI* jak *MIJAKE*. W menu pojawia się moje nazwisko. Podwójne kliknięcie. *EIDŹI*. Podwójne kliknięcie. Słyszę obiecujące mechaniczne głuchoe stuk i teleskopowa szuflada wysuwa się do połowy ze ściany.

Wertuję wąskie metalowe kasety z aktami. *MIJAKE* – *EIDŹI* – *OJCOSTWO*.

Kaseta błyszczy złotem.

– Zostaw to.

Akiko Kato zamyka piętą drzwi i wyciąga Zuvre Lone Eagle

440, mierząc w punkt między moimi brwiami. W osłupieniu spoglądam na tę Akiko Kato, która wciąż spoczywa na krześle. Akiko Kato stojąca w drzwiach wybucha śmiechem, szczerząc w grymasie zęby, w których lśnią szmaragdy i rubiny. – Bioborg, głupku!

Replikant! Nie oglądało się *Łowcy androidów*? Widzieliśmy, jak wchodzisz! Nasz szpieg przyuważył cię w Jupiter Cafe – to ten stary, któremu kupiłeś papierosy.

Jego vidboy to obiektyw kamery podłączonej do centralnego komputera w PanOpticonie. A teraz na kolanka, powoli, i pistolet, pchnij go po podłodze.

Powoli. Zuvre z tej odległości tak ci pokieroszuje facjatę, że cię rodzona matka nie pozna. Zresztą i tak chyba nigdy nie była w tym dobra?

Puściłem obelgę mimo uszu. Co za nieostrożność, tak pozwolić się podejść. – Akta twojego ojca to delikatna sprawa.

– A więc twój bioborg mówił prawdę. Nie chcesz wypuścić całej tej kasy, jaką mój ojciec daje ci za milczenie.

– Daruj sobie tę praktyczną etykę i raczej módl się, żebym cię nie rozkwasila. – Nie spuszczając mnie z oczu, nachyla się, żeby mi odebrać mojego walthera.

Wycelowuję w jej twarz kasetą i otwieram zatrzaski. Zamontowana w pokrywie lśniąca bomba wybucha prosto w jej oczy. Akiko Kato wrzeszczy, daję nura, jej zuvre strzela, szkło pęka; daję susa, kopa w głowę, wyszarpuję z jej ręki pistolet – znowu strzela – obrót, podcinam ją hakiem i rzucam na kanapę w kształcie półksiężyca. Srebrne rybki bryzgają i trzepoczą się na dywanie. Prawdziwa Akiko Kato leży bez ruchu. Upycham w kombinezonie opieczętowaną teczkę z materiałami na mojego ojca,

pakuje skrzynkę z narzędziami i wychodzę. Spokojnie zamykam drzwi nad płamą, która rozplywa się z wolna na dywan w korytarzu.

Przechodzę do windy, pogwizdując od niechcenia Imagine. Do tej pory to była łatwizna. Teraz muszę jeszcze wydostać się z PanOpticonu, żywy.

Recepcjonistka nadal leży w swoim lesie deszczowym, wokół niej krążą podrażnione trutnie. Niesamowite. Gdziekolwiek przejdę, pozostawiam za sobą nieprzytomne kobiety. Przywołuję windę i przybieram odpowiedni wyraz twarzy.

Syndrom wywołujących mdłości budynków, jak to nazywa mój wuj. Podobno to samo dzieje się z rybami. Nadjeżdża winda, z której wyładowuje się stara pielęgniara, roztrąca stojących. Wchodzę i naciskam guzik „zamknij”, żeby czmychnąć, zanim ktokolwiek zdąży wejść.

– Nie tak szybko! – wyglancowany but wbija się klinem między zamykające się drzwi, ochroniarz rozsuwa je na siłę: postura i nozdrza minotaura. – Parter, synu.

Naciskam guzik i zaczynamy zjeżdżać.

– Co – odzywa się Minotaur – jesteś szpiegiem przemysłowym czy jak?

Krew z adrenaliną dziwnie śmiga mi po całym ciele. – Ehe?

Minotaur ma grobową minę. – Chciało się szybko bryknąć, co nie? I dlatego o mały włos nie przyciąłeś mnie tam drzwiami od windy.

Uff. Żarcik. – Taaa. – Poklepuję skrzynkę z narzędziami. – Same tajemnice wywiadowcze na temat złotych rybek.

Minotaur parska śmiechem.

Winda zwalnia i drzwi otwierają się. – Proszę bardzo –

wskazuję Minotaurowi, by to on wyszedł pierwszy, choć i tak żadnym gestem nie zdradził się, że zamierza wyjść dopiero po mnie. Wychodzi i znika za bocznymi drzwiami. Mnie strzałki w podłodze kierują z powrotem do kabiny ochrony. Rozpromieniam się na widok Lodowatej Paniienki.

– Trafiam na panią przy wejściu i wyjściu. To ręka losu.

Rzuca okiem na skaner. – Standardowa procedura.

– Aha.

– Wykonał pan już swoje zadanie?

– Co do joty, dziękuję. Wie pani, nasza firma szczeni się tym, że w ciągu osiemnastu lat prowadzenia biznesu nie zdarzyło się, żeby jakaś rybka zginęła wskutek naszego zaniedbania. W każdym przypadku dążymy do ustalenia przyczyny śmierci i dlatego zawsze przeprowadzamy sekcję zwłok. Nawet gdy są to stare osobniki. Albo gdy z winy klienta dochodzi do zatrucia alkoholem w trakcie imprezy na zakończenie roku. Mógłbym jeszcze o tym poopowiadać przy kolacji, jeżeli nie jest pani zajęta.

Lodowata Paniienka mrozi mnie spojrzeniem. – Nie mamy ze sobą nic wspólnego.

– Ależ oboje jesteśmy dziełem chemii organicznej, a tego nie zawsze można być pewnym w dzisiejszych czasach.

– Jeżeli usiłuje pan odstręczyć mnie od zapytania, dlaczego w pana skrzynce znajduje się Zuvre 440, to zmuszona jestem poinformować, że pańskie wysiłki idą na marne.

Nie czas na strach. Jestem zawodowcem. Jak, no jak mogłem być aż taki głupi?

– Ależ to niemożliwe.

– Pistolet jest zarejestrowany na nazwisko Akiko Kato.

– Aaah! – chichoczę, otwieram skrzynkę i wyjmuję pistolet – to

ma pani na myśli?

– Owszem.

– To?

– Tak, to.

– To, yyy, jest do...

– Do? – Lodowata Paniienka sięga po alarm.

– ...tego! Pierwszy strzał w szklane kwiaty – alarm wyje – drugi strzał i szkło mętnieje – słyszę syk gazu – po trzecim strzale szkło pęka, a ja rzucam się przez okno – strzelam i ląduję przewracając się na rozbłyskującej strzałkami podłodze holu. Mężczyźni i kobiety kulą się przerażeni. Rozlega się hałas i jazgot. Tak dudnią buty ochrony biegnącej korytarzem. Odbezpieczam zuvre’a, przestawiam go na ciągły ogień plazmowy, walę w stronę ochroniarzy i daję nura do wyjścia.

Trzy sekundy na przeładowanie to nie za wiele; następuje wybuch – unosi mnie, wrzuca w obrotowe drzwi i dosłownie ciska korkociągiem po zewnętrznych stopniach. Pistolet, który wysadza w powietrze tego, kto z niego strzela – nic dziwnego, że zuvre’a wycofano dziewięć tygodni po rozpoczęciu produkcji. Za mną już tylko dym, iskry i chaos; wokół mnie uliczny zamęt, wpadające na siebie samochody i wreszcie to, czego potrzebuję najbardziej – zdezorientowany tłum. – Szaleniec! – drę się na całe gardło – Szaleniec grasuje! Z granatami! Ma granaty!

Wezwać policję! Z helikopterami! Gdzie się da helikoptery! Ile się da! – kuśtykając oddalam się do najbliższego magazynu handlowego.

Wyjmuję teczkę ojca z mojej nowiutkiej aktówki, wciąż opieczętowaną plastikiem, i dla potomności utrwalam w pamięci ten moment. 24 sierpnia, dwadzieścia pięć po drugiej, na tylnym

siedzeniu taryfy prowadzonej przez bioborga, okrążającej od zachodniej strony Park Jojodzi, pod niebem poplamionym niczym kawalerski materac, zaledwie dwadzieścia cztery godziny po przybyciu do Tokio odkrywam prawdziwą tożsamość mojego ojca. Niezłe tempo. Poprawiam krawat. Wyobrażam sobie, że obok mnie na kanapie siedzi Andżu i macha nogami.

– Widzisz? – mówię jej, stukając w teczkę. – Jest tutaj. Jego nazwisko, twarz, dom, to, kim jest i czym jest. Zrobiłem to. Dla siebie i dla ciebie. – Taryfa przechyla się, bo w naszą stronę w paśmie fioletu sunie ambulans. Paznokciem kciuka rozcinam pieczęć i wyciągam plik kartek. *EIDŹI MIJAKE. TOŹSAMOŚĆ OJCA*. Robię głęboki wdech i to, co odległe, nagle staje się namacalne.

Strona pierwsza.

Reagujący na powietrze atrament z miejsca zaczyna blaknąć.

* * *

Lao Tse warczy przy swoim vidboyu: – Blasted, blasted, przeklęte bioborgi. Za każdym razem blasted. – Łykam swoje fusy, nakładam baseballówkę i sprężam się psychicznie. – Powiedz no, kapitanie – skrzeczy Lao Tse – czy nie został ci tam może jaki pet? – Pokazuję mu puste pudełko po mild sevenach. Rzuca mi żałosne spojrzenie. Tak czy inaczej muszę przecież kupić. Mam przed sobą stresujące spotkanie. – Czy jest tu jakiś automat? – Tam – wskazuje głową – tam, gdzie te całe rośliny. Palę carltony.

No i muszę napocząć następny banknot tysiącjenowy. Pieniądze w Tokio wyparowują. Zamówię może jeszcze kawę, żeby mieć zapas adrenaliny, kiedy stanę przed prawdziwą Akiko Kato. Zamiast po zmyślonego walthera PK, sięgam po telepatię. Kelnerka! Tak, ty o

najdoskonalszej szyi pod słońcem! Skończcie wreszcie opróżniać tę maszynę do mycia naczyń, podejdź do kontuaru i obsłuż mnie! Moje zdolności telepatyczne najwyraźniej mnie dzisiaj zawodzą. Dostaje mi się natomiast wdowa po dygnitarzu. W tym zbliżeniu zauważam, że do jej nozdrzy pasowałaby wtyczka od suszarki do włosów – takie zaciśnięte, małe szparki. Kiwa głową bez wyrazu, kiedy dziękuję jej za kawę. Wracam powoli na swoje miejsce przy oknie, starając się nie rozlać napitku, otwieram paczkę carltonów, ale nie udaje mi się wydobyć płomienia z mojej jednorazowej zapalniczki. Lao Tse podsuwa pudełko zapalek dla gości pochodzące z baru zwanego U Mitty. Zapalam papierosa, najpierw sobie, potem jemu – już pochłania go nowa gra. Bierze – skórę na palcach ma stwardniałą jak u krokodyla – zaciąga się i wydaje pełne wdzięczności westchnienie, które tylko palacz jest w stanie zrozumieć. – Stokrotne dzięki, kapitanie. Moja synowa gdera, żebyś rzucił, a ja jej na to, że i tak umieram, to po co jeszcze przeszkadzać naturze? – Na znak zrozumienia wydaję z siebie nieokreślony dźwięk. Te paprocie trochę za doskonałe, jak na prawdziwe. Zbyt bujne i pierzaste. W Tokio dobrze prosperują tylko gołębie, wrony, szczury, karaluchy i prawnicy. Słodzę kawę, przybliżam łyżeczkę do menisku i wolniuutko cedzę śmietankę na wklęsłość łyżeczki. Obraca się Pangea ruchem wirowym, unosi pełnią jedności, póki nie rozdrobni się na subkontynenty. Zabawa z kawą to jedyna przyjemność, na jaką mogę sobie pozwolić w Tokio. Czysz za pierwsze trzy miesiące ogołocił mnie ze wszystkich pieniędzy, jakie zaoszczędziłem, pracując dla Wuja Pomarańczy i Wuja Paczinko, co postawiło mnie przed problemem jaja i kury: nie pracując, nie mogę zostać w Tokio i szukać ojca, ale pracując, nie mam kiedy go szukać. Praca. Słowo wypiętrzone jak góra lawy

przesłaniająca słońce. Z talentów, które można by sprzedać, mam do zaoferowania tylko umiejętność zbierania pomarańczy i przebierania palcami po strunach gitary. Ale jestem chyba z pięćset kilometrów od najbliższego drzewka pomarańczowego, a na gitarze nigdy dla kogoś obcego nie grałem. Teraz już rozumiem, co napędza trutniowatość.

Właśnie to: pracujesz albo giniesz jak struty. W Tokio przemieniasz się w ścierwo ciągnięte na postronku splecionym z salda twego rachunku bankowego, a wysokość tego rachunku rozstrzyga o tym, gdzie to ścierwo może mieszkać, czym jeździ, jak się ubiera, komu się podlizuje, z kim może się umówić i z kim ożenić, gdzie zażywa kąpieli – w rynsztoku czy w jacuzzi. Jeśli mój gospodarz, czcigodny Buntaro Ogiso, mnie wyroluje, zostaję bez gotówki na czarną godzinę. Nie wygląda na oszusta, ale tacy nigdy nie wyglądają. Kiedy spotkam ojca – najdalej za dwa tygodnie – chcę, żeby było wiadomo, że stoję obiema nogami na ziemi i że nie oczekuję jałmużny. Wdowa po dygnitarzu wzdycha z teatralnym gestem królowej:

– Chcesz mi powiedzieć, że to już ostatnie opakowanie filtrów do kawy?

Kelnerka o nieskazitelnej szyi przytakuje kiwnięciem głowy.

Włącza się oślica. – Całkiem ostatnie?

– Najostatniejsze – potwierdza moja kelnerka.

Wdowa po dygnitarzu potrząsa głową, wznosząc oczy ku niebu.

– Jak to możliwe?

Oślica próbuje manewru. – W czwartek wysłałam zamówienie.

Kelnerka o nieskazitelnej szyi wzrusza ramionami. – Dostawa przychodzi po trzech dniach.

– Chyba nie chcesz – ostrzega wdowa – za tę sytuację obwiniać

Eriko-san?

– A ty chyba nie chcesz wytykać mi, że zauważyłam, że do piątej będziemy kursować bez filtrów. Po prostu pomyślałam, że powinnam coś powiedzieć.

Pat.

– To niby mam wziąć z utargu i lecieć dokupić?

Wdowa po dygnitarzu rzuca groźne spojrzenie. – Jestem kierowniczką zmiany i ja a podejmuję tego rodzaju decyzje.

– Nie mogę pójść – skamle oślica. – Dopiero co rano zrobiłam sobie trwałą, a w każdej chwili może lunąć.

Zobacz.

Wdowa znowu zwraca się do kelnerki o nieskazitelnej szyi. – Masz iść kupić paczkę filtrów. – Ze świstem otwiera kasę i wyjmuje banknot: pięć tysięcy jenów. – Pamiętaj o rachunku i przynieś co do grosza resztę. Przede wszystkim rachunek, inaczej rozłożysz mi księgowość.

Kelnerka o nieskazitelnej szyi ściąga gumowe rękawiczki i fartuch, bierze parasolkę i bez słowa wychodzi.

Wdowa po dygnitarzu patrzy za nią, mrużąc powieki. – Ta panienska ma niewłaściwy stosunek.

– Gumowe rękawiczki, jeszcze czego! – prycha z dezaprobatą. – Jak jaka modelka od kremu do rąk.

– Za bardzo rozpieszczeni są dzisiejsi studenci! Co to niby ona studiuje?

– Snobologię.

– Myśli, że może sobie bujać w obłokach.

Obserwuję, jak czeka na światłach, żeby przejść przez aleję Omekaido. Nie z tej ziemi jest ta pogoda w Tokio. Ciągłe gorąco jak w piecu, a nad głową ciemna powala chmur, gotowa w każdej

chwili pęknąć pod naporem deszczu. Wyczuwają to piesi stojący na wysepce pośrodku ulicy Kita. Wyczuwają dwie kobiety zwijające się z tablicami reklamowymi z okolicy pizzerii Nero. Wyczuwa grupa starszych ludzi. Tsuga, słowiki i grzmooooot w e-moll! Głuchy z trzewi grzmooooot przechodzący w niewyraźny, nosowy bas. Andżu uwielbiała grzmoty, nasze urodziny, wierzchołki drzew, morze i mnie. Kiedy grzmiało, jej twarz rozbłyskiwała uśmiechem chochlika. Krople deszczu najpierw słyszeć – szszszszsz – dopiero potem je widzieć – szszszszsz – drżą widmowe liście – łapią cętki chodniki, plaskają dachy samochodów, bębnią nieprzemakalne tworzywa. Moja kelnerka otwiera niebiesko-czerwono-żółtą parasolkę. Zielone światło zapala się i piesi rzucają się w poszukiwaniu schronienia, chowając się pod lichymi osłonami z kurtek i gazet. – Zmoknie – odzywa się oślica omal radosnym tonem. Wściekły deszcz wymiata drugą stronę alei Omekaido. – Zmoknie czy nie zmoknie, filtry do kawy są nam potrzebne – odpowiada wdowa. Moja kelnerka gdzieś przepada. Mam nadzieję, że znalazła jakieś suche miejsce. Jupiter Cafe wypełnia się uwolnionymi od pracy uciekinierami prawiącymi sobie uprzejmości. Błyskawica rozświetla niebo, że aż światła Jupiter Cafe kontrpunktowo ciemnieją. – Ooooo! – wydają z siebie jeden okrzyk uciekinierzy. Sięgam po zapalkę i zapalam kolejnego carltona.

Dopóki nie przejdzie ta burza, nie mogę iść i stanąć przed Akiko Kato. Stojąc i ociekając wodą w jej biurze, zrobiłbym co najwyżej takie wrażenie, jak zmokła kura. Lao Tse chichocze w kułak, krztusi się i łapie powietrze. – No, no, takiego deszczu to ja nie widziałem od 1971. Musi koniec świata. Widziałem, jak nadchodzi, w telewizji.

* * *

Jeszcze godzina i skrzyżowanie ulicy Kita z aleją Omekaido przemienia się w kipiące zlewisko samowolnych rzek. Deszcz leje niesamowity. Nawet w Jakuszimie nie mieliśmy tak mocnych opadów. Ulotniła się atmosfera wczasowiska i gościom zaczyna ciążyć to, że są na siebie skazani. Bo też podłogę jupiter Cafe zalewa woda i wszyscy okupujemy taborety, kontuary i stoły. Na zewnątrz ruch uliczny grzęźnie i zaczyna niknąć pod spienioną wodą. Na dachu taksówki koczuje sześćosobowa rodzina. Dziecko zanoszą od płaczu i nie chce się zamknąć. Co aktywniejsi w grupie organizują gości i zaczynają się gadki o przeniesieniu na wyższe piętro, o pozostaniu, o helikopterach marynarki, o El Nino, o wdrapywaniu się na drzewa, o inwazji sił północnokoreańskich. Palę kolejnego carltona i nie odzywam się: tylu tych kapitanów, co kierują statek w górę. W rodzinnej taksówce już tylko trójka. Przedmioty kręcą się w wodzie, bo nijak im pływać. Ktoś ma radio, ale łapie tylko szumy wywołane przez ulewę. Powódź podpełzła pod okno – sięga już do połowy. Zatopione skrzynki pocztowe, motocykle, sygnalizacja uliczna. Pod okno podpływa krokodyl i łbem trąca szybę. Nie krzyczy nikt. Może by ktoś tak wrzasnął. Coś się szarpie w kąciku jego pyska – to ręka. Krokodyl omiata nas spojrzeniem i zatrzymuje wzrok na mnie. Znam to oko. Lśni.

Szarpnięcie ogonem i zwierzę oddala się. – Tokio, Tokio – rechocze Lao Tse. – Jak nie pożar, to trzęsienie ziemi. Jak nie trzęsienie, to bomby. Jak nie bomby, to powódzie. – Wdowa po dygnitarzu piszczy ze swojej grędy. – Pora na ewakuację.

Najpierw kobiety i dzieci.

– A niby dokąd? – pyta facet w brudnym płaszczu nieprzemakalnym. – Wychyłisz tylko nosa, a prąd cię porwie i

wyniesie aż za Guam! – Zostaniemy w środku, to się potopimy! – woła oślica spod półki na filtry do kawy, najbezpieczniejszego miejsca w tym lokalu. – O nie, nie teraz, nie teraz – szepcze kobieta w ciąży, dotykając swej wypukłości. Duchowny pociąga z piersiówki, przypomniawszy sobie, że ma problem, który trzeba zapisać. Lao Tse nuci żeglarską szantę. Kwilący dzieciak nie chce się zamknąć. Widzę czerwono–niebiesko–żółtą parasolkę miotającą się w najgwałtowniejszym nurcie powodzi, za parasolką moją kelnerkę, idzie pod wodę, wynurza się, łapie powietrze. Nie namyślałam się.

Wskakuję na parapet i odmykam górne okno, które jest jeszcze ponad poziomem wody. – Nie rób tego – wołają jednym głosem uciekinierzy – to pewna śmierć! – Puszczam moją baseballówkę do Lao Tse. – Wrócę po nią. – Zrzucam z nóg adidas, podciągam się i... nurt wody, mityczna siła miotająca mną, zanurzająca i kołysząca z okrutną prędkością. W świetle błyskawicy rozpoznaję Tokijską Wieżę, do połowy zalaną przez powódź. Niższe gmachy toną. Liczba ofiar musi iść w miliony. Tylko PanOpticon wznoszący się w samym sercu tornada wygląda bezpiecznie. Morze przechyla się i wznosi, wiatr wyje – obłąkana orkiestra.

Kelnerka z parasolką miga raz bliżej, raz dalej. I właśnie kiedy wydaje mi się, że już nie utrzymam się na powierzchni, widzę, że kelnerka wiosłuje w moją stronę na parasolce. – Okazuje się, że z ciebie ratownik – chwyta mnie za rękę. Uśmiecha się, rzuca spojrzenie ponad moją głowę i nagle niewypowiedziane przerażenie pojawia się na jej twarzy. Odwracam się i widzę nadjeżdżającą paszczę krokodyla.

Wyrywam rękę z trzymającej mnie dłoni, z całej siły odpycham od siebie parasolkę, i czyham na swoją śmierć. – Nie! – krzyczy na

to moja kelnerka. Ja niezłomnie trwam w milczeniu. Krokodyl wycofuje się i daje nura – jego tłuste cielsko, aż po sam ogon, pochłania woda. Czyżby chciał mnie tylko nastraszyć?

– Szybko – woła moja kelnerka, ale haczykowate zęby już wbiły się w moją prawą nogę i ciągną mnie na dół. Walę krokodyla, ale równie dobrze mógłbym mocować się z cedrem. Na dół, na dół, na dół, kopię i wierzgam, ale z takim tylko skutkiem, że z mojej podziurawionej łydki wali coraz gęściejsza chmura krwi.

Dopływamy do dna Pacyfiku, jest gęsto zabudowane – uświadamiam sobie, że krokodyl umyślił sobie utopić mnie przed Jupiter Cafe, co by świadczyło o tym, że gady mają wykształcony zmysł ironii. Goście i uciekinierzy patrzą bezsilni i przerażeni. Burza chyba już przeszła, bo wszystko rozjaśnia błękit jak na basenie i światło, że tylko stepować, i przysiągłbym, że słyszę *Lucy in the SkywithDiamonds*. Krokodyl przygląda mi się oczyma Akiko Kato, co nasuwa myśl, że oto w komicznej perspektywie mam okazję obserwować, jak mój wzdęty zewłok zostaje złożony w legowisku gada, by następnie w ciągu najbliższych tygodni zostać skonsumowany. Robi mi się lekko i słabo. Widzę, jak Lao Tse częstuje się moim ostatnim carltonem i zdejmuje w pozdrowieniu moją czapkę. Potem na migi dźga się palcem w oko i pokazuje na krokodyla. Rozjaśnia się mętna myśl. Wczoraj mój gospodarz dał mi klucz – otwiera się nim frontową żaluzję. Ma trzy cale długości i mógłby służyć jako minisztylet. Nie lada sztuka ustawić go tak, żeby można było zadać cios, ale krokodyl przysypia, to i nie widzi, jak pakuję mu klucz między powieki i wbijam ostre zakończenie do środka. Ciach, łup, drzyzg.

Krokodyle wyją, nawet pod wodą. Szczęki rozwierają się i potwór kręci się jak szalony. Lao Tse śle mi oklaski, a tymczasem

jestem już trzy minuty bez powietrza, a do powierzchni jest niesamowicie daleko. Słabiutkim szarpnięciem rzucam się ku górze. W mózgu buzuje mi azot. Unoszę się ospale, ocean śpiewa.

Pod wodą twarz, która szuka mnie z wnętrza kamiennego wieloryba, to moja kelnerka, do końca przy mnie, jej włosy strumieniami wiją się na płyciźnie.

Wymieniamy ostatnie spojrzenie i wtedy, zniewolony urokiem własnej śmierci, powoli tonę, zataczając smętne kręgi.

Gdy pierwszy promień czerwonego światła skrycie otwiera zamek świtu, kapłani ze świątyni Yasukuni rozniecają mój stos całopalny z drzewa sandałowego.

Mój pogrzeb wspaniałością przewyższa wszystkie inne, jak daleko sięga ludzka pamięć, a cały naród jednoczy się w żałobie. Wokół Kundaszita specjalnie zmieniono kierunek ruchu, pozwalając w ten sposób dziesiątkom tysięcy ludzi oddać mi cześć. Płomienie liżą moje ciało. Ambasadorowie, krewni ze wszystkich stron, głowy państw, Yoko Ono w czerni. Kiedy słońce otwiera na oścież wrota dnia, moje ciało bucha płomieniem. Po raz pierwszy w ciągu dwudziestu lat moi rodzice stoją obok siebie pogodzeni, ponieważ Jego Cesarska Wysokość zapragnął wyrazić im podziękowanie. Dziennikarze wypytyują ich o samopoczucie, ale oni z powodu ogromnego wzruszenia nie są w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Taka wystawna ceremonia, nigdy przez myśl by mi nie przeszło, ale w końcu bohaterstwo to bohaterstwo. Moja dusza unosi się wraz z moimi prochami pośród gołębi i helikopterów przysyłanych przez stacje telewizyjne. Spoczywam na olbrzymiej półkolistej bramie, tak obszernej, że zmieściłby się pod nią okręt wojenny, i upajam się tym nowym widzeniem ludzkich uczuć, jakie tylko śmierć udostępnia.

– Nie powinnam była nigdy ich obu porzucać – myśli moja matka.

– Nie powinienem był nigdy ich trojga porzucać – myśli mój ojciec.

– Ciekawe, czy dostanie mi się jego depozyt – myśli Buntaro Ogiso.

– Nawet nie zdążyłam zapytać, jak ma na imię – myśli moja kelnerka.

– Szkoda, że nie ma tutaj Johna – myśli Yoko Ono. – Napisałby requiem.

– Smarkacz – myśli Akiko Kato. – Całe życie pracować, żeby tak przedwcześnie skończyć.

* * *

Lao Tse chichocze w kułak, krztusi się i łapie powietrze. – No, no, takiego deszczu to ja nie widziałem od 1971. Musi koniec świata. Widziałem, jak nadchodzi, w telewizji. – Ledwie zdążył wypowiedzieć ostatnie słowo i ulewa kończy się. Kobiety w ciąży rozjaśniają twarze w uśmiechu. Nawiedza mnie myśl o ich dzieciakach. Co maluchy widzą w czasie dziewięciomiesięcznego noszenia? Wąwozy, bagna, pola bitewne? Fikcja i rzeczywistość pewnie zlewają się w jedno dla człowieka ukrytego w łonie. Na dworze piesi patrzą nieufnie na niebo i wyciągają dłonie, sprawdzając, czy deszcz jeszcze pada. Składają się parasole.

Zwija się plansza ze scenerią chmur. Drzwi Jupiter Cafe otwierają się z jękiem i moja kelnerka wraca, machając torbą. – Trochę ci to zabrało czasu – gdera wdowa po dostojniku. Moja kelnerka stawia na ladzie paczkę filtrów. – Kolejki w supermarkecie. To zawsze zabiera czas. – Słyszałaś grzmot? – pyta

oślica, a mnie zaczyna się wydawać, że wcale nie jest taka zła, tylko słaba i uzależniona od wdowy. – Pewnie, że słyszała! – parska wdowa. – Moja ciotka Otane słyszała taki grzmot i od dziewięciu lat nie żyje. – Pieniążki – mówi wdowa, usilnie powstrzymując wybuch wściekłości i odsyłając ciotkę Otane do diabła. – Proszę o rachunek i resztę. W biurze wiedzą, że wzorowo prowadzę księgi i nie zamierzam szargać sobie reputacji. – Moja kelnerka wręcza jej rachunek i garść monet.

Obojętność okazuje się niezawodną bronią w jej ręku. Na zegarze druga trzydzieści. Wykałaczką rysuję w popielniczce pentagramy. Przychodzi mi na myśl, że zanim pójdę do biura Akiko Kato, powinienem przynajmniej sprawdzić, czy ona w ogóle jest w PanOpticonie – bo jeśli stanę przed jej sekretarką tylko po to, by na monitorze jej komputera znaleźć karteczkę z napisem: *Będę w czwartek*, to wyjdę na kompletnego idiotę. Wizytówkę pani Kato noszę w portfelu. Pożyczyłem ją sobie z ogniotrwałej kasetki mojej babci, kiedy miałem jedenaście lat, bo zamierzałem zgłębiać tajemnice wudu i wizytówka miała posłużyć za totem. *AKIKO KATO. PRAWNIK. OSUGI-BOSUGI*. Adres w Szindzuku i numer telefonu. Serce od razu bije mi szybciej. Zawieram z sobą umowę – jedna mrożona kawa, ostatni carlton i dzwonię. Czekam, aż moja kelnerka zbliży się do kontuaru, i podchodzę po swoją kawę i błogosławieństwa. – Kieliszki!

– krzyczy wdowa tak ostrym tonem, że z miejsca nabieram fałszywego przekonania, iż mówi do mnie. Oślica podchodzi do kontuaru, a moja dziewczyna wraca do zlewu. Grozi mi, że się zakofeinuję, ale jeśli teraz zmienię zdanie, to wyjdę na durnia. – Mrożoną kawę, proszę. – Czekam, aż Lao Tse da się po raz kolejny uśmiercić bioborgom i zamieni się jeszcze jedną zapalką na

carltona.

Próbuję rozpołować płatek migdałowy, ale wbija mi się pod paznokiec.

– Dzień dobry. Osugi i Bosugi.

Swojemu głosowi staram się zaszczepić odrobinę powagi. – Taaak. – Brzmi jak w okresie dojrzewania, jakby moje jaja jeszcze swobodnie dyndały. Rumienię się, improwizuję kasznięcie i ponownie zaczynam o pięć oktaw niżej. – Przepraszam, czy pani Akiko Kato jest dzisiaj w pracy?

– Chciał pan z nią rozmawiać?

– Nie. Chciałem się dowiedzieć, czy... tak. Tak, proszę.

– To znaczy, co tak, proszę pana?

– Czy mogłaby pani połączyć mnie z panią Akiko Kato?

– Mogłabym wiedzieć, kto mówi?

– To znaczy, yyy, jest w biurze, tak?

– A mogłabym wiedzieć, kto mówi?

– To – klapa – rozmowa poufna.

– Może pan oczywiście liczyć na naszą całkowitą dyskrecję, ale musiałabym wiedzieć, kto mówi.

– Nazywam się, yyy, Taro Tanaka. – Najbardziej niewydarzone nazwisko pod słońcem. Co za idiota ze mnie.

– Czyli pan Taro Tanaka. Czy mogłabym wiedzieć, czego ma dotyczyć pana rozmowa?

– Pewnych kwestii, yyyy, prawnych.

– Czy mógłby pan konkretniej?

– Yyyy. Nie. Właściwie.

Powoli wypuszczam z siebie powietrze. – Pani Kato jest w tej chwili na spotkaniu z szefami naszej firmy, nie mogę więc jej teraz poprosić do telefonu.

Gdyby jednak zechciał pan podać swój numer, nazwę firmy i jakiś zarys swojej sprawy, to mogłabym poprosić panią Kato, by oddzwoniła do pana jeszcze dzisiaj.

– Tak, oczywiście.

– Dzwoni pan z firmy?

– Yyyy...

– Panie Tanaka?

Milknę i odkładam słuchawkę.

Trzy z minusem za styl. Ale przynajmniej wiem, że Akiko Kato czai się w swojej pajęczynie. Dwadzieścia siedem – tyle odliczam pięter PanOpticonu, zanim natrafiam na chmury. Wypuszczam dym – dmucham ci prosto w nos, Akiko Kato.

Jeszcze tylko przez trzydzieści minut Eidzi Mijake będzie dla ciebie zaledwie mglistym wspomnieniem z zamglonej góry z południowego krańca Kiusiu. Czy w ogóle mieści ci się w głowie, że możesz mnie spotkać na jawie? A może jestem tylko nazwiskiem figurującym na jakichś dokumentach? Góry lodowe w mojej kawie pobrzękując, topnieją. Z dzbanuszka wlewam śmietankę z syropem i obserwuję, jak ciecz wycieka i wkręca się w wir. Kobiety w ciąży porównują czasopisma poświęcone niemowlętom. Moja dziewczyna chodzi od stolika do stolika i opróżnia do kubła zawartość popielniczek. Przejdź tędy, moja jest pełna.

Nic z tego. Wdowa po dygnitarzu wisi na telefonie, cała w uśmiechach. Moją uwagę przykuwa mężczyzna przechodzący przez ulicę Kita: przysiągłbym, że widziałem, jak ten sam facet przed minutą przechodził przez tę samą ulicę. Nie spuszcza go z oczu i śledzę wzrokiem, jak posuwa się w tłumie ludzi przeskakujących przez kałuże. Przechodzi, potem czeka na zielone światło.

Przechodzi przez aleję Omekaido i znowu czeka na zielone

światło. Potem z powrotem przechodzi przez ulicę Kita. Czeka, z powrotem przechodzi przez aleję Omekaido. Patrzą, jak zalicza jedno, drugie, trzecie okrążenie. Prywatny detektyw, bioborg, obłąkaniec? Lada chwila słońce przedrze się przez warstwę chmur.

Słomką przebijam lód i piję. Nie mogę już dłużej lekceważyć swojego pęcherza.

Wstaję, ruszam do drzwi toalety, przekręcam gałkę – zamknięte. Skrobię się w głowę i zakłopotany wracam na swoje miejsce. Kiedy toaleta zostaje zwolniona – przez urzędniczkę – odwracam spojrzenie, ażeby przypadkiem nie pomyślała, że to ja szarpałem gałką, i tym sposobem tracę kolejkę na rzecz przesadnie skromnej licealistki w mundurku, która po piętnastu minutach wynurza się w roli biuściastego zjawiska w obcisłej bluzce i minispódniczce jak z erotycznego snu.

Podnoszę się, ale tym razem uprzedza mnie wpadająca w drzwi matka z córeczką. – Awaria! – chichocze matka, a ja odpowiadam wyrozumiałym uśmiechem. Czyżbym przeżywał jeden z tych snów, w których im bliżej jesteś, tym bardziej się oddalasz?

– Słuchaj no – piszczy mój pęcherz – zabierz się do roboty, i to zaraz, bo inaczej nie odpowiadam za siebie! – Czatuje przy drzwiach i usiłuję myśleć o wydmach.

Jeszcze jedno tokijskie błędne koło – chcąc skorzystać z toalety, należy zamówić coś do picia, ażeby na pełnić swój pęcherz. Na Jakuszimie, jak chcę się wysikać, to szukam po prostu drzewa. W końcu matka z dzieckiem wychodzą i wreszcie mogę wejść. Wstrzymuję oddech i walczę z zamkiem. Podnoszę deskę i sikam trzema kawami. Wypadam bez tchu, żeby zaczerpnąć powietrza. Nawet tak nie śmierdzi, przelatuje mi przez głowę. Uryna, margaryna i lawenda w proszku. Lepiej chyba wytrzeć obrzeże.

Zlew, lusterko i pusty pojemnik na mydło. Rozprawiam się z paroma węgami i przyglądam się swemu odbiciu pod różnymi kątami: ja, Eidzi Mijake, tokijczyk. Daje się ktoś nabrać czy też, jak podejrzewam, wszyscy podśmiewają się ze mnie i ukradkiem podglądają? Obrodziły mi dzisiaj pryszcze.

Czyżby już przechodziła mi opalenizna z Kiusiu? Moje odbicie mierzy się ze mną na spojrzenia. Pierwszy odwracam wzrok. Wygrywa. Zabieram się do wulkanicznego pasma węgrów. Ktoś dobija się i przekręca gałkę. Z powrotem mierzwię nastroszoną fryzurę na żel i niezdarnie otwieram drzwi.

* * *

To Lao Tse. Mamroczę pod nosem jakieś przeprosiny, że kazałem mu czekać, i postanawiam bez dalszej zwłoki przystąpić do szturmu na PanOpticon. I oto przede mną maszeruje Akiko Kato, we własnej osobie, tu i teraz, a dzieli nas co najwyżej pięć milimetrów szkła i metr powietrza. Upragnione przeze mnie przypadkowe spotkanie następuje akurat wtedy, gdy już porzucam nadzieję. W zwolnionym tempie odwraca głowę i nie zatrzymując się, patrzy prosto na mnie. Nie wierzę własnym oczom i na chwilę tracę grunt pod nogami. Akiko Kato dochodzi do skrzyżowania i w tym momencie zapala się zielone światło. W mojej wyobraźni w ogóle się nie zestarzała; w rzeczywistości, owszem, ale też moja pamięć okazała się zaskakująco wierna. Zwodnicze spojrzenie spod powiek, orli nos, chłodna piękność. Naprzód! Czekam, aż drzwi otworzą się na oścież, wybiegam i... Baseballówka, idioto!

Z powrotem rzucam się do Jupiter Cafe, łapię czapkę i pędem do skrzyżowania, gdzie zielone światło już błyska. Czuję, że po dwóch godzinach spędzonych w klimatyzowanym pomieszczeniu moja

skóra pęka i skwierczy w skwarze południa.

Akiko Kato zdążyła już znaleźć się na drugim brzegu – ryzykuję i biegnę, przeskakując pasy i kałuże. Motodawcy dodają gazu i wysunawszy łokieć, ruszają, na przejściu czerwone, szarpie mnie wściekły podmuch przejeżdżającego autobusu, ale dopadam susem drugiego brzegu, nie gubiąc czapki. Moja zwierzyna znajduje się już na schodach PanOpticonu. Unikam śmigam pod prąd przez tłum, zarabiając od ludzi obelgi i rzucając przeprosiny – jeśli wejdzie do środka, stracę okazję na spotkanie z nią na neutralnym gruncie. Ale Akiko nie wchodzi do PanOpticonu.

Nie skręcając, zmierza w stronę stacji Szindzuku – mógłbym ją dogonić i zatrzymać, ale nagle nabieram przekonania, że zaczepienie jej na ulicy nastawiłoby ją o wiele mniej przychylnie do mojej sprawy. Poza tym, mam ją prosić o przysługę, a pomyślałaby, że na nią czatuję – no i miałyby rację. A jeśli zrozumie to na opak, zanim zdołam cokolwiek wytłumaczyć? Jeśli zacznie krzyżeć: „Ratunku, gwałciciel!”? Tak czy siak nie mogę przecież pozwolić, żeby tak po prostu rozplynęła się w tłumie. Toteż idę za nią w bezpiecznej odległości, pamiętając, że i tak nie zna mojej twarzy jako dorosłego Eidzkiego Mijake. W ogóle się nie rozgląda, ani razu – a dlaczego niby miałyby się rozglądać? Przechodzimy pod szpalerem ociekających sękatych drzew. Akiko Kato ruchem ręki odgarnia długie włosy i zakłada okulary. Przejściem podziemnym przechodzimy pod torowiskiem i wynurzamy się na silnie nasłonecznionej, tonącej w tłumie ludzi i pojazdów ulicy Jasukuni, obsadzonej restauracyjkami, barami i rozbrzmiewającymi gitarowymi tematami, ulicznymi stoiskami muzycznymi. Takie śledzenie to naprawdę trudna rzecz. Brzdęk, uderzam goleniem w jakiś rower. Przez obmyte deszczem soczewki słońce prasuje parą

ulice. Przeпоcony T-shirt przykleja mi się do ciała. Przy sklepie z lodami w dziewięćdziesięciu dziewięciu smakach Akiko Kato skręca i nurkuje w boczną uliczkę. Przebijam się przez gąszcz kobiet przed butikiem i idę za nią.

Słońce niknie, wózki z jedzeniem, żar się ulatnia. Chicagowska dekoracja filmowa.

Akiko Kato zatrzymuje się przed czymś, co wygląda na kino, i odwraca się, chcąc się upewnić, że nikt jej nie śledzi – przyśpieszam kroku, jakbym strasznie gdzieś pędził. Uciekam wzrokiem przed jej spojrzeniem i mijając ją, przekręcam baseballówkę tak, żeby zakrywała mi twarz. Kiedy się odwracam, Akiko Kato znika w Ganymede Cinema. To miejsce miało o wiele lepsze chwile. Dzisiaj dają film pod tytułem PanOpticon. Plakat – przeraźliwe rosyjskie lale – nic mi nie mówi o filmie. Waham się, chce mi się palić, ale papierosy zostawiłem w Jupiter Cafe, więc obrywam się smakiem. Film zaczyna się za dziesięć minut. Wchodzę, choć najpierw ciągnę drzwi, zamiast je pchnąć. Pusty hol, w którym pstrzy się psychodeliczny dywan. Nie zauważam stopnia, potykam się i omal nie skręcam nogi w kostce. Wszystko wyświechtane i zalatuje szpachlą. Żałosny żyrandol jarzy się brązowym światłem. Kobieta w kasie odkłada robótkę, nie kryjąc irytacji. – Tak?

– Czy tutaj jest kino?

– Nie. Pancernik Jamato.

– Nie jestem stąd.

– Cała przyjemność po pana stronie.

– Yyy. A film? O czym to?

Kobieta nawleka igłę. – Czy na moim biurku jest napisane: „Tutaj sprzedaje się streszczenia filmów”?

– Ja tylko...

Wzdycha, jakby miała do czynienia z debilem. – Widzi pan, czy nie, napis na moim biurku, że tutaj sprzedaje się streszczenia filmów?

– Nie.

– A jak pan myśli, na boga, dlaczego nic takiego nie jest napisane?

Rozwaliłbym ją, ale swojego walthera PK zostawiłem w ostatniej wizji.

Poszedłbym sobie, ale wiem, że w tym budynku jest gdzieś Akiko Kato. – Jeden bilet, proszę.

– Tysiąc jenów.

Pryska mój dzienny budżet. Kobieta daje mi bilet z losem. Wszędzie walają się grudki gipsu. Swoją drogą, w takim miejscu interes już dawno powinien paść.

Kobieta wraca do swojej robótki, zostawiając mnie pod czułą opieką napisu *PRZEJŚCIE NA SALE – KIEROWNICTWO NIE ODPOWIADA ZA WYPADKI NA KLATCE SCHODOWEJ*. Schody opadają stromymi stopniami w prawo.

Ściany obwieszane plakatami filmowymi. Nie rozpoznaję ani jednego. Po każdej kondygnacji schodów liczę, że to już ostatnia, ale gdzie tam. Na wypadek pożaru uprasza się publiczność, by głośno nie klęła. Czyżby cieplej? Nieoczekiwanie ląduję na dole. Czuję zapach gorzkich migdałów. Drogę zastępuje mi kobieta z wygoloną, pokiereszowaną czachą pacjentki po chemioterapii. Napotykam jej wzrok i zauważam, że oczodoły ma kompletnie puste. Chrząkam. Ani drgnie.

Próbuję precyzyjnie się obok niej, a ona do mnie z rękami: palce – wskazujący, środkowy, serdeczny i mały – zrosnięte i

przekształcone w racice. Staram się nie zwracać uwagi. Zabiera mi bilet i przedziera. – Popcorn?

– Nie, dziękuję.

– Nie lubi pan popcornu?

– Yyyy, nie przepadam.

Rozważa wypowiedziane przez mnie słowa. – To znaczy nie chce pan przyznać, że nie lubi pan popcornu.

– Popcorn nie jest czymś, co bym lubił albo nie lubił.

– Co to za gierki chcesz ze mną uprawiać?

– Żadne gierki. Po prostu właśnie zjadłem obfity lunch. Nie chcę już nic jeść.

– Nie znoszę, kiedy tak łgasz.

– To pomyłka, pewnie mnie pani bierze za kogoś innego.

Potrząsa głową. – Nie ma aż takich pomyłek.

– Dobra już. Kupię popcorn.

– Wykluczone. Nie ma.

Gubię się. – To dlaczego chciała mi pani sprzedać?

– Ja – bynajmniej. Przypomnij sobie. To chcesz obejrzeć film czy nie?

– Tak. – Zaczyna mnie to denerwować. – Chcę obejrzeć film.

– No to dlaczego marnujesz mój czas? – przytrzymuje kotarę. W stromo opadającej sali kinowej jest dosłownie trzech widzów. W przednim rzędzie dostrzegam Akiko Kato. Obok niej jakiś człowiek. Dalej, w przejściu między rzędami, jeszcze ktoś w fotelu na kółkach, najwyraźniej martwy: szyja odchylona do tyłu, jakby miał przetrącony kark, szczęki rozdziawione, głowa wyhaczona, do tego siedzi kompletnie bez ruchu. Widzę, że wzrok skierowany ma na nocne niebo wymalowane na suficie. Skradam się środkowym przejściem, licząc, że uda mi się podejść na tyle blisko siedzącej

pary, żebym mógł podsłuchiwać. Ale z kabiny projekcyjnej rozlega się głośny huk i kucam, żeby się ukryć. Strzał z pistoletu albo niefachowo otwarta paczka chipsów. Nie odwrócili się – ani Akiko Kato, ani jej towarzysz – podpełzam jeszcze parę rzędów. Światło gaśnie i kurtyna podnosi się, ukazując prostokąt migotliwego światła. Reklama nauki jazdy: albo bardzo stara, albo przyjmują tylko kandydatów mających upodobanie do fryzur i ubioru w stylu lat 70. Do tego ścieżka dźwiękowa z pieśnią YMCA. Potem ogłoszenie chirurga plastycznego o nazwisku Apollo Szigenobo, który wszystkim swoim klientom przeszczepia stały uśmiech. Śpiewają o korekcjach twarzy. W kagoszimskim kinie podobały mi się zawsze zwiastuny, oszczędzające nudy oglądania filmu, ale tutaj takich nie ma. Rozlega się tytanowy głos, zapowiadający film PanOpticon w reżyserii faceta, którego nazwiska nawet nie umiem wymówić, zdobywcy nagrody na festiwalu filmowym w mieście, którego nawet nie potrafię wskazać na najbliższym położonym kontynencie. Żadnych tytułów, żadnej muzyki. Od razu.

Przez ludzką cizbę spowitego w czernie i biele zimowego miasta przebija się autobus. W środku wyczekujący pasażer w średnim wieku. Natrętny śnieg, sprzedawcy wojennej gazety, policjant tłukący handlarza bez licencji, zapadłe twarze w pustych sklepach, szkielet spalonego mostu. Mężczyzna, wysiadając, pyta kierowcę, jak dojść. Ten w odpowiedzi wskazuje głową na potężny mur zasłaniający niebo. Mężczyzna rusza przed siebie, szukając wejścia. Wyrwy po wybuchach, zgliszcza, dzikie psy. Kolisty ruiny, pośród których włochaty obłąkaniec gada do ognia. Mężczyzna w końcu odnajduje drewniane drzwi.

Pochyla się i puka. Bez odzewu. Dostrzega blaszaną puszkę wiszącą na kawałku sznura znikającego gdzieś w murze. – Jest

tam kto? – pyta. Napisy japońskie, język – same syki, mlaski i zgrzyty. – Jestem dr Polonski. Naczelnik Bentham oczekuje mnie. – Przykłada puszkę do ucha i dobiera głosy dobiegające jakby spod wody.

Drzwi otwierają się same, odsłaniając ponure podwórze. Doktor pochyliwszy się, przechodzi. Wiatr niesie echo dziwnego śpiewu. – Toadling, do usług pana doktora.

– Odkłania się niziutki mężczyzna. Dr Polonski odskakuje. – Tędy, proszę. – Sypki śnieg. Śpiewy wzbija ją się, zamierają i ponownie się wznoszą. Podzwaniają klucze wiszące u pasa Toadlinga. Przez labirynt klatek, mijając grających w karty strażników. – Jesteśmy u celu – skrzeczy Toadling. Doktor sztywno skłania głowę, puka i wchodzi do niechlujnego gabinetu.

– Doktorze! – naczelnik jest zgrzybiały i pijany. – Niechże pan siada.

– Dziękuję. – Doktor Polonski ostrożnie stawia stopy: podłoga jest nie tylko ogołocona, ale i brakuje w niej połowy desek. Siada na szkolnym krzeselku.

Naczelnik Bentham zajmuje się akurat fotografowaniem fistaszka umieszczonego w wysokiej napełnionej szklance. – Piszę właśnie rozprawę o zachowaniu przekąsek barowych w brandy z wodą sodową.

– Co pan powie?

Naczelnik sprawdza czas na stoperze. – Co pan dziabnie, doktorku?

– Nie na służbie, dziękuję.

Resztą brandy naczelnik napełnia kieliszek do jajka i pozbywa się pustej butelki, wrzucając ją pomiędzy deski podłogi. Stłumiony jazgot i brzęk. – Zdrówko! – Naczelnik ze stukotem odstawia swój

kieliszek. – Drogi doktorze, pozwoli pan, że będę mówił przez ogródek. To znaczy, bez, bez ogródek. Nasz tutejszy lekarz, dr Koenig, zmarł na suchoty przed Bożym Narodzeniem, no, a wojna na Wschodzie i co tam jeszcze, my przecież nie mamy zastępstwa. W czasie wojny więzienia nie są najważniejsze, chyba że dla cywilów. Wiązaliśmy z tym takie nadzieje. Więzienie–utopia, kultywowanie zdolności umysłowych pensjonariuszy, uwalnianie ich dzięki wyobraźni. Do tego...

– Panie Bentham – przerywa dr Polonski. – Bez ogródek...?

– Mówiąc bez ogródek – nachyla się naczelnik – problemem jest Voorman.

Polonski przemieszcza się na swoim krzeselczku, obawiając się, że może podzielić los butelki po brandy. – Voorman tutaj siedzi?

– Otóż to, doktorze. Voorman jest więźniem, który utrzymuje, że jest Bogiem.

– Bogiem.

– Oczywiście, każdy ma własne złudzenia, ale on do swoich przekonał pensjonariuszy więzienia. Odizolowaliśmy go, ale to na nic. Słyszał pan ten śpiew?

To psalm Voormana. Obawiam się niepokojów, doktorze. Buntów.

– Widzę, że macie problem, ale jak...

– Niech pan przebada Voormana, proszę. Trzeba ustalić, czy symuluje szaleństwo, czy też naprawdę zwariował. Jeśli uzna pan, że jest to kliniczny przypadek obłąkania, będzie można odesłać go do zakładu, a my wszyscy będziemy sobie spokojnie popijali w domu herbatkę.

– Za co Voorman został skazany?

Naczelnik Bentham wzrusza ramionami. – Zimą zeszłego roku spaliliśmy akta w piecu, bo było zimno.

– To skąd pan wie, kiedy zwalniać więźniów?

Naczelnik jest najwyraźniej speszony. – Zwalniać? Więźniów?

Akiko Kato ogląda się za siebie. Lepiej chyba się schowam. Pod koniec rzędu szczur skąpany w padającym z ekranu srebrzystym świetle staje słupka. Przygląda mi się i znika, wspiąwszy się po obiciu fotela. – Rozumiem – odzywa się szeptem towarzysz Akiko Kato – że to pilna sprawa.

– Wczoraj w Tokio ukazała się zjawa.

– Wzywasz mnie z Departamentu Obrony, żeby opowiadać historie o duchach?

– Tym duchem jest pana syn, panie kongresmenie.

W mojego ojca jakby piorun strzelił, tak samo jak we mnie.

Akiko Kato odgarnia włosy. – I zapewniam pana, że jest to nader żywotny duch.

Jest w Tokio i pana szuka.

Ojciec przez dłuższą chwilę nie odzywa się. – Chce pieniędzy?

– Chce krwi. – Postanawiam jeszcze odczekać, aż Akiko Kato posunie się dalej.

– Nie mogę tego owijać w bawełnę. Pana syn jest kokainistą, który poprzysiągł mi, że zabije pana za utracone dzieciństwo. Zdarzało mi się w swoim czasie spotykać wielu młodych wykolejeńców, ale obawiam się, że pański syn to chodząca psychoza. I to nie tylko o pana mu chodzi. Mówi, że przede wszystkim chce zniszczyć pańską rodzinę, żeby zemścić się za to, co stało się z jego siostrą.

* * *

W celi Voormana króluje brud. – A więc, panie Voorman... – dr Polonski omija kopce kału i unoszących się nad nimi much. – Od jak dawna wierzy pan, że jest bogiem?

Voorman jest w kaftanie bezpieczeństwa. – To samo pytanie mogę zadać panu.

– Ja nie uważam się za boga. – Coś chrześci pod butem doktora.

– Ale uważa się pan za psychiatrę.

– Zgoda. Jestem psychiatrą, odkąd ukończyłem, z pierwszą lokatą, akademię medyczną i rozpocząłem praktykę.

Doktor unosi stopę – do podeszwy przykleił się drgający jeszcze karaluch.

Zdrapuje go na kawałku leżącego gruzu.

Voorman przytakuje głową. – A ja jestem Bogiem, odkąd zacząłem uprawiać swoją profesję.

– Rozumiem. – Doktor przerywa notowanie. – Na czym polega ta profesja?

– Głównie na ustawicznym podtrzymywaniu. Podtrzymywaniu mojego wszechświata.

– A więc to pan stworzył nasz wszechświat?

– Owszem. Dziewięć dni temu.

Polonski zastanawia się. – Wcale niemało dowodów wskazuje na to, że wszechświat ma trochę więcej niż dziewięć dni.

– Wiem. Te dowody także stworzyłem.

Doktor siada naprzeciw na pryczy. – Panie Voorman, mam czterdzieści pięć lat.

W jaki sposób tłumaczy pan moje wspomnienia z wiosny albo te z dzieciństwa?

– Stworzyłem pańskie wspomnienia wraz z panem.

– Tak więc wszystko na tym świecie jest dziełem pańskiej

wyobraźni?

– Nie inaczej. Pan, to więzienie, owoce agrestu, Mgławica Końskiej Głowy.

Polonski kończy zapisywane zdanie. – No to jest pan chyba dość zapracowany.

– Bardziej niż pan, robaczku – bez urazy – może sobie wyobrazić. Co gorsza, muszę nieustannie myśleć o najmniejszym nawet atomie, bo inaczej „pyk” i wszystko znika! W słowie „solipsysta” występuje tylko jedno l, panie doktorze. – Polonski marszczy brwi i przekłada notes. Voorman wzdycha. – Wiem, że jest pan nastawiony sceptycznie. Takim już pana stworzyłem. Czy pozwoli pan, że zaproponuję obiektywny eksperyment na potwierdzenie tego, co mówię?

– Co pan ma na myśli?

– Belgię.

– Belgię?

– Chyba niemożliwe, by umknął on uwadze samych Belgów, co?

Ojciec nie odzywa się. Pochylił głowę. Ma gęstą czuprynę – nie muszę martwić się, że wyłysię. Co za nieoczekiwana, zagadkowa i wyborna zmiana biegu zdarzeń. Lada chwila ujawnię swoją obecność i zdemaskuję Akiko Kato jako kłamliwą żmiję – jeszcze przedłużę chwile mojej przewagi i zgromadzę arsenał do czekającej mnie bitwy. Odzywa się telefon Akiko Kato. Wyjmuje go z torebki. – Zadzwoń później, jestem zajęta. – ucina krótko i z powrotem wkłada aparat. – Panie kongresmenie. Wybory powszechne za cztery tygodnie. Pańska twarz znajdzie się na wszystkich tablicach z kandydatami w Tokio. Codziennie będzie pan w telewizji. Nie czas na to, żeby sobie psuć profil.

– Żeby tak mógł spotkać się z synem...

– Jeżeli on wie, kim pan jest, to nie ma pan szans.

– W każdym tkwi ziarno rozsądku.

– On był notowany – ma na koncie poważne uszkodzenie ciała, włamania, narkotyki – rejestr długi jak futrzane boa pańskiej żony. Poza tym ten paskudny nałóg, kokaina. Już widzę, co zrobi opozycja. „Nieślubne dziecko ministra, które wyrosło na kryminalistę, przysięga, że go zabije!”.

Ojciec wzdycha w rozmigotanej ciemności. – Co proponujesz?

– Zlikwidować problem, zanim doprowadzi do pańskiej politycznej śmierci.

Ojciec odwraca się półprofilem. – Oczywiście nie masz na myśli przemocy?

Akiko Kato starannie dobiera słowa. – Przewidziałam, że ten dzień kiedyś nastąpi. Plany mam gotowe. Wypadki się zdarzają, a ja znam ludzi, którzy znają takich, co mogą sprawić, że taki wypadek zdarzy się prędzej niż później.

Czekam, aż ojciec coś na to odpowie.

Poloncy mieszkają na trzecim piętrze staromiejskiej kamienicy z bramą i podwórzem. Ona od miesiący nie dosypia i nie dojada. Błady płomień kołysze się w cieniu. Słychać turkot przejeżdżającej niedaleko kolumny czołgów. Pani Polonki kroi twarde jak żelazo chleb tęnym nożem i nalewa cienki rosół. – Dalej gryziesz się z powodu tego więźnia, Boormana?

– Voormana. Tak, dalej się tym gryzę.

– Co za bezsens, zmuszać cię do wykonywania pracy sędziego.

– To nie to mnie martwi. W tym mieście więzienie niewiele się różni od domu dla obłąkanych. – Łyżką łowi w zupie koniuszek gotowanej marchewki.

– No to co?

– Nie wiem, jest niewolnikiem swoich rojeń czy ich panem?
Poprzysiągł, że do podwieczorku Belgia zniknie.

– A Belgia to jeszcze jakiś więzień?

Polonski przeżuwa. – No, Belgia.

– Nowy rodzaj sera?

– Belgia. Kraj. Pomiędzy Francją a Holandią. Belgia.

Pani Polonski potrząsa głową nieprzekonana.

Jej mąż uśmiecha się, kryjąc irytację. – Belgia.

– A to nie żart, kochanie?

– Przecież wiesz, że jeżeli chodzi o moich pacjentów, to nie żartuję nigdy.

– „Belgia”. Może hrabstwo albo miasteczko w Luksemburgu?

– Przynieś mi atlas! – doktor zagląda do ogólnej mapy Europy i nagle twarz mu tężeje. Pomiędzy Francją a Holandią figuruje obszar noszący nazwę Laguna Walońska. Polonski wpatruje się w mapę oszołomiony. – To niemożliwe.

Niemożliwe. Niemożliwe.

– Absolutnie nie wierzę – obstaje przy swoim mój ojciec – by któryś z moich synów był zdolny do morderstwa. Na pewno uniósł się, kiedy cię zobaczył, a ty w wyobraźni przeinaczasz jego słowa i zamierzenia.

– Jestem prawnikiem – odpowiada na to Akiko Kato – i nie płacą mi za zmyślanie.

– Gdybym tylko mógł spotkać się z synem i wytłumaczyć, że...

– Ile razy mam powtarzać, panie ministrze? On pana zabije.

– To co, mam postawić pieczęć na jego wyroku śmierci?

– Kocha pan swoją prawdziwą rodzinę?

– Co za pytanie?

– Więc oczywiste, że musi pan podjąć jakieś kroki, żeby ją

ochronić.

Ojciec potrząsa głową. – To czyste szaleństwo! – Palcami przeciąga po włosach.

– Czy mogę zapytać wprost?

– To pan jest szefem – odpowiada Akiko Kato tonem szefa.

– Czy nasza umowa dotycząca zachowania prywatności odgrywa jakąś rolę w twoich kalkulacjach?

Akiko Kato skacze jak oparzona. – Ta insynuacja mnie obraża.

– Ale musi pani przyznać...

– Ta insynuacja do tego stopnia mnie obraża, że cena za moje milczenie zostaje podwojona.

Ojciec jest bliski wybuchu. – Niech pani nie zapomina, kim jestem!

– Ależ pamiętam, panie ministrze – kimś, kto ma królestwo do stracenia.

Pora na mnie. Podnoszę się i staję dwa rzędy od mojego ojca i zmii, która manipuluje jego życiem. – Przepraszam. – Odwracają się – zmieszani, zaskoczeni, czujni. – Co? – syczy Akiko Kato. Patrzą to na nią, to na ojca. Żadne z nich mnie nie rozpoznaje. – No? Czego chcesz, do licha? – Przelykam ślinę. – Sprawa jest prosta. Ja znam pani nazwisko, pani dawno temu poznała moje: Eidzi Mijake. Nie inaczej, ten Eidzi Mijake. Tak. Wiele lat...

Sople lodu szczerzą się kłami w oknie celi Voormana. Wolno, wolniutko otwiera powieki. Buczą monotennie bombowce, przecinając opodal przestrzeń powietrzną. – Dzień dobry, doktorze. – Czy Belgia znajdzie się w pańskich notatkach na dzisiejszą sesję?

Strażnik uzbrojony w paralizator do porażania bydła zatrząskuje drzwiami.

Polonski udaje, że tego nie zauważa. Ma worki pod oczami i

posepne spojrzenie.

– Źle spaliśmy zeszłej nocy, doktorze?

Polonski z wytrenowanym spokojem otwiera swoją torbę.

– Grzeszne myśli! – Voorman oblizuje wargi. – Czy taka jest pana opinia jako lekarza, doktorze? Nie jestem obłąkańcem, symulantem, a demonem? Mam być poddany egzorcyzmom?

Polonski rzuca baczne spojrzenie na więźnia. – A sądzi pan, że należałoby?

Voorman wzrusza ramionami. – Demony to tylko ludzie o dość demonicznej wyobraźni.

Doktor siada. Krzesło skrzypi. – Przypuśćmy, że posiada pan...
moce...

Voorman uśmiecha się. – Proszę, doktorze, niech pan mówi, proszę.

– Co bóg w kaftanie bezpieczeństwa może porabiać w takim więzieniu?

Voorman ziewa od ucha do ucha. – Co by pan zrobił, gdyby był pan bogiem?

Spędzał czas na Hawajach, grając w golfa? Nie sądzę. Golf zaczyna być nudny, kiedy wbicie piłeczki do dziury staje się pewne. Istnienie wlecze się tak... jakby się nie istniało.

Polonski odkłada notatki. – Co więc pan robi ze swoim czasem?

– W panu znajduję rozrywkę. Weźmy tę wojnę. Toż to komedia slapstickowa. – Panie Voorman, nie jestem człowiekiem religijnym...

– I dlatego właśnie wybrałem pana.

– ...ale jakież to bóg znajduje rozrywkę w wojnach?

– Znudzony. Tak. Ludzie zostali wyposażeni w wyobraźnię, możecie więc wymyślać nowe sposoby, żeby mnie zabawić.

– A pan postanowił to obserwować z luksusowych pieleszy swojej celi?

Z pobliza dobiega huk armatniego ognia. – Luksus, ubóstwo, kogo to obchodzi, kiedy jest się nieśmiertelnym? Po prostu dość lubię więzienia. To dla mnie odkrywkowe kopalnie ironii. No i więźniowie są o wiele zabawniejsi od zażywnych parafian. Pan także mnie bawi, doktorku. Ma pan udowodnić, że jestem oszustem albo że jestem wariatem, a skończy się na tym, że udowodni pan, że jestem wszechmocnym bogiem.

– Nic takiego się nie okazało.

– Prawda, doktorze Uparty, prawda. Ale niech się pan nie obawia, śpieszę z radosnymi wieściami. Zamienimy się miejscami. Teraz pan może manipulować czasem, siłą ciężenia, falami i cząsteczkami. Teraz pan może przesiewać ekskrementy po ludzkich wysiłkach w poszukiwaniu ziarenek oryginalności. Pan widzi, jak w pana imieniu ginie wróbel i grabi się kontynenty. Już teraz. Ja zamierzam sprawić, by na twarzy pańskiej żony zagościł najbardziej niewymuszony uśmiech, i poczęstować się brandy naczelnika.

– Pan jest chorym człowiekiem, panie Voorman. Sztuczka z Belgią stanowi dla mnie pewien orzech do zgryzienia, ale...

Polonski zamiera.

Voorman gwizdże francuski hymn narodowy.

Konstrukcja drży w posadach.

– Czas minął – podejmuje doktor. – Muszę się zbierać.

– Co... – więźnia zatyka w pół słowa.

Doktor napina swoje nowe mięśnie.

Więzień przeraźliwie wrzeszczy. – Co mi pan zrobił?

– Skoro nie umie pan rozmawiać jak racjonalnie myślący

dorosły człowiek, to kończę tę rozmowę.

– Zostaw mnie, potworze!

– Wkrótce pozna pan szczegóły. Doktor zatrząskuje torbę. – Nie spuszczaaj oka z Bałkanów. Gorące miejsce.

Więzień wyje. – Strażnik! Strażnik! Drzwi otwierają się z jękiem, doktor Polonski ze smutkiem potrząsa głową. Strażnicy z bzyńczącym paralizatorem zbliżają się do rozhisteryzowanego więźnia. – Aresztować tego oszusta! To ja jestem prawdziwym Polonskim! On jest wysłannikiem piekieł i to przez niego w nocy zniknęła Belgia! – Więzień wije się i wrzeszczy, gdy strażnik częstuje jego ciało pięcioma tysiącami woltów. – Won z tym ohydztwem! On zamierza się znęcać nad moją żoną! – Wali w podłogę nogami w kajdanach. Łup, łup, łup.

* * *

Powinienem zostawić w spokoju te wągry – cerę mam jak ofiara szczypców kraba. Ktoś dobija się i przekręca gałkę w drzwiach do toalety. Z powrotem mierzwię nastroszoną fryzurę na żel i niezdarnie otwieram drzwi. To Lao Tse. – Trochę cię przytrzymało, kapitanie. – Przepraszam i dochodzę do wniosku, że nadszedł czas szturm na PanOpticon. Jak tylko wypalę ostatniego carltona. Na ścianie budynku sąsiadującego z PanOpticonem ekipa montuje olbrzymi ekran TV.

Kelnerka o nieskazitelnej szyi zakończyła zmianę – na zegarze za sześć trzecia – i już zrzuciła swój uniform. Ma na sobie purpurowy sweter i białe dzinsy. Wygląda odjazdowo. Wdowa po dygnitarzu beszta ją zza automatu do papierosów, a kiedy oślica przyzywa ją dzwonkiem, zostawia moją kelnerkę w pół słowa i odchodzi, żeby obsłużyć tłum nagle nagromadzonych gości.

Dziewczyna o nieskazitelnej szyi spogląda z niepokojem na zegarek. Odbiera wibracyjny sygnał telefonu i odwraca się w moją stronę, okrywając dłonią słuchawkę, żeby nikt nie słyszał. Twarz dziewczyny rozjaśnia się, a ja czuję ukłucie zazdrości. Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robię, sięgam do stojącego obok dziewczyny automatu po papierosy jakiejś innej marki. Nieładnie tak podsłuchiwać, ale kto mi co powie, jeżeli usłyszę coś niechcący? – Tak, tak. Powiadom Nao, dobrze? – Naoki chłopak czy Naoko dziewczyna? – Trochę się spóźnię, więc zacznij beze mnie. – Ale co ma zacząć? – Niesamowity deszcz, co? – Dziewczyna porusza palcami wolnej ręki, jakby grała na pianinie. – Tak, pamiętam, jak się tam dostać. – Gdzie? – Pokój 162.

Wiem, że zostały nam tylko dwa tygodnie. – Do czego? Teraz dziewczyna patrzy na mnie i obserwuje, jak ja patrzę na nią. Przypominam sobie, że miałem wybrać papierosy, i zabieram się do przeglądania tego, co można kupić. Na reklamie kobieta w typie prawniczki pali salema. – Jeszcze raz daj się ponieść wyobraźni. Do zobaczenia za dwadzieścia minut. Pa. – Chowa telefon do kieszeni i odchrząkuje. – Słyszałeś wszystko, czy może mam ci powtórzyć to, co ci umknęło? Ze zgrozą uprzytamniam sobie, że ona mówi do mnie. Płonę ze wstydu, aż czuć swąd.

Podnoszę na nią wzrok, nadal kucając, żeby wydostać swoje salemy z dozownika.

Dziewczyna jest nie tyle wściekła, co nieustępliwa jak świder. Szukam słów, które zneutralizowałyby jej pogardę, a zarazem ocaliły moją godność, i wpadam na – Yyyy. – Dziewczyna wpatruje się we mnie bezlitośnie. – Yyyy – powtarza. Z trudem przełykam ślinę i sięgam palcami do liścia kauczukowca. – Ciekaw byłem – brnę dalej – czy te rośliny są, yyy, sztuczne. Są. Chyba. – Jej wzrok

działa jak promień śmierci. – Jedne są prawdziwe. Inne sztuczne, a jeszcze inne gówniane. – Wraca wdowa po dygnitarzu, żeby dopowiedzieć niedokończone zdanie. Ja odpelzam do swojej kawy. Miałbym ochotę rzucić się pod jaką ciężarowe, ale chce mi się też zapalić salema, muszę się uspokoić, zanim pójde zapytać adwokatkę mojego ojca o nazwisko i adres jej klienta. Wraca Lao Tse, defilując z wypiętym tyłkiem. – Pojeść, popierdzieć, pożyc, ale nie marzyć. Powiedz no, kapitanie, czy nie został ci tam może jaki pet? – Jedną zapalką zapalam dwie fajki. Dziewczyna o nieskazitelnej szyi wreszcie ulotniła się z Jupiter Cafe. Jak gazela przeskakuje kałuże na Omekaido. Powinieneś zachować się przyzwoicie. A tak jedno kłamstwo i po wiarygodności. Daruj ją sobie. To nie twoja sfera. Studiuję muzykę na uniwersytecie tokijskim, razem ze swoim chłopakiem, Naokim, który jest na dyrygenturze. A ja jestem bezrobotny i tylko po ogólniaku, bo nauczyciele przepuścili mnie z litości ze względu na moje pochodzenie. Ona pochodzi z dobrej rodziny, a w sypialni ma prawdziwe obrazy i encyklopedie na CD. Jej ojciec, który jest reżyserem filmowym, pozwala, żeby sypiała z Naokim, bo on ma pieniądze, talent i nieskazitelne zęby. Ja nie pochodzę z żadnej rodziny, śpiam w Kita Sendzu razem ze swoją gitarą w kapsule wielkości kufra, a moje zęby co prawda się nie chwieją, ale proste nie są. – Co za śliczne, młode stworzenie – wzdycha Lao Tse. – Żebym ja miał twoje lata, kapitanie...

Aż się zdziwiłem, że nie dałem dyla prosto na dworzec Szindzuku, choć o mały włos dałbym się zabić ambulansowi pędzącemu ulicą Kita. Mizerne światełka na Jakuszimie taki właśnie tam przynoszą skutek – życie albo śmierć. Gdy wczoraj wysiadłem z autobusu, poczułem, że tokijskie powietrze zalatuje

wywróconymi kieszeniami. Dzisiaj nie. Chyba za to mnie czuć podszewkami. Wchodzę po stopniach PanOpticonu. Gmach podpira stemplem niebo. Przez ostatnie siedemnaście lat wyobrażałem sobie tę chwilę tak często, że aż trudno mi wierzyć, że ona naprawdę nastąpiła – Ale nastąpiła, jest. Obrotowe drzwi suną po kole. Prąd schłodzonego powietrza podnosi mi włosy na rękę – gdy w zimie robi się chłodno, przestawia się je na gorące. Marmurowa podłoga jaśniej bielą kości. Palmy rosnące w donicach z brązu. Po wypolerowanej podłodze kuśtyka jednonogi mężczyzna o lasce. Guma piszczy, metal dzwoni. Wynurzają się kwiaty–puzony tak wielkie, że w ich paszczy mogłoby zmieścić się dziecko. Mój lewy but do baseballu jakoś idiotycznie skrzypi. W identycznych skórzanych fotelach czeka rzędem dziewięciu petentów. Są w moim wieku i wcale niewykluczone, że to klony. Klony trutni. – Co za idiotyczne skrzypienie – wpada im do głowy jedna i ta sama myśl.

Dochodzę do wind i szukam wzrokiem tabliczki do Osugi i Bosugi, Biura Prawnego. Myślę już o łupie. W porze kolacji może będę już dzwonił do drzwi domu ojca. – Dokąd to się wybierasz, chłopcze?

Odwracam się.

Napotykam groźne spojrzenie strażnika siedzącego przy recepcyjnym biurku recepcji. Tak przewraca gałami tylko osiemnastoletni klon trutnia. – Nie nauczyli cię czytać? – Stuka palcami w tabliczkę. – *PO WEJŚCIU NALEŻY ZGŁOSIĆ SIĘ DO RECEPCJI*. Wycofuję się i kłaniam przeprasząco. Zakłada ręce. – Więc?

– Mam sprawę do Osugi i Bosugi. Prawników.

Na czapce strażnika wyszyty napis *PANOPTICON OCHRONA*.

– To ślicznie z twojej strony. A dokładnie z kim jesteś umówiony?

– Umówiony?

– Umówiony. Tak jak słychać.

Osiemnastoletni klon trutnia wietrzy niuchem okazję do poniżenia.

– Miałem, yyy, nadzieję, że przyjmie mnie pani Akiko Kato.

– A czy pani Kato wie, że ma ją spotkać ten zaszczyt?

– Nie do końca, bo...

– A więc nie jesteś umówiony.

– Proszę posłuchać...

– Nie, to ty słuchaj. To nie jest byle supermarket. To gmach prywatny, gdzie stale prowadzi się delikatne sprawy. Tu nie można tak sobie wpadać. Do tych wind mają prawo wchodzić tylko pracownicy mieszczących się tutaj firm, ci, którzy są umówieni bądź mają jakiś uzasadniony powód. Zrozumiano?

Uszy osiemnastoletniego klona trutnia dostrajają się, wychwytyjąc mój prowincjonalny akcent.

– Mógłbym wobec tego umówić się przez pana?

Nie tędy droga. Strażnik wrzuca wyższy bieg i dolewa oliwy do ognia, że aż pryska. – Nie słyzałeś, co powiedziałem? Jestem strażnikiem ochrony. Postawili mnie tu po to, żebym uważał na obiboków, handlarzy i innych takich mętów. I nie wpuszczał ich.

Awaria sterowania. – Nie chciałem pana urazić, a tylko...

Spóźniony sygnał awarii. – Słuchaj no, chłopcze. – Strażnik zdejmuje okulary i przeciera szkła. – Sądząc po akcencie, jesteś nietutejszy, dlatego ci powiem, jak się pracuje w Tokio, i masz zmykać, zanim naprawdę się wnerwię. Jesteś umówiony z panią Spotkanie. Określonego dnia przychodzisz tu pięć minut przed

czasem.

Zgłaszasz się do mnie i podajesz swoje nazwisko. Potwierdzam termin twojego spotkania w recepcji Osugi i Bosugi i wtedy, i to tylko wtedy, pozwalam ci wejść do jednej z tych wind. Zrozumiano?

Biorę głęboki oddech.

Strażnik z trzaskiem rozpościera swoją gazetę.

Po deszczu pot i brud ponownie ogarniają Tokio. Kałuże wyparowują we wzmagającym się upale. Uliczny muzyk tak niemiłosiernie fałszuje, że przechodnie mają moralne prawo zabrać mu jego drobniaki i rozwalić mu tę jego gitarę na łbie.

Zmierzam z powrotem w stronę podwodnej bazy Szindzuku. W nieprzytomnym upale bezładnie snują się tłumy ludzi. Dzwonek do drzwi mojego ojca ginie w siatce nieznanym odsyłaczy mojego przewodnika po tokijskich ulicach. Grudka woskowiny w uchu, której nie mogę wydłubać i która doprowadza mnie do szału.

Nienawidzę tego miasta. Mijam salę kendo – przez okienną kratę przebijają się świdrujące kość wrzaski towarzyszące ciosom bambusowego miecza. Na chodniku – para butów, zupełnie jakby ich właściciel nagle wyparował i ulotnił się.

Wzbiera we mnie uczucie jakiegoś zawodu i nużącego poczucia winy. Jakbym zerwał jakąś niewidzialną umowę. Z kim? Autobusy i ciężarówki zatykają miejskie arterie, piesi przeciskają się przez szczeliny. Kiedy byłem na etapie dinozaurów, wyczytałem taką teorię, że ich masowe wyginięcie nastąpiło wskutek tego, że na amen utknęły w górach własnego łajna. I ta teoria nie wydaje się taka śmieszna, gdy chcemy przedostać się z jednego końca Tokio na drugi. Nienawidzę murów tego miasta wytapetowanych ogłoszeniami, jego kapsuł, tuneli, wody z pompy, obszarów podmorskich, powietrza, jego *ZAKAZÓW WJAZDU* czających się za

każdym rogiem i tabliczek *TYLKO DLACZŁONKÓW* na każdych drzwiach.

Słowo daję. Chciałbym zamienić się w głowicę jądrową i zmieść to potworniejące kupą łajna miasto z powierzchni ziemi.

Dwa UTRACONA WŁASNOŚĆ

Nie tak łatwo odciąć bogu piorunów głowę zardzewiałą piłką, kiedy ma się jedenaście lat. Piłka co rusz zacina się, a ja odblokowuję ją i o mały włos nie ześlizguję się na bark boga. Jak spadnę z tej wysokości na plecy, to przetrączę sobie kręgosłup. Spoza świątyni dobiega gwizd kosa śpiewającego w purpurach zmierzchu. Oplatam nogami muskularny tors bóstwa, tak samo jak wtedy, gdy wuj Asphalt bierze mnie na barana. Szarpię brzeszczotem po gardle bóstwa. Jeszcze raz, jeszcze i jeszcze. Drewno twarde jak kamień, ale nacięcie pogłębia się, przechodzi w szparę, tworzy głęboką bruzdę. Pot szczypie w oczy. Im szybciej, tym lepiej.

Trzeba to zrobić, ale dać się złapać nie ma sensu. Za coś takiego na pewno wsadzą cię do więzienia. Brzeszczot się ześlizguje i tnę się w palec. Ocieram oczy koszulką i czekam. Nadchodzi pulsujący ból. Brzeg skóry różowieje, czerwienieje i krew tryska. Zlizuję ją i czuję smak monety dziesięciojenowej. Rzetelna zapłata. I to w chwili, gdy własnoręcznie odpłacam bogu piorunów za to, co zrobił Andżu. Dalej piłuję. Nie widzę teraz jego twarzy, ale oba nasze ciała dygocą, kiedy przecinam mu tchawicę.

* * *

Sobota, 2 września trwa już od godziny. Tydzień od moich chatów w Jupiter Cafe. Opada ruch na głównej arterii przechodzącej przez Kita Sendzu. W szczelinie pomiędzy stojącymi naprzeciw budynkami mieszkalnymi pojawia się tokijski księżyc. Cynkowobiały, industrialny, sunący jak na płozach. W mojej

kapsule duszno jak w boksterskiej rękawicy. Wentylator miesza upał. Nie zamierzam kontaktować się z nią. Nie ma mowy. Myśli sobie, że niby kim jest? Po drugiej stronie ulicy znajduje się punkt wywoływania filmów z dwoma zegarami firmy Fuji – ten z lewej pokazuje aktualny czas, a ten z prawej podaje godzinę, o której zdjęcia mają być gotowe, czterdzieści pięć minut do przodu. W blasku sodowej lampy moja kusa firanka mieni się kolorem łąna. Stropy wyginają się, kable brzęczą. Może to przez ten budynek ta moja bezsenność. Syndrom chorych domów, jak to nazywa wuj Bank. Pode mną właściciel Mknącej Gwiazdy zwija interes, czekając, aż noc minie. W ubiegłym tygodniu poznałem rozkład jazdy: dziesięć minut przed północą Buntaro wciąga tablicę reklamową i wynosi odpadki; pięć minut przed północą rusza TV, a on myje kubek i talerz; jeszcze teraz ulicą może pędzić klient, by w ostatniej chwili zwrócić kasetę wideo; co do sekundy o północy Buntaro wysuwa szufladę i podlicza kasę. Jeszcze trzy minuty i żaluzja opada, Buntaro uruchamia swój skuter i odjeżdża. Karaluch trzepocze się, próbując oderwać się od lepu. Od tej nowej pracy tylko bolą mnie mięśnie. Powinienem chyba opróżnić miseczkę Kotki. Prawda jest taka, że to niezdrowe, wciąż ją trzymać. I jeszcze specjalne mleczko, i dwie puszki wartościowej karmy dla kotów. Czy da się ją zjeść, jak zmieszam to z zupą albo czym innym? Kotka od razu zdechła czy też rozłożyła się na poboczu i myślała? A może jaki przechodzień walnął ją w głowę łopata, żeby skrócić jej męki? Koty wydają się zbyt nieuchwytny, żeby tak się dać zabić na ulicy, a nieustannie w taki sposób giną.

Nieustannie. Przede wszystkim bez sensu upierałem się, że mogę ją uchronić. Moja babka nie znosi kotów. Wyspiarze z Jakuszimy trzymają psy łańcuchowe, one im stróżują. A koty

chodzą swoimi ścieżkami. W ogóle nie wiem, co to kuwety, kiedy koty mają z nich korzystać, a kiedy się je wyprowadza, jakie szczepionki im się daje. I wiadomo, co się musiało stać, gdy tylko przysnęła ze mną: znowu twoje przekleństwo, Mijake. Andżu łąziła po drzewach jak kot. Jak puma latem.

– Ale z ciebie ślamazara!

– Utknąłem! – odpowiadam, przebijając się krzykiem przez poranną mgiełkę i miękkie, luźno zwisające liście.

– Ze strachu!

– Wcale nie!

Andżu zawsze śmieje się jak wariatka, gdy wie, że ma rację. Podszycie leśne daleko w dole. Boję się, że załamiam się pode mną przegniłe gałęzie. Andżu nigdy, bo zawsze musi bać się o mnie. Pnie się skokami po drzewie. Miejsce na uchwyt dla palców na szorstkiej korze i oparcie dla stóp na gładkim pniu. W zeszłym tygodniu były nasze jedenaste urodziny, ale Andżu i tak szybciej niż jakikolwiek chłopak z naszej klasy wspina się po linie, a jak ma humor, to mnoży sobie ułamki, czyta teksty z drugiej klasy i potrafi opowiedzieć większość przygód Zaxa Omegi, i to słowo w słowo. Uiti twierdzi, że to wszystko dlatego, że kiedy rozwijaliśmy się w brzuchu mamy, Andżu przechwyciła większość komórek mózgowych. W końcu, z rozdartą koszulką, w tempie trójpalczastego leniwca i z zawrotami głowy wspinam się za moją siostrą. Po kilku minutach znajduję ją na czubku drzewa.

Pośród konarów wierzby, z rdzą otarć na skórce, śladami po mchu, zadrapaniami po cierniach, w drelichach i z włosami ściągniętymi w kucyk. Fale morza pędzone wiosennym wiatrem łamią się na pniach. – Witam na moim drzewie – mówi do mnie. – Nieźle – przyznaję, ale przecież jest o wiele lepiej niż „nieźle”. Tak

wysoko jeszcze się nie wdrapałem. Żeby się tu dostać, musieliśmy przecież pokonać krawędź urwiska, widok był więc niesamowity. Szarość ściany niezdobytej twierdzy gór, zieleń rzeki wijącej się w gardzieli wąwozu, most wiszący, gmatwanina dachów i linii wysokiego napięcia, port, składy drewna, szkolne boisko do nogi, żwirownia, pola herbaciane Wuja Pomarańczy, nasza tajna plaża, jej skaliste podłoże, fale załamujące się na mieliznach wokół kamiennego wieloryba, podłużna Tanegaszima, wyspa, skąd wysyła się satelity, chmury układające się w żebrowanie cymbałków, powłoka, w której niebo zaślubia morze.

Po kompletnej porażce w roli głównego drzewołaza mianuję się naczelnym kartografem. – Kagoszima leży tam... – boję się wskazać, więc tylko robię nieokreślony ruch głową. Andżu zezuje w głąb wyspy. – Chyba widzę, jak Uiti wietrzy futony. – Naszej babki co prawda nie widzę, ale dobrze wiem, że Andżu chce, żebym zapytał: „gdzie?”, toteż nie pytam. W głębi wyspy wznoszą się góry.

Szczyt Mijanury sięga nieba. Górskie plemiona zamieszkują mroki deszczu – obcinają zbłąkanym turystom głowy, a z czaszek robią miseczki do picia. I jest tam rozlewisko, gdzie żyje najprawdziwsza płetwiasta, łuskowata kappa – chwyta pływaków, przez otwory w tyłkach wpycha im łapę i wyrywa serca, które następnie pożera. Mieszkańcy Jakuszimy w ogóle nie chodzą w góry, chyba że są przewodnikami turystów. W kieszeni natrafiam na grudkę i przypominam sobie. – Chcesz bombę szampanową?

– Jasne.

Andżu nagle piszczy jak małpa, zawisa na gałęzi i kołysze się przede mną, chichocząc na widok mojej przerażonej miny. Opodal trzepocze się wystraszone ptactwo. Andżu nogami chwyta się rosnącego wyżej konaru.

– Nie! – tylko to mogę z siebie wydobyć. Andżu obnaża przednie zęby i jak kurczak rozpościera ramiona. – Andżu nietoperz.

– Andżu! Nie!

Kołysze się w tę i z powrotem. – Chtę fyssać ci kref! – spinka wypada jej z włosów i koński ogon spływa w dół. – A niech to, to była ostatnia.

– Nie wiś tak! Przestań!

– Eidzi łajza, łajza!

Już widzę, jak spada, odbijając się od gałęzi. – Przestań!

– Tak do góry nogami jesteś jeszcze brzydszy. Widzę ci nawet glutę. Trzymaj tutkę spokojnie.

– Jak przestaniesz się kołysać!

– O nie, urodziłam się pierwsza i masz robić, co mówię. Trzymaj spokojnie paczkę. – Udaje jej się wydobyć cukierek, odwija go i obserwuje, jak papierek frunie w stronę morskich zieloności. Patrząc na mnie, wkłada cukierek do ust i ociągając się, z powrotem przekręca się nogami w dół. – Ale z ciebie naprawdę jest ciapa!

– Jakbyś spadła, Uiti by mnie zabiła.

– Ciapa.

Tętno powoli wraca mi do normy.

– A co się dzieje, kiedy się umiera? – pyta Andżu. Nie obchodzi mnie to, dopóki Andżu nie zwisa do góry nogami. – A skąd mam wiedzieć?

– Każdy mówi co innego. Uiti mówi, że idzie się do krainy niewinności i spaceruje się po ogrodach. Nuuuda. Pan Endo w szkole mówi, że zamieniamy się w glebę. A ojciec Kakimoto, że to zależy od tego, jakim się było w tym życiu – ja zmieniłabym się w anioła albo jednoroźca, ale ty byś wrócił jako robal albo muchomor.

– No to niby jak według ciebie?
– Po śmierci spalą cię, prawda?
– Prawda.
– No więc zmienisz się w dym, tak?
– Chyba tak.
– No i właśnie tam się idzie. – Andżu puszcza gałąź i obiema rękami celuje w słońce. – Do góry i wio. Chcę latać.

Myszolów unosi się na prądzie ciepłego powietrza.

– Samolotem?

– A kto chciałby latać jakimś śmierdzącym samolotem?

Ssę swoją bombę szampanową. – A skąd wiesz, że samoloty śmierdzą?

Andżu chrupie swojego cukierka – Muszą śmierdzieć. Ci wszyscy ludzie oddychają tym samym powietrzem. Jak w szatni dla chłopców w porze deszczowej, ale sto razy bardziej. Nie, chodzi mi o prawdziwe latanie.

– Jak z odrzutowym plecakiem?

– Nie ma niczego takiego.

– Zax Omega ma odrzutowy plecak.

Andżu wzdycha, popisując się dopiero co opanowaną metodą wydobywania z siebie westchnień. – Niczego takiego jak Zax Omega nie ma.

– Zax Omega dokonał otwarcia nowego gmachu w porcie!

– I niby przyleciał przy pomocy odrzutowego plecaka?

– Nie – przyznaję. – Przyjechał taksówką. Ale ty tak jesteś za ciężka, żeby latać.

– Podniebny Zamek Laputów lata, a jest z kamienia.

– Jak ja nie mogę mieć Zaxa Omegi, to ty nie możesz mieć Podniebnego Zamku Laputów.

- Zresztą kondory też są cięższe ode mnie, a latają.
- Kondory mają skrzydła, a u ciebie ich jakoś nie widzę.
- Za to duchy latają bez skrzydeł.
- Duchy nie żyją.

Andzu wyjmuję z zębów odłamek cukierka. Wpada w jeden z tych swoich nastrojów, gdy nie mam pojęcia o czym myśli. Moja bliźniacza siostra skrywa się w cieniach rzucanych przez liście. Miejscami jaśniej odbitym światłem zbyt jaskrawo, miejscami ginie w cieniu, tak że aż jej nie ma.

* * *

Zwalenie konia zazwyczaj pozwala mi zasnąć. A może jestem nienormalny? Nigdy nie słyszałem o dziewiętnastolatku cierpiącym na bezsenność. Nie jestem ani zbrodniarzem wojennym, ani poetą, ani naukowcem. Nie usycham też z miłości. Za to z pożądania, owszem. I oto kursując w oczekiwaniu na seksualny szczyt, siedzę samotnie jak trędowaty w mieście zamieszkanym przez pięć milionów kobiet, choć nagie babska same powinny przychodzić pod mój adres w wyściełanych kopertach. Sprawdźmy. Kto dzisiaj powozi bryką rozkoszy? Zizzi Hikaru w obcisłym kombinezonie jak z reklamy zimnego piwa; wyzywająca matka Juki Czijo; kelnerka z Jupiter Cafe; kobieta-owad z Zaxa Omegi i czerwonej zarazy na Księżycu. Chyba stara dobra Zizzi. Rozglądam się za jakimiś ciuchami.

Rozglądam się za zapalkami, żeby zapalić postosunkowego mild sevena, ale koniec końców muszę skorzystać z usług piecyka gazowego. Jeden zatykający mach i jestem przytomniejszy niż kiedykolwiek. Zizzi była dzisiaj kiepskawa.

Kompletny brak synchronizacji. Może jest dla mnie za młoda?

Fujifilm pokazuje 01:49. Co teraz? Ogarnąć się? Pograć na gitarze? Odpisać na jeden z dwóch epokowych listów, jakie otrzymałem w tym tygodniu? Na który? Weźmy się za to, co łatwiejsze: odpowiedź Akiko Kato na list, który napisałem po tym, jak nie wyszło mi spotkanie z nią. Pojedyncza kartka papieru nadal tkwi w plastikowej torbie w zamrażarce, razem z Tamtym Drugim. List położyłem na półkę, obok Andżu, ale on jakby nieustannie naigrawał się ze mnie. Przyszedł... kiedy to było?

We wtorek. Buntaro wręczając mi kopertę, przeczytał adres. – Osugi i Bosugi, Biuro Prawne. Uganiamy się za adwokatkami? Uważaj, chłopcze, bo może się skończyć na nakazie sądowym wymierzonym w bolesne miejsce. Opowiedzieć ci dowcip prawniczy? Czym się różni zębacz od prawnika? Zgadnij no. Niczym.

Jeden jest łuskowatym stworzeniem, żyjącym na dnie i wysysającym szumowiny, a drugi rybą z rodziny zębaczy – Mówię mu, że już to słyszałem, i po schodach zastawionych kasetami wideo pędem wbiegam do mojej kapsuły. Powtarzam sobie, że spodziewam się negatywnej odpowiedzi, ale tego, że „nie” ze strony Akiko Kato spowoduje taką klapę, to się nie spodziewałem. Ten list umiem już na pamięć. O, jeden z jego najlepszych przebojów: „Ujawnienie osobistych danych klienta jest równoznaczne z ujawnieniem tajemnicy zawodowej, do czego nie może dopuścić żaden szanujący się adwokat”. Niezły finał. „Czuję się ponadto zobowiązana do odrzucenia pańskiej prośby, ponieważ mój klient stwierdził, że kategorycznie nie życzy sobie, by mu ją przekazywać”. Żadnego miejsca na wątpliwości. Ani na odpowiedź. „Podsumowując, w wypadku wszczęcia kroków prawnych zmierzających do przymusowego wydania danych dotyczących dziedziczenia po ojcu, wspomaganie pańskich zabiegów na tym

początkowym etapie oznaczałoby oczywisty konflikt interesów. Nalegam, by zaniechał pan dalszych kroków w tej sprawie i uznał niniejszy list za ostatecznie wyjaśnienie naszego stanowiska”.

Świetnie. Plan A pada na samym wstępie.

Pan Aojama, kierownik podstacji w Ueno ma łebek łysy jak nit i wąsik wypisz wymaluj jak Hitler. Jest wtorek, mój pierwszy dzień pracy w biurze rzeczy znalezionych. – Jestem o wiele bardziej zajęty, niż możesz to sobie wyobrazić – mówi, nie odrywając oczu od papierów – ale chodzi mi o to, by nowo zgłoszone rzeczy odnotowywano opierając się na systemie danych indywidualnych. – Mijają kilometry milczenia, zanim wypowie kolejne zdanie. – Kto ja jestem, wiesz. – Skrobie swoim piórem. – A ty jesteś – sprawdza na kartce – Eidzi Mijake. – Spogląda, oczekując potwierdzenia. Kiwam głową potakująco. – Mijake. – Wymawia moje nazwisko tak, jakby to był jakiś dodatek spożywczy. – Poprzednio zatrudniony na plantacji cytrusów – tasuje kartki, aż wreszcie rozpoznaję swoje pismo – na jakiejś tam wyspie na południe od Kiusiu. Prawie sielanka. – Nad głową pana Aojamy wiszą portrety jego znakomitych poprzedników. Już widzę, jak każdego ranka sprzeczą się między sobą o to, który z nich ma ożyć, żeby przeprowadzić biuro przez kolejny nieznośny dzień. W pomieszczeniu unosi się zapach spłowiałych od słońca dokumentów. Bzyczy komputer. Monitor wyświetla nazwy klubów golfowych. – Kto cię przysłał? Ta cała Sasaki? – Potwierdzam kiwnięciem głowy. Pukanie do drzwi i pojawia się sekretarka z herbatą na tacy. – Pani Marui, właśnie wpisuję dane osoby zainteresowanej treningiem! – przeraźliwie syczy Aojama. – Czyżby moja herbata z dziesiątej trzydzieści pięć została przesunięta na dziesiątą czterdzieści pięć? – Zgnębiona pani Marui

dyga przeprasza i wycofuje się. – Podejź no do okna, Mijake, wyrzyj i powiedz mi, co widzisz.

Robię, co mówi. – Człowieka myjącego okna, proszę pana.

Facet jest kompletnie niewrażliwy na ironię. – Pod nim, niżej.

Wjeżdżające i wyjeżdżające pociągi w cieniu hotelu Terminus. Poranni pasażerowie. Bagażowi z wózkami. Ludzie – błakający się, spóźnieni, oczekujący, oczekiwani – maszyny czyszczące perony.

– Dworzec Ueno, proszę pana.

– Powiedz no, Mijake, czym jest dworzec Ueno?

To pytanie zbija mnie z tropu.

– Dworzec Ueno – odpowiada Aojama, zaczynając swoją uroczystą mowę – jest nadzwyczajną maszyną. Jednym z najznakomiciej nastawionych chronometrów w kraju. Na świecie. A to ognioodporne, zabezpieczone przed złodziejami biuro jest jednym z jego ośrodków nerwowych. Z tego miejsca przy konsoli mogą dostać się prawie wszędzie. Dworzec Ueno, Mijake, to nasze życie. Ty służysz jemu, on służy tobie. Umożliwia ruch zsynchronizowany z rozkładem jazdy. Masz zaszczyt być malutką zębatką w tej maszynie. Nawet ja zaczynałem od takiego skromnego stanowiska jak twoje: ale dzięki punktualności, ciężkiej pracy, uczciwości... – dzwoni telefon i moje istnienie zostaje zawieszona. Twarz Aojamy z miejsca jaśnieje świeżym zapachem. Jego głos promienieje. – Słucham! Jakże mi miło... tak...

owszem... owszem... jak najbardziej. Wspaniała propozycja. Pozwalam sobie tylko dodać... tak jest. Bezwzględnie... na członkostwo dla maklerów? Nieocenione...

wspaniałe... a czy mogę zaproponować... jak najbardziej, proszę pana. Przełożone na piątek? Z całą... Wszyscy niecierpliwie oczekujemy wieści o postępach, proszę pana. Dziękuję... w

zupełności... A czy mogę... – Aojama odkłada słuchawkę i wbija w nią spojrzenie.

Po kilku sekundach zdobywam się na grzeczne kasznięcie.

Aojama podnosi wzrok. – Na czym to ja stanąłem?

– Na malutkiej zębatce i uczciwości, proszę pana.

– Uczciwości. – Ale myślami jest już gdzie indziej. Przymyka oczy i palcami ściska nasadę nosa. – Jesteś na sześciomiesięcznym okresie próbnym. Są widoki, byś w marcu złożył egzaminy w Kolejach Japońskich. A więc podesłała cię ta cała Sasaki? Nie jest to mój idealny typ. Baba–chłop, jedna z nich. Zawsze w pracy, nawet po zamążpójściu. Jej mąż umarł – smutne, to oczywiste, ale ludzie cały czas umierają, a ona oczekuje, że męską robotą może coś sobie rekompensować. No cóż, Mijake. Uporaj się z akcentem. Słuchaj spikerów z radia NHK. Wyrzuć stare rupiecie, które zaprzatają ci głowę. Za moich czasów z ogólniaków wychodziły tygrysy, a teraz wypuszczają pawie. Jesteś wolny.

Kłaniam mu się przy drzwiach, ale on patrzy gdzieś w przestrzeń. Przed biurem pusto. Obok pozostawiona taca. Podnoszę wieczko czajnika i ku własnemu zdumieniu spluwam. To pewnie ten stres związany z pracą.

Biuro rzeczy znalezionych jest całkiem w porządku, jak na miejsce pracy.

Muszę nosić taki sobie kombinezon Kolei Japońskich, ale za to kończę równo o szóstej, a dworzec Ueno znajduje się zaledwie kilka przystanków linią Kita Sendzu od Umedzimy, obok Mknącej Gwiazdy. W trakcie sześciomiesięcznego okresu próbnego wypłatę mam dostawać co tydzień, co jak najbardziej mi odpowiada.

Mam szczęście. Pracę załatwił mi Buntaro. Gdy tydzień temu w piątek wróciłem z PanOpticonu, powiedział mi, że słyszał o jakiejś

pracy i czy by mnie to interesowało? Jeszcze jak, odpowiedziałem. Zanim się połapałem, miałem spotkanie z panią Sasaki. A pani Sasaki, choć stara surowa zrzęda – moja babka w tokijskim wydaniu – to gdzieś po półgodzinie rozmowy zaproponowała mi pracę.

Przedpołudnia spędzam na katalogowaniu – nanoszeniu napisów z dniem, godziną i numerem pociągu na rzeczy znalezione przez konduktorów i sprzątaczy na końcowych stacjach, i umieszczaniu ich na odpowiednich metalowych półkach.

Pani Sasaki szefuje biuru rzeczy znalezionych i w osobnym pomieszczeniu zajmuje się przedmiotami wartościowymi – portfelami, kartami kredytowymi, biżuterią – które wymagają zgłoszenia na Policji. Suga przyucza mnie do zajmowania się rzeczami o niskiej wartości, składowanymi w pomieszczeniu na zapleczu. – Nie za wiele tu dziennego światła, co? – mówi Suga. – Ale widać, jaki jest miesiąc, po tym, co tu trafia. Od listopada do lutego – narty i snowboardy. Marzec – dyplomy. W czerwcu same prezenty ślubne. W lipcu – sterty kostiumów kąpielowych. Byle deszczyk sprowadza setki parasoli. Może niezbyt twórcza praca, ale już lepsza od uganiania się po garażach czy dostarczania pizzy. – Popołudnia spędzam przy ladzie, oczekując na klientów bądź odbierając telefony. Najwięcej roboty jest oczywiście w godzinach szczytu, ale popołudnia to właściwie relaks. Stałymi klientami, którzy odwiedzają mnie najczęściej, są moje wspomnienia.

* * *

Liście są tak zielone, że aż niebieskie. Bawimy się z Andżu w patrzenie: wpatrujemy się w siebie i kto pierwszy się roześmieje i odwróci wzrok, ten przegrywa. Robię głupie miny, ale żadna na nią

nie działa. Jej oczy iskrzą się brązem jak u Kleopatry. Wygrywa – jak zawsze – przybliżając twarz do mojej twarzy i otwierając szeroko oczy. Andżu wspina się z powrotem na swoją gałąź i poprzez liście patrzy na słońce. Potem zakrywa lśniąca tarczę dłonią. Tkanka między jej kciukiem a palcem wskazującym jarzy się rubinową czerwienią. Andżu obserwuje morze. – Jest przypływ. – Odpływ.

– Przypływ. Twój kamienny wieloryb nurkuje.

Ja myślami jestem już przy fantastycznych wyczynach piłkarskich.

– Naprawdę zaczęłam wierzyć w to, co mi opowiadałeś o kamiennym wielorybie.

Przy wyczynach na motocyklu i skokach na główkę.

– Takie tam głupstwa opowiadałeś.

– He?

– No, że to czary.

– Jakie czary?

– Kamienny wieloryb, umyj sobie uszy!

– Nigdy nie mówiłem, że to czary.

– A tak. Powiedziałeś, że to prawdziwy wieloryb, którego bóg piorunów zamienił w kamień, i że jakbyśmy byli starsi, to popłynęlibyśmy do niego, i że jak już byśmy na niego weszli, to czary przestałyby działać, i że byłoby fajnie, jakby nas zabrał, gdzie tylko byśmy chcieli, nawet do mamy i taty. Tak bardzo zaczęłam sobie to już wyobrażać, że czasami nawet to widziałam, jak przez teleskop. Mama stroi się w swoje perły, a tata myje samochód.

– Ja wcale czegoś takiego nie mówiłem.

– A mówiłeś. I któregoś dnia tam popłynę.

– Nie ma mowy, żebyś w ogóle aż tam dopłynęła. Dziewczyny

nie umieją pływać tak jak chłopaki.

Andżu od niechcienia celuje nogą w moją głowę. – Pewnie, że dopłynę, z łatwością!

– Marzenia ściętej głowy. Za daleko.

– Twojej głowy. – Fale rozbijają się o skały szarego humbaka.

– A może to naprawdę jest skamieniały wieloryb – rzucam. – Przedpotopowy.

Andżu parska. – To tylko głupia skała. Nawet nie wygląda na wieloryba. A następnym razem, jak pójdziemy na tajną plażę, to ci pokażę i tam dopłynę, i będę się z ciebie śmiała.

Na horyzoncie sunie prom do Kagoszimy.

– Póki co, to jutro... – zaczynam.

– Tak, tak, jak na razie to jutro będziesz w Kagoszimie. Wstaniesz naprawdę wcześniej, żeby złapać prom o dziesiątej znaleźć się w gimnazjum w Kagoszimie.

Trzecie klasy, drugie, a potem twój mecz. A potem do restauracji w dziewięciopiętrowym hotelu, żeby sobie zjeść i posłuchać, jak pan Ikeda opowiada, dlaczego przegrałeś. A potem wrócisz w niedzielę rano. Tysiąc razy mi to już opowiadałeś, Eidzi.

– Nic nie poradzę, że jesteś zazdrosna.

– Zazdrosna? O jedenastu śmierdzieli kopiających nadmuchany worek na zabłoconym boisku?

– Przecież lubiłaś piłkę nożną.

– A ty sikałeś w nasz futon. No nie.

– Zazdrościsz, bo jadę do Kagoszimy, a ty nie.

Andżu traci zainteresowanie dalszą kłótnią.

Trzeszczenie drzewa. Nie spodziewałem się, że tak prędko przejdzie jej ochota na kłótnię. Wstaje, stopy rozstawione, łapie równowagę, rozpościera ręce. – Popatrz – mówi.

Ja na to: – Przestań.

I moja siostra skacze w próżnię.

Płuca dudnią krzykiem.

Tylko mignęła.

I ląduje ze śmiechem na dole, kołysząc się na niższej gałęzi.
Znika wśród liści i jeszcze długo potem słyszę ten jej śmiech.

* * *

Fujifilm pokazuje, że druga już minęła. Noc samotną wyścieła tworzywo minut, które sączą się jedna po drugiej. Moją kapsułę wyścieła Tworzywo. Zjrzyj do słownika pod „tworzywo” i będziesz miał obraz mojej kapsuły zawieszanej nad Mknącą Gwiazdą. Kolonia tandety w imperium tworzywa. Stary telewizor, futon z ryżowych otrębów, stolik kempingowy, taca z przyborami kuchennymi od żony pana Buntaro, kubki zawierające efekty eksperymentów z grzybkami, warcząca lodówka o chromowych wykończeniach. Wentylator. Sberta „Screenów” wywalonych przez Buntara. Z Jakuszimy zabrałem tylko plecak z ciuchami, diskmana, kompakty z Lennonem i gitarę, którą już w dzień przyjazdu Buntaro obrzucił podejrzliwym spojrzeniem. – Chyba nie zamierzasz tego nigdzie podłączać, co? – Nie – odpowiadam.

– Tylko akustyczna. Zagrasz mi na elektrycznej i cię nie ma – pada ostrzeżenie. – Tak masz w umowie.

Kontaktować się z nią nie zamierzam. Nie ma mowy. Będzie próbowała mi wyperswadować poszukiwanie ojca. Ciekawe, ile czasu trzeba, żeby taki Karaluch zdechł. Pułapka z lepem to „motel dla karaluchów”, tak się nazywa, ma z boku nadruk z oknami, drzwiami i kwiatkami. Zdradziecki karaluch macha swoimi sześcioma kończynami – Wchodźcie, wchodźcie! Pułapka jest

wyposażona w saszetkę z wabikiem o zapachu cebuli, choć w każdym dobrym tokijskim supermarkecie dostępne są także zapachy curry, suszonej wołowiny i sałatki z krewetek. Kiedy się wprowadziłem, zostałem powitany przez Karalucha. Nawet nie próbował udawać, że się boi. Karaluch szczyrzył zęby w uśmiechu. No i kto będzie się śmiał ostatni? Ja! Nie. On. Nie mogę zasnąć. Na Jakuszimie noc oznacza po prostu spanie. I nie ma o czym mówić. Noc w Tokio nie oznacza spania. Cioty uganiają się po pasażach handlowych. Dziewczyny tłumią ziewanie i zerkają na rolexy swoich opiekunów. Gangsterzy jakuzy toczą walki na wyludnionych parcelach. Uczniowie ogólniaków, młodszy ode mnie, włączają się po hotelowych sekslibacjach. W mieszkaniu nade mną ofiara bezsenności spuszcza wodę w toalecie. Z tyłu dociera odgłos charczącej rury.

Miniona środa, mój drugi dzień na dworcu Ueno w roli trutnia. Podczas przerwy na lunch robię solidną kukułę i wypalam w kabinie salema. Słyszę otwierające się drzwi, zgrzyt zamka i dźwięk uryny rozbijającej się o porcelanowy pisuar. Potem głos – to Suga, mól komputerowy, po którym pod koniec tygodnia przejmuję robotę na godziny, bo on wraca na uczelnię. Myśli oczywiście, że jest tu sam. – Przepraszam, czy to Suga? Czy to twoje dzieło? – To nie jest jego prawdziwy głos – brzmi jak z kreskówki, żeby tak mówić, pewnie zdziera sobie struny głosowe. – Nie chcę pamiętać, nie chcę pamiętać, nie chcę pamiętać. Nie zmuszaj mnie. Nie możesz mnie zmusić. Nie zmusisz mnie. Zapomnij! Zapomnij!

Zapomnij! – Jego głos powraca do łagodnego, nosowego brzmienia. – To nie była moja wina. Każdemu mogło się zdarzyć. Każdemu. Nie słuchaj ich.

Jestem w kropce. Jeżeli teraz wyjdę, to obaj będziemy

zażenowani jak cholera.

Czuję się tak, jakbym usłyszał jakąś tajemnicę wygadaną przez sen. Ale jeżeli tutaj zostanę, to kto wie, co jeszcze mi wyjawi? Ze posiekał zwłoki w swojej łazience i po kawałku wyrzucał je ze śmieciami? Gdy zauważy, że wszystko słyszę, będzie to wyglądało tak, jakbym podsłuchiwał. Kaszlę, spuszczam wodę i celowo przedłużam zakładanie spodni. Kiedy wyłaniam się ze swojej kabiny, Sugi już nie ma. Myję ręce i okrężną drogą, obok stojaków w magazynie, wracam do biura.

Pani Sasaki obsługuje klienta. Suga na zapleczu je drugie śniadanie, a ja częstuję go salemem. Odmawia, nie pali. Zapomniałem, mówił mi wczoraj. Podchodzę do lustra i udaję, że coś mi wpadło do oka. Jak będę za uprzejmy, to jeszcze się pokapuje, że to ja słyszałem, jak kasuje sobie pamięć.

Po jakimś czasie, z powrotem na stanowisku przyjęć, Suga sadowi się na swoim stołku i czyta czasopismo zatytułowane „MasterHacker”. Suga jest przedziwnie zbudowany – w pasie wyraźnie otyły, ale za to kompletnie pozbawiony siedzenia.

Długie, dyndające ręce, jak u E.T. Cierpi na egzemę. Twarz udało się doprowadzić do znośnego stanu, ale na grzbietach rąk skóra łuszczy się i nawet w tym upale Suga ukrywa przedramiona i nosi koszule z długimi rękawami. Na zapleczu biura czeka na mnie wózek z rzeczami pozostawionymi w popołudniowych pociągach.

Suga wysiła się na sztuczny uśmiech. – Mówisz, że masz już za sobą starcie z asystentem naczelnika stacji, Aojamą? – Przytakuje kiwnięciem głowy. Suga odkłada swoje czasopismo. – Tylko nie daj mu się zastraszyć. Nie jest jeszcze tak wysoko, jak mu się wydaje. MSZ, facet przepadnie. Zapowiada się wielkie trzęsienie, pani Sasaki mówiła w zeszłym tygodniu. Nie, żeby mnie ruszało. W

przyszłym tygodniu zaliczam staż wewnętrzny w IBM. Po tygodniu z powrotem na uniwersytet. Dają mi pokój dla stypendystów prowadzących badania. Możesz mnie odwiedzić, jak nie będę miał nadzoru. Cesarski Uniwersytet, dziewiąte piętro.

Obok Oczanomizu. Narysuję ci mapę. Podejdiesz do biurka, żeby po mnie zadzwonić. Magisterkę mam z systemów komputerowych, ale tak między nami i rzeczami znalezionymi, cały ten akademicki budżet to tylko przykrywka na to... – wymachuje „MasterHackerem”. – Jestem jednym z pięciu najlepszych hakerów działających obecnie w Japonii. Znamy się. Wymieniamy informacje ze swapów.

Włamujemy się do systemów i pozostawiamy swoje wizytówki. Jak graficyści.

Nie ma takiego miejsca w Japonii, no nie, do którego nie mógłbym się whaczyć.

Pentagon ma swój tajny website – wiesz, co to Pentagon, nie, centrum nerwowe amerykańskiego systemu obrony – nazywany Świętym Graalem. Tę stronę ochraniają ich najlepsze komputerowe mózgi. Jak się whaczasz do Świętego Graala, to znaczy, że jesteś lepszy od nich, i wtedy przychodzą faceci w czerni, żeby ci zaproponować robotę. I do tego właśnie zmierzam. Uniwersytet Cesarski jeszcze długo będzie miał najszybsze modemy na świecie. Jak już dorwę się do tych zabawek, to jestem w domu. A wtedy wuuu i już mnie nie ma w tej zasranej dziurze powszechnie zwanej „Tokio”. Co za radocha. A wy, frajerzy, ani się obejrzycie, jak mnie tu nie będzie.

Ja pracuję, a Suga sobie czyta „MasterHackera”. Unosi brwi, ilekroć dochodzi do końca kolumny. Ciekawe, co dla Sugi nie byłoby zasraną dziurą. Co by go zadowoliło? Dziwne, ale gdy tylko sobie

przypomnę, że pozostanę tutaj tak długo, aż znajdę ojca, to zacznę miasto nawet lubić. Czuję się tak, jakbym spędzał wakacje na jakiejś innej planecie i podawał się za takiego pozaziemskiego tubylca.

Może bym nawet przedłużył swój pobyt. Podoba mi się, że mogę mignąć kontrolerowi przy barierce swoim młodzieżowym biletem. Podoba mi się, że nikt nie wtyka nosa w moje sprawy. Podoba mi się, że co tydzień zmieniają się ogłoszenia – bo na Jakuszimie raz na dziesięć lat. Podoba mi się codzienna jazda pociągiem z Kita Sendzu do Ueno: pochyłość, po której zjeżdża, zagłębiając się pod ziemię i przemieniając się w okręt podwodny. Lubię, jak te okręty podwodne mijają się z różnymi prędkościami, a ty padasz ofiarą złudzenia i wydaje ci się, że się cofasz. Podobają mi się przelotne spojrzenia stałych pasażerów siedzących okno w okno w mijających się pociągach – jak dwie opowieści zapamiętywane w jednym czasie. Poranny pociąg z Kita Sendzu do Ueno zatłoczony jest tak, że przechodzi to ludzkie pojęcie. Kołysze nas, wszystkie upchane trutnie, i przechyla w sennym unisono, gdy pociąg zmienia prędkość. Normalnie tylko zakochani i bliźniaki przyciskają się tak do siebie. Podoba mi się, że w tych okrętach podwodnych niczego nie trzeba rozstrzygać. Jak ja lubię to przytłumione bulgotanie. Tokio to jedna wielka zwarta machina składająca się z pomniejszych części. Trutnie wiedzą tylko, do czego służy ich własna cząsteczka. A ciekaw jestem, do czego całe Tokio.

Ciekawe, co robi. Znam już nazwy stacji stąd do Ueno. Wiem, jak się ustawić, żeby wysiąść najbliżej wyjścia. Nie jedź w pierwszym przedziale, mówi Wuj Asphalt, bo w razie zderzenia znajdzie się w strefie zgniototy, a jak pociąg wjeżdża na peron, zachowaj najwyższą ostrożność, bo wysuwa się ręka i lecis z

peronu. Podoba mi się, że w powietrzu wiszą opary potu, perfum, podeptanego jedzenia, brudu, kosmetyków. Podoba mi się to że można zagłębiać się w zamysłone twarze i omal wertować pamięć ich właścicieli. Okręty podwodne unoszą na swoich pokładach trutnie, czaszki unoszą wspomnienia i to, co dla jednego jest zasraną dziurą, dla drugiego okazuje się rajem.

* * *

– Eidzi! – to oczywiście Andżu. Księżyc blady, jakby go porwało UFO, powietrze odurza zapachem kadzidła przeciw moskitom, które moja babka stosuje do okadzania pokojów. Andżu szepcze, jakby nie chciała sama się obudzić. – Eidzi! – sadowi się na wysokim parapecie, oplótszy ramionami kolana. Cienie bambusa kołyszą się i pierzchają po macie ze słomy ryżowej i wyblakłej fusumie. – Eidzi!

Śpisz?

– Tak.

– Obserwowałam cię. Jesteś taki jak ja, tylko chłopak. Ale chrapiasz.

Chce mnie rozzłościć, żebym się dobudził. – Wcale nie.

– Chrapiesz jak zarzynany wieprzek. Zgadnij, gdzie byłam.

Daj mi spać. – W kiblu.

– Na dachu! Można się wspiąć po balkonowym słupku. Znalazłam sposób. Jest ciepło na dworze. Gdy się wystarczająco długo patrzy na księżyc, to można zobaczyć, jak się porusza. Nie mogłam zasnąć. Obudziły mnie te wstrętne moskity.

– A mnie ta wstrętna siostra. Jutro mam mecz. Muszę się wyspać.

– To konieczna będzie północna przekąska na wzmocnienie.

Popatrz.

Obok taca. Omoczi, sos sojowy, pikle rzodkiewkowe ciasteczka orzechowe, herbata. Wietrzę kłopoty. – Jak Uiti się dowie, to...

Andżu wykrzywia twarz i przedrzeźniając Uiti, skrzeczy: – Kości masz może i po matce, ale wszystko, co w tej łepetynie, to już moja robota!

Jak zwykle wybucham śmiechem. – Sama zeszłaś do kuchni?

– Powiedziałam duchom, że jestem jednym z nich, a one mi uwierzyły. – Andżu skacze i bezgłośnie ląduje u moich stóp. Zdaję sobie sprawę z bezcelowości wszelkiego oporu, więc siadam i wbijam zęby w skrzypiącego pikla. Andżu wślizguje się pod mój futon i zanurza omoczi w sosie sojowym na talerzyku. – Znowu śniło mi się latanie. Tylko musiałam cały czas naprawdę mocno trzepotać, żeby utrzymać się nad ziemią. Wkoło widziałam mnóstwo ludzi i jeszcze wielki namiot cyrkowy w paski, w którym mieszkała mama. I miałam właśnie na niego spaść, kiedy obudził mnie moskit.

– Z tym spadaniem to uważaj. Andżu zastanawia się. – Jak to?

– Jak się śni, że się spada i uderza o ziemię, to wtedy w łóżku naprawdę się umiera.

Andżu znowu zastanawia się. – Kto tak mówi?

– Naukowcy tak mówią.

– Bzdury.

– Oni to udowodnili!

– Jakby komuś się śniło, że spadł, uderzył o ziemię i umarł, to ciekawe, skąd byłoby wiadomo, że w ogóle śniło mu się to spadanie?

Muszę to przemyśleć. Andżu cieszy się w duchu ze swego zwycięstwa.

Orkiestra zab rusza i zamiera, dźwięk miliona marimb. W

oddali zasypia morze.

Wsuwamy omoczi, jedno za drugim. Nagle Andżu odzywa się tonem, jakiego u niej nie pamiętam. – Już nigdy nie zobaczę jej twarzy, Eidzi.

– Czyjej twarzy?

– Mamy. A ty?

– Jest chora. Leży w specjalistycznym szpitalu.

Głos Andżu załamuje się. – A jak to nieprawda?

Ooo. – Jasne, że prawda! – Zupełnie jakbym połykał nóż. – Wygląda tak jak na zdjęciach.

– To stare zdjęcia. – Dlaczego teraz? Andżu wyciera oczy o koszulę nocną i odwraca wzrok. Już czuję, jak ściska ją w gardle i jak zaciska zęby. – Jak byłeś po południu na treningu piłkarskim, Uiti wysłała mnie po proszek do sklepu pani Tanaka. I była tam pani Oki z Kagoszimy ze swoją siostrą. Były na zapleczu i na początku mnie nie zauważyły, to wszystko słyszałam.

Połknięty nóż dociera już do trzewi. – Że co słyszałaś?

– Pani Oki tak powiedziała: „Dziewczyna Mijakich oczywiście nie pokazała się tutaj”. A pani Tanaka: „Pewnie, nie ma prawa”. Pani Oki na to: „Nie ośmieliłaby się. Podrzuciła dwójkę dzieciaków babce i wujkom, a sama dogadza sobie w Tokio z tymi swoimi facecikami, w luksusowych mieszkaniach i samochodach”. I wtedy mnie zobaczyła. – Nóż wkręca się w trzewia. Andżu chlipie, łapiąc powietrze przez zasmarkany nos.

– I co?

– Upuściła jajka i szybko wyszła.

Ćma tonie w świetle księżyca.

Ocieram łzy Andżu. Jakie ciepłe. Ona odsuwa się i kuli w jakimś zapamiętaniu.

– Posłuchaj – mówię, zastanawiając się, co tu powiedzieć – pani Oki i jej siostra z Kagoszimy to czarownice, co piją własne szczyny, tak samo jak Pani Tanaka.

Andżu z niechęcią odwraca głowę od pikli, które je podsuwam. I tylko mamrocze: – Potłuczone jajka. Wszędzie.

* * *

Fujifilm podaje 02:34. Śpij. Czujesz senność. Twoje powieki są baaaaardzo ciężkie. Coś mi się nie wydaje. Dajcie mi spać. Błagam. Jutro mam iść do roboty. Nie, dzisiaj. Przymykam oczy, ale widzę ciało spadające w przestrzeń. Salto.

Karaluch wciąż zмага się z lepem. Karaluchy posiadają receptory, które wywołują odruchy nóg, jeszcze zanim mózg zarejestruje niebezpieczeństwo. W jaki sposób naukowcy dowiadują się takich rzeczy? Karaluchy zjadają nawet książki, jeśli nie trafi im się nic bardziej soczystego. Kotka wykończyłaby Karalucha. Kotka. Kotka zna tajemnicę życia i śmierci. W środę wieczorem wracam z pracy do domu. – Dobry dzień w biurze? – pyta Buntaro, popijając mrożoną kawę z puszki. – Niezły – odpowiadam. Buntaro wysącza ostatnie krople. – Jakich masz współpracowników?

– Wielu jeszcze nie poznałem. Suga, chłopak, na którego miejsce przychodzę, uważa się za kogoś w rodzaju supercyberprzestępcy. Pani Sasaki, moja szefowa, chyba nie za bardzo mnie lubi, ale ja i tak jakoś ją lubię. Pan Aojama, jej szef, jest taki sztywny, że aż dziwne, że nie skrzypi, jak chodzi. – Juntaro wrzuca lobem puszkę do kosza i w tym momencie wchodzi klient ze stertą kaset do zwrotu.

Wspinam się do mojej kapsuły, rzucam się na futon i po raz setny czytam list od Akiko Kato. Gdy pokój ogarnia podmiejski

mrok, ćwiczę na gitarze. Nie mogę sobie jeszcze pozwolić na żadne urządzenia oświetleniowe, dlatego mam tylko zdezelowani lampę, którą poprzedni lokator upchnął w ubikacji. Nieoczekiwanie postanawiam przyznać się przed samym sobą, że mglista nadzieja, jaką przez całe życie pielęgnowałem, iż przyjeżdżając do Tokio, prędzej czy później opadnę na ojca, jest śmiechu warta. Żałosna. Ale ta prawda zamiast mnie oczyścić, przygnębia mnie do tego stopnia, że przechodzi mi ochota na granie, składam więc futon, przekształcając go w krzesło, i włączam telewizor wyciągnięty w zeszłym tygodniu ze śmieci. Gówniany ten telewizor. Zielenie zalatują fiołkami a błękity różami.

Łapię pięć kanałów, do tego jeden ze śniegiem. Ale programy też są gówniane. O, gubernator Tokio zapowiada, że w razie trzęsienia ziemi wszyscy czarnoskórzy, Latynosi i Koreańczycy zaczną szaleć, plądrować, gwałcić i rabować. Zmieniam kanał. Jakiś farmer opowiada, jak tuczyć świnię, karmiąc je ich własnym łajnem.

Zmieniam kanał. Tokio Giants dokładają Hiroszima Carp. Biorę z lodówki paczkę przecenionych suszi. Zmieniam kanał. Leci pamięciowy quiz, w którym zawodnicy mają odpowiadać na pytania dotyczące szczegółów z pokazanego im przed chwilą filmu. Kątem oka wychwytyuję czający się cień. Rzuca się na mnie, a ja omal nie wywalam obiadu.

– Jauuu!

U moich stóp ląduje czarny kot. Rozdziawia zębatą paszczę. Ogon chlapnięty bielą, wokół szyi obróżka w kratę. – Kot – rzucam ni przypiął, ni przyłatał, podczas gdy moje tętno usiłuje wrócić do normy. Pewnie zeskoczył na mój balkon z gzymsu i dostał się przez nacięcie w moskitierze. – Spadaj! – Co za cwany typ z tego kota. Nagle tupię, tak jak się tupie wtedy, gdy chce się przestraszyć

zwierzę, ale Kot wszystko zawczasu przewidział. Spogląda na moje suszi i oblizuje wargi. – Słuchaj no – mówię do niego – idź sobie poszukać jakiejś gospodyni z zamrażarką pełną resztek. – Kot jest za cwany, żeby odpowiedzieć. – Spodeczek mleka raz – mówię – a potem zmykaj. – Leję mleko, a on już żłopie. Jeszcze. – To już ostatni spodek, słyszał? – Kot chlipie już nieco delikatniej, a ja zastanawiam się, od kiedy to rozmawiam ze zwierzętami. Patrzy, jak zdmuchuję pyłek z mojego ostatniego suszi. Ostatecznie więc ja kończę dojadać paczę krakersów, podczas gdy Kot konsumuje sobie świeżutkiego wątusza, ośmiornicę oraz dorsza mlecza.

Gdy stację Ueno opuszcza się wyjściem prowadzącym przez park, mija się salę koncertową i muzea, okrąża się fontannę i dochodzi do czegoś w rodzaju zagajnika.

Przemieszkują tam bezdomni w namiotach zrobionych z błękitnych plastikowych płacht i drewnianych żerdzi. Najlepsze z tych konstrukcji wyposażone są w drzwi.

Domyślam się, że gdzieś tutaj mieszka Pani od Obrazów. W czwartek, tuż przed przerwą na lunch, pojawiła się na stanowisku przyjąć. To był najgorętszy dzień w całym tygodniu. Asfalt rozpływał się jak ciepła czekolada. Na głowie miała ciasno zawiązany szalik, ubrana była w długą spódnicę nieokreślonego koloru i wzoru oraz zmalretowane tenisówki. Czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat – trudno coś wydedukować spod skorupy zastarzałego brudu. Suga zobaczył, że wchodzi – przykleił swój sztuczny uśmiech, obwieścił, że właśnie ma przerwę na lunch, i wymknął się do toalety, żeby oddać się samobiczowaniu. Bezdomna przypomina mi kobiety pracujące na roli na Jakuszymie, ale jest bardziej rozkojarzona. Wzrok błędny. Głos skrzypiąco-syczący. – Zgubiłam je.

– Co pani zgubiła.

– Przyniósł je ktoś do was? – mamrocze, nie podnosząc wzroku.

Sięgam po bloczek ze zgłoszeniami. – Co takiego pani zgubiła?

Obrzuca mnie spojrzeniem. – Moje obrazy.

– Zgubiła pani obrazy?

Z kieszeni wyjmuję cebulę i obiera ją z kruchej brązowej łupiny.

Palce ma zaświerzbione i czarne.

Próbuję ponownie. – Swoje obrazy zgubiła pani w pociągu czy na stacji?

Nadal obiera. – Stare odzyskałam...

– Byłoby mi łatwiej, gdyby mogła pani powiedzieć coś jeszcze o...

Oblizuje cebulę. – Ale nowych nie odzyskałam.

– To były wartościowe obrazy?

Gryzie. Chrupie.

Z biura obok wychodzi pani Sasaki i kiwa głową, widząc Panią od Obrazów. – Spiekotę dzisiaj mamy, co?

– Potrzebne mi są do zasłonięcia zegarów – odpowiada Pani od Obrazów z ustami pełnymi cebuli.

– Dzisiaj niestety nie mamy obrazów dla pani. Może jutro coś się dla pani znajdzie. Szukała pani koło stawu Szinobazu?

Pani od Obrazów łypie spode łba. – A co moje obrazy by tam robiły?

Pani Sasaki wzrusza ramionami. – Kto wie? To chłodne miejsca, w sam raz na upał.

Kiwa głową. – Kto wie...

Patrzę, jak się oddala. – Czy to stała klientka?

Pani Sasaki doprowadza do porządku biurko. – Figurujemy na jej rozkładzie. Ta uprzejmość nic nas nie kosztuje. Połapałeś się, co to za „obrazy”?

– Pomyślałem, że to jakieś rodzinne albumy.

– Ja też na początku rozumiałam to tak dosłownie. – Pani Sasaki, jak to ona, wymawia słowa starannie. – Ale tej kobiecie chodzi chyba o wspomnienia. – Patrzymy oboje, jak znika w refleksach światła. Cykady raz ożywiają się, raz cichną. – Pozostają nam tylko wspomnienia.

* * *

Księżyc drgnął. Andżu popija herbatę, znowu spokój. Jestem zawieszony pomiędzy snem i jawą. Za wszelką ceną usiłuję sobie przypomnieć twarz mojej matki. Pamiętam chyba zapach jej perfum, ale nie jestem pewien. Czuję, jak Andżu układa się w kłębku mojego spania. Cały czas zastanawia się. – Ostatni raz widzieliśmy ją u Wuja Kasy w Kagoszimie. Wtedy ostatni raz wyjechaliśmy z Jakuszimy.

– Urodziny na tajnej plaży. Dwa lata temu?

– Trzy. Dwa lata temu były urodziny w gumowej łódce.

– Wyjechała nagle. Była przez cały tydzień, a potem już jej nie było.

– Powiedzieć ci tajemnicę?

I znowu nie śpię. – Prawdziwą?

– Nie jestem już małym dzieckiem. Jasne, że prawdziwą.

– No to mów.

– Uiti powiedziała mi, żebym nikomu nigdy nie mówiła, nawet tobie.

– O czym?

– O tym, jak wyjechała tego dnia. To znaczy, mama.

– I przez trzy lata trzymałaś to w tajemnicy? Myślałem, że wyjechała, bo była chora.

Andżu ziewa, nie wzruszona tym, co myślę bądź myślałem.

– To mów.

– Tego dnia byłam chora. Ty miałeś trening piłkarski. Ja na dole odrabiałam lekcje przy stole. Mama zaczęła przygotowywać temperę. – Głos Andżu jakoś niknie. Już wolę, kiedy całkiem płacze. – Wsadziła do ciasta dziwne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Takie nie do jedzenia. Swój zegarek, świecę, saszetkę z herbata, żarówkę.

Żarówka pękła, kiedy rzuciła to wszystko na olej, a ona jakoś tak dziwnie się zaśmiała. Do tego swój pierścionek. Potem ułożyła wszystko na półmisku z płatkami miso i postawiła to przede mną.

– A ty co na to?

– Nic.

– A mama?

– Powiedziała, że tak się bawi. To ja mówię: „Piłaś”. A mama: „To wszystko przez Jakuszimę”. Zapytałam, dlaczego nie może się bawić bez picia. To ona zapytała, dlaczego nie lubię jej kuchni. Powiedziała, że mam zjeść obiad, jak grzeczna dziewczynka. Powiedziałam: „Nie mogę jeść czegoś takiego”. To ona się zezłościła. Pamiętasz, jaka straszna się czasami robiła, gdy nas odwiedzała? Jak wygląda, nie pamiętam, ale to pamiętam.

– I co wtedy?

– Przyszła ciotka Kasa i zaprowadziła ją do sypialni. Cały czas ją słyszałam. – Andżu przełknęła łyżę. – Ona płakała.

– Mama płakała?

– Ciotka Kasa wróciła i powiedziała mi, że jak komuś powiem, co się stało, nawet tobie, to przyjdzie niedobry lekarz i zabierze mamusię.

Andżu robi srogą minę. – No to dla własnego dobra zapomniałam. Ale tak naprawdę to nie.

Słyszc słyhać pohukującą gdzieś sowę.

Muszę zasnąć.

Andżu kołysze się, powoli, coraz wolniej.

W oddali jakiś pies szczeka, coś zobaczył albo tylko sobie przypomniał.

– Eidzi, nie jedź jutro do Kagoszimy.

– Muszę jechać. Gram w obronie.

– Nie jedź.

Nie rozumiem. – Dlaczego nie?

– No to jedź sobie. Mam to gdzieś.

– To tylko dwa dni.

– Nie tylko ty możesz robić dorosłe rzeczy!

– Co chciałaś przez to powiedzieć?

– Ja wiem, a ty się domyślaj!

– Co chcesz zrobić?

– Dowiesz się, jak wrócisz z tego swojego meczu!

– Powiedz mi!

– Nie słyszę! Jesteś w Kagoszymie!

– Powiedz mi! – zaczynam się martwić.

W jej głosie słyszc słyhać już zawziętość. – Zobaczysz. Zobaczysz.

– A zresztą, kogo obchodzi, co zrobisz?

– Rano widziałam węża perłowego!

Teraz już wiem, że moja siostrzyczka kłamie. Ten wąż pochodzi z głupiej historii, jaką opowiada nam babka, żeby nas nastraszyć. Mówi, że mieszkał taki w sklepie Mijakich jeszcze przed jej urodzeniem i że zawsze pokazuje się tylko po to, żeby ostrzec przed zbliżającą się śmiercią. Przestaliśmy z Andżu w to wierzyć już parę

lat temu i tylko nasza babka tego nie zauważyła. Uraziło mnie to, że Andzu sobie myśli, że strasząc mnie perłowym węzem, może mnie do czegokolwiek zmusić. Wsłuchuję się w śpiew marcowego nocnego ptaka, usiłując przypomnieć sobie słowa do jego pieśni. Zawsze w którymś miejscu urywa i trzeba zaczynać od początku. Co roku od nowa przypominam sobie tego ptaka, ale przez porę deszczową zawsze zdążę zapomnieć. Po dłuższej chwili próbuję pogodzić się z siostrą, ale ona już śpi albo udaje.

* * *

Fujifilm przemycił godzinę trzecią tak, że nawet nie zauważyłem. Kolejne dwie godziny do świtu. Kleista sieć nocy zwinęła się już w trzech czwartych. Zanosi się na to, że przez cały dzień będę siedział w pracy wyczerpany. Pani Sasaki zapowiadała mi, że w sobotę wcale nie jest spokojniej niż w pozostałe dni tygodnia, bo stali pasażerowie dojeżdżają do pracy lepiej pilnują swoich bagaży niż weekendowi amatorzy zakupów czy nocne marki z piątku, a do tego wielu ludzi właśnie do soboty zwleka ze zgłoszeniem swoich zagubionych rzeczy. Coś czuję, że ludzie z mediów będą śpieszyli w poszukiwaniu dalszego ciągu opowieści o panu Aojamie. Biedak. Wtem jak kula przesywający błonę bębenka, dzwonek telefonu. Dźwięęęęę, który dowierca się do mojego strachu i poczucia winy. Telefon dzwoniiii. Niesamowite. Dopiero w zeszłym tygodniu dostałem numer.

Nikt go nie zna. A tu dzwoniiii. A nuż jaki zboczeniec na chybił trafił chce się załapać? Odbiorę i zanim się zorientuję, pod prysznicem znajdę czubka. Nie ma mowy, nie odbieram. A tu dzwoniiii. Buntaro? Coś nagłego? Co niby? A tu dzwoniiii. Zaraz. W Osugi i Bosugi ktoś zna mój numer – może jakiś współpracownik

Akiko Kato przeczytał mój list, zanim ona go podarła, i nagle ogarnęło go niewytłumaczalne współczucie z powodu mojego położenia?

Kontaktuje się z moim ojcem, który musi odczekać, aż żona położy się spać, zanim sam odważy się nawiązać ze mną kontakt. Ściszym głosem popędza mnie wściekle w jakimś kącie swojego domu: „Odbierz!”. A tu dzwoni. Muszę coś postanowić. Nie. Niech samo przestanie. Odbierz! Wyskakuję z futonu, zahaczam nogą o składany wieszak, potykam się o futerał z gitarą i rzucając się do słuchawki.

– Halo?

– Nie ma obawy, zawsze jest Nero! – śpiewa ktoś do słuchawki.

– Halo?

– Nie ma obawy, zawsze jest Nero! – słychać z lekka podenerwowany głos.

– Tak, chyba tak właśnie pan powiedział.

– Ale nigdy nie napisałem tego głupawego dżingla! – głos łagodnieje.

– Ani ja.

– Posłuchaj no, młody człowieku, dostarczyliście do naszego biura kupony, które obiecywały, że pierwszych dwustu ludzi, którzy zadzwonią i zaśpiewają „Nie ma obawy, zawsze jest Nero!”, mają prawo do darmowej średniej wybranej przez siebie pizzy. No i jestem. Jak zwykle wybieram moją kamikaze: chrupiąca mozzarella, banan, przepiórcze jaja, małe, potrójne chili, atrament ośmiornicy. Tylko chili nie siekać. Lubię je sobie possać. Dobrze mi robi na koncentrację. To znalazłem się w pierwszej dwusetce czy nie?

– To żart?

– Lepiej, żeby obyło się bez żartów. Po nadgodzinach na nocce robię się wściekle głodny.

– Chyba wybrał pan zły numer.

– Wykluczone. To pizzeria Nero, tak?

– Nie.

– Na pewno?

– Tak.

– To znaczy, że o trzeciej rano dzwonię do prywatnego mieszkania?

– Mhm.

– Strasznie przepraszam. Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie ma się co martwić. I tak nie mogę dzisiaj zasnąć.

– A ja tak z góry na pana! Myślałem, że to jakiś palant od noszenia pizzy.

– Nie ma sprawy, naprawdę. Chociaż upodobania, jeżeli chodzi o pizzę, ma pan dość niesamowite.

Chichotem maskuje dumę. Jest starszy niż myślałem. – Sam to wymyśliłem. W Nero Pizza nazywają to kamikaze – słyszałem, jak telefonistka mówi szefowi. Cały sekret to banan. Klajstruje do kupy wszystkie pozostałe smaki. Tak czy inaczej, nie powinienem panu już zabierać czasu. Jeszcze raz – najserdeczniej przepraszam. Niewybaczalne jest to, co zrobiłem. Niewybaczalne. – Odkłada słuchawkę.

* * *

Budzę się. Jestem sam. Okno wypełniają letnie gwiazdy, całkowicie rozplywające się w nicości. Stos porzuconego futonu Andżu. Jej samej też nie ma. Możliwe, żeby była na dachu? Rozsuwam moskitierę. – Andżu? Andżu! – Wiatr porusza

bambusami i ożywiają się żaby. Świetnie. Chce się dąsać. A niech się dąsa.

Piętnaście minut później, już ubrany, po śniadaniu, idę ścieżką do portu Anbo – ze sportową torbą w rękę i w nowej baseballówce, którą Andżu kupiła mi za swoje kieszonkowe od Wuja Asfalta. Widzę już prom do Kagoszimy rozświetlony jak statek międzygwiazdny czekający na polu startowym i czuję dreszcz podniecenia.

W końcu nadszedł ten dzień. Wyjeżdżam do Kagoszimy, sam, i nie pozwolę, żeby moja głupia zazdrosna siostra wymuszała na mnie poczucie winy tylko dlatego, że ją zostawiam na jedną noc. Nie pozwolę. A skąd w ogóle mam mieć pewność, że te głupoty, które opowiadała w nocy o mamie, to prawda? Ostatnio zachowywała się dziwnie. Meteoryt kreśli rysę na ciemnym fiolecie. Ciemny fiolet zaciera rysę po meteorycie. I nagle nawiedza mnie fantastyczny pomysł. To najlepszy pomysł w moim życiu. Będę trenował, trenował, trenował i zostanę znakomitym piłkarzem, takim, że na dwudzieste urodziny zagram w reprezentacji Japonii przeciwko Brazylii w finale Pucharu Świata. W sześćdziesiątej minucie Japonia będzie przegrywała osiem do zera i wtedy będzie zmiana, ja wejdę i w ciągu kilku minut, które sędzia doliczy, zaliczę trzy bramki, hat trick. Będę w gazetach i w telewizji na całym świecie. Nasza mama będzie taka dumna, że aż rzuci picie, ale jeszcze lepiej, bo rozpozna mnie mój tata i pojedzie na lotnisko, żeby powitać samolot z drużyną. Andżu oczywiście też tam jest, i nasza mama, i cały świat patrzy, jak znowu jesteśmy razem. Cudowne. I jakie proste. Nadzieja i własna genialność rozpalają mnie. W Anbo się świeci, gdy przechodzę przez wiszący most, widzę błysk. To łosoś skacze.

U ujścia, gdzie rzeka jest szersza, dolina zwęża się i przechodzi w stromiznę.

Uiti, podobnie jak starzy mieszkańcy Anbo, nazywają ją Przesmykiem. W tym miejscu najbardziej straszy, ale ja się nie boję. Na poły ze strachem, na poły z nadzieją oczekuję, że Andżu zaczai się gdzieś tu na mnie. Twarze czyhające między sosnami tak naprawdę nie istnieją. Tam, gdzie w porze deszczowej woda zalewa drogę, półkolista brama wyznacza początek ścieżki prowadzącej na wzgórze do świątyni boga piorunów. Uiti przestrzega nas, żebyśmy się tam nie bawili. Twierdzi, że nie licząc cedrów z epoki džomon, bóg piorunów jest najstarszą istotą, jaka żyje na Jakuszimie. Gdy w jakikolwiek sposób mu uchybisz, to przy następnym przejściu przez wodę przyjdzie tsunami i cię zatopi. Andżu chciała zapytać, czy to właśnie przydarzyło się naszemu dziadkowi, ojcu naszej mamy, ale kazałem jej obiecać, że nie będzie pytała. Pani Oki powiedziała komuś z naszej klasy, że dziadek utopił się w rowie, jak po pijanemu upadł na twarz. Tak czy inaczej, mieszkańcy wioski w ogóle nie zwracają głowy bogu piorunów takimi drobiazgami, jak egzaminy, pieniądze czy śluby – idą prosto do nowej świątyni ojca Kakimoto stojącej obok banku, jeżeli już o to chodzi. Ale w sprawie dzieci, błogosławieństw dla łodzi rybackich, pocieszenia po zmarłych krewnych wspinają się po stopniach do świątyni boga piorunów. Zawsze w pojedynkę.

Rzucam okiem na mój zegarek, taki sam, jaki ma Zax Omega. Mnóstwo czasu.

Wędrówka do Pucharu Świata zaczyna się dzisiaj w Kagoszimie i potrzebne mi będzie każde wsparcie, jakie tylko zdołam uzyskać. Znalezienie ojca – to dopiero sprawa. Nic dla Andżu i dla mnie nie jest tak ważne. I już myśląc tylko o tym, przerzucam sportową

torbę za omszałą skałę i zasilony energią własnej genialnej myśli, zaczynam wbiegać po glinianych stopniach.

* * *

Odkładam słuchawkę. Niesamowity był ten facet z tym swoim przeproszaniem. Może telefon przetnie pasmo bezsenności. Może do mojego ciała dotrze, jak bardzo jest zmęczone i w końcu da sobie spokój. Leżę na wznak i patrzę w sufit skacząc po płytkach ruchem konika szachowego, do chwili, gdy zapominam, na których jeszcze nie byłem. A potem od nowa. Przy trzeciej próbie ogarnia mnie poczucie bezcelowości tego zadania. Skoro już nie da się zasnąć, to mogę sobie pomyśleć o liście. Innym Liście. Wielkim Liście. Przyszedł – kiedy to? – w czwartek. Wczoraj.

Dobra, przedprzedwczoraj. Kompletnie wyczerpany wracam do Mknącej Gwiazdy.

Ktoś zostawił na dziewiątym peronie, położonym najdalej od biura rzeczy znalezionych, trzydzieści sześć kul do gry w kręgle. Suga skutecznie akt swojego zniknięcia, więc to ja muszę po kolei te kule przytaszczyć. Po jakimś czasie zgłosiła się drużyna sportowa, która czekała na nie na Dworcu Centralnym.

Uprzytamniam sobie, że reguły prawdopodobieństwa działają inaczej w sferze rzeczy zgubionych. U pani Sasaki wylądował kiedyś na wózku ludzki szkielet upchany w plecaku. Zostawił go w pociągu student medycyny po pożegnalnym przyjęciu u profesora. Tak czy inaczej, wracam do Mknącej Gwiazdy, ociekający potem, a Buntaro siedzi sobie za ladą na swoim taborecie, łyżeczką popija mrożoną zieloną herbatkę i przez szkło powiększające wpatruje się w kartkę papieru. – Ej, chłopcze – słyszę. – Chcesz zobaczyć mojego syna? – Co jest, przecież Buntaro powiedział mi, że nie ma dzieci. A

teraz pokazuje mi kartkę z atramentowym kłębkiem. Krzywiąc się, patrzę na dumnego jak paw gospodarza. – Cud badań ultrasonograficznych! – tłumaczy. – W łonie! – Przyglądam się brzuchowi Buntara, a ten do mnie z wściekłym błyskiem w oku: – Bardzo śmieszne. Wybraliśmy mu imię. Właściwie to moja żona wybrała. Ale ja się zgadzam. Chcesz wiedzieć jakie?

– Jasne – odpowiadam.

– Kodai. „Ko” jak „podróż”, „dai” jak „wielka”. Wielka Podróż.

– Naprawdę kapitalne imię – odpowiadam z przekonaniem.

Buntaro podziwia swojego syna, patrząc nań pod różny, mi kątami. – Zobacz, jaki ma nos. A tu stopa. Spryciarz, ha?

– Pewnie. A to takie skurczone, to co?

– A jak myślisz, mądrało, skąd wiemy, że on to on?

– O, przepraszam.

– Znowu list do ciebie przyszedł. Zamontowałbym ci specjalną skrzynkę na listy, ale wtedy nie miałbym już radochy z otwierania nad parą prywatnej korespondencji moich lokatorów. Masz – wręcza mi zwykłą białą kopertę pierwotnie ostemplowaną w Mijazaki i preadresowaną przez Wuję Kasę w Kagoszimie. Rozcinam ją i rozkładam trzy kartki pogniecionego papieru. Na ekranie wideo widać zderzenie helikopterów i wylatujące w powietrze budynki.

Bruce Willis zdejmuje okulary przeciwsłoneczne i spogląda na to piekło. Czytam pierwszą linijkę i dociera do mnie, od kogo ten list. Wciskam go do kieszeni kurtki i sunę schodami do góry – nie chcę, żeby Buntaro zobaczył na mojej twarzy wstrząs, jaki wywołał we mnie ten list.

* * *

Na stopniach prowadzących do świątyni boga piorunów pajęczyny ciągną się, rozłazą i przyklejają mi do twarzy. Kandyzowane pająki. Potykam się i kolanami w błoto. Usiłuję zapomnieć wszystkie zasłyszane opowieści o duchach, o zmarłych dzieciach przebywających na tych schodach, ale tak już jest, że jak się chce o czymś zapomnieć, to automatycznie się to przypomina. Nade mną ogromny słup oroci. Słodkowodne kraby czmychają po wypełnionych korzeniami szczelinach. Głuchy jęk jelenia przepadającego zaroślach. Koncentruję się na myśli o naszym pojednaniu ojcem, gdy mój zasadniczy plan zacznie przynosić owoce, i biegnę, biegnę, aż zatrzymuję się w świątyni jaśniejącej na samym szczycie. Widzę wszystko w zasięgu kilku kilometrów. Góry w głębi lądu wznoszą się i opadają, zmierzając ku rozchmurzającemu się niebu. Światło poleruje powierzchnię morza.

Widzę nawet okna w promie na Jakuszimie. Niespokojny podchodzę do dzwonu i rozglądam się za kimś dorosłym, żeby zapytać, czy wolno. Jeszcze nigdy nie budziłem żadnego boga. Uiti zawsze zabiera mnie i Andżu w Nowy Rok do portowej świątyni, żeby wymienić nasz zodiakalny amulet, ale to tylko taka wielka sprawa, w której chodzi o krewnych, o sąsiadów i głaskanie po głowie. A tu żadna błaga. Najprawdziwsze czary. Tylko ja i bóg piorunów zapleśniały w swojej drzemce. Chwytam linę wprawiającą w ruch młot dzwonu...

Pierwszy gong ma przebić się przez las i wypłoszyć bażanty.

Drugi gong ma wzbudzić niepokój skrzydlatych wojowników.

Trzeci gong ma na zawsze zatrzasnąć żelazne wrota.

Ciekawe, czy nadaśana Andżu usłyszała dźwięk dzwonu. Jutro, gdy wrócę, powiem jej, że to ja. Nigdy się nie przyzna, ale to, że się nie bałem, zrobi na niej wrażenie. Zazwyczaj sama takie rzeczy

wymyśla. Bóg piorunów rzuca groźne spojrzenie. Jego twarz pokryta guzami zwiastuje nienawiść, tajfun i koszmary. Nie mogę się już cofnąć. Przebudził się. Moja moneta z łoskotem wpada do pudełka na datki, trzykrotnie klaszczę i przymykam oczy. – Dzień dobry, yyy, boże piorunów.

Nazywam się Eidzi Mijake. Mieszkam z Andżu i Uiti w ostatnim domu przy ścieżce w dolinie, za wielkim domem na farmie Kauakami. Ale ty chyba i tak to wiesz. Obudziłem cię, żeby poprosić o pomoc. Chcę zostać największym japońskim piłkarzem. To ważna, bardzo ważna sprawa, dlatego proszę, żebyś nie zesłał mi hemoroidów, jak taksówkarzowi.

– A co w zamian? – pyta cisza.

– Kiedy już zostanę słynnym piłkarzem, to wrócę i yyy, odbuduję twoją świątynię i całe wyposażenie. Zanim to zrobię, możesz żądać ode mnie wszystkiego, co mogę ci ofiarować. Bierz. Nie musisz mnie pytać, po prostu weź.

Westchnienie ciszy. Wszystko?

– Wszystko.

– Wszystko? Jesteś pewien?

– Powiedziałem „wszystko” i tak właśnie jest.

Cisza zapada na dziewięć dni i dziewięć nocy.

– Zgoda.

Otwieram oczy. Statecznik samolotu zostawia różowo–złotą smugę. Gołębice splatają w locie przepowiednie. Na dole w porcie Anbo rozlega się pojedynczy sygnał promu do Kagoszimy i samochody wjeżdżają. W lesie milion i jeden zegarów trzepocze, uderza, piszczy i wyje, budząc się do życia. Ruszam pędem, zlatuję po glinianych schodach, gdzie duchy zmarłych dzieci rozwiewają się w pierwszych promieniach słońca.

* * *

Klinika Górską Mijazaki, 25 sierpnia

Cześć Eidzi,

jak mam zacząć tym razem? Napisałam już list pełen wściekłości potem pełen uzalania się, wreszcie chciałam napisać dowcipny i zaczęłam tak: „Cześć, jestem Twoją mamą, miło mi poznać”. Następny zaczęłam od „przepraszam”, i leżą teraz pomięte, obok kosza, w drugim kącie pokoju. Jestem wstrętną szmatą.

Gorące lato, prawda? Wiedziałam już, że takie będzie, po tym jak nie było pory deszczowej. (Chociaż na Jakuszymie pewnie jeszcze pada. Jakby w ogóle przestawało, co?). To już dwudziestka ci stuknie niebawem. Dwudziestka. Gdzie te wszystkie lata? Chcesz wiedzieć, ile skończę w przyszłym miesiącu? Za dużo, żeby się przyznać. Jestem tutaj, bo mnie tu leczą z nerwów i picia. Nigdy nie chciałam wracać na Kiusiu, ale przynajmniej górskie powietrze jest tu zdrowe. Moja terapeutka poradziła mi, żebym napisała do Ciebie. Najpierw nie chciałam, ale ona jest jeszcze bardziej uparta ode mnie. Kiepsko to wygląda – chcę do Ciebie pisać, ale po takim czasie o wiele łatwiej jest nie pisać. Ale mam już tę opowieść (a raczej wspomnienie w odcinkach). Terapeutka mówi, że przestanę się zadręczać dopiero, jak ci o tym opowiem. No, niech Ci będzie, piszę, bo jestem samolubna. Ale dobra.

Dawno temu jako młoda matka mieszkałam w Tokio z dwójką niemowląt: Tobą i Andżu. Za mieszkanie płacił Twój ojciec, ale to nie o nim jest opowieść, nawet nie o Andżu. Jest to opowieść o Tobie i o mnie. Wydawało się wtedy, że do czegoś dochodzę – dwupoziomowe mieszkanie na dziewiątym piętrze w modnej dzielnicy wielkiego miasta, na balkonie kwiaty, bardzo bogaty kochanek, któremu żona służyła do prania koszul. Muszę przyznać,

że kiedy opuszczałam Jakuszimę, nie uwzględniałam Ciebie i Andżu w swoich planach, ale wydawało się, że życie, jakie prowadziłam przed dwudziestu laty, było lepsze niż uprawianie pomarańczy, a na wyspie plotkowano, że moja matka (twoja babka) ułożyła się (jak zwykle za moimi plecami) z ludźmi Szintaro Baby, że wy da mnie za męża. Jestem pewna, że dzisiaj jest on takim samym chamem i gburem jak ćwierć wieku temu.

Niełatwo mi to pisać.

Byłam nieszczęśliwa. Miałam dwadzieścia trzy lata i zewsząd słyszałam, że jestem piękna. A jedynym towarzystwem młodych matek są inne młode matki.

Jeśli się do nich nie przystosujesz, jest to najzjadliwsze plemię pod słońcem, Kiedy dowiedziały się, że jestem „drugą żoną”, uznały, że wywieram niemoralny wpływ, i wystąpiły do administracji, żeby mnie usunęła. Twój ojciec był wystarczająco wpływowy, żeby to zastopować, ale potem żadna z nich nie odzywała się do mnie. Jak wiesz, nikt na Jakuszimie o Tobie nie wiedział (jeszcze), a myśl o życiu w otoczeniu tych wszystkowiedzących spojrzeń była ponad moje siły.

Mniej więcej w tym czasie Twój ojciec zaczął rozglądać się za nowszym modelem kochanki. Dzieciak nie jest rekwizytem, który dodawałby kobiecie seksapilu. Tym bardziej bliźniaki. Zakończenie było paskudne – wierz mi, nie zniósłbyś szczegółów (a jeśli nawet, to i tak nie chciałbyś ich pamiętać). Kiedy zaszłam w ciążę, przysięgał, że o wszystko zadba. Jakim naiwnym dziewczątkiem byłam, nie rozumiałam, że ma na myśli tylko pieniądze. Jak wszyscy słabi mężczyźni, nieustannie się plątał i liczył, że wszyscy mu wybaczą. Pojawili się jego adwokaci i więcej go nie widziałam (bo i nie chciałam). Mieszkałam w tym mieszkaniu, ale nie mogłam go

sprzedać – to było w czasach gorączki gospodarczej i ceny nieruchomości skakały o sto procent co pół roku. To było zaraz po Twoich pierwszych urodzinach.

Nie byłam dobrą kobietą (bardzo dobrą kobietą nie byłam nigdy, ale przynajmniej teraz wiem o tym). Niektóre kobiety podchodzą do macierzyństwa tak, jakby były matkami, zanim jeszcze nimi zostaną – do tej roli nigdy nie miałam zacięcia, nawet jak byłam sama. Przecież nienawidziłam małych dzieci. Wszystkie pieniądze, jakie adwokat Twojego ojca Przysyłał na Twoje utrzymanie, wydawałam na legalnie zatrudnioną filipińską niańkę, tak że mogłam się wymykać z mieszkania. Przesiadywałam w kawiarniach, obserwując przechodniów. Młode kobiety w moim wieku pracowały w bankach, zajmowały się układaniem kwiatów, zakupami. Na te wszystkie zwykłe, codzienne sprawy patrzyłam z góry. Jeszcze zanim zaszłam w ciążę.

Minęły dwa lata. Dostałam pracę w innym barze z dziewczynami, ale byłam wykończona. Złapałam już bogatego opiekuna, a za każdym razem, kiedy szłam do domu, Ty i Andżu przypominaliście mi, gdzie tacy bogaci opiekunowie was mają. (Pieluchy, płacze i bezsenne noce). Któregoś dnia zostaliśmy w domu sami – miałeś gorączkę, więc niańka zabrała Andżu do przedszkola. Nie do miejscowego – mafia młodych matek zagroziła, że je będzie bojkotować, jeżeli przyjmą was – musiałam więc przenieść was gdzieś indziej. Bardzo płakałeś. Może z powodu gorączki, a może dlatego, że nie było Andżu. Ponieważ całą noc pracowałam, więc wzięłam kilka pigułek, które popiłam wódką, i tak Cię zostawiłam. Wiem tylko, że dobijałeś się do moich drzwi – przez cały czas oczywiście chodziłeś. Miałam migrenę i nie mogłam zasnąć. Krzyknęłam, żebyś sobie poszedł. A ty oczywiście dalej płakałeś.

Krzyknęłam. Cisza. I wtedy usłyszałam, jak powiedziałeś to słowo. Pewnie podchwyciłeś je w przedszkolu.

„Tato”.

Coś we mnie pękło.

Z całkowitym spokojem postanowiłam, że wyrzucę Cię przez balkon.

Nowy atrament, nowe pióro. W dość dramatycznym momencie padło mi to pióro. Tak. Z całkowitym spokojem. Postanowiłam, że wyrzucę Cię przez balkon, tych sześć słów wyjaśnia to, co od tej pory działo się w naszym życiu. Nie mówię, że usprawiedliwiają to, co się stało, wcale nie. Nie chodzi mi o to, że chciałam wyrzucić cię przez balkon. Tylko że zamierzałam. Naprawdę. Z trudem o tym piszę.

A było tak. Podbiegłam się do drzwi w sypialni, które otworzyły się na oścież – i po prostu pchnęłam Cię po wypolerowanym drewnianym zejściu, za krawędź schodów, tak że straciłam Cię z oczu. Zamarłam, ale już nie mogłam nic zrobić, nawet gdybym miała nadludzką siłę. Nie płakałeś, gdy leciałeś w dół. Słyszałam.

Tak jakby spadał worek z książkami. Tak to było słychać. Czekałam, aż zaczniesz krzyczeć, czekałam i czekałam. Nagle czas zaczął pędzić trzy razy szybciej, jakby chciał nadrobić. Leżałeś na dole, a z ucha ciekła Ci krew. Nadal mam to przed oczami (i to zawsze, ilekroć schodzę ze schodów). Wpadłam w histerie. Ludzie z pogotowia aż musieli na mnie wrzasnąć, żebym mówiła do rzeczy. I wiesz, co zobaczyłam, kiedy odłożyłam słuchawkę? Siedziałeś sobie i oblizywałeś krew z palców.

Facet z pogotowia powiedział, że dzieci tak czasami bezwładnie upadają, jak szmaciana lalka. To uchroniło Cię od poważniejszego urazu. Lekarz powiedział, że miałeś szczęście, ale miał na myśli mnie, że to ja miałam szczęście. Zapach wódki, którym zionęłam,

omal nie podważył historyjki o tym, że wspinałeś się na barierkę poręczy. Właściwie wszyscy mieliśmy szczęście. Wiem, że zamierzałam Cię zabić i że resztę życia mogłabym spędzić w więzieniu. Aż trudno mi uwierzyć, że wreszcie o tym piszę. Po trzech dniach zapłaciłam niańce miesięczną pensję i powiedziałam, że zabieram Cię w odwiedziny do babci. Psychiczenie nie nadawałam się do wychowywania Ciebie i Andżu. Dalszy ciąg już znasz.

Nie proszę Cię o współczucie albo o wybaczenie, nie po to to wszystko piszę.

Ta historia zupełnie nie ma z tym związku. Ale wspomnienia do dziś nie dają mi spać i muszę to wszystko opowiedzieć, żeby się od nich uwolnić, to dymy sposób, jaki znam. Chcę dojść do siebie. To znaczy...

...jak sam widzisz po śladach, zmięłam ten list i wrzuciłam do kosza. Nawet nie celowałam. I wiesz co? Wpadł prosto do środka, nawet nie otarł się o krawędź. Kto wie? Może tym razem warto wierzyć w przesady. Pójdę już może i wsunę ten list pod drzwi dr Suzuki, zanim znowu zmienię zdanie. Jak chcesz do mnie zadzwonić, wykręć numer wydrukowany w nagłówku. Sam wiesz. Życzę...

Fujifilm pogania godzinę czwartą. W jaki sposób należy zareagować na wiadomość, że własna matka chciała cię zabić? I to otrzymaną po trzech latach nieodzywania się. Przywykłem do tego, że matki nie ma, że jest gdzieś tam; ale nie za blisko. Dzięki temu nie boli. Boję się, że jak cokolwiek ruszę, to wszystko znowu się zacznie. Jedyne plan, jaki mi przychodzi do głowy, to Niczego Nie Ruszać. Jeżeli to ma być przyznanie się, to stawiam na tym urzędową pieczętkę „sprawa zamknięta”. Dręczy mnie „nigdzie” mojego ojca, a nie „gdzieś” mojej matki. Wiem, o co mi chodzi,

choć słowami nie umiem tego wyrazić. A Karaluch wciąż nie daje za wygraną. Muszę do niego zajrzeć. Podpełzam do lodówki – ale wilgotna tej nocy. Jest, gdy go odnajduję, motel–pułapka zaczyna chodzić w posadach. Karaluch wpada w popłoch. Jedna częśćka mnie pragnie go uwolnić, inna żąda jego natychmiastowej śmierci. Zmuszam się, żeby go obejrzeć.

Pedałujące czułki i wariujące skrzydła! Tak się buntuje, że upuszczam pudełko, które ląduje na dachu. Teraz Karaluch zdycha, wisząc do góry nogami, biedne, błyszczące bydlę, ale nie chcę już dotykać tego pudełka. Rozglądam się za czymś, czym mógłbym go przetrącić. Sięgam do kosza – ostrożnie, na wypadek, gdyby był tam Brat Karalucha – i znajduję pogniecione pudełko po herbatnikach dla kota. W czwartek list przeczytałem, odłożyłem i sam nie wiem, jak długo nic nie robiłem.

Już mam zabrać się do niego ponownie, gdy pojawia się Kotka. Skacze mi na brzuch i pokazuje swój bark. Zakrzepła krew i podrażniona skóra wskazują miejsce skaleczenia. – Biłaś się? – na chwilę zapominam o liście. Nie mam pojęcia o udzielaniu pierwszej pomocy, zwłaszcza kociej pierwszej pomocy, ale ranę powinienem chyba dezynfekować. Nie ma oczywiście mowy, żebym miał pod ręką rzecz tak praktyczną jak płyn odkażający, biegnę więc na dół i pytam Buntaro.

Buntaro zatrzymuje wideo w momencie, gdy *Titanic* staje dęba, a ludzie zsuwają się po długim na kilometr pokładzie. Bierze papierosa z paczki casterów i zapala, nawet mnie częstując. – Nie mów, wiem. Nasz bohater po otrzymaniu kolejnego listu od tajemniczej adwokatki, która informuje go, że wszystko skończone, wpada w taką depresję, że postanawia się pochlastać, ale że dysponuje tylko nożyczkami do paznokci, więc...

– Mam u siebie zranionego kota.

Buntaro nachmurzą się. – Że jak, chłopcze?

– Zranionego kota.

– Trzymasz u mnie w domu zwierzęta?

– Nie. Czasami się przybłąka, jak jest głodny.

– Albo gdy potrzebuje opieki medycznej?

– To tylko zadraśnięcie. Chcę na to przyłożyć jakiś środek dezynfekujący.

– Eidzi Mijake, weterynarz.

– Proszę, Buntaro.

Buntaro gdera, ale za chwilę zanurza ręce pod kasę. Wyciąga zakurzone czerwone pudełko, uruchamiając lawinę rupieci osuwających mu się na stopy, i wręcza mi je. – Lepiej, żeby nie zakrwawił mi maty.

Ty zakłamanym, zrzedłym pasożycie, z każdego wyprowadzającego się lokatora zdzieralesz forszę za wymianę maty, której tak naprawdę nie wymieniłeś od 1969 roku – nie k przecież odpowiadam mojemu gospodarzowi i dobroczyńcy, który załatwił mi pracę, a po prostu łagodnie potrząsam głową. – Już nie krwawi. Ma po prostu skaleczenie, które trzeba opatrzyć.

– Jak wygląda ten kot? Może moja żona zna właściciela.

– Czarny, z białymi łapami i ogonem, na szyi ma dzwoneczek i obrózkę w kratkę.

– A właściciel, a imię?

Potrząsam głową. – Dzięki za to. – Klepię pudełko i zaczynam się ewakuować.

– Nie przywiązuj się za bardzo – woła Buntaro za mną, gdy już jestem na schodach. – Pamiętaj: „Nie będziesz miał żadnych stworzeń, z wyjątkiem kaktusów” – to punkt w twojej umowie.

Odwracam się i taksuję go badawczym spojrzeniem. – Jakiej umowie?

Buntaro uśmiecha się, szczerząc jakoś nieprzyzwoicie zęby, i płaska dłonią w czoło.

Zamykam szczelnie swoją kapsułę i zabieram się do Kotki. Dezynfekujący oczar pewnie ją piecze – mnie i Andżu zawsze piekło, kiedy Uiti oblewała tym nasze skaleczenia – ale Kotka ani drgnie. – Dziewczyny nie powinny wdawać się w bijatyki – mówię do niej. Wyrzucam watę i znowu sięgam do apteczki Buntara.

Kotka czuje się jak u siebie na mojej jukacie. Niesamowite. Kotka z całym zaufaniem pozwala mi się doglądać, tylko mnie jednemu na całym świecie.

Zza lady na stanowisku przyjęć wyłania się głowa. Jej właścicielką okazuje się szczuplutka, może jedenastoletnia dziewczynka, w sportowym stroju z Myszką Miki i Donaldem i z czerwonymi wstążkami we włosach. Ma ogromne oczy. – Dzień dobry. Tabliczki pokazywały, że to tutaj. Czy to biuro rzeczy znalezionych?

– Tak – odpowiadam. – Zgubiłaś coś?

– Mamusię – mówi dziewczynka. – Ona zawsze oddała się bez mojego pozwolenia.

Mlaskam poirytowany. – Spróbuję to ustalić. – Co mam robić? Suga omieszkał wstawić rozdział „zgubione dzieci”, a w tej chwili odbiera wózek z pawilonu w Ueno. Pani Sasaki ma teraz lunch. A rozhisteryzowana mamuska gdzieś tam biega i roi sobie o kołach pociągu i porywaczach wycinających dzieciom organy do przeszczepów. Uderzam lekko dłonią w ladę. – Możesz usiąść tutaj – mówię.

Dziewczynka gramoli się. Dobra. Co robić? – Nie zapyta mnie

pan, jak się nazywam? – pyta dziewczynka.

– Ależ oczywiście. Jak się nazywasz?

– Juki Czijo. A nie zawoła pan mamusi przez głośnik?

– Ależ oczywiście.

Idę do biura obok. Pani Sasaki pierwszego dnia wspominała o systemie PA, ale Suga nigdy mi nie pokazał, jak to działa. Nacisnąć ten klawisz, przekręcić ten przełącznik. Miejmy nadzieję. Pod napisem „mówić” rozbłyśnie zielone światło.

Odchrząkuję i pochylam się w stronę mikrofonu. Dźwięk mojego chrząknięcia rozbrzmiewa po całym Ueno. Juki Czijo, słysząc własne nazwisko, wtula głowę w ramiona.

Przeżywam męki skrępowania. Juki Czijo bacznie mnie obserwuje.

– Cóż, Juki. Ile masz lat?

– Dziesięć. Ale mamusia mówiła, żebym nie rozmawiała z obcymi.

– Przecież rozmawiałaś już ze mną.

– Tylko dlatego, że chciałam, żeby pan zawołał mamusię.

– Jesteś niewdzięcznym pędrakiem.

Słyszę, że zmierza tu Aojama, jeszcze zanim go zobaczyłem. Jego buty, jego klucze. – Ej! Mijake!

Oczywiście wpadłem po uszy. – Dzień dobry!

– Ty mi tutaj nie dzieńdobruj! Od kiedy to masz prawo robić nadrzędne zapowiedzi ogólne?

W gardle mam suszę. – Nie wiedziałem, że...

– A jakby tak do Ueno wjeżdżał pociąg z pękniętym przewodem hamulcowym!

– Pieni się w oczach. – A jakbym miał ogłosić ewakuację! – Pęcznieją mu żyły. – Jakbyśmy otrzymali ostrzeżenie o bombie! –

Chyba nie zamierza mnie wywalić. – A ty, ty sobie zagłuszasz moje ostrzeżenie prośbą, żeby matka dziewczynki, która się zgubiła, zechciała przejść do biura rzeczy znalezionych na drugim piętrze! – Zawiesza głos, żeby odświeżyć zapasy powietrza. – Ty, ty wprowadzasz w ten porządek swój chaos nastolatka!

Tra–la–la! Do lady podchodzi kobieta w gepardziej skórze.

– Mamusia! – macha do niej Juki Czijo.

– Kochanie, przecież wiesz, jak mamusia się denerwuje, kiedy tak się oddalasz!

Czy sprawiłaś kłopot temu przystojnemu młodzieńcowi? – odsuwa łokciem Aojamę i kładzie swoje markowe torby na ladzie. Na twarzy pewny siebie, jędzowaty uśmiezek. – Strasznie mi przykro, młody człowieku. Cóż mogę powiedzieć?

Ilekcroć idziemy na zakupy, Juki zawsze urządza sobie tę niewinną zabawę, prawda, kochanie? Mój mąż twierdzi, że musi po prostu przez to przejść. Czy mam coś podpisać?

– Nie, proszę pani.

W Aojamie gotuje się.

– Zechce pan przyjąć jakiś drobiazg za fatygę.

– Ależ naprawdę, proszę pani, nie trzeba.

– Jest pan kochany. – Odwraca się do Aojamy. – Porządny! Bagażowy!

O ułamek sekundy za późno powstrzymuję parsknięcie. Aojama zionie nuklearną wściekłością. – Nie, proszę pani, jestem asystentem naczelnika stacji.

– O. Cóż, w tym stroju wygląda pan na bagażowego. Chodź, Juki.

Matka odprowadza dziewczynkę, ale Juki jeszcze odwraca się do mnie. – Przepraszam, że dostał pan przeze mnie opieprz.

Aojama jest już tak wściekły, że aż nie może mnie opieprzać. – Mijake, ty, Mijake, tego to ci nie daruję! Jeszcze dzisiaj złożę w komisji dyscyplinarnej raport na temat tej zniewagi! – Piekli się na odchodnym. Ciekawe, czy jeszcze tu pracuję.

Z biura na zapleczu wychodzi Suga. – Masz prawdziwy talent do wkurzania ludzi, Mijake.

– Przez cały czas tam byłeś?

– Wyglądało na to, że panujesz nad sytuacją.

Już nic nie mówię, bo go zabiję.

* * *

Jestem na promie! Tyle razy obserwowaliśmy go z Andzu; a teraz naprawdę na nim jestem! Pokład kołysze się z boku na bok, a wiatr jest tak silny, że zwała z nóg. Jakuszima, ogromna połać ziemi, na której przyszło mi mieszkać, z wolna, ale nieuchronnie się zmniejsza. Pan Ikeda uważnie obserwuje linię brzegową przez wojskową lornetkę. Morskie ptaki podążają za statkiem, wprost zawisają nad nim.

Drugoklasiści debatują o tym, co będzie, gdy prom zacznie tonąć i trzeba będzie bić się o łódzie ratunkowe. Inni oglądają telewizję albo włączają w miejsca, do których nie ma wstępu, i są z nich wyrzucani. Jakiś dzieciak wymiotuje ubikacji.

Słysząc łoskot silnika. Czuję zapach spalin. Patrzę jak kadłub tnie rozpryskujące się na pył fale. Gdybym nie postanowił, że będę gwiazdą futbolu, zostałbym żeglarzem. Szukam wzrokiem świątyni boga piorunów, ale skrywa się gdzieś w porannej mgle. Szkoda, że nie ma tu Andzu. Ciekawe, co będzie dzisiaj robić.

Próbuję przypomnieć sobie ostatni dzień, który spędziliśmy osobno. Usilnie próbuję i nie mogę, takiego dnia nie było.

Jakuszima jest już nie większa od stodoły. Coraz to nowe wyspy wynurzają się na dziobie i zanurzają na rufie.

Jakuszimę zmieszczę już w małym „o”, ułożonym z kciuka i palca wskazującego.

Rusza mi się ząb. Na pokładzie jest też pan Ikeda. – Sakuradzima – pokazuje przed siebie, przekrzykując wiatr i łoskot silnika. Patrzę, jak wulkan rośnie, aż zajmuje jedną trzecią wysokości nieba. Rozdarty krater wyrzuca z siebie wdzięczne chmury dymu na kolejną trzecią część wysokości. – Na języku czuje się smak popiołu! – krzyczy pan Ikeda. – A tam dalej to Kagoszima! – Już? Podróż miała trwać trzy godziny. Sprawdzam na moim zegarku a la Zax Omega i okazuje się, że trzy godziny prawie minęły. I oto Kagoszima. Ogromna! Pomiedzy dwoma nabrzeżami w porcie zmieściłby się cały port Anbo, nasza wieś. Potężne gmachy, wielkie żurawie, ogromne frachtowce z wypisanymi nazwami miejsc, które przeważnie nic mi nie mówią. Pewnie kiedy byłem tu po raz ostatni, miałem wyłączoną pamięć. A może to było w nocy? Tu dopiero zaczyna się świat. Niech no tylko opowiem o tym Andzu. Ale będzie zdumiona. Zdumiona.

* * *

Według Fujifilm czwarta przemknęła piętnaście minut temu. Teraz mogę liczyć już tylko na parę godzin snu, więc zamiast zagrzebać się w pracy, po prostu tam zdechnę. Wczoraj Suga był po raz ostatni, zatem przez całe przedpołudnie będę sam. Nadal widzę spadające w przestrzeń ciało. Karaluch siedzi cicho. Uciekł? Knuje zemstę? Zasnął i śni o apetycznych karaluszych udach i duszonych odpadkach? Podobno na jednego karalucha, którego się przyłapie, przypada dziewięćdziesięciu jego ziomków, których nie widać.

Siedzą pod podłogą, w zagłębieniach, za szafkami. Pod futonami. Biedna mama, pewnie liczy, że pomyślę: „dobra, jak mieliśmy po trzy lata, podrzuciła nas do wujka, ale co było, to było. Z samego rana zadzwonię do niej”. Za nic w świecie! Nie ma mowy! Wydaje mi się, że dociera do mnie tokijski gwar. Swędzi mnie szyja. Drapię się. Swędzą mnie plecy. Drapię się. Swędzi mnie w kroczu. Drapię się. Gdy Tokio naprawdę się obudzi, cała nadzieja na sen przepadnie. Wentylator miesza upał. Jak ona śmiała napisać do mnie taki list. Kiedy szedłem spać, byłem zmęczony. Co się stało?

– Ostatni piątek – mówi Suga. – Ale radocha! A jutro – wolność, MSZ, powinieneś wrócić do szkoły, Mijake. To coś więcej niż praca dla samego utrzymania. – Tak naprawdę nie słucham, co mówi – dzisiaj, po tym wszystkim, jak dowiedziałem się, że matka chciała mnie wyrzucić przez balkon, kiedy miałem trzy lata – ale kiedy słyszę, jak znowu wypowiada to słowo, nastawiam ucha. – Dlaczego raz po raz używasz tego sformułowania?

Suga udaje, że nie wie, o co chodzi. – Jakiego sformułowania?

– MSZ.

– Ach, przepraszam – odpowiada Suga, ale tak, jakby wcale nie przepraszał – zapomniałem.

– O czym niby?

– Większość moich przyjaciół to e–przyjaciele. Hakerzy tak samo jak ja.

Posługujemy się własnym językiem, nie. „MSZ” znaczy „moim skromnym zdaniem”. Na przykład, „uważam, że...”. W pytę słówko, a nie?

Odzywa się telefon. Suga patrzy, ja podnoszę słuchawkę.

– Jesteśmy z siebie zadowoleni, Mijake? – znany mi głos aż kipi ze złości.

– Pan Aojama?

– Pracujesz dla nich, tak?

– Ma pan na myśli stację Ueno?

– Przestań się zgrywać! Co mam na myśli, to mam! Wiem, że pracujesz dla konsultantów!

– Jakich konsultantów, proszę pana?

– Powiedziałem ci, żebyś przestał się zgrywać! Przejrzałem cię! Do mojego biura przyszedłeś powęszyć. Podkraść. Podpatrzeć. Znam te twoje gierki. A przedwczoraj urządziłeś prowokację. Chodziło o to, żeby wyciągnąć mnie z biura, kiedy moje pliki będą kopiowane. Teraz wszystko się składa. Jasne. Zaprzecz! No, spróbuj zaprzeczyć!

– Przysięgam, panie Aojama, że to jakaś pomyłka...

– Pomyłka? – Aojama krzyczy. – A pewnie, masz rację! To największa pomyłka w twoim perfidnym życiu! Służyłem w Ueno, kiedy jeszcze nie było cię na świecie! Ja mam przyjaciół w ministerstwie transportu! Studiowałem na poważnym uniwersytecie. – Już chyba nie dałoby się krzyczeć głośniej, ale Aojama krzyczy. – Jeżeli twoi zwierzchnicy sądzą, że można mnie „przesunąć” gdzieś na mróz, na koniec linii do Akita, to bardzo poważnie się mylą! Już dawno minęły czasy, kiedy musiałem się płaszczyć! – Przerzywa, z trudem chwytając powietrze i przystępuje do końcowego ataku. – Ueno ma swoje standardy! Ueno ma systemy! A jak ci twoi zwierzchnicy, którzy na niczym kompletnie się nie znają, a wtykają nos w nie swoje sprawy, te pasożytujące szumowiny, jak chcą ze mną wojny, to będą ją mieli, a w tym, krzyżowym ogniu ty pierwszy przepadniesz!

Odkłada słuchawkę.

Suga spogląda na mnie. – O co chodziło?

Dlaczego ja? Dlaczego zawsze ja? – Nie mam pojęcia.

* * *

– Jak niby mam to powiedzieć taktownie? – Pan Ikeda chodzi w tę i z powrotem, wygłaszając podczas przerwy krótką mowę zagrzewającą do walki. – Chłopcy. Jesteście kompletnie, ale to absolutnie do dupy. Gracie bezładnie. Nie jak ludzie.

Nawet nie jak ssaki. Wstyd. Aż szkoda tego paliwa zmarnowanego na podróż, obrzydliwe. Niedowidzące leniwe kaleki. Możemy dziękować, że przeciwnik cudownym zrządzeniem losu jeszcze nam nie wbił dziewięciu bramek, a temu zrządzeniu na imię Mitsui. – Mitsui żuje gumę, despotycznie rozkoszując się smakiem zaszczytu. Jest utalentowanym i agresywnym bramkarzem – na szczęście nie starcza mu wyobraźni, by ten despotyzm przenieść na boisko. Ojciec Mitsui jest najbardziej znanym alkoholikiem na Jakuszimie, nasz bramkarz od wczesnego dzieciństwa wiedział więc, co to są loty pocisków balistycznych. – W bardziej cywilizowanej epoce – ciągnie dalej Ikeda – mógłbym zażądać, by cała reszta popełniła seppuku. Tak czy inaczej, jak przegramy, i tak ogolicie sobie głowy na znak hańby. Obrona. Mimo mężnej postawy pana Mitsui, ile razy przeciwnik trafił w poprzeczkę? Nakamori?

– Trzy razy, proszę pana.

– A w słupek?

Ssę swoją ciepłą pomarańczę, poprawiam nagolenniki i patrzę, jak wygląda pogadanka u drużyny przeciwnika – ich trener śmieje się. Stęchlizna zalatująca od chłopców i od piłkarskiego rynsztunku. Zepsute popołudnie. Wulkan wypuszcza kłęby dymu. – Mijake? A w słupek?

– Yyyy, dwa razy, proszę pana. – Chyba.

– Yyyy, dwa, proszę pana. Yyyy, tak. Yyyy, „Nakajama środek pola” znaczy „środek boiska”, a nie „środek pola karnego”. Atak oznacza, że atakujemy bramkę przeciwnika. Ile razy ich bramkarz miał kontakt z piłką? Nakamura?

– Nie za często, proszę pana.

Ikeda masuje sobie skronie. – A dokładnie, ani razu proszę pana! Ani razu!

Zdażył umówić się na trzy randkę z trzema różnymi cheerleaderkami! Słuchajcie no! Ja nagrywam ten mecz na wideo! Chłopcy, jutro mam urodziny. Jak nie dacie mi bezbramkowego wyniku, to mój gniew popamiętacie do śmierci. W drugiej połowie wiatr będzie nam sprzyjał. Wasze zadanie to wkopywanie piłki w pole i przetrzymywanie. I jeszcze jedno, nie dopuścić do karnego. Wczoraj w nocy upiłem ich trenera, i on się chwalił, że ich zawodnik wykonujący rzuty karne nigdy nie chybia. Nigdy. I pamiętać, że jak poczujecie, że wam nóżki słabną, to nie radzę się migać, bo moja kamera widzi wszystko.

Sędzia dmuchnięciem w gwizdek rozpoczyna drugą połowę. Po trzech sekundach tracimy piłkę. W momencie przypomina mi się moja umowa z bogiem.

Strasznie się przydał. Staram się jak najlepiej wypaść przed kamerą Ikedy – uganiem się, krzyczę: „Strzelaj!”, jęczę i ogólnie rzecz biorąc, jak najzręczniejszym unikam piłki. – Przytrzymaj i uderz! – krzyczy Ikeda. Nasze ustawienie 4–3–3 załamuje się i przekształca w 10–0–0, a nasze pole karne przypomina pełną kopnięć, wrzasków i przekleństw planszę pinballa. Symuluję widowiskową kontuzję, ale nikt nie zwraca na to uwagi – Mitsui raz za razem popisuje się kapitalną obroną, śmiałym wyrzutem, walką w wyskoku. – Na

pozycje! – krzyczy Ikeda. Gdybym tylko był taki dobry jak Mitsui. Już jutro dostałbym państwowe certyfikaty sportowe. Przeciwnik raz po raz przeprowadza atak, ale dzięki tłumowi obrońców mamy szczęście. Lekki wiaterek przybiera na sile. Odważnie skaczę do pojedynku główkowego i wygrywam, ale piłka uderzona czubkiem głowy, spada w głębi naszej połówki. W pewnym momencie mam zrobić wrzut z autu, ale sędzia gwizdże, że jest faul – nie wiem, dlaczego, ale nagroda od Ikedy i tak mnie nie minie. Nakatani i Nakamura, nasi czołowi strzelcy, dostają żółte kartki, bo się pobili. Odwracam się i łup, piłka odbija mi się od twarzy. Róg. – Kretyni! – krzyczy Ikeda. Walczę na łokcie z dwa razy od mnie wyższym chłopakiem: ma mutację i mord w oczach. Ząb, który prawie mi się ruszał, nagle rusza się bardzo. Mitsui popisuje się odważną paradą. Pomocnik tamtych podaje na Nakatę, naszego skrzydłowego, który podcina napastnika. Nakajama przejmuje piłkę w locie, wykopuje ją w pole, gdzie przechwytuje ją wiatr, a my wszyscy rzucamy się za nią z okrzykiem „banzai!” – Na pozycje! – krzyczy Ikeda. Mój ząb trzyma się już tylko krawędzi dziąsła. Tamten chyba pada. Słabniemy. Słyszę fanfary. Tamci napierają murem – mają piłkę – pułapka? – Pułapka! – krzyczy Ikeda. Brakuje mi już tchu, ale biegiem wracam, mając nadzieję, że zapracuję na krztynę litości w rozprawie po niewykorzystanej sytuacji. Mitsui rusza, żeby skrócić kąt, i drze się na całe gardło.

Już nic nie zatrzyma napastnika tamtych, który składa się do strzału. Słyszę chrupnięcie kości – nie mogąc w porę wyhamować, wyskakuję jak z trampoliny ponad głowami – butem ścinając czyjś skalp – z impetem lecę do przodu i bezwiednie szoruję szczupakiem po wysypanej piaskiem pustej bramce, chwytając rękami piłkę i zatrzymując ją tuż przed linią bramkową.

Raptownie zapada cisza.

Gwizdek sędziego przewierca mi głowę. Czerwona, kartka dla Mitsui, żółta dla mnie, nosze i karetka dla strzelca tamtych, słowne cięgi od Ikedy, kara dla przeciwnika i dodatkowy problem dla naszej drużyny. Zostajemy bez bramkarza.

Przybywa Ikeda w chmurze obelg i zaczyna warczeć ze swego rydwanu gniewu. – Dość dobrze wypadłeś, Mijake, w samą porę tę rękę. Ty idziesz na bramkę. – Koledzy z drużyny chwytają tę propozycję z szybkością pożaru wybuchającego w buszu. Owca złożona w ofierze głosu nie ma. Wlokę się na bramkę. Pozdzierałem skórę na udach i kolanach. Na polu karnym mur zawodników drużyny przeciwnej.

Wokół mnie, z jednej i z drugiej strony, zieje pusta przestrzeń. Stojący przy piłce zawodnik tamtych pożera mnie wzrokiem, nawijając na mały palec kosmyk włosów jak szczurzy ogon. Bębnią sekundy. Coraz wolniej. Gwizdek. Świat tężeje.

I oto nadchodzi. On. Bóg piorunów. Pamiętasz? Zawarliśmy umowę.

* * *

Suga opróżnia zawartość swojej szafki do torby. Słyszę policyjne syreny. Kiedy to? Dopiero wczoraj. Długi korytarz przechodzący przez biuro rzeczy znalezionych łączy dwa skrzydła Ueno, toteż zawsze jest raczej zapchany – ale i tak słyszemy nadzwyczajne zamieszanie i wychylamy się zza lady, żeby zobaczyć. Sunie kawalkada ekipy telewizyjnej – prezenter, kamerzysta stacji NHK naszpikowany obiektami, dźwiękowiec z mikrofonem na wysięgniku i młody człowiek z czymś na rolkach. Nie jest to ekipa z typowej lokalnej stacji filmującej na łapu–capu. Wyraźne poczucie

misji toruje im drogę w nadciągającym tłumie pasażerów dojeżdżających do pracy. – Pozory warte głębszego zbadania – odzywa się Suga. – Zostań na stanowisku, Mijake. Czuję w powietrzu skandal. – Czmycha. Dzwoni telefon. – Biuro rzeczy znalezionych? Dzwonię w sprawie peruki mojego przyjaciela. – O rany, peruk to mamy tysiące.

Na szczęście chodzi o wyzywającą perukę ozdobioną cekinami, więc łatwo znajduję ją w ciągu pięciu minut, jakich potrzebuje Suga, żeby wrócić. – Aojama dostał hyzia! – krzyczy Suga, podniecony plotką. – Obwody mu popaliło! I to ostatniego dnia, jak tu jestem!

– Aojama? – Przypominam sobie rozmowę telefoniczną.

– Dzisiaj opublikowano sprawozdanie. Ludzie z samej góry z Tokio postanowili go odsunąć. Wszystkie duże stacje w Tokio zostały przetrzepane przez nowego naczelnego, a Aojama jest symbolem starej szkoły nietykalnych. Konsultant – facet, który przez dziesięć lat uczył w Harvard Business School – przekazał mu tę wiadomość w obecności zgrai facetów ze średniego personelu kierowniczego. Jak na seminarium pod tytułem: „Jak kogoś zdegradować”.

– Okropne.

– Nie tak bardzo, jak to, co się stało potem. Aojama wyciąga kuszę, nie...

– Kuszę?

– Kuszę, i celuje prosto w pierś konsultanta, nie. Każe, żeby wszyscy wyszli, z wyjątkiem jednego z nich, jeśli nie chcą widzieć, jak bełt przebija ludzkie serce.

Ale szął. Wtedy Aojama rzuca temu, co pozostał, szpulę z liną do wspinaczki i każe mu przywiązać konsultanta do krzesła. Potem

każe tamtemu drugiemu wyjść.

Zanim ochronie udaje się wejść, Aojama zamyka drzwi od środka.

– I czego chce?

– Jeszcze nie wiadomo. Wezwano policję, więc i telewizja przyjechała. Sam dyrektor był na górze i próbował wylic dziennikarzy, ale bez względu na to i tak będziemy wiadomościach wieczornych! Ale odjazd. Zaraz chyba tu będzie oddział antyterrorystyczny z negocjatorami w kamizelkach kuloodpornych. W Ueno takich afer nigdy nie było. A tu numer na skalę krajową!

* * *

Rzucam się w lewo, ale już wiem, że piłka skręca w prawo. Uderzam ciałem o ziemię, że aż tracę oddech, kości trzeszczą, przeciwnik drze się na całe gardło.

Wypluwam ząb. Leży tam, coś, co nie jest już częścią mnie. Biały, z plamką krwi.

Po co w ogóle wstawać? Za nic. Przepadł mecz, przyjaciele, moja piłka nożna, sława, nadzieje, że odnajdę ojca – wszystko oprócz Andżu. Po co w ogóle ruszałem się z Jakuszimy. Mieszkańcy wyspy nigdy nie zapomną mi tej hańby. I jak teraz wrócić? Leżę upapwany w bramce – jeżeli się tu rozbeczę, to jak...

– Wstawaj, Mijake! – to Nakamori, kapitan drużyny.

Podnoszę wzrok. Chłopak ze szczurzym kosmykiem łapie się za głowę.

Drużyna przeciwnika sztywno oddala się. Patrzą na naszą bramkę. Pusta. Gdzie piłka? Dociera do mnie, co się stało. Piłka poszła bokiem. Bóg piorunów czochra mi włosy. Dziękuję ci. Dziękuję. Ustawiam piłkę, żeby ją wykopać od bramki. Czy mój

nadprzyrodzony opiekun zarezerwował mi jeszcze trochę szczęścia na dalsze dwadzieścia pięć minut? Błagam. – Ładna obrona – rzuca drwiąco pomocnik tamtych. – Na pozycje! – krzyczy Ikeda. – Dalej, dalej, dalej! – Rozglądam się za jakąś przyjazną twarzą w naszej drużynie, ale żaden z chłopaków nie patrzy w moją stronę, żebym przypadkiem nie podał mu piłki. Co robić? Wiatr wzmaga się.

– Słuchaj – składam ślubowanie – pozwól mi być takim bramkarzem jak Matsui, tylko na ten mecz, a moja przyszłość należy do ciebie. Wiem, że to ty przed chwilą mnie uratowałeś, więc nie odwracaj się teraz ode mnie. Proszę. Proszę. – Cofam się o kilka kroków, odwracam, robię trzy głębokie wdechy, biorę rozbieg i... wykop, idealnie czysty, potężny, atomowy, boski. Bóg piorunów przechwytuje piłkę na wysokości domów i podbija ją nad boiskiem. Piłka szybuje nad piłkarzami przeciwnika. Ich obrońcy wciąż cofają się truchtem na swoją połowę, nie zdając sobie sprawy, że wykop z bramki został już wykonany. Widzowie patrzą z rozdziawionymi gębami. Piłkarze się rozglądają, zastanawiając się, gdzie piłka.

Bramkarz tamtych właśnie robi sobie fotkę z dziewczyną i zanim zdąży się zorientować, że potrzebna jest jego interwencja, piłka spada na ziemię. Rzuca się przerażony. Piłka odbija się, przelatuje nad jego głową i południowy wiatr wpycha ją za jego plecami do siatki.

* * *

Spacer z Kita Sendzu do Mknącej Gwiazdy zwykle oczyszcza mi umysł, ale tym razem nie mogę opędzić się od myśli o Aojamie uwięzionym we własnym biurze, Aojamie, który celuje z kuszy w głowę jakiegoś kierownika w czerwonych szelkach i garniturze w prążki. Suga został jeszcze po pracy, ale ja chciałem już zmykać.

Nawet się z nim nie pożegnałem. W Mknącej Gwiazdce Buntaro, przyklejony do telewizora, wsuwa łyżeczką lody orzechowe. – No, no, Mijake. Jesteś zwiastunem katastrofy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Popatrz w telewizor! Takie rzeczy w Ueno się nie działy, zanim nie zacząłeś tam pracować. – Siadam przed ekranem, wachlując się baseballówką. Kamera robi najazd na biuro Aojamy w ujęciu zrobionym chyba z hotelu Terminus. Story zaciągnięte. „Obleżenie na stacji Ueno”. – W tej chwili absolutnie nie ma mowy o wejściu przy użyciu siły – zapewnia policjant grono dziennikarzy.

– Usypiają jego czujność – mówi Buntaro. – Co to za typ według ciebie, ten Aojama? Bardziej wygląda na faceta bliskiego szaleństwa, czy na kogoś, kto wygłupia się dla rozgłosu?

– Bo ja wiem... zwykły nieszczęśnik – odpowiadam. A ja naplułem do jego czajnika. Wlokę się do siebie na górę.

– Nie popatrzysz?

– Nie.

– Aha, przy okazji. Chodzi o twojego kota. Kotkę.

Rzucam badawcze spojrzenie. – Znalazłeś właściciela?

Buntaro zerka jednym okiem na telewizor. – Nie, chłopcze, to ona znalazła swojego stwórcę. Chyba że ukrywała gdzieś wcześniej bliźniaczkę, o której ci nie mówiła. Czysty przypadek. Jadę sobie dzisiaj rano rowerem i co widzę przy studziencie ściekowej obok Lawsona? Martwy kot i bzyczące muchy. Czarny, z białymi łapami i ogonem, obróżka w kratkę ze srebrnym dzwoneczkiem, jak ułał pasuje do twojego opisu. Zrobiłem, co do mnie należy, i zadzwoniłem do administracji, kiedy tu dotarłem, ale ktoś już to uprzątnął. Nie mogą pozwolić, żeby takie rzeczy walały się na ulicy w tym upale.

To najgorszy z najgorszych dni.

– Przykro mi, że jestem zwiastunem nieprzyjemnych wiadomości i w ogóle.

Nie, to znaczy drugi w kolejności, jeżeli o to chodzi.

– To tylko kot – mamroczę pod nosem. Wchodzę do kapsuły, siadam i najwyraźniej mam ochotę tylko na wykończenie paczki dunhillów. Nie chce mi się oglądać telewizji. Kiedy wracałem z Kita Sendzu, kupiłem kubek makaronu i koszyk gąbczastych truskawek, ale apetyt mi przeszedł. Teraz nasłuchuję, jak ulicę wypełnia wieczór.

* * *

Gdy następnego dnia rano prom wiezie nas na Jakuszimę, wyspa nie odzyskuje w pełni swoich pierwotnych rozmiarów. Tego dnia słońce wszystko wygładza, potęgując jednak wrażenie, że ogromna wyspa jest tylko modelem sporządzonym w jakiejś skali. Wypatruję Andżu na falochronie. I kiedy tak jej szukam i nie mogę znaleźć, trudno mi oprzeć się wrażeniu, że rozpierająca mnie radość nie jest pełna. Andżu to prawdziwy talent, jeżeli chodzi o sztukę dąsania, ale trzydzieści sześć godzin na jej uprawianie, to mnóstwo czasu, nawet jak na moją siostrę. Rozsuwam zamek mojej torby – na meczowym trofeum lśni wizerunek mężczyzny. Szukam wzrokiem świątyni boga piorunów na urwisku – i tym razem udaje mi się.

Pasażerowie wysypują się na trap, koledzy z drużyny znikają w oczekujących na nich samochodach. Macham na pożegnanie. Pan Ikeda klepie mnie po ramieniu i naprawdę uśmiecha się. – Podrzucić cię?

– Nie, dziękuję panu, siostra wyjdzie mi na spotkanie.

– Dobra. Jutro przede wszystkim trening. I jeszcze raz, dobrze się spisałeś, Mijake. Zmieniłeś losy meczu. Trzy zero! Trzy zero! – Ikeda nadal nie może się nacieszyć, że się odkuł. – To skasowało ten zasrany szyderczy uśmieszek z zasmarkanej twarzy tego kretyna, ich trenera! Mam na wideo tę jego rozpacz!

Idę z portu do głównej ulicy, przez stary most i dalej do przesmyku w dolinie, i przez całą drogę kopię jeden i ten sam kamień. Posłusznie spełnia każde moje życzenie. Pola ryżowe odbijają promienie słońca. Widzę pierwsze ważki. To dopiero początek długiej drogi. Na jej końcu jest Puchar Świata. Opuszczone domy patrzą pustymi oczodołami okien. Przechodzę przez półkolistą bramę i zastanawiam się, czy nie pobiec na górę, żeby od razu podziękować bogu piorunów – ale najpierw chcę zobaczyć Andżu. Most wiszący dygoce pod moimi stopami. Po zawietrznej mała chmurka w kształcie ryby. Andżu na pewno jest w domu i pomaga babce przygotować lunch. Nie ma się czym martwić. Rozsuwam frontowe drzwi.

– Wróciłem!

Odgłos kroków Andżu...

Nie, to tylko ten stary dom. Sądząc po butach, babki także nie ma. Pewnie poszły odwiedzić Wujka Asfalta, ale jakoś nie zauważyłem ich koło nowego budynku portowego, kiedy rozmawiałem z panem Ikedą. Nalewam sobie szklankę mleka i rzucam się na kanapę. Przymykam oczy i pod powiekami widzę idealną parabolę, jaką kreśli piłka, przelatując nad wulkanem i dalej pod jakąś odległą poprzeczką.

* * *

– Mijake! – Oczywiście Buntaro. Zbyt raptownie unoszę głowę i

nadwerzęzam ścięgną w karku. Walenie do drzwi mojej kapsuły. – Chodź prędko! Prędko! Już! – Zbiegam z hałasem na dół, gdzie wokół telewizora tłoczy się grupka klientów Buntara. Na ekranie biuro Aojamy od zewnątrz. Powyżej ścieżka z napisami: „Relacja na żywo z centrum kryzysowego na stacji Ueno, gdzie trwa akcja odbicia zakładnika”. Zdjęcia wykonane przy pomocy kamery pracującej w ciemności – jasne kolory na pomarańczowo, ciemne na brązowo. Nawet nie muszę pytać, co się dzieje, bo komentator o wszystkim informuje. – Podnosi się stora! Otwiera się okno i widać... postać... pana Aojamy... tak, to on, mogę potwierdzić, że osoba wychodząca przez okno to pan Aojama... staje na gzymsie... z tyłu widać światło...

proszę chwilę poczekać... otrzymuję... – W tle słysząc zakłócenia radiowe – ...Konsultant nie doznał obrażeń! Policja wkroczyła do biura. Wyłamali drzwi czy też... tak, wygląda na to, że Aojama honorowo obiecał, że nie... ale pozostaje pytanie... Ach, zapewne nie zamierza skoczyć... Twarz w oknie, mogę potwierdzić, że to oficer policji, który usiłuje nawiązać rozmowę z Aojamą... jest to sytuacja, w której ma do czynienia z bardzo wzburzonym człowiekiem... będzie mówił, że...

Aojama skacze z gzymsu.

Aojama już nie żyjący, ale jeszcze nie martwy.

Jego ciało obraca się saltem i długo, bardzo długo spada.

* * *

Budzą mnie kroki na korytarzu. Otwieram oczy – moje trofeum błyszczy na stole, dowód, że całe to fantastyczne popołudnie nie przyśniło mi się. Wieczór rozświetla zniszczony, wyłożony drewnem pokój, w którym moja matka i wujkowie spędzili swoje dzieciństwo.

I oto moja babka w towarzystwie pana Kirina, jednego z czterech oficerów policji na Jakuszimie. – Wróciłem – mówię struchlały. – Wygraliśmy. Babka nie zwraca na to uwagi. – Czy Andżu mówiła, że gdzieś się wybiera?

– Nie. A gdzie ona jest?

– Jeżeli kłamiesz, to ja, ja, ja...

Pan Kirin delikatnie pomaga mojej babce usiąść i zwraca się do mnie. – Eidzi...

Zbiera mi się na wymioty. – Co się stało z Andżu?

– Wygląda na to, że uciekła...

Wie coś jeszcze.

– Nie mogłaby, nie mówiąc mi ani słowa. Nigdy.

Babce łamie się głos. – Więc co ci powiedziała? Mnie mówiła, że wybiera się na wczorajszy wieczór do Wujka Asfka. A on w porze lunchu mi dzwoni, by dowiedzieć się, dlaczego zmieniła zdanie. Jeżeli to jest jakaś wymyślona przez was zabawa, to się doigraliście! – Pan Kirin siada na drugim krańcu kanapy – Teraz zastanów się, Eidzi. Czy macie jakieś tajne miejsce, do którego ona mogłaby pójść?

Pierwsza myśl to drzewa. Potem wraz z myślą o kamiennym wielorybie pojawia się przyprawiająca o mdłości pewność. Chciała się na mnie odkuć. Jej kostium kąpielowy... Pędzę na górę. Otwieram naszą szufladę. Miałem rację – zniknął. Przypomina mi się obietnica, jaką złożyłem bogu piorunów. Możesz żądać ode mnie wszystkiego, co mogę ci ofiarować. Bierz. Pan Kirin staje w drzwiach do sypialni. – Co jest, Eidzi–kun? – Szukajcie w morzu – wyrzucam z siebie, zanim wszystko się zapada.

* * *

Dochodzi piąta, podpowiada Fujifilm. Wstaję i sikam. Z łazienkowego lustra spogląda na mnie odbicie lekko zaskoczonego trutnia. Chce mi się palić. Paczka dunhillów pusta, ale znajduję jeszcze jednego, który potoczył się pod deskę do prasowania. Zapalam od piecyka gazowego i przechodzę na balkon. Świt szkicuje kontury i wypełnia je kolorem. To dalej, to bliżej słysząc huczenie Tokio. A więc tak skończył pan Aojama. Był w niedoczasie, więc skoczył. Usuwam z kubka z wodą grzyba i przygotowuję sobie filiżankę rozpuszczalnej kawy. Wychodzę na balkon z fotografią Andżu i tam piję w jej towarzystwie. Myślę o liście od matki i rozstrzygnięcie samo się nasuwa. Czy powinienem? Muszę dzisiaj pozmywać. Zaglądam do motelu-pułapki. Karaluch uciekł. Zostawił po sobie tylko nogę i plamę karaluszego łajna. Zbieram naczynia do zmywania i starannie układam je w stos. Stroję gitarę i przelatuję kilka akordów bossa novy, ale te wszystkie rozświetlone słońcem tchnienia nie oddają tego, co czuję. Dobra, mam. Będziesz moim planem B. Dam ci wszystko, czego chcesz, jeżeli powiesz mi, jak znaleźć ojca. Jest prawie szósta. Wcześniej, ale przecież ludzie w szpitalach wcześniej wstają. I w tym rzecz. Zanim zdążę zmienić zdanie, wykręcą numer.

– Dzień dobry. Klinika Górska Mijazaki.

– Dzień dobry. Mogłaby mnie pani połączyć z pokojem Mariko Mijake?

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Za wcześniej?

– Za późno. Pani Mijake wypisała się wczoraj wieczorem.

O, nie. – Jest pani pewna?

– Najzupełniej. Wzięła sobie nawet ręcznik na pamiątkę.

– Mówi jej syn. Muszę się z nią skontaktować. To pilne.

– Nie wątpię, ale nasi goście, gdy postanawiają od nas odejść, już nie zwlekają.

– Czy zostawiła jakiś adres?

Nawet nie próbuje udawać, że sprawdza. – Nie.

– W jakim była stanie?

– Musiałby pan porozmawiać z jej lekarzem...

– O której on zaczyna pracę?

– To kobieta. Ale dr Suzuki nie ma w zwyczaju omawiać z kimkolwiek stanu swoich pacjentów. Nawet z ich dziećmi.

Gdybym tylko zadzwonił wczoraj, gdybym, gdybym – Czy miała pani z nią kontakt?

– Z panią Mijake? Oczywiście. Jestem tu pielęgniarką.

– Mogłaby mi pani powiedzieć, czy... wszystko było z nią w porządku? – To zależy od tego, co pan rozumie przez „w porządku”.

– No cóż, bardzo mi pani pomogła. Wielkie dzięki.

– Z największą przyjemnością, proszę pana – odcina się za moją ironię pielęgniarka.

Trzask, sygnał, trzask, puuuu...

Plan B pada. Kursują pociągi i czuję, że jestem kompletnie przebudzony, ale jest jeszcze za wcześnie, żeby iść do pracy. Co za noc. Bardziej noc maltretowania niż wspomnienia. Tylko godzina spokoju, między jedenastą a północą, kiedy Buntaro zawołał mnie później na papierosa. Pogawędziliśmy sobie chwilę. Prawie zapomniałem, że to mój gospodarz–krwiopijca. Wkładam do diskmana Plastic Ono Band i kładę się na futonie, tylko na chwilę. Głębokie tony dzwonów i dudnienie rytmu.

Plastic Ono Band dawno się skończył, kiedy do moich snów zakrada się jakiś podkład dźwiękowy. Najpierw wydaje mi się, że to

coś kapie, ale potem czuję, jak ona układa się w kłębkę mojego ciała. Otwieram oczy. – Cześć. – Zamiast mówić, kraczę. – Myślałem, że miałaś już nie żyć. – Ziewa, nie zważając na to, co myślę bądź myślałem. Patrzy na mnie iskrzącymi się brązem oczami Kleopatry.

* * *

Włókna w szyi boga piorunów pękają, trzaskają i krzyczą. Nadal się go trzymam – nie spodziewałem się, że tak szybko puści. Głowa odpada, piła ze stukotem leci w dół, zbyt gwałtownie przenoszę ciężar ciała, tracę równowagę i ześlizguję się pomiędzy jego plecami a ścianą świątyni. Tak długo chyba jeszcze nie spadałem. Uderzam o podłogę świątyni, że aż tracę oddech. Kręgosłup mam cały, ale przez godzinę będę chodzącym kalectwem. Głowa mojego wroga to czy się i wreszcie nieruchomieje w spoczynku, i leży, drewniana na drewnianej podłodze, i na mnie patrzy. Nienawiść zemsta, zazdrość, gniew – wszystko poskręcane w jednym zapętleniu i ciasno ściągnięte. Wokół nosa mam rozmazaną krew. Za cicho w tym lesie. Nikogo z dorosłych, nie ma samochodu policyjnego, nie ma babki. Kos zamilkł. Tylko z oddali armatni grzmot oceanu atakującego skały. Bogowie tworzą jeden rodzinny klan, który od dziś knuje przeciwko mnie spisek. Zanosi się na to, że będę miał w życiu pecha. Niech i tak będzie. Wstaję.

Podnoszę głowę, piastując ją w ramionach jak niemowlę, i niosę na zewnątrz, na skraj skalistego urwiska. Fale przewalają się przez grzbiet kamiennego wieloryba, wzbijając tuman pyłu. Raz–dwa–trzy – do samego końca patrzę, jak spada odcięta głowa boga piorunów. Wreszcie znika w białym pióropuszu. Ja także muszę teraz zniknąć.

Trzy GRY WIDEO

Przez mgnienie oka widzę, jak mój ojciec zostaje wepchnięty do nieoznakowanego vana zaparkowanego po drugiej stronie boiska do baseballu.

Wszędzie bym go rozpoznał. Tłucze w tylną szybę, ale van jest już za bramą i znika w zasnutym dymami tokijskim rumowisku. Podbiegam do naszego patrolowego stratomotoru, zdejmuję baseballówkę i kładę ją na konsoli. Zizzi błyska do mnie miętowym uśmiechem i odjeżdżamy z warkotem. Obok nas suną lawendowe chmury. Wycelowuję swój pistolet w uczniaka wielkości ziarnka pieprzu, przynajmniej raz pozory nie mylą. Otwiera się szklany dach ciemnego cadillaca i wyskakuje gangsterohomar. Bang. Gdzie nie spojrzeć, tam osłony i szczypce. Dziurawię tylną szybę kulami i pojazd eksploduje paletą płomieni. Van skręca z głównej drogi w stronę lotniska. W podziemnym przejeździe sieka nas na kawałki ambulans – wymachujący skalpelem medyk wskakuje na maskę naszego samochodu, gałki oczne aż kipią nienawiścią! I po jajach! Bang! Rzyga na maskę!

Bang! Mutant ślania się, ale nie chce zdechnąć. Bang! Kosi go wielka tablica reklamowa. Przeładowuję. – Ty jesteś mój top gun – nuci pod nosem Zizzi.

Wpadamy na lotnisko i jeszcze udaje nam się zobaczyć, jak włoką mojego ojca do cessny koloru waniliowego. Nie ośmielam się strzelać do porywaczy, bo mogę chybić. Potężny helikopter przysłania słońce. Po linie zsuwają się na ziemię zombi.

Rozwalam je na miazgę całymi dziesiątkami, lecz śmiercionośna

kaszka zbyt szybko mi topnieje. – Zax, kochanie! – mówi Zizzi – Megagiwery w McDonalddie! – Kieruję ogień w stronę emblematów z złocistymi łukami i inkasuję szybkostrzelną bazookę, model z dwudziestego trzeciego wieku. Tnie jak kosa. Niebawem trasę ucieczki zaściela sterta drgających w konwulsjach kończyn. Gradem kul zasypuję helikopter, aż wreszcie pikuje w stronę cystern z paliwem. Świat staje w płomieniach purpurowo-czerwonych eksplozji benzyny. – Droga wolna! Zax! A teraz za porwaczami twojego ojca, do ich laboratorium! – wzbijamy się w powietrze w pogoni za cessną – trzaskam parokrotnie spustem, żeby pominąć wstęp. Wchodzimy do podziemi. W kanałach ściekowych cicho. Za cicho. Nagle wyłania się gigahydra o dziewięciu głowach osadzonych na wijących się, ociekających śluzem szyjach. Bang! Ścinam jak kapustę. Przeładowuję. Ale z kikuta już wyrastają dwa nowe łby. – Usmaż potwora! – krzyczy Zizzi, więc celuję w tułów bestii miotaczem płomieni. Fuuuuu! Kurczy się jak suszona śliwka we wstędze truskawkowego ognia. Białoliliowa Lilith raz Bang! I już po niej. Mrowie cyberszerszeni – bangbangbangbang – przeładowuję. Jednak zginąć mam z własnej ręki. Tunel zwęża się i kończy ślełą ścianą. Ze zgrzytem otwierają się niewidzialne drzwi – w nich sylwetka naukowca. – Synu! Odnalazłeś mnie! Nareszcie! – odprężam się i opuszczam dłoń, w której trzymam broń. – W samą porę! – odrywa sztuczną brodę i przekształca swoją aktówkę w miotacz granatów. – Żeby dać się zabić! – ziarnisty mrok tonie w mrowiu inteligentnych pocisków, reagujących na temperaturę mojego ciała. Bangbangbangbang! Większości z nich nie udaje mi się trafić, tak samo jak nie udaje mi się nawet wziąć na cel oszusta, który do mnie strzela. Purpurowe piksele krwi – zapasu mojego życia

bryzgają po całym ekranie. – Zax – prosi mnie błagalnie siostra – nie zostawiaj mnie tutaj – wrzuc monetę na dalszą grę. Kochany, nie przerywaj teraz.

* * *

– Kochany – przedrzeźnia mnie ktoś znad mojego ramienia, nie przerywaj teraz! – Odkładam pistolet i odwracam się, by stawić czoło świadkowi moich poczynań, niemrawo wyrażającemu swoją pochwałę. W pierwszej chwili przychodzi mi na myśl, że jest cokolwiek za elegancki jak kogoś, kto przesiaduje po centrach gier.

Starszy ode mnie, gładko zaczesane włosy ściągnięte w kucyk, w uchu kolczyk. Wygląd gwiazdy pop. – Pierwszy raz w podziemiu, co? – tym razem w jego głosie słyszeć prawdziwego tokijczyka.

Przytakuje kiwnięciem głowy. Rzeczywistość wsącza się miękkim montażem.

– Tak samo było ze mną, jak pierwszy raz byłem w podziemiu.

Łomotanie lasera, wycie wampira, klekotanie monety, katarynkowa muzyka z wideo. – Aha.

– Widzisz ojca, to odkładasz broń. Paskudna sztuczka! Następnym razem zastrzel jajogłowca od razu, jak go zobaczysz. Na to trzeba dziewięciu strzałów.

– Cóż, przepraszam, że mnie ukatrupili i że ci zepsułem zabawę.

Co za niedbałe wzruszenie ramionami. – Twój los i tak od samego początku jest przesądzony. Wrzucasz kolejne monety i jedynie odwlekasz koniec, ale na dłuższą metę wideo zawsze wygrywa.

Ostatni niedopałek marlboro skonał w popielniczce. – Bardzo chytre.

– Właściwie to czekałem w hali na górze na dziewczynę. Ale

wygląda na to, że sobie pogrywa w „jak kocha, to poczeka”. Zszedłem tylko na dół, żeby się upewnić, czy czegoś nie popieprzyła i czy nie czeka na zewnątrz. Jak zoczyłem, że Zax Omega i czerwona zaraza na Księżycu tak cię wciągnął, to już musiałem zostać i popatrzeć. Wiedziałaś, że jak się koncentrujesz, to wysuwasz język?

– Nie.

– To gra dla dwóch osób, serio. Dwa tygodnie straciłem na to, żeby ją rozgryźć.

– To pewnie majątek wydałeś.

– Nie. Mój ojciec ma znajomego, co ma automat.

Rozmowa kuleje. – No, mam nadzieję, że twoja dziewczyna szybko się zjawi.

– Niech spróbuje, franca, się nie zjawić. Inaczej nie będzie miała życia.

Sobotnia noc w Szibui wrze, kipi i paruje potem. Minął tydzień od mojej bezsennej nocy i postanowiłem się rozejrzeć. W dzielnicy rozrywki panuje taka temperatura, że wystarczy iskra, by wszystko eksplodowało. Wujek Kasa zabrał mnie w zeszłym roku do swojego baru w Kagoszimie, ale to naprawdę nic w porównaniu z tym, co dzieje się tutaj. Tak samo, jeżeli chodzi o ceny. Całe zastępy pijących trutniów, rozchełstane koszule, porozwiązywane krawaty. Trutnice bez biurowych uniformów, poupychanych tymczasem po torbach. Coś chyba za bardzo nadaję na trutnie, zważywszy, że sam jestem jednym z nich. Ale w zasadzie to tylko udaję, że nim, jestem. Może wszyscy musimy od tego zaczynać. Tak jak Aojama. Pary flirtują na randkach. Amerykanie z pięknymi stworzeniami w księżycowych okularach. Założę się, że kelnerka o nieskazitelnej szyi ma cały notes z telefonami takich chłopaków jak

ten, który mi kibicował. Gigantyczna kaskada napisu *PIJ COCA COLĘ*, magma kolorowych, w której biali błyszczą jak święci. Idę przed siebie, ssąc cukierka. Dziewczyny wymachują do armii podstarzałych prezesów sunących w taksówkach. Wszyscy się znajdują w rozświetlonych bursztynowym światłem restauracjach. Ogromny mongolski wojownik na skuterze, w otoczeniu króliczków – dziewcząt rozdających ulotki reklamujące jakiś kompleks handlowy. Dziewczęta w celofanowych kamizelkach, szortach i obcisłych trykotach siedzą w szklanych budkach przed wejściami do klubów, kusząc pogawędką i biletami z dziesięcioprocentową zniżką. Już widzę, jak wymiatam do tych tłumów ze swojej megagiwery, model: wiek dwudziesty trzeci. Chmury błyszczą cukierkowymi barwami refleksów świetlnych i laserów.

Przed Mydlanym Światem Afrodyty wykidają zachwała dziewczyny, których podobizny widnieją na tablicy. – Numer jeden to Rosjanka – szykowna, uprzejma.

Numer dwa to Filipinka – czuła dobrze wyszkolona. Dalej Francuzka – no cóż, nic dodać. Brazylijka – czarna czekoladka, jest co schrupać. Piąteczka – Angielka, biała czekoladka. Numer sześć – Niemka, wiedeńska paróweczka. Siedem – Koreanka, ani grama zbędnego ciała. Numer osiem – nasze egzotyczne czarne bliźniaczki; dziewięć – ach, dziewiątka przerasta wyobrażenia zwykłego śmiertelnika – widzi, że gapię się z rozdziawioną gębą, więc rechocze: – Wróc, synu, za jakieś dziesięć miesięcy z wakacyjnym kieszonkowym. – Błąkając się, mijam sklep ze sprzętem elektronicznym i w telewizorze na wystawie widzę znajomą postać, która błąkając się, mija sklep ze sprzętem elektronicznym. Przystaje, wlepia oczy w telewizor, zdumiona i omal przerażona, że widzą ją inni. Kupuję nową paczkę marlboro.

Gdy mijam czerwone latarnie baru z makaronami i czuję zapach buchających na zewnątrz kuchennych oparów, nagle przypomina mi się, jaki jestem głodny.

Zaglądam przez okno – w środku jest na tyle brudno, że nawet ja mógłbym sobie na coś pozwolić. Rozsuwam drzwi i wchodzę, rozgarniając sznury paciorków. Duszna nora z wrzaskami dobiegającymi z kuchni. Zamawiam smażony makaron z tofu i szczypiorem i siadam pod oknem, obserwując przewalający się tłum. Nadchodzi mój makaron. Nalewam wodę z lodem do szklanki. Wszystkiego najlepszego z okazji dwudziestych urodzin, Eidzi Mijake. Buntaro wręczył mi wieczorem imponujący plik kartek – po jednej od każdej z moich czterech ciotek. Była jeszcze piąta koperta – z działu listów źle zaadresowanych która uparcie kontynuuje kampanię pod tytułem „Dopaść Mijakego”. Zapalam marlboro i ponownie zabieram się do listu, próbując ustalić, czy oznacza postęp w mojej sprawie regres, a może w ogóle błędzenie po manowcach.

Tokio, 8 września

Eidzi Mijake,

Jestem żoną Twojego ojca. Jego pierwszą żoną, jego prawdziwą żoną, jego jedyną żoną. Otóż z biura Osugi–Bosugi otrzymałam informację, że próbowałaś nawiązać kontakt z moim mężem. Jak śmiesz? Czy aż tak źle Cię wychowano, że nie wiesz, co to wstyd? Tak czy inaczej zawsze przeczuwałam, że któregoś dnia do tego dojdzie. Dowiedziałaś się, że ojciec zajmuje wpływowe stanowisko, i liczysz na szybką gotówkę. Szantaż to paskudne słowo i paskudni ludzie się nim posługują. Ale też szantaż wymaga bezczelnej odwagi, a ze strony ofiary przyzwolenia. W tym przypadku nie ma mowy ani o jednym, ani drugim. Pewnie uważasz się za spryciarza,

ale jesteś tylko zachłannym wiejskim chłopczyką, którego wyobraźnia kończy się na poziomie szamba. Zamierzam chronić córki i męża. Dużo już zapłaciliśmy za postępowanie Twojej matki, za dużo. A może to jej pomysł? Twoja matka jest jak pijawka. A ty jak wrzód. Komunikuję Ci wobec tego rzecz następującą: jeżeli ośmielisz się grozić mojemu mężowi albo pokazać się komukolwiek z mojej rodziny czy prosić choćby o jena, to zostaniesz potraktowany jak wrzód, który się przebija.

Sączę kałużę zupy ściekającej z makaronu. Smok ugania się za swoim ogonem po całym świecie. Tak. Od dziś jestem pełnoletni, a na urodziny dostaję chorobliwie podejrzliwą macochę, która ma upodobanie do podkreślania, do tego dwie – lub więcej – przyrodnie siostry. Sam list niestety nie pomoże mi w odnalezieniu ojca – nie podpisany, bez adresu zwrotnego, wysłany w północnej dzielnicy Tokio, co oczywiście zawęży zakres poszukiwań do około trzech milionów ludzi, zakładając oczywiście, że tam został napisany. Moja macocha nie jest głupia. Manifestuje swoje negatywne nastawienie i w ten sposób wznosi kolejną przeszkodę. Z drugiej strony, chcąc mnie odepchnąć, najpierw musi zbliżyć się do mnie. Poza tym listu nie pisał ojciec, co w najgorszym przypadku oznacza, że ojciec jeszcze nie jest pewien, czy chce mnie widzieć. W najlepszym zaś, że właściwie nawet nie wie, że usiłowałam nawiązać z nim kontakt. I w tym właśnie momencie uświadamiam sobie, że nie mam mojej baseballówki. To najgorszy urodzinowy antyupominek, jaki mógłbym otrzymać. Przecież ta czapka to prezent od Andżu. Zaraz, zastanawiam się, usiłując sobie przypomnieć, w centrum gier jeszcze ją miałem. Wychodzę i wracam, brnąc przez strumienie amatorów rozrywki.

Zax Omega i czerwona zaraza na Księżycu nadal kręci się,

przynosząc zysk, ale moja czapka już zniknęła. Szukam wśród studentów pięściami wymuszających wynik ze Street Fightera, w tłumie dzieciaków tłoczących się wokół 2084; koło budki, gdzie dziewczyny przy pomocy cyfrowej obróbki kojarzą własne oblicza z twarzami znanych osób; deptak z inteligentami grającymi w madżonga z wideopartnerami. Dziwne. Ludzie pokroju mojej matki płacą doradcom i lekarzom, żeby pozwolili im wrócić do rzeczywistości, a ludzie mojego pokroju płacą Sony–Sega za powrót do nierzeczywistości. Rozpoznaję kierownika – po tym, jak pogrękuje kluczami. Panuje taki hałas, że muszę mu wrzeszczeć do ucha. Czuję woskowinę. – Przyniósł ktoś czapkę?

– Co?

– Zostawiłem tu baseballówkę, trzydzieści minut temu.

– Dlaczego?

– Zapomniałem!

Proszę czekać – transakcja w toku. – Zapomniałeś, dlaczego ją zostawiłeś?

– Dobra, nie ma sprawy.

Przypominam sobie o chłopaku, który mi kibicował. Miał być na górze, w sali bilardowej, tak powiedział. Odnajduję schody i biegnę na górę. Nagła cisza i półmrok jak pod wodą. Rzędy stołów w kolorze morskim – trzy na sześć. Widzę go na drugim końcu sali, jest sam i gra: jest w mojej czapce – kucyk wypuścił na zewnątrz przez otwór w zapięciu. Posyła bilę do luzu, podnosi wzrok i przywołuje mnie ruchem ręki. – Tak sobie myślałem, że wrócisz. Dlatego właśnie nie pobiegłem za tobą. Chcesz mi ją ściągnąć?

– Wolałbym, żebyś po prostu sam ją zdjął.

– I to ma być dowcip?

– Bynajmniej. Ale to moja czapka.

Taksuje mnie spojrzeniem. – Fakt. – Podaje mi czapkę z dwornym gestem. – Nie chciałem nikogo urazić. Dzisiaj naprawdę nie jestem sobą.

– Nie ma sprawy. Dzięki za ocalenie czapki.

Na jego twarzy pojawia się szczery uśmiech. – Nie ma za co.

Kolej na mnie. – To co, yyy, ile się już spóźniła?

– Od kiedy to „spóźnić się” znaczy „wystawić kogoś”?

– Nie wiem. Półtorej godziny?

– No więc franca naprawdę solidnie mnie wystawiła. A ja ten stół opłaciłem do dziesiątej. Zrobimy kilka rozbić jeżeli nie jesteś zajęty – wykonuje nieokreślony ruch kijem bilardowym.

– Nie jestem zajęty. Ale za cienko u mnie z forszą, żeby się zakładać.

– A jeden papieros za grę, możesz sobie pozwolić na taką stawkę?

Trochę mi pochlebia, że z całą powagą proponuje mi grę w bilard. Od przyjazdu do Tokio za jedynych kompanów miałem Kotkę, Karalucha i Sugę. – Dobra.

Juzu Daimon jest studentem ostatniego roku prawa, rodowitym tokijczykiem i najświetniejszym bilardzistą, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jest kapitalny, naprawdę. W ubiegłym tygodniu byłem na filmie Bilardzista. Daimon temu facetowi, którego grał Paul Newman, z powodzeniem dałby lanie do zera. Przez grzeczność pozwala mi wygrać kilka rozbić, ale do dziesiątej zgarnął jeszcze siedem w zawrotnym, porywającym, bezbłędnym stylu. Z kijami w rękę usiedliśmy, żeby przepalić nasze wygrane. Moja plastikowa zapalniczka wysiadła: spod kciuka Daimona strzela płomień. Przepiękna jest ta jego zapalniczka. – Platynowa – dopowiada Daimon.

- Warta pewnie majątek.
 - Dostałem na dwudzieste urodziny. Powinieneś trochę jeszcze poćwiczyć. – Daimon wskazuje głową na stół. – Masz dobre oko.
 - Mówisz jak mój nauczyciel od wuefu w ogólniaku.
 - Ach, daj spokój. Posłuchaj, Mijake, doszedłem do wniosku, że należy mi się w sobotę jakaś rekompensata za to, że dziewczyna mnie wystawiła. A gdybyśmy tak skoczyli do baru i wyrwali jakieś dwie dziewczuszki, co ty na to.
 - Yyy, dzięki. Chyba dam sobie spokój.
 - Twoja dziewczyna nawet się nie dowie. Tokio jest za duże.
 - Nie, to nie o to chodzi...
 - To znaczy, że nie masz gdzieś jakiejś kobiety?
 - Takiej niezmyślonej, to nie, ale...
 - Chcesz mi powiedzieć, że jesteś gejem?
 - O ile się orientuję, to nie, ale...
 - To ślubowałaś celibat? Należysz do sekty?
- Wyjąłem portfel i pokazałem mu jego zawartość.
- No to co? Niech będzie, że ja płacę.
 - Nie mogę przecież obdzierać cię z forsy.
 - Wcale nie będziesz mnie obdzierał. Mówiłem ci, że zamierzam zostać prawnikiem, a prawnicy nigdy nie wydają własnych pieniędzy. Mój ojciec ma gościnne konto, z którego trzeba wydać ćwierć miliona jenów, bo inaczej jego wydział stanie przed rewizją budżetową. Sam więc widzisz, że odmawiając, stawiasz naszą rodzinę w trudnym położeniu.
- Spora forsa. – Ćwierć miliona rocznie?
- Daimon widzi, że pytam poważnie, i wybucha śmiechem. – Co miesiąc, matołku!
- Obdzierać twojego ojca to gorzej niż obdzierać ciebie.

– Posłuchaj, Mijake, mówię tylko o paru piwach. Najwyżej pięciu. Nie zamierzam cię kupić. No. Kiedy masz urodziny?

– W przyszłym miesiącu – kłamię.

– No to potraktuj to jako wcześniejszy prezent urodzinowy.

Święty Mikołaj uwija się za barem, Rudolf, czerwono-nosy renifer, wyłania się z toalety z miotłą w rękę, a elfy w kłapciastych czapkach wyczekują przy stołach.

Obserwuję płatki śniegu tańczące na suficie, palę marlboro, do którego ogień podała mi Dziewica Maria. Juzu Daimon wtóruje pod nosem jakimś psychodelicznym kolędom. – To Bar Bożego Narodzenia.

– Ale dziś jest dziewiąty września.

– Tutaj co noc jest dwudziesty piąty grudnia. To właśnie nazywa się szyk.

– Pewnie wyjdę na naiwniaka, ale może twoją dziewczynę coś po prostu zatrzymało?

– Twoja naiwność przekracza wszelkie granice. Co to za dziura ta twoja Jakuszima? Franca wystawiła mnie. Wiem. To taki układ między nami. Gdyby chciała tam przyjść, toby przyszła. I wychodzi na to, że zostaję sam jak niemowlę, a ją odpalam. Odpalam. Ale teraz nie odwracaj się, bo coś mi się wydaje, że właśnie przyszły nasze pocieszycielki. Tam w kącie, między kominkiem a choinką.

Ta w kawowej skórze i ta w wiśniowym aksamicie.

– Wyglądają jak modelki.

– Jakie niby modelki?

– Nie zawiesiłyby na mnie oka dłużej niż sekundę.

– Powiedziałem ci, że będę płacić za twoje napitki, a nie pieścić twoje ego.

– Ale tak jest.

- Bzdura.
- Spójrz, jak jestem ubrany.
- Powiemy, że pracujesz w obsłudze grupy rockowej.
- Na to też jestem za mało elegancki.
- Powiemy, że pracujesz jako asystent Metalliki.
- Ale ja nigdy nawet ich nie widziałem.

Daimon zasłania twarz dłońmi i wybucha zduszonym śmiechem. – Ej, Mijake, Mijake. A po co niby są bary? Myślisz, że tym wszystkim ludziom chodzi tylko o to, by zapłacić astronomiczne sumy za koktajle na siuśkach? Kończ to piwo. Jeżeli chcemy wtargnąć na teren przeciwka, musimy mieć whisky. I już bez żadnych ale!

Popatrz na tę w aksamicie. Wyobraź sobie, że zębami rozwiązujesz wstążki kamizelki, którą ma na sobie. Wystarczy tak lub nie: chcesz ją?

- A kto by nie chciał? Ale...
- Mikołaju! Mikołaju! Dwa razy podwójny Kilmagoon! Z lodem!
- Więc po gwałcie – odzywa się na głos Daimon gdy zajmujemy sąsiedni stolik – ich świat to jeden strach. Ruina. Ona przestaje jeść. Nie odbiera telefonów.

Interesują ją już tylko gry wideo zabitego syna. Kiedy mój przyjaciel wychodzi rano do pracy, to ona już tam jest, przygarbiona, z pistoletem, niszczy facetów na szesnastocalowym Sony. A kiedy on wraca, to ona ani drgnie. W kuchni stół zastawiony garami – nic jej nie rusza. Bangbangbangbang! Przeładowanie. – A w rzeczywistym świecie policja spuszcza sprawę – napaść na tle seksualnym w nocy, na bezludziu, w górach? Nie ma o czym mówić. Większość facetów po prostu nie jest w stanie uzmysłwić sobie, co to za przeżycie... Czasami rozpacz

mnie ogarnia, jak pomyślę o nas, mężczyznach, Mijake. Tak. W ten sposób upłynęło dziewięć miesięcy. Żeby chociaż raz wyszła z domu. Ani razu. On tak się zamartwia, że zaczyna wariować – pamiętasz, jaki był nie do życia, kiedy wróciłeś z tej fuchy z okazji zejścia się Beatlesów. W końcu musi się zgłosić do psychiatry o pomoc. Wreszcie ten skurcz jakoś jej mija i dziewczyna musi wrócić do ludzi, bo inaczej grozi jej, że utonie w jakimś zapamiętłym autyzmie. A pierwszy raz spotkali się w uczelnianej orkiestrze – ona grała na ksylofonie, on na puzonie. No więc kupuje teraz dwa bilety na *Obrazki z wystawy* i tak dzień po dniu kruszy jej opór, aż ona zgadza się przyjść. Papierosa?

Mógłbym przysiąc, że gdy siadaliśmy, popielniczka była.

– Przepraszam? – Daimon przechyla się w stronę Kawki. – Czy można?

– Jasne.

– Wielkie dzięki. Wieczorem, przed koncertem, ona bierze środki uspokajające, oboje stroją się, kolacja przy świecach w jakimś eleganckim miejscu, i zajmują miejsca w pierwszym rzędzie. Najpierw lecą trąbki. Wiesz... – Daimon nuci pierwsze takty. – A ona sztywnieje. W oczach lód. Wbija paznokcie w jego udo, aż tryska krew. Zaczyna dygotać. On nie zwraca uwagi na zamieszanie, bo musi ją stamtąd wyprowadzić, zanim dziewczyna wpadnie w histerię. Gdy są już we foyer, ona mówi mu, o co chodzi. Przysięga na groby swoich przodków, że facet grający w orkiestrze na cymbałach i ten, który ją zgwałcił, to jedna i ta sama osoba.

Nie uchodzi mojej uwadze, że Kawka i Aksamitka nastawiają uszu.

– Wiem, co teraz myślisz. Od czego są gliny? W dziewięciu przypadkach na dziesięć sędzia orzeka, że kobieta sama się o to

prosi, bo nosi za krótkie spódniczki, i gwałciciel odchodzi wolno, wykpiwając się przeprosinami. Ona mówi mu, że jeżeli on jej nie pomści, to ona rzuci się z dachu Hiltona w Tokio. Teraz.

Poznałeś go. To żaden frajer. Odrabia zadanie domowe, zdobywa niezarejestrowany pistolet z tłumikiem, chirurgiczne rękawiczki. Pewnego wieczoru, gdy orkiestra gra Piątą Beethovena, on włamuje się do mieszkania cymbalisty, który mieszka samotnie ze swoimi ukochanymi kryształami. Wszystko co znajduje, potwierdza opowieść jego żony. Pornograficzne wydruki z Internetu, sprzęt sado-maso, kajdanki zwisające z sufitu, poważnie zużyta i pokaleczona nadmuchiwana Marilyn Monroe. Facet chowa się pod łóżkiem. Po północy cymbalista wraca, odsłuchuje wiadomości z automatycznej sekretarki, bierze prysznic i wskakuje do łóżka. Mój przyjaciel ma dramatyczny zmysł. „Nawet potwór powinien zaglądać pod materac”. Bangbangbang!

– Ale historia!

– To jeszcze nie koniec. Nie działa moja cholerna zapalniczka. Chwileczkę... – Daimon przechyla się w stronę Kawki, która tymczasem zdążyła już otworzyć swoją markową torebkę.

– Strasznie przepraszam, że sprawiam taki kłopot – wielkie dzięki. – Dziewczyna jeszcze mu zapala, potem mnie. Kiwam głową nieśmiało. – Zemsta jest najlepszym lekarstwem. Pamiętasz pewnie nagłówki w lokalnych szmatławcach – „Kto rozwalił Cymbała?” – a że skuteczne morderstwo to tylko kwestia odpowiedniego planu, więc policja nie ma żadnych śladów. Wyzdrowienie jego żony to sprawa zaledwie dni. Znowu podejmuje pracę nauczycielki w szkole dla niewidomych.

Wywala gry wideo. Nadchodzi wiosna i orkiestra Saito Kinen wyjeżdża do Jokohamy. Tym razem kobieta kupuje bilety w

przednim rzędzie. Podobnie jak przedtem, ale z większym szczęściem. On radzi sobie ze swoim sumieniem – przecież wypełnił akt naturalnej sprawiedliwości, robiąc dokładnie to, co zrobiłoby państwo, gdyby miało czujniejszą policję. Wystroili się, kolacja przy świecach w jakimś eleganckim miejscu, i zajmują miejsca w pierwszym rzędzie. Smyczki rozpoczynają – a ona sztywnieje. W oczach łód. Nie może złapać tchu. On jest przekonany, że żona ma atak. Jakoś udaje mu się wyprowadzić ją do hallu. „Co się stało?“, pyta. „Drugi wiolonczelista! Mężczyzna, który mnie zgwałcił!“. „Co? A cymbalista, którego zabiłem w zeszłym roku?“. Ona potrząsa głową, jakby to on zwariował. „O czym ty mówisz? Drugi wiolonczelista jest gwałcicielem, przysięgam na groby moich przodków i jeżeli nie pomścisz mojego honoru, popełnię samobójstwo, porażając się prądem”.

– Nie do wiary! – wyrzuca z siebie jednym tchem Kawka – No i co, co on wtedy zrobił?

Daimon odwraca się, Kawka zakłada nogę na nogę i nagle jest nas czworo. – Poszedł na policję. Przyznał się do zamordowania cymbalisty. Zanim odbył się jego proces, jego żona oskarżyła o gwałt sześciu różnych mężczyzn, w tym ministra rybołówstwa.

Aksamitka siedzi osłupiała. – I to wszystko naprawdę miało miejsce?

– Przysięgam – Daimon wypuszcza drgające kółko dymu. – Prawda co do słowa.

Kiedy wracam do stolika po złożeniu zamówienia u Mikołaja, ramię Daimona już spoczywa na oparciu krzesła Kawki. – Ha, ha – Kawka wystawia język spomiędzy białych warg – jak tam mały pomocnik Mikołaja? – Twarz wypacykowana kosmetykami. Aksamitka obraca się w moją stronę. Jej obcisłe trykoty szeleszczą

i czuję, że Godzilla budzi się. – Juzu–kun opowiada, że robisz w biznesie muzycznym. – Czuję zapach jej perfum zwilżony słonym potem. – Chwilowo jestem modelem i robię serię ujęć dla największej tokijskiej sieci klinik chirurgii plastycznej. – Nachyla się w moją stronę, jej lark slim czeka na ogień i Godzilla podnosi swój straszliwy łeb. Daimon puszcza swoją zapalniczkę przez stolik. Twarz Aksamitki promienieje. Cały wieczór bez myśli o Andżu, aż do teraz.

* * *

Aksamitka obejmuje mnie, gdy na pierwszym zakręcie, podobnie jak na drugim, pochylamy się, jadąc za suzuki 950 Daimona. Moja yamaha 1000 rzuca i warczy, gdy redukuję bieg – Łuk słonecznego stadionu, złote fanfary, ogromny sterowiec Bridgestone: dotyk dłoni Aksamitki nie ułatwia koncentracji. Daimon ścina rząd ustawionych przez policję pachółków i poprzez ryk silnika słyszę popiskiwanie Kawki. „No, dalej!”, szepcze mi, i tylko mi Aksamitka, a ten mały szept jak duch wciska się spazmatycznie w krzywizny mojego ucha. Czuję się napakowany jak zbiornik paliwa yamaha. Kawka aż pokrzykuje z radości. – Lepiej niż na prawdziwym! Szybciej! – Daimon pochyła się na ostrym za krecie. – Prawdziwiej niż na prawdziwym – słyszę jego mruknięcie. Jadę za nim jego torem i na długiej prostej omal go wyprzedzam, ale Kawka obserwuje mój ekran i podpowiada Daimonowi, kiedy ma mnie przyblokować. – Mam cię! – wybucha śmiechem. Poślizgiem przelatuję przez plamę rozlanego oleju, mam 180 na liczniku – Aksamitka wpija się we mnie palcami, tylne koło zarzuca, ale udaje mi się utrzymać motocykl na szosie. Rżniemy przez zoo – miga mi przed oczyma rzeka zebr biegnących z

rozwianymi grzywami. Kawka wydobywa telefon popiskujący melodią *Gwiazdzistego Sztandaru*, odbiera i wdaje się w rozmowę o tym, gdzie jest i jaki niesamowity ma wieczór. Brawurowo kładę moją yamahę na wyprofilowanym zakręcie – przecinam Daimonowi drogę, tnę do wewnętrznej i jedziemy łeb w łeb. – Zgodzisz się, Mijake, że to tak samo dobry albo tak samo głupi sprawdzian męskości jak każdy inny, co? – Ryzykuję spojrzenie w bok. – Chyba tak. – Jego twarz rozbłyskuje niebezpiecznym uśmiechem. – Pojedynek na miarę dwudziestego pierwszego wieku – dołącza się Kawka, odkładając telefon do torebki. – A jak! – odpowiada Aksamitka. – Będziecie gryźć piach, co nie Mijake? – Nic już nie mówię, ale jej mały palec zagłębia się w moim pępku i gdy zanosi się na to, że będzie zakradał się dalej, mówię: – Dobra.

– No to zgoda – odpowiada Daimon i skręca w moją stronę. Aksamitka krzyczy, gdy tracę panowanie nad maszyną i wpadam pod nadjeżdżającą cysternę DŻOMO.

Baaaannnnnnnnng! Zabawkowa eksplozja jądrowa dobiega końca, a Daimon i Kawka znikają w oddali, zostawiając po sobie tylko mały punkt. – Paskudna kraksa! – cmoka Daimon. Moja yamaha duka na drugim biegu. – A jak, mnie ma przeprosić? – śmieje się Kawka. – Nie ma szans, żeby nas teraz dogonił. – Daimon rzuca mi przelotne spojrzenie – Biedny Mijake. Pamiętaj, to tylko gra wideo. – Aksamitka rozluźnia uścisk. Nagle wpada mi do głowy absurdalny pomysł, bardziej za sprawą dwóch whisky na dwóch piwach niż chłodnej kalkulacji.

Poślizgiem obracam yamahę o 180 stopni i stwierdzam, ależ tak, że mogę jechać pod prąd, niezgodnie z ruchem wskazówek zegara. „Sekundy Stracone” przestają tykać. Rzeka zebr w zoo płynie do tyłu. Ten program to pewnie dzieło jakiegoś

nawiedzonego programisty, takiego jak Suga. Aksamitka szczypie mnie palcami w sutki na znak aprobaty. Mijamy linię startu – napis *okrążenia ukończone – 1*.

Przelatuję przez most zwodzony – podrywa mi motor, gdy wylatujemy w górę i szarpie, gdy lądujemy po drugiej stronie. Jest wreszcie i Daimon na swoim suzuki.

– I jak?

– Ty pieprzony oszuście... – zaczyna Daimon. Widzę, że chcąc zrobić unik, skręca w bok, więc lecę poślizgiem prosto na jego reflektor, okrągły jak księżyc w jasny dzień. Żadnej eksplozji. Nasze motocykle zastygają w pół starcia i ekrany gasną.

* * *

– Jestem przyzwyczajony do wygrywania – Daimon rzuca mi spojrzenie, które zaniepokoiłoby mnie, gdybyśmy nie byli przyjaciółmi. – Ale z ciebie podstępny skurwiel, Mijake. – Biedny Daimon. To przecież tylko gra wideo.

– Pamiętaj – Daimon nadal się nie uśmiecha. – Nigdy nie podskakuj wyżej niż stoisz.

– No jak, a gdzie zniknął tor? – krzyczy skonsternowana Kawka.

– Mijake chyba rozłożył wideomaszynę, ale numer.

Daimon zeskakuje ze swojej yamahy. – Chodźmy.

– A jak! A dokąd? – Kawka zsuwa się z maszyny.

– Do spokojnego zakątka, gdzie mnie znają.

– Czy wiedziałeś – pyta Kawka – że jak włoski z nosa wyrywa się, a nie przycina, to można naruszyć naczynie krwionośne i umrzeć? – Daimon prowadzi nas przez dzielnicę rozrywki tak, jakby była jego dziełem. Ja czuję się już pewniej i mam tylko

nadzieję, że nie będę musiał potem szukać drogi do stacji metra Szindzuku. Tłum zdążył się nieco przerzedzić, odsłaniając zwarty miąższ, jaki tworzą amatorzy rozrywki. Obok powoli sunie sportowy wóz, pulsując basowym pomrukiem. – Lotus Elise 111S – informuje Daimon. Odzywa się telefon Kawki, brzęcząc melodię Auld Lan Sain – ale Kawka nie słyszy swojego rozmówcy, mimo że kilkakrotnie powtarza „halo”. Z otwartych drzwi tryska jazz. Na zewnątrz kolejka wyrafinowanych słuchaczy. Rajcują mnie zawistne spojrzenia, jakimi nas obrzucają. Dałbym wszystko, żeby trzymać teraz Aksamitkę za rękę. Skonałbym, gdyby odtrąciła moją dłoń. Skonałbym, gdyby chciała, żebym przestał, a ja nie domyśliłbym się tego. Daimon opowiada nam długą historię o swoich perypetiach w Los Angeles z tamtejszymi homoseksualistami chodzącymi w damskich ciuchach. Dziewczyny wyją ze śmiechu. – A jak, takie Los Angeles jest naprawdę niebezpieczne – odzywa się Kawka. – Wszyscy noszą broń. Jedynym naprawdę bezpiecznym miejscem za granicą jest Singapur.

– Byłaś kiedyś w LA? – pyta Daimon.

– Nie – odpowiada Kawka.

– A w Singapurze? – pyta Daimon.

– Nie – odpowiada Kawka.

– Jak widać, tam, gdzie nie byłaś, jest niebezpiecznej niż tam, gdzie także nie byłaś.

Kawka przewraca oczami. – A jak, a kto powiedział: trzeba gdzieś jechać, żeby wiedzieć? A telewizja to niby od czego?

Daimon ustępuje. – Słyszysz, Mijake? To pewnie jakaś babska logika. – Kawka wymachuje rękami w powietrzu – A jak, górz dziewczyny! – Idziemy pasażem rozświetlonym sztyldami

ekspresowych barów, gdzie czeka winda. Kawka dostaje czkawki. – Które piętro? – Drzwi windy zamykają się. Dygocę z zimna. Daimon reflektuje się i postanawia przestawić się na dobry humor. – Dziewiąte. Dama Pik.

Ale mam pomysł! Pobierzmy się. – Kawka chichocze i naciska „9”. – Zgadza się!

Dama Pik. A jak, co za wymyślna nazwa baru. – Winda sunie niezauważalnie i tylko numery pięter się zmieniają. Kawka zdejmuje jakiś kłaczek z kołnierzyka Daimona. – Ładna marynarka.

– Armani. Jestem bardzo wybredny, jeżeli chodzi o to, co dotyka mojej skóry.

Dlatego właśnie wybrałem ciebie, moje ty bóstwo. – Kawka przewraca oczami i łypie na mnie. – Czy on zawsze tak, Mijake?

– Nawet go nie pytaj – uśmiecha się Daimon. – Mijake jest zbyt bliskim przyjacielem, żeby ci odpowiedzieć uczciwie. – Patrząc na cztery odbicia naszych czterech odbić. Kosmiczne milczenie, że aż dźwięczy. – Jak jeszcze tu postoiemy – przerywam ciszę – to nie połapiemy się, kto jest kto. – Odzywa się spizowy dźwięk gongu i drzwi windy otwierają się. Ja, Aksamitka i Kawka omal nie wypadamy.

Znajdujemy się na dachu budynku, tak wysoko, że Tokio nie widać. Ponad chmurami, ponad wiatrem. Gwiazdy tak blisko, że tylko strącać. Meteoryt spada łukiem. Za Orionem dostrzegam w ciemnościach kurtynę i nagle oczywiste się staje, że to złudzenie – znajdujemy się w miniaturowym planetarium, o szerokości nie przekraczającej dziesięciu metrów. Znowu słysząc spizowy gong i oto wschodzący grejpfrut rozwidnia czerwienią sklepienie. – Jakie niesamowite – wyrzuca z siebie bez tchu Kawka. Aksamitka jest

pod wrażeniem, patrzy w milczeniu. Daimon klaszcze. – Miriam! Widzicie, że nie mogłem tu nie wpaść.

Zza kurtyny wychodzi kobieta w opałowym kimonie i kompletnej charakteryzacji gejszy. Kłania się wytwornie. Jest wytworna, od emaliowanych spinek we włosach po pantofle w kolorze zachodzącego słońca. – Dobry wieczór panie Daimon – słyhać jej przytłumiony głos. Spod warstwy kosmetyków niewiele widać, ale wnosząc z tego, jak się porusza, daję jej jakieś dwadzieścia pięć lat. – Cóż za nieoczekiwana przyjemność.

– Tak, Miriam, wiem, wiem. Słyszałem, że dziś wieczór miałaś wyjechać na wypoczynek w jakieś egzotyczne miejsce – a ty nadal tutaj. No dobra. Poznaj moją nową narzeczoną. – Całuje Kawkę, która chichocze, ale krygując się, podchodzi. – Powiedz mi proszę, czy mój Paskudny Tatuś jest na miejscu?

– Mówi pan o... o kim?

– Słyszysz, Mijake, co za dyplomacja? Miriam jest za. W najlepszej wierze za.

Kobieta rzuca mi spojrzenie.

– Pan Daimon senior jest dzisiejszego wieczoru nieobecny, proszę pana.

Daimon wzdycha. – Ten mój ojciec. Znowu parzy się z Czizumi? W tym wieku? Czy ktoś jeszcze zauważył, jak on przytył? Tylko napomyka się o nadbagażu. Czizumi karmi cię świństwami na temat pana Daimona seniora, co, Miriam? Podczas schadzki występuje w peruce czy bez? – Aha, jak widzę, nie zamierzasz odpowiadać. No, skoro go nie ma, to mogę podjąć moją przyszywaną naprędcę żoneczkę – obejmuje Kawkę w talii – w osobistym apartamencie klanu Daimonów. Oczywiście wieczorne uroczystości odbywają się na rachunek tatusia ruchajły.

– Oczywiście, proszę pana, Mama-san przedstawi fakturę panu Daimonowi seniorowi.

– Co tak oficjalnie, Miriam? A gdzie się podziało „Juzuczan”?

– Będę musiała pana prosić o podpis w księdze gości.

Daimon macha ręką. – Co tylko chcesz.

Udaję, że nie słyszę głosu, który radzi mi, bym z miejsca wszedł do windy i opuścił towarzystwo, ale nie mam żadnej wymówki czy wytłumaczenia. Nadal jestem nabuzowany, ale u Daimona zauważam coś niebezpiecznego. Mija chwila i Daimon porywa nas, zdajemy się na niego. – Kraina czarów stoi otworem.

Miriam prowadzi nas przez labirynt pooddzielanych kotarami przedpokojów – w końcu już nie pamiętam, z której strony tu weszliśmy. Każda zasłona ozdobiona wyhaftowanym tekstem w piśmie kandzi – zbyt archaicznym, by je odczytać.

Wreszcie wchodzimy do sypialni z pikowanymi obiciami, zachowanej w niezmiennym stanie od lat trzydziestych. Na pozbawionych okien ścianach wiszą gobeliny z wizerunkami starożytnych miast. Twarde, pokryte skórą krzesła, zapomniany bar z mahoni uinkrustowanego mosiądzem, kołyszące się zbyt wolno wahadło, odchodzący w mrok niepamięci żyrandol. Zardzewiała klatka z otwartymi drzwiczkami. W środku papuga, która rozpościera skrzydła, gdy ją mijamy. Kawka popiskuje jak gumowa podeszwa na glazurze. Starsi mężczyźni w ciasnych grupkach rozprawiają o czymś półgłosem, wykonując powolne gesty. Dym i mrok.

Dziewczyny i kobiety okupujące poręczę foteli napełniają kieliszki – są tu po to, by obsługiwać, a nie bawić się. Alchemia przelała destylaty wszystkich barw na ich kimona. Daktylowe złocenie, katodowe indygo, biedronkowe szkarłaty, oliwkowe

zielenie w odcieniu tundry, wiatrak zwisający z sufitu miesza gęste od upału powietrze. W cieniu koszmarnej aspidistry pianino samo sobie gra nokturn w tempie dwukrotnie za wolnym.

– Ooo – odzywa się Aksamitka.

– Jaki odjazd – mówi Kawka.

Silny zapach, przypominający lakier do włosów używany przez moją babkę, zmusza mnie do kichnięcia. – Pan Daimon! – Mocno uróżowana kobieta pojawia się za barem. – I jego przyjaciele! No, no! – Na głowie ma stroik z pawich piór, na dłoniach ozdabiane cekinami wieczorowe rękawiczki, macha w naszą stronę z wdziękiem zapomnianej aktorki. – Cóż za młode i dorodne towarzystwo! Świeża krew!

– Dobry wieczór, Mama–san. Spokojnie jak na sobotę, prawda?

– To już sobota? Te dni same nie wiedzą, kiedy się kończyć.

Na twarzy Daimona kwitnie zawadiacki uśmiech. Taka Kawka albo Aksamitka są mile widziane wszędzie tam, gdzie tylko znajdują się mężczyźni gotowi fantazjować o ich rozbieraniu, ale ja w swoich dzinsach, koszulce, baseballówce i sportowych butach czuję się równie nie na miejscu, jak kanalarz na weselu u cesarza. Daimon klepie mnie w ramię. – Zabieram mojego towarzysza broni – i nasze cesarskie małżonki – do pokoju mojego ojca.

– Saju–czan może zaprowadzić...

Daimon ucina. Na jego twarzy pojawia się omal rozpustny uśmiech. – Ale Miriam jest wolna.

Daimon i Mama–san rozmawiają o czymś na stronie. Miriam z wyraźną przykrością odwraca wzrok. Mama–san kiwa głową i gwałtownym gestem zadziera głowę. – Miriam? – Dziewczyna zwraca się w jej stronę z uśmiechem. – Sprawiłoby mi to ogromną radość, proszę pana.

– Przeważnie jeżdżę moim porsche carrera 4, to kabriolet w kolorze błękitu pruskiego. Mam słabość do porszaków. Jak się bliżej przyjrzeć, to widać, że ma linię klęczącej kobiety, pochylającej się w geście uległości. – Daimon pajak Miriam nalewa szampana. Aksamitka klęka. – A ty, Eidzi? – Świetnie. Jesteśmy już na „Eidzi”. – Ja, yyy, ja jestem z tych, co raczej na dwóch kołach. – Aksamitka podskakuje: – O, nie powiesz mi, że jeździsz harleyem? – Daimon wybuchając śmiechem: – A jednak zgadłaś! Harley to dla Mijakego, jakby to powiedzieć, sprawa trenowania ruchu miednicowo–biodrowego między trasami koncertowymi, no nie? W otoczeniu gwiazd rocka panuje taki syf, że aż się wierzyć nie chce.

Fanki, cmokierki, komiwojażer – Eidzi Mijake przez to wszystko przeszedł.

Wspaniale. Nie uroniłaś ani kropelki, Miriam. Przypuszczam, że masz sporą wprawę. Od jak dawna jesteś tutaj tego, zatrudniona jako kelnerka, to znaczy hostessa? – Miriam porusza się w blasku lamp niczym zjawą, ale dostojności jej nie brak. Pokój ma atmosferę i jest przytulny. Zapach perfum i kosmetyków rozsiewany przez dziewczęta, zapach rozłożonych mat. – Ależ proszę pana, damy nie rozmawiają o latach.

Daimon rozplata kitkę. – O latach, tak? No, no. Pewnie jest ci tu dobrze. No cóż, moi drodzy, szampan podano, chcę wznieść dwa toasty.

– To za co pijemy? – pyta Kawka.

– Po pierwsze: jak obecny tu Mijake wie, ostatnio zerwałem z pewną szwaczką, która obietnice traktuje tak jak kurwa – dobre określenie – prezerwatywy.

– Dobrze wiem, jakiego typu kobietę masz na myśli – przytakuje Kawka.

– Cóż za głębokie wzajemne zrozumienie – wzdycha Daimon. – To gdzie się pobierzemy, w Waikiki, Lizbonie czy w Pusanie?

Kawka bawi się kolczykiem Daimona. – Pusan? Ten koreański ściek?

– Fakt, że to zatrute państwko – przytakuje Daimon. Jak chcesz ten kolczyk, to masz.

– Ale super. No to za wolność. – Stukamy się szampanówkami.

– No a drugi toast? – pyta Aksamitka, głaszcząc chryzantemę.

Daimon wskazuje gestem na Kawkę i Aksamitkę. – Jakże – toast za kwiat prawdziwej japońskiej kobiecości Miriam, jesteś kobietą i znasz się na tych rzeczach. Jakich cech powinienem szukać u żony?

Miriam zastanawia się. – W pana przypadku, ślepoty.

Daimon składa dłonie na sercu, udając, że chce zatrzymać krwawienie.

– Ach, Miriam! A twoje współczucie, gdzie się podziało dziś wieczorem?

Miriam jest w typie gęsiareczki. Więcej ma współczucia dla swoich ptaków niż dla kochanków, o ile wiem.

Miriam nieznacznie uśmiecha się. – Na ptakach bardziej można polegać, o ile wiem.

– Polegać, powiadasz? Czy bardziej podporządkować? Nieważne. Nie sądzisz, że jesteśmy z Mijake najszczęśliwszymi facetami w Tokio?

Miriam przez chwilę zatrzymuje na mnie wzrok. Umykam spojrzeniem.

Ciekawe, jak naprawdę ma na imię. – Tylko panowie wiedzą, jak bardzo są szczęśliwi – odpowiada. – Czy to wszystko, proszę pana?

– Nie, Miriam, jeszcze nie wszystko. Mam ochotę na trawkę. Niech będzie mieszanka „błyskawiczna karma”. A ponieważ wiesz, jaki głodny się robię po narkotykach, to za jakieś pół godziny przynieś mi coś na ząb.

Fusuma zasłania okno wychodzące na balkon. Tokio podnosi się z nocnego legowiska. Cztery tygodnie temu pomagałem mojemu kuzynowi w naprawie brony talerzowej na plantacji Wuja Pomarańczy. A teraz? Wysoka na sześć pięter puszka piwa *KIRIN LAGER*, z której bez końca leje się jaskrawożółty neonowy napój. Po drugiej stronie nieoświetlonego jeziora Pałacu Cesarskiego, na szczycie PanOpticonu pulsuje światło ostrzegawcze dla samolotów. Pulsują Altair i Wega po obu stronach Drogi Mlecznej. Cichnie zgiełk dobiegający z ulicy. Aksamitka wychyla się. – Końca nie widać – mówi do siebie. Gorący wiatr rozwiewa jej włosy.

Wystarczy, że spojrzę, i odgaduję linie jej ciała – Otóż oświadczam – mówi Daimon, przyjaciel, który to wszystko podaje mi jak na talerzu – że po tej stronie dzielnicy burdeli jeszcze nikt nie zwinął tak doskonałego skręta.

– A skąd wiesz? – Kawka schyla się, żeby zapalić.

– Mam cały tuzin. – Wyswobadza się z marynarki i wrzuca ją do pokoju. Na koszulce ma napis: *Rzeczy nie widzimy, jakimi są, lecz jakimi sami jesteśmy.*

Chyba gdzieś już to słyszałem.

Aksamitka jeszcze bardziej się wychyla. – Ta pętla światła to wyspy czy statki?

Daimon spogląda przez relingi. – Tereny rekultywowane. Nowe lotnisko.

Kawka kieruje wzrok w tamtą stronę. – Jedźmy, zobaczymy, jaki szybki jest twój porszak.

– A nie. – Daimon ściąga brwi i zapala skręta. Przytrzymuje dym i wydycha z głośnym aaa... Kawka klęka i Daimon przyciska skręta do jej warg. Wystarczyło jedno spojrzenie na Aksamitkę, bym zapomniał o surowej lekcji na temat narkotyków i Tokio, jakiej udzielił mi Wujek Kasa. Kawka zaciska wargi i jak smok wypuszcza dym nozdrzami. – Opowiadałem ci, że ta zapalniczka to kawałek historii? – Daimon patrzy w płomień swojego cacka. – Podczas okupacji należała do generała Douglasa MacArthura.

– A jak, na pewno, skoro tak mówisz – pokpiwa sobie Kawka.

– Bo mówię. Nieważne. Przynies mi poduszkę, moja ty kawowa laseczko.

Niech twoje płuca wchłaniają ten czar pojedziemy do Tierra del Fuego i na nowo zaludnimy Patagonię... – Gdy Kawka idzie do pokoju po poduszkę, z jej torebki odzywa się telefon sygnałem Sonaty Księżycowej. Daimon bierze potężnego macha – Wściec się można! – i podaje mi skręta. Ja przekazuję go Aksamitce.

Daimon odbiera telefon, bezbłędnie udając księcia krwi. – Obiecuję ci wspaniały wieczór! – Kawka wpada, chichocząc: – To mój! – Daimon nożycowym chwytem nóg ściąga ją na podłogę. Uwięziona w potrzasku, wykręca się, chichocząc. – Strasznie mi przykro, ale nie możesz z nią rozmawiać. Jej chłopak? Naprawdę? I tak właśnie ci powiedziała? Jakie to ohydne. Później ją przelecę, a ty, pieprzony smutasie, zmykaj i lepiej wypożycz sobie jakieś słone wideo. Ale najpierw posłuchaj uważnie – to odgłos twojej śmierci – mówi Daimon i wyrzuca telefon przez barierkę.

Chichot Kawki milknie, jakby ją ktoś wyłączył.

Daimon uśmiecha się szeroko jak naćpana ropucha.

– Właśnie wyrzuciłeś moją komórkę przez balkon!

Daimon nie może powstrzymać urywanego chichotu. – A wiem,

że właśnie wyrzuciłem twoją komórkę przez balkon.

– Mogła komuś spaść na głowę.

– No, w końcu naukowcy ostrzegają nas, że telefony komórkowe mogą uszkodzić mózg.

– Moja komórka!

– Oj, kupię ci nową. Dziesięć ci kupię.

Kawka rozważa rozmaite kombinacje. – Najnowszy model?

Daimon chwyta poduszkę, kładzie się na wznak i odgrywa gangstera. – Kupię ci fabrykę, serdeńko. – Kawka zgrywa się na małą dziewczynkę, nalewa szampana i przykładą kieliszek do ucha. – Słyszę bąbelki. – Aksamitka chwyta mnie palcami za uszy, przyciska swoje usta do moich marihuaną wchodzi we mnie. Zniewala mnie jak rozpływająca się delikatna czekolada. – Ohohohohoho – wtrąca się Daimon – ej, wy tam, róbcie to w środku. Wygląda na to, że znowu zostaliśmy z moją świeżo poślubioną wyprzedzeni przez tego nuworysza. – Otwieram oczy, łapie powietrze i kaszlę. Aksamitka dźga mnie w pierś, cofam się więc i wchodzę do pokoju.

– Usiądź tam – wskazuje mi miejsce po drugiej stronie niskiego stolika. A ja jak napalony mnich, jak samiec spętany sutanną. Jej ramię lśni od potu. Zdmuchuje świecę. Z namaszczeniem zaciągamy się na zmianę skrętem i siedzimy w milczeniu. Koniuszki naszych palcówomalże iskrzą. Ona swoimi przesyła prąd.

Bioborg. W przyćmionym przez papier parawanu blasku nocy widzę jej kontur.

Właściwie nawet mnie nie dotyka i coś w jej zachowaniu ostrzega mnie, bym się nie zbliżał, póki sama mi nie powie. Żarzący się koniuszek skręta wędruje przez oddzielające nas powietrze.

Czasami jestem sobą, czasami niezupełnie. Perły, błysk kamienia księżycowego, szkliwo zębów. Czasoprzestrzenna asymetria ogarnia moje kończyny. Po ciemku składam w portret pamięciowy obraz jej piersi, włosów, twarzy. Gdybym teraz kichnął, Godzilla pewnie eksplodowałby mi w spodenkach. – Stale to palisz? – jej słowa zaznaczają się nagłym zawirowaniem dymu. – Od dwudziestych urodzin. – Skiz, wic, pic, nic, a w wazonie kłaniająca się chryzantema.

– To ile ty masz lat, trampie? – nawet szept jej włosów słyszę.

– Dwadzieścia trzy. A ty? – wzbijają się gorzkie płatki śniegu.

– Dzisiaj to mam milion – słyhać okrzyk Aksamitka, a zaraz potem grrrrrr Daimona. Oboje wybuchamy śmiechem, do rozpuku, ale zupełnie bezgłośnie.

Wreszcie zapominam, dlaczego się śmiałem, i znowu sztywno siedzę. Trzymaj ręce na stole – ostrzega mnie groźnie – nienawidzę chłopaków, którzy nie panują nad łapami. – Po paru przymiarkach nasze usta stykają się i całujemy się przez dziewięć dni i dziewięć nocy.

Fusuma od strony balkonu rozsuwa się. Aksamitka i ja odskakujemy od siebie.

Daimon stoi w świetle księżycyca z obnażonym torsem, na jego piersi widnieje wymalowany szminką wampirgowaty króliczek: sutki tworzą źrenice pożądliwych oczek. – Mijake! Już miękki czy jeszcze na chodzie? Chcesz jeszcze macha? – rozsuwa się szodzi prowadząca na korytarz. W wejściu zatrzymuje się Miriam z tacą zastawioną kleistymi perełkami obranych liczi i kostkami melona. Przez moment widzę błysk gniewu i nienawiści, zanim dziewczyna z zawodową obojętnością odzyskuje panowanie. – Miriam! Niesie przekąski! A kawioru to już nie? Jedną z jej cennych zalet, Mijake,

jest zmysł synchronizacji. – Miriam zsuwa pantofle, wchodzi i stawia tacę na stole. – Proszę wybaczyć. – Wychodzi. – Ależ Miriam, nie potrzebujesz mojego wybaczenia, nie przy tych bogatych i wpływowych opiekunach, którzy się o ciebie troszczą. – Pojawia się zaróżowiona Kawka, ogarnia się, przytrzymując ramę przekrzywionej fusumy. Dostrzega Miriam. – Zaprowadź nas do toalety – wydawanie poleceń służbie ma we krwi.

Daimon mówi do Eidziego, ale Eidziemmu trudno się skupić, bo jego głowa odkręca się i toczy w kąt. Kawka i Aksamitka Bóg wie jak długo siedzą w toalecie dla pań. – Mam taki spokojny hotelik z pokojami na godziny we Wschodnim Szindzuku, obok parku, blisko czterogwiazdkowego przybytku, można więc sobie zamówić w kuchni całkiem przyzwoite jedzenie. – Eidzi jest dziwnie skrepowany.

Daimon przygląda mu się. – Przecież o pieniądze chyba się nie martwisz? – Eidzi usiłuje zaprzeczyć potrząśnięciem głowy, ale jakimś trafem kiwa potakująco. – Pieniądze to jedyna rzecz, na jakiej mojemu ojcu zbywa. – Eidzi chce ze coś powiedzieć, ale zanim udaje mu się otworzyć usta zapomina. – Dziewczyny są jak gry wideo, Mijake. Płacisz grasz, odchodzisz. – Eidzi rozplywa się z wdzięczności.

Usiłuje to w jakiś sposób wyrazić, ale słowa wylewają się niego jak woda podczas niekończącego się deszczu do papierowego kubka, nieujarzmione wymykają się w świat, więc rezygnuje. Hostessa, inna, przynosi kawę. – Kto ty, kurwa, jesteś? – pyta Daimon. Hostessa kłania się. – Ajaczan, proszę pana. Miriam-san źle się poczuła. – Daimon zaczyna się wściekać. – Ganiaj z powrotem do Mama-san i przypomnij, kim jest mój ojciec i jak mogę się wkurwić, jeżeli... – ale zakończenie zdania gdzieś ginie. Daimon

obrywa kwiat chryzantemy i skubie płatki. – Zapomnij, że to powiedziałem, Ajaczan. Daj to duchowi Miriam i przekaz wyrazy najgłębszego szacunku – wręcza jej kikut kwiatka, co Eidziemiu wydaje się dość oryginalne.

Eidzi siada na przednim siedzeniu taksówki. Daimon z tyłu ze swymi dwiema konkubinami. Na ulicach rozjaśnia się. Przejeżdżają przez szeroki most. W hallu Atlas trzymający na karku ziemski glob, Daimon studiuje na ekranie wykaz pokoi zajętych i nie zajętych oraz ich cen, naciska klawisze i bierze klucze. I znowu jazda windą. Daimon całuje Eidziego w usta i wrzuca go do pokoju z tyłu.

Dziesięciosekundowy prysznic i nieciekawy pornos w płatnej TV Dziewięć różnych rodzajów kondomów. Różowe „H” świecące od środka i na zewnątrz.

Zakończenia z szypułkami albo w kształcie słoneczka. Wchodzi Kawka – cytrynowy ręcznik spowija jej miodową skórę – teraz jakaś niemrawa, jakby faktycznie mityczne jezioro seksu zostało zakryte, zaciąga zasłonę, zamknij oczy, podpowiada, i wsuwa się do łóżka, skórę ma śliską, piersi pęcznieją, tak, możesz, tylko nie masz dotykać mnie tam, jest, siedzi w środku, tak, dobrze, czy on zawsze robi takie podmianki? Twój przyjaciel? Juzu Daimon? Co za imię Juzu, brzmi jak nazwa owocu. Ciiicho. Woskowa czekoladka, kiepska, i już kąsam skórę na brzuchu, omszały zakątek nerwowe szarpnięcie, nie, przecież mówiłam ci, że nie masz mnie tam dotykać, Godzilla wycofuje się, sączą się krople wyciśniętego przez tremę potu, wznosi się, opada podnosi się do góry, w cholerę z techniką, właśnie, że tam, Godzilla znowu zmienia zdanie, wciska się mocniej korzeniami, gałęzie napinają się, jej palce zaciśnięte, palcami stóp szuka oparcia, i płynie w błękicie, błękit pościeli

mruczący wielką falą i usypiający w letargu, chwyta ustami powietrze, zanurza się, napina twarz w grymasie i tak staje się tym wszystkim, co jest nie, i wynurza się, tak, zanurza się, nie, i wynurza się, tak, zanurza się i wynurza, zanurza i dochodzi, jeśli dojdiesz – nie – budź się – zanim – nie dotrzesz.

* * *

Budzę się w okrągłym łóżku, sam jak wyrzucona zabawka. Ten pokój to świątynia różowości. Nie kwietnej – tandetnej. Poranek wschodzi plamami na zasłonach. Słyszę młoty pneumatyczne, ruch uliczny i wrony. W wazonie słoneczniki uginające się pod ciężarem ziarna. W głowie, od skroni do skroni, jeden korkociąg. Język słony, wysuszony, jakby go obsrały jakieś pustynne stwory. Gardło – jak po ataku młotków geologicznych. Łokcie i kolana pozdzierane do żywego mięsa. Z krocza śmierdzi krewetkami. Prześcieradła poskręcane, całe w plamach zaschniętej krwi. A więc to aż dwie dziewice jednocześnie pozbawiały się nawzajem swoich wianków. I to kichnięcie w krocze to miał być seks, to było to przejście Przez Złotą Bramę do ziemi obiecanej, przeprawa po chybotliwej desce przez grząskie moczary. Nawet odznaki ci za to nie naszyją. Ten pokój to publiczna materia – tego rodzaju hotele mają zapewne najwyższy współczynnik seksualności na metr sześcienny po tej stronie świata, co...? Paryż. Machinalnie sięgam po papierosa – pusta paczka. Spoko. Ale tak w sumie to poradziłem sobie bez trudu.

Telefon, dzwoniiii. Na pewno Daimon z sąsiedniego pokoju. Założę się.

– Dzień dobry panu, tu recepcja. – Facet, świeżutki i rześki.

– Yyyyn dobry.

– Chciałem panu tylko przypomnieć, że rezerwacja w pańskim apartamencie kończy się o siódmej...

Na moim zegarku obok łóżka 6:45. – Dobra.

– Po siódmej naliczamy opłaty.

– Dobra, za chwilę zwalniam pokój.

– Będzie pan płacił gotówką czy kartą?

– Co?

– Pana przyjaciółki przed chwilą wychodziły i nie wiedziały, jak pan będzie płacił, gotówką czy kartą. Za dwa pokoje na całą noc wypada pięćdziesiąt pięć tysięcy jenów, o ile oczywiście nie korzystał pan z minibaru i pokój opuści pan w ciągu najbliższych piętnastu minut.

Ciarki przechodzą mi po kręgosłupie.

A ten wciąż rzeško, choć już nie tak świeżo. – Dzwonię więc, żeby się upewnić, iż nie może być mowy o żadnych przykrych nieporozumieniach.

Może jak zwymiotuję, to coś pomoże?

– Czyżby jakiś problem, proszę pana? – słychać zafalowaną groźbę.

– Nie, skąd. Yyyy, zapłacę gotówką, chyba. Zaraz zejść.

– Będziemy na pana czekać przy wejściu do hallu.

Wciągam na siebie swoje lepkie ciuchy i lecę do pokoju Daimona. Nikogo.

Pokój taki jak mój, z tym że na lustrze nabazgrane jakąś galaretką litery – *TO TYLKO GŁUPIE WIDEO*. Daimon, ty draniu z listy przebojów. Mijake, ty idioto.

Wywracam kieszenie dzinsów i znajduję 630 jenów drobnymi. Nie, to nie miało miejsca. Próbuję się obudzić. Brakuje mi 54370 jenów. Mam jeszcze dziewięć minut na obmyślenie jakiegoś

fantastycznego planu. Siadam na kiblu i sram, obmyślając możliwe wyjścia. Pierwsze: – Widzi pan facet, z którym byłem, obiecał, że wszystko idzie na jego, yyy, na jego ojca rachunek. – Król jakuzi składa dłonie przytykając do siebie koniuszki palców. – Eidzi Mijake, zatrudniony w biurze rzeczy znalezionych? Stanowisko wymagające zaufania. Twoi pracodawcy byliby zachwyceni, gdyby się dowiedzieli, jak spędzasz czas w weekendy. Uważam że moim obywatelskim obowiązkiem jest złożenie doniesienia w tej sprawie, chyba że zechcesz nam to zrekompensować przyjęciem pewnych obowiązków, z których nie wszystkie, z góry uprzedzam, można określić jako przyjemne. Drugie: – Buntaro!

Pomocy! Musisz mi natychmiast przynieść pięćdziesiąt pięć tysięcy jenów do hotelu z pokojami na godziny albo będziesz musiał sobie poszukać nowego lokatora. – Wybór chyba nie sprawi mu trudności. Trzecie: Król jakuzi oblizuje ostrze swojej brzytwy. – A więc to jest ten złodziej, który próbował uciec z mojego hotelu, nie zapłaciwszy za usługi. – Podnoszę zakrwawioną głowę i otwieram opuchnięte powieki. Mój język leży w miseczce do golenia.

Żeby tylko trudne sytuacje można było po prostu splukać w klozecie.

W filmach ucieka się po dachach. Próbuję otworzyć okno, ale się nie otwiera, a zresztą i tak nie umiem przecież pełzać po ścianach. Widzę ludzi na ścielących się w dole ulicach i wszystkim zaczynam zazdrościć. A może wywołać panikę?

Pouruchamiać alarmy i rozpylacze? Biegnę do alarmów przeciwpożarowych na końcu korytarza, ale tylko po to, by wyrzucić wrażenie, że coś robię. „W razie pożaru alarmy przeciwdymne automatycznie odemkną te drzwi”. Wuj Asphalt mówi, że hotele z pokojami na godziny są tak zaprojektowały zatrzymywać

ucieczkowiczów – windą zjeżdża się zawsze prosto do recepcji. Co jeszcze takiego robią ludzie w filmach? – Tylnym wyjściem – mówię przez zęby. A gdzie jest to tylne wyjście? Próbuję na drugim końcu korytarza. „Schody ewakuacyjne. Wyjścia nie ma”. Tylne wyjście prowadzi przez kuchnię. Przypominam sobie jak przez mgłę, że Daimon, żeby mu jaja zgniły, mówił mi, gdzie jest kuchnia. W hotelach kuchnie znajdują się na samym dole. Przemykam się przez drzwi i zaczynam zbiegać po schodach. Bez sensu, rzucam okiem przez poręcz. Daleko w dole podłoga wielkości znaczka pocztowego. Droga ucieczki w sam raz dla Aojamy.

Zbiegam tak szybko i cicho jak mogę. A co powiem, jak mnie tu przyłapią? Ze windy działają na mnie klaustrofobicznie. Morda w kubek. Zbiegam na parter.

Szerokie szklane drzwi wychodzą na recepcję, a tam stoi potężny recepcjonista: czeka na mnie były zawodnik sumo. Schody się nie kończą, prowadzą piętro niżej.

Mogę teraz błagać o litość albo z powrotem na schody i dalej na dół. Recepcjonista mruży oczy i palcem wodzi po hotelowym rejestrze. Z litością mu nie do pary.

Przemykam się przez szklane wejście – posąg Atlasa z globem zasłania recepcjoniście pole widzenia – Podkradam się do drzwi z napisem *TYLKO DLA PERSONELU*. Niech będą otwarte, błagam. Zamknięte. Popycham otwierają się z chybotem. Dzięki. Za nimi duszny korytarz – ten rur i skrzynek z bezpiecznikami.

Na jego końcu stos szczotek poukładanych przy kolejnych drzwiach. Obracam się i naciskam. Nic. Napieram. Przejście zamknięte na klucz. – Co gorsza, słyszę, że piętro wyżej otwierają się szklane drzwi, a ja nie zamknąłem za sobą wejścia z napisem *TYLKO DLA PERSONELU*. – Hej? Jest tam kto? – Mr. Sumo Los

olewa mnie szczyną strachu. Co robić? Zrozpaczony, Pu kam do zamkniętych drzwi.

Słyszę na stopniach buty Mr. Sumo. Jeszcze raz pukam. I nagle rygiel puszcza, szarpnięte drzwi otwierają się i staję przed szefem kuchni, który pożera mnie wzrokiem – za jego plecami w oświetlonym jarzeniówkami pomieszczeniu trwa wielka siekanina i wszystko wrze. – Lepiej, żebyś był nowym pomocnikiem do przyrządzania musu – warczy i patrzy szatańskim wzrokiem.

Ehe?

– Gadaj, że jesteś nowym pomocnikiem!

Mr Sumo jest tuż, tuż.

– Tak, jestem nowym pomocnikiem do przyrządzania musu.

– To właż! – wciąga mnie do środka, zatrzaskuje drzwi i je rygluje, dając mi tym samym pierwszą od rana chwilę wytchnienia. Główny kuchmistrz – taki napis ma wyszyty na czapce. – Co ty sobie do diabła wyobrażasz, że pierwszego dnia pojawiaasz się z czterdziestopięciominutowym opóźnieniem, a do tego wyglądasz jak włóczęga? Nie będziesz chodził w tej baseballówce w mojej kuchni! – podszefowie i pomocnicy kuchenni stają się świadkami ofiary z człowieka.

Zdejmuję czapkę i kłaniam się. – Bardzo przepraszam. – Krem, para, baranina i gaz.

Nie widzę okien ani drzwi. Jak ja się stąd wydostanę? Główny szef Bonki chodzi i warczy. – Mistrz jest niezadowolony. A kiedy Mistrz jest niezadowolony, to niezadowoleni jesteśmy my. Na naszym statku panuje ścisła dyscyplina! – wydziera się nagle na całe gardło i bezpowrotnie przepada to, co jeszcze pozostało z moich nerwów. – A co robimy z członkami załogi, którzy pozwalają, żeby statek szedł na dno? – Person kuchni odśpiewuje jednym głosem

brzmiałym jak grzmot. Rzucamy rekinom! Rekinom! Rekinom! – Po tym wszystkim zaczynam już poważnie zastanawiać się, czy nie poddać się. Sumo. – Za mną, chłopcze. Mistrz przeprowadzi prelekcję. – Idę, objając się między lśniącymi ladami i stokami pełnymi rondli, obok regału z kartami perforowanymi. Drzwi. Żeby były drzwi, błagam. – Tu się będziesz meldował, o ile Mistrz wybaczy ci twój haniebny początek. – Mr Sumo jest już pewnie przy zaryglowanych drzwiach. Niepokoją mnie te wszystkie noże. Jakiś chłopak z nosem przy podłodze szoruje kafelki szczoteczką do zębów – szef bez widocznego powodu wymierza mu potężnego kopniaka. Docieramy do ciasnego biura wypełnionego sapnięciami, zgrzytnięciami i cmoknięciami szlifierki. Na przeciwległej ścianie otwarte drzwi – stopnie prowadzą na dziedziniec zawalony workami na śmieci. Szef uderza dłonią we framugę i krzyczy: – Nowy pomocnik do przyrzadzania musu zameldował się na służbę, Mistrzu. – Szlifierka cichnie.

– *Finalemente* – Mistrz nie odwraca się. – Wprowadź łotra. – Głos ma zdecydowanie za wysoki w stosunku do swojego cielska. Główny szef kuchni staje z boku i popycha mnie przed siebie. Mistrz odwraca się. Na twarzy ma maskę chroniącą przed opiłkami, spod której widać tylko nie osłonięte, drobne usta. W ręku trzyma topór, wystarczająco ostry, by wykastrować byka. – Zostaw nas, Bonki. Powieś na drzwiach tabliczkę. – Drzwi do biura zamykają się z trzaskiem.

Mistrz wypróbować ostrze na swoim języku. – Mamy ciągnąć to twoje małe oszustwo?

– Proszę?

– Nie jesteś przecież tym pomocnikiem, który tak wszechstronnie pomagał mi u Jeremiasza Żabska, co?

Zmyśl coś, szybko! – Yyy, no tak. Jestem jego bratem – on zachorował. Ale nie chciał zostawiać załogi. Więc w zastępstwie przysłał mnie. – No, nieźle.

– Cóż za niezwykle poświęcenie. – Mistrz zbliża się. Niedobrze.

Za plecami mam drzwi. – Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiadam.

Czyżbym słyszał jakieś huki?

– Ależ po mojej stronie. Mojej, mówię ci. Tylko dotknij. Mus jest elastyczny.

W czarnym szkle jego maski obserwuję swoją twarz i zastanawiam się, co właściwie taki pomocnik do przyrządzania musu robi. – Znasz się na tym najlepiej, Mistrzu. – Nagle w kuchni wybucha zamieszanie. Nie mam jak obejść Mistrza, by dostać się do drzwi prowadzących na dziedziniec. Mistrz sapie. W jego oddechu wyczuwam wyraźnie pasztet z wątróbek. – Weź kęs. Mus jest delikatny. Pokrój. A jakże. Mus jest łagodny. Ach, jaki łagodny. Powąchaj. Buchnie zapachem. A jakże.

Mus buchnie zapachem. – Cztery tłuste paluchy suną w kierunku mojej twarzy.

Krzyk. – Oj!

– Przykre. Przykre. – Mistrz unosi wiszącą obok mojej głowy zasłonkę, kryjącą judasza w drzwiach. Ściąga usta. Chwyta topór, odpycha mnie, zamaszyście otwiera drzwi i wypada. – Co za burdel! – wrzeszczy. – Ostrzegano cię! – w przelocie widzę Mr. Sumo, który miota asystentami szefa po ladach. – Ostrzegano cię! Ostrzegano cię, co się dzieje z alfonsami spod ciemnej gwiazdy, którzy wnoszą syfilisy i trypry na mój nieskazitelny pokład! – ciska toporem. Nie mam szans, żeby ocenić, z jakim skutkiem – rzucam się przez drzwi, wpadam po schodach na górę, przeskakuję przez plastikowe

worki ze śmieciami, roztrącając stado wron, pędzę przez dziedziniec, dalej w boczną ulicę, nie przestając kluczyć i oglądać się za siebie – i tak aż do siódmej trzydzieści.

O siódmej czterdzieści nagle orientuję się, gdzie jestem. Aleja Omekaido. Ten cyrkonowy drapacz chmur to przecież PanOpticon. Podchodzę jeszcze kawałek w kierunku Szindzuku i ląduję na skrzyżowaniu z ulicą Kita. Jupiter Cafe – Poranek jest już podrumieniony. Liczę pieniądze. Zawracam w stronę Ueno, mogę sobie pozwolić na metro do Kita Sendzu i na lekkie śniadanie. Tak lekkie, że muszę uważać, żeby przypadkiem nie kichnąć, bobym je zdmuchnął.

W klimatyzowanej Jupiter Cafe panuje wilgotny chłód. Kupuję kawę i bułkę z dżemem ananasowym, siadam przy moim oknie i przyglądam się swojej twarzy odbijającej się jak zjawy w szybie: Eidzi Mijake, lat dwadzieścia, włosy zmierzwione i spocone, zionie marychą i seksem zalatującym krewetkami, do tego paradujący – co z przerażeniem zauważam – ze śladem po miłosnym ukąszeniu, który zajmuje nad jego jabłkiem Adama powierzchnię równą obszarowi Afryki.

Dobiegł również końca proces przeobrażenia mojej skóry – z opalonej, przywiezionej z Kiusiu, na klajstrowatą, jaką mają tutejsze trutnie. Kelnerki o najdoskonalszej pod słońcem szyi dzisiaj nie ma w pracy – gdyby zobaczyła mnie w tym stanie, zawyłbym, powiedział, że mam dziewięćset lat, i zostawił po sobie kupkę zasuszonego łupieżu i paznokci. Oprócz mnie w kawiarni jest jeszcze tylko kobieta, która z przybornikiem do makijażu w ręku czyta jakieś czasopismo poświęcone modzie. Uroczyście przyrzekam, że już nigdy nie będę przypochlebiał się żadnej kobiecie. Delektuję się moją bułeczką z ananasem i patrzę na

wielki telebim zawieszony na gmachu NHK. Wyrzutnie pocisków odskakujące podczas odpalania, płonące miasta. Nowy telefon komórkowy Nokii. Minister spraw zagranicznych obwieszcza, że domniemane ekscesy w Nankinie podczas II wojny światowej to sprawa intryg lewicy mających na celu osłabienie patriotyzmu. Zizzi Hikaru myjąca włosy w szamponie Perłowa Rzeka. Snujące się po ulicach jakiegoś afrykańskiego miasta żywe szkielety atakowane przez muchy. Nintendo z dumą prezentujący Uniwersalnych żołnierzy. Dzieciak, który porwał autobus i poderznął trzem osobom gardła, i który twierdzi, że zrobił to po to, żeby się wyróżnić.

Obserwuję ruch uliczny, aż moich uszu dobiega suchy, urywany kaszel. W ogóle nie zauważyłem, jak pojawił się Lao Tse. Wyjmuje paczkę parlamentów, ale nie ma zapalniczki, zgubił. – No, czołem, kapitanie! – Pożyczam mu zapalniczkę. – Dzień dobry. – Zauważa mój ślad na szyi, ale nic nie mówi. Przed sobą ma ekran do gry wideo wielkości książki, ale taki, jakby go projektowano w dwudziestym trzecim wieku. – Nowiuteńki vidboy 3 – dziesięć tysięcy na dziesięć tysięcy, cztery gigabajty, wmontowane głośniki, chip sztucznej inteligencji Sokrates. Program wypuszczony ledwie w zeszłym tygodniu: Virtua Sapiens. – To prezent od mojej synowej. – Lao Tse wierci się na swoim stołku. – Lekarze zalecili – ma zapobiegać zgrzybieniu. – Przesuwam popielniczkę i ustawiam ją między nami. – To ładnie z jej strony. – Lao Tse strzepuje popiół. – Uważasz, że namówienie tego kretyna, mojego syna, do odsprzedania moich pól ryżowych właścicielowi supermarketu można nazwać czymś ładnym? To wszystko przez poczucie obowiązku wobec syna! Dałem szczeniakowi ziemię, żeby uniknął wściekłych podatków, jakie by zapłacił po mojej śmierci, i tym –

popycha grę – mi odpłacono. Musiałem przetrzepać pończochy – w moim wieku już dziurawe. Pograj na próbę, jak mnie nie będzie – podsuwa mi swojego vidboya 3 i oddala się do toalety. Zdejmuję swoją baseballówkę, podłączam się i naciskam START. Ekran rozjaśnia się.

Witamy w Virtua Sapiens

[wszelkie prawa zastrzeżone]

Rozumiem, że jesteś nowym użytkownikiem. Jakim imieniem postępujesz się w trakcie gry?

>eidzi mijake

Gratul. za wpisanie się do rejestru Virtua Sapiens, Eidzi Mijake. Już nigdy nie będziesz samotny. Wybierz kategorię relacji. Przyjaciel, Wróg, Obcy, Kochanek, Krewny.

>krewny

Okay, Eidzi. Jakiego krewnego chciałbyś dzisiaj spotkać?

>ojca, oczywiście

No tak, przepraszam. Nie ruszaj się, proszę, przez trzy sekundy, bo będę opracowywał cyfrowo twój twarz.

Pojawia się ikona oka, a mikrosoczewki wmontowane w obudowę ekranu migoczą czerwonym światłem. Okay, teraz jeszcze przez chwilę nie ruszaj się, a ja zarejestruję twoją siatkówkę. Pojawia się jedna ściana, podłoga i sufit. Dywan z wirem tworzy mapę bitową podłogi.

Rozwijają się paski wzorków na ścianach. Pojawia się okno z widokiem pokrytej kwiatami śliwy, targanej przez wiosenną burzę

– rozmazanym zza kurtyny deszczu.

Słyszę nawet padające krople, chociaż słabo. Pokój jest ponury. Po lewej stronie pojawia się lampa i rozbłyskuje przytulnym żółtym światłem. Pod oknem – przezroczysta kanapa z atramentowymi zygzakami. Na środku sofy pojawia się mój ojciec, prawa stopa złożona na lewym kolanie – pozycja w porządku, ale raczej niewygodna. Program wyposażył go w mój nos i usta, ale też w bardziej wydatne szczęki, a do tego przerzedził mu włosy. Oczy ma jak szalony naukowiec w przeddzień zawładnięcia światem. Symetryczne zmarszczki. Ma na sobie szlafrok – do tego coś w rodzaju rumieńców, zupełnie jakby przed pięcioma minutami wyszedł z wanny. Ojciec nachyla się w prawą stronę (patrząc od strony ekranu), gdzie widnieje stojak z winami – wysuwa jedną butelkę i odczytuje etykietę. *Chablis, 1993*. Silny, jasny, spokojny głos, idealny do odczytywania prognozy pogody. Nalewa sobie kieliszek, popisowo delectuje się bukietem i wciąga wargami odrobinę napitku. Przymyka oczy. Rozbłyskuje emaliowany uśmiech.

– Witaj w domu, synu. Zechciej odświeżyć mi pamięć – kiedy to było?

>właściwie to nigdy

Unosi brwi.

– Aż tak długo? Minęło szybko, jak z bicza strzelił! Tyle wieści, musimy to nadrobić. Ale ty i ja przejdziemy przez to jak burza. Jak tam w szkole, synu?

>skończyłem, mam 20

Popija wino, rozprowadzając je po języku i przeczesując palcami

włosy.

– Już? – wychyla się w stronę oddzielającego nas ekranu. Efekt jest zdumiewający – cofam się gwałtownie. – No to jesteś pewnie na uniwersytecie, co? To, co widzę w tle, to kawiarnia?

>Nie zwracałem sobie głowy uniwersytetem. Nie mam rodziców i nie ma kto za to płacić, forsy też nie mam.

Ojciec układa się w pozycji pólężącej, a wolną rękę nonszalancko kładzie na oparciu kanapy.

– Aż tak, synu? To bardzo dla mnie przykre. Edukacja jest czymś wspaniałym. Jak wobec tego spędzasz czas?

>jestem gwiazdą rocka

Ojciec unosi brwi.

– Naprawdę? Powiedz mi, czy jako gwiazda rocka odniosłeś sukces, zyskałeś sławę i majątek, czy też należysz do tych niedomytych milionów, które nieustannie czekają, aż im się poszczęści?

>odniosłem wielki sukces. Na całym świecie

Przymyka oczy i rozbłyskuje emaliowanym uśmiechem.

– Wiem, synu, że spotkanie własnego starego jest po tych wszystkich latach czymś trudnym, ale uczciwość jest zawsze najlepszą strategią. Skoro jesteś aż taki głośny w świecie rozrywki, to ciekawe, dlaczego jakoś nigdy nie przeczytałem o tobie w „Time”?

>>występuję pod pseudonimem, żeby uchronić swoją prywatność

Wychyla resztę wina.

– Nie, żebym ci nie wierzył, synu ale mógłbyś podać mi swój

pseudonim? Chcę się pochwalić kolegom, że mam syna, który jest gwiazdą rocka, no i szefowi banku!

>john lennon

Ojciec uderza dłonią w kolano.

– Prawdziwy John Lennon został zamordowany przez Marka Chapmana w 1980, a więc wiemy, że sobie ze mnie żartujesz!

>nie będziesz miał nic przeciwko, jeżeli zmienię temat?

Ojciec poważnieje i odkłada kieliszek.

– Pora, żebyśmy sobie szczerze porozmawiali, jak ojciec z synem, prawda? Nie musimy się już bać naszych uczuć. Co chciałbyś wiedzieć?

>kim ty właściwie jesteś?

– Twoim ojcem, synu!

>ale jako człowiek, kim jesteś?

Ojciec ponownie napełnia kieliszek. Błyskawica rozdziera niebo, kwiaty śliwy uderzają o szybę i purpura na tle szarości przeobraża się w czerń na tle tytanowej bieli. Domyślam się, że program potrzebuje więcej czasu, żeby odpowiedzieć na nieprawdopodobne albo ogólne pytania. Ojciec uśmiecha się pod nosem i zdejmuje stopę z kolana.

– No cóż, synu, to kawał pytania. Od czego miałbym zacząć?

>jakim człowiekiem jesteś?

Ojciec opiera lewą stopę na prawym kolanie.

– Niech pomyślę. Jestem Japończykiem, następne urodziny to pięćdziesiątka. Jestem aktorem. Moje hobby to nurkowanie i ocenianie win. Ale bez obaw – dowiesz się wszystkiego, jak poznamy się bliżej, bo wierzę, że niebawem znowu mnie Zwiedzisz! Chciałbym przedstawić cię pewnej niezwyklej osobie. Co ty na to?

>okay

Ekran zwija się na prawą stronę, obok stojaka z winami. Kobieta – pod czterdziestkę? – siedzi na podłodze, pali i między jednym machem a drugim nuci kawałki z Norwegian Wood. Jest zawinięta w męską koszulę, a czarne obcisłe getry podkreślają kształty jej ciała. Długie włosy spływają do pasa. Ma moje oczy.

– Cześć, Eidzi. – Głos ma delikatny i zapraszający do zawarcia znajomości. – Domyślasz się, kim jestem?

>białym śniegiem?

Uśmiecha się do mojego ojca i wyrzuca papierosa.

– Widzę, że poczucie humoru masz po ojcu. Jestem twoją matką.

>ależ kochana mamusiu, tatusia nie widziałaś od 17 lat

Program przerabia tę nieoczekiwaną informację, podczas gdy burza dobija się do okna.

Mama zapala następnego papierosa.

– No cóż, przyznaję, że mamy parę spraw do naprawienia. Ale teraz idzie nam jak po maśle.

>to znaczy, że wreszcie zaczyna ci brakować dzieciaków, bo potrzebujesz pieniędzy?

– To boli, Eidzi. – Moja wirtualna matka odwraca się i szlocha

przejmująco, zupełnie jak prawdziwa, ale najpierw odpowiada ojciec.

Mówi dobitnie, z nutą groźby, akcentując słowa rytmicznie jak tragic.

– To jest dom, młody człowieku, a nie hotel! Jeżeli nie potrafisz grzecznie się wyrażać, to wiesz, gdzie są drzwi!

Ależ parkę wirtualnych rodziców wygenerował mi program! A oni nie mogą się nadziwić, jakiego wirtualnego syna wygenerowała im rzeczywistość. Kwiaty śliwy opadają, targane przez nietypową jak na tę porę roku pogodę.

* * *

– Hej? Śpiochy! Jest tu kto? – mężczyzna w kawiarni krzyczy tak głośno, że zagłusza odgłosy wirtualnej burzy. – Źle wydane, mała! – Odłączam się i odwracam, żeby zobaczyć, o co ta cała wrzawa. Truteń postury niedźwiedzia grizzly w poplamionej koszuli warczy na dziewczynę o najdoskonalszej szyi pod słońcem – kiedy ona tu weszła? Kelnerka patrzy zdumiona, ale nie zbита z tropu. Oślica myje naczynia i trzyma się z dala, a moja dziewczyna robi wszystko, żeby zachować się grzecznie wobec faceta, który warczy jak pies. – Ależ dał mi pan jeden banknot o wartości pięciu tysięcy jenów.

– Słuchaj no, mała! Dałem ci banknot o wartości dziesięciu tysięcy jenów! Nie pięciu! Dziesięciu!

– Ależ, proszę pana, jestem absolutnie pewna...

Grizzly staje na tylnych łapach. – Zarzucasz mi, że kłamię, mała?

– Nie, proszę pana, twierdzą tylko, że pan się myli.

– Jesteś feministką? Za mało wydajesz, bo jesteś oziębła?

Kolejka gości burzy się niespokojnie, ale nikt się nie odzywa.

– Proszę pana, ja...

– Dałem ci dziesięć tysięcy, ty poskrobankowy kubie! Dawaj mi resztę! I to już!

Dziewczyna otwiera kasę. – Proszę pana, tutaj nawet nie ma takiego banknotu.

Wieprz ślini się i kłapie kłami. – A jak! Z kasy też kradnie!

Może nadal jestem przyćpany po haszu, albo Virtua Sapiens poprzestawiał mi coś w poczuciu rzeczywistości, w każdym razie nagle okazuje się, że podchodzę i kładę facetowi dłoń na ramieniu. On odwraca się. Usta wykrzywione w szyderczym grymasie. Wieprz jest większy, niż mi się wydawało, ale i tak już za późno na odwrót, więc z całej siły atakuję pierwszy. Chlustam mu kawą w twarz i poprawiam uderzeniem z głowy w nos, i to mocno, naprawdę mocno. W oczach migają mi bożonarodzeniowe światełka. Wieprz leci na plecy, wypuszczając z siebie przeciągłe „aaaa”. Trzyma się za nos, krew kapie mu spomiędzy palców.

Uspokajam się i instynktownie szukam czegoś, czym mógłbym jeszcze machnąć.

Ból czoła sprawia, że mówię rwanym głosem. – Wynoś się stąd, natychmiast, bo inaczej powybijam ci wszystkie zęby – rzucam okiem na to, co trzymam w garści – tą popielniczką! – Wyglądam chyba na jakiegoś pomyleńca, w każdym razie na kogoś, kto mówi serio, bo gdy sapiąc, wspominam zadziornym głosem o policji i napaści, Wieprz rejteruje. Goście patrzą. Lao Tse klepie mnie po ramieniu. – Dobra robota, kapitanie. – Oślica podchodzi do swojej współpracownicy, cała zatroskana. – Nic ci nie jest? Nie miałam pojęcia, co się dzieje... – Kelnerka o nieskazitelnej szyi zatrzaskuje kasę i wbija we mnie spojrzenie. – Poradziłabym sobie z nim.

– Wiem – odpowiadam. Bożonarodzeniowe światełka zaczynają niebezpiecznie musować.

– Tak czy inaczej, dziękuję ci – obdarowuje mnie ostrożnym uśmiechem, tak że kiedy bożonarodzeniowe światełka wypalają się, znajduję coś, co odwróci moją uwagę od bólu. Siadam i na chwilę ból wypełnia całą głowę.

Ciekawe, czy matka popijała w Jupiter Cafe podczas swojego pobytu w Tokio.

Może po moich i Andżu narodzinach, może dokładnie na tym samym miejscu, oczekując wezwania od Akiko Kato. Trutnie z PanOpticonu w soboty także pracują. Spokojny strumień ludzi płynie do gmachu i z niego wypływa. Minęły już prawie dwa tygodnie od mojego bezowocnego czatowania, a mój ojciec nadal nie wiadomo po jakiej części Tokio się błąka. Może mieszka na jakimś odległym przedmieściu; może to ten facet przy sąsiednim stoliku czytający sportowe strony gazety. Lao Tse siedzi o dwa stołki dalej, pochłonięty swoją zwariowaną grą.

– Cześć. – Kelnerka o nieskazitelnej szyi trzyma dzbanek z kawą. – Jeszcze?

– Obawiam się, że nie mam już kasy.

– Na rachunek firmy. Zapłata w ramach usług oddanych na rzecz ochrony.

– Wobec tego z rozkoszą poproszę o jeszcze. Dziękuję. Dziewczyna nalewa kawę. Patrzą.

– Jak twoja głowa? – pyta.

Opieram się na łokciach i zasłaniam gardło, żeby ukryć ślad po miłosnym ukąszeniu.

– Świetnie.

– Coś jeszcze?

– Coś jeszcze?

– Może jeszcze jedną bułkę? Ja za nią zapłacę.

– Bardzo chciałbym, yyy, gdybyś nie miała nic przeciwko temu, dowiedzieć się – ból dodaje mi odwagi, o jakiej normalnie nawet mi się nie śni – jak masz na imię.

Ostrożny uśmiech potrzebuje tym razem trochę czasu, zanim znowu się pojawia. – Nazywam się Ai Imadzo.

– Ai Imadzo. – Jakie świetne nazwisko.

– A ty?

– Eidzi Mijake. – Nie takie świetne.

– Eidzi Mijake – powtarza Ai Imadzo, a ja czuję się lepiej, o wiele, wiele lepiej.

Bada mojego guza na czole.

– To chyba strasznie boli, jak się tak kogoś walnie głową?

– Nie, gdy się wie, jak to robić. Przynajmniej na pozór.

– To znaczy tak na co dzień nie ganiasz i nie tłuczesz ludzi głową?

– To moja pierwsza główka.

– Historyczna okazja. – Na skrzyżowaniu zapala się zielone światło i stłoczone mrowie rusza, że aż się kurzy. Czy mogłam już gdzieś cię widzieć, Eidzi Mijake?

– Tego dnia, kiedy była burza. Dwa tygodnie temu Myślałaś, że – no, chyba zresztą tak było – podsłuchiwałem jak rozmawiasz przez telefon. Pod koniec twojej zmiany. Siedziałem tu przez parę godzin.

– Tak. – Ai Imadzo przypomina sobie, kiwając głową. – Już sobie przypominam.

– Blasted, blasted, przekłete bioborgi! – Lao Tse pomstuje na vidboya 3.

– Mam teraz przerwę. Pozwolisz, że się przysiądę?

Czy pozwolę? – Jasne. – I ku mojej radości, a zarazem utrapieniu – od nocy spędzonej z nieznaną w pokoju na godziny cuchną jak łajno – dziewczyna o najdoskonalszej szyi pod słońcem siada obok mnie. – To spotkałeś się z tym kimś?

– Z kim?

– Z kimś, na kogo czekałeś tego dnia, kiedy była burza.

– Nie. Jeszcze nie.

– Dziewczyna?

Obieram wersję na skrót i od razu dochodzę do Akiko Kato. –
Krewna.

– Jak długo już szukasz?

– Trzy tygodnie...

– Odkąd przyjechałeś do Tokio?

– Skąd wiesz?

Policzki dziewczyny zaokrąglają się, a oczy powiększają.
Uwielbiam taki uśmiech.

– Twój akcent. Sześć miesięcy i go zgubisz. Skąd jesteś?

– Nawet nie słyszałaś o takim miejscu.

– No to proszę.

– Jakuszima. Wyspa położona...

– ...na południe od Kiusiu, gdzie rosną cedry džomon, najstarsze żywe istoty na wschodniej półkuli. A jak znajdujesz Tokio, takie trudne miasto?

Tokio, trudne miasto. Czyż to nie cudne? – Mnóstwo niespodzianek. Czasami samotne. Na ogół dziwne. Trudno mi iść prosto przed siebie. Nieustannie na kogoś wpadam.

– Musisz przestać myśleć o tym, jak masz chodzić. Tak samo jest z wkładaniem jedzenia do ust – zaczniesz myśleć o tym, to nie

trafisz. Skąd wiesz, że twoja krewna tędy przechodzi?

– Tak naprawdę to nie wiem. Nie wiem nawet, jak wygląda.

– To daleka krewna?

– Nie chcę cię zanudzać.

– A wyglądam na znudzoną? Dlaczego nie poszukasz w książce telefonicznej?

– Nie wiem nawet, jak ona się nazywa.

Ai Imadzo marszczy brwi. – A czy ona wie, jak ty się nazywasz?

– Tak.

– Daj ogłoszenie do gazety do kolumny osób, które się poszukują. „Krewni Eidziego Mijake – proszę o kontakt, skrytka numer”. Coś w tym stylu. Większość tokijczyków czyta co najwyżej trzy lub cztery gazety. Nawet jak twoja krewna sama tego ogłoszenia nie przeczyta, to zawsze może ktoś inny. Wyglądasz na niezdecydowanego.

Zastanawiam się intensywnie.

Ai Imadzo przygląda mi się. – I co?

Ach, uwielbiam, kiedy Ai Imadzo przygląda mi się.

– Nie mam pojęcia.

I znowu ten uśmiech połączony ze zmieszaniem.

– Nie mam pojęcia o czym?

– Nie mam pojęcia, dlaczego jestem taki głupi, że jeszcze na to nie wpadłem. W których gazetach?

– O, dzikus z Kiusiu – mówi Buntaro, witając mnie z powrotem w Mknącej Gwieździe – oczka masz jak dwie dziurki po szczaniu na śniegu. – Mój gospodarz pałaszuje lody z jagodami. Na ekranie wideo facet w czarnym garniturze idzie przez pustynię. Gitara o butelkowej szyi wiruje w powietrzu wraz z krzewami.

Czarnemu garniturowi przydałoby się czyszczenie, facetowi –

golenie i prysznic. – Dzień dobry. Co to za film?

– *Paris, Texas* Wima Wendersa. – Buntaro układa stos z mrożonych jagód, aż rozsypują mu się na dłoni. Patrę jeszcze chwilę. Nie za wiele dzieje się w tym Paryżu w Teksasie. – Jakby nudny, co?

Buntaro oblizuje dłoń. – To jest, chłopcze, klasyka egzystencjalistyczna.

Mężczyzna, który utracił pamięć, spotyka kobietę z ogromnymi klaksonami. No. A jak nocka? Brak pamięci czy ogromne klaksony? Mnie tam nie nabierzesz. Też byłem kiedyś młody. Chociaż muszę ci przyznać, że szybki zawodnik z ciebie.

Dwa tygodnie w dużym zepsutym mieście i już łapiesz zapaszek bardziej aromatycznego seksu.

– Taki tam wypad do przyjaciół.

– Tak, tak. Jak już mówimy o przyjaciółach, to wcześniej widziałem monstrualnego karalucha.

– To musisz pogadać o tym z moim gospodarzem.

– Poważnie, myślałem, że to bezwłosy szczur. A on mi pokazuje rogi.

Próbowałem go trzasnąć, ale się poderwał i poleciał na schody. Zniknął pod twoimi drzwiami, zanim zdołałem powiedzieć: „Na wszystkie świętości, co to jest?”. Może twoja przymierająca głodem kocica go zeżarła.

– Moją przymierającą głodem kocicę nakarmiłem przed wyjściem. – Dobrze wiedzieć, że Buntaro przyzwyczał się do myśli, że w mojej kapsule mieszka Kotka.

– Aha! To znaczy schadzke miałeś już zaplanowaną! W głowie mi łupie. – Daj mi spokój, błagam. – Proszę.

– A czy to ja cię stuknąłem? Opróżnij to, co pełne, napełnij to, co

puste, podrap to, co swędzi. Trzy klucze do harmonii. Ale cóż to za niezidentyfikowana plama szpeci twoje gardło?

Najlepszą obroną jest atak. – Masz rozpięty rozporek.

– I co z tego? Zdechły ptak nie wyfrunie z gniazda.

– Nie taki znów zdechły ten ptak. Spójrz na swoją żonę.

– Zdechły, zdechły. Spójrz na moją żonę.

– He?

– Kiedyś się przekonasz, co mam na myśli, mój chłopcze.

Mam już czmychnąć na górę, gdy wchodzi trzech licealistów.

Ten na czele pyta mnie: – Macie *Virtua Sapiens*?

– Nigdy o tym nie słyszałem – odpowiada Buntaro. Dalszy ciąg *Homo*?

– Że jak?

– Chodzi o grę wideo – tłumaczę. – Wyszła przed tygodniem.

Drugi co do ważności puszcza mimo uszu moje wyjaśnienie. – A macie Miecz Zyqorum?

– Żadnych programów. Tylko wideo.

– Mówiłem ci! – mówi ten najważniejszy i grupa wychodzi.

– Zapraszam, chłopcy. – Wiesz, Mijake, z wiarygodnego źródła – „Dziecko i Ty”, wyobraź sobie – dowiedziałem się, że przeciętny japoński ojciec spędza ze swoim dzieciakiem siedemnaście minut dziennie. Przeciętny uczeń spędza dziewięćdziesiąt pięć minut dziennie przy grach wideo. Nowe pokolenie elektronicznych tatusiów. Kiedy Kodai przyjdzie na świat, to bajeczki do snu będą mu opowiadali mama i tata, a nie jacyś sado–narko–psycho–zwido–programiści. Już teraz przygotowuję sobie wielgachne „Nie” na wypadek, gdyby Kodai zaczął biegać za tymi urządzeniami do gier wideo.

– A jeżeli zacznie płakać, bo nikt w klasie nie będzie chciał z

nim gadać, bo jego tatuś jest za skąpy i nie chce mu kupować gier?

Buntaro strapiony marszczy brwi. – Nigdy mi to nie przyszło do głowy. A twój tata, co zrobił?

– Przebywał w innej części kraju.

– No a mama?

Jedno małe kłamstwo rodzi następne. – Ja miałem swój klub piłkarski. Tak czy inaczej, yyy, muszę się umyć. – Wspinam się do mojej kapsuły, biorę prysznic – i chociaż wycieram się ręcznikiem do sucha, jestem tak spocony, że mogę wziąć kolejny prysznic – i rozwijam materac. Sen nie nadchodzi. Ai Imadzo.

Nieprzerwanie unosi się nade mną. Jej delikatna szyja, uśmiech. Wymawia moje imię. Wstaję i próbuję zagrać kilka akordów na mojej gitarze o butelkowatej szyi, ale palce mi zardzewiały. Zaglądam do motelu dla karaluchów – tylko jeden gość, dziecko. Karaluch powiedział o gościnności tego motelu. Wraca Kotka i chłepce do dna wodę ze swojej miseczki. Dolewam, a ona znowu wszystko wypija.

Po jakimś czasie wychodzę, żeby kupić „Tokijski Kurier Wieczorny”. Wsiadam do metra w kierunku Ueno i szukam spokojnego miejsca w parku, żeby wypełnić formularz ogłoszenia. Robię kilka falstartów – muszę napisać to tak, żeby moja macocha nie pomyślała, że chodzi mi o pieniądze, no i żeby w ogóle to nie wyglądało w ten sposób. W końcu wybieram plan C: krótka, prosta informacja.

Wyślę to jutro rano, podczas przerwy na lunch. Ssę cukierka. W parku Ueno całe rodziny, dzieciaki, pary, ludzie w podeszłym wieku, skupiska obcokrajowców – nawet chyba Brazylijczycy, Chińczycy, każda narodowość na skrawku własnego terytorium. Miłośnicy muzeów, fotograficy, skateboardziści – W drzewach

cykady, pod drzewami dzieciarnia, między drzewami imprezy towarzyszące. Natrętne gołębie. Motory prujące po torze. W powietrzu, jedwabście słodkim, unoszą się zapachy kadzidła, ogrodu zoologicznego i klusek z ośmiornicami. Idę nad staw Szinobazu popatrzeć, jak ludzie karmią kaczki. Kładę się przy drzewie i do diskmana wkładam Mind Games. To najgorętsze popołudnie w całym wrześniu.

Patrzę na chmury. O, nadchodzi Pani od Obrazów, sprzecząc się z niewidzialnym towarzyszem. Ciekawe, czy kiedykolwiek zdobędę się na odwagę, by zaproponować Ai Imadzo randkę. Widzę młodą kobietę, która karmi kaczki suchym chlebem z papierowej torebki. Na ławce ma stertę książek z biblioteki.

Zapadam w drzemkę. Jakaś kobieta podprowadza do mnie swój rower, jakby chciała ze mną porozmawiać. Przygląda się badawczo mojej twarzy. Naciskam klawisz „stop” w moim diskmanie i z powrotem tonę w powodzi odgłosów parku. – Nie – stwierdza w końcu kobieta – to nie jest jakiś zwykły zbieg okoliczności.

– Słucham?

Potrząsa głową, pełna oburzenia i niedowierzania. – Daimon mnie śledzi.

Zrywam się. – Kim pani jest?

Na jej twarzy pojawia się zacięty upór. – Niepotrzebny mi ten syf.

Hmm?

Celuje we mnie palcem i syczy: – Powiedz mu, żeby się sam ze sobą pieprzył!

Powiedz mu, żeby swoje wymysły o ucieczce sprzedawał tym siksom! Powiedz mu, że jest nic niewart! Powiedz, że mój kraj przestał być japońską kolonią pod koniec ostatniej wojny! Powiedz,

że jeśli będzie próbował dzwonić, to zmienię numer! Powiedz, że jeśli pokaże tę swoją twarz w moim mieszkaniu, to mu ją pokiereszuję widelcem! Powiedz Juzu Daimonowi, żeby zjeżdżał i zdechł! A to wszystko odnosi się także do ciebie.

Kaczki pokwakują.

Nagle wszystko staje się jasne. Ta kobieta to Miriam, hostessa w Damie Pik.

Kobieta, która wczoraj wieczorem nie przyszła do centrum gier na randkę z Juzu Daimonem. Kobieta, z którą Daimon wyrównywał – przy mojej pomocy – rachunki.

Okropność. – Przysięgam – zaczynam – nie miałem, nie miałem pojęcia, wcale pani nie śledziłem, ja – kaczki trzepoczą się opodal – w ogóle nie wiedziałem, to znaczy, to wszystko to pomyłka, ja nie miałem pojęcia, że pani tu będzie – skąd niby? To znaczy, ja tak naprawdę nawet nie znam Daimona...

Po pierwsze, szprychy piszczą, ocierając się o gałęzie jawora. Po drugie, dociera do mnie, że kopie mnie z całej siły prosto w jaja. Po trzecie, gdy skręcam się na ziemi, dobija mnie deszcz spadających żołądzi. Po czwarte, słyszę jej głos, tak lodowaty, że staw by zamarznął. – Dobrze wiem, kim jesteś, Eidzi Mijake. Jesteś pijawką, która kłamie, żeby się utrzymać przy życiu. Dokładnie tak samo, jak twój ojciec. – Podchodzi do roweru. Próbuję nie zwracać uwagi na ból i odtwarzam jej ostatnie zdanie. – Poczekaj! – Naciska na pedały i odjeżdża groblą obdzielającą staw z kaczkami od jeziora, po którym pływają łodzie. Usiłuję zerwać się do biegu, lecz ból zapiera mi dech. – Miriam! Poczekaj! – Matki pchające spacerowe wózki odwracają się, gromada chłopaków na motorach patrzy, rycząc ze śmiechu. Śmieją się nawet kaczki. – Miriam! – kucam pokonany i patrzę, jak ona zamienia się w zjawę i rozplywa się w

pyle wodnym bijącym od fontann. Ona zna mojego ojca!

Pragnę ucześć się tej nadziei, ale czuję taki zawód, że chce mi się wyć. Wracam, utykając, do swoich rzeczy i tam, w pyle między korzeniami jawora znajduję coś jeszcze. Książkę z biblioteki która wypadła, gdy Miriam mnie poniewierała. Co to za książka? Nie rozumiem ani słowa – jest po koreańsku.

* * *

W uliczkach dzielnicy Szibuja gubię się w beczasie. Wczorajsze i dzisiejsze popołudnie dzielą bodaj całe tygodnie. Ta sieć wąskich uliczek i pogodnych cieni oraz różowa dzielnica z wczorajszej nocy to jakby dwa zupełnie inne miasta. Koty i wrony buszują w stertach śmieci. Ciężarówki z browaru manewrują na zakrętach. Z przepelnionych rur tryska woda. Nocna strefa Szibui drzemie, zupełnie jak tuzinkowy aktor między aktami. Moje oczy zaczynają się gubić w płataninie tablic ze znakami – Dzika Orchidea, Jamato Nadesziko, U Maka, Dickens, U Jumiczana.

Nawet jeżeli przypadkiem natknę się na Damę Pik, to będę już tak zmęczony poszukiwaniem, że nie zauważę. Wyszedłem z Mknącej Gwiazdy bez zegarka i nie mam pojęcia, w jakim tempie ucieka mi popołudnie. Bolać mnie stopy, w ustach czuję kurz. Co za upał. Wachluję się baseballówką. I tak nic to nie daje. Jakaś podstarzała Mama-san zrasza wodą nagietki rosnące w skrzynce na trzecim piętrze.

Kiedy się odwracam, ona nadal na mnie patrzy nieobecny wzrokiem.

Budka telefoniczna to pornograficzne safari śmierdzące nigdy nie prany spodniami. W Tokio nie musisz kupować kaset i pism z sexmangami – wystarczy, że poszukasz najbliższej budki. Ja i moi

kuzyni zaoszczędzilibyśmy masę forsy.

Wszystkie kształty i rozmiary, jakie tylko można sobie wyobrazić, a do tego mnóstwo innych. Układy potrójne, poczwórne, sado–maso, rewia licealistek, specjalna srebrna Usługa dla osiemdziesięciolatków. – Informacja – odbiera jakaś kobieta. – Słucham, jakie miasto?

– Tokio.

– Jaka dzielnica?

– Szibuja.

– Proszę podać nazwisko.

Panna Manilla Słoneczko nadmuchała sobie dwa balony.

Oczywiście, nie...

– Proszę podać nazwisko.

...nie ma mowy, żeby naprawdę były prawdziwe...

– Proszę o nazwisko!

– Yyyy, przepraszam. Próbuję wytropić pewien bar. Dama Pik.

– Dama Pik... chwileczkę, proszę. – Klekot klawiatury.

Panna Kremolinka zlizuje piankę z prącików.

Klekot klawiatury. – Damska Sauna... Duńskie Damy... Przykro mi. Nie ma.

– Jest pani pewna? Byłem tam ubiegłej nocy. Może mają nowy numer?

Pani Ściera ujeżdża miotłę – w dymku tekst: „Wsadź! Wyjmij! Wywijaj na wszystkie strony!”.

– Nowe numery wprowadza się do komputera po zarejestrowaniu.

– Więc jeżeli Damy Pik nie ma w waszym komputerze...

– To znaczy, że jest pewnie poza informacją.

– Dziwne. – Jaki bar chciałby ukrywać numer telefonu?

– Chyba jakiś bardzo ekskluzywny. Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc.

– No cóż. Dziękuję za pomoc.

Odkładam słuchawkę. Na dużej kartce tekst napisany dzieciennym pismem. *Jeżeli masz ochotę na seks ze mną, to czekam na zewnątrz.* Rozglądam się.

Patrzy przez szybę prosto na mnie. Szesnastka? Piętnastka? Czternastka? Ma jakąś wadę wzroku. Przyciska delikatnie usta do szyby. Zmykam szybciej niż Karaluch.

Drzwi posterunku policji nie ustępują. Muszę się namęczyć, żeby je otworzyć.

Afiszę ze starymi listami gończymi za Aum Szinrikjo, z numerami 110, hasłami zachęcającymi do wstąpienia do policji i służenia Japonii. Dzięki, nie skorzystam.

Szafki z aktami. Czarno-biały zegar z sunącą wskazówką sekund, identyczny jak na wszystkich gmachach rządowych. Kalendarz CitiBanku, szeleszczący od lekkich podmuchów powietrza z pracującego wentylatora. W środku gliniarz wyciągnięty na krześle, z rękami splecionymi za głową, pogrążony w głębokiej zadumie. Unosi jedną powiekę. – Tak, synu?

– Przepraszam. Szukam baru.

– Szukasz baru? – słowa ciekną mu z kącika ust.

– Tak.

– Wystarczy ci jakikolwiek bar? Czy to ma być jakiś bar konkretny?

– Szukam konkretnego baru.

– Szukasz konkretnego baru.

– Tak.

Przeciągłe westchnienie jak stąd do wieczności. Unosi się druga

powieka. Dwie przekrwione gałki oczne. Długie milczenie. Gliniarz wraca do pozycji pionowej – a krzesło skrzypi – i powoli rozkłada na biurku mapę. Do góry nogami.

– Jak się nazywa?

– Eidzi Mijake.

Przeciągłe spojrzenie. – Nie ty, mądralo, tylko bar, jak się nazywa?

– Yyy, przepraszam. Dama Pik.

Gliniarz koncentruje się i posępnieje. – Jesteś bywalcem tego baru?

Przełykam ślinę. – Niezupełnie. Byłem tam wczoraj w nocy.

Marszczy brwi, jakbym coś kręcił. – Ktoś cię zabrał?

Kiwam głową. – Tak.

Przygląda mi się pod innym kątem. – I chcesz tam wrócić? Po co?

– Muszę porozmawiać z niby... przyjacielem, który tam pracuje.

– Musisz porozmawiać z niby przyjacielem, który tam pracuje. A ile to, mówiłeś, masz lat?

– Ja, yyy, nie mówiłem.

– Wiem, wiem, mądralo. Dlatego właśnie pytam. Ile masz lat?

O co chodzi? – Dwadzieścia.

– Dokumenty.

Otwieram nerwowo portfel i podaję swoje prawo jazdy. Gliniarz ogląda je ze wszystkich stron. – Eidzi Mijake, na stałe zamieszkały w prefekturze Kagoszima.

W Tokio szukasz pracy? – Przytakuję. Czyta: – Data urodzenia, 9 września.

Wczoraj skończyłeś dwadzieścia, zgadza się?

– Zgadza.

– To znaczy w trakcie bytności w rzeczonym barze nie osiągnąłeś jeszcze wieku pozwalającego na legalne spożywanie alkoholu. Zgadza się?

– Do Damy Pik poszedłem wczoraj. Na urodziny.

– Do rzeczonego baru poszedłeś wczoraj. Na urodziny.

– Chciałem tylko adres tego miejsca, panie poruczniku.

Przygląda mi się badawczo, przez dłuższy czas szukając na mojej twarzy jakichś śladów. W końcu oddaje mi dokument. – W takim razie mogę ci tylko zaproponować, że jak chcesz otrzymać rzeczony adres, to zadzwoń sobie do rzeczonego niby przyjaciela. Na żadnej mojej mapie nie figuruje Dama Pik. – Koniec. Kłaniam się i odchodzę, starając się zasunąć za sobą drzwi, podczas gdy gliniarz utrwała sobie w pamięci moją twarz.

Nie ma co ukrywać, kłapa. Nogi zaraz mi się odkręcą i odpadną. Co najmniej dwa razy przeszukałem każdą uliczkę i aleję w Szibuja, ale Damy Pik już nie znalazłem. Kupuję puszkę calpisa i paczkę sevenstarów i siadam na jakimś stopniu.

Może odnajdę Daimona w sali bilardowej? Nie. Długo będzie unikał tego miejsca, żeby przypadkiem mnie nie spotkać. Żeby tak Miriam ubiegłej nocy powiedziała, że zna mojego ojca. Skąd znała moje nazwisko? Przecież Daimon parę razy je wymienił. Choć z drugiej strony „Mijake” to dość pospolite nazwisko. Daimon mnie wpisał, a ona pewnie zobaczyła ten dziwny zapis w kandzi oznaczający „Eidzi”. Ojciec pewnie mówił o mnie. Pociągam z puszki i zapalam sevenstara.

Ojciec bywa w tych ekskluzywnych klubach – wiem o nim tylko tyle, że jest bogaty. Wyobrażam sobie, jak dym krąży mi po płucach, prześwietlany promieniami słońca niczym pył w kopalnianych szybach. Wpadłem na Miriam nad stawem Szinobazu

– w końcu nie tak daleko. Karmi kaczkę – ile jest w Tokio takich miejsc, gdzie można pokarmić kaczkę? Kładę papierosa na krawędzi puszki i wertuję biblioteczną książkę upuszczoną przez Miriam. No, no. Kopnęła mnie w jaja dziewczyna, która jako hostessa obsługuje mojego ojca. Nie. Coś tu nie gra.

Zbyt dziwne są te wszystkie zbiegi okoliczności. A nawet gdyby tak było.

Dowiedzieć się, w jakim punkcie się zbiegają – to byłby mój Plan D. Ciekawe, czy mój ojciec to taki sam kobieciarz, jakim najwyraźniej jest ojciec Daimona. Zawsze wyobrażałem go sobie jako zdeklarowanego cudzołożnika. Spoko, mam się z nim spotkać, a nie go osądzać. Papieros stacza się z puszki, która sama z siebie zaczyna drzeć, chybotać i...

...wreszcie przewraca się, ziemia jęczy, okna dźwięczą, budynki się trzęsą, cholera, ja się trzęsę, adrenalina się wsącza, zapada milion wyroków, windy zamierają, miliony tokijczyków chowają się pod stoły, rzucają do wyjścia – ja zwijam się w kłębek, umykając przed kawałem upadającego muru, a całe miasto wraz ze mną wznosi strzeliste modły do nie wiadomo kogo – kogokolwiek – do Boga, do bóstw, do karni, do przodków – byle tylko wysłuchał: powstrzymaj to, powstrzymaj natychmiast, proszę, proszę, proszę, niech to nie będzie to, nie to, nie dzisiaj, nie teraz, byle nie drugie Kobe. Byle nie kolejny 1923, nie dzisiaj, nie tutaj.

Calpis rozlewa się deltą na wyschniętym chodniku, Buntaro mówił mi, że są trzęsienia ziemi o drganiach wertykalnych i takie, w których występują drgania horyzontalne. Horyzontalne ujdą. Wertykalne powalają całe miasta. Ale jak je odróżnić od drugich? A kogo to obchodzi – dosyć i już!

Przestaje trząść.

Rozwijam się z kłębka, jakbym ponownie się rodził, oniemiały, nie wierząc, że to już. Cisza. Oddech. Deszcz ulgi spływa z nieba. Ludzie nastawiają radioodbiorniki, żeby dowiedzieć się, czy to tylko lokalne czknięcie, czy też Jokohama albo Nagoja zostały zmiecione z mapy Japonii. Stawiam puszkę i zapalam następnego papierosa. I wtedy widzę coś jeszcze i nie do końca mogę sobie zaufać, że to widzę. Po drugiej stronie ulicy, na wprost stopnia, na którym siedzę, znajduje się wejście do pasażu. Pasaż prowadzi do budynku i kończy się windą. Obok windy widnieje tabliczka. Na niej, obok #9, para trapezowatych oczu wlepionych prosto we mnie. Znam te oczy. To oczy damy pik.

Odzywa się spiżowy gong i drzwi windy otwierają się. Za aparatem projekcyjnym stoi wiadro z mydlaną wodą. Kobieta w kombinezonie czyści koktajlową słomką maleńkie otworki w planetarium. Obrzuca mnie z wysokości drabiny przelotnym spojrzeniem. – Otwieramy dopiero o dziewiątej, proszę pana – mówi i teraz dostrzega moje sfatygowane ubranie. – Tylko bez handlowania telefonami komórkowymi, dziękujemy. – Więc też nie bawię się w uprzejmości. – Miałem nadzieję, że będę mógł zamienić słówko z Miriam.

Przypatruje mi się badawczo. – Kim pan właściwie jest?

– Nazywam się Mijake. Byłem tutaj wczorajszej nocy z Juzu Daimonem.

Miriam była naszą hostessą. Muszę zadać jej jedno pytanie. I zaraz sobie pójdę.

Kobieta potrząsa głową. – Otóż pójdzie pan od razu, w tej chwili.

– Proszę. Nie jestem żadnym psycholem. Proszę.

– Zresztą Miriam i tak dzisiaj wieczorem nie pracuje.

– Czy mógłbym w takim razie prosić o numer jej telefonu?

Kobieta czyści słomką dziurkę. – Co to niby za pytanie?

– Osobiste.

Jeszcze nikt w taki sposób na mnie nie patrzył. Kciukiem wskazuje w stronę drzwi za kotarą. – Lepiej porozmawiaj z Mama-san.

Dziękuję jej i przechodzę przez palarnię. Gobeliny są podwinięte i słońce szerokimi pasmami dobija się do okien. Tu i tam siedzą kobiety w koszulkach i džinsach i popijają somen. Krucha kobieta naprawia mechaniczną papugę. Kiedy wchodzę, rozmowa urywa się. – Tak? – pyta jedna z dziewcząt.

– Dziewczyna przy wejściu powiedziała mi, żebym zapytał o Szijori. – To ja – odpowiada, nalewając sobie herbaty ulung – Czego chcesz?

– Muszę porozmawiać z Miriam.

– Ona dzisiaj nie pracuje.

– Byłeś tutaj ubiegłej nocy. To jeden z gości Juzu Daimona – odzywa się inna dziewczyna, przekładając pałeczki.

– Tak.

Wibracje zmieniają się z obojętnych na wrogie. Szijori przepłukuje usta herbatą. – Więc to on cię przysłał, żeby sprawdzić, jak przyjęto jego mały wybryk, co?

– Chyba zwariowałeś, jeżeli myślisz, że Miriam będzie chciała znaleźć się z tobą w jednym pomieszczeniu – odzywa się jeszcze inna dziewczyna, żując koniec pałeczki.

– Nie miałem pojęcia, że coś między nimi było.

– No to jesteś ślepy ułomek.

– Dobra. Jestem ślepy ułomek. Ale proszę was, muszę o czymś porozmawiać z Miriam.

– A co to takiego pilnego?

– Nie mogę powiedzieć. Coś mi powiedziała.

Dziewczyny milkną, gdy kobieta manipulująca przy papudze odkłada śrubokręt.

– Jeżeli chcesz rozmawiać z Miriam, to musisz zostać członkiem tego klubu. – Uświadamiam sobie, że ona i Mama-san z ubiegłej nocy to jedna i ta sama osoba. – Kandydaci na członków muszą uzyskać dziewięć nominacji od członków rzeczywistych, oprócz Juzu Daimona, który ma teraz zakaz wstępu. Wpisowe – bezzwrotne – wynosi trzy miliony jenów. Jeżeli komisja selekcyjna zaaprobuje twoje podanie, pierwsza roczna opłata wyniesie dziewięć milionów jenów. Po jej uiszczeniu wolno ci pytać Miriam, o co tylko chcesz. Tymczasem przekaż Juzu Daimonowi, że zrobiłby mądrze, gdyby wyjechał z miasta na dłużej. Pan Morino jest w najwyższym stopniu oburzony.

– Czy mógłbym tylko zostawić kartkę...

– Nie. Możesz już tylko wyjść.

Otwieram usta...

– Powiedziałam, możesz już tylko wyjść.

I co teraz?

* * *

– Masanobu Suga? – Recepcjonistka w Uniwersytecie Cesarskim ma zakłopotaną minę. – Student? Ale jest przecież niedziela, czwarta po południu!

Pewnie je śniadanie.

– Jest na studiach podyplomowych. Komputerowiec.

– W takim razie pewnie jeszcze będzie w łóżku.

– Pokój ma chyba na dziewiątym piętrze.

Jej kolega nachyla się nad nią i mówi znacząco: – Ten

odmieniec.

– Ach! Ten. Tak. Na górę. Dziewięć–osiemnaście.

Następna winda. Na trzecim piętrze drzwi otwierają się i wchodzi kilku studentów. Czuję się jak intruz. Nie przerywają rozmowy. Zawsze myślałem, że studenci rozmawiają tylko o filozofii, inżynierii i o tym, czy miłość jest czymś świętym, czy też sprowadza się do programowania seksualnego, tymczasem oni rozmawiają o tym, w jaki sposób najlepiej pozbyć się hydry w grze Zax Omega i czerwona zaraza na Księżycu. A więc to tak miałyby skończyć najlepsza grupa w moim ogólniaku. Już zbieram się na odwagę, by im powiedzieć, że powinni zaatakować hydrę miotaczem płomieni, ale jest dziewiąte piętro i drzwi otwierają się. Zawsze wydawało mi się, że uniwersytety są szerokie i płaskie. Tymczasem w Tokio są wysokie i wąskie. Korytarz wyludniony. Przechodzę parę razy w tę i z powrotem, żeby się zorientować, jak jest pomyślana numeracja pokoi. Pewnie mają to na egzaminie wstępnym. Wreszcie widzę: *Masanobu Suga. Porzućcie wszelką nadzieję, Microsofty, którzy tu wchodzić. Pukam. „Wejść!”*. Otwieram drzwi. Zapasek jak spod paszek, okno zasłonięte narzutą z łóżka, która utrzymuje w pokoju mrok, a zarazem wilgoć. Bongosy, podręczniki, czasopisma, sprzęt komputerowy i paczki, w któryś nadszedł, plakat z Zizzi Hikaru, garnek z niedopałkiem w środku, cała seria mang pod tytułem Sromojeżdźcy z Dziewiątego Obłoku, sterta kubków po błyskawicznym makaronie i góra papierów. A przecież w dziale rzeczy znalezionych w Ueno Suga bez końca głądził o biurach, w których nie używa się papieru. Tymczasem Suga we własnej osobie siedzi w kącie pochylony nad klawiaturą. Tapety–tap. tap–tap–tapety–bipety–bip–bip–bip. – Cholera!

– okręca się wokół osi, przygląda się gościowi i usiłuje przypomnieć sobie moją twarz i nazwisko, chociaż zaledwie dziewięć dni minęło, odkąd odszedł z Ueno. – Mijake!

– Mówiłeś, że mogę cię kiedyś odwiedzić.

Suga marszczy brwi. – Ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że naprawdę... Jak tam w biznesie rzeczy znalezionych? Pani Sasaki nadal mrozi wszystkich wokół? A widziałeś ostatni skok Aojamy w telewizji? We wszystkich wiadomościach to pokazywali, dopóki ten licealista nie porwał wycieczkowego autobusu. Widziałeś to? Poderżnął pasażerom gardła. Z tego wynika, że jak się popełnia takie widowiskowe samobójstwo jak Aojama, to ono wchodzi na miejsce wszystkich innych ważnych wiadomości.

– Suga, przyszedłem, żeby...

– Masz szczęście, że mnie zastałeś. Wyciągnij sobie krzesło. Może jakieś znajdziesz pod... nieważne, siadaj na tej paczce. Wczoraj wróciłem po tygodniu w IBM-ie. Żebyś ty widział ich laboratoria! Posadzili mnie przy biurku pomocy, żebym wycierał tyłki pospółstwu. Sromota jak nie wiem. Chciałem wylądować w R-D, żeby mieć dostęp do nowości, nie. Wystarczyło mi pięć minut i uknułem plan ucieczki. Przychodzi pierwsze wezwanie, a tu cymbał z Akita, z akcentem jeszcze gorszym niż twój, nie ma sprawy. „Mom kłopot z uruchomieniem. Wszystko znikło z ekranu”. „Aha, a proszę pana, kursor widać?”. „Że co?”. „Małą strzałkę, proszę pana która informuje pana, gdzie pan jest”. „Żadny strzałki. Nic nie widzę. Wszystko znikło z ekranu, mówię panu”. „Rozumiem. Czy na pańskim monitorze znajduje się kontrolka poboru mocy?”. „Na moim czym?”. „Na pana monitorze. Taki telewizor. Czy ma takie małe światełko »Włączyć«?”. „Żadnego światełka, nic”. „Proszę pana, czy wtyczka od telewizora jest wetknięta do gniazdka w

ścianie?”. „Ni mom pojęcia, nic nie widzę, mówię panu”. „Proszę się rozejrzeć”. „Jak niby? Ciemno tu jak w nocy, mówię panu”. „A może by coś pomogło, jakby pan włączył światło?”. „Próbowołem, ale oni nie przyjdą – firma elektryczna sprawdza, co jest, i aż do trzeciej nie będzie prądu”. „Rozumiem, proszę pana. Mam dobre wiadomości”. „Ma pan?”. „Tak, proszę pana. Ma pan jeszcze opakowania, w których przyszedł komputer?”. „Nigdy niczego nie wyrzucam”. „Wspaniale. Niech pan w takim razie zapakuje swój komputer i odnieś go do sklepu, w którym go pan kupił”. „A co mam im powiedzieć w tym sklepie?”. „A słucha mnie pan uważnie?”. „Słucham”. „Niech im pan powie, że w głowie ma pan gówno zamiast mózgu i że nie może pan mieć komputera!”. I odłożyłem słuchawkę.

– I to był twój plan ucieczki?

– Wiedziałem, że moje rozmowy są kontrolowane przez bęcwała, który się mną opiekował, no nie. I wiedziałem, że oni wiedzą, że jestem za dużo wart, żeby mnie utracić. Więc kierownik się zgodził, że moje umiejętności można by z pożytkiem wykorzystać w innym dziale. Zasugerowałem R-D i mi się udało. Ale co ty tu masz, Mijake?

– Ananas.

– Tak myślałem. Po co chodzisz z ananasem?

– To prezent.

– Myślałem, że ananasy są w puszkach. Komu chcesz dać takiego surowego ananasa?

– Tobie.

– Mnie? – Suga jest zaintrygowany. – I co się z nimi robi?

– Kroi się nożem na plastry i, yyy... się zjada.

Suga nagle rozpromienia się.

– Aaaa, dzięki. Zapomniałem o lunchu. Zgadnij, przy czym jestem? – wskazuje głową na komputer, wyjmując piwo z opakowania. Potrząsam głową. – Francuski Program Energii Jądrowej. Ich antyhakerska broń nazywa się Epoka Żelaza.

– Myślałem, że twój Święty Graal jest w Pentagonie.

– O, cholera – piwo Sugi sika z sykiem na wszystkie strony. – Bo jest. Francuzi to zombi.

– Zombi? Wiem, że ich próby jądrowe na Oceanie Spokojnym to popelina, ale...

Suga potrząsa głową. – Zombi. Żaden szanujący się haker wart swoich kości nigdy nie hakuje bezpośrednio. Whaczamy się do komputera zombi i stamtąd łowimy. Często poprzez tego zombi przerabiamy na zombi jeszcze innego zombi.

Im gorętszy obiekt, tym dłuższy taniec zombi.

Pora przystąpić do rzeczy. – Mam do ciebie prośbę. Sprawa jest delikatna.

– Chcesz, żebym się gdzieś whaczył?

Patrzy na mnie, pociągając piwo. Dociera do mnie, że wszystko zależy od Sugi, bardziej, niż sądziłem. Za prędko osądzam ludzi. Wyjmuję książkę, którą Miriam upuściła w parku. – Może to za trudne, ale czy mógłbyś wejść do komputera tokijskiej biblioteki i poszukać adresu osoby, która pożyczyła tę książkę?

Suga spija piankę z piwa. – Chyba żartujesz.

– Możesz to zrobić?

– A mogę szczać prosto, kiedy mam odjazd?

Koreańskie nazwisko Miriam brzmi Kang Hio Jeoun. Miriam ma dwadzieścia pięć lat i na koncie trzy książki bibliotecznej wypożyczalni. Wsiadam w naziemną kolejkę i jadę do jej mieszkania w Funabaszi. Okolica zrujnowana, ale jakby przyjazna.

Wszystko aż się prosi o nową warstwę farby. Sprzedawczynię w cukierni, tuż obok stacji, pytam, jak odnaleźć adres, pod którym mieszka Miriam.

Kobieta rysuje mi mapkę i żegna, puszczając oko. Idę, mijając długi rząd rowerów w stojakach, na rogu skręcam i widzę morze – po raz pierwszy od miesiąca.

Powietrze w Zatoce Tokijskiej przesycone zapachem ropy. Statki handlowe na cumach, załadowywane i rozładowywane przez czteronożne żurawie o szyjach lamy. Spękany asfalt, z którego wyrastają rudawe chwasty. Restauracja jakiniku zasnuwająca wieczór dymem przesyconym zapachem mięsa i węgla drzewnego.

Garażowy zespół w trakcie prób piosenki zatytułowanej Dźwiękowe ludobójstwo.

Na nadbrzeżu taksówkarz trenujący golfowe uderzenie szuka wyimaginowanych dziur w niezmaconym wieczornym spokoju. Lombard z zakratowanymi oknami, krzyczący barwami sklep korzenny, pralnia, sklep z alkoholami, boisko i w końcu budynek, w którym znajduje się mieszkanie Miriam. Jest stary, trzypiętrowy. W rekordowym czasie, kilka machów, wypalam sevenstara. Pierwsze piętro – już wyludnione. Metalowe schody, które brzęczą, gdy wchodzę. Wystarczyłby solidny tajfun i budynkiem miotałoby po całym Hokkaido. Jest: 303.

W mrocznym prześwicie drzwi, nad linią przytrzymującego je łańcucha ukazuje się jej twarz.

Dziewczyna zatrzaskuje drzwi.

Czuję się skrępowany, ale dobijam się. Kucam i mówię przez szparę na listy. – Przyniosłem twoją książkę; biblioteki. Upuściłaś ją w parku. To nie ma nic wspólnego z Daimonem. Miriam, ja nawet go nie znam! Proszę. – Bez odzewu.

Przechodzi jakiś pies w abażurze na głowie. Kilka kroków za nim otyły właściciel.

Sapie. Patrzy spode łba, prowokując do śmiechu. – Bobowi obcięli jaja, no i teraz nie wolno mu lizać się tam, gdzie nie powinien. – Odmyka sąsiednie mieszkanie i znika. Drzwi Miriam otwierają się. Pali papierosa. Ja nadal w kucki. Łańcuch nadal w drzwiach. – Proszę, twoja książka.

Bierze. Potem taksuje mnie w milczeniu.

– Przekazałeś Daimonowi to, co powiedziałam?

– Usiłowałem ci wytłumaczyć, że nie znam Daimona.

Zawiedziona potrząsa głową. – No i po co to powtarzasz? Gdyby to nie Daimon cię przysłał, to skąd byś wiedział, dokąd przyjść?

– Twój adres zdobyłem w bibliotece.

Przyjmuje to, więc nie muszę już tłumaczyć nielegalnej strony tego przedsięwzięcia.

– I tak z wrodzonej życzliwości oddajesz mi tę książkę?

– Nie.

– No więc czego teraz chcesz?

Przesuwa się i refleks bursztynowego światła rozjaśnia profil jej twarzy. Teraz rozumiem, dlaczego Daimon zakochał się w niej. I już niczego więcej nie rozumiem. – Czy ty naprawdę wiesz, kto jest moim ojcem?

– Co?

– W parku Ueno mówiłaś o moim ojcu tak, jakbyś go znała.

– Regularnie bywa w klubie! Oczywiście, że go znam.

Przełykam ślinę. – Jak się nazywa?

– Twój ojciec to ojciec Juzu Daimona – odpowiada, na poły rozdrażniona, na poły zdezorientowana.

Plan C kompletnie sypie się w strefie zgniotu. – On ci to

powiedział? – I już wszystko z miejsca się wyjaśnia. „Plan” okazał się wystawną nazwą, pod którą krył się mizerny wybieg.

– Zapisał cię do Damy Pik jako swego przyrodniego brata. Jego ojciec – twój ojciec – zawsze miał po kilka kochanek, tak więc nie jesteś jedyny.

Odwracam wzrok, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszę. Nie, to jest zbyt proste, żeby w to uwierzyć.

Miriam zaczyna drażnić. – Więc to były bzdury wymyślone przez Daimona? – Mój ojciec znowu rozpląta się w milionach nieznanymi ludzi. Nie odpowiadam na jej pytanie. – A to samolubny, głupi podlec. I to wszystko po to, żeby się na mnie odkuć... – w jej głosie słychać jakby skowyt. – Posłuchaj, Eidzi Mijake. Spójrz na mnie! – gasi papierosa. – Dama Pik nie jest... zwykłym miejscem. Jeżeli kiedykolwiek tam wrócisz, może przytrafić ci się coś złego. Do diabła. I to bardzo złego. Daimon, wprowadzając cię... no, złamał dość ważną regułę. Normalnie bywający tam mężczyźni są spokrewnieni ze sobą. Posłuchaj. Nie wracaj tam i nie przychodź tutaj, nigdy. I w ogóle unikaj Szibuma. To życzliwe ostrzeżenie.

Zrozumiałeś?

Nie, tak naprawdę nie rozumiem, ale ona i tak zamknęła drzwi. To już ostatni przebłysk dnia. Jakże piękny byłby ten zachód słońca, gdybym miał humor.

Zachodzące słońce, jak z filmu SF, osiada na multipleksie Warner Cinema.

Ciekawe, która linia metra prowadzi do takich zachodów i na której stacji trzeba wysiąść. Spokojnym krokiem wracam drogą, którą przyszedłem. Trafiam na centrum gier. W środku cały rząd pełnowymiarowych maszyn do 2084 – rozwija się ożywiony interes z uczniakami. Kiepski był dzisiaj dzień. Zmieniam tysiącjenowy

banknot na monety stużenowe.

* * *

Wokół mnie wybuchu fotonowy ogień i mój ostatni towarzysz pada. Na celowniku mam strażnika więziennego i siekam go na potrawkę. Zamiera echo ostatniego wystrzału. Niesamowita cisza. Czyżby koniec strzelaniny? Osiem etapów dzielących mnie od czerwonych drzwi. Metalowy chodnik szczęka, gdy przechodzę przez zwały strażników i zabitych buntowników. Są niżej. Oto drzwi więzienia. Więzień Ned Ludd. Zbrodnia: cyberterrorizm. Wyrok: dożywocie. Kod zabezpieczenia: pomarańczowy. – W środku jest mój ojciec, człowiek, który wyzwoli ludzkość z tyranii OuterNetu. Oto zaczyna się rewolucja, która obali rzeczywistość. Odpalam przycisk „otwarte” i drzwi rozsuwają się na boki. Wchodzę do celi. Ciemno. Drzwi zamykają się, światła rozbłyskują. Oficerowie wywiadu OuterNetu! Ze staromodnymi rewolwerami? Otwieram ogień, ale mój fotonowy pistolet nie działa. Cały obszar celi matowieje. W którymś momencie musiałem skręcić nie tam, gdzie powinienem. Może nie zauważyłem znaku. Przed oczami mam pasek „energii”, kurczy się do 0.1. Nie mogę się ruszyć. Nie mogę nawet utrzymać się na nogach. Podchodzi jakiś facet – poznaję go, to ten z sojowej farmy, którą widziałem, kiedy nie mogłem zasnąć – rozluźnia krawat. – Jestem Agent K00996363E. Oto rozwiązanie: Gracz 181927271. Ned Ludd to projekt wykreowany przez OuterNet z myślą o wykrywaniu u graczy skłonności do prowadzenia antyGry, a także o ocenianiu potencjalnego zagrożenia dla OuterNetu.

Twoja podatność na indoktrynację ze strony naszych prowokatorów wskazuje na organiczne programowanie. Już sama

myśl, że ideologia może w ogóle pokonać wyobraźnię, zakrawa na szaleństwo. OuterNet podda ponownej obróbce twoje oprogramowanie, zgodnie z Prawem o Upowszechnianiu Gier nr 972HIJ. Nie cieszy mnie to, 181, o dla twojego dobra. – Przybliży twarz. Nie ma w niej nienawiści. Tchnie czułością i wyrozumiałością. – Gra skończona.

Cztery ZIEMIA ODZYSKANA

Tak więc ginę, kilka minut po północy, na ziemi odzyskanej, gdzieś na południowym brzegu Zatoki Tokijskiej. Kicham, że aż rwie mnie w prawym oku, gałka o mały włos nie pęka. Niedziela, 17 września. Nie mogę tej śmierci nazwać śmiercią nieoczekiwaną. Nie po ostatnich dwunastu godzinach. Od kiedy Andżu pokazała mi, czym jest śmierć, widywałem ją nieraz przelotnie, jak czekała w pociągach, windach, na półkach z medykamentami. Gdy dorastałem, widziałem, jak huczy morską falą, atakując skały na Jakuszimie. Zawsze z dystansu. Teraz zrzuciła swoje przebranie, prawie jak w nocnym koszmarze. Ale ja tkwię tutaj naprawdę. Koszmar na jawie, z którego już nigdy się nie obudzę. Leżę rozłożony, z dala od tych wszystkich, którzy mnie znają, a na pasku z limitem życia stan zero.

Moje ciało cierpi katusze, temperatura rośnie i sięga już tego mostu. Niebo sypie gwiazdami, satelitami i nocnymi samolotami. Ależ mroczna, piaszczysta, bezsensowna, nieprawdopodobna, przedwczesna, zasmarkana ta droga przez umieranie. Ileż gwiazd. Po co gwiazdy?

* * *

Jest środa po południu, idę do banku opodal stacji o, żeby opłacić moje ogłoszenia do działu poszukujących się osób. To dziesięć minut aleją Asakusa, pożyczam więc porzucony rower – przechodni pojazd z biura rzeczy wiezionych. Jest za bardzo zdezelowany, żeby komukolwiek chciało się go kraść, ale przecież

dzięki niemu oszczędzam dobry kwadrans przerwy na lunch, który straciłbym idąc zatłoczoną ulicą parującą upałem dymów i gasnącego lata. W Tokio nie ma cienia – tylko beton magazynujący żar. Parkuję rower przed wejściem i wchodzę – bank zajęty lunchowaniem i rozgadany milionami bankowych odgłosów. Trutnie, telefony, drukarki, papier, drzwi automatyczne, mamrotanie, znudzone dzieci.

Opłacenie planu D przy pomocy ATM wypada taniej, jeśli oczywiście nie popełnię choćby najmniejszej – pomyłki przy wklepywaniu długiego rzędu cyfr, w przeciwnym razie moje pieniądze wpłyną nie na to konto, co trzeba. Nie śpieszę się. Wirtualna kasjerka na ekranie kłania się, ręce założone. Proszę czekać.

Transakcja w toku. Więc czekam i czytam informację o zgubionych kartach i tanich kredytach. Gdy potem rzucam okiem na wirtualną kasjerkę, ta mówi już coś nowego. Aż zatyka mnie z wrażenia. Eidzi Mijake, niebawem odwiedzi cię ojciec.

Trzy razy się upewniam – wiadomość nadal tam jest. Rozglądam się. Ktoś chyba się przyzna do tego figla. Na początku rzędu maszyn stoi urzędniczka bankowa – ma służyć pomocą tym, którzy nie mogą sobie poradzić. Zauważa moją minę i podbiega. Ma taki sam uniform i identyczny wyraz twarzy, co jej wirtualna współpracowniczka. Bez słowa wskazuję na ekran. Urzędniczka wodzi palcem po monitorze. – Tak, proszę pana. Transakcja w toku. To pana karta i proszę starannie przechowywać dowód wpłaty.

– Ale ta wiadomość!

Ma głos disneyowskiej Myszki Mickie. – Transakcja zakończona. Proszę zabrać kartę i poświadczenie. – Wszystko w porządku, proszę pana.

Patrzę na ekran. No, ma rację. – Ale była jeszcze inna wiadomość – upieram się.

Rozglądam się za figlarzem. Wiadomość, która zawierała moje nazwisko.

Uśmiech urzędniczki sztywnieje. – Byłoby to całkowicie niezgodne z przepisami, proszę pana.

Ludzie w kolejce nastawiają uszu. Ponosi mnie. – Ja wiem, że to jest niezgodne z przepisami! Dlaczego jeszcze nam myśli... – Na scenie pojawia się mundurowy z żółtą opaską. Jest tylko parę lat starszy ode mnie, ale już wyrósł na Kapitana Smuga, Samuraja Zjednoczonej Finansjery. – Dziękuję, pani Uakajama – odprawia podległą sobie urzędniczkę. – Jestem szefem służby, proszę pana. Zdaje się, jakiś kłopot?

– Właśnie przelałem pewną sumę...

– Czy maszyna nieprawidłowo zadziałała?

– Na ekranie pojawiła się wiadomość. Osobista wiadomość. Dla mnie.

– Czy mogę zapytać, co skłania pana do twierdzenia, że ta wiadomość była przeznaczona dla pana?

– Zawierała moje nazwisko.

Kapitan Smug odpowiada na to pełnym troski marszem wytrenowanym podczas szkolenia. – Co konkretnie ta „wiadomość”, zawierała, proszę pana?

– Zawierała informację, że mój ojciec chce się ze mną zobaczyć.

Czuję, że gospodynie domowe oczekujące w kolejce aż podskakują z ciekawości i spoglądają po sobie. Kapitan Smug całkiem znośnie udaje lekarza, który chce udobruchać wariata. – To chyba nawet więcej niż możliwe, że nasze urządzenie wyświetla niekiedy litery, które dość trudno odczytać.

– Nie pracuję w banku, ale czytać umiem, dziękuję.

– Ależ oczywiście – Kapitan Smug mierzy wzrokiem mój kombinezon roboczy.

Drapie się w kark, żeby dać mi do zrozumienia, że jest zakłopotany. Następnie spogląda na zegarek, żeby dać do zrozumienia, że to właśnie ja sprawiam łośpot, – Chcę tylko powiedzieć, że albo tu doszło do jakiegoś nieporozumienia, albo po prostu był pan świadkiem zjawiska, które jeszcze nigdy nie miało miejsca w historii Banku Tokijskiego ani, o ile wiem, w historii japońskiej bankowości.

Wkładam swoją kartę do portfela i pedałużę z powrotem do stacji Ueno. Przez całe popołudnie jestem tak rozdrażniony, że aż pani Sasaki pyta, o co chodzi.

Zmyślam coś na temat stanu podgorączkowego, więc dostaję od niej jakiś lek.

Podczas przerwy na herbatę wchodzę do systemu ATM na stacji, gdzie jednak uzyskuje się informacje na temat salda bez możliwości dokonywania wpłat. Nic niezwykłego się nie dzieje. Patrę po twarzach klientów biura rzeczy znalezionych, czekając na błysk olśnienia. Nic. A może Suga to zrobił. Ale on nie wiedział o moim ojcu. Nikt w Tokio nie wie o moim ojcu. Z wyjątkiem mojego ojca.

Wracam metrem do Kita Sendzu i rozglądam się. No, paranoja. Żaden truteń nie przykuwa mojej uwagi, tylko jakaś dziewczynka. Idąc ze stacji, przyłapuję się na tym, że zerkam w lustra na skrzyżowaniach, czy aby mnie ktoś nie śledzi. W supermarkecie kupuję okonomijaki z pięćdziesięcioprocentowym upustem i mleko dla Kotki. Buntaro, przychodzi mi na myśl, gdy stoję w kolejce. Dostałem to mieszkanie w kapsule, ponieważ krewny mojego nauczyciela gry na gitarze w Kagoszimie jest znajomym przyjaciela

żony Buntara – może on dowiedział się o moim ojcu? Ale który właściciel wypożyczalni kaset wideo jest na tyle wpływowy, żeby ekrany ATM wykorzystywać w charakterze osobistego systemu telegraficznego? A może jakiś sojusz nie z tej ziemi między Sugą a Buntarem?

Wracam do Mknącej Gwiazdy i przyłapuję mojego podejrzanego, jak rozmawia przez telefon z żoną, przeczesując palcami przerzedzone włosy. Rozmawiają o przedszkolach dla Kodaiego. Buntaro kiwa na mnie i ułożywszy palce w kształt gęsiego dzioba przedrzeźnia ględzenie swojej żony. Oglądam jedną, drugą cenę z horroru zatytułowanego You Go to My Head. Gliniarz wpada na trop psychicznie chorego zabójcy, który odkrywa najmroczniejsze lęki swoich ofiar i morduje, chwytają je w sidła odpowiednich koszmarów. – Wiem, co ci chodzi po głowie, chłopcze – mówi Buntaro, odkładając słuchawkę. – Kodai jeszcze się nie urodził.

Ale w tych miejscach są listy oczekujących dłuższe niż gitarowe solówki Grateful Dead. Znajdź właściwe przedszkole, a tym samym automatycznie znajdziesz drogę na właściwy uniwersytet. – Potrząsa głową i wzdycha. – Słuchaj mnie.

Podręcznikowego ojca. Jak minął dzień? Wyglądasz, jakby ci wyssało szpik z kości. – Buntaro częstuje mnie papierosem, wykreślając się z mojej listy podejrzanych. Wygląda to nieprawdopodobnie, ale pozostał już tylko najbardziej prawdopodobny kandydat: mój ojciec. Co teraz mamy? Plan E.

W czwartek w porze lunchu wracam do tego samego oddziału banku, by jeszcze raz wypróbować ATM. Dyżur ma ta sama kobieta – gdy tylko mnie rozpozna, unika mojego spojrzenia. Wkładam kartę, wklepuję swój PIN i kłania się wirtualna kasjerka. Posłuchaj! Co to za pomieszczenie, pozbawione wyjść, posiadające

tylko wejścia do innych pomieszczeń ciemniejszych niż ono samo?

Ojciec czeka na twoją o d p o w i e d ź. Usiłuję znaleźć w tym sens – czy to coś w rodzaju ostrzeżenia? Rozglądam się za Myszka Mickie, ale już czeka na mnie Kapitan Smug. – Czyżby kolejna niewytłumaczalna wiadomość, proszę pana?

– Jeżeli to nie jest niewytłumaczalne – złośliwy draniu; pukam knykciami w ekran – to jak inaczej to nazwać?

– Ależ szanowny panie, czyżbyśmy byli Billem Gatesem? Może zostaje pan w ten sposób poinformowany, że nie ma pan na koncie zasobów niezbędnych do przeprowadzenia swojej transakcji? – Ekran oczywiście powraca do normalnego stanu: mojego żalosego salda. Rozglądam się, może ktoś obserwuje? I kasuje wiadomość, kiedy pojawia się jakiś świadek? Ale w jaki sposób? – Wiem, że wygląda to dziwnie – zaczynam, ale nie jestem pewien, jak zakończyć Kapitan Smug już unosi brwi – ale ktoś wykorzystuje wasz ATM, żeby robić mętlik waszym klientom. – Kapitan Smug wyczekuje, co powiem dalej. – Czy to nie powinno aby pana zaniepokoić? – Kapitan Smug zakłada ręce i przechyla na bok głowę, jakby chciał powiedzieć, że był na najlepszym tokijskim uniwersytecie.

Kończę wściekły i wychodzę bez słowa. Wsiadam na rower i wracam do biura rzeczy znalezionych, tak samo podejrzliwie jak wczoraj lustrując zaparkowane samochody i uchylone okna. Ojciec był wystarczająco wpływową osobą, żeby kazać z metryki urodzenia wymazać swoje nazwisko, ale to już z pewnością nie ta liga. Resztę popołudnia spędzam na przywiązywaniu etykietek do zgubionych parasoli oraz na wyszukiwaniu, celem zniszczenia, tych, które trzymamy od dwudziestu dni. A może to moja macocha chce mnie zastraszyć? A jeżeli to ojciec, dlaczego robi takie kawały, zamiast

po prostu do mnie zadzwonić? Tak czy inaczej, sensu to nie ma.

Piątek jest dniem wypłaty dla pracowników na okresie próbnym zatrudnionych w połowie roku. W banku tłok – muszę odczekać kilka minut, żeby dostać się do urządzenia. Kapitan Smug unosi się jak na skrzydłach. Naciągam baseballówkę na oczy. Jakaś kobieta w kapeluszu ze strusimi piórami raz po raz kicha na mnie i bez przerwy stęka. Wkładam swoją kartę i polecam wypłacić sobie 14000 jenów. Jak na razie wszystko idzie normalnie. Ojciec ostrzega cię, że wyczerpał ci się limit powietrza. Spod daszka czapki obserwuję kolejkę niecierpliwych klientów. Kto?

Żadnej wskazówki, żadnego pomysłu. Maszyna liczy moje pieniądze. Wirtualna kasjerka ponownie się kłania Ojciec idzie po ciebie. No to już, pokaż się! A niby z jakiego powodu, jak nie z tego, siedzę w tym mieście? Bębnię pięściami po wirtualnej kasjerce. – Pan nietutejszy, prawda? – Kapitan Smug wyrasta mi koło ramienia. – Domyślam się, ponieważ maniery naszych klientów powstrzymują ich od atakowania naszych urządzeń.

– No to niech pan patrzy! Proszę! – wskazuję mu ekran i groźbę. No i czego ja się spodziewałem? Proszę zabrać pieniądze i wyjąć kartę. Brzęczyk. Wiem, że jeśli teraz w ogóle odezwę się do Kapitana Smuga albo choćby na niego spojrzę, to ogarnie mnie nieodparte pragnienie uszkodzenia go, a nie sądzę, żeby moja czaszka zdołała wytrzymać kolejne walnięcie z głowy, skoro od poprzedniego wyczynu tego rodzaju nie upłynęło jeszcze siedem dni. Puszczam mimo uszu jego pełne irytacji westchnienie, zabieram swoje pieniądze, kartę i pokwitowanie, i jeszcze przez chwilę błąkam się po bankowym holu, usiłując wypatrzeć jakieś schody.

Kolejki, marmurowe podłogi, dźwięki dzwonków. W bankach

ludzie nie przyglądają się sobie, a tu nagle widzę, że Kapitan Smug rozmawia z ochroniarzem i spogląda w moją stronę. Czmycham.

Pomiędzy bankiem a Ueno znajduje się najpodlejsza w całym Tokio knajpa z makaronami. A że Tokio ma najpodlejsze knajpy z makaronami w całej Japonii, to najprawdopodobniej jest to najpodlejsza knajpa z makaronami na świecie.

Powiedział mi o niej Suga – jest tania jak trzeba, a do tego można tam wypić tyle wody z lodem, ile dusza zapragnie, a do tego jest tam zbiór książkowych komiksów, gromadzony już od dwudziestu lat. Zostawiam rower w pobliskiej alejce – z wylotu wentylatora zalatuje zapachem spalonego asfaltu – i wchodzę, rozgarniając sznury paciorków. Wnętrze mroczne i popstrzone przez muchy.

Wokół czterech zatłuszczonych miseczek siedzą w milczeniu czterej robotnicy budowlani. Jedyna okrągła lampa pocętkowana ciałami martwych owadów. Ściany ozdobione kroplami i bryzgami tłuszczu. W telewizorze stary czarno-biały film o jakuzie, którego i tak nikt nie ogląda. Gangster zostaje wrzucony do betoniarki.

Wentylatory z ruchomymi głowicami dmuchają to z jednej, to z drugiej strony.

Kucharz nagle otrząsa się, ożywia swoje ciało i siada. – Co ci podać synu? – Zamawiam sobe z tempurą, jajkiem i cebulą i zajmuję stołek przy barze. Dzisiaj – brzmiała wiadomość. Tym razem już jutro będę wiedział, na czym stoję – czy plan F. to dobry wist, czy też kolejny niewypał. Muszę mocno trzymać pokrywkę na moich nadziejach. Moje nadzieje kipią. Któż inny mógłby to być, jeśli nie ojciec?

Pojawia się mój makaron. Obsypuję go chili i patrzę, jak rozłazi się pomiędzy meduzami tłuszczu. Im gorzej smakowało, tym lepiej.

Roweru nie ma – ginie w jasny dzień. Miejsce w bocznej alejce zajmuje czarny cadillac, z rodzaju tych, jakich FBI używa w prezydenckich misjach. Drzwi od strony pasażera lekko uchylone, ze środka wychyla głowę jaszczur – krępy, nastroszone kolce białych włosów, oczy szeroko rozstawione, zapewniające pole widzenia w zakresie 270 stopni. Szuka czegoś? Obracam czapkę daszkiem do przodu, żeby osłonić oczy. Jaszczur opiera się o dach cadillaca. Jest mniej więcej w moim wieku. Smoczy ogon wytatuowany na ramieniu znika w jednym rękawie koszuli uszytej z węzowej skóry, a smocza głowa wyslizguje się na drugim.

– Mój rower.

Jaszczur rozmawia z kimś w cadillacu. Drzwi od strony kierowcy otwierają się i wysiada facet w okularach przeciwsłonecznych, z blizną na pół twarzy jak u Frankensteina. Obchodzi samochód i podnosi przemaglowany kawał metalu. Niesie go wokół samochodu i wręcza mi go. – Czy to jest twój rower? – Muskularne ręce ma grubsze niż ja nogi a paluchy aż kapią mu od złota. Jest taki wielki, że mi zasłania słońce. Z wrażenia biorę na moment żelastwo do ręki, po czym od razu upuszczam na ziemię.

– Raczej był.

Jaszczur przewraca jęzorem. – Jakie bezmyślne wandale z tych ludzi, nie? – Frankenstein nogą odsuwa na bok mój eks-rower. – Wsiadaj. – Zadziera kciuk, wskazując na cadillaca. – Ojciec przysłał nas, żebyśmy cię zgarnęli.

– Przychodźcie od mojego ojca?

Frankensteina i Jaszczura najwyraźniej to śmieszy. – A od kogo niby?

– A czy mój ojciec kazał wam zezłomować mój rower?

Jaszczur podrywa się i spluwa. – Właź do wozu, bezczelny

kutasie, albo ci, kurwa, z miejsca połamię obie ręce. – Falanga samochodów snuje się w upale i hałasie do kolejnego czerwonego światła. I jaki mam wybór?

Cadillac z cichym warkotem przejeżdża przez most na Sumidzie wsparty na powietrznych poduszkach. Przyciemniane szyby dostrajają się do świetlistego popołudnia, a klimatyzacja schładza wewnątrz do temperatury piwa z lodówki.

Dostaję gęziej skórki. Frankenstein prowadzi, Jaszczur siedzi obok mnie, rozwalony na tylnym siedzeniu niczym gwiazda pop. Ta jazda nawet sprawiałaby mi przyjemność, gdybym nie został porwany przez jakuzę i gdyby to wszystko nie miało się skończyć utratą pracy. Może znalazłbym jakiś telefon i zadzwonił do pani Sasaki, żeby powiedzieć... Co? Nie, kłamstwo to ostatnia rzecz, do jakiej mógłbym się wobec niej posunąć. Pani Sasaki jest w porządku. Powtarzam sobie, że to wszystko drobiazgi – w końcu to ojciec po mnie przysyła. No właśnie. Dlaczego nie poddaję się fali irytacji? Północna część Tokio przelatuje za szybą, blok blokiem, blok za blokiem. Lepiej być samochodem niż ćwiekiem. Autostrady, estakady, dojazdy. Zakłady petrochemiczne z kilometrami rur, poliniowane przez wkręcające się jak korkociąg drzewa. Masywy zakładów samochodowych. Całe kilometry kwadratowe białych skorup karoserii. Więc mój ojciec jest poniekąd człowiekiem jakuzy. To się jakoś składa, poniekąd. Pieniądze, władza, wpływy. Białe linie, falujące drzewa i kominy fabryczne – wszystko to jak ze snu. Zegarek na desce rozdzielczej podaje 13:23. pani Sasaki zdziwi się, że się spóźniam. Może się uda. – ja tylko... – ale Frankenstein odwraca się i warczy: – Zamknij się, kurwa, Mijake!

Nie znoszę piskających dzieciaków. – Ojciec nie określił mojego statusu.

Powinienem dać sobie spokój ze zgadywaniem, sięść na tyłku i czekać.

Przejeżdżamy przez roгатkę. Frankenstein wrzuca najwyższy bieg i cadillac pożera drogę szybkiego ruchu; jest 13:41. Zabudowa zmienia się na willową i droga leniwie wije się między gęsto wyrastającymi górami. Po prawej morze ciągnie swoją linię na horyzoncie. Jaszczur ziewa i zapala papierosa. Pali hope'a. – Elegancka podróż, co nie? – mówi Frankenstein, nie do mnie. – Wiesz, ile kosztuje jeden dzieciak? – Jaszczur bawi się sygnetem z trupa czaszką. – W pizdu. – Frankenstein oblizuje wargi. – Ćwierć miliona dolarów. – Jaszczur: – A ile to będzie na prawdziwe pieniądze? – Frankenstein zastanawia się. – Dwadzieścia dwa miliony jenów. – Jaszczur obrzuca mnie spojrzeniem. – Słyszałeś, Mijake? Jak zdasz egzaminy wstępne, potyrasz w swoim biurze przez całe życie, zaoszczędzisz premie, to po dziewięciu wcieleniach także będziesz mógł sobie śmigać takim cadillakiem. – Wbijam wzrok przed siebie. – Mijake! Mówię do ciebie!

– Przepraszam. Myślałem, że mam się, kurwa, zamknąć. – Jaszczur gwizdże i ze świstem otwiera nóż sprężynowy. – Patrz no, pyskaty pojebańcu. – Nóż z błyskiem przechodzi przez obudowę mojego zegarka i zgrzyta w jego wnętrzości. Po chwili z powrotem obraca się w jego Palcach – Oczy Jaszczura rozszerzają się i nie śmiem już otworzyć ust. Udaje mu się jego prowokacja i wybucha tym swoim skrzeczącym, urywanym śmiechem.

Ksanadu, położone daleko za Zatoką Tokijską, przeżywa dzisiaj uroczysty dzień swojego otwarcia. Flagi powiewają przy zjeździe z drogi szybkiego ruchu, gigantyczny sterowiec Bridgestone'a płynie ponad ogromną budowlą. Zaczyna mi pulsować w gardle. Walhalla inauguruje nowy rok, ale nadal trwa budowa Nirwany i jej nowego

jednotorowego terminalu lotniczego. Ruch grzęźnie i samochody zaczynają pełznąć. Limuzyny, rodzinne vany, dziipy, wozy sportowe ciągną się zderzak w zderzak, w kolejce do roгатki. Na masztach bezwładnie wiszą flagi z całego świata. Na ogromnym transparencie napis: *Dzisiaj otwarcie Ksanadu! Raj na ziemi dla rodzin! Multipleks o dziewięciu salach! Basen olimpijski! Centrum kryptonowego tańca! Show karaoke! Kosmiczna kuchnia! Kalifornijskie letnisko! Morski park Neptuna! Paczinko Plutona! Parking na 10000 – tak! – na 10000 samochodów.* Policjant na motorze macha na nas, zezwalając na wjazd. – Cadillacem wjedziesz wszędzie – Jaszczur gasi kolejnego hope’a. – Jeden z naszych – mówi Frankenstein, opuszczając szybę. – Wracają stare dobre czasy.

Zanim przyszedłeś, kurwa, rozpoznawał nas każdy gliniarz w tym pieprzonym mieście. – Cadillac skręca i wjeżdża na pochyłość, prosto pod słońce, które w przyciemnianej szybie zmienia się w mroczną gwiazdę. Na górze wjeżdżamy na parcelę budowlaną, odgradzoną od Ksanadu wielkim metalowym ekranem. Sterty piasku, stosy płyt, betoniarki, przygotowane do sadzenia drzewa z korzeniami w workach. – Gdzie są ci wszyscy szczęśliwcy, którzy tu pracują? – pyta Jaszczur. – Wolne z okazji wielkiego otwarcia – odpowiada Frankenstein – W otoczeniu przenośnych baraków dla robotników widnieje Walhalla. Oślepiająca piramida z czarnego zbudowana z trójkątów wyrastających z warstwy tłucznia. Cadillac podjeżdża do zacienionej rampy i sunie do stanowiska przed szlabanem. Portier otwiera okienko w budce Ma około dziewięćdziesiątki i albo jest pijany, albo ma chorobę Parkinsona. Frankenstein opuszcza okno i rzuca mu groźne spojrzenie.

Portier raz po raz saltuje i kłania się – Otwórz się, kurwa,

sezamie – warczy Frankenstein. Szlaban podnosi się i portier, zgięty w ukłonie, znika z pola widzenia. – Skąd oni go wykopali? – pyta Jaszczur. – Ze smętarza dla zwierzaków?

– Cadillac dojeżdża do czarnej ściany, zawraca i zatrzymuje się. Czuję przyływ nagłego podniecenia. Naprawdę jestem w tym samym budynku co mój ojciec?

– Wyłaź – mówi Jaszczur.

Znajdujemy się na podziemnym parkingu. Zalatuje olejem, benzyną i koksem.

Obok zaparkowane dwa cadillaki. Oczy potrzebują jeszcze trochę czasu, żeby się przyzwyczać – jest zbyt ciemno, żeby dostrzec ściany czy cokolwiek. Frankenstein szturcha mnie w kręgosłup. – Naprzód, harcerzyku. – Idę za nim – kula przyćmionego światła rozbłyskuje i gaśnie. Okrągłe okno w drzwiach wahadłowych. Dalej – ponury korytarz pomocniczy pachnący świeżą farbą powieli echem nasze kroki. – Jeszcze nie zbudowali, a oświetlenie już spieprzone – zauważa Jaszczur. Od tego korytarza odbijają inne. Zaczynam się bać. Nikt nie wie, że tu jestem. Nie tak: mój ojciec wie. Próbuję utrwalić w pamięci jakieś znaki orientacyjne – w prawo przy tym hydrancie, prosto obok tej wywieszki.

Frankenstein zatrzymuje się przy toalecie dla mężczyzn. Jaszczur odmyka ją. – Wchodzi do środka.

– Ale ja nie chcę do ubikacji.

– Nikt cię, kurwa, o to nie pytał.

– Kiedy spotkam się z ojcem?

Jaszczur uśmiecha się głupio. – Powiemy mu, jak ci się pali do niego – Frankenstein otwiera nogą drzwi, Jaszczur chwytając mnie palcami za nos i wpycha do środka; drzwi zatrząskują się, zanim

udaje mi się odzyskać równowagę.

Znajduję się w białej łazience. Na podłodze płytki, na ścianie płytki, sufit, armatura, umywalki, pisuary, drzwi do kabin – wszystko oślepiająco białe. Żadnych okien ani innego wyjścia. Drzwi metalowe i niewyważalne. Walę w nie, parokrotnie. – Ej! Jak długo zamierzacie mnie tu trzymać?

Z tyłu słyszę odgłos splukiwania.

– Kto tam jest?

Zamek puszcza i drzwi do kabiny otwierają się. – Wydawało mi się, że znam ten głos – odzywa się Juzu Daimon, zapinając pasek. – Co za synchronizacja. I to w samym środku srania. I co ty robisz w tym paskudnym śnie?

Juzu Daimon myje ręce, obserwując mnie w lustrze. – Odpowiesz mi czy będę musiał znosić to milczenie, dopóki nie pojawi się nasza straż więzienna, żeby mnie zabrać?

– Ty to masz nerwy.

Potrząsa dłońmi pod suszarką, ale bezskutecznie, więc wyciera je o swoją koszulkę. Ma na niej rysunek przedstawiający dziewczynę, która trzyma dymiący pistolet; w dymku tekst: „Ach, tak się zabija... podoba mi się”.

– Już mam. Nadal się gniewasz o ten hotel.

– Zamierzasz udawać wspaniałego prawnika.

– Dzięki za antykomplement. – Odwraca się. – Będziemy cały czas nosili żałobę, czy też może wreszcie pojedz mi, co tu robisz?

– Mój ojciec mnie zgarnął.

– A twój ojciec to kto?

– Jeszcze nie wiem.

– To dość nierozważnie z twojej strony.

– A ty, co tu robisz?

– Mają mnie skopać. Jak chcesz, możesz popatrzeć.

– A co? Wystawiłeś ich w tym hotelu?

– Dość śmieszna historia, długo by opowiadać.

Rzucam okiem na drzwi.

– Dobra. – Daimon sadowi się na umywalce. Siądz sobie na jakimś krześle.

Krzeseł nie ma. – Postoję.

Rezerwuar w ubikacji nappełnił się i słychać głośnie westchnienie ciszy.

– To opowieść w starym stylu, o wojnie o sukcesję Dawno temu żył sobie sędziwy despota, nazywał się Konosuke Tsuru. Jego imperium sięgało korzeniami czasów okupacji i wzięło się z handlu pod gołym niebem i melinowania papierosów. Czy ty przypadkiem, nie...? – Potrząsam głową. – Pół wieku później Konosuke Tsuru odbywa już spotkania przy śniadaniu z członkami gabinetu. Jego interesy rozciągają się od tokijskiego podziemia po najwyższe władze Tokio, od narkotyków po budownictwo – poręczny plik w kraju, którego przywódcy uważają, że jedynym środkiem na załamania gospodarki jest wylewanie całych gór betonu i przerzucanie mostów wiszących do niezamieszkanym wysp. Ale odchodzę od tematu. Prawą ręką Konosuke był Dzun Nagasaki. A jego lewą ręką – Rijutaro Morino. Cesarz Tsuru, admirał Nagasaki i generał Morino. Nadążasz?

Pociągam nosem przytakująco i lekko kiwam głową.

– Na dziewięćdziesiąte któreś urodziny Tsuru dostaje silnego ataku serca i karetka odwozi go do szpitala Szibakoen. Jest luty tego roku. Delikatny okres – Tsuru wygrywał Morina przeciw Nagasakiemu, i odwrotnie, trzymając w ten sposób swoich fagasów w szachu. Tradycja wymagała, by Tsuru mianował sukcesora, ale

to stary twardziel: przysięga, że się wyliże. Nagasaki postanawia wypełnić to, co najwyraźniej mu pisane, i siedem dni później inscenizuje swój Pearl Harbor – nie przeciwko siłom Morina, które są w stanie pogotowia, lecz siłom Tsuru, które uważały się za nietykalne. Jednej nocy, w ciągu dziesięciu minut, zlikwidowano około setki najważniejszych ludzi Tsuru. Żadnych negocjacji, żadnej litości, żadnej łaski. – Daimon strzela palcami. – Samemu Tsuru udaje się wydostać ze szpitala – jedna z plotek głosi, że został zatłuczony na śmierć własnymi kijami do golfa, inna, że dotarł aż do Singapuru, gdzie go z powrotem dopadła choroba.

Ale Tsuru to już historia. O świcie tron należał do Nagasakiego. Jakież pytania z sali?

– Skąd to wszystko wiesz?

– Proste. Mój ojciec jest zblatowanym gliniarzem opłacanym przez Nagasakiego. Następne proszę.

Szczera odpowiedź jak na chytrego kłamcę. – A ty co tutaj robisz?

– Daj mi dokończyć. Gdyby to był film o jakuzie, to niedobitki z frakcji Tsuru przyłączyłyby się do Morina i zainscenizowały wojnę o honor. Nagasaki naruszył kodeks i musi ponieść karę, nie? Rzeczywistość nie jest aż tak ekscytująca.

Niedobitki Tsuru wiedzą, skąd wieje wiatr, i poddają się w odpowiedzi na złożoną przez Nagasakiego propozycję amnestii. Z miejsca zostają zakatrupieni, ale to nie ma znaczenia. Do maja Nagasaki kontroluje nie tylko operacje Tsuru, ale także gangi koreańskie i gangi triad. W czerwcu pomaga już wybrać ojca chrzestnego dla wnuka gubernatora Tokio. Kiedy Morino wysłała posła do Nagasakiego z propozycją podziału królestwa, Nagasaki odsyła mu tego ambasadora, ale bez rąk i nóg. W lipcu Nagasaki

ma już wszystko, a Morinowi pozostało tylko zastraszanie właścicieli burdeli i wyciąganie od nich forsy za ochronę. Nagasaki woli patrzeć, jak Morino znika, niż tytłać sobie podeszwy butów rozdeptywaniem go.

– Dlaczego nic z tego nie przedostaje się do gazet?

– Wy, zwykli obywatele Japonii, żyjecie jak w kinie Mijake. Jesteście darmowymi statystami. Politycy są aktorami. Ale faktycznych reżyserów, Nagasakich i Tsurów, nawet nie widzicie. Widowiskiem kieruje się zza kulis, nie z centrum sceny.

– Powiesz mi, dlaczego wylądowałeś tutaj?

– Zakochałem się w dziewczynie, w której kocha się Morino.

– Miriam.

Maska Daimona opada i po raz pierwszy widzę jego prawdziwą twarz. Drzwi otwierają się z hukiem i pojawia się Jaszczur. – Czy paniom wygodnie? – Błyskawicznym ruchem otwiera nóż, podrzuca, chwyta i celuje nim w Daimona. – Ty pierwszy. – Daimon zsuwa się z umywalki, zmieszany, nie odrywając ode mnie wzroku. Jaszczur cmoka. – Nadszedł czas, żeby pocałować na do widzenia tę twoją jakże czarującą buźkę, Daimon. – Daimon odpowiada uśmiechem: – Czy stroisz się z myślą o zbieraniu pieniędzy w celach charytatywnych, czy też naprawdę uważasz, że wyglądasz super? – Jaszczur też się uśmiecha: – Bystrzak. – Gdy Daimon przechodzi, Jaszczur uderza go w tchawicę, chwyta z tyłu głowy i wali nią o metalowe drzwi. – Aż mi staje, jak przypadkiem komuś dołożę. Wysił się jeszcze na jakiś dowcip. – Daimon zbiera się, krew leci mu z nosa. Potykając się, wychodzi na korytarz. Drzwi z powrotem się zatraskują.

Albo miesza mi się w głowie, albo ściany łazienki pochylają się do środka.

Czas także się zakrzywia. Zegarek nie chodzi, więc nie mam pojęcia, jak długo tu tkwię. Po podłodze zasuwa karaluch. Składam dłonie w kubek i pij? wodę.

Urządzam sobie zabawę, którą często uprawiam, żeby dodać sobie otuchy: poszukiwanie Andżu w moim odbiciu. Często odnajduję ją wokół oczu. Teraz spróbuję zabawy: koncentruję się na twarzy mojej matki; odejmuję jej twarz od mojej, to, co pozostaje, powinno być twarzą mojego ojca – Czy to możliwe, żeby mój ojciec był Rijutarem Morino albo Dzunem Nagasaki? Daimon dawał do zrozumienia, że to Morino nas tu zgarnął. Ale też przypuszczał, że Morino jest skończony. W każdym razie na tyle, że nie mógłby posiadać floty cadillaców. Ssę bombę szampanową. Boli mnie gardło, pani Sasaki uzna, że Aojama miał rację co do mnie – że jestem nieodpowiedzialnym bumelantem. Karaluch znowu wyłazi. Ssę ostatniego cukierka. Z lustra patrzy na mnie Jaszczur – odskakuję. – No i nadchodzi tak długo oczekiwana przez ciebie chwila, Mijake. Za chwilę przyjmie cię twój ojciec.

Walhalla to ogromny pusty hotel. Po ukończeniu będzie najbardziej luksusowym obiektem w Tokio. Kryształowe żyrandole, mleczone dywany, kremowe ściany, srebrne wykończenia. Klimatyzacji jeszcze nie ma i korytarze pozostają na łasce i niełasce słońca, wystarczy więc trzydzieści sekund w tej szklarni, bym cały oblał się potem. Do tego intensywne zapachy podkładu pod dywany i świeżej farby. Po drugiej stronie ogrodzenia otaczającego plac budowy widzę ogromną kopułę Ksanadu, dziedzińce, a nawet sztuczną rzekę i sztuczne grotty. Szyby w oknie pozbawiają koloru cały otaczający świat. Wszystko w kolorze wojennych kronik filmowych. Powietrze suche jak na pustyni. Jaszczur puka do pokoju 333. – Ojciec, prowadzę Mijakego.

I teraz rozumiem moją potworną pomyłkę. „Ojciec” nie znaczy „mój ojciec”: „ojciec” oznacza „ojca jakuzy”. Wybuchnąłbym śmiechem, gdyby akurat dzisiaj nie było to takie niebezpieczne. Po chwili słyhać chrapliwy głos. – Wejść! – Drzwi zostają otwarte od środka. W nienagannie utrzymanej sali wokół stołu konferencyjnego siedzi ośmiu ludzi. U szczytu zasiada pięćdziesięcioletni mężczyzna. – Siądź sobie, dziecino. – Głos ma szorstki jak papier ścierny Głębokie oczodoły, wydatne wargi, pocętkowana, łuszcząca się skóra – taką mają młodzi aktorzy grający w filmie starców – a w kąciku oka brodawka, wyrasta niczym zabłąkany sutek, ale jest większa. Moje spóźnione obawy okazały się jak najbardziej na miejscu. Jeżeli ten troll jest moim ojcem to ja jestem Króliczek Miffy. Zajmuję krzesło przeznaczone dla oskarżonego. Ściga mnie grupa niebezpiecznych nieznajomych, a nawet nie wiem, pod jakim zarzutem. – A więc to jest Eidzi Mijake – odzywa się mężczyzna.

– Tak. A kim pan jest?

* * *

Śmierć do wyboru. Kula w łeb albo upadek z trzydziestu metrów. Frankenstein i reżyser tej ponurej farsy zakładają się, co wybiorę. Nie mieć nadziei to tyle, co nie bać się. O, nadchodzi Mongoł, spacerkiem po nieukończonym moście. Prawe oko mam tak zapuchnięte, że draży je noc. Tak, pewnie, że się boję i nie mogę odżałować, że moje głupie życie tak szybko się kończy. Ale przede wszystkim czuję ciężar zmory, która nie pozwala mi się obudzić. Czuję się jak bydlę zamknięte w klatce, czekające na błyskawicę, która przemknie przez jego czaszkę. Złorzeczyć? Błagać? Próbować ucieczki, skoro pozostaje tylko rzucenie się na oślep w ciemność?

Gdyby nawet moja głowa wytrzymała upadek, to reszta ciała nie. Mongoł pluje i wkłada do ust nowy listek gumy. Wyciąga pistolet. Po Andżu parę razy w tygodniu śniło mi się, że tonę, ale tylko do czasu, gdy dostałem gitarę.

W tych snach radziłem sobie ze strachem, rezygnując z walki, i teraz dzieje się to samo. Mam mniej niż czterdzieści sekund. Po raz ostatni rozkładałem fotografię ojca.

Tata nadal bez zmarszczek. Tak, jesteście podobni. Pod tym przynajmniej względem moje wyobrażenie było bezbłędne. Jest grubszy niż myślałem, ale co tam. Dotykam jego kości policzkowych i mam nadzieję, że jakimś sposobem wie.

W dole na odzyskanej ziemi pokrzykuje Jaszczur: – Ma drgawki! – Bang! Woli sobie postrzelać do rannego, to, jak umrę, w ogóle go nie obchodzi. – Ty też się trzęsiesz, co? Bang! – Pistolety! Zapieprzona gra wideo! Bang! Jeden z cadillaców ożywa i skrzypi kierownicą. Mój ojciec na fotografii siedzący na miejscu kierowcy uśmiecha się do jakiejś tam Akiko Kato, która wsiada, mówiąc coś do niego.

Miniona czarno-biała chwila. Pozostaje nam to, co najbliższe. Gwiazdy.

* * *

– Kim jestem? – szef jakuzi powtarza moje pytanie. Ledwie porusza wargami, wydobywając z siebie martwy głos. – Moi księgowi mówią do mnie: panie Morino. Moi ludzie mówią do mnie: Ojciec. Ci, którzy korzystają z moich usług, nazywają mnie Bogiem. Moja żona nazywa mnie Kasą. Moje kochanki nazywają mnie Niesamowity. – Kaskada śmiechu. – Moi wrogowie nazywają mnie nocnym koszmarem. Ty mów do mnie „Panie”. – Odgrzebuje cygaro

z popielniczki i ponownie je zapala. – Usiądź. Twój proces odbywa się już poza porządkiem wokandy. – Robię, co mi każą, i rozglądam się po moich sędziach. Frankenstein opychający się Big Makiem. Spłowiały mężczyzna w skórze, który sprawia wrażenie kogoś pogrążonego w medytacji – kołysze się ledwie zauważalnie w przód i w tył, w przód i w tył. Kobieta pisząca na laptopie w tempie pianisty.

Przypomina ni Mamę–san z Damy Pik, póki nie uświadamiam sobie, że faktycznie jest Mamą–san z Damy Pik. Nie zwraca na mnie uwagi. Na lewo trzy egzemplarze ludzkie – wypisz wymaluj, policyjne portrety pamięciowe – wyrwane z katalogu Żołnierzy jakuzy. Jak trębacze podczas przerwy. W prześwicie, który łapię kątem oka, dziewczyna ubrana w luźną jukatę lize lodą na patyku. Kiedy usiłuję nawiązać z nią kontakt wzrokowy, ona cofa się i znika z pola widzenia. Jaszczur zajmuje miejsce na krześle obok mnie. Rjutaro Morino obserwuje mnie znad sterty plastikowych przezroczystych pudełek z kulinarnym śmieciem. Szmer oddechów, skrzypienie krzesła pod Skórą, stukot klawiatury komputera. Ha co jeszcze czekamy? Morino odchrząkuje.

– Eidzi Mijake, co masz na swoją obronę?

– Jak brzmi oskarżenie?

Nóż Jaszczura rzeźbi głębokie nacięcie na krawędzi stołu. Jego ostrze zatrzymuje się o cal od mojego kciuka.

– Jak brzmi oskarżenie, proszę pana?

Przełykam ślinę. – Jak brzmi oskarżenie, proszę pana?

– Skoro jesteś winien, to znasz zarzut.

– W takim razie jestem zapewne niewinny, proszę pana.

Słyszę chichot dziewczyny z lodem dobiegający z sąsiedniego pokoju.

– Niewinny. – Morino z powagą kiwa głową. – W takim razie wytłumacz, dlaczego znalazłeś się w Damie Pik w sobotę dziewiątego września.

– Czy jest tutaj Juzu Daimon?

Morino daje znak kiwnięciem głowy, ja walę twarzą o blat stołu, wykręcone ramię nad głową o mało nie wypada ze stawów. Jaszczur burczy mi prosto do ucha.

– Jak myślisz, co zrobiłeś nie tak?

– Nie... odpowiedziałem... na... pytanie. – Ramię zostaje uwolnione.

– Bystry chłopak. – Morino mruga oczami. – Wytłumacz, dlaczego w sobotę dziewiątego września znalazłeś się w Damie Pik.

– Zabrał mnie tam Juzu Daimon.

– Proszę pana.

– Proszę pana.

– Ale Mamie-san powiedziałaś zeszłej soboty, że nie znasz Daimona.

Mama-san obrzuca mnie spojrzeniem.

– Ostrzegałem cię – nie znoszę skamlących małolatów. Może ktoś mi powiedzieć, jak po rosyjsku jest „piętnaście bilionów”? – Odpowiada Skóra.

Mama-san nie przerywa pisania na klawiaturze. Morino czeka na moją odpowiedź.

– Nie znałem Daimona. I nadal go nie znam. W centrum gier zostawiłem swoją czapkę, wróciłem się, on ją miał, oddał mi i zaczęliśmy rozmawiać...

– ...a reszta, to, jak mówią, historia. Ale Dama Pik to ekskluzywny klub. Juzu Daimon wpisał cię jako swojego przyrodniego brata. Czy twierdzisz, że to kłamstwo?

Zastanawiam się, co z tego może dalej wyniknąć, jeżeli zaprzeczę.

– Czy usłyszałeś pytanie, Eidzi Mijake?

– Tak, to było kłamstwo, proszę pana.

– A ja twierdzę, że Dzun Nagasaki przysłał cię na przesłpiegi.

– Nieprawda.

– A więc znasz to nazwisko?

– Od godziny, tak. Ale tylko nazwisko.

– Przyszedłeś do Damy Pik z Juzu Daimonem, żeby nękać hostessę – tobie znaną pod imieniem Miriam.

Potrząsam głową. – Nie. Proszę pana.

– Przyszedłeś do Damy Pik z Juzu Daimonem, żeby namówić ją do dezercji i wejścia w krąg tych pieprzonych zdrajców Dżuna Nagasakiego.

Potrząsam głową. – Nie, proszę pana.

Niepohamowana wściekłość rozlewa się plamą na nieruchomej twarzy Morina.

Głos pozostaje absolutnie niewzruszony. – Ruchasz Miriam. Ruchasz moją dziewczuszkę.

A to stąd ten zgrzyt. Potrząsam głową. – Nie, a proszę pana.

Frankenstein grzechocze kupką drzazg w filizance.

Morino otwiera szarą aktówkę z dokumentami. – Co do twojego kolejnego uniku, wyjaśnisz mi to zdjęcie.

Przekazuje mi je sekcja trębaczy. Czarno–biała fotografia formatu A4 przedstawiająca odrapany blok mieszkalny. Obiektyw wycelowany w trzecie piętro, gdzie chłopak w moim wieku podaje coś przez drzwi. Pies z abazurem na głowie sika do kwietnika. Rozpoznaję mieszkanie Miriam i siebie. Oto dlaczego dzisiaj jestem tutaj. Kiepsko. Żadne kłamstwo nie pomoże mi się stąd wydostać. A

prawda dokąd mnie zaprowadzi? Morino strzela stawami palców. W ustach mam sucho jak w piaskownicy. – Więc. Dlaczego twoja obsypana pryszczami gęba pojawiła się w domu mojej dziewczuszki?

Opowiadam im wszystko, od spotkania nad stawem Szinobazu w parku Ueno po rozmowę z Miriam. Jedyne drobniaczki, jakie pomijam, to Suga. Utrzymuję, że sam się whaczyłem do biblioteki. Morino odcina koniuszek kolejnego cygara. Kończę – w powietrzu wisi wyrok. Jaszczur obraca się na krześle. – Ojczy? – Morino kiwa głową. – Nie brzmi to mi dobrze. Siurki od komputerów przecież nie taszczą dla zarobku walizek po stacjach. – Mama-san zamyka swój laptop. – Ojczy. Wiem, że Miriam bardzo wiele dla ciebie znaczy, ale pilnie musimy dotrzeć w parę innych miejsc, żeby przypilnować przebiegu operacji. Ten dzieciak znikąd, który zabłąkał się na teren własności prywatnej, jest dokładnie tym, na kogo wygląda. Nagasaki nie zatrudnia szpiegów w pieluszkach; jego wersja uzupełnia wersję Daimona; i łapy trzymał z dala od Miriam.

Morino uważnie słucha jej wywodu. – Skąd wiesz?

– Po pierwsze – najlepszy agent w Tokio śledził Miriam na twój rozkaz przez ostatnie dwa tygodnie. Po drugie – jestem kobietą.

Morino patrzy na mnie spod przymrużonych powiek, chcąc mnie rozszyfrować.

Opuszczam wzrok. Słysząc sygnał komórki Frankensteina, który wychodzi do sąsiedniego pomieszczenia, żeby odebrać. W tle zza głowy Morina wylania się sterowiec. Wyżej samolot iskrzy się promieniem słońca. Mama-san wyjmuje dyskietkę z komputera i zapieczętowanie ją w kasecie. – Niedługo – warczy Frankenstein do telefonu – niedługo. – Z powrotem zajmuje swoje miejsce. Morino kończy przesłuchanie. – Eidzi Mijake. Sąd uznaje cię winnym.

Winnym tego, że okazałeś się głupim kutasem, który wtyka nos w nie swoje sprawy. Na mocy wyroku należy ci obciąć jądra, zamoczyć w sosie sojowym i wpakować do ust, aż rzeczony członek zostanie przeżuty i połknięty przez aresztowanego. – Patrzę po sędziach. Ani uśmiechu. – Jednakże sąd zawiesi wykonanie tego wyroku pod warunkiem, że będziesz przestrzegał nakazu oddalenia. Nigdy nie pojawisz się w pobliżu Damy Pik. Nigdy nie zbliżysz się do mojej dziewczuszki. I nawet jak spotkasz się z nią w snach, to dowiem się o twoim uchybieniu i wyrok zostanie wykonany. Czy jasno się wyrażam?

Nawet nie śmiem powąchać zapachu wolności. – Całkowicie, proszę pana.

– Teraz wrócisz do swojego jałowego życia. Niezwłocznie.

– Tak, proszę pana.

Mama-san wstaje, ale Morino jeszcze mnie nie zwalnia. – Kiedy byłem dwa razy młodszy od ciebie, Mijake, łapaliśmy z kolegami jaszczurki żyjące na wydmach na wybrzeżu Szimane. Te jaszczurki są bardzo przebiegłe. Jak się je schwyta, odrzucają ogon i czmychają. Skąd mam wiedzieć, że nie zostawiasz nas z ogonem w ręku?

– Bo się pana boję.

– Twój ojciec także się mnie boi, ale swego czasu zostawił mi mnóstwo takich ogonków. Trębacze kiwają potakująco głowami. Słyszę chichot Lizawki.

– Czy mówił pan o moim ojcu?

Morino zaciąga się dymem. – Ta-ak. Przecież wiesz że tak.

– Moim prawdziwym ojcu?

– Ta-ak.

– Z...

– Z krwi i kości, facecie, który dwadzieścia lat temu nadmuchał twoją matkę, Mariko Miyake. A o kim innym miałbym mówić?

– Pan go zna?

– Blisko nie. Spotykamy się na gruncie zawodowym, od czasu do czasu.

Wyglądasz na zaskoczonego. – Morino patrzy, jak brnę. – Więc moja pracownica trafiła w sedno. Choć z drugiej strony, ona ma miękkie serce. Naprawdę nie wiesz, kim jest twój ojciec, co? I pomyśleć, że takie rzeczy zdarzają się w prawdziwym życiu. Pólsierota przyjeżdża do Tokio w poszukiwaniu ojca, którego nigdy nie widział. Więc myślałeś, że wiadomości w ATM–ie, jakie kazałem moim ludziom w banku ci przesyłać, pochodziły od twojego prawdziwego ojca? – Nieznacznie wydyma usta w niby–uśmiechu. Jaszczur parska. Morino stuka dłonią w teczkę z dokumentami. – Tutaj mam wszystko na temat twojego ojca. – Wachluje się nią. – Byłeś głęboko zagrzebany, ale mój agent dokopał się do wszystkiego. Kazałem śledzić ciebie, a wyskakuje twój ojciec. Byliśmy zaskoczeni. Nadal jesteśmy. A teraz możesz wypierdalać. – Wrzuca teczkę z dokumentami do metalowego kosza na śmieci. Jaszczur wstaje i kopie moje krzesło.

– Panie Morino?

– Ty jeszcze tutaj?

– Proszę mi dać tę teczkę z dokumentami.

Morino mruży oczy, rzuca spojrzenie na Jaszczura i wskazuje głową drzwi.

– Proszę pana, jeżeli nie potrzebuje pan już tych informacji.

Nie potrzebuje, ale przyjemność mi sprawia twoje niepotrzebne cierpienie. Mój chłopak odprowadzi cię do holu – Twój przyjaciel i mentor Juzu Daimon czeka na ciebie. Suszy go. A teraz uciekaj z

tej sali albo zostaniesz pobity do nieprzytomności i wyrzucony do kubła. – Idę za Jaszczurem i rzucam ostatnie spojrzenie w stronę pojemnika na śmieci, zanim drzwi z numerem 333 zamkną się, oddzielając mnie od ojca.

Postanowiłem wyminąć Juzu Daimona, żeby okazać mu pogardę, po prostu go nie zauważając. Ale tylko do chwili, gdy zobaczyłem jego ciało rzucone na kanapę.

Widziałem już nieżywych ludzi, ale takiego nigdy nie widziałem – tak strasznie bladego i kompletnie nieruchomego. Co się dzieje? To moje serce tłucze się jak oszalały, mechaniczny worek treningowy. Kanapa skrzypi – nogi Juzu poruszają się. Mrugając powiekami, otwiera oczy. Gałki błędzą, wreszcie znajdują mnie. – I co ci zrobili?

Jakby ktoś zazgrzytał biegami.

– Co ci zrobili, Mijake?

Wreszcie mogę wydobyć z siebie głos. – Puścili mnie.

– Dwa cuda jednego dnia. Jesteś cały?

– Nieprzytomny ze strachu, ale cały. Ale już nie tak nieprzytomny jak przed chwilą. Myślałem, że nie żyjesz! Co oni ci zrobili?

Daimon puszcza to mimo uszu. – Dlaczego poszedłeś do... Miriam, dlaczego?

– Zgubiła książkę z biblioteki, kiedy mnie, yyy, kiedy ją przypadkiem spotkałem w parku Ueno, po tym, jak rano wyszedłeś. Odniosłem jej. To wszystko.

Usiłuje rozciągnąć w uśmiechu kąciki ust.

– Co oni ci zrobili?

– Litr krwi.

Pewnie się przesłyszałem. – Zabrali ci litr krwi? Nie?

– Chyba więcej... niż pojemnik w banku krwi, tak Będę żył. To było dopiero moje pierwsze wykroczenie.

– Ale co oni zamierzają zrobić z twoją krwią?

– Sprawdzić i sprzedać, chyba.

– Komu?

– Mijake... proszę. Nie mam... siły... na żaden wykład na temat nielegalnego rynku...

– Możesz się poruszać? Powinieneś chyba iść do szpitala.

Mówienie wiele kosztuje Daimona. – Dobra, doktorze, zgoda. Zabrano mi jedną szóstą krwi jako zapłatę za wendetę jakuzy. Okropne, co? Tak, ale wiem, że miałem szczęście, że w ogóle żyję. Całkowicie wbrew prawu, zgadzam się. Ale, proszę, nie dzwoń na policję, bo mój tata też jest na liście.

– Dobra, ale wałęsanie się po tym budynku to nie najlepszy pomysł.

– Jeszcze tylko minutę, dwie, pozwól mi złapać oddech.

Rozglądam się po holu. Drzwi wyjściowe nas wypuszczą, ale nie będziemy mogli przez nie ponownie wejść. Przejście do sali przesłuchań zagrodzone jest kratą, zamkniętą na klucz przez Jaszczura; szklane ściany pokryte arkuszami plastiku. Odklejam róg – plac budowy, ogrodzenie i lido plaży Neptuna, w odległości zaledwie kopnięcia piłką. Amatorzy opalania smażą się na podestach.

Gładka tafla Pacyfiku lśni niczym w filmie o morskim potworze. Kicham. Byle nie przeziębienie, nie teraz, proszę. Boję się, że Daimon zapadnie w śpiączkę, jeżeli go nie odtransportuję. – Spróbuj stanąć.

– Zostaw mnie.

– Chcę zadzwonić do twoich rodziców.

Daimon na pól siada. – Nie, nie, kategorycznie nie. Tym razem uwierz mi.

Wzywianie rodziców to absolutnie najgorsza rzecz...

– Dlaczego?

Daimon potrząsa głową, jakby oganiał się przed muchą – Polityka. Polityka.

No i co teraz? – Ile masz pieniędzy?

– Każdy jen należy do ciebie, jeżeli tylko zostawisz mnie w spokoju.

– Nie kuś mnie. Obok wejścia do Ksanadu widziałem rząd taksówek.

Podejdziemy tam razem. Albo mi teraz ustąpisz, albo zmusisz mnie do tego, żebym na ciebie nakrzyczał, i dopiero wtedy mi ustąpisz. Zależy od ciebie.

Daimon wzdycha. – Ledwo wstał, a już się rządzi.

Dziwnie na nas patrzą, kiedy z trudem brniemy przez tłum, ale wszyscy przyjmują, że Daimon wisi na moim ramieniu, bo jest pijany w trupa. Atomowe wrześnie słońce przez cały dzień wyciska wilgoć. Mój kombinezon Kolei Japońskich klei się od potu. Tłum ludzi przepływa w tę i z powrotem u wejścia do Ksanadu. W powietrzu gęsto od srebrnych balonów z helem i tandetnej muzyki.

Unoszą się urywki rozmów, dym ze stoisk z kukurydzą pieczoną na węglu. W szerokich na milę słonecznych okularach widzę nasze odbicie. Wyglądamy, jakby nas wysrało. Gigantyczny czarny królik wyjmuje z kapelusza lilipuciego magika, wszyscy klaszczą. Skądś słychać piękny kawałek na fortepian i smyczki. Czuję, że Daimonem telepią mdłości. – Chce ci się wymiotować? – pytam. – Nie. Ubawił mnie komizm tego, co się dzisiaj zdarzyło. – Zastanawiam się, co w tym takiego komicznego. – Ty masz pojęcie,

Mijake, jak jestem zażenowany, że uratowałeś mi skórę? – Droge przecina nam Zax Omega, sprzedający podobizny samego siebie. – odpowiadam. – Jak się zastanowić, to pewnie jest dość upokarzające. – Daimon już się nie odzywa. Zmierza my do oczekujących taksówek. Coraz trudniej mu się wlec coraz ciężej oddycha. Drzwi taksówki otwierają się – Same z siebie – na południu nadal otwiera się je ręcznie. – Wiesz, gdzie jest Kita Sendzu? – pytam kierowcę.

Kiwa głową. – A wiesz, gdzie znajduje się Tenmaja, to pięć minut od stacji? – Kierowca potwierdza skinieniem. – Ta ulica gdzie jest ta wypożyczalnia wideo – gryzmołę na kolanie adres Mknącej Gwiazdy. – Zawieź tam, proszę, mojego przyjaciela. – Taksiarz patrzy niepewnie, nie mogąc się zdecydować, co istotniejsze: okrągła suma, jaką zainkasuje, czy upojenie pasażera. – To tylko małe porażenie słoneczne. Za dziesięć minut dojdzie do siebie. – Przeważa okrągła suma i taksówka uwozi Daimona. Ja zawracam i mam przed sobą drogę, którą przyszedłem. Mam ponowne spotkanie w Walhalli – w sprawie teczki z dokumentami porzuconej w metalowym pojemniku na śmieci.

* * *

Mongoł wspina się i jest coraz bliżej. Człekokształtna dziura w wyblakłym mroku. Widzę, że prawie się uśmiecha. Ruchami swoich kowbojskich butów odlicza chwile, jakie mi pozostały. Jaszczur i reflektory cadillaca oświetlające ostrym strumieniem pole bitwy z powodzeniem mogliby wystąpić w jakimś innym życiu. Czy Morino i Frankenstein nadal patrzą? Boję się odwrócić głowę, bo gdy oderwę oczy od Mongoła, to ani się spostrzegę, jak mój zabójca zmniejszy dystans o połowę. Adrenalina zwalcza gorączkę, ale w

żaden sposób nie mogę wykorzystać energii, jaką tłoczy strach. Żadna ilość adrenaliny mi nie pomoże, gdy upadając, walnę o ziemię. Żadna ilość adrenaliny nie pozwoli mi rozbroić prawdziwego, żywego najemnika z najprawdziwszym pistoletem. No, kurwa, nie. Już nie żyję. Kto za mną zatęskni Runtaro do przyszłej soboty znajdzie sobie nowego lokatora – Mama wpadnie w nowy cykl winy, oskarżeń i wódki. Znowu. A co będzie czuł ojciec, kto to wie? Macocha pewnie sobie kupi z radości nowy kapelusz. Akiko Kato będzie miała mniej papierkowej roboty. Kotka znajdzie sobie gdzieś nowy futon. Właściwie i tak wpadała tylko na mleko. Moi wujkowie, ich żony i moi kuzyni na Jakuszimie będą oczywiście oszołomieni i wstrząśnięci, jak się dowiedzą, ale przyznają, że Tokio to problem i że Japonia nie jest już, jak kiedyś, bezpieczną twierdzą. Babka przyjmie wiadomość z nieruchomością twarzą i w milczeniu, które będzie trwało przez pół dnia. Potem powie: – Wezwała go siostra, to poszedł. – Na tym wyczerpuje się moja lista. I to przy założeniu, że moje ciało zostanie odnalezione. O wiele wygodniej byłoby im pewnie pogrzebać mnie obok innych w wykopie pod przyszły tor. Buntaro po tygodniu zgłosiłby moje zaginięcie, a wszyscy wzruszaliby ramionami, mówiąc, że poszedł w ślady matki.

Ale oto nadchodzi Mongoł. Przeładowuje broń. I po co było to wszystko? Andżu pogrzebał ocean, a teraz mnie tu zagrzebią. I znowu kicham. Tylko bez kichania! A niby czemu? Z osuszonych terenów wieje chłodny wiaterek.

* * *

To, że zabiję, postanawiam na godzinę przed wejściem do Walhalli. Przede wszystkim odnajduję telefon. Dzwonię do pani

Sasaki w Ueno, ale gdy tylko słyszę jej głos, odkładam słuchawkę – przestraszony, a może zawstydzony. Bo musiałbym albo wcisnąć jej jawne kłamstwo, albo powiedzieć szczerą prawdę. Ani na jedno, ani na drugie nie może się zdobyć. Dzwonię więc do Buntaro, bo z nim łatwiej, dopada mnie przez telefon. – Zgadnij, chłopcze, co się stało! Kodai właśnie otworzył oczy! W brzuchu swojej matki! Otworzył! Wyobrażasz sobie! I słuchaj jeszcze – Ssij kciuk! Już! Lekarz mówi, że to nietypowe, że tak wcześnie Szybko się rozwija, tak właśnie powiedział lekarz! – Buntaro, ja...

– Widziałem już wcześniej tego dzieciaka na wideo Macierzyństwo to... nie do wiary. Czy uwierzyłybyś, że takim embrionom chce się pić? A tak! No więc piją płyn owodniowy, potem sikają tym i z powrotem! To tak jakby się podłączyć do niekończącego się zapasu Budweisera. Z tym że płyn owodniowy ma lepszy smak.

Czekanie na urodzenie to musi być dziewięć miesięcy istnej rozkoszy. Zupełnie jak w barze, w którym nie płaci się rachunków. Jak pod koniec lat sześćdziesiątych. A w ogóle tego nie pamiętamy.

– Buntaro, przyjaciel jest...

– Czy ty masz pojęcie, jak bardzo ciąża przestawia narządy wewnętrzne kobiety? W trzecim trymestrze macica dotyka mostka. Ona jest naprawdę mocna u ssaków łożyskowych. Dlatego właśnie... – W tle słychać głos jakiejś kobiety wrzeszczącej na całe gardło w Mknącej Gwieździe. – Poczekaj, ściszę. Ogląda Dziecko Rosemary. Rozumiesz, wskazówki, jakby Kodai miał się okazać synem Szatana. Położna w szpitalu mówiła...

– Buntaro!

– Coś jest na rzeczy?

– Naprawdę przepraszam, ale dzwonię z budki i karta mi się

kończy. Do Mknącej Gwiazdy jedzie mój przyjaciel, taksówką. Oddawał krew, ale wzięli mu za dużo i musi trochę poleżeć. Jak tam dotrze, czy mógłbyś zaprowadzić go do mojego pokoju? Potem wszystko wyjaśnię. Dzięki.

– A nie trzeba mu odprasować spodni? A może masaż albo...

Sygnal. Doskonale. Odkładam słuchawkę.

Pluton par dziewczęco–chłopięcych – nie wspominając już o batalionie znudzonych młodych małżonków, w jakich w ciągu pięciu lat zamieniają się pary – spycha mnie i pasażu handlowego w stronę podium. Muzycy grają z finezją jakiś wijący się dekoracyjnie temat. Może Mozart. Przypadkiem ląduję w pierwszym rzędzie. Gruby wiolonczelista, dwóch chudych skrzypków, przysadzisty altowiolista i dziewczyna grająca na fortepianie. Jak właściciele psów upodobniają się do swoich pupili, tak muzycy utożsamiają się ze swoimi instrumentami. Z wyjątkiem pianistów – pod jakim względem pianistka mogłaby przypominać swój fortepian? Może cerą. Włosy zakrywają jej twarz – pochyła się nad klawiaturą, jak gdyby sam bóg szeptem podpowiadał jej melodię. Szyja pianistki należy do najdoskonalszych – jej linia, gładkość, moc, wyźłobienie, wygięcie, wszystko. Ma na sobie kremową jedwabną sukienkę – na plecach pocętkowaną kroplami potu – ale gra boso. Muzyka cichnie i wszyscy klaszczą. Sekcja smyczków pławi się w aplauzie – pianistka odwraca się i składa skromny ukłon. Ai Imadzo. To naprawdę jest Ai Imadzo. Rozglądam się za jakąś kryjówką, ale drogę ucieczki tarasuje mur torebek, wózków i topniejących lodów. Ai Imadzo patrzy dokładnie w moją stronę, a mnie rumieniec eksploduje na twarzy. Poniewczasie uświadamiam sobie, że ona patrzy, ale nie widzi. Przecież oślepia ją blask muzyki. I wtedy Ai Imadzo uśmiecha się

do mnie – bez dwóch zdań – i gestem pokazuje uderzenie z główki.

Zdobywam się na słabiutki znak dłonią, gdy wypychają mnie do tyłu pingwiny z bukietami wielkości drzew. Kobieta–hipopotam, poobwieszana paciorkami, sprzęga mikrofony, które zaczynają wyć. Wycofuję się, żeby znaleźć w Ksanadu jakiś zacieniony kątek, gdzie mógłbym usiąść. Wolę nie krępować Ai Imadzo przy jej kolegach mufkach z uczelni.

Walhalla zasłania słońce. Kiedy wybija moja godzina prześlizguję się przez szczelinę w ogrodzeniu i kryję się w jego bezkresnym cieniu. W bramie głównego wejścia widzę trzech strażników palących papierosa, ale przecież łatwo podkraść się pomiędzy blokami, rurami, zwojami kabli i kanałami odwadniającymi. Gorzej, gdyby mnie wypatrzyli z samej Walhalli; mam nadzieję, że spotkanie z Aj Imadzo wyczerpało na dzisiaj pensum zbiegów okoliczności. Omal potykam się o zwój kabla, który z miejsca ożywa. Wchodzi do Walhalli poprzez przewód wentylacyjny.

Nawet wąż się nie przeciwstawi. Wąż. Okrążając pole widzenia strażników, docieram do podnóża piramidy i zaczynam szukać jakiegoś wejścia. Gmach jest ogromny – trzeba liczyć jakieś pięć minut na jeden bok. Mijam wejście do hotelowego holu, plując sobie w brodę, że nie zablokowałem drzwi jakimś klinem – z wewnętrzną żaluzją jakoś bym sobie poradził. Po dwudziestu minutach jestem po stronie przeciwnej niż główne wejście i strażnicy. Zastanawiam się, czy nie spróbować przejść, podając się za specjalistę od bojlerów czy za kogoś takiego – przecież cały czas mam na sobie swój roboczy kombinezon – ale kiedy podpełzam na tyle blisko, że słyszę ich rozmowę o tym, w jaki sposób najlepiej unieszkodliwić człowieka, zmieniam zdanie. Wycofuję się do rampy w podziemiu, pod którą Frankenstein zajechał po południu. Zza koparki

obserwuję budkę strażnika. Jej okna wychodzą na skrzyżowanie, a nie na rampę. Jakbym przylgnął do ściany, to udałoby mi się chyba niepostrzeżenie tam dostać. Potem może bym się przeczołgał.

Niebezpieczeństwo groziłoby głównie ze strony pojazdów, które mogłyby podjechać pod rampę, gdy ja będę schodził na dół. Spoko, na całym parkingu były przecież tylko trzy cadillaki. Chyba.

Jest tak, jak myślałem. Niezauważony dopadam do budki. Słyszę głos z telewizora: – I mamy starcie. Olbrzym walczy ze Smokami przed sześćdziesięcioletnią publicznością w upalne popołudnie w Hali, i oto nasz Enoki wyrywa do przodu, i już sobie wyobrażam, co w tym momencie dzieje się w umyśle tego młodego zawodnika – i tak dalej. Czuję zapach wieprzowego katsu i słyszę sygnał mikrofalówki – Rzucam się na kolana i gramolę się obok budki – stopy ciągnę po drobnym piasku, pewnie usłyszał, ale sunę dalej, obok drzwi strażnika, pod szlabanem i myk w ciemność, przygotowany na sygnały alarmu i wrzaski. Dopadam kolumny i chowam się, serce wali mi mocniej od bębna. I nic.

Strażnik pewnie głuchy jak pień. Teraz jestem nielegalnym intruzem. Spokój.

Wchodzę przecież tylko po to, żeby z kosza zabrać nikomu niepotrzebny śmieć.

Trzy cadillaki nadal stoją w szeregu, co dobrze nie wróży, ale dopóki ojciec jest bezpieczny w metalowym koszu, znajdę sobie w hotelu jakąś kryjówkę i odzyskam go, jak tylko wszystko się uspokoi. Trzymając się najgłębszego cienia, przedostaję się do obramowanych portalem drzwi i wślizguję do środka. Drogę mniej więcej pamiętam. Nadal ani żywej duszy. Wąż też błądzi w tym labiryncie wahadłowych drzwi. Przechodzę obok toalety, w której nas zostawili – wtem rozlega się raptowny śmiech. Nerwy mi

puszczają, rzucam się przed siebie i wskakuję za następny róg, akurat gdy śmiech tryska na korytarz. Ściga mnie jeszcze przez trzy kolejne zakręty. I cichnie. A wtedy zmienia kierunek i zbliża się w moją stronę – jak to? W panice zawracam – tak mi się wydaje, że zawracam – i docieram do ślepej ściany, gdzie w niszy stoi automat do napojów. Nasłuchuję. Coraz bliżej słyhać głosy dwóch mężczyzn. Może uda mi się wcisnąć obok tego automatu – jest, ale kiedy próbuję się odwrócić, stopa grzęźnie w pętli kabla. I w tym momencie głosy zatrzymują się przed maszyną. Zamieram. Jak tylko się porusz?, usłyszą mnie.

Jeżeli przypadkiem zerkną z boku maszyny, zobaczą moją nogę. Czuję, że zbiera mi się na kichanie. Transformator dźga mnie prosto w kręgosłup. Bzyczy jak szerszeń i pali jak żelazko.

– No, no, co my tu mamy.

– Stella Artois z importu. Nektar bogów.

– Pora na szybką puszczkę?

– Czemu nie? A wiesz co? Kakizaki ma AB Rh–.

– No popatrz. Mam nadzieję, że wyssałeś z niego całą krew. AB minus to rubinowy napój dla miliardera.

– Więcej, niż się dało, bidny kutas. Uważam to za akt łaski. A o wieszaniu za szyję nad dołem słyzałeś? Kurwa, ta maszyna nie przyjmuje pięciu tysięcy. Masz jakieś drobne?

Zaraz nie wytrzymam i kichnę.

Pieniądze zostały wrzucone. – Wieszaniu za szyję? Myślałem, że Morino kazał używać taśmy klejącej.

– Tak zrobiliśmy, ale Nabe za bardzo się wił. Morino kazał, żeby bez środków uspokajających. No to nie pozostało nic innego jak obwiązanie szyi i dziewięciocalowe gwoździe. Szczęściarz z tego Kakizakiego. Mięsko ma bielsze niż indyk; chyba już nic nie

poczuje.

Kichanie mi przechodzi. Puszki stukają w trzewiach maszyny. Mężczyźni otwierają je i oddalają się, gawędząc o stolarce. Kicham i walę głową w automat.

Salę 333 odnajduję przypadkiem, nie przerywając poszukiwania jakiejś kryjówki. Przykładam ucho do drzwi. Oprócz tętna rozsadzającego bębniarki niczego nie słyszę. Chyba. Naciskam klamkę. Ustępuje z oporem, ale drzwi chyba nie są zamknięte na klucz. Wstrzymuję oddech, otwieram drzwi, wślizguję się i rozglądam. Widzę metalowy kosz z teczką na dokumenty. Okno jest uchylone i wiatr przenika przez żaluzje. Przypominam sobie o przyległym pokoju i zaglądam.

Nikogo nie ma. Oddycham z ulgą, potem ogarnia mnie uczucie triumfu. Opłaciło się szalone ryzyko. Otwieram teczkę i nogi uginają się pod mną. Pojedyncza fotografia spada na podłogę pustą stroną do góry. Na niej napisany długopisem tekst.

Jest takie arabskie przysłowie: „Bierz, co chcesz”, powiada Bóg, „ale zapłać”.

Paczinko Plutona, Ksanadu, teraz. Odwracam zdjęcie. Dwie rzeczy nie ulegają wątpliwości. Pierwsza: kobietą na zdjęciu jest Akiko Kato. Druga: biorąc pod uwagę szczęki i skośne ustawienie brwi, mężczyzną siedzącym za kierownicą jest mój ojciec. Nie ma cienia wątpliwości.

W salonie paczinko jest tak gęsto od potu, dymu i zwykłego hałasu, że swobodnie można by podplłynąć do zwierciadlanych kul na suficie dyskoteki. Z miejsca oddałbym płuco za papierosa – już teraz, zamiast czekać całe pięćdziesiąt lat, ale obawiam się, że jeżeli spóźnię się choćby o chwilę, to nie spotkam Morina i Plan F,

najlepszy z dotychczasowych, odjedzie wraz z nim. Nie ma sprawy, przecież wystarczy trochę pooddychać tym powietrzem, żeby zaspokoić głód.

Goście tłoczą się w przejściach, oczekując na wolne miejsce. Mój najstarszy wuj – właściciel jedyne go salonu paczinko na Jakuszymie – opowiadał, że w nowych salonach sztucznie wywołuje się w niektórych maszynach hosę – hojniej płacą i dzięki temu można się wepchnąć na rynek. Kaskady stukoczących i błyskających srebrnych kul wprawiają w stan hipnozy całe rzędy trutniów i trutnie. Ciekawe, ile dzieciaków gotuje się teraz z gorąca w trzewiach parkingu Ksanadu. Zaczynam drugie okrażenie, szukając wejścia tylko dla personelu. Czas ucieka. Wpadam na dziewczynę ubraną w uniform salonu Plutona. – Ej! Gdzie jest biuro ojczulka?!

– Czyje biuro, proszę pana? – pyta dziewczyna potulnie.

Łypię na nią groźnie. – Kierownika!

– A, pana Ozaki?

Przewracam oczami. – A niby kogo?

Prowadzi mnie za stanowisko obsługi, wciska kod na drzwiach z zamkiem cyfrowym i otwiera. – Tym schodami na górę, proszę pana. Zaprowadziłabym pana osobiście, ale nie powinnam opuszczać sali dla klientów.

– No i mam nadzieję. – Zamykam drzwi. Zatrząskują się sprężyny skomplikowanego zamka. Strome schody prowadzą do jedyne go drzwi. Cisza jak pod wodą. Wchodzę do góry i o mały włos nie padam z wrażenia, kiedy u szczytu schodów widzę Skórę. – Yyy, witam – mówię. Skóra żuje gumę i patrzy. Kołysze od niechcenia pistoletem. Pierwszy prawdziwy pistolet, jaki widzę w życiu. – Czy mogę wejść? – pytam, wskazując na drzwi. Skóra, nie

przestając żuć gumy, wykonuje nieznaczny ruch głową. Pukam dwukrotnie i otwieram drzwi.

Gdy stoję w progu, przez pomieszczenie przelatuje jakiś facet i przebija lustro na przeciwległej ścianie. Lustro pryska w owacji odłamków, bo facet znika z pola widzenia i wpada do napakowanego przez trutnie salonu. Patrząc z otwartymi ustami – to wszystko przeze mnie? Niczym nie przytłumiony hałas paczinko zalewa pomieszczenie. Zza biurka patrzy na mnie Morino – palec na ustach, dłoń zwinięta wokół ucha. Mam jeszcze chwilę, by zarejestrować trzech trębaczy – to oni byli wykonawcami rzutu panem Ozaki – oraz Mame-san robiącą na drutach, zanim dociera reakcja z dołu. Chaos, piski, wrzaski. Morino opiera łokcie na biurku. Na jego twarzy maluje się zadowolenie. Z ramy wypada ułamek lustra. Skóra zamyka za mną drzwi od zewnątrz. Gdy cyklon mija, wybucha panika. Jaszczur i Frankenstein wyglądają przez ramę po lustrze, by ocenić szkody. Morino uśmiecha się, mrużąc powieki: – Ale synchronizacja, Mijake. Byłeś właśnie świadkiem aktu wypowiedzenia wojny. Siadaj.

Przechodzi mnie dreszcz. – Ten facet...

– Jaki facet?

– Ten, którego wyrzucili przez okno.

Morino bada drewniane pudełko. – Ozaki? No, co? Przetykam ślinę. – Nie będzie mu potrzebna karetko? Morino naciska zatraski pudełka. Cygara. – Chyba tak.

– Nie wezwie pan?

– A to dobre! No, Monte Cristo. Wezwać karetkę? Gdyby Ozaki chciał, żeby wezwać karetkę, musiałby się najpierw zastanowić, co go czeka za obszczenie butów Rijutara Morino. – Policja zaraz tu będzie.

Morino przesuwając cygaro pod nosem.

– Policjanci? – Frankenstein patrzy, jak salon paczinko pogrąża się w chaosie. – Policjanci mieszkają w tym samym świecie, co my. Sami dla siebie jesteśmy policją. – Kiwa na Jaszczura i obaj wychodzą. Ja nadal nie mogę się otrząsnąć po brutalnej akcji. Mama-san kontynuuje swoją robótkę, lekko postukując drutami.

Trębaczki mają przerwę.

W końcu Morino rozwija cygaro. – Co ty wiesz na temat cygar? Nic. Więc słuchaj. I ucz się. Monte Cristo jest dla cygar tym, czym salon wystawowy u Tiffany’ego dla diamentowego diademu. Słynna doskonałość. Oryginalne kubańskie – tytoń, liść, otulina. A ten złamany kutas Ozaki nawet patrzeć nie powinien na Monte Cristo, bo popełnia bluźnierstwo. Powiedziałem ci, żebyś siadał. – Jestem odretwiały i posłusznie robię, co każą. – Przyszedłeś tutaj po informacje. Nie myłę się?

– Nie.

– Wiedziałem. Ta informacja kosztuje spore pieniądze. Jak zamierzasz zapłacić?

Próbuję usilnie zapomnieć, że ten facet przed chwilą kazał wyrzucić kogoś przez okno, i usiłuję się skoncentrować. – Byłbym wdzięczny, gdyby... – słowa grzęzną mi w gardle.

Morino koniuszkiem języka próbuje cygara. – Jestem Pewien, że twoja wdzięczność jest najwyższej jakości. Ale też wydatki mam na miarę metropolii.

Twoja wdzięczność jest warta dla mnie tyle, co mucha napstrzy. Próbuj od początku.

– Ile?

Morino obcina cygaro narzędziem wyjętym z biurka – Co to się dzieje, że dzieciaki o niczym innym tylko o pieniądzach? Aż takim

duchowym cmentarzyskiem stałą się nasza mała cudowna Japonia. Nie, Mijake. Nie chcę twoich pieniędzy. Poza tym, obaj wiemy, że byle frajer dysponuje większym dochodem niż ty. Nie. Proponuję co innego. Proponuję, żebyś zapłacił mi lojalnością.

– Moją lojalnością?

– Czyżby jakieś echo, kurwa, tu było?

– Co rozumiałby pan przez moją lojalność?

– Zupełnie jak twój stary. Udaje, że nie rozumie. Twoja lojalność? Niech no pomyślę. Pomyślałem sobie, że resztę dnia moglibyśmy spędzić razem. Kręgle.

Wypad na występ psów. Coś na ząb, a potem spotkanie w gronie starych przyjaciół. Około północy podzucimy cię do domu.

– A w zamian...

– Dostaniesz... – pstryka palcami i trębacz wręcza mu drugą teczkę z dokumentami. Morino przegląda ją. – Wszystko o twoim ojcu. Nazwisko, adres, wykonywany zawód, charakterystyka, osobiste dossier, fotki, kolorowe i czarno-białe, wydruki rachunków telefonicznych, wyciągi z kont bankowych, ulubiony żel do golenia.

– Morino zamyka teczkę i uśmiecha się. – Ty podarujesz mnie i mojej rodzinie kilka godzin swego czasu, a twoje historyczne poszukiwania zakończą się sukcesem. Co ty na to? – Z wyludnionego salonu paczinko dobiega chrupanie szklą i odgłos elektrycznie zamykanych żaluzji. Przychodzi mi na myśl, że odmowa może się skończyć czymś o wiele gorszym niż tylko utratą teczki z dokumentami, zważywszy, czego byłem świadkiem.

– Zgoda.

Wilgotne maźnięcie i w moje lewe ramię, tuż nad łokciem, wbija się igła.

Skowyt. Trębacz unieruchamia mnie mocnym chwytem.

Pochyla nade mną swoją twarz i otwiera szeroko usta, jakby chciał odgryźć mi nos. Zionie od niego jak z sadzawki. Zanim udaje mi się odwrócić, częstuje mnie zbliżeniem swoich ust i wtedy odwracam się: po języku pozostał mu obcięty kikut. Bezkształtny chichot.

Wszyscy trębacze są niemowami. Strzykawka napełnia się moją krwią. Patrzę na Morina i widzę strzykawkę w jego ramieniu, która także napełnia się krwią. Jest chyba zaskoczony tym, że mogę być zaskoczony. – Potrzebny nam atrament.

– Atrament?

– Do umowy. Wierzę w słowo pisane. – Strzykawki zostają usunięte i ramię mam oswobodzone. Morino opróżnia obie strzykawki do filizanki i łyżeczką miesza naszą krew. Moje nakłucie ponownie zostaje posmarowane płynem dezynfekującym. Trębacz rozkłada przed Morinem arkusz papieru kaligraficznego i wręcza mu pędzelek do pisania. Morino zanurza pędzelek, bierze głęboki oddech i zgrabnymi pociągnięciami rysuje znaki oznaczające Lojalność, Obowiązek i Posłuszeństwo. Mori. No. Obraca papier na biurku. – Szybko – rzuca rozkazującym tonem, a jego usta jakby skupiają się w oczach – zanim krew skrzepnie. – Biorę pędzelek, zanurzam i piszę Mijake. Czerwień tężeje i przybiera kolor łajna. Morino obserwuje krytycznym okiem. – Kaligrafia. Ginąca sztuka.

– W liceum uczyli nas pisać atramentem.

Morino dmuchnięciami osusza papier, zwija i wkłada do pojemnika. Wygląda to tak, jakby wszystko było zawczasu przygotowane. Mama-san odkłada swoją robótkę i wkłada pojemnik do torebki. – Teraz chyba możemy już przejść do poważnych spraw, ojczy?

Morino odstawia filizankę z krwią i wyciera usta. – Kręgle.

Podziemny pasaż handlowy ma połączyć Ksanadu z Walhallą i Nirwaną. Na razie jest to jeszcze ponury podkop, oświetlony awaryjnymi lampami drogowymi i zawalony brezentowymi płachtami, płytami betonowymi, deskami taflami szkła i przedwcześnie dostarczonymi nagimi manekinami do butików, zrzuconymi na kupę i przykrytymi mgiełką polietylenu. Morino prowadzi, z megafonem w ręku.

Mama-san idzie obok mnie, pochód zamykają trębacze Gdzieś nad moją głową w rozświetlonym prawdziwym świetle Ai Imadzo gra Mozarta. Ciemność przemawia nawet ustami Morina: – Nasi przodkowie budowali świątynie dla swoich bogów. My wznosimy wielkie magazyny handlowe. Za młodu wybrałem się z ojcem w interesach do Włoch. I nadal śnię o gmachach. Czego brakuje nam w Japonii, to megalomanii. – Na dole panuje chłód i wilgoć. Kicham. Gardło mam ściśnięte. Wreszcie wychodzimy na powierzchnię po nieczynnych schodach ruchomych. Witamy w Walhalli, mówi Thor z piorunem w jednej ręce i kulą do kręgli w drugiej. Przez prowizoryczne drzwi wycięte w sklejce wkraczamy w rozległą ciemną przestrzeń, szczelnie odizolowaną od dnia. Najpierw nic nie widzę, nawet podłogi. Wyczuwam jedynie, że jest pusto. Idę śladem oparów i żarzącego się ognika cygara Morina. Hangar? W oddali pęk światła. To kręgielnia. Mijamy tor za torem. Tracę rachubę. Wydaje się, że mijają całe minuty, ale to niemożliwe. – Grywałeś w kręgle na Jakuszimie, Mijake? – Jego głos dobiega to z oddali, to z bliska. – Nie – odpowiadam.

– Dzięki kręglom młodzież trzyma się z dala od kłopotów. To bezpieczniejsze od spadania z drzew albo topienia się w falach odpływu. Kiedyś poszedłem pograć z twoim ojcem. Doskonały kręglarz z tego twojego ojca. Ale chyba jeszcze lepszy golfista. – Nie

wierzę mu, ale mimo to drażę. – Na jakim polu golfowym pan grał? – Morino macha w moją stronę cygarem – jego koniuszek błądzi jak ognista mucha. – Do północy ani kęsa. To nasza umowa. Potem możesz się opychać, ile wlezie. – Nieoczekiwanie jesteśmy na miejscu. Skóra, Frankenstein, Jaszczur, Lizawka.

Mama-san siada i wyjmuje swoją robótkę. Morino mlaska wargami. – Czy nasi goście przygotowani? – Frankenstein zadziera kciuk, wskazując oświetlony tor.

Zamiast kręgli widnieją tam trzy woskowe głowy ludzkie. Ta, która jest w środku, rusza się. Głowa z lewej ma tik. Ze też tu jestem. To jakaś koszmarna pomyłka.

Nie. To musi być jakieś przesłuchanie. Morino chyba nie jest aż taki obłąkany, żeby do ludzkich głów celować kulami do kręgli. Przecież tak naprawdę to biznesmen. – Ojczy – mówi Mama-san. – Muszę to powiedzieć. To nieludzkie.

– Wojna to wojna.

– A co z ich siatkówkami?

– Rozumiem twój niepokój, naprawdę. Jakżebym miał wbrew sumieniu pozbawiać kandydata na trupa szansy na ujrzienie własnego przeznaczenia.

– Morino! – krzyczy Środkowa Głowa ochryłym głosem. – Wiem, że tam jesteś!

Morino podnosi megafon do ust. Jego wzmocniony głos dudni jak burza piaskowa. – Gratuluję świetnej imprezy inauguracyjnej, panie Nabe! – pogłos odpływa z trzaskiem i wraca. – W salonie paczinko był, jak się zdaje, mały raban, ale jestem pewien, że w tej chwili wszystko już lśni.

– Uwolnij nas! Natychmiast! Miastem rządzi Dzun Nagasaki!

– Mylisz się, Nabe. Dzunowi Nagasaki tylko wydaje się, że to

jest jego miasto.

Ale ja wiem, że jest moje.

– Jesteś kompletnie popierdolonym szaleńcem!

– A ty – odkrzykuje Jaszczur – kompletnie popierdolonym trupem!

Megafon trzeszczy. – Z ciebie, Nabe, zawsze była chodząca lobotomia. I tego rodzaju śmierć pasuje do ciebie jak ulał. Ale ty, Gunzo – myślałem, że będziesz miał tyle rozumu, żeby capnąć swoją odprawę i bryknąć do ciepłych krajów.

– Bardziej przydamy ci się żywi, Morino – odzywa się głowa z lewej.

– Ale sympatyczniejsi będziecie martwi.

– Mogę ci pokazać, jak zacisnąć zapasowe linki Nagasakiego.

Morino oddaje megafon Skórze, który wkłada do chusteczki swoją gumę do żucia. – Dzień dobry, Gunzo.

– To ty?

– Wybieram klientów, którzy płacą w terminie – mówi z tępym, obcym akcentem.

– No, kurwa nie wierzę!

– I właśnie dlatego masz teraz dylemat.

– Ty też już nie żyjesz, zasrany mongolski sługusie! – krzyczy Środkowa Głowa.

Zasrany mongolski sługus oddaje megafon Morinowi, uśmiecha się i łyka nowy listek gumy.

– Morino! Będę twoim posłańcem do Nagasakiego! – krzyczy Głowa z Lewej.

– Nie będziesz naszym posłańcem – odkrzykuje Jaszczur – zostaniesz, kurwa, naszą wiadomością!

– I to nader treściwą – dorzuca Morino z aprobatą. – Zwiążłą.

No, to rzucaj pierwszy. – Jaszczur kłania się dwornie i wybiera najcięższą kulę. Wmawiam sobie, że to tylko blef. Że też tu jestem. Jaszczur podchodzi do toru, mierzy.

– Zastrzel nas, Morino! – krzyczy Środkowa Głowa. – Pozwól nam umrzeć z honorem!

– Co ty wiesz o honorze, Nabe? Nadstawiłeś Nagasakiemu swoją dziurę, zanim tamten zdążył cię poprosić! – Jaszczur robi krok, drugi, i łup! Linia błyskawicznie przechodząca w prostą, moje jelita w supeł, próbuję się obudzić, odwrócić wzrok dla własnego dobra, ale gdy Środkowa Głowa krzyczy, patrzę, co za idiota ze mnie.

Głowy z Prawej – To chyba Kakizaki – nie da się już rozpoznać. Zbiera mi się na wymioty, ale nic z tego. Jestem zakłajstrowany. Po Kakizakim zostaje wgłębienie pełne kości i krwi. Wybucho dzika owacja trębaczy. Głowa z Lewej milknie z przerażenia. Środkowa Głowa, cała w czerwonych cętkach, ciężko dyszy. Jaszczur ponownie kłania się i wraca na miejsce przy konsoli – – Wspaniała technika – chwali Frankenstein. – Może obejrzymy to na replayu, co? – Odwracam się i osuwam z głową między kolanami. Zrywam się, gdy megafon – Mijaaaaaakeeeeeee!

– wyje mi prosto do ucha. Jaszczur wskazuje na tor. – Teraz ty.

– Nie.

Niemi trębacze odgrywają pantomimę konsternacji i zdziwienia.

– Tak. Podpisaliśmy umowę – mówi Morino scenicznym szeptem.

– Nie było mowy o współudziale w morderstwie.

– Zgodnie z przyrzeczeniem masz robić to, co ci każe twój Ojciec – mówi Frankenstein.

– Ale...

– Zagadka moralna dla odpowiedzialnego młodzieńca – dywaguje Morino. – Rzucić czy nie rzucić. Rzuć, a niezamierzonym wstrętnym postępkim wyrządzisz komuś krzywdę. Nie rzuć, a wywołasz ogień w Mknącej Gwieździe i przedwczesny poród u żony swego gospodarza. Co bardziej zaciąży na twoim sumieniu? – Chcę mnie uwikłać w zbrodnię, by w ten sposób uzyskać gwarancję, że nigdy niczego nie powiem. Czuję już, jak rygle się zatrzaskują. Podnoszę się i wybieram najlżejszą kulę, w nadziei, że za sprawą nieprzewidywalnego splotu okoliczności jakoś się stąd wydostanę. Biorę kulę, najlżejszą. I tak waży sporo. Ale...

– Nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę. Za plecami słyszę śmiech. Odwracam się. Jaszczur leży na plecach z rozrzuconymi nogami i wepchniętym pod kurtkę balonem z nasmarowanymi czarnym pisakiem sutkami, pępkiem i trójkątem owłosienia łonowego. Frankenstein klęczy nad nim z długim nożem. – Nie – krzyczy Jaszczur falsetem – proszę, niech mi pan nie robi krzywdy, w brzuchu noszę dziecko.

– Przykro mi, pani Buntaro – wzdycha Frankenstein – ale tak się kończy wynajmowanie pokoiów lokatorom którzy łamią przyrzeczenia złożone wpływowym osobistościom...

Jaszczur wrzeszczy tak, że omal płuc nie wypluje.

Proszę! Moje dziecko, moje dziecko! Litości! – ostrze noża dotyka gumowego brzucha pani Buntaro, Frankenstein zwija drugą dłoń jak młot i bach! Lizawka tarza się ze śmiechu. Mama-san robi na drutach, Morino klaszcze. Tłumek twarzy zawieszonych w ciemności jaśnieje w światłach monitora i konsoli. W jednej chwili zwracają się w moją stronę i patrzą. Nie umiem powiedzieć, która z unoszących się twarzy wydaje ostateczny rozkaz. – Rzucaj. – Muszę jakoś chybić, ale nie tak wyraźnie. Ze też tu jestem. Chcę

przeprosić głowy, ale jak? Podchodzę do toru i próbuję odetchnąć. Po pierwsze, celuję do rynny, metr od Martwej Głowy z prawej. Po drugie, skręca mnie w środku i kula wylatuje za wcześnie – palcami zapociłem otwory. Z miejsca kucam i nie chcę spojrzeć, bo mnie mdli, i aż mdli mnie, żeby spojrzeć. Kula zbacza w stronę rynny i toczy się wzdłuż jej krawędzi, mnie więcej na jednej trzeciej toru. Ale wtem z powrotem odbija i toczy się w stronę Środkowej Głowy. Jej twarz jak gdyby odkształca się, dudnienie kuli przechodzi w narastające dzikie wycie, rozbrzmiewają okrzyki kibicujących za moimi plecami trębaczy. Zamykam oczy. Słyszę jęk zawodu. – Ale zgoiliłeś mu szczecinę – pociesza Morino. Nie mogę opanować dygotania. – Chcesz zobaczyć poprawkę? – łypie chytrze Jaszczur. Nie słucham jego paplaniny i chwiejnym krokiem wracam, by zwalić się na ostatnią ławkę. Zamykam oczy. Wykwity krzepnącej krwi.

– Czyścimy to do końca! – woła Frankenstein, domagając się owacji. – Moja specjalność – ekspresowy wiatrak! – słyszę wielkie pochrząkiwanie, rozbieg i grzmot pędzącej kuli. Po trzech sekundach – gwałtowna owacja. – jak skorupa od jajka! – krzyczy Jaszczur. – Brawo! – cieszy się Morino. Środkowa Głowa wydziera się na wszystkie strony, ta z lewej strony złowieszczo milczy. Pod powiekami mam obraz zwieńczenia toru. Jeszcze mocniej staram się zacisnąć oczy, ale wciąż mam ten obrazek w technikolorze. I chyba do śmierci się go nie pozbędę. Ze też tu jestem w to zwichrowane, chore popołudnie. Nie mogę opanować dygotania ciała.

Męczą mnie nudności, raz, drugi, ale nic z tego. Niezdrowe wyziewy po okonomijaki. Kiedy ostatni raz jadłem? Całe tygodnie temu. Gdybym mógł, tobym uciekł. Pal sześć teczkę z

dokumentami. Ale wiem, że mnie nie puszczą. Między nogi wślizguje mi się czyjaś ręka – Masz cukiereczka – to Lizawka.

– Co? – Bomby szampanowe?

– Masz cukiereczka – jej oddech czuć starym jogurtem. Jaszczur chwyta ją za włosy i odciąga. – Ty mała ruchawico za dychę! – Jeden klaps, drugi, trzeci. Morino chwyta megafon. Jedyny ocalały nieszczęśnik nie przestaje krzyczeć. – Zrobimy interes, Nabe? – Wrzaski cichną i przechodzą w zduszone szlochy. – Jeżeli przy następnym rzucie nie rozedrzesz ryja, to będziesz wolny. Ani piśnij, pamiętaj! – słyhać spazmatyczny, chrapliwy oddech Nabego. Morino opuszcza megafon i patrzy na Mamę-san. – Chcesz?

– Od dawna już nie gram w kręgle. Nie te czasy. – Słyhać stukotanie drutów.

– Ojciec – odzywa się Skóra. – Pojąłem już podstawy tej gry.

Morino kiwa głową. – Jesteś jednym z nas.

– Sprzątnę Gunza. Nigdy go nie lubiłem.

Spokojny turkot toczącej się kuli, zduszony spazm Nabego i bek. Owacja.

– Ooo, drogi Nabe – wyje Frankenstein – wyraż nie słyshałem kwikniecie.

– Nie! – dobiega załamany, zgnębiony, wyczerpany głos.

Morino podnosi się. – Spróbuj dostrzec humorystyczną stronę tego wszystkiego!

Humor jest istotą duszy. – Że też tu jestem. Teraz kolej Morina. – Cha, cha. Ta kula już była w obiegu. O, kawałki skalpu Gunza. A może Kakizakiego. – Nabe szlocha, po cichu, jakby zgubił pluszowego misia i nikogo to nie obchodziło. Morino rusza – raz, dwa – dudnienie, kula leci. Jeden krótki jęk zębatej piły. Trzaśnięcie pałeczek do ryżu. Dwa ciężkie przedmioty z głuchym

łoskotem wpadają do kanału.

Trzy cadillaki suną pasem szybkiego ruchu. Ziemia niczyja, ni to miasto, ni to wieś. Drogi dojazdowe, stacje obsługi, magazyny. Popołudnie wysącza dzień w niszy wieczoru. A ja nie mogę pozbyć się piętna tego, co widziałem w kręgielni.

Rana nie będzie boleć, dopóki nie minie szok i nerwy nie odżyją. Zastanawiam się, gdzie i z kim mógłbym teraz być, gdybym nie wrócił do Walhalli. Mógłbym na przykład gawędzić z Ai Imadzo w kawiarni. Albo karmiłbym Kotkę i popalał z Buntaro. Albo szalałbym po nadbrzeżnych drogach na motocyklu Wuja Asfalta na Jakuszymie. Księżyc wisi nad lesistymi stokami. Gdzie ja jestem? Jakiś półwysep.

Frankenstein prowadzi, Skóra zajmuje miejsce dla pasażera, Morino i ja – środkowe siedzenia. On popala cygaro, puszczając kółka, i parokrotnie rozmawia przez telefon na temat „operacji”. Rozmowa zazwyczaj nie jest dłuższa niż krótkie „Gdzie jest, kurwa, Miriam?”. Na tylnym siedzeniu Lizawka obciąga Jaszczurowi kabla. Wjeżdżamy do tunelu. Światła układają się na szybie we wzór kodu kreskowego. Ze stropu tunelu zwisają potężne wentylatory. Ze też tkwię w tym koszmarze. – Mógłbyś już przestać to powtarzać – odzywa się Morino najwyraźniej do mnie. – To działa mi na nerwy. Wszyscy mamy takie koszmary, na jakie zasługujemy. – Jeszcze przeżuwam to, co usłyszałem, gdy głos zabiera Frankenstein: – Moje koszmary zawsze zaczynają się w tunelach. Śni mi się coś zwykłego, żadne strachy, albo w ogóle nic, a kiedy widzę wjazd do tunelu, od razu myślę: „No tak, zaraz będzie koszmar”. Wjeżdżam do tunelu i zaczyna się.

Wisielcy dyndający u sufitu. Wraca jakiś facet, którego wykończyłem dziesięć lat temu, a mój rewolwer się zacina. Tunel

coraz bardziej się zwięża i ścieśnia, że aż nie ma jak oddychać. – Lizawka ciągnie, głośno mlaskając. Jaszczur, pojękując, wtrąca swoje: – W koszmarach panuje prawo dżungli. Wysiadają te wszystkie nowoczesne gadzety. Jesteś zostawiony samemu sobie, rzucony na pastwę czegoś większego, gorszego, złośliwszego. No gdzie z tymi zębami! – wymierza klapsa Lizawce, tamta piszczy. Morino wystukuje popiół do popielniczki. – Ciekawa rzecz, chłopaki. Według mnie koszmar to komedia pozbawiona wentyla bezpieczeństwa. Łaskoczą cię, ale nie możesz się śmiać. A ciśnienie rośnie i rośnie.

Jak gaz w piwie. Dorzucisz coś do naszej fascynującej rozmowy, Mijake? – Patrzę na tego oprawcę, zastanawiając się, czy to wszystko to dla niego normalka. – Nie. – Morino sprawia wrażenie, jakby czynność mówienia nie wymagała już w jego przypadku poruszania wargami – Głowa do góry, Mijake. Ludzie codziennie umierają. Ci trzej sami się wykończyli w momencie, gdy chcieli mnie Przechytrzyć. Ty tylko pomogłeś wykonać wyrok. Za tydzień nie będziesz o nich pamiętał. Mówią, że czas to najlepsze lekarstwo. Bzdury. Najlepszym lekarstwem jest zapomnienie. – Wyłania się Jaszczur z objawami zadowolenia na wargach.

Lizawka siada, wyciera usta. – Cukierka! – słyhać mamrotanie Jaszczura i odgłos rozpinanego zamka błyskawicznego. – Ramionko masz, kurwa, jak poduszczkę.

Pokaz nam swoje udko. Strzelę sobie. Tylko się nie śliń bardziej, niż musisz. – Wtrąca się Skóra: – U mnie mówi się, że koszmary to nasi dzicy przodkowie powracający do ziemi odzyskanej. Ziemi obłaskawionej, zasiedlonej, na której pasą się nasze łagodniejsze, podtuczone, nowoczesne czuwające jaźnie. – Frankenstein wyjmuje metalowy grzebień i czesze się, trzymając drugą ręką kierownicę. –

A kto je przysyła? – Skóra wpycha do ust nowy listek gumy. Przysyła je ten, a raczej to, czym naprawdę w głębi jesteśmy. „Nie zapominaj, skąd przybywasz”, to mówi koszmar. „Nie zapominaj o swoim prawdziwym ja”.

Pudel skacze bez końca na neonowym emblemacie. Na szyi ma krawat z małym pieskiem. Nasz wóz dołącza do drugiego cadillaca, którym jadą trębacze. Trzeci zabrała Mama-san i pojechała w swoich sprawach. Mężczyźni przygotowują pistolety, Frankenstein otwiera drzwi z mojej strony. – Może wolałbyś zostać w pięknym bezpiecznym wozie z seksciasteczkiem, żeby sobie pociupciać? – Zanim udaje mi się wymyślić odpowiedź, Jaszczur zrzuca mi czapkę z głowy. – Niestety.

Nie możesz. – Wsiadamy i idziemy do magazynu z wizerunkiem pudła. Co kilka sekund jarzy się egzekutor. Ze środka dobiegają to wzmagające się, to cichnące wrzaski. Z zacienionego wejścia wyłania się dwóch bramkarzy. Podchodzą do trębaczy. – Dobry wieczór, panowie. Po pierwsze, muszę poprosić o oddanie broni.

Regulamin domu – przechowamy ją bezpiecznie pod kluczem. Po drugie, nie mamy waszych maszyn na liście. Z kim jesteście?

Trębacze rozstępują się i wchodzi Morino.

Bramkarze truchleją.

Morino wbija w nich wzrok. – Dotarto do mnie, że wieczorem macie występ psów.

Większy z dwóch olbrzymich bramkarzy pierwszy dochodzi do siebie. – Panie Morino...

– Stary dobry pan Morino skończył się wraz ze starym dobrym panem Tsuru.

Teraz mówi się do mnie „ojcze”.

– Tak, yyy, ojciec – bramkarz wyszarpuje telefon komórkowy. – Proszę jedną chwileczkę, a sprawdzę, czy najlepsze miejsca przy ringu są już przygotowane dla pana i pańskiego towarzystwa... – Morino kiwa na Frankensteina, który dźga tamtego nożem w okolice serca. Az po rękojeść. Trębacz chwyta go za głowę i chyba przetrąca mu kark. Wszystko dzieje się zbyt szybko, żeby cokolwiek pojąć, i zbyt szybko, żeby ofiara zdążyła pisnąć. Pozostali dwaj trębacze dopadają drugiego bramkarza. Jaszczur wytrąca mu z ręki pistolet i całuje powalonego faceta. Nie, skąd. Odgryza bramkarzowi nos i wypluwa kawałki. W tym momencie odwracam głowę. Głuche uderzenia, charczenie, siniaki i rany. – Wywalcie to ścierwo za te skrzynie – rozkazuje Morino. Dzwoni porzucony telefon. Frankenstein rozdeptuje go jednym tupnięciem. – Pieprzona tajwańska tandeta. Japońskich już nie ma. – Jaszczur otwiera drzwi do magazynu. W środku zalatuje stęchlizną i mięsem. W mroku rzędy palet wypełnionych puszkami z karmą dla psów. Ogromna przestrzeń.

Z oddali dobiegają niewyraźne odgłosy okrzyków i wycia. Trębacze prowadzą.

Ociągam się, więc dostaję od Frankensteina kopniaka w kość ogonową. – Nie ma migania, Mijake. Jesteś jednym z nas, dopóki zegar nie wybije północy. – Poddaję się. Muszę. Żeby uspokoić instynkt samozachowawczy, mogę co najwyżej naciągnąć baseballówkę na oczy. W ponad dwuosobowym rozwrzeszczanym tłumie nasze wejście pozostaje niezauważone. Trębacze przeciskają się przez zewnętrzne kordony – siejąc strach koszulami i tatuażami jakuzy. Ludzie odwracają się z wściekłością, ale zauważają Morina, rozdziawiają gęby i odpadają. Docieramy do oświetlonej przez reflektor areny. Szary mastiff i czarny doberman

szarpią się na smyczach, z ich kłów spływają grudy śliny. Po drugiej stronie areny mężczyźni stojący na skrzyni pośpiesznie zapisuje zakłady, wykrzykiwane z tłumu. Siatka plecionego podkoszulka opina jego owłosione tłuste cielsko. Stoję wciśnięty między Frankensteina z tyłu, a Morina z przodu – bezpieczny jak cholera – tak więc nie uchodzi mojej uwagi, jak Morino wyciąga pistolet z marynarki i strzela mastiffowi w łeb.

Cisza.

Wokół głowy psa na podłodze areny rośnie plama krwi. Doberman skamle, schowany za swojego trenera. Trębacze zdążyli już wycelować swoje pistolety w tłum. Ludzie cofają się. Że też tu jestem. Trener mastiffa odzyskuje głos. – Zastrzelełeś najlepszego psa pana Nagasaki!

Morino udaje zmieszanie. – Czyjzego psa?

– Dżuna Nagasaki, ty, ty, ty...

– A, jego.

Trener wygląda, jakby miał dostać ataku serca. – Dżun Nagasaki! Dżun Nagasaki!

– Coś za często słyszę dzisiaj to nazwisko. Nie wymieniaj go już.

– Dżun Nagasaki obedrze cię ze skóry, ty, ty, ty...

Morino wycelowuje swój pistolet. Bang! Trener zwija się i pada na swojego mastiffa. Ich krew spływa do jednej kałuży. Morino odwraca się do Frankensteina.

– Ostrzegałem go. Co nie, wujaszku? Ostrzegałem, co nie? – Frankenstein przytakuje głową. – Nikt nie może powiedzieć, że było inaczej, uczciwie go ostrzegłeś, ojciec. – Tłum nadal stoi wrośnięty w betonową podłogę. Morino charka, celuje i odpluwa na trenera. – Pistolety i dobre mamusie chrzestne. Dzięki nim spełniają się najbardziej szalone pragnienia. Co do jednego was

stąd wypuszczę, popaprańce, wyjątkiem ciebie, Jamada. – Podnosi pistolet, celując bukmachera stojącego na skrzyni. – Mam ci coś do powiedzenia na ucho, Jamada. Temu, co z ciebie zostanie – nie ma cię! Już! – Trębacze strzelają po kolei. Tłum wymyka się między rzędami i topnieje, poganiany przez wymachujących pistoletami trębaczy – do świtu daleko, wampiry tak szybko nie znikną. Bukmacher stoi z podniesionymi rękami. Jaszczur wskakuje na arenę i czubkiem buta unosi głowę trenera. Pomiędzy jego oczami widnieje krwawy, jakby dla kawału przylepiony strup. – Piękny strzał, ojcie. – Słyszę dobiegający z zewnątrz odgłos ruszających z piskiem samochodów.

Bukmacher z trudem przełyka ślinę. – Jeżeli zamierzasz mnie zabić, Morino...

– Biedny Jamadakun. I znowu postawiłeś na niewłaściwego psa. Zabiję cię, ale nie dzisiaj. Musisz jeszcze przecież swojemu nowemu panu zanieść wiadomość ode mnie. Powiedz Nagasakiemu, że chcę omówić sprawę odszkodowań wojennych, jakie jest mi winien. Powiedz, że będę czekał na niego równo o północy – most przy terminalu koło nowego lotniska. Za Ksanadu, na ziemi odzyskanej. Myślisz, że potrafisz to wszystko spamiętać?

* * *

Mongoł zatrzymuje się w odległości dziesięciu kroków. Kołysze w dłoni pistolet. Światła i strzały dobiegające z odzyskanej ziemi wydają się bardzo odległe. W klatce piersiowej czuję kanonadę serca. Śmierdzący uniform wisi na mnie jak szmata. Najgłupsze rzeczy przypominają mi się w ostatnich chwilach życia. Nieznana powieść Haruki Murakamiego, którą udało mi się ocalić spośród rzeczy znalezionych, w połowie przeczytana, w mojej szafce w Ueno

– Co się stało z człowiekiem, który utknął na dnie wyschniętej studni i nie miał liny? Moja matka, śmiejąca się w ogrodzie Wuja Paczinko, próbująca gry w badminton, pijana ale przynajmniej szczęśliwa. Żal, że nigdy nie odbyłem pielgrzymki do Liverpoolu. Albo ten poranek, kiedy obudziłem się i nad moim i Andżu futonem odkryłem cieniutką smugę wczesnego śniegu wdmuchanego przez szczelinę. Czy te ścinki tworzą materię życia? Słyszę swoje imię, ale wiem, że to tylko wyobraźnia. Staram się za wszelką cenę zapanować nad oddychaniem i kicham. Do tej pory nie zdążyłem jeszcze przyjrzeć się Skórze, w każdym razie nie dokładnie. A właśnie jego twarz przyjdzie mi oglądać jako ostatnią. Nie tak przecież miało wyglądać oblicze śmierci. Raczej nieładne, względnie ciekawe, napięte przez wymuszoną niewrażliwość na uczucia wywoływane przez czyny, których świadkiem był jego pan. No, zrób to. Z niesmakiem myślę, że miałbym błagać o życie. Jak więc będą brzmiały moje ostatnie słowa? – Może byś tego nie robił. – Jakie głębokie. – Proponuję – zaczyna Skóra – żebyś kucnął.

– Kucnął? – Egzekucja w stylu kucanym. Po co?

– Na ziemię. Jak to się mówi? – w pozycji płodowej.

Po co jeszcze sobie głowę zawracać? Śmierć to śmierć.

– Powinieneś kucnąć dla własnego bezpieczeństwa – nalega mój zabójca.

Wyduszam z siebie jakieś niewydarzone prychnięcie, które Skóra interpretuje jako odmowę.

Skóra przeładowuje pistolet. – W porządku, ostrzegałem cię.

Ileż gwiazd. Po co gwiazdy?

Tuńczyk, małże, okoń, ikra łososia, jajko z tofu, ludzkie ucho. Wysoka sterta suszi. Uasabi zmieszana z sosem sojowym w celu usunięcia wszelkich nieczystości z surowych ryb. Ścina soję, lepłą

jak krew. Muszę przestać myśleć o tej kręgielni.

Muszę. Wydawało się, że od psów jechaliśmy przez całą noc, ale tutaj na zegarze jest 22:14. Pozostało niewiele ponad sto minut, powtarzani sobie, ale nie chce mi się wierzyć, żeby cokolwiek dobrego mogło się zdarzyć. Przeziębienie dopadło mnie na całego, a będzie jeszcze gorzej, zanim w ogóle poczuje się lepiej. Udaje mi się przełknąć trochę wody przez to moje gardło; rozdyma mi żołądek. Trudno nawet oddychać. W restauracji jesteśmy sami. Przyszła jakaś rodzina, ale gdy tylko nas zobaczyła, wycofała się. Stara kelnerka zachowuje spokój, a kucharz siedzi przyczajony na zapleczu. Żebym ja tak mógł. Frankenstein rzuca we mnie kiełbasą.

– Co to za nabzdyczona gęba, harcerzyku? Jeszcze ktoś pomyśli, że straciłeś rodziców. – Jaszczur paprze uasabi sosem sojowym. – Może dotarło do niego, że mastiff, którego zastrzeliłem u Goiciego, to jego zaginiony papcio. – Morino strzepuje na mnie koniuszek cygara. – Uśmiech na twarz i trzymaj się! Pamiętaj o swoim dziedzictwie! Jesteś uczciwym, praworządnym Japończykiem! Trzymaj się, dopóki do chodzenia nie musisz używać podpórek, dopóki pijesz wodę bez rtęci, a cały kraj to jeden wielki parking. Od morza do morza. Ja nie szargam Japonii.

Kocham ją. Na ogół jest tak, że mięśnie są na każde zawołanie pana. W Japonii to my, mięśnie, jesteśmy panami. Japonia jest naszym pojazdem. Więc uśmiech i trzymaj się. – Może i muszę to wytrzymać, ale przecież nie będę uśmiechał się z tego powodu, że dałem się wciągnąć w gangsterską wojnę zarazonych wściekłą wilków. Uśmiechnąć się mogę jedynie na myśl, że już nic gorszego się nie wydarzy w tej restauracji. – Ojczy! – Jaszczur wskazuje miejsce w kącie sali. Wyjmuje z ust ociekające śliną, przeżute suszi

– Zobacz, co tu wypatrzyłem – mają maszynę do karaoke!

– Ale radocha – Morino patrzy na Frankensteina. – Niech popłyń pieśń. – Frankenstein śpiewa angielską piosenkę z towarzyszeniem chórków: „I can’t liiiiiiiiiive, if living is without yoo–ooo–ooo, I can’t giiiiiiiiive, I can’t take any moooooore”. Trębacze wyją, przeciągając samogłoski, łoskot robi się taki paskudny, że tylko patrzeć, a z suszy poucieka robactwo. Skóra popija w kącie mleko ze szklanki. Sprawia wrażenie osoby, która podobnie jak ja nie czuje się, tak jak u siebie w domu. Morino przywołuje podstarzałą kelnerkę, która tak nerwowo nas obsługiwała. – Śpiewaj. – Kelnerka nie śmie protestować i śpiewa piosenkę zatytułowaną Kwiaty wiśni znad Morza Japońskiego, o hazardziście który grając w madzonga, narobił długów i postanawia honorowo zakończyć swe życie, ale dopiero w dziewięćdziesiątej dziewiątej linijce piosenki. Jaszczur prezentuje piosenkę Jednoimienne elektrody wykonywaną przez zespół o tej samej nazwie.

Bez słów, bez chórków, na jednym akordzie: odstawia na stole taniec indyka, brandzlując mikrofon, a trębacze jak szaleni klaszczą do taktu. Wreszcie utwór dobiega końca i Morino pokazuje, żebym wstał.

– Nie – odpowiadam beznamiętnie – ja nie śpiewam.

Grad suszy, plaskając, odbija się od mojej twarzy. Trębacze gwizdzą.

– Nie lubię muzyki.

– Bzdury – mówi Morino. – Mój ulubiony wywiadowca powiedział, że masz dwadzieścia kompaktów, mnóstwo rzeczy tego beatlesa, co kojfnął, całą stertę nut i gitarę.

– Skąd pan to wie?

– Nocne koszmarki robią swoje.

Wycieram twarz z ryżu. – Kazał się pan włamać do mojego pokoju?

Morino podaje kelnerce kieliszek do napełnienia. – Gdybym uważał, że tknąłeś moją dziewczuszkę, ty wirtualna sierotko, to ciebie kazałbym połamać. Powinieneś więc być wdzięczny.

– Nienawidzę karaoke i nie zamierzam śpiewać.

Jaszczur robi obrażoną minę i przedrzeźnia mnie. – Nienawidzę karaoke i nie zamierzam śpiewać. – I nagle jego pięść ląduje w moim oku, a ja padam na podłogę i oglądam stolik od spodu.

Zbieram się. W oku coś mi śpiewa, pulsuje.

– Przez cały dzień miałem na to ochotę – Jaszczur bada swoje knykie. – Ojciec kazał ci śpiewać.

Właściwie powinienem się bać, ale potrząsam głową. Ani śladu krwi.

Frankenstein bierze pałeczkę, układa ją na palcu wskazującym i serdecznym, następnie czka i łamie palcem środkowym. – Mijake, ojczy, ryzykuje niedotrzymanie kontraktu.

Morino kiwa palcem. – Musisz być wyrozumiały. Po śmierci siostry Mijake już nigdy nie był taki jak przedtem. Mieli tam swoje własne państwko. Kurwa, własny język mieli. Jaka szkoda, że tego dnia, kiedy ona zginęła, on sobie wyjechał na Kagoszimę, pierdolony sobek. Ej! – strzela palcami na kelnerkę. – Jeszcze fasolki! – Jestem tak otumaniony rozwijającym się przeziębieniem, że już sam nie wiem, czy Morino ma jakiś specjalny talent do snucia przenikliwych domysłów, czy też dysponuje kluczem do podziemia moich myśli. Tak czy inaczej, najchętniej wykłułbym mu pałeczką oczy. Już wyobrażam sobie siebie przy tej robocie.

Zarozumialec. Jego brodawka pulsuje. Słowo daję, to coś na

mnie patrzy.

* * *

Na obwodnicę ziemi odzyskanej wjeżdżamy o 23:04, jeżeli wierzyć zegarkowi w cadillaku. Mija trzydzieści minut, a my nadal jedziemy. Muzyka orkiestry wojskowej trzęsie całym samochodem, a mną trzęsie gorączka. Może zresztą to w samochodzie panuje gorąc, a wojskowa muzyka dusi mnie od środka. Milimetry, a zostałbym mordercą, nadal mogę zostać. Czy różnica pędu i kąta, w końcu rzecz przypadku, naprawdę może stanowić dla mnie jakieś rozgrzeszenie? Przecież rzuciłem. Musiałem. Jeszcze godzina, a teczka z dokumentami będzie moja. A do tego wspaniałe czarne oko. Spodziewałem się, że pretendentowi do tronu jakuzi w Tokio będą towarzyszyły zbrojne zastępy, ale nie. Tylko te dwa cadillaki. Z nosa mi cieknie, w dodatku mam wrażenie, że za kark ściskają mnie jakieś kleszcze. Może to jakiś kodeks honorowy zobowiązuje dwie frakcje do niestosowania przemocy. Albo może – tylko nie to, proszę – w grę wchodzi jakaś samobójcza misja. Powtarzam sobie, że gdyby Morino był jakimś kamikaze, to przecież tego by nie robił, nie w tym wieku i nie przy swoich wpływach, ale sam już nie wiem, co myśleć. Prawie żadnych rozmów. Morino dzwoni do Mamy-san, chyba do Damy Pik. – Czy Miriam jest już w pracy? Dzwoniłem do niej. Powiedz, żeby mi oddzwoniła na komórkę, jak tylko przyjdzie. – Jaszczur i Frankenstein popalają camele, Morino cygaro. Ja jestem za słaby, żeby mi się chciało palić. Lizawka skowyczy w narkotycznym śnie. Morze jest tak spokojne, że można by po nim chodzić, na niebie hektary gwiazd. Trzydziestowatowa żarówka księżycyca w pełni – ledwie na wyciągnięcie ręki. Morino znowu dzwoni, ale nikt się nie zgłasza. – Samobójcy lubią kończyć ze sobą

podczas pełni, pielęgniarka mi kiedyś mówiła.

Samobójcy i z jakiegoś powodu konie. – Wreszcie hamujemy, zatrzymujemy się i – ze względów strategicznych, jak się domyślam – ustawiamy się pod kątem w stosunku do cadillaca trębaczy. Wsiadam. Bolał mnie zdrętwiałe mięśnie. Kolejny plac budowy. Tokijskie przedmieścia to albo hałdy rozbieranych domów, albo place budowy. Ogromny budynek terminalu to dopiero olbrzymi fundament. Płaska jak stół do bilardu ziemia odzyskana rozpościera się, aż po góry. Po obu stronach miejsca, w którym stoimy, wznosi się most, któremu brak środkowego przęsła – Słyszę leniwy odgłos morza szemrzącego niewiele poniżej krawędzi nabrzeża. – No, Mijake – migocze płomień zapalniczki Morino. – Możesz wskoczyć na ten most. – Zastanawiam się, czy nie ma w tym jakiegoś haczyka. – Nagasaki to przeciwnik, a ty nie pasujesz do obrazka. Nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że rekrutację przeprowadzam po przedszkolach. – Jaszczur parska.

– Czy da mi pan teczkę z dokumentami?

– Nudzisz mnie! Dopiero, kurwa, po północy! Idź!

Stawiam kilka kroków, gdy Skóra, który stoi na stercie otoczków, gwizdże.

Myślałem, że to na mnie, ale nie. – Nadjeżdżają nasi przyjaciele. Dziewięć samochodów.

– Dziewięć. – Frankenstein wzrusza ramionami. – Liczyłem na więcej, ale dziewięć też obleci.

Zaczynam wbiegać na pochyłość. Z mostu najbliższej do bezpiecznej przystani.

Ale z drugiej strony to doskonała kryjówka, żeby się przechować. Mam jeszcze kilka metrów do wierzchołka. Jestem na wysokości jakichś trzydziestu metrów – dość, żebym dostał zawrotu

głowy, żeby ścisnęło mnie w płucach i żeby skurczyły mi się jaja. Wychylam głowę i widzę, jak podjeżdżają samochody Nagasakiego.

Zatrzymują się, okrążając półkolem dwa cadillaki Morina, i puszczają na ful światła. Gaszą silniki. Z każdego samochodu wychodzi parami po czterech facetów w kamizelkach kuloodpornych. Zajmują pozycje. Nie po raz pierwszy dzisiaj czuję się tak, jakbym się zabłąkał do jakiegoś filmu akcji. Morino i jego ludzie wkładają ciemne okulary. Żadnych Pistoletów, żadnych noktowizorów. Morino jedną rękę ma zajęta przez megafon, drugą trzyma w kieszeni. Trzydziestu teściu uzbrojonych po zęby ludzi przeciwko siedmiu. Z samochodu, nie śpiesząc się, wychodzi mężczyzna w białym garniturze, osłaniany przez dwóch goryli. Czekam, aż padnie rozkaz ognia. Już po tezcze. Na nic to wszystko. Głos Morina rozchodzi się po ziemi odzyskanej, jak gdyby megafon był dziurką, przez którą przemawia noc. – Dżunie Nagasaki. Jakie jest twoje ostatnie życzenie?

– Jestem szczerze zdumiony, Morino. Czy naprawdę upadłeś aż tak nisko i tak szybko? Plotki o twoim ustąpieniu nie były przesadzone. Pięciu podstarzałych chuliganów jeden był handlarz bronią – zabiję cię osobiście, Suhbataar, i to w taki sposób, że nawet na tobie zrobi to wrażenie – do tego jedna nie uzbrojona ciota ukrywająca się na moście. – Aż tyle na temat mojej bezpiecznej przystani – I to ma być ekipa, która ma ci umożliwić powrót? A może masz tu gdzieś u wybrzeża jakiś lotniskowiec? Chcesz mnie zabić śmiechem?

– Wezwałem cię tutaj, żeby ogłosić mój wyrok.

– Co ty, masz już trzecie stadium syfa? A może ty jesteś Nadczłowiek?

– Pozwolę ci wycofać się z honorem. Możesz sam odebrać sobie

życie.

– To już przekracza granice zwykłej głupoty, Morino, to jest po prostu niegrzeczne. Pozwól, że wyjaśnimy to sobie. Poważnie spierdoliłeś mi inaugurację w Ksanadu. Przekonałeś prasę, że Ozaki zginął przez przypadek, a to już była logistyczna przepuklina. Zagrałeś w kręgle głowami moich trzech kierowników, aż potrzaskały jak skorupki od jajek – oryginalne, przyznaję, ale nad wyraz przykre – potem w tradycyjny sposób zabiłeś dwóch niewinnych bramkarzy i zastrzeliłeś mojego najlepszego psa. I właśnie mój pies, Morino, to mnie naprawdę boli. Ty amatorze. Jak się nie ma stylu, to zawsze, zawsze, kończy się na kaleczeniu zwierząt.

– Stylu? A importowanie niekontrolowanej wołowiny ze Stanów i wybicie uczniów w Uakajamie za pomocą 0–157, a potem namówienie swoich kundli z Ministerstwa Rolnictwa, żeby obwinili plantatorów rzodkiewki, to ma być styl?

Szantażowanie administracji banków w związku z pozycjami, które kazałeś im sfałszować, odmawiając zwrotu pożyczek na dęte przedsięwzięcia, to ma być styl?

A twoja odżywka „płacisz pan, panie Producencie Żywności albo bulisz za brzytwę w pańskich produktach dla niemowlaków”, to ma być styl?

– Właśnie dlatego, że nie jesteś w stanie zrozumieć tego, że w świecie od 1970 roku dokonał się postęp, to ja przejąłem i rozszerzyłem interesy Tsuru, a ty nadal czerpiesz dochody z wymuszania drobniaków od właścicieli barów w Szindzuku.

No i jak, jak sądzisz, czy za pięć minut będziesz jeszcze żył?

– Zapomniałeś o mojej tajnej broni.

– No zapomniałem! Płonę z ciekawości.

– Pierwszą bronią jest twoja płonąca ciekawość, Nagasaki. Nawet dawniej zawsze lubiłeś sobie pogadać, zanim strzeliłeś.

– Czy twoja druga tajna broń jest równie groźna jak pierwsza?

– Przedstawiam ci ją, ladies and... trudno mi wydobyć z siebie następne słowo, NimQ6.

– Nim-Q6? Czarodziejski szczający chochlik? Przyrząd do przetykania rur?

– Plastikowy materiał wybuchowy wynaleziony przez tajne służby Izraela.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– Ależ oczywiście, że nie słyszałeś. Izraelczycy przeleż nie dali ogłoszenia w „Time”. Ale mikrokomórki NimQ6 są zainstalowane w spustach pistoletów, jakie trzymają w swoich łapach ci twoi popaprani neandertale. Są nimi nafaszerowane osłony waszych pysznych kasków. Obecny tutaj mój kolega, pan Suhbataar, nadzorował oclenie waszego sprzętu, kiedy wydebił go od swojego rosyjskiego dostawcy wojskowego.

Niektórzy ludzie Nagasakiego zerkają na swojego szefa.

Nagasaki zaplata ręce. – W nędznej opowieści o tępym, blefującym popaprańcach najnędzniejszym i najgłupszym ze wszystkich blefującym popaprańcem jesteś ty sam. A jak myślisz, jakiej broni, do kurwy nędzy, używałem, wykańczając Tsuru? Gdyby w tej zasranej historyjce o pułapce był choćby miligram prawdy, to już byśmy o tym wiedzieli.

– Nie dowiedziałeś się, bo byłeś mi potrzebny, Żeby pogrzebać frakcję Tsuru.

Za to dziękuję ci...

– Podziękujesz mi, kiedy twoje kłamliwe flaki powyłażą ci przez dziury po kulach. No, mam miasto na głowie Odsuńcie się od

samochodów, szczeniaki. Sam je zamówiłem przez znanego nam obu Mongoła i nie chcę uszkodzić lakieru.

Morino gasi cygaro na lakierze. – Zamknij się i słuchaj. Miligram prawdy, powiadasz. Mikrokomórka NimQ6 waży jedną dwudziestą grama. Kropka na kartce. Jest to superwytrzymały materiał wybuchowy, nie eksploduje, nawet gdy odbijają się od niego rykoszety, dopóki – i w tym tkwi jego piękno – nie podda się go drganiom fal VHF o specjalnej częstotliwości. Wówczas mikrokomórki eksplodują z siłą wystarczającą do rozerwania ciała na części. Jedyny oscylator na wschód od Syrii znajduje się tutaj, jest wbudowany w mój telefon komórkowy.

Nie brzmi to całkiem przekonująco dla kogoś, kto, jak ja, znajduje się trzydzieści metrów nad ziemią i dygocze od gorączki, a do tego w jego głowę prawdopodobnie celuje snajper.

Nagasaki udaje znudzonego. – Dostyc tego pseudonaukowego brandzłowania, Morino, ja...

– No, porozśmieszaj mnie jeszcze przez dziesięć sekund. NimQ6 to materiał przyszłości. Wprowadzam kod – przezornie zrobiłem to, zanim tu dziś przyjechałeś – i teraz po prostu naciskam przycisk wybierania numeru. O tak...

Fajerwerki wybuchów huczą, buchają płomieniami i grzmią.

Chowam głowę.

Fale wstrząsów wymiatają powietrze.

Odgłosy wybuchów odbijają się echem od gór.

Wreszcie wychylam głowę. Ludzie Nagasakiego leżą w rozsypce tam, gdzie stali. Ciemnymi stosami leżą ci, którzy znaleźli się poza zasięgiem blasku reflektorów, ale ci, którzy padli w ich świetle, widnieją na ziemi czerwonej jak podłoga w rzeźni. Tułowia przeważnie z nogami, ale uzbrojone ręce pourywało.

Głów – zgniecionych w hełmach – po prostu nie ma. Nie znam słownika, który pozwoliłby mi to ogarnąć. Tylko w filmach wojennych, w horrorach: koszmary.

Otwierają się drzwi cadillaca i ze środka wypada na kolana Lizawka. Skowycze z obrzydzenia, jakby w kąpielni dopadł ją pająk. – Aaaa! – Jaszczur krąży wokół. – Aaaaaa! Kurwa, aaaaaaaa! – Nagasaki jeszcze żyje – nie miał hełmu i nie rozerwało mu czaszki, próbuje wstać. Zamiast rąk poszarpane kikuty, urwane powyżej łokci.

Podchodzi Morino i pusząc się, przystawia megafon do ucha swojego wroga. – Czyż nauka nie jest cudowną rzeczą? Bang!

Kieruje megafon w moją stronę. – Okolicznościowe fajerwerki, Mijake. Teraz posłuchaj. Północ minęła. Więc teczka z dokumentami, która leży w cadillacu, jest twoja. Tak. Ojciec dotrzymuje słowa. Niestety, nie będziesz w stanie ocenić swoich ciężko zdobytych informacji, ponieważ jesteś głupim pojebańcem i zginiesz.

Zabrałem cię ze sobą tylko na wypadek, gdyby Nagasaki odwołał twojego ojca z emerytury. Przeceniłem przebiegłość tego kretyna, tak więc w efekcie zamiast ewentualnej karty przetargowej mam chyba o jednego świadka naszych nocnych rozrywek za dużo. Pan Suhbataar prosił, żeby mógł wpakować ci kulę w łeb, a ponieważ jest głównym architektem mojego mistrzowskiego planu, to przecież nie mogłem mu odmówić Do widzenia. Jeżeli mogę ci w ten sposób poprawić samopoczucie, to powiem, że i tak nie zapisałyś się w niczyjej pamięci i prowadziłyś nudne, bezpłciowe, szare życie. Aha jeszcze, twój ojciec też jest takim bezsensownym dupkiem Słodkich snów.

* * *

Po co jeszcze sobie głowę zawracać? Śmierć to śmierć. – Powinieneś kucnąć, dla własnego bezpieczeństwa – nalega mój zabójca.

Ze strachu wyduszam z siebie jakieś niewydarzone prychnięcie.

– Nie? – Skóra przeładowuje pistolet. – Dobra, ostrzegłem cię.

Ale w ręku nie trzyma pistoletu, lecz telefon komórkowy. Wybiera numer, wychyla się, wskazuje na dół na samochody i kuca.

Noc wypruwa na wierzch swoje trzewia, przewracam się, powalony przez istny mur hałasu, most dygocze, z metalicznym łoskotem pada grad kamieni, w powietrze wylatuje łukiem płonący wrak samochodu i teczka z dokumentami zamienia się w popiół. Noc z powrotem zatrząskuje się. Grzmot wybuchów odbija się echem od góry. Pod policzkiem czuję uwierający mnie żwir. Jakos wstaję – ku mojemu zaskoczeniu, moje ciało jeszcze się rusza. Z leja po cadillacach wali w górę słup dymu.

Skóra wybiera kolejny numer na swojej komórce. Kucam, zastanawiając się, co jeszcze pozostało do wysadzenia – czyżby był chodzącą bombą, która wysadza dowód własnego istnienia? – ale tym razem telefon pozostaje tylko telefonem. – Pan Tsuru? Suhbataar. Pana życzenia odnośnie panów Nagasaki i Morina zostały spełnione. W rzeczy samej, panie Tsuru. Zebrali to, co sami posiali. – Odkłada telefon i patrzy na mnie.

Spalenizna i trzaski.

Przygryzam wargę do krwi. – Chcesz mnie zabić?

– Zastanawiam się. Boisz się?

– Bardzo, bardzo się boję.

– Strach niekoniecznie oznacza słabość. Gardzę słabością, ale też gardzę marnotrawstwem. Jeżeli chcesz przeżyć, musisz sobie wmówić, że to, co się zdarzyło dzisiejszej nocy, było koszmarem

śnionym przez kogoś innego, koszmarem, do którego przypadkiem się zabłąkałeś. Znajdź jakąś kryjówkę na dzień i przez jakiś czas nie wychodź. Jeżeli jakimś cudem dasz znać policji, z miejsca zginiesz. Rozumiesz?

Kiwam głową i kicham. Kiedy podnoszę wzrok, dym zaczyna pochłaniać noc.

Pięć STUDIUM OPOWIEŚCI

MARGINESY

Kozłopis wyjrzał w bezgwiezdną noc. Jego oddech zaparował szybę samochodu. Pierwszy przymrozek osadził płatek lodu na winie Edelweiss.

Kozłopis doliczył się trzech odgłosów: świecy kapiącej na jego sekretarzyk; pani Grzebyk, która zmagając się we śnie, powiedziała: „Widzisz, Amaryllisie Broomhead, z nie przejmuj się wyszło przejmuj się!”; oraz Pitekantropusa chrapiącego w podwieszanym do podwozia hamaku. Czwarty odgłos, szeptów, na które Kozłopis czekał, był jeszcze tak odległy, że Kozłopis poszukał dłonią swoich okazałych okularów, żeby przekartkować tom wierszy ułożonych w dziewiątym wieku przez księżniczkę Nukado. Kozłopis wygrzebał ten wolumin pewnego burzliwego czwartku w Delhi. I od lata, noc w noc, działało się to samo. Szacowny wóz zatrzymywał się, Kozłopis budził się i za nic już nie mógł zasnąć. O swojej bezsenności nie powiedział nikomu, nawet Pitekantropusowi, a już na pewno nie pani Grzebyk, która ani chybi przepisałaby mu jakiś upiorny „lek”, gorszy od samej dolegliwości. Początkowo Kozłopis sądził, że owe szepty dochodzą z miejscowych wodospadów w Aberdeen, ale ta teoria padła, kiedy okazało się, że szepty podążają za nim do innych miejsc. Przyjął więc drugą teorię – mówiącą, iż po prostu oszalał. Ostatecznie jednak, nie Poddając się wpływom innych stanów mentalnych, doszedł do przekonania, że źródłem owych szeptów jest jego własne

wieczne pióro – to samo pióro, którym Lady Shonagon n pisała swoją książkę do poduszki, ponad trzynaście tysięcy księżyców temu. Kozłopis usłyszał szum, szelest i jego serc zaczęło bić szybciej. Odłożył księżniczkę Nukadę na pół i przyłożył ucho do obsadki pióra. Tak, pomyślał, to stamtąd słyhać. Dzisiejszej nocy szepty były wyraźniejsze, cicho! Tu „dziwak”, tam „gruszka”, ówdzie „hebanowa klacz”. Kozłopis chwycił wieczne pióro i zaczął pisać, najpierw powoli, pojedyncze słowa, w miarę jak kapały, ale za chwilę już całe zdania – spływały, napelniały się, rozlewały.

– Ach, proszę pana, to już przechodzi wszelkie granice roztrzepania! – Pani Grzebyk rozsunęła zasłony. – Proszę się porządnie okryć, gdy bladym świtem zachciewa się panu hulank! A jak znowu odezwie się pański reumatyzm, to będzie pan musiał poszukać głupka, co będzie nosił za panem rzeczy, wspomni pan moje słowa.

Kozłopis z trudem otwiera posklejane powieki. – Niespokojne sny, droga pani. – Śnił mi się m–metal pozwalający skonstruować urządzenie do wykrywania norweskiego dziewięcioboku w delcie, w której środowu poranek trwał całą wieczność.

Pani Grzebyk mocno związała tasiemki swojego fartucha. – Mówiłam panu dziewięćdziesiąt dziewięć razy – Jak się kto przed snem objada, to mu sen głupoty gada. Ale pan upiera się przy tych swoich kolacyjkach a la Devonshire. A teraz wstajemy i do dzieła. Śniadanie gotowe. Earl Grey i łososie z Zanzibaru, przypieczone na ruszcie, tak jak pan lubi. – Pani Grzebyk wyjrzała na dwór. – Ponuro jak się patrzy, ani chybi.

Kozłopis odnalazł swoje binokle spoczywające na kronice, którą czytał przy pomocy monokla, i spojrział. Szacowny wóz dotoczył się do zimnej krawędzi, której nadal kurczowo się trzymał mocno

zakorzeniony korzeń. – Atramentowy horyzont, niebo jak papierowa miazga. Nie mam już większych wątpliwości co do tego, że jesteśmy na marginesie, droga pani Grzebyk. – Głóg wtłoczony w głęboko wydrążone wgłębienia.

– Paskudna nazwa i paskudne miejsce – oświadczyła pani Grzebyk.

– Ziemia zbyt kwaśna, żeby kolor zapuścił w niej korzenie. Kiedyś jakiś m–marginalny książę próbował założyć tu plantację żonkili, ale żółć bieląca. Nawet rośliny wiecznie zielone nigdy nie pokrywały się tu zielenią. Nie słyszało się ptaków, nawet kruki nie przelatowały.

– Tak tak, proszę pana. Bo wystygną panu łososi.

Kozłopis marszczy brwi. – Dziwne, pani Grzebyk, ale nie mam apetytu. Może jakby odłożyła pani rybę na talerz, to zjadłbym ją potem. Tymczasem wystarczyłaby kapinka herbaty... – Kozłopis nie kończy zdania. – Utrapienie! Gdzie są te dziesiątki stron, które napisałem w nocy? – zagląda pod stół, szuka na stole i za stołem, ale kartki przepadły. – To fatalnie! Napisałem fragmenty prawdziwie niesłychanej opowieści!

Pani Grzebyk, pomimo wieloletniej służby, położyła krzyżyk na łososiach. – Ośmielam się przypomnieć, że już kiedyś miał pan taki sen o pisaniu. Pamięta pan, jak się panu śniło, że napisał pan *Nędzników*. Wydawca musiał przez cały tydzień przekonywać pana, by nie próbował pan doprowadzić przed sądem do skazania Victora Hugo na karę chłosty. – Nagle drzwi otwierają się z hukiem, wpuszczając podmuch wiatru. Wejście zasłonił przeraźliwy, prehistoryczny stwór o włochatym, utyłanym w błocie tułowiu. Parę razy chrząknął w języku gliny i krwi. Pani Grzebyk rzuciła mu piorunujące spojrzenie. – Nie próbuj nawet stawiać tych

plugawych stąporów na moim czystym dywanie!

– A witajże mi, Pitekantropusie. – Kozłopis zapomniał o zaginionych kartkach. – Cóż tam masz, drogi towarzyszu?

Pitekantropus otworzył zwiniętą dłoń, podsuwając ja pani Grzebyk. Grudka ziemi, z podwiędniętym delikatnym, białym kwiatem. – No proszę! – zawołał Kozłopis. Śnieżynka ze Śnieżki! We wrześniu! Jaka śliczna! Co za rzadkość!

Na pani Grzebyk nie zrobiło to aż tak wielkiego wrażenia. – Będę wdzięczna, jeżeli te zabłocone zielska będziesz zanosił gdzie indziej! Jak żyję, nie widziałam takiego chama. Zamknij za sobą drzwi! Chcesz, żebyśmy się z panem zaziębili na śmierć?

Pitekantropus zdeprymowany chrząknął i zamknął drzwi.

– Co za dzikus owłosiony – powiedziała pani Grzebyk, szorując rondel po łososiu. – Dzikus! – Kozłopisowi zrobiło się przykro za przyjaciela, ale wiedział, że jak pani Grzebyk nie ma humoru, to lepiej nie wchodzić jej w paradę.

* * *

Budzę się i przed oczyma mam jakiś nieznany sufit. Wymykam się więc w moją zabawę w niepamiętanie. Jestem odrętwiały i w takim stanie chcę pozostać. W niepamiętanie bawię się od czasu, gdy po odejściu Andżu zacząłem dziewięcioletnią tułaczkę po skromnych, wyposażonych w ryżowe futony, gościnnych pokojach u wujków – Eidzi w tym miesiącu jest u nas – i kuzyni, którzy w charakterze ewentualnych argumentów używali głowic jądrowych: – Jak ci się tu nie podoba, to wracaj do domu babki! – Tak czy inaczej, gra polega na tym, by jak najdłużej podtrzymać wrażenie, że się nie wie, gdzie się jest. Liczę do dziesięciu, ale nadal żadnej poszlaki. Noc spędziłem na bufiastej kanapie stojącej pośrodku

pokoju dziennego o pastelowych kotarach zasłaniających wielkie okno w wykuszu.

Na wardze mam ogromny wrzód, zupełnie jakby mnie koń kopnął, gang! Eksplozja ładunku pamięci. Głowy w kręgielni. Widzę Morina, żar cygara. Mongoł na niedokończonym moście. Napinam obolałe mięśnie. Nos i gardło zakorkowane, jak w ciężkim przeziębieniu; ciało jakoś się zbiera na przekór idiotycznemu umysłowi.

Jak długo tak spałem? Kto nakarmił Kotkę? Paczka papierosów marki Lark na stoliczku. Zostały tylko trzy. Wypalam jeden po drugim, zapalając zapałkami.

Mam wrażenie, że moje zęby pokrywa warstwa jakiejś otuliny. Ciepło w tym pokoju. Spałem w ciuchach i kiszę się w kroczu i pod pachami. Powinienem otworzyć okno, ale jeszcze nie całkiem mogę sobie pozwolić na ruch. Gdy tak leżę, nie ma szans, by pojawiło się coś nowego, i zwiększa się dystans między mną a śmiercią trzydziestu, czterdziestu ludzi. Jęczę. Nie mogę opędzić się od widoku tego, co zobaczyłem. To będzie news na skalę kraju, może na skalę międzynarodową. Jakuzą w stanie wojny, aż do nowego roku. Jęczę. Technicy sądowi będą czołgali się po tym pobojowisku z pesetami. Wydział do spraw ciężkich przestępstw będzie przesłuchiwał zakupowiczów z Ksanadu. Dziewczyna zatrudniona w napiętnowanym już salonie paczinko będzie opowiadała reporterom o oszuście podającym się za syna kierownika, który pojawił się tuż przed tym, jak sam Ozaki został wyrzucony z okna drugiego piętra. Policjanci artyści naszkicują portrety pamięciowe. Co ja robię? Co miał do mnie niewidzialny pan Tsuru? Co się stało z Mamą-san z Damy Pik? Nie mam planu. Nie mam papierosów. Nie mam chusteczek, żeby wydmuchać nos. Wsłuchuję się usilnie i

słyszę... nie, kompletnie nic.

Gdyby nie papierosy, żadną miarą nie mógłbym uwolnić się od porannego przygnębienia. Wzmoczone ruchy robaczkowe to jedyny efekt palenia papierosów, o którym nie wspominają połyskujące brązem reklamy. Szkoda, że spałem w dzinsach, ale bałem się rozebrać, na wypadek gdyby ktoś wyważał drzwi i musiałbym je zastawić. Nadal się tego boję. To gorsze od oczekiwania na trzęsienie ziemi. Ale co mam zrobić, gdy okaże się, że słyszę napastnika? Ukryć się? Gdzie?

Nie wiem nawet, co to za dom i ile ma pięter. Wstaję: pierwszy przystanek, toaleta.

Urządzona w japońskim stylu, w kucki; z miseczką zawierającą gorzkie zioła. Nic tylko rodzić – w toaletach urządzonych w zachodnim stylu wzrasta ryzyko komplikacji. Spłuczka systemu Niagara Falls. Nieskazitelnie czysta kuchnia wyłożona terakotą – właściciel lubi gotować, sądząc po książce z przepisami pobrudzonej mąką. Każdy przyrząd kuchenny wisi na swoim miejscu. Przez okno widzę wiatę na samochód i ogród od frontu. Róże, chwasty i karmnik dla ptaków.

Wysoki żywopłot osłania dom z zewnątrz. Szafka na środki higieniczne sprawia wrażenie solidnej, ale jak na kryjówkę za bardzo rzuca się w oczy. Pokój dzienny urządzony jest po japońsku – tatami, buddyjski ołtarz z fotografiami niedawno i dawniej zmarłych, nisza na kompozycje z kwiatów i wiszący na ścianie zwój z tekstem w kandzi, którego odczytanie przyprawiłoby mnie o ból głowy. Żadnego telewizora, stereo ani telefonu – tylko faks na szczycie obszernej półki na książki.

Wśród nich stare, ilustrowane zbiory opowieści. Księżycowa księżniczka, Uraszima Taro, Lis Gon. Ale dzieci chyba nie ma, jak

na to pokój jest chyba za bardzo uporządkowany. Uchylam zasłony. Ogród na tyłach stanowi zapewne powód niemałej dumy i radości właściciela. Staw większy niż u mojej babci – widzę karpia czającego się w zieleni. Spóźnione ważki ślizgają się po rzęsie wodnej. Na wyspie przyczajona kamienna latarnia. Donice z lawendą i wysoki gaj bambusowy, wystarczająco gęsty, żeby się w nim ukryć. Ptasie gniazdo w pomarańczowej skrzynce pocztowej przybitej do srebrnej brzozy. Godzinami można by patrzeć na ten ogród. Odślania się w miarę patrzenia. Nic dziwnego, że nie ma tu telewizora. Idę na górę. Wchodzę bosymi stopami na bujny, śnieżny dywan. Bogata łazienka z kurkami w kształcie koników morskich. Główna sypialnia – wystrój nasuwa myśl o małżeństwie w średnim wieku. Mniejsza sypialnia – wyłącznie dla gości. No tak. Żadnej kryjówki. W przeciętnym domu dobra kryjówka znajdzie się, ale tylko dla kogoś, kto ma co najwyżej dziewięć lat.

Andzu kiedyś wygrała, bo schowała się w pralce. Uznaję, że wycieczka skończona, ale na półpiętrze zauważam jeszcze pokryte listewkami drzwi do szafki. Gałka ich zamka obraca się bezużytecznie, ale drzwi i tak się otwierają. Zamiast półek kryją się za nimi strome schodki. Obok wisi lina z węzłami pomagająca podciągnąć się do góry. Gdy staję na trzecim stopniu, uderzam głową o sufit, który jednak się przesuwają. Naciskam i gdy odchyłam ku górze płytę zapadkowych drzwiczek, otwiera się szczelina dziennego światła. A jednak się pomyliłem. To coś lepszego niż kryjówka. Wchodzę do biblioteki–studia. Nigdy nie byłem w pomieszczeniu tak gęsto zastawionym książkami. Ściany, wieże, aleje, przecznice książek.

Książkowe usypiska i książkowy gruz. W miękkich okładkach i w twardych.

Atlasy, podręczniki, almanachy. Książek na dziewięć wcieleń. Tyle, że z powodzeniem można zbudować z nich igloo i w nim się ukryć. Pomieszczenie przesycone jest zapachem książek. Lustra podwajają ich ilość, podnoszą do trzeciej potęgi. Chiński Mur książek. Jest ich tyle, że aż muszę się zastanowić, czy sam nie jestem książką. Światło wpada przez wysokie trójkątne okno. Z sufitu zwisa pleciana lampa rzucająca cień. Oprócz regałów i wiszących półek jedyny mebel stanowi staromodny sekretarzyk z czworobocznymi otworami na papiery i rachunki. Taki sam miała moja babka. Chyba jeszcze ma. Na sekretarzyku leżą dwa pliki papieru – jeden biały i niezapisany, przypominający nakrochmalone koszule, drugi to rękopis złożony na specjalnej podkładce z laki. Nie mogę się oprzeć.

Siadam i zaczynam czytać.

* * *

Kozłopis pracował od rana, usiłując odtworzyć fragmenty prawdziwie niesłychanej opowieści, wypowiedzianej mu szeptem przed świtem, ale było to tak wyczerpujące, jak tropienie śladów na złomowisku. Pani Grzebyk wygładzała zmięte prześcieradło. Pitekantropus z powrotem zajął się silnikiem szacownego wozu. Kozłopis w końcu wstał od sekretarzyka, żeby sprawdzić w słowniku właściwą pisownię słowa zwitterion, ale jego uwagę przykuło najpierw słowo: arpożyć, a później skusiły go jeszcze durzi i theopneust. Tak zatrzęsnęła się pułapka senności. Kozłopisowi przemknęło jeszcze przez myśl, że jego słownik to jakaś szarlatańska poduszka albo też odwrotnie. Kiedy Kozłopis ocknął się z drzemki i wrócił do sekretarzyka, wydało mu się, że nadal śni. Stronice, które zapisał przed drzemką, zniknęły! Niemożliwe! Pani

Grzebyk przecież w ogóle nie zbliżała się do jego sekretarzyka. Istniało tylko jedno wytłumaczenie.

– Pani Grzebyk, kiedy spałem, miało miejsce włamanie!

Wpadł Pitekantropus z kluczem francuskim w garści.

– Moja prawdziwie niesłychana opowieść, którą zdołałem odtworzyć – ulotniła się!

– Ale jak mogło się to stać, proszę pana? Wieszalam pranie, ale niczego ztem nie zauważyła!

– Być może złodziej był bardzo malutki i udało mu się wejść i wyjść przez rurę wydechową!

To wydało się pani Grzebyk co prawda naciągane, ale wyszła za Kozłopisem i Pitekantropusem, aby obejrzeć tył szacownego wozu. Pitekantropus uklęknął, obwąchał odcisnięty w glinie ślad opon, chrząknął.

– Jakiś gryzoń niemyty? – dopytywał się Kozłopis. – Trochę większy od myszy?

Aha! M–możemy więc stwierdzić, że złodziejem jest jakiś paskudny mały szczur!

Dalej, przyjaciele! M–musimy złapać to bydlę i nauczyć je paru rzeczy na temat praw autorskich! Prowadź, mój drogi Pitekantropusie!

Pitekantropus ze zmarszczoną brwią odcyfrowywał ślady na ziemi. Przez niebo przewaliła się leniwą masą chmura w kształcie kowadła. Ślady prowadziły z ubitej drogi na nie uczęszczaną ścieżkę, poprzez grząską nieckę nad staw wypełniony słonawą wodą z zęzy. Pani Grzebyk pierwsza go zauważyła. – Co to znowu, u licha! – Strach na wróble na szkielecie w kształcie litery „T”, wbity w krawędź grobli, w oplakanym stanie. Oczy i uszy wydziobane, z rany w boku snuły się wiotkie pasma siana, ilekroć

zawiał naprzykrzający się wiatr. Kozłopis podszedł do niego. – Yhm, dzień dobry, Strachu na Wróble.

Strach na Wróble uniósł głowę, wolniej, niż wschodzi księżyc nad skoszoną koniczyną.

– Strasznie przepraszam, że cię niepokoję – zaczyna Kozłopis – ale czy nie widziałeś małego, paskudnego szczura uciekającego z kartkami skradzionego rękopisu?

Usta Stracha drgnęły, słabiej niż przeczenie przebiśniegów. – Dziś...

– Znakomicie! – powiedział Kozłopis. – Możesz mi powiedzieć, którądy uciekł złodziej?

– Dziś jeszcze... zasiądziemy z moim ojcem w Raju...

Dokładnie w tej sekundzie na groblę wskoczyły dwa psy z piekła rodem i zatopiły kły w ciele nieszczęsnego Stracha na Wróble, zdzierając go z jego szkieletu w kształcie litery T i rozszarpując na strzępy. Kozłopis upadł od jednego smagnięcia łapą. Pitekantropus skoczył i porwał panią Grzebyk w ramiona. Ze Stracha na Wróble pozostały tylko przybite do drewna szmaty. Kozłopis usiłował przypomnieć sobie, jak należy i jak nie należy obchodzić się z rozwścieczonymi psami – udawać nieżywego? Patrzyć im prosto w oczy? Uciekać, gdzie pieprz rośnie?

– To go oducz – warczał ważniejszy pies – ujawniania intrygi!

– Co zrobimy z tą trójką, szefie? – zapytał, wężąc pies mniej ważny.

Kozłopis poczuł ich gorące oddechy. – Dobre pieski.

– Gada jak pisarz – warknął pies mniej ważny. – Tak samo śmierdzi. Więc to pisarz.

– Nie mamy czasu – szczeknął ważniejszy pies. – Nasz stwórca odjeżdża!

– Najpierw chcę poćwiczyć na Brodaczu!

Pitekanthropus gotów był bronić swoich przyjaciół, ale psy z piekła rodem wyskoczyły poza brzeg marginesów, pozostawiając po sobie na zasuszonym horyzoncie same kleksy. – No! – wykrzyknęła pani Grzebyk. I wtedy uprzytomniła sobie, że nadal tkwi w ramionach Pitekanthropusa. – Puść mnie w tej chwili, ty wstrętny prostaku!

* * *

Na dole trzaskają drzwi i rękopis znika z pola widzenia. Serce mi dygoce, jakby się ziemia zatrzęsła. Wstrzymuję oddech. Ktoś tu jest. Ktoś przyszedł po mnie. Buntaro już by zawołał. Tak szybko? Jak mnie znaleźli? Mój instynkt samozachowawczy, tak nadszarpnięty przez Morina, teraz mocno daje o sobie znać. Przeszukują pokój dzienny, kuchnię, ogród, zakamarek po zakamarku. Moje skarpetki, pozostawione na kanapie. Paczka po papierosach. Przesunąłem na miejsce płytę zapadkowych drzwi i podciągnąłem linę, ale czy zamknąłem drzwi pokryte listewkami? Mogę się tylko poddać i prosić o litość. Zapomnij o tym.

Jakuza nie zna litości. Ukryj się tutaj, pod książkami. A jeżeli książki się zsuną, będę załatwiony. Czy jest tutaj coś, co mogłoby posłużyć za broń? Nasłuchuję kroków na stopniach – nic. Napastnicy albo pracują w milczeniu, albo też jest tylko jeden. Przyjmuję następującą strategię obronną: nad drzwiami zapadkowymi trzymam trzytomowy Krytyczny przegląd japońskiej powieści w pierwszej osobie – kiedy się otworzą, rzucam i, mam nadzieję przewracam gościa. Skaczę na dół, ląduję na nim – źle ze mną, jeżeli będzie miał pistolet – łamię mu żebra i biorę nogi za pas. Czekam. I czekam. Koncentruję się. Czekam. Czyżby

wystrzał? Od zaplecza zostawiłem uchylone okno – może to tylko wiatr? Skoncentruj się!

Czekam. Nikogo. Bolać mnie ramiona. Nie mogę już wytrzymać.
– Halo?

Nawałnica przemocy nie nadchodzi.

Napędziłem sobie stracha zmyśloną przez siebie samego opowieścią. Źle ze mną.

Późnym popołudniem schodzę na dół. W szafce gościnnej sypialni znajduję jakieś prześcieradła i ręczniki, i układam je na półko–drabince za drzwiami pokrytymi listewkami, mając nadzieję, że napastnik pomyśli, iż to tylko bieliźniarka. Zbieram wszystkie swoje rzeczy i wrzucam do plastikowej torby pod zlew. Muszę zatrzeć wszelkie ślady, jakie pozostawiłem. Powinienem być już chyba głodny – kiedy ostatni raz jadłem? – ale żołądek jakby mi gdzieś przepadł.

Chce mi się palić, ale nie ma mowy, żebym ryzykował wyjście. Przydałaby się kawa, ale natrafiam tylko na zieloną herbatę. Nastawiam czajnik. Wydmuchuję nos – słuch mi wraca, ale nos ponownie się zatyka – otwieram okno w wykuszu i stojąc na stopniu, popijam herbatę. W stawie karp to wypływa, to chowa się pod wodę.

Małe wiry wiercą, ale i tak nie przebiją ciekłego nieba. Ptak o rubinowym podgardlu nasłuchuje, czatując na dżdżownice. Obserwuję mrówki. Cykady cykcykcykcykcykają. Żadnego zegarka w tym domu, nawet kalendarza. W ogrodzie jest zegar słoneczny, ale dzień zbyt mglisty, żeby cień było wyraźnie widać. Czuje się trzecią. Lekki wiaterek szemrze i szeleści w bambusowych liściach.

Nad stawem unosi się rój komarów. Popijam herbatę. Nie

wyczuwam smaku na języku. Przyjrzyj się sobie. Cztery tygodnie temu płynąłem porannym promem do Kagoszimy z drugim śniadaniem w pojemniku przygotowanym przez Ciotkę Pomarańczę. Byłem pewien, że zanim tydzień upłynie, odnajdę ojca. No i popatrz, kogo, co znalazłeś. Same nieszczęścia. Lato przepadło, a wraz z nim wszystko inne. Piszczy sygnał faksu. Podskakuję i rozlewam herbatę. Wiadomość od Buntara, że będzie tu około szóstej, jeśli nie utknie w korku. Jak taka szósta ma się do teraz? Godziny usensowniają się tylko w odniesieniu do innych godzin. Nad faksem wisi oprawione w ramkę z muszli zdjęcie podstarzałej pary, może pięćdziesięciolatek. Domyślam się, że to właściciele tego domu. W jasny dzień, siedzą w cieniu przy stoliku do kawy. On za chwilę wybuchnie śmiechem, słysząc coś, co ona właśnie powiedziała. Bada moją reakcję, chcąc sprawdzić, czy naprawdę rozbawiła mnie jej historyjka, czy też tylko śmieję się przez grzeczność.

Dziwne. Jej twarz wydaje się bliska, niezdolna do kłamstwa. – To prawda – mówi – już się spotkaliśmy. – Patrzymy na siebie jeszcze przez chwilę, potem wracam na chwilę do jej ogrodu, tam gdzie ważki przeżywają całe swoje życie.

* * *

– Czy jesteś całkowicie pewien, m–mój drogi kolego – rzucił Kozłopis – że ślady urywają się w tym miejscu, gdzie murawa jest zmierzwiona? – Pitekantropus, mrużąc, przytaknął, odmierzył jard i podniósł coś z ziemi. – Ości łososia! – zaskrzeczała pani Grzebyk. – Jestem wobec tego zmuszony stwierdzić – powiedział Kozłopis – że zagoniliśmy zwierzynę do jej nory.

– Jedna ohyda – powiedziała pani Grzebyk – a na dodatek istny

smród. – Po bliższym zbadaniu okazało się, że jest to starannie zmajstrowane mieszkanie – cegły z puszek, rondli i popstrzonych butelek, a zaprawa z ziemniaczanych obierzyn, łusek ciemnego ryżu i ulotek: „Głosuj na mnie”. Błotnik od roweru sterujący w górę jak szlaban otwierał wejście do jamy czarnej jak płaszcz nieprzemakalny. Kozłopis zerknął do środka. – A więc włamywacz przemieszkuje w tej ruderze śmierdzącej starym serem.

– Ruderze? – usłyszał w odpowiedzi salwę wściekłej tyrady – Zostaw moją ruderę w spokoju i wypchaj się swoim przeżartym przez rdzę starym samochodem!

– Aha! Więc jesteś u siebie, złodzieju! Oddaj mi natychmiast mój rękopis!

– Spadaj na daleką wycieczkę, ciemniaku!

– Wody z mydłem! – wyrzuciła z siebie, łapiąc powietrze, pani Grzebyk.

Kozłopis nastroszył się. – Zły duchu, tu są damy!

Z otworu wyłoniła się maleńka rączka i błysnęła palcem. – Jeżeli ta koścista ptica jest „dama”, to ja jestem Frank Sinatra! Ostrzegam cię, jak nie brykniesz stąd w podskokach, zanim doliczę do pięciu, to dam ci takie baty za nachodzenie, że nie połapiesz się, gdzie są twoje myśli z wtorku!

– Przestrzeganie prawa! W rzeczy samej. To najbardziej paląca kwestia!

Włamałeś się do naszego szacownego wozu i skradłeś zanzibarskie łososie oraz m–moją prawdziwie niesłuchaną opowieść! Ponadto, na Girtona, nie zamierzamy wracać z pustymi rękami!

– Oooo, groźba! Już godzi w mój kobzikombinezon!

Pitekantropus chrząknął niecierpliwie, podszedł do sterty

śmieci i odgarnął czubek tworzącego ją stożka. W środku siedział przestraszony szczur, który w sekundę stał się szczurem wściekłym.

– Czyś ty jest stuknięty? O mały włos nie rozwaliłeś mi czaszki, ty zaświerzbiony neandertalczyku!

Kozłopis przyjrzał się przez binokle. – Nadzwyczajne – złodziej jest najwyraźniej krewnym mus musculus domesticus.

– Nie jestem żadnym domowym czymś tam, śmieciu! Jestem Jedynym, niepowtarzalnym SkatoSzczurem! Tak, tak skosztowałem twoich zapleśniałych łososi – gdzie jest ten wielki bzdet, panie Ed? Ale nigdy nie zwędziłem żadnych historyjek. Do zamiatania mojej nory mam „Japoński Naukowy Tygodnik Wielorybniczy”. I przysięgam: jeszcze raz zniesławisz moje dobre imię, a mój prawnik cię pozwie!

– Środki higieniczne! Detergenty! – pani Grzebyk zatkała uszy.

SkatoSzczur krzyczał jeszcze głośniejsze. – Pilnuj swoich latek, a nie wielkości jajek! Znajdujesz się w świecie realnego marginesu! – SkatoSzczur zasalutował jednym palcem. – Szczury never! W Jedności niepodzielni! My nie, my nie, my nie, my nie, my nigdy nie poddamy się! – mówiąc to, gryzoń zniknął w przydennej partii trzewiów swojej pirryjskiej sterty.

Pitekanthropus chrząknął pytająco.

– Zgadza się, proszę pana – powiedziała pani Grzebyk. – Nieprzejmowanie się należy obrócić w przejmowanie się.

Kozłopis potrząsnął smutno głową. Dokuczał mu artretyzm. – Oczywiście, przyjaciele, SkatoSzczur jest typem nad wyraz nieprzyjemnym, ale brak m–manier nie jest zbrodnią. Obawiam się, że tajem–mnica m–mojego zaginionego rękopisu pozostanie z konieczności tajemnicą nierozwiązaną. Wracajmy do naszego

szacownego wozu. Sądzę, że w nocy opuścimy m–marginesy.

* * *

Zapada wieczór, więc wyłączam wszystkie światła i czekam na Buntara w kuchni – żeby nikt nie dowiedział się, że tu jestem, żebym mógł widzieć, jak Buntaro przyjeżdża, i żebym go z nikim nie pomylił. Wpatruje się w spiralę na ściennych kafelkach, a minuty snują się i mijają. Wreszcie błyskają reflektory samochodu Buntara, skręcającego na podjazd. Buntaro istniejący gdzieś indziej niż za ladą Mknącej Gwiazdy nadal wydaje mi się czymś dziwnym. Nienawidzę uzależnienia od potrzeb. Ostatnie dziewięć lat spędziłem na próbach ich uniknięcia – potrzeby wielkoduszności, życzliwości, przywiązania, sympatii, pieniędzy. I oto znowu je mam. Otwieram zamek frontowych drzwi. – Cześć.

– Przepraszam za spóźnienie. Straszne korki. Gorączka ci przeszła?

– Zrobiło się z niej przeziębienie.

– To dlatego tak skrzeczysz jak papuga. Masz, kupiłem ci awaryjnie sześć opakowań gotowego Ebisu Export i Hokka–Hokka. Zjedz to, zanim wystygnie i zaczniesz smakować przypominać to, z czego to zrobili. – Podaje mi torbę, a sam wyskakuje ze swoich sandałów. – I jeszcze papierosy. Nie byłem pewien, co palisz, więc kupiłem peace’y.

– Dzięki... przepraszam, ale straciłem apetyt.

– Jakoś to przeżyję. Mam nadzieję, że wściekły głód nikotynowy ci nie minął?

– Peace’y są świetne.

– Co ty siedzisz tak po ciemku?

– Bez powodu. – Zapalam światła, gdy przechodzimy do pokoju

dziennego.

– Oooo! – Buntaro patrzy na moje podbite oko. – Pięknie! – Kto pilnuje Mknącej Gwiazdy?

– Moja żona. A niby kto ma pilnować?

– Ale ona nie powinna się przemęczać. To znaczy skoro, yyy, jest w ciąży.

– Mało, że w ciąży – do tego się nudzi. Faktem jest, że rano mieliśmy małą awanturę. Ona twierdzi, że już ma dość traktowania jej jak niepełnosprawnego wieloryba i że jeżeli jeszcze raz zobaczy w telewizji całodzienny program o tym, jak przerabiać butelki po stymulantach na tradycyjne lalki, to kupi sobie pistolet.

Jeśli się zastanawiasz, to owszem, wie, co się stało. Ale co najlepsze, wygląda na to, że jest jedyną osobą na całym świecie, która naprawdę wie.

– Co?

– Ani słowa w wiadomościach. Tak samo w gazetach.

– Niemożliwe.

Buntaro wzrusza ramionami. – Chłopcze, to w ogóle nie miało miejsca.

– Miało.

– Nie, jeżeli nie miało miejsca w wiadomościach.

– Ale ty mi wierzysz?

– No masz! Przecież tłułem się po nocy, idioto.

– A to wszystko – broń, wybuchy?

– Wycięte przez cenzurę. Albo nawet uprzątnięte, zanim policja cokolwiek zwęszyła. Jakuzi jak nasra, to posprząta, choćby dlatego, żeby ukryć, ile zre. Ciesz się, chłopcze. Przynajmniej mamy o jedno zmartwienie mniej.

– No a kierownik salonu paczinko?

– Kto wie? Wypadł przez okno, jak zmieniał żarówkę.

Wychodzimy i palimy na stopniu. Mrok pierzcha, jak się pluskał, tak się pluska.

Gaszę światła, żeby owady nie zlatywały się do domu. Żaby rechoczą i skrzeczą. – Czym się różnią żaby od ropuch, wychowanku wsi? – Pyta Buntaro.

– Ropuchy żyją wiecznie, a żaby skaczą i ich nie ma.

– I moje podatki szły na twoją edukację.

– Buntaro, jeszcze jedno. Pamiętasz, mówiłeś mi o kotce...

– Ten zwierzak? Tak, zdążyły się już w najlepsze zaprzyjaźnić z moją żoną.

Przyszłość ma zapewnioną. Pora nakarmić rybki. – Wchodzi do środka i wyłania się z pudełkiem pokarmu, który zalatuje dokładnie tak samo jak gotowe Hokka–Hokka. Szczypta po szczypcie na zmianę wrzucamy karmę do stawu. Karp uderza w wodę i siorbie.

– Buntaro, chcę ci naprawdę podziękować.

– Za karmę? Tania jak barszcz.

– Nie mówię o karmie.

– A, papierosy. Później mi oddasz. Poddaję się.

GŁODNE MIASTO

Pani Grzebyk ostatnie jajo zносиła przez tydzień. Otuliła je ligniną, umieściła razem z innymi w plecionym koszyku i przykryła wszystko serwetką do herbaty.

Potem jeszcze raz przeleciała listę zakupów: druty dziewiątki do robótek, płyn przeciwko gnidom, indiański inkaust indygo, polski poler, zanzibarski marcepan, dwie kanki kanadyjskiego

dziekańskiego kandyzu. Pukanie do drzwi, po którym rozlega się „Yhm” Kozłopisa.

– Tak, proszę pana?

Otworzyły się skrzypiące drzwi i pojawił się Kozłopis Mrużący oczy zza okularów. – Przypuszczam, że znowu m–mamy dzień targowy, pani Grzebyk?

– Tak, proszę pana. Wychodzę, żeby sprzedać jajka.

– Znakomicie, znakomicie. Wyczuwam niniejszym zniewalający wolumin nowel. Pomyślałem, że może zabrałaby pani ze sobą jeden z m–moich tomów na targ i zobaczyła, czy nie pojawi się handlarz opowiadaniem. Nigdy nie wiadomo.

Podąż, popyt i tak dalej...

– Bezwzględnie, proszę pana. – Pani Grzebyk nie miała za bardzo przekonania, ale nie chciała zranić uczuć Kozłopisa, więc wsunęła książkę do kieszeni fartucha.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wtargnął wiatr. W przedsionku stał Pitekantropus i zadał pani Grzebyk pytające chrząknięcie. – Tak – odpowiedziała. – Właśnie wychodzę, ale ty nie, nie możesz pójść ze mną: nie mogę pozwolić, żebyś wystraszył wszystkich klientów, jak wtedy na Marakeszu pod moczarami. – Pitekantropus chrząknął prosząco i otworzył przed panią Grzebyk zamknięte dłonie. Omal nie upuściła koszyka. – Dżdżownice! W moim buduarze! W tych okolicach ludzie się szanują i byle czego nie jedzą! Dżdżownic się nie jada! Jak w ogóle mogło ci przejść przez myśl, żeby te oślizgłe stworzenia położyć obok tych ślicznych jajek! Natychmiast się stąd zabieraj! Cham!

Ach, moje wyblakłe fiupiórka! – myślała pani Grzebyk, brnąc przez przeklęty upał. Cóż się tu stało? Taki piękny ongi pejzaż, a teraz martwe albo usychające uprawy, drzewa ogołoczone albo

rozdarte, spłowiała, wypalona ziemia usiana dziobami lejów. Czerwone od gorąca pogrzebaczki wystawały przez otwory po uranowych pokrywach, stercząc męskością z zardzewiałych pojemników. Osty strzelały. Ścieki leniwie ciekły do otoczonego kolczastym drutem bagniska. Unosił się taki fetor, że pani Grzebyk musiała nos zasłonić szalem. – Do licha!

Nagle niebo rozdarł przeraźliwy gwizd. Pani Grzebyk ledwo zdążyła osłonić swój bezcenny koszyk z jajami i wtulić uszy w ramiona, gdy nastąpiło uderzenie fali dźwiękowej, której podmuch podwiał jej fartuch na głowę i nadał pantalonny.

Fala wstrząsu opadła. Pani Grzebyk rozejrzała się i podniosła. Spojrzała do góry i oczom jej ukazał się osobliwy widok – zobaczyła hippisa na psychodelicznej desce surfingowej, który spadał z nieba, i to prosto na nią! Popisując się refleksem, zgarnęła swój koszyk i trwożliwie skryła się za ogromną beczką z napisem „Czynnik Pomarańczowy”. Hippis, rozpędzony do granic możliwości, uderzył całym impetem o ziemię. Rozległ się huk i z leja powstałego w miejscu zderzenia posypał się grad kamieni. Pani Grzebyk czekała, aż opadnie kurz, za bardzo sponiewierana, aby wydusić z siebie, czy bodaj pomyśleć, jakieś słowo. Usłyszała jęk dobiegający z leja. – Orany! – Hippis podciągnął się do krawędzi. Rude dredy, zapięte wokół głowy okulary przeciwsłoneczne, przekrzywiona aureola. – Rany. – Na widok pani Grzebyk ułożył palce w znak pokoju. – Dzień dobry pani. Pani Grzebyk odzyskała mowę. – Ale też paskudny upadek.

– Cholerne upiory! Zdmuchnęły mnie jak nic! Nawet nie zauważyłem, jak nadlatują. Pewnie zbombardują miasto, jeżeli nie znajdą lepszego celu. Amunicja jeszcze jest, to muszą ją zużyć.

– Doznał pan jakiegoś złamania?

– Dziękuję za troskę, tylko moja duma ucierpiała. Wie pani, jestem nieśmiertelny.

– Słucham?

– Nieśmiertelny. Nazywam się Bóg. Bardzo przyjemnie było mi panią poznać.

To wytrąciło panią Grzebyk z równowagi. Może powinna dygnąć? – Miło mi, oczywiście. Ale czy nie powinien pan jakoś zareagować, skoro miasto ma zostać zbombardowane? – Wzruszył ramionami. – Swego czasu zgłosiliśmy nasze boskie weto przeciwko wojnom, ale władze wykonawcze stopniowo się wykruszyły i dzisiaj nikomu przez myśl nie Przejdzie, żeby przynajmniej zasięgnąć u nas opinii.

– Dziwne... czy mogę wobec tego spytać, co trzeba uczynić, żeby powstrzymać wojnę?

Bóg zrobił taką minę, jakby sam nie wiedział. – Droga pani, prawdę powiedziawszy, nigdy nie chciałem być bogiem. Tatuś nalegał, poszło po rodzinie i tyle. Przepadłem w Ivy League skupiającej boskie kolegia i skończyłem w Kalifornii. – Boga zaczęła ogarniać narastająca nostalgia. – Wysoka fala, złoty piasek i laseczki! Laseczki... Boska interwencja była w programie obowiązkowa, ale ja większość wykładów opuszczałem, czekając na Wielką Falę! Zakończyć wojny? Toż to jak spluwaczka oblepiona sosem guacamolo. Tak więc skończyłem studia z haniebną trzecią lokatą, a jedyne, czego się nauczyłem, to szwindel z przemianą wody w wino. Tatuś próbował jakoś załatwić, ale tak między nami, proszę pani, niebo – tu Bóg ściszył głos – to po prostu synonim nepotyzmu. W Złotym Mieście masoneria nabiera charakteru systemu, w którym o wszystkim decydują zasługi. To, co wiesz, sprowadza się do tego, kogo i skąd znasz. Kumple

Wszemocnego opowiadają się za stabilnymi demokracjami, a ponieważ nie mamy wpływu, więc nie wyjeżdżamy z misjami pokojowymi na tereny ogarnięte wojną. Przepraszam, którą ma pani godzinę?

Pani Grzebyk sprawdza na swoim zegarku. – Za dwadzieścia pięć jedenasta.

– Ja cię kręcę! Miałem odnieść kasety do wypożyczalni, inaczej znowu mi policzą karę! – Bóg strzelił na palcach i deska wylewitowała z krateru. Wskoczył na nią i pomachał okularami. – Strasznie się cieszę, że mogłem z panią spędzić trochę czasu. Jeżeli będzie pani miała kłopoty, proszę machnąć skrzydłem i pomodlić się!

– Przykucnął w pozycji kung-fu i odpłynął. Pani Grzebyk patrzyła, jak bóstwo zmniejsza się i znika. – Tak. No cóż, oddechu nie będę wstrzymywała.

* * *

Obudziłem się z wrzaskiem w mglistym półmroku – pochyła się nade mną starsza kobieta w czerni. Dostaję jakiegoś napadu i leczę z kanapy. – Spokojnie, dziecino – mówi starsza kobieta – spokojnie. Coś ci się śniło. To ja, Sasaki, ze stacji Ueno. – Pani Sasaki. Uspokajam się, biorę oddech, robię wydech. Pani Sasaki? Mgła pierzcha. Pani Sasaki uśmiecha się, potrząsając głową. – Przepraszam, że cię tak nastraszyłam. Witam z powrotem wśród żywych. Buntaro pewnie zapomniał ci powiedzieć, że wpadnę dzisiaj rano, zgadza się?

Zwalniam napięte mięśnie i głęboko oddycham. – Dzień dobry...

Stawia na podłodze sportową torbę. – Przyniosłam ci parę rzeczy z twojego pokoju. Pomyślałam, że dzięki temu będzie ci się

tutaj wygodniej mieszkało.

Gdybym wiedziała o twoim podbitym oku, przyniosłabym ci okład. – Głupio mi, że pani Sasaki widziała mój bałagan. – Nie ukrywam, że miałam nadzieję, że już będziesz na nogach. Dlaczego nie spałeś w pokoju gościnnym, głuptasie?

W ustach czuję niesmak. – Tutaj chyba czułem się bezpieczniej. Skąd pan Runtaro znał pani numer telefonu w Ueno? I skąd pani zna Buntara i Mknącą Gwiazdę?

– Jestem jego matką. – Pani Sasaki uśmiecha się, widząc moje zdumienie. – Tak to już jest, że każdy z nas ma gdzieś matkę. Nawet Buntaro.

Wszystko jakoś zaczyna się składać. – To dlaczego nikt z was o tym nie mówił?

– Bo nie pytałeś.

– Nigdy nie miałem okazji, żeby zapytać.

– A my mieliśmy, żeby ci powiedzieć?

– A sprawa mojej pracy?

– Buntaro umówił cię na rozmowę, ale pracę zdobyłeś sam. Nic z tych rzeczy.

Twoją pozycję w Ueno omówi my przy śniadaniu. Nie wszystko naraz. Po pierwsze, musisz się umyć i ogolić. Wyglądasz, jakbyś spędził tydzień z bezdomnymi w parku Ueno. Najwyższa pora, żebyś przestał się wałęsać.

Weźmiesz prysznic, a ja coś ugotuję – i chyba zjesz więcej niż ja. Co to za sens ukrywać cię, skoro urządzasz strajk głodowy?

Pod prysznicem siedzę całe wieki, dopóki ciepło nie dotrze do szpiku, a koniuszki palców nie pomarszczą się. Trzykrotnie od stóp do głów namydlam się szamponem. Kiedy wychodzę, czuję się lżejszy i nawet z przeziębieniem jest lepiej. Teraz golenie.

Szczęściarz ze mnie, golić się muszę tylko raz w tygodniu.

Chłopaki z mojej klasy w ogólniaku z dumą opowiadali, jak często muszą się golić, ale ja wolę robić setki innych rzeczy niż szarpać stalowym ostrzem mieszki włosowe na twarzy. Niemniej jednak sugestia ze strony pani Sasaki zabrzmiała ni mniej, ni więcej tylko jak polecenie. Maszynkę do golenia dostałem parę lat temu od Wuja Kasy, ale Wuj Asphalt roześmiał się, jak ją zobaczył, i powiedział, że prawdziwi mężczyźni używają brzytwy. Tymczasem ja nadal używam swojego pierwszego opakowania jednorazówek Bic. Spryskuję się zimną wodą i płuczę ostrze zimnym strumieniem – Wuj Asphalt twierdzi, że zimno hartuje brzytwę i sprawia, że jest ostrzejsza. Myślę o nim za każdym razem, gdy się golę.

Rozprowadzam po twarzy żel Blue Ice, szczególnie traktując bruzdę między górną wargą a nosem – dlaczego to nie ma jakiejś specjalnej nazwy? – oraz policzek i zawias dolnej szczęki, gdzie zazwyczaj się zacynam. Czekam, dopóki żel nie zacznie piec. Potem zaczynam od płaskich powierzchni obok uszu, gdzie szczypie najmniej. Właściwie chyba nawet lubię tego rodzaju ból. Szarpania, wyrywania z korzeniami. Niekiedy ból najlepiej przeczucić, wgrzyzając się w niego. Teraz koło nosa. Auuu! Spłukuję, paskudna szczecina, poluję na nią aż do dziurek.

Trochę chłodniejszej wody. Obmacuję podbite oko, tak że aż boli. Czyste bokserki, koszulka, spodenki. Czuję zapach jedzenia. Schodzę na dół i z powrotem wkładam do torby przybory do golenia. Rzucam okiem na panią z fotografii w ramce z muszli. – I co, teraz lepiej? Niepotrzebnie się martwisz. Tutaj jesteś całkowicie bezpieczny. A teraz opowiedz, co się stało. Opowiedz mi swoją przygodę. No, śmiało. Opowiadaj.

Mongoł rozpląnął się w rozrzedzonym powietrzu. Płonące

cadillaki wybuchły nową salwą. Byłem kompletnie zdezorientowany i wiedziałem, że jak najprędzej muszę się stamtąd wyrwać. Ruszyłem truchtem przez most. Nie biegiem – wiedziałem, że mam przed sobą długą noc. Nie spojrzałem już w dół ze skarpy i nie oglądałem się za siebie. Nawet mnie nie korciło. Słup gęstego dymu splatał się z gryzącymi wyziewami. Chciałem zamienić się w maszynę produkującą odległość.

Przebiegłem sto kroków, sto przeszedłem, i tak na zmianę po obwodnicy, obserwując w świetle księżyca dystans dzielący mnie od samochodów. Gdyby coś nadjeżdżało, mógłbym ukryć się za obwałowaniem – stok zbudowano z tych betonowych prefabrykatów z wielkimi otworami. Strach, wstrząs, wina, ulga: żadnego z tych dających się przewidzieć uczuć nie doznawałem. Gwiazdy bledły.

Strach, że mogę zostać złapany i powiązany ze zbrodniami dokonanymi na odzyskanej ziemi, wyzwolił we mnie pokłady sił życiowych, dzięki czemu utrzymałem swoje tempo sto na sto – do zakrętu, gdzie obwodnica przechodzi Przez blokadę i dalej biegnie do głównej drogi wzdłuż wybrzeża prowadzącej do Ksanadu. Świt rozpalał niebo na horyzoncie i ruch na głównej przelotówce w kierunku Tokio gęstniał. Biała tabletką księżyca rozpuszczała się w ciepłym poranku. Kierowcy i pasażerowie patrzyli na mnie wytrzeszczonymi oczami. Nie jest to droga, na której ujrzyć można pieszych – żadnego chodnika, a jedynie zwał usuniętego nadkładu – pewnie tłumaczyli sobie, że uciekłem z domu wariatów.

Myślałem o złapaniu stopa, ale uznałem, że w ten sposób mógłbym zwrócić na siebie uwagę. Jak bym się wytłumaczył, że co tam robię? Usłyszałem syreny nadciągającej kawalkady samochodów policyjnych. Na szczęście akurat mijałem rodzinną restaurację, więc ukryłem się w wejściu i udawałem, że telefonuję.

Pomyliłem się – nie policja, a tylko dwie karetki. Co miałem zrobić? Gorączka łupała mi w głowie jak bębenek taiko. Nie miałem żadnego planu działania, prócz tego, by zadzwonić do Buntara i błagać go o pomoc, ale on do Mknącej Gwiazdy przyjdzie dopiero o jedenastej, a ja nie mam jego domowego numeru, a do tego obawiałem się, że wywalił moje rzeczy na ulicę, gdy się dowiedział, w jakim towarzystwie się obracam. – Nic ci nie jest, kochanie? – zapytała kelnerka zza kasy.

– Może potrzebujesz czegoś na to oko? – Spojrzała na mnie tak życzliwie, że o mało się nie rozryczałem; by tego uniknąć, musiałem z miejsca jak cham bez słowa odejść. Zazdroszczę jej synowi. Droga biegła przez tereny przemysłowe – w końcu znalazł się jakiś chodnik. Nagle wyłączyły się wszystkie latarnie. I już tylko same zespoły fabryczne. Każdy z nich produkuje coś dla innych fabryk: stojaki, opakowania, skrzynie biegów do wózków widłowych. Bębnienie uspokajało się, ale za to gorączka zamieniała w parę zawartość mojej czaszki. Byłem kompletnie skonany. Powinienem wrócić do rodzinnej restauracji, pomyślałem, i paść bez sił u stóp anioła miłosierdzia. Paść? Szpitale, lekarze, pytania? Dwudziestolatki nie padają. Zresztą, restaurację miałem daleko za sobą. Przed fabryką blaszanych paneli stała ławka. Nie wiem, kto ją tam postawił, ale z głęboką wdzięcznością usiadłem w cieniu gigantycznego trenera w ciuchach Nike. Nienawidzę tego świata. NIKE. NIK MAHTY. Za porośniętym chwastami ugorem widzę Ksanadu i Walhallę. Wielki krąg. Odgłos strzału z pistoletu, który gdzieś wypalił, i pojawiające się słońce. Ruszyło. Odezwał się ptak – najpierw długi gwizd w ludzkiej tonacji i wreszcie eksplozja ptasich notacji. I znowu. Identyfikacyjny ptak żyje na Jakuszimie, słowo daję. Zmusiłem się, by wstać i ruszyć gdzieś dalej od Ksanadu,

gdzie mógłbym przespać się w jakimś klimatyzowanym pomieszczeniu do chwili, gdy uda mi się zadzwonić do Mknącej Gwiazdy. Zmuszałem się, ale moje ciało odmawiało posłuszeństwa. Zatrzymał się przejeżdżający biały samochód. Pibip, pibip. Pipczący biały samochód. Zjeżdżaj. Otworzyły się drzwi i z kokpitu nad miejscem dla pasażera wychyla się kierowca. – Słuchaj no, chłopcze, nie jestem Zizzi Hikaru, ale jeżeli nie masz lepszej propozycji, to może wskoczysz i zabierzesz się ze mną. – Dopiero po jakiejś chwili uprzytomniłem sobie, że kierowca to Buntaro we własnej osobie. Wymizerowany, znękaný Buntaro. Byłem za bardzo wyczerpany, żeby zastanawiać się, jak, kto, kiedy i dlaczego. Zasnąłem w ciągu trzydziestu sekund.

* * *

Plac targowy tworzył labirynt kamienistego rumowiska przechodzącego w ogołoconą z drzew skarpe. Na wzgórzu zniszczony w bezpośrednim ataku meczet z wybebeszonymi wnętrzościami i wyrwanymi przez wybuch oknami. Budynek spoglądał ślepyimi otworami na miasto. Powywracane, złupione tramwaje. Porzucone dzieci leżące na poboczach: wokół sterczących kości strzępy pomarszczonej skóry. Muchy wypijające ciecz z ich kanałów łzowych. Sępy krążące tak blisko, że można usłyszeć szum ich piór, i hieny Podkradające się do wnętrzości. Obok przemknął biały dżip z organizacji pokojowej, trzaskając zdjęcia i robiąc migawki dla wiadomości. Omal nie przejechał pani Grzebyk. Pani Grzebyk podeszła do ogromnej statuy wznoszącej się nad ruinami. Ukochany komendant – głosił napis na płycie W cieniu statuy jakiś mizerak piekł nad ogniem dżdżownice dla rodziny. Bryłowaty, bombastyczny, brzuchaty dyktator nacierający krzaczastymi

brwiami stanowił całkowite przeciwieństwo siedzącego niżej mizeraka, którego szkielet przypominał odarty z okrycia, poskręcany stelaż. – Przepraszam – powiedziała pani Grzebyk – szukam rynku.

Mizerak spojrział na nią groźnie. – Właśnie na nim pani stoi.

Pani Grzebyk uświadomiła sobie, że mężczyzna mówi całkiem poważnie. – Ten ugór?

– Jest wojna, proszę pani, jeżeli pani jeszcze tego nie zauważyła!

– Ale ludzie chyba cały czas muszą jeść?

– A niby co? Jesteśmy oblężeni.

– Oblężeni?

Mizerak pomachał dyndającą dżdżownicą przed ustami swojego syna, który delikatnie zdjął ją z pałeczek i bez specjalnego wrażenia przeżuł. – To, co nazywają „oblężeniem”, „sankcjonuje” to, co się dzieje. Takie słowo łatwiej przełknąć.

– Dziwne... między kim a kim, mianowicie, ta wojna?

– Ciii! – Mizerak rozejrzał się. – To tajemnica! Aresztują panią za zadawanie takich pytań!

– Zapewne pan wie, skoro żołnierze ze sobą walczą?

– Żołnierze? Oni w ogóle ze sobą nie walczą! Jeszcze zrobiliby sobie krzywdę!

To dżentelmeńskie porozumienie – żadnego strzelania do munduru. Celem wojny jest wybicie jak największej ilości cywili.

– Potworność! – krzyknęła pani Grzebyk i następnie powiedziała rzecz dość niemądrą. – Wygląda na to, że tak nie zdołam sprzedać jajek.

Otworzył się z trzaskiem worek po nawozie i wyczołgała się żona mizeraka. – Jajek? – Mizerak próbował ją uciszyć, ale ona rozwrzeszczała się. – Jajka! – Słowo rozprzestrzeniające się jak fala

uderzeniowa wstrząsnęło atmosferą spokojnego południa. – Jajka! – Z kanałów powyłaziły bezrękie sieroty. – Jajka! – Stare kobiety stukwały w puszki. – Jajka! – Groźny tłum okrążył statwę. Pani Grzebyk usiłowała zapanować nad sytuacją. – No, no, nic trzeba aż... – Tłum zafalował, nad panią Grzebyk rozszalał się huragan podjudzanych pokrzykiwaniem i pohukiwaniem rąk i porwał jej koszyk. Tłum szalał. Pani Grzebyk kwiknęła przerażona, gdy jej jajka wysypały się i zostały utarte pod stopami – skorupy wraz z białkiem i żółtkiem.

Pani Grzebyk zatrzepotała i uniosła się nad tłum – nie latała od czasu, gdy była małym kurczakiem, i w powietrzu mogła utrzymać się zaledwie przez kilka sekund.

Jedynym w pobliżu miejscem przypominającym grzędę były drażkowate wąsy ukochanego komendanta. Tłum patrzył na nią ze zgrozą. – Ona lata! Latająca dama!

– Tylko niewielka częśćka tłumu była na tyle blisko, żeby walczyć o rozsmarowane gluty po potłuczonych jajach. Pozostali patrzyli na panią Grzebyk. Jakiś chłopczyk odezwał się pierwszy. – To nie jest żadna dama!

– Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nią jestem! – odparowała pani Grzebyk. – Mój ojciec rządził grzędą!

– Damy nie latają! To kura!

– Jestem damą!

Słowo pochłonęło głodujące miasto, tak jak szalejący pożar pochłania gąszcz ciernistych krzewów. Nie „dama”, nie „kura”, lecz: „Kurczak! Kurczak! Kurczak!”.

* * *

Pani Sasaki nalewa chochlą zupę miso z garnka do lakowej

miseczki. Ryba koiuaszi i kostki tofu. Andżu uwielbiała koiuaszi – w taki sposób podawała ją nasza babka. Pasta miso musuje jak osady w morskich głębinach. Żółte pikle z daikonu, kuleczki ryżowe z łososiem zawijane w morskie rośliny. Istna uczta. Ja w swojej kapsule żyję na tostach i jogurcie, zakładając, że odpowiednio wcześnie wstanę: za dużo z tym kłopotu. Wiem, że powinienem być głodny jak wilk, ale apetyt nadal drzemie. Jem, żeby zrobić przyjemność pani Sasaki. Kiedy Cezar, pies mojej babki umierał, to też tak jadł, żeby babce zrobić przyjemność. Proszę pani, chciałbym o coś zapytać.

– No, wyobrażam sobie.

– Gdzie ja jestem?

Pani Sasaki podsuwa mi miseczkę. – Nie zapytałeś Buntara?

– Wczoraj cały dzień był nie taki, nie byłem w stanie zebrać myśli. Ani trochę...

– No więc przebywałeś w domu mojej siostry i szwagra.

– Czy to ta para na zdjęciu w ramce z muszli nad faksem?

– Tak. Osobiście zrobiłam to zdjęcie.

– Gdzie teraz są?

– W Niemczech. Jej książki bardzo dobrze się tam sprzedają, toteż wydawca zorganizował jej literacką podróż. Jej mąż jest badaczem języków europejskich, więc kiedy ona wypełnia swoje pisarskie obowiązki, on myszkuje po bibliotekach uniwersyteckich.

Siorbię swoją zupę. – To ciekawe. Pisarka? Czy pani siostra pracuje na poddaszu?

– Woli „bajkopisarka”. Ciekawa byłam, czy znajdziesz studio.

– Mam nadzieję, że nic złego nie zrobiłem, wchodząc na górę. Nawet, yyy, zacząłem czytać takie opowiadania, które znalazłem na biurku.

– Nie sądzę, żeby siostra miała coś przeciwko temu. Nieczytane opowiadania przestają być opowiadaniem.

– Pani siostra musi być niezwykłą osobą.

– Kończ te kuleczki ryżowe. Dlaczego tak twierdzisz?

– Ten dom. Niby w Tokio, a mógłby stać w lesie w epoce kofun. Żadnych telefonów, komputerów, telewizorów.

Pani Sasaki ściąga wargi w uśmiechu. – Muszę jej to powiedzieć. Bardzo jej się to spodoba. Telefon jest jej niepotrzebny – widzisz, jest głucha od urodzenia. A szwagier twierdzi, że światu potrzeba mniej komunikacji, nie więcej. – Pani Sasaki obiera na desce pomarańczę tryskającą zapachem. Siada. – Mijake-kun. Chyba nie powinieneś wracać do Ueno. Nie mamy żadnego dowodu, że ci ludzie albo ich współpracownicy zechcą cię odnaleźć, nie mamy też na to, że nie zechcą. Jestem za tym, żebyśmy nie podejmowali żadnego ryzyka. Wiedzieli, gdzie cię szukać w piątek. Przewornie już poprzestawiałam twoje dane osobowe w Ueno. Myślę, że powinieneś siedzieć tutaj kamieniem aż do końca tygodnia – jeżeli ktoś będzie o ciebie pytał w Mknącej Gwieździe, Buntaro powie, że zwiąłeś z miasta. Jeżeli nie, wybrzeże jest wystarczająco przestronne.

To ma sens. – Zgoda.

– O przyszłość będziesz się martwić od następnego tygodnia. – Pani Sasaki nalewa herbatę. – Tymczasem odpoczywaj. Swoje problemy masz nie tyle rozwiązać, co przeżyć.

Zielona herbata z ziarnami jęczmienia. – Dlaczego pani i Buntaro pomagacie mi?

– „Kto” liczy się bardziej niż „dlaczego”. Jedz.

– Nie rozumiem.

– Nieważne, Eidzi.

Później, tego samego dnia. Słysząc dzwonek u drzwi, a mnie serce znowu podchodzi do gardła. Odkładam rękopis. Nie Buntaro, nie pani Sasaki, więc kto?

Jestem na górze, w studiu na poddaszu, ale słyszę, jak w drzwiach frontowych obraca się klucz. Wsłuchałem się już w ciszę wypełniającą ten dom i wiem, co jest dziełem mojej wyobraźni a co nie – drzwi otwierają się, kroki w holu u wejścia Książki także w natężeniu nasłuchują. – Mijake! Odpręż się! To ja, Juzu Daimon!

Wyjdź, wyjdź, gdziekolwiek jesteś! Twój gospodarz dał mi klucz. – Spotykamy się na schodach. – Wyglądasz lepiej niż ostatnim razem – mówię.

– Większość ofiar wypadków drogowych wygląda lepiej niż ja w piątek – odpowiada. – Za to ty wyglądasz gorzej. A niech cię! To oni ci tak urządzili oko? – Daimon ma na koszulce napis *Kto umiera po większej dawce, ten wygrywa*. – Przyszedłem z przeprosinami. Pomyślałem, że wart jestem tego, żebyś mi odrąbał mały palec.

– A co niby miałbym robić z twoim palcem?

– Cokolwiek. Zamarynować i trzymać w emaliowanej szkatułce: idealny, żeby sobie podłubać w nosie w eleganckim towarzystwie. I takie rozmówki: „Poprzednio najebał do tego wozu Daimona, wiecie”.

– Wolałbym korzystać raczej z własnego palca, dzięki. A – wykonuję nieokreślony ruch ręką – jeżeli chodzi o to, że tam wróciłem, to sam o tym zdecydowałem.

– Ach, tak, kupiłem ci dziesięć paczek papierosów, żeby cię tymczasem wspomóc – mówi. Widzę, że nadal nie jest pewny, czy go przypadkiem nie ukatrupię. – Gdybym przy okazji każdych przeprosin miał sobie obcinać palec, to dzisiaj musiałbym już pewnie ciąć przy ramionach. Marlboro. Zapamiętałem, że tamtej

fatalnej nocy w sali bilardowej paliłeś marlboro. A twój gospodarz pomyślał, że pewnie chciałbyś mieć do towarzystwa gitarę, dlatego przyniosłem – Zostawiłem na dole w holu u wejścia. Jak się czujesz? Jak się czuję? Dziwnie, ale wściekły nie jestem. – Dzięki – odpowiadam. Daimon wzrusza ramionami. – Właściwie, jak się zastanowić... – Teraz ja wzruszam ramionami. – W ogrodzie dobrze się pali.

Kiedy już zacząłem – od momentu, gdy zapakowałem go do taksówki – to musiałem już opowiedzieć wszystko do końca – do momentu, gdy Buntaro zgarnął mnie do wozu. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek tak długo opowiadał. Daimon w ogóle nie przerywa, chyba żeby zapalić papierosa albo wziąć piwo z lodówki.

Opowiedziałem mu nawet o swoim ojcu i przede wszystkim o tym, dlaczego przyjechałem do Tokio. Kiedy kończę, słońce akurat zachodzi. – Zdumiewa mnie natomiast to – mówię dalej – że o niczym z tego wszystkiego, co się wydarzyło, nikt nie mówi. Jak to możliwe, że ginie czterdziestu ludzi – wcale nie cichcem, ale jak w filmach akcji – i ani słowa na ten temat?

Pszczóły kołyszają się nad lawendą. – W czasie wojen jakuzy okazuje się, że politycy chowają głowę w piasek, a policja się szmaci, o czym dobrze wiadomo.

Ale przyznając, że tak jest, tokijscy wyborcy zaczną może się zastanawiać, dlaczego zawracają sobie głowę płaceniem podatków. Dlatego też telewizję trzyma się od tego z daleka.

– A gazety?

– Dziennikarze mają już dość relacji o bitwach przegranych i wygranych na samej górze. Prawdziwych dziennikarzy, którzy tropią sensację, wykreśla się z list uczestników konferencji prasowych, więc gazety nie mogą ich trzymać. Sprytne, co?

- No to po co w ogóle zawracać sobie głowę wiadomościami?
- Ludzie oczekują swoich komiksów i historyjek na dobranoc.

Słuchaj! Ważka!

Starzy mnisi poeci miesiące i tygodnie rozpoznawali na podstawie obserwacji koloru i po łysku wazek – jak one się nazywają? – zagnie. – Daimon bawi się zapalniczką. – Opowiedziałeś swojemu gospodarzowi nieocenzurowaną wersję tego, co ci się przydarzyło?

– Stonowałem trochę przemoc. Darowałem sobie także groźby pod adresem jego żony, bo w końcu człowiek który groził... nie żyje. Nadal nie wiem, co jest prawdą, a co przyniesie mu tylko nocne koszmary i paranoję?

Daimon kiwa głową. – Czasami nie wiadomo, jakie postępowanie jest słuszne, i to, co wydaje ci się najlepsze okazuje się najgorsze. Śni ci się to?

– Nie za wiele śpię. Co zamierzasz?

– Ojciec uważa, że powinienem na jakiś czas zniknąć, i tym razem zgadzamy się. Rano wracam do Stanów. Z żoną.

Krztuszę się piwem. – Jesteś żonaty? Od kiedy?

Daimon spogląda na zegarek. – Od pięciu godzin.

Wreszcie szczery uśmiech Daimona. Widzę go tylko raz i tylko przez chwilę.

– Miriam? Kang Hio Jeoun?

Uśmiech znika. – Naprawdę nazywa się Min. Niewielu ludzi zna jej prawdziwe nazwisko, ale jesteśmy twoimi dłużnikami. Rozumiem, że wymierzyła ci swojego słynnego kopniaka.

– Jakoś się pozszywałem. Min? Lubi zmieniać naciska.

– Już nie.

Stukamy się puszkami. – Gratulacje, szybki yyy ślub.

– Chodzi o zachowanie tajemnicy: ślub i ucieczka.
– Odniosłem wrażenie, że się nienawidzicie.
– Nienawiść. – Daimon ogląda sobie dłonie. – Miłość.
– Twoi rodzice wiedzą?
– Od dziesięciu lat mieszkają oddzielnie – oczywiście zawsze pełni szacunku.

Ale tak jakby utracili prawo do tego, żeby mi doradzać... – Daimon bawi się zapalniczką – w sprawach związków. – Nie powinienes być z, yyy, Min-san?

– Tak. Muszę najpierw odebrać bilety lotnicze. Ale zanim pójde, pokażesz mi zdjęcie swojego ojca? – Wyciągam je z portfela. Daimon przygląda się uważnie, ale w końcu potrząsa głową. – Przykro mi, nigdy nie widziałem gościa. Ale posłuchaj, zapytam mojego ojca, czy nie znalazłby namiarów na tego detektywa, z którego usług zwykle korzystał Morino. Jakuzo zazwyczaj zatrudnia jednego albo dwóch takich zaufanych ludzi. Nie mogę obiecać – wydział policji w urzędzie miasta to istne pandemonium, nikt nie wie, kto z kim przestaje, a Tsuru najwyraźniej wrócił z Singapuru, mniejsza o jego pamięć i zdrowie psychiczne, i może się przydać jako znak firmowy. Tak czy inaczej, przyrzekam, że spróbuję. Potem sobie poradzisz, ale przynajmniej możesz znaleźć podkładkę pod plan B.

– Plan G. Każda podkładka jest lepsza niż jej brak.

Idziemy do holu u wejścia. Daimon wkłada sandały.

– No to cóż.

– No to cóż. Spędź miło miodowy miesiąc.

– To właśnie w tobie lubię, Mijake.

– Co niby?

Wsiada do swojego porsche'a i nieznacznie kiwa ręką.

* * *

– Złapać ją! – wyła jedna część tłumu. – Zatłuc ją! – wyła druga. – Upiec z ziemniakami! – Jak bardzo pani Grzebyk pragnęła, żeby nagle nadbiegł Pitekantropus, przeciął zdewastowany placyk i porwał ją w jakieś bezpieczne miejsce. Nie narzekałyby, nawet gdyby w jego włosach znalazła pchłę. – Nugety z kurczaka! – wrzasnął szpaler brzdąców. – Frytki! – Pojawiła się drabina i pani Grzebyk, w ponownym napadzie strachu, uświadomiła sobie, że oni zamierzają wspiąć się na statuetkę ukochanego komendanta, ściągnąć ją i wrzucić do pieca... Jakże Kozłopis poradzi sobie bez niej? Zagłodzi się. I wtedy właśnie pani Grzebyk przypomniała sobie o książce, którą jej dał. – Wstrzymajcie się! – zagdakała. – A na obiad będziecie mieć coś smaczniejszego od łykowatego, starego kurczaka!

Tłum czekał.

Pani Grzebyk pomachała świętą księgą. – Opowieści!

– Opowieści nigdy nie napełnią mi żołądka! – Zageęła podchmielona rozrywkowa rura.

Drabinę przysunięto bliżej. Pani Grzebyk przełknęła łzy. – Bo może nigdy nie słyszałaś właściwych opowieści!

– Udowodnij to! – warknął pokryty popiołem człekowilk w workach. – Opowiedz nam jakąś historię, a zobaczymy, czy będziemy od niej syci! – Pani Grzebyk otworzyła księgę na stronie pierwszej, pomstując na pająkowane pismo Kozłopisa. – „Dawno temu pewien linoskoczek przybył do wodospadów Saturna, żeby dać widowisko, jakiego jeszcze nie było i, oczywiście, nie będzie. Nadszedł długo oczekiwany wieczór i artysta otworzył swój występ, w którym utrzymanie równowagi było śmiertelnym wyzwaniem. Musiał wydobyć z siebie każdy gram koncentracji. Nad jego głową

wirowały liczne Saturnowe księżyce. Pod stopami do bezkresnego oceanu spadały nie kończące się katarakty, zbyt głębokie, by dochodził z nich jakikolwiek dźwięk. Gdy artysta w majestatycznej ciszy przemierzył już połowę drogi, nagle ze zdumieniem zauważył dziewczynę idącą po linie w jego stronę. Po cóż opisywać tę dziewczynę z jego snów? Przecież już wiecie, jak wygląda. – Co ty tutaj robisz? – spytał artysta. – Chciałam zapytać, czy wierzysz w duchy. – Artysta zmarszczył brwi. – Duchy? No, a ty wierzysz w duchy? – Dziewczyna z jego snów uśmiechnęła się i odparła: – Ależ oczywiście. – I zeskoczyła z liny. Artysta, przerażony, skoczył za nią, ale dziewczyna, jeszcze zanim uderzyła o powierzchnię wody, rozplynęła się w księżycowym świetle...”. – Świsnął kamień brukowy, który przeleciał zaledwie o cal od pani Grzebyk. – Nadal jestem głodny! – zawył obsypany popiołem człekowilk w worku. Tłum oparł drabinę o tułów ukochanego najwspanialszego komendanta i zaciekle usiłował wspiąć się do góry. – Zaczekajcie, zaczekajcie, pękniecie ze śmiechu, jak usłyszycie tę opowieść – Pani Grzebyk zatrzepotała, straciła równowagę, otworzyła księgę na stronie dziewiątej. – „Ojcze! Ojcze! Czemuś mnie opuścił?”. Słońce, mimo południa, pociemniało, zszarzało, przygasło i zbrązowiało.

Tłum zamilkł, zakołysał się niespokojnie, potem wybuchnął histerią.

– Upiory! – wrzasnęła jednym głosem gawieź. – Do schronów! – Mężczyźni, kobiety i dzieci pierzchli, wsiąkając w szczeliny, szpary i studzienki ściekowe, aż pani Grzebyk została sam na sam z ukochanym komendantem i czarnym handlarzem, którego czaszkę rozbił ciśnięty kamień. – Dzięki Bogu! – powiedziała pani Grzebyk.

– Wielkie kule ognia! – odezwał się Bóg, unosząc się na swojej

desce surfingowej – Proszę pani.

– Boże?

– Chyba mnie pani wzywała?

– Ja?

– Ta okolica nie jest już tym, czym była, proszę pani. Może podrzuciłbym panią w jakieś inne miejsce?

Pani Grzebyk zagdakała z ulgą. – Ach, Boże! Przybyłeś w ostatniej chwili!

Sami kanibale w tych okolicach, sami kanibale! Jeżeli nie nadużyłabym za bardzo w ten sposób grzeczności, to proszę mnie łaskawie zawieźć z powrotem do szacownego wozu.

– Proszę na pokład. – Bóg podprowadził swoją deskę do wąsów ukochanego komendanta. – I proszę się mocno trzymać! – Pani Grzebyk zawiązała szal pod szyją i patrzyła, jak pod nią rozpościera się widok głodującego miasta. Dlaczego ludzie wzgardzili tym, co było piękne i dobre? Dlaczego zrujnowali to, czego potrzebowali najbardziej? pani Grzebyk nie mogła zrozumieć ludzi. Naprawdę nie mogła ich zrozumieć.

* * *

Z powrotem siedzę na stopniu na balkonie i zapalam kolejnego papierosa. Paczka marlboro wydaje mi się trochę za ciężka. Zaglądam do środka. Platynowa zapalniczka Juzu Daimona. Z boku napis po angielsku, więc sięgam po słownik, żeby rozszyfrować znaczenie tych słów: *Generałowi MacArthurowi z okazji siedemdziesiątych pierwszych urodzin, styczeń 1951, od Komitetu Repatriacyjnego Mieszkańców Aiczi – z gorącą prośbą o pomoc dla ludzi więzionych w ZSRR*. A więc zapalniczka nie była wymysłem! Pewnie jest warta... ile? Mnóstwo. Tak czy inaczej za

dużo. Wracam do holu u wejścia i wyglądam przez frontowe drzwi, ale Daimon już odjechał. Odgłos sportowego wozu – Daimona, a może nie jego – przetacza się po oddychającej popołudniem okolicy. To więcej niż mały palec. Do tego trochę smutku. Ciekawe, ilu mieszkańców Aiczi w ogóle trafiło do domu.

SIEĆ KRÓLOWEJ ERYCHNID

Pitekantropus wyjrzał ze swego zawieszzonego pod podwoziem hamaka.

Szacowny wóz, trzęsąc się, odbywał właśnie swoją nocną podróż. Z mętnej czerni – niczym łoś w rzece hiperprzestrzeni – wyskakiwały białe linie i światła kocich oczu. Pitekantropus uwielbiał usypiające kołysanie hamaka na zakrętach i pęd wiatru rozwiewającego mu włosy. Między koła wpadł, nie doznając szkody, łaciaty królik – zahipnotyzowany dostał się w snop światła reflektorów i prawie otarł się nosem o Pitekantropusa. – Ale fuks! – pomyślał królik, gdy okazało się, że mimo wszystko przeżył. – Co za paskudna kreatura z tego anioła śmierci! Poczekaj no, niech tylko powiem moim krewniakom! – Zaraz potem Pitekantropus ziewnęła i wyciągnęła się w swoim hamaku, moszcząc się na osadach połamanych kosteczek, płaskich baterii, zasmarowanych szmat i skórek po serze stilton. Jeszcze tylko przemknęło mu przez myśl, że to nie szacowny wóz poruszał się po ziemi, lecz ziemia kręci się pod jego nieruchomymi wiekowymi kołami.

Z porannych snów wyrwał Pitekantropusa odkurzacz pracujący w buduarze pani Grzebyk, dokładnie nad jego głową. Obudził się więc cały w skowronkach.

Szacowny wóz stał nieruchomo. Pitekantropus, choć był pod

podwoziem, mógł stwierdzić, że zaparkowali w miejscu gorętszym niż saharyjski sekstet saksofonowy. Schrupał spieczoną do sucha szarańczę, wypełził i znalazł się w spiekocie brunatno–żółtej pustyni, zawalonej kamieniami, głazami i bielejącymi gnatami behemotów. Z nieba, rozpalonego do różowości przez suchy upał, spoglądało Słońce, nawet nie mrugnawszy pozbawionym powieki okiem. Pustynny wiatr nie kwapił się do ochłodzenia świata, po którym się błąkał. Droga biegła prosto, jak wyliczona z matematyczną precyzją sieczna do znikającego punktu.

Gdy Pitekantropus napiął swoje potężne bicepsy, kworum kangurów zabębniło pięściami w jego ogromną jak trzy beczki klatę i straszliwie zawyło. Otworzyły się drzwi wozu i pani Grzebyk zabrała się do trzepania obrusa po śniadaniu. – Co za bezbożna wrzawa! – Kozłopis wyszedł po schodkach z samochodu i zaciągnął się pustynnym powietrzem. – Dzień dobry.

Pitekantropus chrząknął powitalnie i pytająco.

– Sądzę – odpowiedział Kozłopis – że znajdujemy się na Terytoriach Północnych, ale nie jestem pewien, czy australijskich czy m–marsjańskich. Gdyby można zasięgnąć.

Kozłopisowi nie było dane dokończyć zdania, ponieważ ni stąd, ni zowąd pojawił się zniecka wir ptaków i wypełnił powietrze otaczające szacowny wóz – ptaków oszałamiających dźwiękami moogów i papug, a wielu z nich nie widziano od czasów, gdy treścią codziennych plotek była mitologia. – Archeopteryks! – zawołał Kozłopis. – Gęś Thewlickera! Quetzalcoatl! Alki większe, rozpaczliwie poszukiwane! Kozodój, nocny ptak, w samo południe! Słuchajcie! Słuchajcie tego śpiewu! Fragmenty! Słyszę Fragmenty! – Kozłopis przymknął oczy i twarz rozjaśnił mu błogi narkotyczny uśmiech. Pitekantropus także patrzył, przypominając sobie czasy

dzieciństwa spędzonego w archaicznych skamieniałych lasach. Pani Grzebyk dała nura, żeby schować się pod szacownym wozem. Ptaki zniknęły tak nieoczekiwanie, jak się pojawiły. – Nad zwyczajne okazy awifauny! – oznajmił Kozłopis. – Może już pani wyjść, pani Grzebyk! Czy pani wie, że usłyszałem Fragmenty prawdziwie niesłychanej opowieści! Śpiewały ją ptaki!

Wybaczcie, przyjaciele, m–muszę w tej chwili wrócić do m–mojego sekretarzyka!

* * *

Mijają kolejne dwa czy trzy dni niezmiennej pogody. Oto jak je spędzam. Wstaję późno, wypalam w ogrodzie papierosa i robię sobie herbatę oraz grzanki.

Kontroluję podbite oko – siniec blednie. Sprzątam pokój i kuchnię, uprzątam śmieci i idę na poddasze poczytać. Na górze czuję się najbezpieczniej. Zamieniam się w maszynę do czytania. Opowieści detektywistyczne Kogoro Akeczy. Kuchnia Banana Jaszimoto, okropne, choć nie jestem pewien, dlaczego. Siostry Makijoka Junicziro Tanizaki, wspaniałe. Dziwna powieść Philipa Dicka o świecie równoległym, w którym Japonia i Niemcy wygrały II wojnę światową, a pewien pisarz pisze powieść o równoległej rzeczywistości, w której wygrały Ameryka i Anglia. Nie ma już ludzi Osamu Dazai, ale bohater tej powieści tak się nad sobą użala, że lepiej by zrobił, gdyby trochę wcześniej skoczył do morza. Andżu czytają, ja nigdy. Jak sobie przypominam, byłem zazdrosny o te cztery godziny, jakie codziennie poświęcała książkom. A w ogólniaku mieliśmy lekcje japońskiego, które miały chyba pozbawić nas przyjemności czytania przy pomocy tych wszystkich pytań, jak na przykład: „Wskaż słowo najlepiej opisujące uczucie, jakiego

doznajemy, czytając następujące zdanie: »żałobne krzyki mew unosiły się ponad falami, gdy mój ojciec po raz ostatni wyruszał w morze«: a) nostalgia; b) wzruszenie; c) zaduma”. „My”. Kim w ogóle jest to dęte „my”? Jakoś nie udało mi się go spotkać. Dzisiaj rano czytam francuską powieść zatytułowaną Le Grand Meaulnes. Jestem napalony na książki. Na przekąskę pomiędzy posiłkami czytam opowiadania Kozłopisa, autorstwa siostry pani Sasaki. Jest ich dziesiątki. Pani Sasaki mówi, że jej siostra napisała je dla swojego siostrzeńca Buntara, kiedy był małym chłopcem – Buntaro był dzieckiem? Niesamowite. Teraz pisze je rano na rozgrzewkę. Czytanie wzmacnia apetyt. Kiedy mam ochotę na lunch, schodzę do kuchni i biorę coś z lodówki, jabłko albo banana. Potem przy pomocy wielkiej siatki oczyszczam staw z liści i karmię rybę. I wracam na poddasze, żeby jeszcze sobie poczytać, zanim się ściemni. Do trójkątnego okna przyklejam taśmą papier zaciemniający i gram na gitarze do przyjścia Buntara albo pani Sasaki. Spożywamy razem posiłek i gawędzimy – nikt nie dopytywał się o mnie ani w Mknącej Gwieździe, ani w Ueno. Na razie. Po kolacji zamykam się, rygluję drzwi, okładam łańcuch, robię porcję pompek i przysiadów i biorę prysznic. Nadal śpię na parterze na kanapie, gdzie mam wszelkie szanse na to, że uda mi się usłyszeć napastnika za nim on mnie dopadnie. I dalej czytam, prawie do białego rana, po czym zasypiam.

Sen mam płytki, niespokojny – zmieniające się plany, zaparkowane samochody, ludzie uśmiechający się do mnie tajemniczo...

Odzyskuję węch. Nigdy nie zauważałem tylu zapachów, co teraz. Orientuję na nowo przestrzeń domu, tym razem kierując się zapachami. Pokój dzienny pachnie politurą, tatami, kadzidłem.

Kuchnia to olej, nierdzewna stal suszone rodzynki.

Główna sypialnia to pościel, jaśmin, lakier. Ogród to sok z liści, staw i kłęby dymu.

Jaki spokój w tym domu! Nie sposób nie usłyszeć najdrobniejszego hałasu, tak jak skrzekliwej paplaniny przez telefon komórkowy w wagonie metra. Słyszę rzeczy, które zazwyczaj do mnie nie docierają. Przemieszczanie się płynów w moich kistkach, strzelanie stawów, gdy wspinam się na regały, drgania wywołane przez samochody. Wrony i drzewa kilka ulic dalej, muchę uderzającą w szybę, trzepany materac.

Pipczący sygnał faksu. Odkładałam Le Grand Meaulnes, schodzę na dół i znajduję na podłodze tekst z faksu.

MIJAKE. DETEKTYW MORINO OTRZYMA MAIŁ WYŚLANY NA PONIŻSZY ADRES. UWAŻAJ. NIE PODAWAJ ADRESU, DOPÓKI NIE BĘDZIESZ PEWIEN, że OK. ZA 30 MIN. ODLATUJEMY. MAM NADZIEJĘ, ŻE ZNAJDZIESZ GOŚCIA.

Dalej numer skrzynki kontaktowej w Edogajiabaszi. Przepisuję go na wieczko pudełka papierosów, chowam portfel i spaliam faks na popielniczce przy pomocy zapalniczki generała Douglasa MacArthura. Trochę to przedramatyzowane, ale ja lubię płomienie. Rzucam okiem na zdjęcie siostry pani Sasaki. Chłodne wino z jej kieliszka rozsiewa w powietrzu aromat. – A więc – zastanawia się siostra pani Sasaki – co stanie się w następnym rozdziale?

* * *

Kozłopis usiadł przy sekretarzyku. Soczyste zdania wirowały o kilka cali nad jego głową, oczekując chwili, gdy przyszpili je na papierze. Tymczasem Kozłopis szukał pióra. Najbardziej

zastanawiające, myślał, jest to, że wyraźnie przypominam sobie, że kładę je tutaj, na suszce, gdy przed południem słyszę chrząkanie Pitekantropusa... Zajrzał wszędzie tam, gdzie powinno być, i wszędzie tam, gdzie mogłoby się znaleźć, aż wreszcie tam, gdzie żadną miarą być nie powinno. Wniosek nasuwał się tylko jeden. – Złodziej! – krzyknął Kozłopis. – Złodziej!

Złodziej! – wpadają Pitekantropus i pani Grzebyk – ona dokładnie wiedziała, co robić. – Nie, tylko nie to, proszę pana. Pozwoli pan, że wytłumaczę – papier przekąskowy kładzie pan tutaj, a rękopisy i wszystko inne... – Kozłopis, odrętwiały, potrząsnął głową. – Nie, pani Grzebyk! Zginął mi nie rękopis, a wieczne pióro!

Język mojej wyobraźni! To samo pióro, którym Lady Szonagon pisała swoją książkę do poduszki ponad trzynaście tysięcy księżyców temu! Nic po ptaku, ale z dydaktyka taktyk, pułapka zastawiona, kiedy złodziej porażony!

– Ku czemu ten świat zmierza? – powiedziała pani Grzebyk. – Bliźni bliźniego okrada!

Pitekantropus chrząknął pytająco.

– Kto? Potajemnie współdziałający rywale dybią niesłuchanie na moje pióropisanie – jęczał płaczliwie Kozłopis. – Bez mojego pióra, dodam, moja kariera jest skończona! Krytycy zde-re-(poin)-kon-stru-ują mnie! – Po moim trupie, proszę pana! Niech pan będzie spokojny! Znajdziemy złodzieja, zanim on ponownie nas znajdzie! Nie sądzisz? – Pitekantropus był tak rozanielony, ponieważ pani Grzebyk zwróciła się wprost do niego, że aż chrząknął ze szczęścia, nie chcąc bynajmniej jeszcze sugerować, że tropienie śladów na błotnistym marginesie było łatwe, ale że śledzenie w wietrzystej spiekocie pustyni to zupełnie inna sprawa.

– Jak zwykle, pani Grzebyk – powiedział Kozłopis usilnie starając się zachować spokój – ma pani całkowitą rację. Podejźmy do tego dylematu logicznie. Moje pióro ginie. Gdzie odnajduje się pióra? Kędy kończy się zdania struktura. Gdzie odnaleźć zdania zakończenie? Kędy linia znajduje zwieńczenie. A ile to linii można znaleźć na pustyni?

Pani Grzebyk wygląda przez okno. – Tutaj tylko jedną, proszę pana.

– Którąż to, m–moja droga pani Grzebyk?

– No, tę, która biegnie środkiem drogi stąd!

Kozłopis plasnął dłońmi po racicach. – Na stanowiska, przyjaciele! Ruszamy na wojnę!

Pani Grzebyk męczyła się i pociła pod parasolem, zastanawiając się, czy następne jajo, jakie złoży, nie wyjdzie aby na twardo. Pitekantropusa zalewał pot, a żar drogi wypalał dziury w podeszwach jego butów ze skóry. Kozłopisowi migotały miraż oszronionych i rozplywających się słów. Okrutne słońce w południe roztapiało ołów. Czas zaś to wznosił się, to zapadał. Kozłopis otarł brew zwilżoną chusteczką i uznał, że to, co, jak mniemał, widzi, naprawdę istnieje. Aha!

W górę serca, przyjaciele! Białe linie skręcają z drogi – moje wieczne pióro nie może być daleko! – Pani Grzebyk nalegała, żeby przed wypuszczeniem się na puszcę wypili na deser soku z opuncji. Gdyby nie białe linie wyznaczające drogę, nawet Pitekantropus zabłądziłby pośród palących gładkich głazów, uskoków i występów, masywów i skał. Znieruchomiłe gady opierały ciało raz na jednej, raz na drugiej parze nóg. Pitekantropus czuł, że są obserwowani, ale nic nie mówił, żeby przypadkiem nie zmartwić pani Grzebyk. – Słuchajcie – odezwał

się Kozłopis przewodzący wyprawie. – Jesteśmy, chyba... to tutaj. – Cała trójka znalazła się na brzegu porcelanowego krateru. Był tyleż stromy, co szeroki. Pośrodku widniała czarna dziura. – Nadzwyczajne – wymamrotał Kozłopis. – Kultura prymitywna obmyślająca technikę radioteleskopową, nieznaną otaczającemu światu...

– Może pan to sobie nazywać radiotelecymstam, ale mnie to przypomina zlew kuchenny. Wypolerowanie czegoś takiego musiałoby zabrać cały miesiąc albo...

– Kraaaaa! – zza pobliskiego wychodka wyłonił się pterodaktyl o śmiercionośnym spojrzeniu, dziobie zębatym jak piła, z zamiarem zadżgania Kozłopisa, który zabrał się do czyszczenia krateru. – Proszę pana! – zagdakała pani Grzebyk – kopyta Kozłopisa nie były w stanie utrzymać się na ceramicznej powierzchni. – Już idę! Uratuję pana! – pani Grzebyk rzuciła się w dół na odsiecz, ale Kozłopis już przepadł w ciemności. Pani Grzebyk, nie będąc w stanie wyjść z lotu nurkującego, także z miejsca przepadła. Pitekantropus obserwował pterodaktyla, który krążył, sposobiąc się do ponownego ataku. – Kraaaaaakraaaaaaa! – Pitekantropusowi nie straszne były dinozaury – właściwie nic nie było mu straszne – ale myśl, iż pani Grzebyk stawiała w pojedynkę czoła niebezpieczeństwu, sprawiła, że czaszka pękała mu ze zgryzoty. Puścił się ślizgiem w dół krateru. Zadudniła bezdenna ciemna studnia.

* * *

Siedzę przy sekretarzyku nad nowym arkuszem papieru i przez chwilę list wydaje mi się idealny. Przed sobą mam również zdjęcie ojca. Jak się pisze list do prawdziwego prywatnego detektywa?

„Szanowny Panie, nie zna mnie pan, ale...” – to nie to. „Szanowny panie, jestem byłym osobistym sekretarzem pana Morina i piszę do pana z prośbą o dostarczenie” – to nie to. Rezygnuję z wybiegów i stawiam na zwięzłość. „Proszę pana: proszę przesłać kopię akt osobowych na adres: Eidzi Mijake, skrytka 333, »Tokijski Kurier Wieczorny«. Dziękuję”. Jak ma poskutkować, to poskutkuje – jeżeli nie, to nie; i tak nie miałbym nic do powiedzenia, gdybym do czegokolwiek chciał go przekonać. Wracam do ogrodu i wypalam trzy papierosy – gdyby Buntaro albo pani Sasaki dowiedzieli się, stwierdziliby, że jestem nienormalny, nie mówiąc już o tym, że nieodpowiedzialny, poszukując kogoś kto miał powiązania z Morinem, no i oczywiście mieliby rację.

Ale gdyby facet stanowił jakieś zagrożenie, to byśmy oczywiście o tym wiedzieli.

Przeczesał moją kapsułę na zlecenie Morina, więc pewnie już zna mój adres.

Wkładam kartkę do koperty, adresuję i zaklejam. Najłatwiejsze mam za sobą.

Teraz muszę jeszcze tylko wyjść, żeby to wysłać.

Naciągam na oczy baseballówkę, zdejmuję klucz z haczyka przy drzwiach i zakładam buty. Podnoszę zapadkę przy głównej bramie i wkraczam w prawdziwy świat. Nie słyszę pisku hamulców. Nie widzę podejrzanych samochodów. Zwykła spokojna willowa ulica biegnąca umiarkowanym stokiem. Wszystkie domy stoją w pewnej odległości od drogi, ukryte za wysokimi parkanami wyposażonymi w automatyczne bramy. Przy niektórych kamery wideo. Każdy z budynków kosztuje prawdopodobnie tyle, co cała wieś na Jakuszimie. Może popadam, mówi pogoda, a może i nie. Ciekawe, czy Ai Imadzo mieszka przy podobnej ulicy, czy podobne ma okno w

sypialni, nad podobnym żywoplotem. Słyszę dziewczęcy śmiech, z alejki wypada na rowerze licealista z dziewczyną stojącą na trzpieniach tylnej osi. – Ale straszna afera! – powtarza raz po raz, śmiejąc się i odgarniając do tyłu włosy. – Straszna!

Stok opada ku głównej zatłoczonej ulicy zabudowanej sklepami. Jaki dziwny ten ruch, hałas. Każdy pojazd pędzi z jakąś misją. Czuję się jak duch odwiedzający miejsce, w którym nigdy nie zaznał szczególnego szczęścia. Mijam supermarket, rozkosznie udekorowany girlandami z owoców papai i mango. Dzieciaki bawią się w przejściach w berka. Na parkingu mężczyźni oglądają telewizję w samochodach.

Kobieta wkłada utrefionego pieska do koszyka przy motocyklu. Ciężarna dziewczyna – w moim wieku – idzie przed siebie, trzymając ręce na wypukłości brzucha. Robotnicy budowlani wspinają się po dźwigarach, palnik syczy białym płomieniem. Mijam przedszkolny plac zabaw – dzieciaki w oznakowanych kolorowych czapkach rozbijają się po ścieżkach ruchami Browna. Po co to?

Ogarnia mnie do tego wszystkiego dziwne wrażenie, że jestem niewidzialny. Nikt się nie zatrzymuje i nie pokazuje; żadnych kraks samochodowych; z nieba nie spadają ptaki; nikt nie krzyczy: „Ej, słuchajcie! To ten chłopak, co trzy czy cztery dni temu widział, jak gangsterzy sprzątnęli trzydziestu paru facetów!”. Czy tak właśnie czują się żołnierze po powrocie z wojny? Absolutna niesamowitość tego, co absolutnie normalne. Poczta zapełniona wrzeszczącymi dzieciakami i zagłęzionymi w siebie emerytami. Czekam na swoją kolej, oglądając plakaty „Czy widziałeś te osoby?” przedstawiające wrogów publicznych numer jeden sportretowanych tak, jak mogą wyglądać po operacjach plastycznych, którym

prawdopodobnie się poddali. „Nie próbuj ich zatrzymywać. To przestępcy. Są niebezpieczni i mogą być uzbrojeni”. Osoba stojąca za mną trąca mnie. Asystentka w okienku pyta po raz trzeci czy czwarty. – Słucham pana?

– Yyyy, chciałbym to wysłać.

Płacę, dostaję znaczki i resztę. Prawdziwe. To, co przydarzyło mi się tej piątkowej nocy, zatrzasnęło się we mnie, nie zostawiając znaku na twarzy. Liżę znaczki, przyklejam je i z wahaniem kładę kopertę na skraju skrzynki pocztowej.

Czy to rozsądne? Puszczam list; spada, wydając papierowe plaśnięcie. A czy w ogóle może tu być mowa o rozsądku? Naprzód, plan G. Podnoszę wzrok i patrzę wprost w oko kamery wideo. Na dworze powietrze cięższe, gwałtowniejsze powiewy, jaskółki nisko latają. Inna kamera obserwuje parking supermarketu.

Jeszcze inna wysoko na moście – ta ma wspomagać kierowanie ruchem.

Pośpiesznie wracam.

Pod wieczór z wolna zaczyna padać. Siedzę na poddaszu. W gasnącym świetle dnia papier z białego zrobił się niebieski, a teraz jest prawie szary jak atrament.

Patrzę, jak strumyki wody spływają po szybach. Omal słyszę, jak spragnione miasto aż się pieni, wchłaniając deszcz. Na Jakuszimie szczycą się deszczem. Wuj Paczinko mówi, że tam pada przez trzydzieści pięć dni w miesiącu. A w Tokio kiedy ostatni raz padało? Jak była letnia burza, tego dnia, gdy rozpocząłem czatowanie. Ależ naiwniak był ze mnie. Morino podziałął na mnie jak wyrywająca ze snu bomba. A jeżeli ojciec naprawdę nie ma potrzeby, żeby się ze mną spotykać? A jeżeli tak samo należy do jakuzy? Strumyki wody to gonią jeden za drugim, to znowu

rozdwarzają się. Ale niech sam mi to powie, jest mi to winien. To, czym się zajmuje, nawet to, jak żyje, nie ma tu nic do rzeczy. Gdzieś na ulicy śmigają samochody prowadzone przez zwykłych mężów zmierzających do zwykłych domów. Nagle gaśnie silnik jednego z nich i pierzcha mój spokój.

Zerkam przez trójkątne okno: to zdezelowana honda Buntara. Nadchodzi mój wybawca, przeskakując przez ściek z gazetą nad głową. Połyskuje mu zmoczona deszczem łysinka.

Pierwszy kończę mój makaron, więc zaczynam drażnić temat. – Buntaro, musimy porozmawiać o pieniądzach. – Buntaro poluje na ciasto tempury. – Jakie pieniądze? – No właśnie. – Czynyś na następny miesiąc. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale... nie mam. Nie teraz, kiedy skończyły się pieniądze z Ueno.

Wiem, ile z tym zachodu, ale czy nie mógłbyś sobie odebrać z depozytu? – Buntaro marszczy brwi – z mojego powodu czy z powodu wymykającej się tempury. Brnę dalej. – Jest mi naprawdę wstyd po tym wszystkim, co ty i pani Sasaki zrobiliście dla mnie. Ale dobrze, żebyś wiedział, że gdybyś, bo ja wiem, gdybyś chciał dać mi wymówienie, to ja zrozumiałbym, naprawdę...

– No masz! – Buntaro trzyma pałeczkami krewetkę i delikatnie odgryza jej głowę. – Moja żona wpadła na lepszy pomysł, chłopcze. Chce, żeby linie lotnicze dały jej urlop, zanim będzie w wysokiej ciąży. Rozumiesz, zastanawialiśmy się, kiedy spędziliśmy ze sobą pełen tydzień. No i wiesz, kiedy? Nigdy! Dosłownie nigdy. Zanim przejąłem Mknącą Gwiazdę, zawsze byliśmy bez grosza, a potem...

no cóż, wypożyczalnia wideo działa na okrągło. Kiedy ja pracuję, żona odpoczywa; kiedy ona pracuje, ja odpoczywam. W ten sposób minęło dziewięć lat. Dzisiaj rano obdzwoniła hotele na Okinawie – poza sezonem, mnóstwo tanich ofert. Więc nasza propozycja jest

taka: w przyszłym tygodniu popilnujesz sklepu i to pokryje czynsz za październik.

– Cały październik?

– Czas pracy paskudny – od dziesiątej przed południem do północy, przez siedem dni. W sumie wychodzi z tego dość nędzna stawka. Ale dzięki temu nabierzesz sił, żeby zdobyć inną robotę.

– Naprawdę zostawiłbyś mi pod opieką wypożyczalnię?

– Żaden facet w typie Ala Pacino nie rozpytywał o ciebie. Dobrze, żeśmy cię tu ukryli, ale możesz już wyjść.

– Nie, to znaczy – powierzyłbyś mi swój biznes?

– Moja żona by powierzyła, więc ja też. A do tego mam entuzjastyczną opinię od twojego poprzedniego pracodawcy. – Buntaro zabiera się do oczyszczania wykałaczką zębów. – Prowadzenie wypożyczalni to mały pryszcz – nauczę cię wszystkiego w trzydzieści minut. A mama wpadnie co wieczór, żeby zabrać gotówkę i porobić rachunki. Co ty na to? Mam powiedzieć żonie, żeby zamówiła hotel w rajju?

– Oczywiście. Jasne, że tak. Dzięki.

– Nie ma sprawy, chłopcze. To biznes. Spalmy po malborku na schodach, żeby przypieczętować obopólny interes. Ale ani słowa żonie. Mam podobno się zrewanżować podczas uroczystego debiutu Kodaiego. – Wychodzimy i przy akompaniamencie żab w stawie i padającego deszczu wypalamy paczkę prawie do końca. Deszcz i dym odstraszaają moskity. – Przy okazji – mówi Buntaro – czy nazwisko Ai Imadzo mówi ci coś przypadkiem?

Skrobię się w tył głowy i kiwam potakująco.

– Przyjaciel czy wróg?

– Przyjaciel, mam nadzieję. A co?

– Najwyraźniej zjawiła się dzisiaj rano w biurze rzeczy

znalezionych w Ueno, żeby zgłosić zgubienie Eidziego Mijake. Matka powiedziała, że nieoczekiwanie wyjechałeś z Tokio w sprawach rodzinnych. Panienska zrobiła taką minę, jakby chciała powiedzieć „miło z jego strony, że dał mi znać!”, podziękowała i poszła sobie. – Siedzę z kamienną twarzą. – No – Buntaro podnosi się – pójdę przekazać żonie dobre wieści. – Odprowadzam go do holu u wyjścia. Buntaro udaje, że sprawdza kurz. – Muszę przyznać, że czysto tu masz jak w pałacu. W każdym razie czyściej niż w swojej luksusowej nadbudówce. – Uderza dłonią w kieszeń koszuli. – Głupstwa opowiadam, chłopcze! Nie myśl o sprzątanu. Dzisiaj przyszedł do ciebie ten piktogram! Naprawdę nie gniewaj się. Miłych snów. – Po odejściu Buntara zabieram piktogram do pokoju i oglądam pod lampą. Nadano, rajskie ustronie w górach. Coś mi mówi, że niedomaganie pamięci Buntara nie było przypadkowe – to od mojej matki, preadresowane przez Wujka Kasę. Siadam i bawię się listem, opierając go na czubku kolana. Nie daje się zrównoważyć, a niby tak wiele waży. Niebo szare od śniegu, zbocza gór różowe kwitnącymi wiśniami, śnieg turkusowy od nieba, beztroscy turyści, beztroscy narciarze. Coraz większe zażyłości przesłaniające winę. Z mroku, w którym widać tylko połyskującą ramkę z muszli, spogląda na autorka Kozłopisa. Nie widzę jej oczu, ale słyszę jej głos. „Nie jesteś chyba za bardzo w porządku. Śmiało. Otwórz to i oszczędź nam wszystkim udręki”. Podobnie jak pani Sasaki, jest tyleż szorstka, co pełna współczucia. – Ach, młodość – wzdycha, a wraz z nią senne morze w tle.

* * *

Upadek Pitekantropusa skończył się lądowaniem w sieci drutów i kabli. Daleko w górze maleńka dziurka, przez którą wpadają

promienie światła, dość, by pierwotny człowiek przyzwyczał wzrok na tyle, aby widzieć w ciemności. Pitekanthropus chrząknął. – Tak – odpowiedział niepewnie Kozłopis – mój upadek został zamortyzowany opatrzenie przez pozostałości po opakowaniach. Pani Grzebyk, pani Grzebyk – słyszy mnie pani? – Gospodyni zagdakała: – Żeby poszło ze mnie pierze, trzeba czegoś więcej, proszę pana! Może i jestem starym ptakiem, ale nadal potrafię zrobić użytek ze skrzydeł. Ale co to za plątanina? Ledwie mogę się ruszyć!

Ich oczom ukazała się świetlista ściana i zagrział żeński głos: – Witam! – Na ścianie widniała twarz kobiety. – Witam! – Miała na sobie koronę w technikolorze i ozdobiony naramiennikami strój władczyni. Jasne włosy lśniły promieniami słońca, usta błyszczały, ale wydawało się, że jest dwuwymiarowa, bo też taka właśnie była.

Ścianę tworzył ekran, rozświetlający pokój zarzucony kablami elektrycznymi.

Podłoga była miękka – pokrywały ją płatki skóry i rzęsy. – Witaj, Kozłopisie!

Jestem królową Erychnid. To jest mój website.

– Nie jestem obeznany z genealogią waszej wysokości – zaczął Kozłopis.

– Moją genealogię tworzą media! Moim imperium jest przyszłość!

– Święta racja, ani chybi – powiedziała pani Grzebyk – ale szukamy ukradzonego nam wiecznego pióra i mamy powody podejrzewać, że ostatecznie mogło zawędrować tutaj.

– Owszem. – Królowa Erychnid zechciała łaskawie spojrzeć na panią Grzebyk. – Ja je ukradłam.

– Piękny postępek, nie ma co, królowa! – zagruchała pani

Grzebyk. – Podstępne wykradanie własności przyzwoitych ludzi! Tam, skąd pochodzę, takie jak ty nazywamy złodziejkami!

– Królowa Erychnid wcale nie ukradła tego pióra osobiście, ty łykowały kotlecie! – rozbrzmiała gryzonia riposta. – To ja podwędziłem wam wasze marne pióro spod waszych niuchających nosów, kiedy jej wysokość zaprogramowała cyfrową ptasią burzę.

Pitekantropus chrząknął zdumiony. – SkatoSzczur! – sapnął Kozłopis, gdy gryzoń ukazał się na ekranie obok Królowej Erychnid. Spoglądał chytrze, przebierając palcami w bokobrodach. – Możecie zwracać się do mnie per „Artysta znany uprzednio jako SkatoSzczur”. – Pani Grzebyk grzebnęła nogą i zagdakała. – A jakżeś się tam dostał?

– Życie na marginesie było nużące! Kiedy ten wasz jaskiniowiec zniszczył mi mojego scatpada, kursowałem w te i wewte po waszym zardzewiałym wraku.

Tamtego dnia rano jej boska wysokość – która tymczasem przesłała gryzoniowi dwudziestoczworokaratowy uśmiech – złożyła mi propozycję, której żaden uczciwy szczur nie mógł odrzucić – ja ściągam was na jej website, a ona przemieni mnie cyfrowo w komputerowego szczura #1 na świecie! – Królowa Erychnid podrapała za uchem SkatoSzczura, który w ekstazie zamachał ogonem.

– Ale dlaczego dobrowolnie zrezygnowałeś z trwałej, materialnej postaci na rzecz wirtualnej? – zapytał Kozłopis, żując brodę.

– Dlaczego? Dlatego! Bo Internet jest moim labiryntem, Kozłopisku! Zasuwam z prędkością światła kablami, które do tej pory zwykłem nosić w zębach. Dzięki temu czuję wszystko do bólu. Królowa Erychnid udzieliła wam tej audiencji z zamiarem złożenia podobnej propozycji, Kozłopisku. – Królowa Erychnid wypełniała

powoli ekran w coraz większym zbliżeniu, aż jej kalejdoskopowe oczy przesłoniły cały obraz. – W rzeczy samej, o Kozłopisie. Proponuję wam, żebyście się załadowali z boku ekranu, tam czeka was przyszłość! Połączcie się z cyberagentami i z wirtualnymi księgarzami! Papierowa książka się kończy! – We włosach królowej zaczęły trzaskać wyładowania elektrostatyczne, gdy jej głos w namiętym uniesieniu osiągnął operową skalę. – Pisz swoje opowiadania w wirtualnym raju! Ja zostanę twoim cyberagentem i...

– Tak – dziobnęła kwaśno pani Grzebyk. – Drętwota!

– Milcz, kuro! Kozłopisie, cyfrowe przekodowanie uczyni cię doskonałym!

Wyeliminujesz tę kłopotliwą w-w-w-wadę wymowy! Zdania mknące z prędkością światła, a nie w tempie m-m-m-maratonu dla inwalidów!

Kozłopis rzucił jej dumne spojrzenie. – Dzięki swojemu jękaniu odróżniam prawdziwych przyjaciół od nieprawdziwych – od podlizujących się, podszywających pochlebców! Odmawiam!

Królowa Erychnid piłowała paznokcie. – Jakże ci się to chwali. Wobec tego i tak poddam cię obróbce cyfrowej, włamię się do twojego umysłu wirtualnego, zsyntetyzuję każdą opowieść, jaką kiedykolwiek stworzyłeś, a pozostałe bajty wyrzucę wraz z twoimi nudnymi towarzyszami, panem Id i panią Ego. – Królowa Erychnid złożyła ręce na piersiach. – Ach, awanse! Honoraria! SkatoSzczurze!

Srowadź dygitalizator online! – Twarz złej królowej cofnęła się do tła, robiąc miejsce dla przeraźliwej maszyny będącej połączeniem armaty z generatorem, którą SkatoSzczur taszczył on-screen. – Przygotuj się do downloadu, Kozłopisku!

Kozłopis usiłował się poruszyć, ale mocno tkwił w sieci kabli. – Co się stanie z twórczym spełnieniem, gdy cudze opowiadania potraktuje się jak własne?

Królowa Erychnid spojrzała zakłopotana. – „Spełnienie”! Pisanie nie ma nic wspólnego ze „spełnieniem”! Wiąże się z uwielbieniem! Fascynacją! Nagrodami!

Kiedy byłam zwykłym człowiekiem, też roiłam o „spełnieniu”. Nauczyłam się języka pisarzy, a jakże – mówiłam „koda” i „koncepcja” zamiast „zakończenie” i „pomysł”; mówiłam „tour de force” zamiast „dobry kawałek”; „klasyczne” zamiast „tych bredni za nic nie da się sprzedać”! Czy to dawało mi spełnienie? Nie!

Prowadziło do niezrozumiałości i nadużyć! Ale przejmując twój umysł, Kozłopisie, zamienię literacki kosmos w mój koktajlbar! No, SkatoSzczurze! Przygotuj się do odpalenia!

– Wystarczy jedno twoje słowo, pani!

Kozłopis pochylił rogi. – Zapomniałaś o jednej rzeczy, wasza wysokość!

– Czyżby ta poza miała oznaczać dla mnie jakieś zagrożenie, moje ty stworzenie hodowlane?

– Klauzula zagadki Prawa Królowej Zła! – zacytował Kozłopis. – „Rozstrzygnięcie wszelkich nieporozumień między złą królową a więźniem określi rozwiązanie zagadki, jaką królowa zada więźniowi. W razie niewłaściwego wykonania klauzuli zagadki przetrzymywanie więźnia w systemie pozyskiwania, transmitowanie rzeczoności więźnia w jakiegokolwiek formie, elektronicznej, mechanicznej, czy też za pomocą technik fotokopii i nagrywania jest nielegalne, o ile więzień i jego wydawcy nie wyrazili uprzednio zgody”. Jasne jak ćwierkający świerk.

Lodowate oczy Królowej Erychnid wypełniają cały ekran. –

SkatoSzczurze.

Powiedz, że to nieprawda.

SkatoSzczur zanurza palce w bokobrodach. – To tylko formalność, wasza wysokość. Proszę zostawić to mnie. Tylko sięgnę do nierozwiązywalnezagadki@zlekrolowe.sup.oj i wyciągnę najlepszą łamigłówkę dla siebie! Proszę się odprężyć! Bródka jest ugotowany jak nic! Nie będzie miał żadnych szans w bangkockim.

Królowa Erychnid przymknęła oczy w cyberorgiastycznej rozkoszy. – Tak zrób! A potem jego opowiadania... – trysnęły przezroczyste barwy i zaczęły się zlewać jak gaz – ...jego dusza... – odrzuciła do tyłu głowę – prawa do filmowania i umowy na książki w dwudziestu siedmiu językach... – ...jej rozwarte w uśmiechu usta pożerały ekran i wciągały website w czeluście oskrzeli... – ...będą moje! Moje! Mojeeeee!

Tymczasem Pitekantropus wyslizgnął się z dżungli kabli i drutów – na dżunglach to on się znał – i zaczął badać rubieżę otchłannego website'u, bo na otchłaniach także się znał. Zauważył, że kable splatały się w jednej gigantycznej wtyczce. Nad tąże wtyczką wirował wiatrak wentylatora, który miał chłodzić obwody, na kratkowanej zaś osłonie owego wentylatora, w stojaku z śrubokrętami Philipsa widniało ukochane pióro Kozłopisa. Poprzez kratkę Pitekantropus, korzystając ze swoich widzących w ciemnościach oczu, zdołał wypatrzyć drabinę prowadzącą do położonego wyżej szybu. Chrząknął z namysłem, ale z powrotem wślizgnął się na ekran, kiedy usłyszał, że SkatoSzczur znowu pojawia się on-screen. Gryzoń wyszedł w połyskującej marynarce mistrza quizu, ściskając kurczowo w ręku kopertę z napisem *\$zagadki za 1 milion\$*. – Wasza wysokość!

Zagadka tysiąclecia! – żeby nie było żadnych wątpliwości –

powiedziała Królowa Erychnid. – Jak nie uda ci się odpowiedzieć twoje prawa autorskie przechodzą na mnie.

– Gdy pan odpowie poprawnie – powiedziała pani Grzebyk, potrząsając piórami w ogonie – odchodzimy wolni, z pana piórem wiecznym.

– Cóż za wyobraźnia u niewydarzonej pazurzastej pomocy domowej – rzuciła szyderczo Królowa Erychnid. – SkatoSzczurze! Zaczynamy zadawanie zagadki!

SkatoSzczur otworzył kopertę, rozciąwszy ją ostrym kłębem. Z ukrytych głośników rozległ się sygnał werbli: – Które zwierzę jest najbardziej matematyczne?

– Do licha – Pani Grzebyk zwinęła skrzydła. – Co to za idiotyczny quiz?

SkatoSzczur elegancko charknął flegmą. Spłynęła wolno po ekranie. – Masz minutę, fetojadzie! – Na ekranie ukazał się stoper nastawiony na sześćdziesiąt sekund. – Od... teraz! – Zaczęło się odliczanie, któremu towarzyszył podkład muzyczny. Kozłopis zastanawiał się, żując brodę. – Na bardziej matematyczne zwierzę... Cóż, argumenty przemawiające za człowiekiem minimalnie przekreśla telewizja... De finy wygrywają, jeżeli weźmie się pod rozwagę stosunek wagi mózgu do wagi ciała... Jednakże nie ma bystrzejszego Euklidesowego geometry niż pająk... z kolei wiedza małży na temat Kartezjuszowych owalnych soczewek nie ma sobie równych w królestwie fauny... – SkatoSzczur zachichotał: – Masz trzydzieści sekund! – Królowa Erychnid klasnęła w dłonie z radości i odtąńczyła rozpasaną rumbę ze swoim szelmgryzoniem. – Już czuję smak tych wydawniczych lunchów! Słyszę zachwyty recenzentów z „New Yorkera”! – Strapiona pani Grzebyk wywracała swoją torbę w poszukiwaniu

jakiejś inspirującej przekąski, ale znalazła tylko starego kasztana. Pitekantropus wykorzystał tę chwilę, by klepnąć panią Grzebyk w skrzydło i wsunąć jej do torby wieczne pióro Kozłopisa. W świetle ekranu bystre oczy pani Grzebyk spostrzegły między brwiami Pitekantropusa stwora z najkoszmarniejszych jej snów. – Pchły! – wrzasnęła. – Wiedziałam! Od samego początku! Pchły!

– Tak, na jezusicka, tak! – zastukotał racicami Kozłopis. – Oczywiście!

Najbardziej matematycznym zwierzęciem jest pchła!

Królowa Erychnid zamarła w tańcu. SkatoSzczur łypnął z ukosa. – Masz jeszcze powiedzieć, dlaczego, albo się nie liczy!

Kozłopis odchrząknął. – „Pchła odejmuje szczęścia, dzieli uwagę, dodaje nieszczęście i zatrwajając się mnoży”.

SkatoSzczur spojrział na swego ekranowego idola. – Jeden wygrywa, wasza wysokość, a jeden...

Królowa Erychnid podwójnym kliknięciem pozbawiła SkatoSzczura głosu. – Zawiodłeś mnie, ty sprzedajny, zapluskwiony cyberszkodniku! Tylko jedna kara wyrówna tę zbrodnię! – Nieeeeeeeee... SkatoSzczura słyszeć było coraz słabiej, aż zupełnie ucichł, gdy królowa przeciągnęła go do kosza. Okrutny narastał Królowej gniew. – Co do ciebie, Brodaczu, jeżeli myślisz, że jakaś wzniosła paplanina o prawach przeszkodzi mi w zdobyciu tego, czego pragnę, to jesteś niebywałym kretynem, nawet jak na pisarza! – jej oczy zwęziły się, mroząc lodowatą groźbą, a megabajty tymczasem trzaskały. – Przygotuj się – do cyfrowej obróbki! – uzbroiła dygitalizator on–screen. – Pięć, cztery...

– Proszę pana! – Pani Grzebyk trzepotała skrzydłami, lecz płatanina drutów nadal mocno trzymała. – Proszę pana!

Kozłopis napiął oplatającą go uprząż z kabli. – Piekielny podły

podstęp!

Królowa uśmiechnęła się, ukazując skrzące się silikonowe zęby.
– Trzy, dwa...

Pitekanthropus wyciąga wtyczkę.

Ekran gaśnie i website znika, tak jakby nigdy nie istniał, co też w jakimś sensie jest prawdą, ponieważ Kozłopis, Pitekanthropus i pani Grzebyk lądują ostatecznie na smaganej słońcem pustyni – zbyt zdumieni, by wydobyć z siebie choćby słowo.

* * *

kurort narciarski w górach Nagano, 17 września

Eidzi,

jeżeli próbowałeś skontaktować się ze mną po mojej ucieczce z kliniki w Mijazaki, to cudownie z twojej strony, ale nie mogłam już dłużej tam zostać. Z Kiusiu jest wszędzie zbyt blisko do Jakuszimy, żeby mogło być dobrze. (A jeżeli nie dzwoniłeś, to w żadnym razie nie obwiniaj się o to. Naprawdę nie oczekiwałam, że będzie próbował). Mogę mieć problemy, ale tamtejsi pacjenci byli tacy straszni, że pomyślałam sobie, że postaram się o jeszcze jedną próbę w wielkim złym świecie. (Tutaj przynajmniej dają noże i widelce). Spal ten ostatni list ode mnie. Spal go, proszę. O nic innego Cię nie proszę, ale błagam, żebyś to zrobił. Jedyne rzecz, jakiej nauczyła mnie dr Suzuki, to to, że przychodzi w życiu pewien moment i gdy się go przegapi, wtedy nie można już nic zmienić. Jesteś tym, kim jesteś, na dobre czy na złe, ale tym i nikim innym. Nie powinnam była opowiadać ci o tym, co się stało na schodach. Pewnie mnie nienawidzisz. Ja bym nienawidziła. I czasami serdecznie nienawidzę. Znaczą, nienawidzę siebie. Nie ufaj doradcom, terapeutom i psychiatrom. Gmerają, rozkładają na kawałki i nie

zastanawiają się, jak to wszystko z powrotem poskładać. Spal ten list. Takich listów nie powinno się przechowywać. (Zwłaszcza na Jakuszimie). Spal go.

No więc jestem w Nagano. Jakie zachody słońca mają w tych górach! Hotel leży u podnóża Hakuby – widok góry zajmuje mi całe okno. Co dzień trzeba by opisywać ją innym słowem. Powinieneś kiedyś przyjechać do Nagano. W epoce Edo wszyscy misjonarze ze stolicy zwykli tutaj przyjeżdżać na „letnisko”, uciekając przed upałami. To chyba misjonarzom powinniśmy podziękować za nazwanie tych gór „Japońskimi Alpami”. Dlaczego ludzie zawsze muszą wszystko porównywać z zagranicą? (Choćby Kagoszima – Japoński Neapol, aż zgrzytam zębami, jak to słyszę). A nikt nie wie, jak miejscowi nazywali te góry, zanim ktokolwiek słyszał o Alpach, czy nawet o Europie (Czyżbym była jedyną osobą, którą to przygnębia?). Przebywam, na prawach darmowego gościa, w małym hoteliku, prowadzonym przez kogoś, kogo znałam jeszcze w moich tokijskich czasach, wiele lat temu, po tym, jak zostawiłam Cię pod opieką Twojej babki.

Teraz ten ktoś to kawał hotelarza, całkiem porządny człowiek, nie licząc dwóch bardzo kosztownych rozwodów, na które na pewno zapracował. (Zmienił się, zanim osiągnął ten krytyczny moment w życiu, gdy nie można już niczego zmienić). Chciał, żebym mu pomogła w wyszukiwaniu lokalizacji pod nowy hotel, który zamierza wybudować zupełnie od podstaw, ale nie wie, ile piję, albo wmawia sobie, że może mnie „ocalić”. Ma dwa ulubione słówka: „projekt” i „ryzyko”, które według mnie znaczą to samo. Śniegów należy się spodziewać w początkach listopada (to tylko sześć tygodni. Kolejny rok dobiega końca). Gdyby do zimy przestało mi już być tak dobrze z moim przyjacielem, jak za dawnych dobrych

czasów, zawsze mogę wyruszyć na poszukiwanie cieplejszych klimatów. (Stare chińskie przysłowie: goście są jak ryby – po trzech dniach zaczynają cuchnąć).

Słyszałem, że przyjemnie można „przezimować” w Monte Carlo i że księżę Karol jest do wzięcia.

Zeszłej nocy śniła mi się Andżu. Andżu, syberyjski tygrys goniący mnie w metrze (wiem, że syberyjski, bo żółte pasy miał białe), i zabawa, podczas której trzeba było schować kościane jajko w bibliotece. Andżu nie daje mi spokoju.

Zapłaciłam kapłanowi majątek, żeby odprawił uśmierzające rytuały, ale lepiej bym zrobiła, wydając pieniądze na francuskie wino, bo to ono dobrze działało. Ty nigdy mi się nie śnisz – po prawdzie to w ogóle nie pamiętam swoich snów, oprócz tych z Andżu. Dlaczego tak się dzieje? Dr Suzuki chyba uważa... a zresztą, kogo to obchodzi. Tylko spal ten list, proszę.

STUDIUM OPowieści

Nietoperze wzbiły się ponad zbity brązowawy mrok. Kozłopis dumiał przy swoim sekretarzyku, wpatrzony w gąszcz mchu, dopóki nie zaczęły majaczyć cienie. – Otóż mógłbym przysiąc... – zaczął Kozłopis. Pani Grzebyk pucowała na schodach drewniaki. – Mam nadzieję, proszę pana, że nie tak jak ten SkatoSzczur, co z gęby zrobił ściek. – Kozłopis strzepnął wieczne pióro Sei Shonagon. – Mógłbym przysiąc, że w drzewiastej duszy tego lasu... daleko i głęboko...

przeblęskują blaski prawdziwie niesłychanej opowieści... – Nie było jasne, czy Kozłopis myśli na głos, czy też przemawia w milczeniu. – Szacowny wóz wjechał w ten las na tyle głęboko, na ile

pozwalala droga, i od siedmiu dni ani drgnal... rzecz zupełnie bez precedensu... Sądę, że usiłuje mi coś powiedzieć...

Wieczorem zrobiło się chłodno i pani Grzebyk dostają dreszczy. – Na kolację pudding fokstrotowy, proszę pana. Niechże pan da odpocząć oczom i rozegra małą partyjkę scrabble’a dla ślepych. – Miała nadzieję, że szacowny wóz dzisiejszej nocy wreszcie ruszy, ale wątpiła, by miało to nastąpić – Następnego dnia rano Pitekantropus przekopywał i chrzęstem głębokie pokłady węgla w poszukiwaniu diamentów. Zbliżały się urodziny pani Grzebyk, a kilka dni temu koło szacownego wozu przemknął kabriolet z nastawionym radiem, które nadawało piosenkę o tym, że diamenty są najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny. Pani Grzebyk nie była, co prawda, dziewczyną, ale Pitekantropus miał nadzieję, że mógłby się otrzeć o rolę przyjaciela. Więc kopał – głębiej niż smakowite gniazda dżdżownic, trufli i poczwerek wykopywanych przez pierwszych przodków, niż trolle głupole, krety, żarłoczne żmije i zbudzone borsuki, tam, gdzie słyszał już tylko palenisko ziemi huczące do własnego rytmu. Pitekantropus zupełnie stracił poczucie czasu, bo tam, gdzie on dotarł, nie docierały godziny. – Ty wielki, niezdarny prostaku – usłyszał znacznie później niesłychanie odległy głos. – Gdzie jesteś, kiedy cię potrzebują? – Pani Grzebyk! Pitekantropus potężnym skokiem wybił się w górę poprzez rozkopaną ziemię i w ciągu minuty ponownie znalazł się na powierzchni. Pani Grzebyk latała w kółko, trzepocząc, zupełnie jak kurczak bez głowy, i wymachiwała listem. – Jesteś wreszcie! Wszędzie porozrzucane plugastwo! – Pitekantropus chrząknął. – Pan zerwał się i wybył! Wiem, że w nocy był nieswój, a rano znalazłam ten list na jego sekretarzyku! – Wepchnęła go Pitekantropusowi, który aż jęknął – te wszystkie zakrętasy

ślizgające się na tym ich papieżu. Pani Grzebyk westchnęła: – Miałeś trzy miliony lat, żeby się nauczyć czytać! W liście stoi, że Pan poszedł do swojego plugawego lasu! Zupełnie sam! Powiedział, że nie chce nas wciągać w nic niebezpiecznego! Niebezpiecznego! A jak się natknie na łagodnego kanibala, nie mówiąc już o dzikim dziku? A jak szacowny wóz ruszy dziś w nocy? Wtedy już nigdy nie ujrzymy pana! Do tego zapomniał o inhalatorze przeciw astmie! – Pani Grzebyk zaczęła szlochać w fartuch i wielkie serce Pitekantropusa ścisnęło się boleśnie. – Najpierw jego opowieść, potem pióro, a teraz on sam się zgubił! – Pitekantropus chrząknął błagalnie.

– Czy... czy jesteś pewien? Czy umiałbyś wytropić pana w tym zalesionym na amen lesie?

Pitekantropus chrząknął zapewniająco.

* * *

Słyszę, że Buntaro otwiera sobie na dole drzwi. – Zaczekaj, już leczę! – Już druga – a dzisiaj ostatni dzień mojego wygnania. Znowu czuję się zmęczony – w nocy padało, a jakieś tłuste paluchy nie pozwalały mi zasnąć. Cały czas wydawało mi się, że ktoś usiłuje wyważyć okno. Układam kartki rękopisu, tak jak uprzednio leżały na sekretarzyku, i manewrując między książkami, ruszam do zapadkowych drzwi. – Przepraszam, Buntaro! Straciłem poczucie czasu! – krzyczę na dół. Do widzenia, koniec studiowania opowieści. Schodzę do pokoju dziennego, gdzie jakaś ciemna postać zamyka za mną drzwi. Serce podchodzi mi do gardła. Kobieta: w średnim wieku, niespeszona, zaciekawiona, przygląda mi się uważnie. Krótkie włosy, prosto zaczesane i szpakowate jak u budzącej grozę dyrektorki szkoły. Nie rzucające się w oczy ubranie, anonimowe jak

zdjęcie w katalogu wysyłkowym.

Setki razy można by obok niej przejść, w ogóle nie zwracając na nią uwagi. Chyba że zniecka pojawia się w twoim pokoju. Ma w sobie coś z sowy, a do tego jest cała pokiereszowana. Gapi się i gapi, jakby to ona miała wszelkie prawo, by tu przebywać, i jakby czekała, aż intruz – to znaczy ja – zechce się wytłumaczyć. W końcu biorę się w karby – Kim, yyy, pani jest?

– Zaprosił mnie pan, więc jestem. – Jej głosu nie sposób nie zapamiętać. Ostry jak chłosta, suchy jak pieprz.

Przypadkowa świruska? – Ale ja nikogo nie zapraszałem.

– Ależ owszem. Dwa dni temu wysłał pan zaproszenie na adres mojej skrzynki.

Do niej? – Detektyw Morina?

Kiwa głową. – Nazywam się Jamaja. – Rozbraja mnie uśmiechem przyjaznym jak cios sztyletu. – Tak, jestem kobietą, a nie przebrany facetem. Niewidzialność to główna zaleta mojego stylu pracy. Ale chyba nie jesteśmy tu po to, by omawiać sposób mojego działania, nieprawdaż? Nie proponuje mi pan, żebym usiadła? – Zbyt dziwne to wszystko. – Oczywiście. Proszę usiąść. – Pani Jamaja zajmuje miejsce na kanapie, więc ja siadam przy oknie. Ma oczy skrupulatnego czytelnika, które zamieniają mnie w książkę. Rzuca spojrzenie ponad moją głowę. – Przyjemny ogród. Przyjemna posiadłość. Przyjemna okolica. Przyjemna kryjówka.

Chyba koniec ze mną. Częstuję ją marlboro z ostatniej paczki od Daimona, ale ona odmawia potrząśnięciem głowy. Zapalam sobie. – Jak pani, yyy, mnie wyszła?

– Uzyskałam pański adres w „Tokijskim Kurierze Wieczornym”.

– Dali pani mój adres?

– Nie, powiedziałam, że go uzyskałam. Następnie dotarłam

tutaj, śledząc wczoraj wieczorem pana Ogiso.

– Pani wybaczy, ale prosiłem o akta, a nie o wizytę.

– Pan wybaczy, ale bądźmy realistami. Dostaję list od tajemniczego pana nikt, który prosi mnie o dokładnie takie same akta, jakie zebrałam na zlecenie świętej pamięci pana Morino na trzy dni przez nocą długich noży. Cóż za zbieg okoliczności. Zarabiam na życie rozwikływaniem zbiegów okoliczności. Pański list był jak krwawiące jagnię rzucone do basenu z rekinami. Miałam trzy teorie: że jest pan potencjalnym klientem, który poddaje próbie mój profesjonalizm; kimś, kto ma potencjalnie lukratywny interes z Eidzim Mijake; albo samym ojcem Eidżiego Mijake. Wszystkie trzy teorie warto było sprawdzić, co niniejszym czynię i stwierdzam, że to syn dopytuje się o ojca.

Słyszę wronę krak–kraczącą w ogrodzie. Ciekawe, co też sprawiło, że pani Jamaja jest osobą tak smutną, a przy tym tak nieustępliwą.

– Pani zna mojego ojca?

– Tylko towarzysko.

Tylko towarzysko. – Proszę pani, chciałbym to zrobić może zręcznie, ale, yyy, powiem wprost, proszę mi dać akta mojego ojca.

Pani Jamaja splata swoje długie mocne palce. – I tym sposobem doszliśmy do celu mojej wizyty. Do tego, by rozważyć tę właśnie kwestię.

– Ile?

– Panie Mijake, proszę. Oboje doskonale zdajemy sobie sprawę, że pańska pozycja finansowa jest żadna.

– Więc co chce pani tu rozważyć? To, czy zasługuję? Wrona przeskakuje na balkon i zagląda do środka. Jest wielka jak orzeł. Mruknięcie pani Jamaja z powodzeniem uciszyłoby stadion. – Nie,

ludziom, którzy obierają taką jak ja linię postępowania, nigdy nie wolno wprowadzać słówka „zasługuje” do równania.

– A co pozwala uzyskać rozwiązanie równania?

– Konsekwencja.

Dzwoni dzwonek u drzwi. Truchleję – gorący popiół opada na moje nogi.

Ponowny dzwonek. Normalna inwazja! Specjalnie zamontowane – chyba ze względu na głuchotę siostry pani Sasaki – światło parokrotnie rozbłyskuje i gaśnie.

Gaszę papierosa. Leży sobie tam, zduszony. Dzwonek znowu się odzywa – dociera do mnie cichy śmiech. Pani Jamaja siedzi bez ruchu. – Nie zamierza pan otworzyć?

– Przepraszam – mówię, kobieta przyzwalająco skłania głowę.

Ale głupek ze mnie, jestem tak zaaferowany, że nie zakładam łańcucha u drzwi, a dwóch młodych ludzi tak bardzo pragnie się ze mną spotkać, że w momencie wpadam w panikę – to pułapka zastawiona przez panią Jamaja, a ja sam się w nią wpakowałem. – Cześć! – wołają radośnie. Który z nich mówi? Nieskazitelne białe koszule, konserwatywne krawaty, lśniące, wygenerowane przez komputer włosy – kostium raczej nietypowy jak na jakuzę. Promienieją zdrowiem i pozytywnymi falami. – Cześć, łobuzie! Nie w porę? Albowiem mamy wielką nowinę! – Albo zaraz wyciągną pistolety, albo opowiedzą o rewelacyjnym systemie rabatowym kimono.

– Wy, yyy, tak? – Oglądam się za siebie.

– A załóż się! Bo widzisz, Pan Jezus Chrystus w tej właśnie chwili oczekuje pod drzwiami twojego serca – chce wiedzieć, czy znajdziesz kilka minut, żeby mógł ci opowiedzieć o radości, która stanie się także twoim udziałem – jeżeli otworzysz swoje serce i

wpuścisz Jego Miłość. – Oddycham z ulgą, co oni odczytują jako przyzwolenie i jeszcze bardziej podkrecają wzmacniacz swojej gorliwości.

– Twojemu sercu bodaj nie jest obca troska, mój przyjacielu. Przybywamy tu z Kościołem Świętych w Dniach Ostatnich – może słyszałeś o naszej pracy misyjnej?

– Nie, nie. Właściwie nie. – Kolejna głupia odżywka. Kiedy wreszcie zamykam drzwi – uśmiechy tych mormonów są nie do zdarcia – i wracam do pokoju, nikogo tam nie zastaję. Zdumiony, otwieram drzwi na balkon. Czyżbym wymyślił sobie swojego ponurego gościa? – Proszę pani? – Wrona także zniknęła. Słysząc tylko bzyczenie i odgłosy skrzypnięć i syków lata. Jakiś motyl o oczach poszukiwacza złota bierze mnie za krzew. Obserwuję go i chwile kondensują się w minuty. Kiedy wracam do pokoju, widzę to, co zrazu przeoczyłem – brązową kopertę spoczywająca na kanapie, na której siedziała pani Jamaja Z miejsca pryska najmniejsza nadzieja, że kobieta zostawiła mi teczkę z dokumentami – na kopercie widnieje napis – „Tokijski Kurier Wieczorny – skrytka korespondencyjna 333”. W środku list zaadresowany na moje nazwisko, ręką osoby bardzo starej daty, pismem z zawijasami.

* * *

Tam, gdzie gęstwa omszałych zarośli była tak zbita, że nie sposób było już posuwać się naprzód, Kozłopis wskakiwał z pluskiem do szemrzącego strumienia. Racice nie stukały w wodzie o toczące się kamienie, lecz o talerze. Woda miała kolor herbaty. Kozłopis wypił łyk – doskonałej schłodzonej herbaty. Pił, aż ugasił pragnienie i odzyskał jasność myśli. – Strumień świadomości! –

zawołał uradowany. – Zapewne jestem w podgórzu Dardżiling. – Kozłopis szedł, brodząc, w górę strumienia. Latarnia orchidei rozkwiecała mrok południa pod sztywną jak stara panną aspidistrą. Kolibry z opałowymi lotkami zapuszczały dzioby w sączące sok figi. Hen wysoko ponad baldachimem lasu prześwitywało przez kredowy pył światło dnia. Kozłopisowi wydawało się, iż te rzadkie smugi światła układają się w słowa. – Przez całe życie szukałem niesłychanej opowieści w meandrach arkanów i głębi. Czyżby moje donkiszotowskie dążenie codzienność odsłaniać miało? W oczywistości więc kryłaby się głębia?

Kozłopis brodził po spowitej w słonecznej mgłę polanie. Huśtała się tam na huśtawce jasnowłosa dziewczynka, śpiewając melodię, która nie miała ani początku, ani tytułu. Kozłopis zatrzymał się u stóp drzewa, na którym była zawieszona huśtawka. Śpiew dziewczynki był owym głosem szeptów, który stary koziół słyszał od lata noc w noc. – Poszukujesz prawdziwie niesłychanej opowieści.

– Poszybowała na huśtawce w górę, i Antarktyda odpłynęła hen.

– Tak – odparł Kozłopis.

Huśtawka opadła, a Wielka Niedźwiedzica wzeszła. – Niesłychane opowieści mieszkają w górach.

– Jak mogę odnaleźć te góry?

– Idź, jak zakręt prowadzi, do świętej sadzawki, przejdź przez mur, a potem nad wodospadem.

– Nad wodospadem...

Jasnowłosa dziewczynka znów poszybowała w górę. – Gotów jesteś zapłacić?

– Przez całe życie płaciłem.

– Ależ Kozłopisie. Jeszcze nie za wszystko zapłaciłeś.

– Cóż jeszcze mogło pozostać do zapłacenia, powiedz, proszę?

Huśtawka opada na ziemię, zupełnie pusta.

Kiedy Kozłopis dotarł do świętej sadzawki, zdjął okulary, by wytrzeć je z wody rozpylanej przez wodospad, ale ze zdumieniem stwierdził, że lepiej widzi bez nich.

Zostawił je więc na marmurowej skale i nad stawem zastanowił się. Osobliwa rzecz. Po pierwsze, wodospad toczył swoje wody bezgłośnie. Po wtóre, woda nie spadała z wysoka w przepaść, lecz tryskała ku górze, niespokojnym, zawrotnym, spienionym – ale milczącym – strumieniem. Na skalnej ścianie Kozłopis nie zauważył żadnej ścieżki. Mówił do siebie, lecz żadnego dźwięku nie słyszał. – Nie jestem już przecież dzieckiem. Za stary już jestem na śledztwa w lesie symboli. – Zastanawiał się, czy nie zawrócić, mimo że jedenasta już minęła. Pani Grzebyk oszaleje, jeżeli nie zdoła wrócić – ale jest przecież Pitekantropus, który musi się nią zająć i który się nią zajmie. Pisarz tkwiący w zwierzęciu westchnął. Pomyślał o swojej prawdziwie niesłychanej opowieści i skoczył z marmurowej skały. Woda w sadzawce była zimna i pochłonęła go tak nagle jak sama śmierć.

* * *

Tokio, środa, 20 września

Drogi Eidzi Mijake,

mam nadzieję, że wybaczysz mi nagły, nietypowy i może natrętny charakter tego listu. Całkiem możliwe zresztą, że Ty i zamierzony odbiorca tego listu nie jesteście tą samą osobą, co mogłoby spowodować poważnie zamieszanie. Niemniej jednak sądzę, że jest to ryzyko, które warto podjąć. Pora na wyjaśnienie.

Piszę w odpowiedzi na ogłoszenie, jakie 14 września pojawiło się w dziale osobowym „Tokijskiego Kuriera Wieczornego”. Dopiero dziś

rano zwrócił na nie moją uwagę znajomy, który mnie odwiedził. Powinienem może wyjaśnić, że wracam do zdrowia po operacji zastawek sercowych. Zwracałeś się do wszelkich krewnych Eidżiego Mijake z prośbą o odpowiedź. Sądzę, że mogę być Twoim dziadkiem ze strony ojca.

Dwadzieścia lat temu mój syn spłodził parę nieślubnych bliźniaków – chłopca i dziewczynkę. Zerwał stosunki z ich matką, kobietą niegodnego zajęcia, i o ile mi wiadomo, nigdy owych bliźniąt nie widział. Nie wiem, gdzie te dzieci się chowały i kto się nimi zajmował, można przypuszczać, że rodzina ze strony matki.

Dziewczynka najwyraźniej utonęła, gdy miała jedenaście lat, ale chłopiec miałby teraz dwadzieścia. Nigdy nie wiedziałem, jakie nazwisko nosi ich matka, ani nie widziałem zdjęć moich nieślubnych wnuków. Z synem nigdy nie łączyły mnie serdeczne więzi, jak można by oczekiwać, a od jego ślubu pisywaliśmy do siebie jeszcze rzadziej. Poznałem jednak imiona tych bliźniaków, których jest ojcem: stąd ten list. Dziewczynka miała na imię Andżu, a chłopiec Eidżi, pisane nie pospolicie (kandzi oznaczające „mądry” i „dwa” lub „zarządzać”), ale nader nietypowymi znakami kandzi oznaczającymi „zaklinać” i „świat”. Tak jak w Twoim przypadku.

Nie chciałbym rozpisywać się w tym liście, jako że „dowód” z kandzi o niczym nie przesądza. Spotkanie twarzą w twarz pozwoli, jak sądzą, rozstrzygnąć tę dwuznaczność: jeżeli łączy nas pokrewieństwo, to jestem pewien, że odnajdziemy cechy fizycznego podobieństwa. 25 września, w poniedziałek, będę w herbaciarni Amadeusz, na dziewiątym piętrze hotelu Royal Righa, przy stoliku zarezerwowanym na moje nazwisko. Przyjdź, proszę, o 10, z jakimkolwiek namacalnym dowodem swojego pochodzenia, w którego posiadaniu jesteś.

Tuszę, iż zdajesz sobie sprawę z delikatnej natury tej kwestii i zrozumiesz, że na razie ociągam się z udostępnieniem Ci szczegółów dotyczących mojego adresu.

Jeżeli jesteś innym Eidżim Mijake, choć używasz tych samych znaków kandzi, to przyjmij, proszę, moje szczerze przeprosiny za to, że niepotrzebnie obudziłem Twoje nadzieje. Jeżeli jesteś tym Eidżi Mijake, którym, mam nadzieję, jesteś, to mamy wiele spraw do omówienia.

*Szczerze oddany
Takara Tsukijama*

Po raz pierwszy od przyjazdu do Tokio czuję czyste, niczym nie zmaćcone szczęście. Napisał do mnie mój dziadek. Przecież spotkanie z dziadkiem oznacza także spotkanie z ojcem. „Mamy wiele spraw do omówienia”! No i co, myślałem z rozpaczą, że wszystko przepadło, a tymczasem nawiązanie kontaktu z ojcem okazało się tak proste, jak to zawsze sobie wyobrażałem. Poniedziałek – jeszcze tylko dwa dni! Mój dziadek posługuje się językiem ludzi wykształconych – na pewno ma większy wpływ na politykę rodziny niż moja paranoidalna macocha.

Robię sobie zieloną herbatę i wychodzę do ogrodu, żeby zapalić kenta – wybór Buntara, bo po marlboro już śladu nie ma. Tsukijama – ale nazwisko – pisane przy użyciu kandzi oznaczających „księżyc” i „górze”. Ogród szemrze pięknem, prawością i życiem. Szkoda, że poniedziałek nie może zacząć się za piętnaście minut. Która jest tak naprawdę? Wracam i sprawdzam na zegarze, który pani Sasaki przyniosła w połowie tygodnia. Jeszcze trzy godziny do przyjścia Buntara.

Łapię przelotne spojrzenie mojej nieobecnej gospodyni, która spogląda z muszlowej ramki. – W końcu szczęście się do ciebie

uśmiechnęło. Zadzwoń do Ai.

Z tym ogłoszeniem w dziale osobowym to był jej pomysł, pamiętasz? Dalej.

Nieśmiałość o brzasku swoje powaby ma, lecz ta, która w muszli się skrywa, niewiele ci da.

– To niby miał być rym?

– Nie zmieniaj tematu! Zabieraj się, znajdź numer do niej i dzwoń.

Zgiełk supermarketu taki sam jak ostatnio, za to ja jestem inny. Cóż, rzeczywistość tworzy uporządkowaną sieć przepływu wątków drugoplanowych.

Choćby te wszystkie samochody – przejeżdżają, a jednak nie wpadają na siebie.

Porządek trudno dostrzec, ale on istnieje, utajony w chaosie. Przetrwalem więc piekielnych dwanaście godzin, i co? Inni wytrzymują po dwanaście piekielnych lat i doczekują się chwili, w której mogą opowiedzieć swoją opowieść. Życie toczy się dalej. Na szczęście. Pod schodami wyjścia awaryjnego w @Unialo znajduję budkę telefoniczną. Urządzenia te staną się czymś tak samo niecodziennym jak latarnie gazowe, gdy telefony komórkowe opanują świat. Podnoszę słuchawkę i zamieram w bezruchu. Ty tchórzu! Postanawiam, że najpierw skoczę się ostrzyc – Mijake, ty glisto bezkręgowa – do Fryzjera Gendzi. Mieści się pod jednym z tych czerwono-biało-niebieskich masztów w paski – Andzu miała nadzieję, że kiedyś zrozumie, jak to jest z tymi paskami, nawijają się, czy też odwijają, ale nigdy się tak nie stało.

Dla niej to było jasne jak słońce. Gendzi to ciasna klitka, w której ciągnie zimnem od klimatyzacji – jestem jedynym klientem – malowana ostatnio w czasach kapitulacji Japonii. W niemy

telewizorze pokazują wyścigi konne. Powietrze tak gęste od oparów lakieru i toniku, że wystarczyłaby chyba zapałka, aby cały budynek wyleciał w powietrze. Sam Gendzi to starzec ze sterczącymi z nosa włosami, który trzęsącymi się rękami zamiata podłogę. – Wejdz, synu, wejdz – wskazuje puste krzesło. Siadam, a on zamasyście zarzuca mi na ramiona obrus. W lustrze wygląda to tak, jakby od głowy odcięto resztę ciała. Wzdragam się na myśl o tym, co zobaczyłem w kręgielni. – A czemu taka smutna mina, synu? – pyta Gendzi, opuszczając nożyczki. – Cokolwiek by cię gryzło, to życie na pewno nie dopiekło ci tak, jak mojemu poprzedniemu klientowi. Biznesmenowi, któremu, sądząc po garniturze, dość dobrze się powodzi, ale takiego nieszczęśnika jeszcze nie widziałem! – Gendzi opuszcza grzebień. – Mówię: „Przepraszam, że pytam tak bez ceregieli, ale czy pana coś nie gnębi?”. Klient wzdycha i wreszcie mówi: „Kokotka zmarła w zeszłym tygodniu”. Więc ja pytam: „Kokotka to pański pudel?”. „Nie”, odpowiada klient, „moja żona” – Gendzi przerywa, żeby otworzyć butelkę sake. Jednym haustem wypija połowę i chwiejnym ruchem stawia ją na półce lustra. – „To tragiczne, proszę pana”, mówię na to. „Mam nadzieję, że znalazł pan ukojenie w ciężkiej pracy”. Ale klient powiada: „Wczoraj wszystko mi się spaliło”. Ja na to: „Straszne. Czy ten pożar miał jakiś związek, rozumie pan, z depresją, jaką spowodowało odejście żony?”. On wzdycha: „Niezupełnie. Podpalono mnie w związku z moimi działaniami szpiegowskimi” – Gendzi przerywa, żeby dokończyć swoją sake, chwyta na chybił trafił butelkę z tonikiem i bez mrugnięcia wypija prawie całą zawartość. – To mnie cofnęło, mówię panu! „Szpiegostwo? Jeszcze nigdy nie siedział u mnie na fotelu szpieg. Dla kogo pan pracował? Dla Chin? Dla Rosji? Północnej Korei?”. „Nie”, on na to z pewną dumą, „dla

najpotężniejszego państwa na całej kuli ziemskiej. Dla Królestwa Tonga”. – Gendzi włącza maszynkę elektryczną – bez skutku, więc okręca ją młynkiem na sznurze i wali o ladę. Maszyna z warkotem rusza. – Więc mówię: „Królestwo Tonga? Nawet nie wiedziałem, że ono ma tajne służby”. „Nikt nie wie. Kapitalne, co?”. Ja na to: „To pewnie uchodzi tam pan za bohatera narodowego. Czemu pan nie wyemigrował? Powitają pana z otwartymi rękami” – Gendzi strzyże mnie koło uszu. – Klient krzywi się: „Parę dni temu doszło tam do przewrotu pałacowego. Wojskowi, którzy teraz doszli do władzy, zdemaskowali mnie jako podwójnego agenta i wczoraj skazano mnie na śmierć przez powieszenie”. Ja na to: „No ale przecież nadal jest pan cały i zdrowy” – Gendzi odkłada maszynkę i bierze nożyczki. – I w tym momencie klient dostał takiego ataku kaszlu, że z lustra musiałem ścierać krew. „Hmm... Może powinien pan wrócić do dawnego zajęcia, rozumie pan, do tego, czym się pan zajmował, zanim pan został szpiegiem”. On po raz pierwszy rozjaśnia się. „Byłem pilotem”, powiada. Ja na to: „To dlaczego nie stara się pan o zatrudnienie w liniach lotniczych?”. On jak nie kichnie i, przysięgam, synu, wypada mu prawe oko! Toczy się po sali, jak nic! On na to: „Cholera! To było moje najlepsze oko!”. Może pan sobie wyobrazić, jak jestem już podenerwowany, i mówię mu: „To może napisze pan autobiografię? Pana życie mogłoby okazać się tragedią godną Oscarów?” – Gendzi tnie, tnie, tnie. – „Film, jaki nakręcili na podstawie mojej autobiografii, dostał trzy Oscary”. – Ja na to: „Wspaniale, proszę pana! Wiedziałem, że w tym tunelu jest jakaś iskierka nadziei!”. Ale on mówi: „Dostał trzy Oskary, ale osiemnaście miesięcy po tym, jak agent uciekł z moim scenariuszem. Hit za wiele milionów dolarów, a ja nie ujrzałem ani jena. Najgorsze, że wie pan, kto mnie zagrał? Johnny’ego Deppa

mógłbym znieść, ale Bruce’a Willisa?”. Mam to skrócić synu?

* * *

Tymczasem, ponownie w omszałym lesie, pani Grzebyk i Pitekantropus utknęli pomiędzy skałą, twardym gruntem a kiściami liści. Pitekantropus podrapał się w głowę i chrząknął. Siady Kozłopisa poplątały się, co prawda, ze śladami świętych krów i białych słoni, ale Pitekantropus nic nie mówił z obawy o panią Grzebyk, której nie chciał przygnębiać. Ona zaś usadowiła się na pokrytym grzybami niczym pierzem pniu drzewa. – Zapewne już minęła pora drugiego śniadania pana o jedenastej... gdyby tylko uprzedził mnie, że idzie się powalęsać, to byłabym mu coś przedziutko naszykowała... Nagle ze ściany nieprzeniknionych zarośli wypadł ktoś z trzaskiem i jak długi rozciągnął się u ich stóp. Zaskoczona pani Grzebyk zaskrzeczała, a Pitekantropus jednym susem znalazł się między nią a nieznanym. Wydawało się, że nic im z jego strony nie grozi: podniósł się, otrzepując z gnijących liści tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, i poprawił poklejone plastrem okulary w rogowej oprawie. Nie zauważył też niczego niezwykłego w tym, że w tym pierwotnym lesie natknął się na nadwrażliwą kurę i dawno wymarłego przodka homo sapiens. – Widzieliście je?

Pani Grzebyk poczuła się cokolwiek urażona tym bezceremonialnym obejściem. – A kogo?

– Słowopsy.

– Czy to nie te okrutne, obślinione, gadające psy, które widzieliśmy na marginesie?

– To chyba one. – Speszył się, położył palec na ustach i spojrzał na Pitekantropusa. – Słyszycie coś? – Zapadła taka cisza, że aż

można by nabić sobie o nią guza. Pitekantropus chrząknął, że „Nie”. Pisarz wysunął długi cierń ze swojej korony. – Wiele lat temu napisałem pokupną powieść. W ogóle nie myślałem, że ktoś będzie chciał ją wydać, ale widzicie, tak właśnie się stało, wyrwano mi ją i im bardziej chciałem, żeby każdy z ocalałych egzemplarzy eksplodował niczym purchawka, tym więcej egzemplarzy tego pożał się Boże dzieła sprzedawano. Te błędy, te pozy, ta buta! Ach, duszę bym zaprzedał, żeby tylko spalić cały nakład.

Ale niestety, Mefistofeles w ogóle nie odpowiedział na mój faks, i słowa, które spuściłem ze smyczy, już mnie nie odstępowały, niczym psy.

Pani Grzebyk uważnie przysłuchiwała się, siedząc na swoim pniu. – A może ustąpić?

Pisarz oparł się o skałę. – żeby to było takie proste. Stukałem schronienia w szkołach myślenia, splątanych metaforach, halach odlotów do zapoznanych stanów, ale prędzej czy później słyszałem odległy jazgot i już wiedziałem, że to moje słowa mnie dopadają... – Bolesne zatroskanie malujące się na jego twarzy ustąpiło miejsca podejrzliwości. – Ale co wy robicie w głębi omszałego lasu?

– Nasz przyjaciel gdzieś się zawieruszył, nie widział go pan? Rogi, broda, racice?

– Jeżeli nie jest wcielonym diabłem, to pewnie jest pisarzem albo szaleńcem.

– Pisarzem. Skąd pan wie?

– Musi być kimś z tej trójki, bo nikt inny nie zaszył by się w środku lasu. Ciiii! – Oczy pisarza robią się okrągłe ze strachu. – Ujadanie! Nie słyszycie tego ujadania?

– pitekantropus chrząknął cicho i potrząsnął głową. – Kłamcy! – syknął pisarz. – Kłamcy! Jesteście w zмовie z psami! Przejrzałem

waszą grę! Są wśród drzew!

Nadchodzą! – Zerwał się i ruszył z trzaskiem przez zarośla. Pani Grzebyk i Pitekantropus spojrzeli po sobie. Pitekantropus chrząknął. – Zbzikowany – przytaknęła pani Grzebyk – jak czubek w czapce! – Pitekantropus obejrzał uważnie otwór widniejący pośród kiści liści. Chrząknął. W głębi płynął bezgłośny strumień.

– Pośpiesz się, ślamazaro! – Pani Grzebyk, trzepocząc, przeskakiwała ze skały na skałę, podczas gdy Pitekantropus brnął pod prąd strumienia barwy herbacianej przepływającego nad stukotem obiadowych talerzy. Tak więc to pani Grzebyk jako pierwsza dotarła do świętej sadzawki. Sekundę później spostrzegła spoczywające na marmurowej skale szacowne okulary Kozłopisa. I wreszcie, tertio, ujrzała ciało najlepszej i najdroższej istoty unoszące się w wodzie.

– Proszę pana! Proszę pana! Trzeba coś zrobić! – i ruszyła, poczwarnie trzepocząc nad sadzawką, nie zważając ani na tryskający w górę wodospad, ani na tłumiącą mufkę ciszy. Po piątym machnięciu skrzydeł dotarła do głowy Kozłopisa.

Pitekantropusowi zaś szósty zmysł podpowiadał, że święta sadzawka to śmierć, ryknął więc ostrzegawczo, ale dźwięk nie popłynął, pozostało mu więc tylko patrzeć w rozpacz, jak jego ukochana poślizgnęła się, końcem skrzydła wodę tknęła i bez życia obok Kozłopisa pacnęła. Siedmioma więc susami znalazł się na szczycie marmurowej skały, gdzie ośmiokrotnie zawył, rozdzierany niemym smutkiem. Okładał skałę, aż pięści zaczęły mu krwawić. I nagle spokój ogarnął naszego pierwszego przodka. Wyrwał z włosów lepkie rzepy i zaczął wspinać się po litej skalnej ścianie, aż dotarł do nawisu, niczym brew zwieńczającego jej oblicze. Do dziewięciu doliczył, bo tyle Kozłopis zdołał go nauczyć, i skoczył w

dół, celując w mały punkt między ciałami przyjaciół. Co za skok, idealny jak dziesięć. I żadna myśl nie zaprzętnęła Pitekantropusowej głowy, gdy wchodził do świętej wody. I choć słowo „spokój” nie było mu znane to właśnie spokoju zaznać było mu dane.

* * *

– Dzień dobry. Jupiter Cafe. Nagamini. Oślica. Chyba.

– Yyy, dzień dobry. Czy mógłbym rozmawiać z panną Imadzo?

– Przykro mi, ale ona dzisiaj nie pracuje.

– Oo. Mogłaby mi pani wobec tego powiedzieć, kiedy przypada jej zmiana?

– Przykro mi, ale nie.

– Oo. Ze względu, yyy, na bezpieczeństwo? Oślica ryczy ze śmiechu. – Nie, to nie to. Ostatnią zmianę panna Imadzo miała w niedzielę, rozumiesz?

– Oo...

– Studiuje muzykę i znowu zaczyna się rok akademicki, więc musiała zrezygnować z dorywczego zajęcia, żeby skupić się na studiach, rozumiesz.

– Rozumiem. Miałem nadzieję, że złapię z nią kontakt. Jestem jej przyjacielem.

– No tak, skoro jesteś jej przyjacielem i w ogóle...

– Więc może ma pani numer jej telefonu? Na podaniu albo w aktach?

– Nie mamy tu ani podań, ani akt. A panna Imadzo pracowała tu tylko przez miesiąc. – Oślica pomrukuje, namyślając się. – Nie trzymamy żadnych akt ani tego wszystkiego z powodu braku miejsca. Nawet w naszej szatni jest mniej miejsca niż w tych

pudełkach, które magicy przebijają szpadami. To nieuczciwe. W oddziale w Jojodzi, rozumiesz, mają taką szatnię, że można nawet...

– Bardzo dziękuję, proszę pani, ale...

– Zaraz! Zaraz! Panna Imadzo zostawiła swój numer, ale tylko jakby zadzwonił ktoś, kto nazywa się Eidzi Mijake.

No zabiję się. – Tak. Nazywam się Eidzi Mijake.

– Naprawdę? – wyje oślica.

– Naprawdę.

– No naprawdę! Czy to nie zabawny zbieg okoliczności?

– Chyba nie.

– Panna Imadzo powiedziała, że tylko jak zadzwoni ktoś, kto nazywa się Eidzi Mijake. I dzwonisz ty, i nazywasz się Eidzi Mijake! No tak jak mówiłam, nie.

„Prawda jest dziwniejsza od rzeczywistości”. Widziałam, jak trzasnęłaś głową tego paskudnika. To musiało boleć!

– Proszę pani, zechce mi pani podać numer do panny Imadzo?

– Już, chwileczkę, zastanawiam się, gdzie go położyłam?

Ai Imadzo ma numer dziesięciocyfrowy. Dochodzę do dziewiątej i czuję paralizujący strach, który wpełza mi do ręki. A jeżeli będzie skrępowana moim telefonem? A jeżeli pomyśli, że jestem namolnym typem, który nie chce się od niej odczepić? A jeżeli odbierze jej chłopak? Albo ojciec? A jeżeli odbierze sama Ai Imadzo? Co mam powiedzieć? Rozglądam się po Unialo. Kupowanie, naciąganie, przestrzeń. Wskazującym palcem wciskam ostatnią cyfrę. Trwa łączenie. Gdzieś w odległym mieszkaniu dzwoni telefon. Ktoś wstaje, może zatrzymuje wideo albo odkłada pałeczki, przekłete oczekiwanie...

– Halo? – Ona.

– Yyy... – usiłuję wydobyć z siebie głos, ale słyszę tylko jakiś

suchy, spazmatyczny skrzek.

– Halo?

Powinienem to sobie lepiej zaplanować.

– Halo? Dowiem się, z kim rozmawiam?

Odzyskuję głos. – Halo, czy to Ai Imadzo? – Głupie pytanie.

Przecież wiem, że to Ai Imadzo. – Ja, yyy mnie, yyy...

Wygląda na to, że się cieszy. – Mój rycerz w lśniącej zbroi.

– Skąd wiesz?

– Poznałam po głosie. Skąd masz mój numer?

– Pani Nagamini z Jupiter Cafe podała mi. Wreszcie. Jeżeli dzwonię nie w porę, to może, yyy...

– Skądże, jak najbardziej w porę. Usiłowałam cię wytropić w biurze rzeczy znalezionych w Ueno, gdzie, jak mówiłeś, pracujesz, ale powiedzieli mi, że nagle wyjechałeś z miasta.

– Tak, pani Sasaki mówiła mi.

– Czy chodziło o kogoś z twoich krewnych?

– Poniekąd. To znaczy, nie. W jakimś sensie, tak.

– Dobra, to i tak już załatwione. A gdzie zniknąłeś wtedy w Ksanadu?

– Pomyślałem sobie, że organizatorzy i muzycy będą chcieli z tobą pogadać.

– No właśnie! Przydałaby mi się twoja głowa. A boli jeszcze? Nie uszkodziłeś sobie na dobre mózgu?

– Nie, mózg w porządku, dzięki. Normalka. Bawi ją to.

Zaczynamy mówić równocześnie.

– Najpierw ty.

– Nie, ty najpierw.

– Ja, yyy – krzesło elektryczne w porównaniu z tym to przyjemność – ciekaw jestem, czy, to znaczy, jeżeli nie, to

oczywiście wszystko w porządku – nigdy nie posyłaj armii do boju, jeżeli nie masz zapewnionego odwrotu – więc, yyy, czy to w porządku, że dzwonię.

Cisza.

– Więc dzwonisz do mnie, Mijake, po to, żeby mnie zapytać, czy to w porządku, że dzwonisz, tak?

Naprawdę powinienem to sobie lepiej zaplanować.

* * *

Chodzenie nabrało uroku, odkąd Kozłopis pozbył się w świętej sadzawce swojego zreumatyzowanego ciała. Bambusy rozchyłały się na boki, pozwalając mu przejść, a lelki trenowały ćwiartkowe trele. Przed Kozłopisem wyrósł dom. Dziwna budowla jak na płaskowyż Lapsang Suczang, choć na jakimś sennym przedmieściu, w otoczeniu stawu z wodną roślinnością i ważkami, wydawałaby się całkiem na miejscu. Kamienne latarnie jarzące się na wyspie. Łaciaty królik znikający w gęstwie rozplenionych romboidalnych rabarbarów. Pod dachem widniało otwarte trójkątne okno. Powietrze wypełniały szepty. Kozłopis wszedł na ścieżkę prowadzącą do frontowych drzwi. Nie zamykająca niczego klamka ustąpiła bez oporu, drzwi rozsunęły się i Kozłopis wszedł po jaśniejących schodach na poddasze. – Dzień dobry – powiedział sekretarzyk. – Wszystkiego najlepszego – powiedziało pióro Sei Szonagon.

– Ale przecież zostawiłem was w szacownym wozie! – zawołał Kozłopis.

– Przybywamy tam, gdzie jesteś – wyjaśnił sekretarzyk.

– Od kiedy umiecie mówić?

– Odkąd ty nauczyłeś się słyszeć – odpowiedziało pióro Sei

Szonagon, które wyostrzyło sobie stalówkę na osełce oryginalnego dowcipu swojej pani. – Możem zacząć? – zaproponował sekretarzyk. – Pani Grzebyk i Pitekantropus za chwilę dołączą. – Kozłopis sięgnął po świeży arkusz papieru. Za oknem, za górami, dolinami deszczowymi lasami, slumsami, posiadłościami, wyspami równinami, dziewięcioma kątami kompasu, z przymglonego nieba z wolna opadał spokój.

Rzeczywistość kartką się mieni. Życie – słowem.

Sześć

KAI TEN

Herbaciarnia Amadeusz jest jak weselny tort – pastelowy, lukrowany, ozdobiony zakrętami i rowkami. Ciotka Kasa przyznałaby mu swoje najwyższe odznaczenie: „Oszłamiający”. Co do mnie, to aż mnie korci, żeby wysmarować farbą w sprayu te kremowe dywany, mleczne ściany i maślane tapicerki. Hotel Righa Royal znalazłem od razu, co sprawiło, że pozostała mi jeszcze godzina i dla zabicia czasu chodziłem po Haradzuku. Senne ekspedientki czyściły w porannym chłodzie witryny butików, kwiaciarki polewały chodniki wodą z węży. Popycham kostkę lodu w szklance z wodą. Mój dziadek ma tutaj być za piętnaście minut.

„Dziadek”, jako słowo, nabierze nowego znaczenia. Dziwne, jak słowa przybierają znaczenia i je zrzucają. Aż do ubiegłego tygodnia „dziadek” oznaczało człowieka widniejącego na ziarnistej fotografii stojącej na rodzinnym ołtarzu mojej babki. – Zabrało go morze – tylko to zawsze mówiła o swoim nieżyjącym od dawna mężu.

W folklorze Jakuszimy zapisał się jako rabuś i gazer, który pewnej wietrznej nocy spadł z kei w porcie i zniknął. Pani Oki nie miała już nic do powiedzenia.

Herbaciarnia Amadeusz jest na tyle elegancka, że zatrudnia szefa sali. Stoi za swego rodzaju podwyższeniem przy perłowej furtce i przegląda księgę rezerwacji, wydaje Polecenia kelnerkom i przebiera palcami. Czy szefowie sali uczęszczają do jakiejś szkoły dla szefów sali? Ile zarabiają? Ćwiczę przebieranie palcami i w tejże chwili szef sali świdruje mnie wzrokiem. Opuszczam ręce i srodze speszony wyglądam przez okno. Przy sąsiednich stolikach

mająte żon omawiają tajniki swego zajęcia. Biznesmeni przerzucają uważnie płachty gazet i stukają w klawiatury laptopów wielkości wróbla. Wolfgang Amadeusz Mozart spogląda z fresku na suficie, gdzie widnieje w otoczeniu margarynowych cherubinów dmuchających w trąbki. Jest nalany i ma ziemistą cerę – nic dziwnego, że umarł młodo. Strasznie chce mi się palić. Mozart ma pewnie wspaniały widok przez to panoramiczne okno.

Tokijska Wieża, PanOpticon, Park Jojodzi, po którym łążą sprośni starcy z teleobiektywami. Na niebotycznym chromowym bloku olbrzymi żuraw wznosi w skali model samego siebie. Zbiorniki z wodą, anteny, dachy. Niebo przemaka plamami koloru khaki. Ktoś rytmicznie uderza srebrną łyżeczką o filiżankę z przezroczystej chińskiej porcelany – nie, to zegar na obramowaniu kominka obwieszcza, iż dochodzi dziesiąta. Szef sali kłania się i z tak okazaną rewerencją wprowadza starszego pana.

To on!

Mój dziadek spogląda na mnie – wstaję, podekscytowany, nagle zdeprimowany – i patrzy z owym „tak, to ja”, z jakim występujemy, przychodząc na spotkanie z nieznanym. Nie mogę powiedzieć, żeby był do mnie podobny, ale też nie mogę temu zaprzeczyć. Mój dziadek chodzi o lasce, ma na sobie bawełniany mundur marynarki i wiązany krawat ze spinką. Szef sali pędzi przed nim i przygotowuje krzesło. Dziadek ściąga usta. Cerę ma w plamach, chorobliwie szarą.

Bezskutecznie usiłuje ukryć, jak wiele wysiłku kosztuje go chodzenie. – Eidzi Mijake, jak się domyślam? – składam ukłon na osiem ósmych, starając się powiedzieć coś stosownego. Mój dziadek, rozbawiony, odkłania się z nieco mniejszą ostentacją. – Panie Mijake, muszę poinformować pana na wstępie, że nie jestem

pańskim dziadkiem.

Prostuję się. – Ooo.

Szef sali wycofuje się, przybysz siada, a ja nadal bezradnie stoję. – Ale przyszedłem tu na prośbę pańskiego dziadka, żeby omówić kwestie związane z rodziną Tsukijama. Usiądź, chłopcze. – Obserwuje każdy mój ruch. Brwi ma obwisłe, ale pod nimi oczy tnące jak laser. – Nazywam się Raizo. Z twoim dziadkiem znamy się od kilkadziesiąt lat. Wiem, kim jesteś, Mijake. I faktycznie to ja zwróciłem uwagę mego przyjaciela na ogłoszenie w dziale osobowym. Tak.

Jak wiesz, twój dziadek jest na rekonwalescencji po poważnej operacji serca.

Rokowania lekarza były bardzo optymistyczne, ale dziadek musi pozostać w szpitalu jeszcze przez trzy dni. Stąd moja obecność zamiast jego. Pytania.

– Czy mogę go odwiedzić?

Pan Raizo potrząsa głową. – Twoja macocha dogląda go w szpitalu i... jak mam to ująć...?

– Uważa mnie za pijawkę, która chce wyssać pieniądze z Tsukijamów.

– Otóż to. Tak gwoli formalności: czy takie są twoje zamiary?

– Nie, panie Raizo. Pragnę jedynie spotkać się z ojcem. – Ile jeszcze razy będę musiał to powtarzać?

– Twój dziadek jest przekonany, że najmądrzejszą strategią ubezpieczającą przed obawami twojej macochy jest w tym momencie dyskrecja. Panienko! – Pan Raizo przywołuje gestem przechodzącą kelnerkę. – Proszę jeden z moich gigantycznych koniaków. A ty, co pijesz, Mijake?

– Yyy, proszę zieloną herbatę.

Kelnerka zwraca się do mnie z wyuczonym uśmiechem. – Mamy osiemnaście rodzajów...

– Proszę przynieść chłopcu czajnik z herbatą, u licha!

Kelnerka kłania się i uśmiecha niezrażona. – Tak, panie admirale.

Admirale? I co jeszcze? – Admirał Raizo?

– Stare dzieje. Wystarczy „pan”.

– Proszę pana. Czy rzeczywiście zna pan mojego ojca?

– Szczere pytanie wymaga szczerej odpowiedzi. Z tego, że nim pogardzam, nie robię żadnej tajemnicy. Od dziewięciu lat unikam jego towarzystwa. Od chwili, gdy dowiedziałem się, że sprzedał miecz Tsukijamy. Od pięciu wieków, Mijake, należała do jego – twojej – rodziny. Od pięciuset lat! To niesłychane uchybienie, że twój ojciec przehandlował pięć wieków Tsukijamów, nie wspominając już o tych którzy dopiero mają się narodzić. Niesłychane! Twój dziadek, Takara Tsukijama, należy do ludzi wierzących w więzy krwi. Twój ojciec zaś do tych, którzy wierzą we wspólne przedsięwzięcia kapitałowe na Formozie. Czy wiesz, gdzie obecnie znajduje się miecz Tsukijamy? – Admirał mówi z trudem. – Znajduje się w sali konferencyjnej fabryki pestycydów w Nebrasce! I co ty na to, Mijake?

– To chyba wstyd, ale...

– To zbrodnia, Mijake! Twój ojciec jest człowiekiem wypranym z honoru!

Kiedy odchodził od twojej matki, porzucił ją sobie beztrosko, ani myśląc o jej przyszłości! To twój dziadek zapewniał jej finansowe wsparcie. – To coś nowego dla mnie. – Kodeksy honorowe obowiązują, nawet gdy chodzi o konkubinę. To sprawa krwi, Mijake! Więzy krwi tworzą materię życia. Istotę tożsamości!

Wiedza o tym, skąd się pochodzi, stanowi warunek konieczny samoświadomości. – Podchodzi kelnerka ze srebrną tacą i stawia nasze napitki na koronkowych matach.

– Zgadzam się, że więzy krwi mają zasadnicze znaczenie, proszę pana. Dlatego tu jestem.

Admirał z ponurą miną zaciąga się aromatem brandy. Ja popijam mdłą herbatę. – Wiesz, Mijake, lekarze powiedzieli mi, żebym dał sobie spokój z tym wszystkim. Ale pośród znajomych więcej mam podstarzałych żeglarzy niż lekarzy.

– Jednym haustem wypija pół kieliszka, odchyła głowę do tyłu i smakuje każdą kroplę napitku. – Twoje przyrodnie siostry są już stracone. Dwie piszczące prostaczki – w jakimś college’u dla półinteligentów. Wstają o jedenastej w południe.

Malują się białą szminką, chodzą w kosmicznych butach, kowbojskich kapeluszach, ukraińskich ludowych przepaskach. Włosy farbują na kolor ścieków.

Twój dziadek ma nadzieję, że jego wnuk – to znaczy ty – wyznaje bardziej wzniosłe zasady niż tamte orędowniczki najnowszych hitów popu.

– Proszę pana, zechce mi pan wybaczyć, jeżeli... to znaczy... mam nadzieję, że mój dziadek nie upatruje we mnie jakiegoś przyszłego spadkobiercy. Kiedy twierdzę, że nie jest moim zamiarem wtargnięcie na siłę do genealogii rodu Tsukijama, niczego innego nie mam na myśli.

Zniecierpliwiony pan Raizo pohukuje: – Kto, co, gdzie, kiedy, dlaczego, czyje...

Słuchaj, dziadek chce, żebyś to przeczytał. – Kładzie na stole paczkę owiniętą w czarną tkaninę. – Pożyczka, nie prezent. Ten dziennik to jego największy skarb.

Strzeż tego jak oka w głowie i przynieś, gdy za siedem dni spotkasz się ze swoim dziadkiem. Masz. O tej samej porze – tysiąc godzin – przy tym samym stoliku.

Pytania?

– Nawet się nie znamy, więc czy to rozsądnie powierzać mi tak...

– Istna głupota, mówię. Skopiuj to, powiedziałem upartemu wariatowi. Nie dawaj chłopakowi oryginału. Ale on się uparł. Kopia byłaby pozbawiona duszy, nie byłaby czymś niepowtarzalnym. To on tak mówił, nie ja.

– Ja, yyy... – rzucam okiem na czarne zawiniątko. – Czuję się zaszczycony.

– Bo i jesteś. Twój ojciec ani strony nigdy z tego nie przeczytał. Pewnie puściłby to na aukcji w tym swoim „Inter Necie” temu, kto dałby najwięcej.

– Proszę pana, czy mógłby mi pan powiedzieć, czego oczekuje mój dziadek? – Kolejne szczere pytanie. – Admirał dopija swój koniak. Klejnot w spince od krawata jaśnieje błękitem kosmicznej głębi. – Powiem ci coś. Starzenie się jest kampanią w której zwyciężyć nie sposób. W czasie tej wojny jesteśmy świadkami paskudnych scen. Prawdy przeradzają się w ka rysy. Wiara przybiera postać cynicznych transakcji pomiędzy kłamcami. Poświęcenia okazują się zbędnymi ekscesami. Bohaterowie zostają starymi pierdołami, a młode wypierdki stają się bohaterami. Etyka staje się nauką traktującą o sportowym ubraniu. Pytasz, czego pragnie twój dziadek? Powiem ci. Tego, czego ty. Ni mniej, ni więcej.

Sabat żon wybucha nieopanowanym śmiechem.

– Yyyy, to znaczy?

Admirał Raizo wstaje. Szef sali już czeka z jego laską.

– Sensus.

* * *

1 sierpnia 1944

Rano, pochmurno. Po południu, lekkie opady. Jadę pociągiem z Nagasaki. Moja podróż do Tokujamy w prefekturze Jamaguczi potrwa jeszcze kilka godzin i do miejsca przeznaczenia, na wyspę Otsuszimę, dotrę dopiero jutro rano. Przez ten ostatni weekend, Takaro, zmagalem się ze sobą, chcąc dotrzymać dwóch obietnic.

Tej, którą złożyłem Tobie, że opowiem ci szczegółowo o moich ćwiczeniach w Cesarskiej Marynarce. I tej, którą złożyłem krajowi i cesarzowi, że wszelkie informacje na temat ćwiczeń w oddziałach specjalnych sił uderzeniowych zachowam w całkowitej tajemnicy. Pisząc ten dziennik, usiłuję rozwiązać swój dylemat. Słowa ofiaruję Tobie. Milczenie oddaję cesarzowi.

Zanim przeczytasz te słowa, Matka otrzyma już telegram powiadamiający o mojej śmierci i o pośmiertnej nominacji. Ty, matka i Jaeko jesteście już może w żałobie. Albo zastanawiacie się co oznacza moja śmierć. Może żałujecie, że nie ma prochów, kości, które można by złożyć w rodzinnym grobowcu. Ten dziennik to moja pociecha, przesłanie i moje ciało. Morze to piękny grobowiec. Nie zatracajcie się w rozpacz.

Pozwól, że zacznę. Sytuacja na frontach raptownie się pogarsza. Nasze cesarskie wojska poniosły poważne straty na Wyspach Salomona. Amerykanie wkraczają na Filipiny z wyraźnym zamiarem przejścia łańcucha Riukiu. Z myślą o przeciwdziałaniu spustoszeniu naszych wysp podjęto nadzwyczajne środki.

Dlatego właśnie Cesarska Marynarka przyjęła program kaiten.

Kaiten to zmodyfikowana torpeda marki 93: najwspanialsza

torpeda na świecie, wyposażona w kokpit dla pilota. Torpedą tą steruje się, naprowadza się ją na cel i uderza w statek wroga poniżej linii wodnej. Teoretycznie cel zostaje zniszczony w stu procentach. Wiem, że lubisz szczegóły techniczne, więc je podaję. Kaiten ma 14,75 metra długości. Napędza ją silnik o mocy 550 koni mechanicznych zasilany ciekłym tlenem, który nie pozostawia na powierzchni najmniejszych bąbelków powietrza, dzięki czemu cios można zadać w sposób niezauważalny. Kaiten przez 25 minut może płynąć z maksymalną prędkością 56 km/h, wyprzedzając tym samym statki będące najważniejszymi jego celami. Jest wyposażony w głowicę bojową o mocy 1,55 tony trotylu i w zapalnik uderzeniowy. Po cztery takie torpedy będą zabierać okręty podwodne klasy pierwszej. Okręty podwodne będą wyruszały z misją na obszary wrogich kotwiczowisk i tam będą wypuszczały torpedy. Ta nowa śmiertelna załogowa torpeda pozwoli odrobić ostatnie straty poniesione na obszarze Wielkiego Wschodnioazjatyckiego Obszaru Wspólnego Dobrobytu, stanie się postrachem marynarki amerykańskiej i doprowadzi do jej zdziesiątkowania.

Ocean Spokojny stanie się japońskim jeziorem.

1375 ochotników z baz marynarki w Narze i Tsucziurze zaofiarowało swoje życie na rzecz programu kaiten. Tylko 160 pomyślnie przeszło przez surową procedurę selekcyjną. Widzisz więc, braciszku, że nazwisko Tsukijama przetrwa w pamięci okryte wieczną chwałą.

2 sierpnia

Mglisty poranek; gorące, bezchmurne popołudnie. Obudziłem się wraz z innymi uczestnikami ćwiczeń w celach baraków żandarmerii w Tokujamie – stałe kwatery zostały zniszczone podczas trwających w ostatnich miesiącach bombardowań. Bomba uderzyła w magazyn

paliw, w wyniku czego zniszczeniu uległ port, a całe dzielnice miasta zostały zrównane z ziemią. Z tego rumowiska zabrano nas łodzią motorową do Otsuszimy. Krótka podróż, zaledwie trzydziestominutowa, ale diametralna różnica. Otsuszima to wyspa o kształcie korpusu z głową, pełna spokojnych zalesionych wzgórz, poprzecinanych terasami ryżowych pól. Baza kaiten i fabryka torped znajdują się na nisko położonej „szyi” wyspy.

Ppor. Hiroszi Kuroki i chor. Sekio Niszina, dwaj współtwórcy kaitena, wyświadczyli nam niebywałą zaszczyt i wyszli na powitanie naszej łodzi. Takara, ci ludzie to żywe legendy. Początkowo Wyższe Dowództwo Marynarki wzbraniało się przed wprowadzeniem specjalnych sił uderzeniowych i odrzuciło realizację planu kaiten przedstawionego przez ppor. Kurokiego i chor. Niszinę. Oni zaś, chcąc przekonać dowództwo o swojej absolutnej szczerości, ponownie przedłożyli swój plan, spisany tym razem własną krwią. Mimo to obaj nadal są wesołymi, skromnymi ludźmi. Zaprowadzili nas do kwater, żartując na temat „Hotelu Otsu”.

Następnie prowadzili szkolenia techniczne, które zajęły resztę dnia, więc obchód bazy odłożyli do jutra.

3 sierpnia

Wietrznie. Morze lekko wzburzone. Ogrodzenie bazy kaitenów obejmuje obszar równy mniej więcej powierzchni sześciu boisk do baseballu, a mieszka na nim między 500 a 600 ludzi. Ściśle tajemnica, nawet mieszkańcy wyspy nie zdają sobie sprawy z rzeczywistego przeznaczenia bazy. Baza obejmuje baraki, stołówkę, trzy fabryki torped, warsztat, w którym torpedy oznaczone symbolem 93 przerabia się na kaiteny, plac ćwiczeń, plac apelowy, budynki administracji i port. Z warsztatu wychodzą szyny

wąskotorówki, które wykutym w skale tunelem o długości 400 metrów prowadzą do przystani kaitenów, gdzie dzisiejszej nocy rozpoczęły się ćwiczenia. Z Takaszim Higuczim, kolegą z klasy w Nara, zagraliśmy w džanken o to, kto jako pierwszy będzie pilotował kaitena pod nadzorem ppor. Kuroki. Jego kamień zwyciężył moje nożyce! Trudno, jutro i tak moja kolej.

4 sierpnia

Parno, wilgotno, gorąco. Tragedia przyszła tak nagle.

Ubiegłej nocy ppor. Kuroki i por. Higuczi nie wrócili z trasy wokół północnej części Otsuszimy. Nurkowie całą noc poszukiwali ich kaitena. W końcu znaleźli tuż przed świtem, zaledwie 300 metrów od nabrzeża startowego – był wbity w muliste dno; 16 godzin po starcie. Jakkolwiek kaiteny są wyposażone w dwa luki awaryjne, to otworzyć je można wyłącznie nad wodą. Pod powierzchnią przyciska je ciśnienie wody. Powietrza w kaitenie wystarcza na jakieś dziesięć godzin – gdy pilotów jest dwóch, trzeba to podzielić na pół. Zadbali o to, by ich ofiara nie poszła na marne – spisali uwagi techniczne i obserwacje dotyczące fatalnej usterki. Gdy skończył im się papier, wydrapywali znaki śrubokrętem na ścianie kokpitu. Właśnie wróciliśmy z ceremonii kremacji. Chor. Niszina przysiągł, że zabierze prochy Kuroki na pokład swojego kaitena, gdy przyjdzie mu wyruszyć na spotkanie chwały. W bazie panuje oczywiście atmosfera żałoby, ale łagodzi ją nastrój determinacji, by nasi bracia nie oddali swego życia na marne. Ja sam zmagam się z brzemieniem winy. Wyprosiłem prywatne posłuchanie u komendanta Udżiny i powiedziałem mu, że czuję, iż spoczywa na mnie szczególna odpowiedzialność ze względu na duszę Higucziego. Kmdt Udżina obiecał rozważyć moją prośbę, by włączono mnie do pierwszej grupy wyruszających do ataku

kaitenów.

9 sierpnia

Panuje niezwykley upał. Wybacz, Takara, to długie milczenie. Ćwiczenia ruszyły pełnym gazem i nie dało się znaleźć choćby dziesięciu minut na to, żeby za dnia usiąść nad dziennikiem. W nocy zasypiam, gdy tylko przyłożę głowę do poduszki. Mam wspaniałe wieści. Podczas porannego odczytywania listy wywoływano tych, którzy znajdą się w pierwszej fali uderzenia kaitenów i wśród nich znalazło się nazwisko Tsukijama! Emblematem naszej jednostki jest kikusui.

Przedstawia chryzantemowy pióropusz Masaszige Kusunoki, mistrza epoki cesarza Godaigo. 700 wojowników Kusunokiego wytrzymało napaść 35000 zdrajców Aszikaga w bitwie pod Minatogaua, a sam Kusunoki dopiero po otrzymaniu 11 straszliwych ran popełnił seppuku, wraz ze swoim bratem Masasue. Symbolika jest oczywista. Jest nas 700. Na poświęcenie dla ukochanego cesarza jest bezgraniczne.

Każdy z czterech okrętów podwodnych naszej floty zabierze 4 kaiteny. I-47 pod dowództwem kmdr-por. Zendzieo Ority zabierze chor. chor. Niszinę, Sato, Uatanabe i por. Fukudę. I-36 zabierze por. Joszimoto oraz chor. chor. Tojozumi, Imaniszi i Kudo. Na pokładzie I-37 znajdują się por. por. Kamibeppu i Murakami oraz chor. chor. Utsunomija i Kondo. I-333 pod dowództwem kpt. Jokoty zabierze por. por. Abe i Goto oraz chor. chor. Kusakabe i Subaru Tsukijamę. Po ogłoszeniu listy pozmieniano przydziały do sypialni, ażeby członkowie jednej grupy spali w tej samej sali. I-333 śpi na drugim piętrze, w sali, której okna wychodzą na ryżowe terasy. Nocami rehot żab zagłusza hałasy dobiegające z odlewni. Przypomina mi się nasz pokój w Nagasaki.

12 sierpnia

Chłodno i bezwietrznie. Morze gładkie jak nasza Nakadžima, na której wypróbowywaliśmy modele żaglówek. Dzisiaj napiszę o ćwiczeniach. Po śniadaniu rozdzielamy się na grupę chryzantem i lilii. Ponieważ do ćwiczeń oddano nam tylko 6 kaitenów, więc mamy pierwszeństwo jako zaawansowani w ćwiczeniach. O 8:30 ruszyliśmy przez tunel do nabrzeża kaitenów. Po zaokrętowaniu żuraw opuszcza nas do morza. Zazwyczaj wsiadamy do kokpitu po dwóch. Oczywiście jest ciasno, ale ta podwójna obsada pozwala zaoszczędzić na paliwie, a przecież „kropla ropy jest tak cenna jak kropla krwi”. Nasz instruktor puka w kadłub, my w ten sam sposób odpowiadamy na znak, że jesteśmy gotowi do wodowania. Najpierw przechodzimy przez serię zanurzeń. Potem rozwiązujemy problem nawigacji, używając stopera i żyrokompasu. Lokalizujemy statek będący celem i symulujemy uderzenie, przechodząc pod jego dziobem. Należy uważać żeby górnym lukiem nie zahaczyć o kil – w ten sposób zginęło dwóch pilotów w Bazie P. My także boimy się, by przypadkiem nie utknąć w mule, jak ppor. Kuroki i por. Joguczi. Gdyby nam się to przytrafiło, jeden z nas ma wpuścić sprężone powietrze do głowicy bojowej (zamiast trotylu wypełnionej morską wodą), co powinno wystarczyć do wystania kaitena na powierzchnię. Nikt z nas nie pali się, żeby być tym, kto jako pierwszy sprawdzi w praktyce tę teorię. Najbardziej jednak obawiamy się tego, iż możemy przeżyć utratę kaitena. Przydarzyło się to pięć dni temu jakiemuś nieszczęsnemu kursantowi z Jokohamy. Został zwolniony, a jego nazwiska nawet nie wymawiano. Po powrocie do nabrzeża albo do bazy w porcie, zależnie od kursu, uczestniczyliśmy w konferencjach, w trakcie których dzieliliśmy się naszymi obserwacjami z Liliami. Gdy mija

południe i opada najgorszy żar, uczestniczymy w treningach zapasów sumo, fechtunku kendo, atletyki i rugby.

Piloci kaiten muszą mieć pierwszorzędną kondycję. Nie zapomnij Takara, słów naszego ojca: ciało jest tylko zewnętrzną warstwą umysłu.

14 sierpnia

Pogoda ładna, do południa wzrastające zachmurzenie, Ponieważ moje dzisiejsze ćwiczenia nie odbyły się z powodu awarii silnika, mam wolną godzinę i mogę Ci napisać o moich braciach z I-333. Prowadzącym w naszej grupie jest Jutaka Abe, ma 24 lata, pochodzi ze starej tokijskiej rodziny, absolwent Peers. Jego ojciec służył na pokładzie Szirnantogaury podczas sławnej bitwy pod Cuszimą w 1905 roku. Abe jest istotą nadludzką i celuje w każdej dziedzinie. Wiosłowanie, nawigacja, układanie haiku. Kiedyś wypsnęło mu się nawet, że wygrał wszystkie partie szachów, jakie rozegrał w ciągu ostatnich dziewięciu lat. „Nieomylna strzała cesarza” – taka dewiza znajdzie się na kadłubie jego kaitena. Szgenobu Goto, lat 22, pochodzi z kupieckiej rodziny z Osaki i posiada dowcip zdolny uśmiercać na dwadzieścia kroków. Prawie codziennie otrzymuje listy miłosne od różnych dziewczyn i narzeka na brak kobiet w bazie. Abe załatwia to jednym słowem: czystość. Goto potrafi naśladować wszystko. Przyjmuje nawet zamówienia: np.

Chińczyk zaatakowany przez węża w genitalia; handlarka rybami z Tohoku zdmuchnięta przez trąbę. Naśladuje różne głosy, żeby przestraszyć Abe, kiedy grają w szachy. Ale Abe i tak wygrywa. „Lek na Jankesów” – taką będzie miał Goto dewizę na kadłubie swojego kaitena. Trzecim z nas jest Issa Kusakabe. Jest o rok starszy ode mnie, spokojny, i czyta wszystko, co mu wpadnie w ręce.

Instrukcje techniczne, powieści, wiersze, przedwojenne czasopisma. Wszystko. Pani Oszige (nasza „matka” na Otsuszimie, która jest przekonana, że testujemy nowy typ łodzi podwodnej) postarała się, żeby jakiś uczeń raz na tydzień przynosił Kusakabemu książki ze szkolnej biblioteki. Dostał nawet tom Szekspira. Abe dopytywał się, czy dzieła jakiegoś zdegenerowanego przedstawiciela kultury Zachodu stanowią aby odpowiednią lekturę dla japońskiego wojownika. Kusakabe wyjaśnił, że Szekspir to angielskie kabuki. Abe orzekł, iż Szekspir wywiera demoralizujący wpływ.

Kusakabe zapytał, jakie sztuki Abe ma na myśli i wtedy Abe dał spokój.

Ostatecznie Kusakabe nie zgłosiłby się na ochotnika jako pilot kaiten, gdyby jego etyka stała pod znakiem zapytania. Na kadłubie chce wypisać nie hasło, lecz wiersz: „Niech dziesięć tysięcy przeciwników wzniesie okrzyk – my bez jednego słowa zwyciężym”. Nie mogę pominąć Błyska, głównego inżyniera naszej jednostki. Jego pseudo pochodzi od rąk, zawsze świecących się od oleju i umorusanych. Jest jednym z najstarszych ludzi w bazie. Coś kręci, gdy się go pyta o wiek, ale jest na tyle wiekowy, że mógłby być naszym ojcem. Goto żartuje, że prawdopodobnie jest naszym ojcem. Prawdziwymi dziećmi Błyska są kaiteny.

Przy okazji. Postanowiłem, że swój kaiten pozostawię bez dewizy. Moje poświęcenie będzie jego dewizą i sensem.

* * *

Odkładam dziennik pod ladę, żeby dać wytchnienie oczom – kartki są zalaminowane, ale zapisane ołówkiem znaki raptownie znikają jak widmowe linie. Do tego wiele znaków kandzi jest niejasnych, więc nieustannie muszę sięgać do słownika. Otwieram

puszkę dietetycznej pepsi i lustruję moje nowe imperium: stojaki, regały, półki zastawione kasetami wideo. Ociekający śluzem przybysze z kosmosu, lśniący gladiatorzy, skrzekliwi idole. W tle tłucze się soft rock. W ciągu tego tygodnia mojej nieobecności zakład starego szewca przyjmującego obok Fujifilm przekształcił się w wyjście z Kentucky Fried Chicken. Na zewnątrz stoi przeraźliwy, naturalnych rozmiarów posąg Pułkownika Sandersa, pod obwisłym transparentem *Uroczyste otwarcie*. Jest gruby i szczerzy zęby od ucha do ucha jak posąg Ebisu w świątyni. To KFC tak cię utuczył?

Buntaro i Macziko lecą teraz pewnie samolotem Japońskich Linii Lotniczych gdzieś nad Pacyfikiem. Kiedy wróciłem ze spotkania z panem Raizo, Buntaro był bliski ataku szału, mimo że miał jeszcze dziewięćdziesiąt minut do przyjazdu taksówki. A jak komputer wysiadzie? A jak monitor się zepsuje? A jak zaczną padać stepującymi węgorzami morskimi? Macziko zaciągnęła go do taksówki. Na monitorze mogę sobie obejrzeć, co chcę, ale jest tyle filmów do wyboru, że przez cały dzień na okrągło leci jeden film z Tomem Hanksem. I tak nikt nie zauważy.

Między drugą a piątą jest dość spokojnie; roboty przybywa mi, gdy zwijają się szkoły i biura. Stali klienci rozdziawiają na mój widok gęby i od razu myślą, że Macziko poroniła. Kiedy mówię, że Ogisowie wyjechali na urlop, reagują tak, jakbym powiedział, że Buntaro z żoną zamienili się w czajniki i polecili do Tybetu. Pytanie, co ja tam robię, jest dość delikatne – mój niedbały gospodarz wynajmuje mi kapsułę, nie zwracając sobie głowy urzędem podatkowym.

Dzieciaki ciągną do horroru, panie z biur wypożyczają hollywoodzkie filmy z blond gwiazdami, inteligenci lubują się w

takich tytułach jak *Pam the Clam from Amsterdam* czy *Hot Dog Academy*. Niektórzy klienci spóźniają się z oddaniem kaset, zawsze należy sprawdzać daty. Pani Sasaki przychodzi o 7:30 – pędzę wtedy na górę, żeby nakarmić Kotkę, a potem przez ulicę do KFC, żeby samemu się pożywić. Kurczak u Pułkownika Sandersa jest trociniasty. Pani Sasaki powiedziała, że w Ueno znaleziono już kogoś na moje miejsce, co wywołuje we mnie niejaką nostalgię za dawną pracą. Zostawia mi „Głos Tokio” – w poniedziałki są tam strony z ofertami pracy. Gdybym chciał zrobić karierę jako pomocnik w kuchni, dostawca telezakupów, pomocnik magazyniera czy roznosiciel reklam, to jak najbardziej, Tokio jest rajem na ziemi. Na schodach pojawia się Kotka – w trakcie mojego tygodniowego ukrywania się nauczyła się otwierać drzwi kapsuły. Każę jej wracać, ale ona nie słucha, więc przesuwam stos oddanych kaset, a ona sadowi się na krześle przy ladzie, więc muszę sobie radzić z chybottliwym stoikiem. Fujifilm podaje 10:26. Interes z wolna przysypia.

* * *

2 września

Upalnie, ale wieczorami już chłodniej. Otrzymałem dzisiaj od Ciebie list, Takara, i paczkę od Mamy i Jaeko z pasem z zaszewkami. Zważywszy uderzeniowy charakter mojej misji, pięciosenowe monety wszyte w pas nie oddalą ode mnie śmierci, ale i tak będę się nim obwiązywał, ilekroć wejdę na pokład mojego kaitena. Abe, Goto, Kusakabe i ja czytamy na głos listy z domu i byłem dumny jak Tengu gdy powiedziałem kolegom, że mój młodszy brat stoi już na czele brygady młodzieżowej w fabryce amunicji. Twoje zabawy przypominają najprawdziwsze szkolenie wojskowe –

celowanie bambusowymi bagnetami w Roosevelców i Churchillów. Myślami jestem również przy Jaeko, która pracuje w fabryce spadochronów. Jej ścieg może uratować życie moim byłym kolegom z Akademii Lotnictwa Morskiego w Nara. Mama pewnie z bólem sprzedaje skarby rodzinne Tsukijamów za ryż, ale wiem, że zarówno Ojciec, jak i nasi przodkowie zrozumieją to. Wojna zmienia zasady. Dobrze zrobiłeś, oklejając okna taśmą, żeby je zabezpieczyć przed wybuchami bomb. Nagasaki zawsze miało szczęście i jeśli nastąpią naloty, to nieprzyjaciół będzie celował raczej w stocznię niż w samo miasto. Tak czy owak, należy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności.

Niebawem odpiszę na Twój list. Tymczasem zrozumiesz, dlaczego nie mogę odpowiedzieć ci listownie na wszystkie Twoje pytania.

9 września

Pogoda: ciepło, umiarkowanie, łagodnie. Dzisiaj kończę 20 lat. Ponieważ w chwili zagrożenia państwa nie wypada obchodzić urodzin, więc po zajęciach, w trakcie których studiowaliśmy działanie głowicy, tuż przed kolacją, wymknąłem się na chwilę. Jako urodzinowy prezent z wdzięcznością przyjąłem zachód słońca.

Zachody nad Morzem Japońskim są niezwykle. Dzisiejszy miał kolor dzemu truskawkowego, który przyrządza Jaeko. Pamiętasz opowieść o Uraszima Taro? O tym, jak uratował olbrzymiego żółwia i przez trzy dni pozostawał w podwodnym pałacu, ale zanim wrócił, narodziły się i odeszły trzy pokolenia. Ciekaw jestem, jak to miejsce będzie wyglądało za dziewięćdziesiąt lat, kiedy Wielka Wschodnioazjatycka Wojna stanie się już tylko odległym wspomnieniem. Kiedy wygramy wojnę, zabierz swoje dzieci na Otsuszimę. Miejscowe leszcze są doskonałe, tak jak ostrygi w Morzu

Japońskim. Miałem już wracać do stołówki, kiedy pojawili się Abe, Goto i Kusakabe. Abe jakimś cudem dowiedział się o moich urodzinach i powiedział o tym pani Oszige, która zdołała przygotować kurczaka na rożnie. Kusakabe rozpałił ognisko i mieliśmy kolację nad brzegiem morza zakrapianą domowej roboty sake, którą Goto wytrzasnął od obsługi kantyny.

Trunek był tak paskudny, że wykrzywiało nam twarze, ale nie pamiętam kolacji, która bardziej by mi smakowała, z wyjątkiem tych, które przygotowywała Matka.

13 września

Rano ciepło, po południu parno. W bazie szaleje grypa, sam spędziłem w izbie chorych 24 godziny z temperaturą 39 stopni. Już wracam do siebie. Prześladowały mnie dziwne sny. W jednym z nich tkwiłem w moim kaitenie krążącym wokół Wysp Salomona w poszukiwaniu nieprzyjacielskiego lotniskowca. Wszystko tonęło w błękitach. Miałem poczucie niezniszczalności, niczym rekin. Nagle w moim kaitenie pojawił się syn pani Sziomi, ten, który rzucił się pod rosyjski czołg pod Nomonhan. – Nikt ci nie powiedział? – zapytał. – Wojna się skończyła. – Zapytałem, kto wygrał, i wtedy zobaczyłem, że Sziomi umyka spojrzeniem. – Cesarz zabawia Amerykanów polowaniem na kaczki na pałacowych włościach. W ten sposób próbuje ocalić swoją skórę. – Uznałem, że powinienem popłynąć do tokijskiego portu i zatopić przynajmniej jeden statek wroga. Skierowałem kaiten na północ. Przyspieszenie rzuciło mną do tyłu a kiedy ocknąłem się, wydawało mi się, że przypominałem sobie, jak się rodzę albo umieram, kolejny raz, a może ostatni.

Potem odwiedzili mnie Kusakabe i Góro, żeby podzielić się tym, co zanotowali w trakcie zajęć z nawigacji, ale o swoim śnie im nie opowiedziałem.

2 października

Przez cały dzień mży. Po południu na tajnym spotkaniu podano lokalizacje celów dla kikusui. I-47 oraz I-36 obiorą kurs na Ulithi, rozległą lagunę na Filipinach przechwyconą przez Amerykanów zaledwie 10 dni temu. I-37 oraz I-333 równocześnie zaatakują kotwiczowisko w Przesmyku Kossol na Wyspach Palau.

Celem równoczesnego ataku z dwóch stron jest maksymalne osłabienie morale wroga. Znajdź, Takara, Wyspy Palau w atlasie Ojca. Zobaczysz intensywny błękit tamtejszych wód. Kiedy będziesz się zastanawiał, gdzie jestem, pamiętaj: twój brat jest morskim błękitem.

Między Abe a Kusakabe dochodzi do nieporozumień. Szef naszej jednostki wyzwiał Kusakabego na pojedynek szachowy, a on odmówił. Abe dokuczał mu:

„Boisz się, że przegrasz?”, na co Kusakabe jakoś dziwnie odpowiedział: „Nie, boję się, że wygram”. Abe nadal się uśmiechał, ale widać było, że jest poirytowany.

Bracia, którzy mają razem zginąć, nie powinni w taki sposób się sprzeczać.

10 października

Pogoda bezchmurna. Rano rosa na trawie. Po południu, kiedy zawyły syreny przeciwlotnicze, Błysk, jego ekipa obsługi i ja przeholowaliśmy nasz kaiten przez tunel do nabrzeża startowego. Żadnych ćwiczeń nie planowano. Tunel wypełnił się ludźmi z nabrzeża, a komendant podał rozkazy przez głośniki. Trotyl zabezpieczono w głębokim bunkrze, okręty podwodne wypłynęły z zatoki, a my z niepokojem czekaliśmy na buczenie B25. Jeżeli bomby trafią bezpośrednio w warsztaty, to projekt może się odwlec

na całe tygodnie, co może przesądzić sprawę.

Błysk zastanawiał się na głos, czy uderzenie na tron lądu oznacza, że Amerykanie atakują już Okinawę. Dociera do nas tyle pogłosek, a pewnych informacji jak na lekarstwo. Po nerwowych czterdziestu minutach zawyły syreny odwołujące alarm.

Może na jakimś niewydarzonym posterunku obserwacyjnym pomyłono nasze zera z samolotami wroga.

13 października

Po południu przyjemne słońce. Pod wieczór zachmurzenie. Odczytując ten dziennik, zauważam, iż omieszkalem opisać atmosferę panującą w bazie. W moim odczuciu jest niepowtarzalna. Inżynierowie, instruktorzy, piloci i kursanci, wszyscy wspólnie pracują dla jednego celu. Jeszcze nigdy nie żyłem tak intensywnie jak w tych tygodniach. Moje życie ma sens – bronić Ojczyznę. Dyscyplina nie ulega rozluźnieniu. Podlegamy tym samym ćwiczeniom i kontrolom, co w zwykłej bazie wojskowej. Ale na Otsuszimie nie ma mowy o ekscesach typowych dla zwykłych obozów, gdzie rekrutów się szykanuje, a żołnierzy wieszają głową w dół i bije.

Otrzymujemy regularne przydziały papierosów i słodyczy, a do tego prawdziwy biały ryż. Żałuję tylko, że nie mogę podzielić się moimi posiłkami z Tobą, Mamą i Jaeko. Ale chomikuję dla Ciebie moje słodycze i nie spekuluję nimi, tak jak Goto i większość moich współkursantów.

18 października

Całodzienne opady. Zuikaku jeszcze na morzu, a więc prawie pewne, że Ojciec żyje! Abe postarał się, żebym korzystając z wojskowych kanałów, mógł wysłać niezwłocznie telegram do Mamy.

Otrzymałem wiadomości od kpt. Tsujoszi Jokoty z I-553, który dokował dzisiaj na Otsuszimie. Kpt. Jokota zaledwie przed siedmioma dniami osobiście rozmawiał z admirałem Kuritą na pokładzie Atago podczas patrolu na zatoce Leyte. Brak mi słów, jak bardzo podniosła mnie na duchu wiadomość o tym, że Ojciec wciąż się trzyma i myśli o nas. Może kiedyś będzie miał ten dziennik w rękach! Kpt. Jokota twierdzi, że Zuikaku od czasu Pearl Harbor cieszy się opinią zaklętego okrętu. Nie zapominaj, że cywilna poczta na morza południowe nie ma pierwszeństwa, więc nie upadaj na duchu, jeżeli nie będziesz miał wieści. Wieczorem ogłoszono, że Grupie Kikusui zostało cztery dni do wypłynięcia w strefę, w której znajduje się obiekt.

20 października

Dzień bezchmurny, orzeźwiający podmuchy bryzy. Łańcuch szczęśliwych przypadków. Podczas kolacji kmdt Udżina nadaje przez obozowe głośniki wieczorne wiadomości i tą drogą dowiedzieliśmy się o wczorajszych nadzwyczajnych sukcesach kamikaze na Filipinach. Zatonęło pięć amerykańskich krążowników i sześć niszczycieli! W jednym rzucie! Oczywiście nawet amerykańskie dzikusy uświadamiają sobie, jak beznadziejnym przedsięwzięciem jest wtargnięcie na nasze macierzyste wyspy. Por. Kamibeppu wszedł na ławkę i zaproponował toast za dusze dzielnych lotników, którzy oddali swoje życie naszemu ukochanemu Cesarzowi Hirohito. Rzadko się słyszy tak poruszające przemówienia. „Czysty duch czy metal? Co silniejsze? Duch odkształci metal, podziurawi go i zniszczy! Metal nie większą wyrządzi czystemu duchowi szkodę niż nożyce smudze dymu!” – Muszę przyznać, że myślałem o dniu, w którym podobne toasty ktoś wzniesie za nasze dusze.

28 października

Dzisiaj lekkie opady. Nowe kaiteny zamontowane na I-333 gotowe od dzisiaj do akcji. Łatwiej się je prowadzi niż te treningowe. Po dłuższych niż oczekiwano zajęciach szkoleniowych wracałem biegiem przez plac ćwiczeń i omal nie zderzyłem się z Kusakabem, który stał oparty o szopę z za wpatrywał się z przejęciem w ziemię. Zapytałem, przykuło jego uwagę. Kusakabe wskazał na kałużę i powiedział cicho: – Kręgi rodzą się, a gdy się rodzą, już od sekundy żyją.

Kręgi żyją, a gdy żyją, od sekundy umierają. Kręgi umierają, a nowe kręgi się rodzą. – Bardzo w je go stylu. Powiedziałem mu, że powinien urodzić się wędrownym kapłanem-poetą. Odpowiedział, że może być nim był nim kiedyś.

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w kałużę.

2 listopada

Kończące się upały roku 1944. Właśnie wróciłem n raz ostatni z Nagasaki. To także Twoje wspomnienia, wie nie muszę ich tutaj opisywać. Wciąż czuję smak maminego jokanu i tempury z dyni przyrządzonej przez Jaeko. Podróż pociągiem przeciągnęła się, ponieważ lokomotywa ciągle się psuła. Wojskowy wagon opanowało towarzystwo wysokich rangą oficerów, tak więc podróż odbyłem w wagonie pełnym uciekinierów z Mandżukuo. Straszne były te ich opowieści o okrucieństwie Sowietów i perfidii wystugujących się im Chińczyków. Jakże się cieszę, że Ojciec przed dwudziestu laty nie dołączył do kolonistów. W wagonie była też dziewczynka, młodsza od Ciebie, która jechała do Tokio w poszukiwaniu ciotki. To był jej pierwszy pobyt w Japonii. Na szyi miała sznureczek z przywiązaną urną. Zawierała prochy jej ojca, który zginął w Mukdenie, matki,

która zginęła w Karafuto, i siostry, która zginęła w Sasebo. Bała się, że zaśnie i przegapi Tokio, które w jej wyobrażeniu było małym skrawkiem, jak jej pograniczne miasto. Była przekonana, że znajdzie ciotkę, pytając ludzi. W Tokujamie dałem jej połowę pieniędzy, jakie miałem przy sobie, zawiązałem je w chusteczkę i odszedłem, zanim zdążyła odmówić. Boję się o nią. O nich wszystkich się boję.

* * *

– Golemy – wyjaśniam, leżąc nago po prysznicu w spowitej zapadłymi po północy ciemnościami kapsule z Ai, która słucha mnie na drugim końcu telefonicznego kabla – są zupełnie inne niż zombi. Owszem, jedni i drudzy są martwi, ale golemy lepi się z gliny wziętej z grobu, na obraz i podobieństwo człowieka, który w tym grobie spoczywa, a potem wypisuje się mu na tułowiu jego runy. A zabić je można tylko wtedy, gdy zetrze się ich runy. Zombim łatwo można odciąć głowę albo spalić je miotaczem ognia. Robi się je z różnych części ciała, zwykle ukradzionych kostnicy, albo reanimując na wpół rozłożone zwłoki. – Czy nekrofilia jest przedmiotem obowiązkowym w ogólniakach na Kiusiu?

– Pracuję teraz w wypożyczalni wideo. Muszę wiedzieć takie rzeczy.

– Zmień temat.

– Dobra. Na jaki?

– Ja pierwsza prosiłam.

– No więc, zawsze chciałem wiedzieć, jaki jest sens życia.

– Jedzenie lodów z polewą czekoladową i słuchanie Debussy'ego.

– Odpowiedz poważnie.

Ai postępuje, jakby zmieniała pozycję. – Tak poważnie to twoje

pytanie jest niewłaściwe.

Wyobrażam sobie, że leży obok mnie. – Jak wobec tego powinno brzmieć moje pytanie?

– Jaki według ciebie jest sens życia? Tak powinno brzmieć. Na przykład *Das wohltemperierte Klavier* Bacha. Według mnie sensem tego utworu jest elementarna harmonia. Według mojego ojca jest to zepsuta maszyna do szycia. Dla Bacha są to pieniądze, jakie należy zapłacić producentowi lichtarzy. Kto ma rację?

Jednostkowo – wszyscy. Ogólnie – nikt z nas. Czy nadal myślisz o swoim stryjecznym dziadku i jego kaitenie?

– Chyba tak. Jego sens życia był trwały jak skała.

– Według niego, tak. Poświęcenie swojego życia dla zaspokojenia próżności wojskowej koterii nie odpowiada mojemu wyobrażeniu o „trwałości”, niemniej jednak twojemu dziadkowi stryjecznemu nauka gry na pianinie, jak również jedność umysłu, nerwów i mięśni, którą mi daje, nie wydawałaby się niczym wartym zachodu. – W tym momencie wchodzi Kotka. – Może sens życia tkwi w samym poszukiwaniu. – Kotka chłepce wodę w promieniach księżyca.

* * *

– Jaka tu przestrzeń! – pieje Buntaro do telefonu w wietrzny poranek. – Co zrobić z całą tą przestrzenią? Dlaczego nie przyleciałem tutaj parę lat temu? Lot trwa krócej niż wizyta u dentysty. Czy wiesz, kiedy po raz ostatni spędzałem wakacje poza Tokio? – Nie mam pojęcia. – Tłumię ziewanie.

– Ja też nie, chłopcze. Przyjechałem do Tokio w wieku dwudziestu dwóch lat.

Za towarzystwo miałem transformery i przez nie ruszyłem w

świat, żeby się podszkolić. Wsiadłem z pociągu na stacji w Tokio i po dwudziestu minutach znalazłem wyjście. Że też nigdy nie zniecierpliwiałem tego życia spędzanego w tej cholernej dziurze! Dwadzieścia lat, i co mam z tego. Wystrzegaj się wakacji w raju, chłopcze. Za dużo myśli się o tym, czego się nie zrobiło.

– Czy wszyscy w raju wstają tak wcześnie?

– Żona wstała przede mną. Spaceruje po plaży w cieniu palm. Dlaczego ocean jest taki... wiesz... błękitny? Z balkonu słyszysz rozbijające się fale. Żona znalazła rozgwiazdę wyrzuconą na brzeg. Prawdziwą, żywą rozgwiazdę.

– Takie jest morze dla ciebie. Czy chciałeś pogadać, yy, o czymś konkretnym?

– A tak. Pomyślałem, że pomógłbym ci zlikwidować twoje problemy.

– Które niby masz na myśli?

– Twoje problemy z wypożyczalnią.

– Z Mknącą Gwiazdą? Nie ma żadnych problemów.

– Żadnego?

– Ani pół.

– Aha.

– Wracaj do raju, Buntaro.

Próbuję z powrotem zasnąć – z Ai rozmawiałem do trzeciej w nocy – ale umysł zaczyna zwiększać obroty. Fujifilm podaje 07:45. Kotka chłepce wodę i odchodzi do pracy. Ranek sam się nieoczekiwanie włącza. Brzdąkam na gitarze bluesowe akordy, wypalam trzy ostatnie lucky strike'i, zjadam jogurt – po zebraniu łyżeczką pleśni – i słucham Milk and Honey. Promienie słońca suną po ścianie i jak latawiec opadają na Andżu.

Na dwa dni została uznana za zaginioną, ale nikt nie był dość

okrutny, by mi powiedzieć, żebym nie porzucił nadziei. Prawda, turyści na Jakuszimie gubią się nieustannie i często zjawiają się – albo zostają odnalezieni – dzień czy dwa później.

Jednak miejscowi nigdy nie są aż tak głupi, nawet jedenastolatki – wszyscy wiedzieliśmy, że Andżu utonęła. Bez pożegnania, po prostu nie ma. Babka do rana postarzała się o dziesięć lat i patrzyła na mnie tak, jakby mnie ledwie znała. Nie było żadnej wielkiej sceny o to, że wyjechałem. Pamiętam, jak siedzi przy kuchennym stole i mówi, że gdybym nie pojechał do Kagoszimy, to jej wnuczka nadal by żyła. Co, jak myślałem – i nadal myślę – było prawdą aż nadto. Nie mogłem znieść życia w otoczeniu ciuchów Andżu, jej zabawek i książek, poszedłem więc do Wuja Pomarańczy na farmę, gdzie ciotka przygotowała mi kąpiel do spania. Zaraz następnego wieczoru zadzwonił oficer Kuma, by mi powiedzieć, że odwołano poszukiwania ciała Andżu. Kuzynki Pomarańcze to same starsze dziewczyny – uznały, że trzeba mnie ponianczyć, póki nie minie mi smutek – wciąż powtarzały, że muszę się wypłakać, że rozumieją, co czuję, że to nie przeze mnie Andżu umarła, że zawsze byłem dobrym braciszkiem. Współczucie było równie nieznośne. Zamieniłem siostrę na jeden jedyny, niepowtarzalny i Więc uciekłem.

Ucieczka na Jakuszimie to prosta sprawa: wychodzi się, zanim stare kobiety zaczną się krzątać, a muł wróci w stronę morza, przechodzi się cicho przez wytyczone drewnianymi ścianami domów alejki, przecina się nadbrzeżną drogę, przebiega wzdłuż pól herbacianych i pomarańczowych sadów i zostawiając za sobą ujadanie gospodarskiego psa, wchodzi się do lasu i rozpoczyna wspinaczkę Gdy głowa boga piorunów znika w oceanie, przebiegam granią nad domem mojej babki. Nie świeci się żadne światło.

Jesienny poranek, gdy w ciągu zaledwie dziesięciu minut zawsze może się rozpadać. Wspinam się. Bezimienne wodospady, woskowane liście, jagody w porośniętych zagłębieniach. Wspinam się. Zwisające gałęzie, kołyszące się paprocie, tarasujące drogę korzenie. Wspinam się. Jem orzechy i pomarańcze, żeby się upewnić, że zniknę wystarczająco wysoko i głęboko. Pijawka na nodze, skradająca się cisza, dzień ścina się w szare popołudnie, brak poczucia czasu. Wspinam się. Cmentarzysko drzew, matecznik drzew, wojna drzew. Pot stygnie. Wspinam się. Tędy hop, wszystko pokryte mchem. Mech żywy jak smutek, tłumiący jak śnieg, kosmaty jak odnóża tarantuli.

Zasnąć, tak żeby mnie również mech przykrył. Nogi sztywnieją i dygocą. Więc siadam i oto na przezierającym przez gałęzie niebie pojawia się przydymiony księżyc. Zimno mi, więc wtulam się w mój kocyk mchu, wciśnięty w niszę prastarego wraku cedru. Nie boję się. Żeby się bać, musiałyby ci zależeć na sobie samym. Ale po raz pierwszy od trzech dni czegoś chcę. Chcę, żeby pan lasu zamienił mnie w cedr. Najstarsi mieszkańcy wyspy powiadają, że gdy znajdziesz się w górach w głębi wyspy tej nocy, gdy pan lasu liczy drzewa, wówczas on włączy cię do rachunku i zamieni w drzewo. Zwierzęta nawołują się, ciemność gęstnieje, chłód szczypie mnie w palce u nóg. Wspominam Andżu. Zasypiam, pomimo zimna. Pomimo zmęczenia. Budzę się. Biały lis skrada się wzdłuż zwalonego pnia. Przystaje, odwraca się i przygląda mi się wzrokiem więcej niż ludzkim. Mgła wypełnia odstęp między moimi gałęziami ptak buduje gniazdo w zagłębieniu, które było moim uchem. Chcę podziękować panu lasu, ale nie mam już ust. Nieważne. Nareszcie znowu nic nie jest ważne. I budzę się, usztywniały, już nie jako drzewo, lecz znowu zasmarkany chłopiec,

z gardłem ściśniętym z zimna, i łkam, i łkam, i łkam, i łkam, i łkam, i łkam.

Milk and Honey dobiegło końca i mój diskman zaczyna buczeć. Słoneczny latawiec sunie do półki z rupieciami, skąd obserwuje mnie Karaluch, manipulując czułkami. Podrywam się, chwytam środek owadobójczy, ale Karaluch rusza sprintem do szczeliny pomiędzy podłogą a ścianą. Wypsikuję tam jedną trzecią pojemnika. I stoję tak w pozie łowcy mamutów, wyjałowiony ze wszystkiego.

Wbiegam do środka, by tam wewnątrz zrozumieć, jak to możliwe, że Andżu dorastała razem ze mną, komórka po komórce, dzień po dniu, skoro miała umrzeć, nie skończywszy dwunastu lat. Odpowiedzi nigdy nie znalazłem. Następnego dnia zszedłem szczęśliwie na dół – w domu wujostwa Pomarańczy panowała w związku z moim zniknięciem zbiorowa histeria – ale patrząc wstecz, zastanawiam się, czy naprawdę kiedykolwiek opuściłem wnętrze. Czy sens, jaki w sobie nosi Eidzi Mijake, nadal tkwi korzeniami na Jakuszimie, zaklęty w cedrze na owianym mgłą zapomnienia stoku góry, a poszukiwania ojca to tylko mgliste... przemijające... nic?

Fujifilm podpowiada, że muszę już zejść do Mknącej Gwiazdy i przygotowuje się do otwarcia interesu. Kolejny dzień by zastanawiać się nad tym, co to wszystko znaczy. Na dla mnie.

* * *

7 listopada

Pogoda umiarkowana. Drobne chmury. Siedzę w naszej sypialni, po bankiecie pożegnalnym. Pękam od ryb, białego ryżu, suszonych roślin morskich, zdobycznych kasztanów, owoców w

puszkach i sake, sprezentowanej przez samego cesarza. Ponieważ mieliśmy dzisiaj piękną pogodę ceremonia promocji odbyła się na dworze, na placu ćwiczeń. Obecni byli wszyscy mieszkańcy bazy, od komendanta Udżiny po najmłodszego pomocnika w kuchni. W jednej chwili w bazie i na wszystkich okrętach podniesiono bandery ze wschodzącym słońcem.

Orkiestra dęta odegrała kimigaio. Mieliśmy na sobie mundury uszyte specjalnie dla dywizji kaiten: czarne, z kobaltowymi wykończeniami i zielonymi chryzantemami wyszytymi na piersiach po lewej stronie. Wiceadmirał Miua z 16 Floty zaszczycił nas wygłoszonym specjalnie do nas przemówieniem. Jest tak samo świetnym mówcą, jak niezrównanym taktykiem walk na morzu, a jego słowa zapadły głęboko w nasze serca. – Jesteście mścicielami, którzy wreszcie stają twarzą w twarz z tymi, którzy mordują waszych ojców i gwałcą wasze matki. Jeżeli sprawicie zawód, nigdy nie zaznacie spokoju! Śmierć mniej waży od puchu, lecz obowiązek przygniata większym ciężarem niż góra! Kai Ten znaczy przecież: „Obrócić Niebo” – zachęcam was przeto, byście poruszyli niebiosą, ażeby światło na nowo zajaśniało nad ziemią bogów! – Po kolei wchodzimy na podium, a wiceadmirał każdemu z nas wręcza haczimaki, które mamy zawiązać wokół głowy, jak dawni samurajowie, i miecz do seppuku, by przypominał nam, iż nasze życie należy do Jego Cesarskiego Majestatu, i pozwolił uniknąć hańby poddania, gdyby jakieś nieszczęście uniemożliwiło nam wykonanie zadania. Podczas kończącego kimigaio złożyliśmy ukłon przed portretem cesarza. Następnie kapłan poprowadził nas do świątyni szinto gdzie modliliśmy się o wieczną chwałę.

Abe, Goto i Kusakabe piszą listy do rodzin, więc zrobię to samo i dołączę kosmyk włosów i obcięte paznokcie, do kremacji. W tym

liście zapiszę moje ostatnie polecenia dla Ciebie, ale także tutaj je powtórzę: Takara, do powrotu Ojca pełnisz funkcję głowy rodziny Tsukijama. Bez względu na to, jakie próby czas przyniesie, zachowaj miecz. Wpajaj swoim synom – oraz ich synom – prawość i czystość dziedzictwa Tsukijamów. Moja dusza po przebóstwieniu pozostanie w świątyni Jasukuni, z tysiącami moich braci, którzy swoje życie oddali cesarzowi.

Przyjdź zmówić modlitwę, weź ze sobą miecz i niechaj światło zatańczy na jego klindze. Będę czekał.

8 listopada

Pogoda: znośnie, mglisto. Liście klonu płoną szkarłatem. I-333 wyruszył z Otsuszimy. Ceremonia wyjścia w morze odbyła się w doku o 9:00. Ekipa filmowa kręciła dla kroniki materiał z naszego wyjścia w morze. Przechodząc, pomachałem do kamery – to na wypadek gdybyś Ty, albo któryś z Twoich kolegów, zobaczył mnie w kinie w Nagasaki. Por. Kamibeppu wygłosił przemówienie w imieniu jednostki Kikusui, dziękując naszym trenerom, przepraszając za niedociągnięcia i zapewniając, że każdy z pilotów zrobi wszystko, aby nasz kraj był z nas dumny.

Potem osobno podziękowaliśmy pani Oszige. Z emocji łykała tzy i nie mogła mówić. Ale przecież bywa, że słowa kalają mowę serca. Oficerowie uczcili nas omiki i udali się na pokłady swoich okrętów podwodnych wśród okrzyków „Banzai”. Staliśmy u dziobów naszych kaitenów i machaliśmy do kolegów, którzy pozostali na brzegu, dopóki nie opłynęliśmy zachodni go cypla Otsuszimy. Na otwartym morzu natknęliśmy się jeszcze na małą flotyllę łodzi rybackich i czóten ćwiczebnych. Goto oglądał przez lornetkę Kusakabego córki rybaków. Abe właśnie obwieścił, że kontrolę stanu przesunięto o godzinę, więc poczekam do jutra, żeby Ci opowiedzieć o I-333.

9 listopada

Pogoda: rano opady; po południu przejaśnienie i wzmagająca się fala. Goto, który ma dryg do zręcznych określeń życie na okręcie podwodnym porównuje do „przebywania w zakorkowanej manierze rzuconej w fale potopu”. W tejże manierze mieszczą się: przedział torpedowy, kajuty oficerów, przednia bateria, przedział pomp, wieżyczka obserwacyjna, sterownia, mesa, przedział dla załogi liczącej 60 ludzi, przedziały silników, tylny przedział torpedowy. Błysk porównuje I-333 do żelaznego wieloryba. Jestem pełen podziwu dla załogi: w służbie czynnej są od początku wojny, z czego tylko 10 dni spędzili na lądzie!

Mnie po jednym dniu już cni się za bieganiem albo baseballem. Brakuje mi futonów, które mieliśmy na Otsuszimie – na I-333 śpimy na wąskich półkach, obudowanych po bokach, żebyśmy nie powypadali. Powietrze zatechłe, światło barwy sepii. Muszę nauczyć się wytrwałości od załogi. Nawet gdy się chodzi, trzeba się nagimnastykować, zwłaszcza na początku podróży, kiedy przejścia służą za magazyny żywności. Tylko w dwóch miejscach można pobyć samemu. Jednym jest kaiten, do którego z wnętrza okrętu można dostać się poprzez specjalnie przystosowane rury łączące pokład okrętu z lukiem, którym wypuszcza się kaiteny.

Drugim jest toaleta. (Aczkolwiek toalety na okręcie podwodnym nie sprzyjają przesiadywaniu). Ponadto, za zgodą kpt. Jokoty wolno nam korzystać z mostku, o ile pozwalają na to warunki – Oczywiście każdorazowo muszę informować oficera dyżurnego, że wychodzę na pomost, ażeby nie zapomniano o mnie w razie zanurzenia alarmowego. Po wieczornej gimnastyce dołączyłem do pełniącego wachtę chorążego, na sterburcie wieżyczki obserwacyjnej. Nocą sterownia zostaje zaciemniona – wolno używać tylko czerwonych

światel, dzięki czemu kapitan albo wachta mogą przechodzić spod pokładu na pomost, nie tracąc zdolności widzenia w mroku. Obserwowałem falę, która na dziobie rozbija się w biały pył i rosnącym wałem piany przechodzi ku tyłowi. W księżycowe noce są to czytelne znaki dla bombowców. Chorąży powiedział mi, że pas wybrzeża ciągnący się ku zachodowi to Przylądek Satamisaki w prefekturze Kagoszima. Kraniec Japonii ginął w szkarłatnych chmurach.

* * *

– Eidzi Mijake! – Masanobu Suga wpada do Mknącej Gwiazdy z rozświetlonych neonami ciemności, potyka się i leży jak długi. Podnosi nos znad podłogi i szczyrzy zęby w uśmiechu – jest taki pijany, że w głowie mu się nie mieści, jak bardzo się poobijał. Suga podnosi się chwiejnie i opiera na kolanie, jakby chciał mnie prosić o rękę. Rzucam się obok lady, żeby zabrać jego okulary, zanim je rozdepcze na miazgę. Myśli, że chcę pomóc mu wstać, i odtrąca mnie łokciem z bełkotliwym „zostmie”. Podnosi się, staje chybotliwie jak nowo narodzona żyrafa i pada na plecy na stojak z filmami wojennymi. Stojak przewraca się i setka kaset spływa kaskadą na ziemię. Klientka – jedna jedyna, na szczęście – wbija w nas śmiercionośne spojrzenie z za półksiężycowych szkieł swoich okularów. Suga patrzy bezmyślnie na przewrócony stojak. – Poltergajsty tu grasują, Mijake. Chono, musze zie oprzeć, zaraz... – stara się utrzymać równowagę i jak linoskoczek zmierza w stronę lad z głową zwróconą w stronę monitora. – *Cassyblanca* – mówi, choć akurat leci *Łowca androidów*. Doprowadzam do porządku stojak, zbieram kasety.

– Mijaki. – Głowa mu dynda jak u przetrąconej lalki.

– Suga. Miło, że yyy...

Suga dostaje niekontrolowanego ślinotoku. Przechwytuje stalaktyt plwociny przy pomocy „Dziennika Tokijskiego”. – Pijany, nigdy pijany, ja nie. Wesoly, w-w-wesoly może tak, ale zawsze pod kontrolą-rolą. – Pada na kolana ale jeszcze walczy, trzymając się rozpaczliwie palcami krawędzi lady. Nawet Wuj Paczinko nie jest taki beznadziejny po swojej whisky. – Ciałem się z toą zbaczyć, a bani Szaaszaki powiedziała, że wyjeałeś. Żegnaj Ueno żegnaj, złe fluidy w Ueno, złe, bo tam po wojnie kończyły wszystkie sieroty, nie wiedziaeś? Jagmuchy paday, bidnemaee... – Oczy Sugi wypełniają się łzami. Jedna stacza się po jego dziobatych policzkach. Właścicielka śmiercionośnego spojrzenia krzyczy przeraźliwie, jakby ją gwałcili w bibliotece: – Tego już za wiele! Obrzydzenie bierze, gdy się patrzy na zachowanie dzisiejszej młodzieży! – Wychodzi, zanim udaje mi się ją przeprosić.

Przez chwilę żałuję, że Suga nie padł – mógłbym udawać, że go nie znam, i może jakaś karetka by go zabrała. – Suga! Zabieraj się do domu! Za dużo wypieś!

Suga pociąga nosem i wpatruje się we mnie załzawionymi oczami foki. – Jestem przeklęty.

– Wystarczy ci forsy na taksówkę?

– Przeklęty.

– Możesz mi podać swój adres, Suga?

Zaciska powieki i z całej siły rozmyślnie wali głową w ladę, na szczęście nie aż tak mocno, bo nie panuje nad sobą, ale mimo to jego twarz wykrzywia ból.

Przytrzymuję mu głowę, ale Suga odpycha mnie. – Jestem przeklęty, Mijake! Nierozumiesz? Przeklęty. Gnój! Przez jednego gównowardeggo gnoja! Dziesiak, dziesiak z przetszkola, czekał

akurat fśrodku przy drzwiach piegami i błąkał, bo... – Suga znowu leje łzy i zaczyna się trząść. Dygocze jak pies ze strachu.

– Suga, mój pokój jest na górze, chcę...

– Jeden – łup – gówniany – łup – gnojek. Otworzyłem drzwi, wypada chłopak, pędem. – Suga zaciska oczy z bólu. – Btman i Robin na koszulce, dzieciak, na samiutki środek... drogi... – Suga beczy i rwanym, płytkim oddechem łapie powietrze. – I co zrobiłem, Mijake, wiesz? Rzuciłem się na pomoc, myślisz? Nie, Mijake, nie, nie, nie, jakby zamurowało, zamurowało. To miejsce, Mijake.

Widziałem. Słyszałem. Audiowideo. Samochód. Po hamulcach. Dzieciak. Łup, łup, łup... Poleciał, dzieciak, poleciał jak torba z zakupami, jak kula do kręgli, krew na drodze... – Palce Sugi zaciskają się, jakby chciał pociągnąć za linkę bezpieczeństwa – chwytam go za rękę. Suga przestaje się opierać. – Mamo, ona... czołga się obok mnie, nie i jęczy... a jaaaaa, jaaaauuuu... uciekłem. Uciekłem, uciekłem, uciekłem...

Uciekłem, Mijake, wgóle się nie zatrzymałem, uciekłem, Suga uciekł, ty MORDERCO... Suga morderca. – Suga przetyka swój żal. – Założę się, że nie masz już tego zakazanego ananasa, co? A ta moja pizza z grubo tartym serem? Przeklęty.

Przechodzę przez ulicę, widzę dziesiak. No dziesiaka widzę, dziesiaka. Przeklęty.

Przeklęty. – Oczy same mu się zamykają.

Rozumiem.

Wyjmuję klucz z kasy i jak worek taszcę Sugę na górę. – Do kibla. Jak obszczasz mi futon, to spalę ci komputery, jasne? Suga? Słyszysz mnie? – Suga kiwa głową, bełkocze coś mętnie i niezrozumiale. – Będę na dole. – A na dole przy kasie dziewczyna z wizerunkiem krowy na koszulce trzyma wszystkie kasety z Bradem

Pittem, jakie były w wypożyczalni. Spogląda na zegarek i cierpiętniczo wzdycha. – Przepraszam, że kazałem ci czekać – mówię. Dziewczyna ignoruje mnie.

Nagle słyszę, że Suga rzyga. Jedno rzygnięcie – dziewczyna spogląda zaintrygowana. Drugie rzygnięcie – dziewczyna łamie ślub niezadawania się mną i wlepia we mnie pytające spojrzenie. Rzygnięcie numer trzy i dziewczyna pyta: – Słyszysz coś? – Patrzą na nią, jakby spadła z księżyca: – Nie. A czemu? – Ona wychodzi, a ja zabieram się do układania pozrzuconych kaset na stojaku. Słyszę odgłos splukiwanej wody w toalecie, co poniekąd dodaje mi otuchy. I nagle potop klientów. Nie mogę się już połapać, kto jest człowiekiem, a kto replikantem w *Łowcy androidów*. Ciekawe, od ilu lat Suga nosi się ze swoim przekleństwem.

Zapominam, że po świecie chodzą także inni pokieraszowani ludzie. Jedenasta mija na osi i ani znaku nocnego ochłodzenia. Słyszę jakieś grzmotnięcie na górze – jedno, drugie; dobrze, że przynajmniej zwłok tu nie mam, bo musiałbym się jeszcze tłumaczyć przed Buntarem. Dudnienie wody i przez chwilę odnoszę wrażenie, że upał przerodził się w deszcz – potem uświadamiam sobie, że przecież Suga – by już odpowiedzieć na pytanie, jakie zadał mi trzy tygodnie temu – nie może sikać prosto, kiedy ma odjazd. Od jutra zmiana obsługi w wypożyczalni. Przystawiam pokrętło klimatyzacji o jeden ząbek i wyjmuję spod lady dziennik mojego dziadka i słownik kandzi. Serdeczne więzy łączące Subaru z Takarą, jego młodszym bratem, to kompletne przeciwieństwo chłodu, jaki panuje między moim ojcem a Takarą, moim dziadkiem. Wzmianka admirała Raizo o „nienawiści” nie daje mi spokoju.

Ciotki z Jakuszimy z powodzeniem używały mnie jako amunicji w swoich niekończących się kulturalnych wojnach, i nie mogę

uwolnić się od wrażenia, że teraz wchodzę w strefę kolejnej wojny.

* * *

10 listopada

Warunki kiepskie i nie ma mowy o wyjściu na mostek. Abe przypomina nam, że jesteśmy niezastępowalnymi składnikami naszych kaitenów. Ponadto I-333 za bardzo kołysze, żeby można było przeprowadzić kontrolę stanu. Między nami a załogą I-333 wyczuwa się pewną rezerwę. Pewien dystans jest może czymś naturalnym, ale ich zachowanie niekiedy graniczy z chłodem. Dowiedziałem się na przykład, że radiooperator pierwszej klasy po szkole łączności, Hosokawa, mieszkał w dzieciństwie w Nagasaki, więc kiedy po obiedzie mijaliśmy się w korytarzu, odezwałem się do niego w naszym miejscowym dialekcie. Spojrzał przestraszony i odpowiedział, używając oficjalnej sztywnej formułki. A kiedy Abe zaproponował, że piloci kaitenów mogą pomóc w uporządkowywaniu rejestrów, kpt. Jokota odpowiedział krótko, że nasza propozycja jest wielkoduszna, lecz absolutnie nie do przyjęcia. Abe jest przekonany, że ci ludzie uważają nas za oficjalnych bogów i krępuje ich nadmiar czci. Goto zauważył, że trzy i pół roku wymykania się bombom głębinowym każdemu nadszarpnęłoby psychikę. Kusakabe spekulował, że uważają nas za obłąkanych. To zezłościło Abego. Kusakabe spokojnie zauważył, że marynarze służący na okrętach podwodnych żyją, wymykając się z objęć śmierci, podczas gdy my dążymy do czołowego z nią zderzenia. Abe przywołał nas do porządku i rozkazał Kusakabemu – i Goto – żeby już nigdy nie wypowiadali tego rodzaju myśli, ponieważ w ten sposób pomniejszają oddanie i patriotyzm naszych gospodarzy. Ja w imię zgody nie zabierałem już głosu, ale w duchu

solidaryzowałem się z Goto. Nawet najmłodszy członek załogi mieli oczy starych ludzi.

11 listopada

Panują świetne warunki pogodowe. Rtęć w termometrze pnie się w górę, a morze się ociepla. Ponieważ kaitenów – gdy już raz się je spuści – nie można z powrotem zamontować na pokładzie, więc nie ma mowy, byśmy odbyli próbne rejsy na naszych statkach. Musimy jednak posiedzieć w kokpitach naszych kaitenów, dopilnowując, by silniki i inne układy były w doskonałym porządku.

Najprzyjemniejsze jest obserwowanie rozkołysanego morza przez peryskopy naszych kaitenów, zwłaszcza kiedy I-333 płynie w zanurzeniu. W miarę jak posuwamy się na południe, zauważam zmiany w królestwie zwierząt. Dzisiaj na przykład widziałem krowę morską. Pływała tak, jak tylko krowa może pływać.

Przepełnęliśmy przez ławicę tropikalnych ryb w kolorze nagietków i białoliliowych. Po południu pokazały się dwa delfiny. Towarzyszyły nam i najwyraźniej śmiały się ryby-dziwa. Może nasza misja też wzbudza uśmiech losu.

Goto opowiedział dowcip. – Chiński bandyta, amerykański imperialista i brytyjski generał skaczą w jednym momencie z budynku. Kto pierwszy uderzy o ziemię? – Nikt nie odpowiedział, więc Goto podrzucił nam puentę: – A kogo to obchodzi?

11 listopada

Burzliwa pogoda, na razie bez opadów. Kpt. Jokota bez ogródek, mówiąc oględnie, krytykuje rząd w Tokio. Gdyby jakiś cywil wypowiadał się w sposób tak lekceważący tajne służby na pewno by go aresztowały. Przy kolacji kapitan otworzył butelkę rumu. Z tym trunkiem miałem do czynienia tylko w opowieściach o piratach

czytanych w dzieciństwie. Rzeczywiście rozwiązuje języki. Abe pił najmniej, ponieważ ma słabą głowę, ale kpt. Jokota trzaska to niczym chłodzoną herbatę w upalny dzień. Kpt. Jokota najpierw zaatakował z furią Admiralicję za to, że zamiast wyciągnąć naukę z klęski pod Midway, tłumiła wszelkie wieści o klęsce i z byle słowa robiła tabu. „Jedyna strategia naszej marynarki polega” – według kpt. Jakoty – „na wciągnięciu nieprzyjaciela w »Rozstrzygające Starcie na Morzu«, tak jak w bitwie pod Cuszimą przeciwko Rosjanom. W tej wojnie jednak ono nie nastąpi. Amerykanie nie są tacy głupi”. Premier Todzo „to pierwszej wielkości idiota w dziedzinie wojskowości”, bo kazał zająć niezamieszkane Wyspy Alaskijskie. „Po co? żeby wyzwolić morskie ptactwo z anglosaskiej tyranii?”. Księżę Higaszikuni jest „taki głupi, że nie umiałby wylać szczyń z buta, gdyby instrukcje były napisane na pięcie”. Góro śmiał się, Kusakabe uśmiechał, a Abe kulturalnie poczerwieniał. Nie byłem pewien, jak powinna wyglądać stosowna reakcja. Kpt. Jokota utrzymuje, że złoża naftowe we Wschodnich Indiach nadal wchodziłyby w skład japońskich terytoriów, gdyby dowództwa nie zwalczały się i miały jeden cel, i gdyby poważnie pomyślano o rozwoju techniki radarowej. Teraz o urządzenia radarowe musimy błagać Niemców. Oskarża Armię Cesarską, że okręty podwodne, nie zgłaszając tego faktu do Wyższego Dowództwa, wykorzystuje jako „taczki”, w celu wspierania oddziałów pozostawionych na Rabaul i wyspach, których wróg nie atakował. Najbardziej jednak niepokoi stanowcze przekonanie kapitana, jakoby nasze tajne szyfry zostały złamane. Abe, może cokolwiek nierozważnie, zauważył, iż szyfry opracowali kryptolodzy z Uniwersytetu Cesarskiego, i to w taki sposób, by zachodni umysł nie był w stanie ich rozpracować. Kpt. Jokota odparł, że żaden z kryptologów z Tokijskiego Uniwersytetu

Cesarskiego nigdy nie został osaczony na pełnym morzu przez sforę niszczycieli, dokładnie znających zamiary jego okrętu.

* * *

– A jeśli masz rację – rozplątuje pętle na sznurze od telefonu – i sens to coś, co umysł „wytwarza”, to jak to się dzieje, że różni ludzie mają różny sens życia? Jak to się dzieje, że niektórzy w ogóle go nie mają? Albo umyka im sens od którego zaczynali? – Doświadczenia, wpływy, choroby, rozwody. Co to za hałas?

– Suga chrapie.

– Kot i chrapie tak głośno?

– Suga to człowiek. Poniekąd.

– Aha. A Suga to ona czy on?

Bezsukutecznie poluję na ślady zazdrości. – On. Pijany koleżka, który miał przymusowe lądowanie daleko od domu. Pozwoliłem mu przekimać na podłodze, ale on zabrał mi futon. Przerwałaś.

– Zapomniałam... Już wiem. Chcesz, żebym powiedziała ci coś o sobie?

Siadam. – Jasne, że tak.

– Mam zaawansowaną cukrzycę. Codziennie wieczorem, od trzynastu lat, robię sobie zastrzyk z insuliny. Muszę się stosować do planu posiłków. W razie zaniedbania mogę zapaść w śpiączkę. A jeżeli to stan bardzo ostry, wówczas mogę umrzeć. Sens mojego życia polega na zachowaniu równowagi pomiędzy śmiercią a poziomem cukru. Inny jest prawdopodobnie sens życia ludzi, którzy nie mają wbudowanych w geny bomb zegarowych. I być może właśnie to najgłębiej określa różnice między ludźmi: jak postrzegają swoje bycie na świecie.

Suga pomrukuje przez sen. Mój papieros jarzy się. – Mhm.

– A ty, co mi powiesz dzisiaj w nocy, Mijake? Strzepuję popiół z papierosa do puszki po piwie. – Dla mnie sensem było spotkanie z ojcem. Teraz, gdy ma to nastąpić, zastanawiam się, co będzie, gdy już go spotkam?

– Dlaczego teraz się nad tym zastanawiasz?

– Nie wiem. Zastanawiam się nad różnymi rzeczami i nijak nie mogę przestać.

– Eidzi Mijake, chcę się z tobą przespać, i to zaraz. W płucach dym, zatyka mnie. – Co?

– To tylko żart. Chciałam tylko pokazać, że jak chcesz, to możesz przestać się zastanawiać. Tak czy owak, Debussy w ogóle nie zastanawiał się nad sensem swojego życia.

– Debussy? W jakiej kapeli gra?

– Claude Debussy. Nie żartuj.

– Claude Debussy... grał na bębnach u Jimiego Hendrixa, tak?

– Nie kalaj świętości, nawet w żartach, bo sępy wydziobią ci wątrobę. Gram go na jutrzejszym przesłuchaniu z brzmienia. Chciałbyś posłuchać?

– Jasne. – To przede wszystkim.

Słyszę, jak się krząta. – Leż i patrz w gwiazdy.

– Niebo nad Kita Sendzu przygaszają w nocy neony.

– No to zagram ci *Et la lune descend sur le temple qui fut*.

– Przetłumacz.

– „I księżyc zstępuje nad dawną świątynię”.

– Francuski przychodzi ci tak samo łatwo jak wszystko inne?

– Nie zapominaj, że od szóstego roku życia planowałam ucieczkę do Francji.

– Francja. Jaki elegancki sens życia.

– Cicho, albo nie usłyszysz gwiazd.

* * *

Pryska olej na patelni. Partaczę już drugie jajko, kawałeczki skorupki między palcami, kapie spermiasta breja. Lubię patrzeć, jak przezroczysta substancja ścina się i bieleje. Omal w ostatniej chwili ratuję grzankę. Zdrapuję zwęgloną warstwę do zlewu. Sterta spoczywająca na moim futonie porusza się – Łeeeeeeaaaa. – Suga – nieodflegmiona ryba dyszopłucna – dźwiga łeb i lustruje moją kapsułę. Gaszę philipa morrisa w skorupce po jajku, rozsuwam zasłony i świeży poranek zalewa strumieniem niemyte od trzech dni naczynia oraz wielkie usypisko skarpetek i papierów. Suga zbyt piękny nie jest. Szyja zaleca się różowością gotowanej ośmiornicy, a przez twarz ciągnie się łańcuch wulkanicznych wysepek pozostałych po ukąszeniach moskitów. Mruży oczy. – Mijake? Co ty tu robisz?

– Mieszkam.

– Aha. To co ja tutaj robię?

– To właśnie tutaj umierałeś ubiegłej nocy.

– Szczuć mi się chce jak smok. Gdzie szczalnia? – Wskazuję kiwnięciem głowy.

Suga wstaje i idzie. Idzie i idzie. Wraca i wzdychając, zaciąga zamek rozporka. – W twoim kiblu śmierdzi jak w Ueno. Śmierdzi rzygowinami.

– Co powiesz na smażone jajeczko na śniadanie, pływające w smakowitym oleju?

– Rzygałem w nocy?

– Na ogół udawało ci się łaskawie trafić do muszli. Wpadaj częściej.

– Pić, cały basen bym wypił.

Napełniam kufel wodą z syfonu. Suga wychyla ją jednym

haustem. – Dzięki. Na kawę się załapię? – Oddaję mu swoją i nastawiam kolejny rondel z wodą. Suga składa futon, siada na nim jak pieńku, przysuwa się do stołu, popija kawę, wyrzuca z siebie głośne „aaaa” i odwija rękawy koszuli, żeby ukryć egzemę. – Nie miałem pojęcia, że grasz na gitarze. Czy ten dzieciak na huśtawce to twoja siostra? No, nieźle. – Tak. – Kładę jajko na grzanekę, zmiotam rupiecie, siadam i zabieram się do jedzenia.

– A ten facet w śmiesznych okularkach to twój ojciec? – Żółtko rozlewa się i kapie. – Niezupełnie. To John Lennon. – Suga przyciska kciuki do skroni. – Słyszałem o nim. Z Beach Boysów, nie? To gdzie ja właściwie jestem?

– Nad wypożyczalnią wideo w Kita Sendzu.

– Kiedy tutaj trafiłem?

– Około jedenastej w nocy.

– Mieszkasz nad miejscem pracy? Komunikacja musi być pierońsko uciążliwa.

– Powinieneś się cieszyć, że mam blisko i ściągnąłem tu twoje zwłoki, bo inaczej leżałbyś teraz w rynsztoku obszczany przez jakiegoś psa. Jak się tu dostałeś? Wzięłeś taksówkę z dworca? Sam nie byłeś w stanie dojść.

Suga potrząsa głową bezmyślnie. – Naprawdę nie pamiętam.

Jajka smaczne. – A dlaczego przyszedłeś mnie odwiedzić?

Suga wzrusza ramionami. – Słuchaj, jak byłem wczoraj zalany... chyba nie opowiadałem żadnych głupich historii ani nic takiego, co? jak się napiję, to plotę, co mi ślina na język przyniesie. Jak coś powiedziałem, to rozumiesz, nie było w tym ani krztyny prawdy. Czysta blaga. Wszystko, co mówiłem. Albo mogłem powiedzieć.

– To zrozumiałe.

– Ale naprawdę nic nie opowiadałem, no wiesz, żadnych głupot,

co?

– Nie, Suga, wcale.

Suga kiwa głową, nabrawszy pewności. – No, tak też myślałem. Wiesz, ja i picie. Brrr. – Wkracza Kotka i patrząc na Sugę, z miejsca wyczuwa okazję do czulej pieśczoły. – Witaj, ślicznotko! – Suga pieści Kotkę, która tymczasem czuje, że może załapać się na jedzenie. – To jak ci się żyje w jednym pokoju z tym podejrzanym typem?

– Jestem zdruzgotany twoją wdzięcznością.

– Dlaczego oszedłeś z Ueno zaledwie dwa tygodnie po uzyskaniu tam dożywocia?

– Sprawa rodzinna. Więc, yyy, masz dzisiaj seminarium?

Suga wzrusza ramionami. – Jaki dzień dzisiaj mamy?

– Czwartek.

– Nie wiem, gdzie dzisiaj pójdę.

– A nie na poszukiwanie Świętego Graala?

– Bez sensu. – Suga zdejmuje okulary i ściska palcami nasadę nosa. W tej pozycji wygląda na sześćdziesięcioparolatka. – Potworna strata czasu. Kończę z hakowaniem.

– Nie przesłyszałem się?

– Dwa tygodnie temu zakradłem się do Pentagonu. I wiesz, co?

– Nie było Świętego Graala?

Suga rozczesuje palcami włosy. – Dziewięć miliardów Świętych Graalów.

Zajrzałem do jednego. Znalazłem kolejnych dziewięć miliardów Świętych Graalów. A w każdym z nich wiesz, co?

– Dziewięć miliardów Świętych Graalów? – Muszę już przygotować się do pracy.

Suga wzdycha. – Rzecz w tym, że to był po prostu figiel jakiegoś

nudziarza z rządu. Większy miałbym z tego pożytek, gdybym każdą godzinę spędzoną na hakowaniu – a to są w sumie miesiące – przeleżał, nie kiwnąwszy nawet palcem. Od samego patrzenia na komputer zbiera mi się na wymioty.

– To co robisz na uniwersytecie?

– Nic. Łażę. Śpię.

– To może spróbowałbyś pohakować w innym miejscu. – Z regału za zasłoną wyjmuję świeżą koszulkę. Jest sucha, ale pognieciona, więc włączam żelazko.

– Dla hakerów – wzdycha Suga – no, dla najlepszych, w Świętym Graalu skupia się najwyższy sens hakowania, nie. Niehaker tego nie zrozumie. Pomyśl, gdybyś nagle dowiedział się, powiedzmy, że twój ojciec nie jest tym, za kogo go uważałeś.

Nawet do wysyłania wiadomości nie niani serca. I tak nigdy by mi nie uwierzyli.

Pomyśleliby, że przeszedłem na stronę tamtych.

Dokładam swój talerz do kolekcji zgromadzonej w zlewie i usiłuję znaleźć dwie, powiedzmy, pasujące do siebie skarpetki. – Dziewięć miliardów Świętych Graalów wypełnionych dziewięcioma miliardami Świętych Graalów. – Rozkładam z trzaskiem deskę do prasowania i ustawiam ją pionowo. – Ależ wspaniały schowek na Świętego Graala – rzucam luźną uwagę, i Suga już otwiera usta, by odpowiedzieć, ale zmienia zdanie. Głaszcze Kotkę, która mruczy z częstotliwością dziewięćdziesięciu mruknięć na minutę. Żelazko sapie, wypuszczając parę. Suga otwiera usta. – Nie – mówi. – Sprawdziłem setki przykładowych plików Graala, z całego pola dokumentu. Święty Graal to po prostu ćwiczenie w nieskończoność. Aż do utraty sensu.

* * *

13 listopada

Stan pogody w chwili obecnej nieznany. Trwamy w bezruchu, ukrywając się przed nieprzyjacielem. Dziesięć minut temu wachta ogłosiła alarm – szwadron błyskawic kierował się prosto na nas. Wstęp do pandemonium rozpoczął się, gdy załoga przygotowała I-333 do zanurzenia, jeszcze zanim zostaliśmy namierzeni.

„Wachta na dół! Zanurzenie! Zanurzenie!”. Abe, Goto, Kusakabe i ja wróciliśmy do swoich koi. „Luki zabezpieczone!”. Morska woda wypełnia zbiorniki balastowe.

Wysoki zawodzący dźwięk powietrz wypychanego przez górne otwory po bokach.

I-333 przechylił się pod kątem 10 stopni. Żarówki zaczęły eksplodować. W uszach dzwonienie i tępy ból. Nasze życie spoczywa teraz w rękach załogi. Mamy maksymalne zanurzenie 80 metrów. Kadłub I-333 jęczy – czegoś takiego jeszcze nie słyszałem. Nikt nie śmie pisnąć. Kpt. Jokota opowiadał nam plotki o zrzuconych przez nieprzyjaciela bojach z sonarem który pozwala akustycznie naprowadzanym pociskom lokalizować i niszczyć okręty podwodne. Może kpt.

Jokota ma rację: odwaga jest najważniejszym przymiotem żołnierza, ale technika jest świetnym jej substytutem. Nieustannie myślę o otaczającej nas zewsząd wodzie. Czego najbardziej nie cierpię na I-333, to zapachu: atakuje moje zmysły, ilekroć wracam z mostku. Pot, ekskrementy, zepsute jedzenie i mężczyźni.

Mężczyźni, mężczyźni, mężczyźni. Na lądzie niespodzianki są mile widziane.

Rozpraszają nudę rutyny i wprowadzają ożywienie. Na pokładzie okrętu podwodnego niespodzianki mogą okazać się zgubne. Piszę, żeby oderwać się od natrętnych myśli. Abe medytuje.

Goto modli się. Kusakabe czyta. Pilot kaitena jest najniebezpieczniejszym środkiem niszczącym w historii morza, a tymczasem ja czuję się taki kruchy.

14 listopada

Pogoda się psuje. I-333 znajduje się mniej więcej w połowie drogi od naszego celu. Stosunki między Abe a Kusakabe pogorszyły się. Wczoraj wieczorem Abe wyzwał go na pojedynek szachowy, a kiedy Kusakabe odmówił, powiedział: „To chyba dziwne, że pilota kaitena boi się przegranej”. Zarzut padł w formie żartu, ale tak to już jest, iż żarty zazwyczaj stanowią przebranie czegoś, co żartem nie jest.

ptysie, że Abe jest zazdrosny o terytorium, na które Kusakabe broni wstępu.

Kusakabe bez słowa odłożył książkę i ustawił szachownicę. Zniszczył Abego tak, jak Ty zniszczyłbyś sześciolatka. Na ruch potrzebował około dziesięciu sekund.

Abe namyślał się dłużej, twarz zrobiła mu się zacięta, ale nie mógł się zmusić do poddania partii. Kusakabe trzykrotnie wypromował pionka na hetmana, podczas gdy król Abego czekał w kącie na nieuchronny koniec. Abe przewrócił swojego króla i powiedział żartem: „Mam tylko nadzieję, że twoja ostatnia misja skończy się tak wielkim sukcesem jak ta partia”. Na co Kusakabe odpowiedział: „Amerykanie to trudni przeciwnicy, poruczniku”. Goto i ja obawialiśmy się, że te zaczepki mogą doprowadzić do starcia, ale Abe spokojnie uprzątnął figury. „Amerykanie to w gruncie rzeczy rasa tchórzów. Bez broni Jankes jest niczym”. Kusakabe złożył szachownicę. „Przeegraliśmy tę wojnę, bo uwierzyliśmy naiwnie w naszą propagandę. Zatruta nam zdolność myślenia”. Abe stracił panowanie, chwycił szachownicę i machnął

nią przez naszą kajutę. „No to dlaczego tu się znalazłeś, pilocie kaitena?”. Kusakabe rzuca w odpowiedzi wyzywające spojrzenie wyższemu stopniem oficerowi. „Chcę, żeby rząd w Tokio mógł wynegocjować nieco mniej poniżające warunki poddania, i taki właśnie jest sens mojego poświęcenia”. Abe syknął, nie mogąc opanować wściekłości. „Poddania? To słowo jest obelgą dla ducha Jamatodamaszii! W dziesięć tygodni wyzwoliliśmy Malaje! Zbombardowaliśmy Darwin! Wyrzuciliśmy Brytyjczyków z Zatoki Bengalskiej! Nasza krucjata doprowadziła do stworzenia obszaru wspólnego dobrobytu, nieznanego na Wschodzie od czasów Czyngis Chana! Osiem regionów zjednoczonych pod jednym dachem!”. Kusakabe nie był ani zły, ani załamany. „Wielka szkoda, że duch Jamatodamaszii nigdy nie pomyślał, jak podtrzymać dach walący się nam na głowy”. Abe krzyknął chrapliwie: „Twoje słowa przynoszą hańbę odznakom, które nosisz na mundurze! Obrażają twój szwadron! Gdybyśmy byli na Otsuszimie, postawiłbym cię do raport za wywrotowe myślenie! Rozmawiamy o tym, co dóbr i złe! W tym objawia się boskość!”. Kusakabe utkwiał w nim wzrok. „Rozmawiamy o tonażu bomb. Chciałbym zatopić lotniskowiec wroga, ale nie dla ciebie, poruczniku, nie dla pułku, nie dla błękitnokrwistych czy dla tych błaznów z Tokio, ale dlatego, że im mniej amerykańskich samolotów zrzuci bomby na Japonię, tym większa szansa, że moja siostra przeżyje tę głupią, krwawą wojnę”. Abe uderzył Kusakabego w twarz prawą ręką, dwukrotnie, mocno, potem poprawił lewym sierpowym w podbródek. Kusakabe zatoczył się i powiedział: „Doskonała linia rozumowania, poruczniku”. Goto wpadł między nich.

Byłem tak wstrząśnięty, że nie mogłem zrobić ruchu. Abe splunął na Kusakabego i wypadł jak burza z kajuty, ale też na okręcie

podwodnym nie za bardzo jest gdzie się pieklić. Wziąłem wilgotną szmatkę do przemycia rany, ale Kusakabe podniósł książkę, jakby nic się nie stało. Z takim spokojem, że zacząłem już podejrzewać, iż sprowokował Abego, żeby zostawił go w spokoju.

15 listopada

Pogoda: deszcz i wiatr, ogon tajfunu. Mam umiarkowaną biegunkę, ale izba chorych przepisała mi jakiś skuteczny lek. Straciliśmy kontakt z I-37, siostrzaną jednostką biorącą udział w tej misji. Większość czasu zajmuje nam w ciągu dnia obsługa wszystkich systemów kaitena. Po wczorajszym incydencie Abe stara się nie odzywać, chyba że musi. Kusakabe odnosi się do niego ze służbową grzecznością. Lewe oko ma półprzymknięte z powodu siniaka. Goto powiedział załodze, że Kusakabe wypadł z koi. Zapytałem Kusakabego, czy jego propozycja jest aktualna i czy nadal chce mi pożyczyć tom angielskiego kabuki, na co on odpowiedział, że jasne, i polecił mi sztukę o największym rzymskim żołnierzu.

Słuchaj: „Bodaj to wojna, i ja mówię; ona a pokój, to tak jak dzień i noc, rześko na niej, ruchawo, głośno i swobodnie. A pokój to prawdziwy letarg, paraliż: ckliwy, głuchy, ospały, nieczuły, i więcej płodzi bękartów, niż wojna zabija ludzi”.

Czytania nie przerywałem, nawet kiedy do kajuty wchodził Abe. Jednakowoż zachodnie wartości militarne wprawiają mnie w zdumienie. Żołnierz, Koriolan, mówi o honorze, ale kiedy czuje, że zdradzili go Rzymianie, nie potwierdza swojego protestu, popełniając harakiri, lecz dezertuje i walczy dla wroga! Gdzie tu honor? Po południu zauważono amerykański frachtowiec bez eskorty, ale kpt.

Jokota ma wyraźne rozkazy, by nie odpalać konwencjonalnych

torped, dopóki nie zakończy się misja kaitenów. Goto przysiągł, że jeżeli chodzi o niego, to nie pisałyby w Admiralicji Kwatery Głównej ani słowa, gdyby kpt. Jokota zlekceważył to zalecenie. I-47 przysłał oficjalny komunikat ostrzegawczy o dwóch nieprzyjacielskich niszczycielach SSE znajdujących się w odległości 20 km, więc pozwoliliśmy frachtowcowi uciec. Potem zbudowaliśmy razem z Goto model okrętu z kartonu i ćwiczyliśmy kąt natarcia kaitena, posługując się makietą peryskopu. Wtedy Goto rzucił zdawkowo, jakby to była uwaga na temat pogody: „Tsukijama, chcę cię przedstawić mojej żonie”. Jedyne raz, kiedy był całkowicie poważny. Poślubił ją podczas naszej ostatniej przepustki. „Gdyby po mojej śmierci ponownie chciała wyjść za mąż”, powiedział, bardziej do samego siebie niż do mnie, „to ma moje błogosławieństwo. Może mieć wielu mężów, ale ja na zawsze pozostanę przy jednej żonie”. Potem Goto zapytał mnie, dlaczego zgłosiłem się na ochotnika do specjalnych sił uderzeniowych. Być może stwierdzisz, że to dziwne, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy n Otsuszimie ani nawet w Nara, bo też za bardzo byliśmy wplątani w owo „jak”, by w ogóle dostrzec „dlaczego”. Od powiedziałem, i nadal to podtrzymuje, że urodziłem się h wziąć udział w realizacji planu kaiten.

* * *

Suga złazi na dół. – Cześć. – Cześć. – Zamykam dziennik. – Jak się czujesz?

– Dziesięciomegatonowy ból głowy.

– Mój szef gdzieś tu ma apteczkę...

– Jestem wyjątkowo odporny na środki przeciwbólowe.

Posprzątałem toaletę.

Jeszcze nigdy tego nie robiłem. Mam nadzieję, że szmaty i

środki wzięłem właściwie.

– Dzięki.

Suga pociąga nosem i przez chwilę patrzy na ekran. Leci amerykański film – wybrałem na chybił trafił, zatytułowany *An Officer and a Gentleman*. Z pudełka, w którym, jak mi się wydawało, powinien znajdować się film o wojnie na Pacyfiku, w której walczył mój stryjeczny dziadek, ale pomyliłem się. Lata osiemdziesiąte, bohater – o ponurej szczurzej twarzy – zostaje osadzony w bazie szkoleniowej marynarki. – To już rozumiem – mówi Suga – dlaczego zrezygnowałeś w Ueno. I tylko tym się zajmujesz? Siedzisz na tyłku i przez cały dzień oglądasz filmy?

– Tak samo jak ty siedzisz na swoim i gapisz się w ekran komputera.

Suga przegląda stojak z nowościami. – Dni tych wszystkich wypożyczalni są policzone. Już niedługo ludzie będą załadowywali filmy via Net, co nie. W formie DCDI. Technologia jest już gotowa, czeka tylko na akcję marketingową.

Aha, miałem zapytać: co stało się z koreańską laską, za którą się uganiałeś?

– Yyy, okazało się, że to ktoś inny.

Na chodnik wjeżdża jeep w kolorze kryptonowej zieleni pulsujący muzyką akuratną do podróży w czasie. Na miejscu dla pasażera Lolitka plująca przez okno pestkami z wiśni, do Mknącej Gwiazdy zaś wpada Dalai Lama, który w jednej ręce trzyma puszystą białą fretkę pyszniącą się biało-różowym krawatem, a w drugiej – trzy kasety wideo. – Jazon i Argonauci wstrząsnął nami, Sindbad ostudził, a Titanic dobił. Mity nie są już tym, czym były. Powinienem wiedzieć – sam je pisałem. – Sprawdzam daty zwrotu i dziękuję mu. Dalai Lama wychodzi księżycowym krokiem i na

pożegnanie macha nam łapką fretki. Fretka ziewa. Dżip startuje, zamazując dźwięki muzyki w jazgotliwej plamie. Suga patrzy przez drzwi. – Chciałbym mieć takiego przyjaciela. Dzwoniłbym sobie do niego, gdy tylko poczułbym się jak wyrzutek, wiesz, tylko po to, żeby przypomnieć sobie, że naprawdę jestem normalny. – Suga ziewa, czyści okulary o koszulkę i wychodzi na dwór, rzucić okiem na niebo. – Mamy nowy dzień.

– Poczekalnie sali przesłuchań to wylęgarnie obłąkanych – mówi Ai; słysząc wiatr i odgłos przytłumionych wyładowań – albo teren wojen psychologicznych studentów. Muzycy są gorsi od światowej klasy szachistów kopiących się pod stołem. Chłopak ze szkoły muzycznej Toho pije czosnkowy jogurt i wyczytuje zbiór francuskich wyrażań i zwrotów slangowych. Na głos. Inny monotonicznie odśpiewuje z matką buddyjskie teksty sakralne. Dwie dziewczyny rozmawiają o samobójcach z akademii muzycznej, którzy nie mogli znieść presji. – Jeżeli zagrasz dla sędziów chociaż w połowie tak dobrze jak dla mnie, to powinnaś sobie poradzić.

– Coś mi się wydaje Mijake, że jesteś stronnicy. Sędziowie nie dają punktów za szyję. W każdym razie za to ni dostaje się stypendium Paryskiego Konserwatorium.

Przedzieras się tam pazurami, po trupach innych obiecujących muzyków.

Zupełnie jak gladiatorzy w Rzymie, z tym tylko że kiedy przepadniesz, musisz jeszcze grzecznie uśmiechnąć się i pogratulować swoim wrogom. Granie przez telefon dla ciebie to nie to samo, co występ dla gremium sędziów przypominających wytrzaśniętych spod ziemi pierwszej wody zbrodniarzy wojennych, którzy decydują o mojej przyszłości, o tym, co mi się śni, i o tym, kim jestem jako człowiek. Jeśli obleję to przesłuchanie, to skończy

się na lekcjach, które do końca życia będę musiała udzielać małym spryciarcom.

– Ale przecież będą jeszcze jakieś przesłuchania – wtrącam.

– Nawet tak nie mów.

– Kiedy ogłoszą wyniki?

– Dzisiaj o piątej, po występie ostatniego kandydata jutro sędziowie odlatują do Francji. Zaczekaj – ktoś idzie... – łowią uchem monotony szmer i stłumione mamrotanie. – Mówili, że za dwie minuty mam wejście.

Chciałbym powiedzieć coś pokrzepiającego, zachęcającego i dowcipnego. – Yyyy, powodzenia.

Idzie. Jej oddech staje się szybszy... – Wcześniej myślałam...

– O czym?

– O sensie życia, oczywiście. Znowu zmieniłam zdanie.

– Tak?

– Sens życia odnajduje się w szeregu sprawdzianów, przez które się przechodzi bądź się je oblewa. – A kto decyduje o wyniku?

Jej kroki odbijają się echem i narastają zakłócenia. – Każdy.

Klienci wchodzą i wychodzą. Płynie równomierny strumień wypożyczanych filmów o końcu świata – widać coś wisi w powietrzu. Ciekawe, jak Ai radzi sobie na przesłuchaniu. Wydawało mi się, że nieźle gram na gitarze, ale w porównaniu z nią gram jak amator z poprzetrącanymi palcami. Wchodzi znękana matka i prosi, żebym polecił coś, co na godzinę zamknęłoby usta jej dzieciakom. Opieram się pokusie, by podsunąć jej *Pam the Clam from Amsterdam*, to by im zamknęło usta, nieprawdaż? – i daję jej *Skalny Zamek Laputów*. Podchodzę do drzwi – niebo płonie kolorami jednego z tych opalowo–marmoladowych zachodów słońca.

Opodal, niczym leniwie przechadzający się lew, pomrukuje Harley Davidson.

Lśniące chromowe wykończenia jak u komety, za kierownicą chłopak w skórzanych spodniach, firmowej koszulce z napisem *JESTEM DO LICHA DOBRY* i wojskowym hełmie z namalowanym od szablonu rysunkowym kaczorem. Dziewczyna o idealnych ramionach znikających w rękawach koszulki i blond włosach połyskujących bursztynowym blaskiem zachodu to Kawka we własnej osobie. Kawka z pokoju na godziny! Ta sama minka, te same nogi obejmujące w rozkroku dwie strefy czasowe. Chowam się za plakatem z Kenem Takakurą i obserwuję motocykl zręcznie wymijający samochody uwięzione w korku. Stanowczo Kawka – albo jej klon. Teraz nie jestem już taki pewien. W Tokio Kawka ma miliony klonów. Siadam i otwieram dziennik dziadka. Co Subaru Tsukijama powiedziała, widząc dzisiejszą Japonię? Warto było za nią umierać? A może odpowiedziała, że to nie ta sama Japonia, za którą zginął. Ta, za którą zginął, nigdy się nie ziściła. Może to szczęście, że nie może ujrzeć tej Japonii.

Zastanawiam się, jaki punkt widzenia przyjąć w przyszły poniedziałek, gdy spotkam się z dziadkiem. Żebym to ja mógł poczynać sobie w tym względzie tak jak Daimon. Szkoda, że admirał Raizo nie dał mi żadnej wskazówki. Powinienem gloryfikować duchowość samurajów? A czy to ważne? Przecież chcę tylko żeby dziadek przedstawił mnie ojcu. Nic więcej. Ciekawe jakiego stopnia bym się dochrapał na wojnie. Wytrzymałbym w stalowym olbrzymie mknącym na spotkanie z moją śmiercią? Mam tyle lat, co mój stryjeczny dziadek w chwili śmierci. Gdybym nie był tym „ja”. Gdybym był jakimś innym „ja”. Niesamowite, pomyśleć, że to nie ja powołałem siebie do istnienia, nie moi rodzice, lecz

Japonia.

Subaru Tsukijamę stworzyła Japonia, która zginęła w chwili kapitulacji. Dziełem jednej i drugiej Japonii być trudno, tak jak trudno być Takarą Tsukijamą.

* * *

18 listopada

Pogoda: tropikalny upał, oślepiające słońce. Dzisiaj rano spędziłem trzydzieści minut na platformie obserwacyjnej przed peryskopami. Wachtowy pożyczył mi lornetkę. Nasza pozycja: 60 kilometrów na zachód od atolu Ulithi. Lecący niżej wysokości samolot rozpoznania z Truk doniósł o 200 nieprzyjacielskich okrętach, w tym 4 lotniskowcach. Nieprzyjacielskie przekazy radiowe przybrały na, intensywności. Kpt. Jokota postanowił, że nie będziemy czekać na I-37, gdyż upłynęło już 5 dni od ostatniego kontaktu. Wywoływanie go na niskiej częstotliwości byłoby dość ryzykowne w tak bliskim sąsiedztwie sił wroga. Mam nadzieję, że to tylko opóźnienie. Dać się zatopić tak blisko strefy zajmowanej przez obiekt – to byłby dla pilotów kaitenów gest okrutnej ironii. Przesłaliśmy życzenia pomyślnych łowów dla I-36 i I-47, po czym skręciliśmy na wschód, w kierunku Wysp Palau. Około 18:00 I-333 zbliżył się do Peleu. Archipelag jest piękny jak miejsca znane z dawnych opowieści, ale odległy jak pejzaże, jakie od niechcenia rysowałem w zeszycie. Widziałem koralowe wysepki, wstęgi odkrytych pokładów geologicznych, wąwozy, szczyty, bagna i łąchy piasku. Wyraźnie widać było szkody spowodowane ostatnio przez bitwę. 14 Dywizja Armii Kwantung drogo kazała zapłacić wrogowi za zajęcie tych wysp. Bazy i lotniska należały do obiektów najbardziej narażonych na walki podczas wojny, ponieważ Wyspy

Palau stanowiły japońskie terytorium od czasu ustanowienia mandatu Ligi Narodów w 1919. Ale nieprzyjaciel nie może domyślać się, ile naprawdę zapłaci za kotwicowanie w Przesmyku Kossol. Wachta wypatrzyła nieprzyjacielski samolot zwiadowczy i zeszliśmy pod wodę. Ponieważ dzisiejszy wieczorny posiłek będzie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, naszym ostatnim, więc kapitan Jokota wyciągnął swój gramofon na korbę i dwie płyty. Z miejsca rozpoznałem melodię, którą grywał nasz Ojciec, zanim jazzu zabroniono z powodu jego szkodliwego wpływu. Grał Dziu Keringuton. Dziwnie się słucha amerykańskiego jazzu tuż przed wyruszeniem z misją pozabijania Amerykanów.

19 listopada

Pogoda: ładna, warunki przeważnie dobre. Ostatnia noc spokojna. I-333 na obserwacji peryskopowej. Błysk obiecał, że pojedzie do Nagasaki i wręczy Ci ten dziennik osobiście, Takara. Moi koledzy, piloci z Kikusui, piszą pożegnalne listy.

Kusakabe zapytał Abego o radę w sprawie niejasnego znaku kandzi do haiku, które układał. Abe odpowiedział mu bez cienia urazy. Ja nie mam talentu do wierszy.

Błysk właśnie robi ostateczny przegląd kaitenów, trzeba jeszcze sprawdzić mechanizmy uwalniające nasze torpedy. Kapitan Jokota łagodnym łukiem podprowadza okręt do wejścia do Przesmyku Kossol. Pomodliliśmy się w specjalnie urządzonej świątyni i w darze bóstwu tej świątyni poza stawiliśmy kadzidło.

Goto spalił kartę z wizerunkiem lotniskowca i złożył w ofierze popioły.

Przestudiowaliśmy szkic kartograficzny strefy, w której znajduje się obiekt, pod kątem głębokości. Podczas pożegnalnej kolacji podziękowaliśmy załodze za bezpieczne dostarczenie na miejsce.

Wznosiliśmy toasty z okrzykiem „banzai” za powodzenie naszej misji i za Cesarza. Po raz ostatni wspiąłem się na mostek żeby spojrzeć na księżyc i gwiazdy i wypalić papierosa z chorążym, który miał służbę.

Błyszczący księżyc w pełni. Przypominał mi lusterko, którym Jaeko i Mama postugiwały się, robiąc makijaż. Przy tym księżycu na wybranie celu będę potrzebował mniej niż trzy godziny. Trzy godziny. Już tylko tyle zostało z mojej linii życia, jak wszystko dobrze pójdzie. Myślę już tylko o tym, żeby jak najlepiej wykorzystać to, czego się nauczyłem, i żeby cios, jaki zadam, był na pewno śmiertelny. Teraz powierzę ten dziennik Błyskowi.

Przeżyj życie za mnie, Takara, a ja za Ciebie umrę.

Żyj, braciszku.

* * *

Jeszcze nie słyszałem tak przygnębionej Ai. Nie przypuszczałem, że takie stany również ma w repertuarze. Głaszczę Kotkę. – Twój ojciec wie, ile dla ciebie znaczy Konserwatorium?

– Stary dobrze wie, ile to dla mnie znaczy.

– A wie, jak nielicznym przyznaje się stypendia?

– Tak. – To dlaczego zabronił ci jechać? Dlaczego nie jest to dla niego powodem do dumy?

– Niigata była wystarczająco dobra dla niego, więc będzie też wystarczająco dobra dla mnie. Nie chce nawet używać słowa muzyka. Zamiast tego mówi „brzdąkanie”.

– A co o tym myśli twoja matka?

– Matka? „Myśli”? Ona przestała myśleć wraz z końcem miodowego miesiąca. Powtarza tylko: „Słuchaj ojca!”. Bez końca. Tak długo pozwalała mu wypowiadać się w jej imieniu, że teraz w

ogóle już się nie odzywa. W zasadzie to przeprasza ojca nawet za to, że on na nią wrzeszczy. Moja siostra wyszła za właściciela największych cementowni nad Morzem Japońskim, dlatego że tak kazał jej ojciec, a teraz robi się dokładnie taka sama jak matka. Aż skóra cierpnie. Usłyszała, że nad Austrią są wielkie dziury ozonowe, więc...

– Nad Austrią? Nie miała na myśli Australii?

– Ich wiedza na temat świata istniejącego poza Japonią sięga miejsca, do którego są w stanie dopłynąć kraulem. Przykro mi, jeżeli brzmi to zgryźliwie.

Potem skaptowali mojego brata. Pracuje w branzowym biurze Starego, możesz więc sobie wyobrazić jego czułość. Tylko ja niszczę rodzinną harmonię, tak powiedział. Francuskie jedzenie zniszczy mnie przy mojej cukrzycy – jakby ta moja cukrzyca kiedykolwiek go obchodziła – matka zacznie się zamartwiać, od czego skoczy jej ciśnienie, które przecież może ją rozsadzić. Wtedy to ja będę winna eksplozji matki, no i oczywiście nieposłuszeństwa wobec Starego. Co to za hałas?

Znowu Suga?

– Tym razem Kotka. Przykro jej z twojego powodu, ale nie wie, co powiedzieć, ażeby nie zabrzmiało kiepsko. Ma nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

– Podziękuj jej. W takich sytuacjach żałuję, że nie palę. – Przyciśnij usta do słuchawki, prześlę ci dym nrze telefon.

– Nastolatki często roją sobie, że ich rodzice nie są ich prawdziwymi rodzicami. Dzisiaj widzę, że to może mieć swój urok. Prawdą jest, że Stary nie może znieść myśli, że mogą go nie potrzebować. Gdy mu się wydaje, że ma rację, nie cofnie się przed niczym. Poza tym boi się, że pracownicy dowiedzą się, iż nie umie

zapanować nawet nad własną córką. Ależ zapyziała ta moja rodzina! Słowo daję czasami wołałabym być sierotą. Och. Och... przepraszam Mijake...

– Ej, nie przejmuj się.

– Przepalił mi się dzisiaj bezpiecznik taktu. Powinnam się wyłączyć i dać ci spokój. Przez całe trzydzieści minut nic, tylko narzekam.

– Możesz sobie narzekać przez całą noc. Prawda, Kotko?

Kotka, a niech ją, jak na komendę miauczy, że prawda.

– Słyszałaś? Więc ponarzekaj sobie.

* * *

– Wyglądasz o pięć lat młodziej – mówię do Buntara, gdy zjawia się w niedzielę wieczorem po powrocie z Okinawy, bo też naprawdę wygląda. – Może gdy ja wybiorę się na wakacje, zacznę wyglądać jak dwudziestolatek? – Daje mi w upominku breloczek z Zizzi Hikaru – która podobnie jak większość idoli pochodzi z Okinawy i zrzuca ciuchy, kiedy się dmuchnie na plastikową oprawę. – O, dzięki – mówię – będzie co zostawić w spadku rodzinie. Dobrze jest wrócić, co?

– Ta-ak. – Buntaro rozgląda się po Mknącej Gwieździe. – Sam nie wiem.

– Dobra. Macziko-san dobrze się bawiła? – Jeszcze jak. Chce się tam przenieść.

Jutro.

Buntaro drapie się w głowę. – Niedługo urodzi się pai... to zmienia zapatrywania. Chciałbyś wychowywać się w Tokio?

Przypomina mi się pierwszy list matki, balkon. – Chyba nie.

Buntaro kiwa głową i zerka na zegarek. – Masz pewnie tysiące

rzeczy do odrobienia, chłopcze. – Nie mam, ale widzę, że Buntaro chce zabrać się do nadrobienia papierkowej roboty, więc idę na górę do swojej kapsuły i zbieram brudną bieliznę do prania. Usiłuję dodzwonić się do Ai, ale nikt nie odpowiada. W nocy blok drży w posadach od piekielnych hałasów. Wydzierający się ojciec, wrzeszczące dziecko, pracująca pralka. Jutro poniedziałek – dzień spotkania z dziadkiem. Leżę na futonie i zabieram się do odcyfrowania trzech ostatnich stron dziennika. Pisane na innym papierze, ścieśnionym pismem, jeszcze trudniejszym do odczytania. U góry arkusza przybita w poprzek czerwona pieczętka po angielsku: *SCAP* – nie ma tego w moim słowniku – i *Cenzura Wojskowa*. Do tego na wpół nieczytelny napis po japońsku: „... słowa te... moralna własność... Takary Tsukijamy...”. I nieczytelny dla mnie adres w Nagasaki.

* * *

20 listopada

Stan pogody – nieznany. Ja martwy, ale jeszcze żywy. Ostatnie 6 godzin. O 2:45 do kajuty przyszedł kpt. Jokota – ogłosił atak kaitenów za 15 minut. Stanęliśmy w kręgu, każdy z nas stojącemu przed sobą bratu zawiązał haczima. Goto: „To tylko jeszcze jeden ćwiczebny wypad, chłopaki”. Abe do Kusakabe: „Piekielny z ciebie szachista, chorąży”. Kusakabe: „Piekielnego masz sierpa, poruczniku”. Obeszliśmy I-333, dziękując załodze za bezpieczne dostarczenie na miejsce. Oddawanie honorów. Uściśnięcie dłoni przed wejściem do kaitenów przez zsuwnie. Błysk zamknął nad nami pokrywy luków. Jego twarz to ostatnie, co zobaczyłem. I-333 zanurzył się, gotów do ostatniego podejścia Radiooperator pierwszej klasy Hosokaua podtrzymywał połączenie telefoniczne aż do

momentu spuszczenia kaitenów dostarczając dane z ostatniej chwili. Abe wyruszył o 3:15, Słyszałem, jak puszczają klamry. Goto wyruszył o 3:20. Kusakabe popłynął o 3:35. Przez następne pięć minut natłok myśli, trudności z koncentracją. Odezwał się Hosokaua w dialekcie Nagasaki: „Będę ci towarzyszył myślami. Obyś okrył się chwałą”.

Ostatnie słowa wypowiedziane przez człowieka. Dziobowe klamry zwolnione.

Startuje silnik. Rufowe klamry zwolnione. Kaiten swobodnie unosi się na wodzie.

Ostre szarpnięcie w lewo, żeby wyminąć wieżyczkę obserwacyjną i urządzenia peryskopowe. Kurs ESE, stałe zanurzenie 5 metrów. Po wynurzeniu na powierzchnię o 3:42 potwierdzenie pozycji za pomocą namiaru wizualnego.

Nieprzyjacielska flota wyraźnie rysuje się na tle portowych świateł. Grupa składająca się z barek desantowych, transportowców, zbiornikowców, przynajmniej trzech okrętów wsparcia, trzech niszczycieli i dwóch ciężkich krążowników. Żadne barki, same okazałe obiekty. Obżerający się, śpiący, srający, palący, popijający, gadający Amerykanie. I ja, ich kat. Dziwne odczucie. Na strategicznej naradzie na I-333 uzgodniliśmy, że pierwsze kaiteny powinny uderzyć w okręty zakotwiczone dalej – zgaduj zgadula. Przydaje się dziecięca wyliczanka: Do-re-ni-szi-ma-szo-ka? Ka-mi-sa-ma-no-iu-to-wybuch. Fala uderzeniowa wstrząsnęła kaitenem. Ustawiłem peryskop, w obiektywie zbiornikowiec, ogień strzelający kolorem kwitnącej śliwy, dym już zdążył zasłonić gwiazdy Druga eksplozja. Pomarańczowo. Przecudnie, strasznie, oczu nie można oderwać.

Płomienie pną się, oświetlają przesmyk, jest jaśniej niż w dzień.

Upolowany.

Zanurzam się. Jak w półśnie. Tak odczuwam, nie działam. Wybrałem najbliższy wielki okręt i ustawiłem się pod odpowiednim kątem. Syreny, silniki, chaos.

Kolejna wielka eksplozja – kaiten, bomba głębinowa w pobliżu, nie wiadomo. Łódź patrolowa? Wibracje coraz bliżej, bliżej, bliżej – zszedłem na głębokość 8 metrów – przeszło. Spora eksplozja na sterburcie. Samotność – strach, że bracia zostawią mnie tu wśród obcych, nie, to nie ja. Zwolniłem do 2 km/h, wynurzenie, muszę sprawdzić pozycję. Ogień z dymem po eksplozjach w dwóch miejscach. Wybrałem masywny kontur ustawiony na zachód – lekki krążownik o 150 metrów. Oczy oślepienie przez światła reflektorów, ale chroni mnie chaos panujący na brzegu.

Zanurzenie na 6–7 metrów. Przydusiłem do 18 km/h. Lecę, dziwne powietrze.

Zatrzymuję w miejscu. Wynurzenie, ostatni namiar. Krążownik ogromniał w ciemności. 80 metrów. Strumienie postaci. Mrówki. Świetliki. Zanurzenie 5 metrów. Głowica uzbrojona. Jedna myśl: „To moja ostatnia myśl”. Przeszawiłem dźwignię na maksymalną prędkość. Przyśpieszenie wcisnęło mnie w fotel... jeszcze 70 metrów, 60, 50, 40, 30, 20, w następnej chwili uderzenie, i uderzenie Dźwięk dzwonka, jak w świątyni. Oblędne wirowanie – dno na górze, góra na dnie, wwiercanie się, miotnięcie w prawo i na dół, luźne przedmioty obijają się wraz ze mną. W płucach brak tchu. Więc to śmierć, myślę, więc myślę, czy trup myśli? Bolesne dzwonięcie wymazało z głowy myśl. Przechylenie, chrząst, opadanie w dół, koniec wibracji. Silniki wyją, ster nie działa, luźno lata w rękach, buczenie dochodzące z silników, wzrastająca temperatura, zapach płonącego oleju – w tej chwili uświadamiam sobie, że nie umarłem i

że muszę wyłączyć silniki, silniki gasną. Klęsk Głowica nie wybuchła. Kaiten odbił się od kadłuba jak bambusowa lanca od metalowego hełmu. Twarz pokaleczona przez celowniki peryskopu, nos złamany. Usiadłem i wsłuchiwałem się w hałasy dobiegające z powierzchni. Próbowałem ręcznie zdetonować trotyl, uderzając w obudowę kluczem Poraniłem tylko palce. Od uderzenia zepsuł się zegar. Minuty czy godziny, trudno powiedzieć. Czerń w peryskopie przechodzi już w błękit.

Butelka whisky. Wypiję i włożę do środka te kartki. Takara. Wiadomość w butelce, w brzuchu martwego rekina. Zapamiętasz tę pieśń?

Ciała unoszą się, obrzmiałe
Ciała w pościeli wzburzonego oceanu,
Ciała zanurzone w śnie o podniebnych łąkach,
Umrzemy, umrzemy, za cesarza umrzemy,
Nie oglądając się wstecz.

Spoczywam we wzburzonym morzu. Powietrze rzednie. Albo tak mi się wydaje. Już? Może odnajdą mnie nurkowie – tajfun uwolni, wyrzuci na brzeg – tutaj zostanę na zawsze. Nie dołynąłem kaitenem do chwalebnej śmierci. Kaiten stał się urną. Morze grobem. Nie potępiajcie nas, którzyśmy zginęli tak nie w czas.

* * *

– Żadnej nadziei – odpowiada kobieta, ale to nie Ai. Jest już po północy, ale w głosie kobiety więcej rozbawienia niż złości. Ma staroświecki akcent, jakim się mówi w Osace. – Przykro mi. – Ach. Czy mogę zapytać, kiedy, yyy, panna Imadzo przypuszczalnie wróci?

– Proszę śmiało pytać, ale odpowiedź to już inna kwestia.

– Kiedy panna Imadzo powinna wrócić?

– I najważniejsza wiadomość dzisiejszego wieczoru: Ai Imadzo wezwano do rodowej siedziby w Niigata, podejmując desperacką próbę przewyciężenia impasu dyplomatycznego. Kiedy reporterzy zapytali buntowniczą pannę Imadzo, jak długo potrwa konferencja na szczycie, usłyszeliśmy w odpowiedzi: „Tak długo jak trzeba”. Pozostańcie przy odbiornikach!

– To znaczy kilka dni?

– Moja kolej. Czy ty jesteś karate zuch?

– Nie. Ja jestem zuch główka.

– Tak czy inaczej zuch. Miło mi, że wreszcie wiem, do kogo należy ten odcieleśniony głos. Ai nazywa cię zuch–główką, ale według mnie karate–zuch brzmi dowcipniej.

– Yyy, z pewnością. Kiedy Ai wróci, mogłaby pani...

– Odziedziczyłam po babci parapsychiczne zdolności. Wiedziałam, że to ty dzwonisz. Czy chcesz wiedzieć, kim jestem?

– Czy nie jest pani przypadkiem nieśmiałą i cichą współlokatorką Ai?

– Za pierwszym strzałem! Proszę. Ai chodzi z istotą ludzką czy też jesteś jakimś kolejnym psychogremlinem?

– Nie do końca chodzi... – Łykam przynętę. – „Psychogremlinem”?

– A tak. Osiemdziesiąt procent wielbicieli Ai robi kariery w branży filmowych horrorów. Ostatnim był Stwór z Czarnej Laguny. Płetwiasty, zwiotczały, wodoodporny, językiem chwycił bławatki. Wydzwaniał o północy i krakał aż do świtu. Jeździł volvo, nosił blezery, wydawał własne CD, na których śpiewał madrygały i dobrowolnie zwierzał się z niesamowitych historii, kiedy Ai błagała

mnie, żebym mu powiedziała, że jej nie ma. Mieli się pobrać w Tokijskim Disneylandzie i odbyć podróż do Aten, Montrealu i Paryża z trzema synami, Deliussem, Sibeliussem i Jojo. Kiedyś zadzwoniła jego matka – chciała numer do rodziców Ai w Niigata, żeby już bezpośrednio z fabrykantem przystąpić do małżeńskich negocjacji. Musiałyśmy z Ai wystraszyć jakiegoś ex–boksera po wyroku, który poddusił jej ostatniego wielbiciela.

– Mogę obiecać, że moja matka nigdy nie zadzwoni. Jednak...

– Czy pracowałeś kiedyś w kuchni pizzerii, karate zuch?

– Pizzerii? A co?

– Ai mówi, że od jutra musisz mieć pracę.

– No tak, ale ja jeszcze nigdy nie pracowałem w kuchni.

– Nie ma sprawy. Szympansy poradziłyby sobie z tą robotą. Swoją drogą w przeszłości zatrudnialiśmy sporo obrośniętych, nadrzewnych wyższych przedstawicieli naczelnych. Godziny paskudne – od północy do ósmej rano – a w kuchni goręcej niż w jądrze słońca, ale za psią zmianę dobrze płacą. Położenie w centrum – u Nerona, naprzeciwko Jupiter Cafe, miejsca legendarnego ciosu z główki. Jeszcze jedno, pracujesz ze mną. Ai wspomniała ci, jak mam na imię?

– Yyy...

– Oczywiście to ostatnia rzecz, jaka przyszłaby jej na myśl. Sacziko Sera. Jak w tej piosence „Che Sara, Sara, co będzie lila, li-la”. No, o mało co. Możesz zacząć jutro wieczorem? W poniedziałek?

– Nie chcę, panno Sero, nikogo odwodzić od proponowania mi pracy, zwłaszcza że okropnie jej potrzebuję, ale czy, yyy, nie chciałaby pani najpierw spotkać się ze mną?

Sacziko Sera mówi grobowym głosem: – Eidzi Mijake, urodzony na Jakuszimie... Wiem o tobie wszystko...

* * *

– Pan Mijake? – szef sali w herbaciarni Amadeusz przestaje przebierać palcami. Podnosi brwi: całe jego szefowskie jestestwo skupia się w brwiach. – Zechce pan pójść za mną. Państwo Tsukijama oczekują pana. – Państwo Tsukijama? Czyżby dziadkowi udało się przekonać ojca do przyścia? W lokalu tłoczniej niż w ubiegłym tygodniu – odbywa się stypa, wielu gości w czerni – i nie za bardzo udaje mi się wypatrzyć dwóch mężczyzn, jednego w podeszłym wieku i drugiego w średnim, którzy w jakikolwiek sposób by mnie przypominali. Toteż kiedy szef sali wysuwa krzesło przy stoliku, przy którym siedzą kobieta z dziewczyną w moim wieku, zakładam, że musiała nastąpić pomyłka. Jego brwi mówią mi, iż żadnej pomyłki nie ma, więc stoję jak gapa, podczas gdy one taksują mnie od stóp do głów. – Czy podać dodatkową filiżankę, proszę pani? – pyta szef. Kobieta odprawia go gestem mówiącym „ależ skąd”. Dziewczyna wpatruje się we mnie – jakby pytała „co to za szkaradztwo?” – podczas gdy moja pamięć usiłuje uporać się z podobieństwem... Andżu! Pucółowata, równo obcięta, nachmurzona Andżu. Mamy identyczne, układające się jak pióra brwi. – Eidzi Mijake – odzywa się, a ja kiwam głową, jakby to było pytanie – jesteś żalonym, bezwstydnym płazem. – Nagle wszystko rozumiem. Moja przyrodnia siostra. Moja macocha poprawia naszyjnik z brązu – na tyle masywny, by zatrzymać cios siekierą – i wzdycha. – Postarajmy się, aby nasze spotkanie było jak najkrótsze i jak najmniej przykre. Proszę usiąść, panie Mijake.

Siadam. Herbaciarnia Amadeusz pozostaje w tle niczym sceneria na ekranie wideo. – Proszę pani – brnę po omacku, siląc się na uprzejmość – dziękuję za list, który otrzymałem w ubiegłym miesiącu. Udane zdziwienie. – „Dziękuję”? Czyżby zaczynał pan od

ironii?

Rozglądam się. – Yyyy... właściwie spodziewałem się że mój dziadek...

– Tak, wiemy o wszystkim. Wasze spotkanie zostało zapisane w jego dzienniku. Niestety. Mój teść nie jest w stanie przyjść.

– Ach... rozumiem. – Zamknęłyście go w szafie? Przyrodnia siostra ma głos przypominający trzaśnięcie w policzek. – Dziadek umarł trzy dni temu.

Trzask.

Przechodzi kelner z trójkątami malinowego sernika na tacy.

– Jestem szczerze zdumiona, że nie zauważył pan, jak bardzo był chory w ubiegły poniedziałek – mówi z jawnie udawanym uśmiechem. – To bieganie na pańskie skinienie, knucie spisków. Mam nadzieję, że jest pan z siebie dumny.

To nie ma sensu. – Ja wcale nie spotkałem się z nim w poniedziałek!

– Kłamca! – strzela przyrodnia siostra. – Kłamca! Matka już ci powiedziała – mamy notatnik z datami spotkań! Zgadnij, czyje nazwisko znalazłyśmy pod datą z zeszłego tygodnia! – Najchętniej zakleiłbym jej usta taśmą klejącą.

– Ale w ubiegły poniedziałek mój dziadek przebywał jeszcze w szpitalu.

Macocho składa głowę na dłoniach w wystudiowanej pozie. – Pana kłamstwa są doprawdy żenujące. Wiemy, że mój teść w ubiegły poniedziałek opuścił hospicjum, żeby się z panem spotkać! Nie prosił o pozwolenie siostry dyżurnej, ponieważ i tak by go nie otrzymał. Był zbyt chory.

– Ja nie kłamię! Dziadek był zbyt chory, więc przysłał swojego przyjaciela.

– Jakiego przyjaciela?

– Admirala Raizo.

Macocho i przyrodnia siostra patrzą po sobie. Siostrzyczka parska urywanym śmiechem, a macocha uśmiecha się, ściągając usta w wyszminekowany dzióbek. Te właśnie usta całują mojego ojca. – Wobec tego spotkałeś się z dziadkiem – strzela przyrodnia siostrzyczka – ale byłeś za tępy, żeby się zorientować! – Nerwy zaczynają mi puszczać. Patrzę na macochę, oczekując wyjaśnień. – Ostatni figiel mojego teścia.

– Dlaczego mój dziadek miałby udawać, że jest admirałem Raizo?

Przyrodnia siostrzyczka uderza w stół. – On n i e jest twoim dziadkiem! – Nie zwracam na nią uwagi. W oczach macochy pojawia się błysk zwiastujący wojnę. – Czy dał panu jakieś dokumenty do podpisania?

– Dlaczego – powtarzam – mój dziadek miałby udawać kogoś innego?

– Czy podpisywał pan coś?

To do niczego nie prowadzi. Zakładam ręce za głowę, odchylam się i odzyskuję spokój, wpatrując się w sufit. Tak, moja droga, podpowiada mi Mozart, tu tkwi twój problem. Ale to jest twój problem, nie mój. Strasznie chce mi się palić. – Proszę pani, czy koniecznie musimy sobie psuć krew?

– „Psuć krew” – mamrocze siostrzyczka. – Też powiedzonko.

– Co mam zrobić, żeby udowodnić pani, że chodzi mi tylko o to, żeby się spotkać z ojcem?

Macocho pochyla głowę. – Niech się pan uspokoi... To sprawia, że zaczynam kipieć. – Nie, proszę pani, mam już dość spokoju! Nie chcę...

– Proszę pana, pan...

– Niech się pani zamknie i słucha! Nie chcę waszych pieniędzy! Nie chodzi mi o względy! Ani o szantaż! Skąd pomysł, że chciałem panią szantażować? Mam już serdecznie dość uganiania się po tym mieście w poszukiwaniu ojca! Chce pani okazać mi pogardę, świetnie, jakoś to przeżyję. Ale niechże mi pani pozwoli spotkać się z nim – chociaż raz – a jeżeli on sam osobiście powie mi, że nie chce mnie już widzieć, wtedy, dobra, zniknę z waszego życia i rozpocznę swoje własne, od nowa. O to mi chodzi. O nic innego. Czy aż tak trudno to zrozumieć? Aż tak dużo chcę?

Ależ jestem wyczerpany.

Przyrodnia siostrzyczka siedzi niepewnie.

Macocha w końcu rezygnuje z nieznośnego uśmiešku.

Chyba udało mi się zmusić je do słuchania. A na dodatek połowę gości herbaciarni Amadeusz.

– W zasadzie tak. – Macocha nalewa sobie i swojej odętej, wstrętnej córeczce cienkiej herbatki z ozdobnego czajnika. – Za dużo pan chce. Powiedzmy, że to, iż pana zaakceptuje, nie oznacza żadnego zagrożenia dla mojej rodziny. Powiedzmy nawet, że odczuwam pewne współczucie, zważywszy na pańskie położenie. Ale to zasadniczo nie zmienia sytuacji.

– Zasadniczo.

– Właściwie nie sposób powiedzieć tego jakoś oględnie. Mój mąż nie życzy sobie spotkania z panem. Pan tymczasem zachowuje się tak, jakby był pan przekonany, że to jakiś mroczny spisek separuje pana od niego – a to po prostu nieprawda. Nie przyszliśmy tu po to, by pokrzyżować pańskie plany. Jesteśmy tu na żądanie mojego męża, iżby zechciał pan, proszę, zostawić go w spokoju. Płacił na pańskie utrzymanie, nie po to, by podtrzymywać nadzieję na

przyszłe pojednanie, ale żeby kupić sobie prawo do prywatności. Czy aż tak trudno to zrozumieć? Aż tak dużo chcę?

Chce mi się płakać. – Dlaczego nie powie mi tego osobiście?

– Ujmując rzecz krótko – macocha popija herbatę – chodzi o wstyd. Wstydzi się pana. – Jak może się wstydzić syna, z którym nie chce się spotkać?

– Mąż nie wstydzi się tego, kim pan jest, tylko tego, że pan jest.

Na drugim końcu sali jakiś klient raptownie wstaje, odsuwając krzesło.

– Zadaje pan cierpienie, jemu, nam, sobie samemu. Proszę z tym skończyć.

Kelnerka niosąca tacę wpada na krzesło. Filiżanki i serniki zsuwają się i piękna chińska porcelana z brzękiem rozpada się na kawałki pośród głośnego „Oooooo”.

Macocha i przyrodnia siostrzyczka patrzą na mnie. Nadlatuje szef sali, żeby nadzorować operację sprzątnięcia. Przeprosiny, kurtuazyjne odpowiedzi na przeprosiny, zapewnienia, polecenia, gąbki, śmietniczki. Po sześćdziesięciu sekundach nie ma ani śladu po wielkim sernikowym kryzysie. – W porządku – mówię.

– W porządku? – odpowiada przyrodnia siostrzyczka.

Zwracam się do kobiety, którą zdecydował się poślubić mój ojciec. – W porządku, wygrała pani. – Tego się nie spodziewała. Ani ja. Myszkuje wzrokiem po mojej twarzy, szukając podstępu. Nie ma. – Ojciec – już przez to, że sam nie pozwolił się do siebie zbliżyć – dawno temu wyraźnie określił swoje stanowisko.

Ja... ja... nie wiem, nigdy nie chciałem w to uwierzyć. Ale powiedzcie mu... – szklana waza w kształcie łyzy mieni się kolorem brzoskwini – Cześć. Cześć i żegnaj.

Macocha patrzy bez ruchu. Wstaję, zbierając się do odejścia.

– Dostałeś to od dziadka? – strzela przyrodnia siostrzyczka. Wskazuje głową na dziennik pilota kaitena, owinięty w czarną tkaninę. – Bo jeśli tak, to jest to własnością rodziny Tsukijama.

Obrzucam wzrokiem to żywe przeciwieństwo Andżu Gdyby zapytała uprzejmie, pewnie bym potwierdził i oddał jej to. – To moja książka do czytania podczas lunchu. Muszę już iść do pracy. – Zabieram dziennik i wychodzę z herbaciarni Amadeusz, nie obejrzawszy się za siebie. Szef sali przywołuje windę i kłania się, gdy drzwi się zamykają. Windę mam dla siebie – z głośnika leci On Top of the World Carpenterów, melodia, od której bolą mnie zęby, ale jestem za bardzo wyczerpany, żeby teraz cokolwiek nienawidzić. Czuję się oszołomiony po podjęciu tej decyzji. Obserwuję cyfry zmniejszających się numerów pięter. Naprawdę myślę to, co powiedziałem? Przecież ojciec nie chce mnie widzieć... Więc moje poszukiwanie... już nie jest ważne? Skończone? Mój sens jest unieważniony?

Chyba tak, chyba to miałem na myśli. – Parter – podpowiada winda. Drzwi otwierają się i wlewa się tłum bardzo zajętych ludzi. Muszę sobie utorować drogę, zanim drzwi się zamkną i winda zawiezie mnie z powrotem tam, skąd wyszedłem.

Siedem KARTY

Sacziko Sera, mój trzeci szef w ciągu czterech tygodni, nie przesadzała: w kuchni pizzerii Nero jest gorąco jak w piekle, a robotę polegającą na przygotowywaniu pizzy według numerowanych zestawów mogłaby wykonywać mała. Kuchnia to ciasny labirynt – pięć kroków na jeden, na jednym końcu coś w rodzaju klatki z szafkami i krzesłami, gdzie czekają kurierzy dostarczający pizze na rowerach. Sacziko i Tomomi przyjmują zamówienia przez telefon albo bezpośrednio od wchodzących klientów i podają porcje przez okienko od strony wejścia. Na podpieczone ciasto układam odpowiednie dodatki, przymierzając nazwę pizzy do ogromnego, zajmującego całą ścianę zestawienia, oznakowanego kolorowymi ikonkami zrozumiałymi dla nie umiejącej czytać mały. I tak na przykład w wielkim kole oznaczonym jako „Chicagowska strzelanina” znajdują się maleńkie obrazki z pastą pomidorową, siekanym mięsem, kiełbasą, chilli, czerwoną i żółtą papryką, serem; „Miesiąc miodowy na Hawajach” to pomidory, ananas, tuńczyk, orzech kokosowy; „Neromaniak” to pepperoni, kwaśna śmietana, kapary, oliwki i krewetki. Poza tym kilka rodzajów spodów: gruby, chrupiący, ziołowy, wypełniony mozzarellą. Składniki przechowuje się w lodówce wielkości piwnicy – na pokrywie każdego pojemnika widnieje obrazek przedstawiający zawartość. Po udekorowaniu wsuwa się pizze do gazowego piekła wyposażonego w dwie linie.

Pizze przesuwają się na rolkach z prędkością około dziesięciu centymetrów na minutę, aż rozpuszczają się ich trzewia,

aczkolwiek gdy zamówienia się piętrzą, można posłużyć się parą kleszczy i wywołać przedwczesny poród pizzy. – Cała sztuka polega na synchronizacji – mówi Sacziko, zawiązując z tyłu włosy. – Jak wszystko jest idealnie, pizza ląduje w tych pudełkach – w ten sposób przykleja się kartkę z zamówieniem do pokrywy – w tej samej chwili ląduje tu kurier wracający z poprzedniego zamówienia. – Po półgodzinie Sacziko zostawia mnie samego. To nawet poniekąd zabawne, a zamówieniom nie ma końca, nie tylko między pierwszą a drugą po północy, i takie to niepodobne do biura rzeczy znalezionych czy Mknącej Gwiazdy, że nawet nie mam czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Naszymi klientami są studenci, karciarze, biznesmeni pracujący po nocach – Szindzuku to nocna dżungla. Wypijam litry wody, litry wody oddaję z potem i w ogóle nie muszę sikać. Jest wentylator głośny jak silnik okrętowy i malutkie radio, które łapie jedną lokalną stację, zainstalowane w latach osiemdziesiątych. Jest zatłuszczona mapa świata urągająca niewolnikom zamkniętym w tym piekle myślami o wszystkich krajach świata – i zamieszkujących je kobietach o innych odcieniach skóry – gdzie i tak nie mamy możliwości pojechać. Zegar gna do przodu.

Sacziko jest taka, jak ją sobie wyobraziłem w trakcie naszej rozmowy telefonicznej – lekko szurnięta, zorganizowana, nerwowa, stanowcza. Tomomi to zła jędza, która pracuje w pizzerii Nero, odkąd admirał Perry wpłynął do Zatoki Starego Edo, i nie ma zamiaru burzyć swojego wygodnego życia myśleniem o jakichś awansach.

Gawędzi sobie przez telefon z przyjaciółmi, flirtuje z wybranymi kurierami, wybiera kursy artystyczne, na które i tak nigdy się nie zapisze z powodu braku czasu, i puszcza ciężkie aluzje na temat

romansu, jaki miała x lat temu z właścicielem pizzerii Nero i tego, jak ewentualnie mogłaby zaszkodzić jego małżeństwu, gdyby coś miało kiedykolwiek zakłócić przyjemną równowagę, w jakiej żyje. G ma tak ostry, że mogłaby ciąć stal na arkusze, a śmiech eksploduje jaskrawą sztucznością. Kurierzy przychodzą i odchodzą z tygodnia na tydzień, ale dzisiejszej nocy dyżurują Onizuka i Doi. Onizuka ma gwóźdź w wardze, kremowożółte włosy i zamiast mundurka pizzerii Nero nosi charakterystyczną dla bikerów kurtkę z trupa czaszką. Kiedy Sacziko przedstawia nas sobie, Onizuka odzywa się w ten deseń: – Ten chłopak, co był przed tobą, paprał zamówienia. – Pochodzi z Tohoku i nadal mówi z północnym akcentem, niewyraźnym jak mętny surowy olej, co mnie martwi, bo a nuż śmiertelną groźbę wezmę za uwagę o pogodzie. Doi jest już wiekowy, przekroczył czterdziestkę, chodzi powłócząc nogą i ma wyraz twarzy Jezusa wieszanego na krzyżu. Pełne cierpienia, szeroko rozstawione oczy jak wygaszacz ekranu, nie za wiele włosów na głowie, ale za to podwójny podbródek. – Nie daj się, stary, gnębić temu Onizuce – podpowiada mi. – Facet jest postrzelony, ale tak w ogóle to dobra dusza. Za darmo doglądał mi motoru. Palisz skręta? – Kiedy mówię, że nie, potrząsa ze smutkiem głową. – Dzisiejsza młodzież, człowieku; jak źle przeżyjesz życie na początku, to na emeryturze będziesz żałował. Ma się przyjaciół, którzy umieją się zabawić? Jakość, pierwsza klasa, dyskretna obsługa. – Do klatki wchodzi Tomomi – jest utalentowaną podsłuchiowniczką. – Dyskretna? Tak dyskretna jak wielkie na kilometr UFO, puszczające muzykę z *Mission Impossible* nad Pałacem Cesarskim. – O trzeciej Sacziko przynosi mi kubek najbardziej zawieszistej kawy, jaką zna chemia – tak gęstej, że ołówki mógłby w niej stać – która pozwala mojemu ciału

zapomnieć o tym, jak bardzo jest zmęczone. Onizuka czeka w pomieszczeniu dla personelu, aż przejdę cały labirynt, ale nie odzywa się do mnie ani słowem. Dwa razy wychodzę zapalić papierosa przed pizzerią. Mam pierwszorzędny widok na PanOpticon. Od zmroku do świtu rozbłyskują i gasną na jego szczycie światła ostrzegawcze dla samolotów. Istne Gotham City. Za każdym jednak razem dostaję z piekła wezwanie do powrotu, zanim udaje mi się dopalić papierosa do końca. Kiedy czekam, aż z piekłą wyłoni się „Klub Zdrowia” – szparagi, kwaśna śmietana, oliwki, cząstki pokrojonych ziemniaków, czosnek – z okienka wychyla się Doi. – Wiesz jaki jestem głodny, Mijake?

– Jak jesteś głodny, Doi?

– Jestem tak głodny, że mógłbym odciąć sobie kciuka i go zjeść.

– No to naprawdę jesteś głodny.

– Podaj mi nóż, co?

Robię minę, jakbym pytał: „czy muszę?”.

– Podaj mi, człowieku, nóż, to kryzys.

– Ostrożnie, ostry jak brzytwa.

– Do czego jeszcze mógłby mi być potrzebny, człowieku? – Doi przykładła lewy kciuk do mojej kuchennej deski, umieszcza nad nim ostrze i wali pięścią prawej ręki. Ostrze bez oporu przechodzi przez staw. Krew rozlewa się po ladzie – Doi wstrzymuje oddech. – No, nie było tak źle! Prawą ręką podnosi kciuk, kołysze nim i wkłada do ust. Łyk. Czuję suchość w gardle. Doi chrupie powoli, starając się znaleźć smak. – Dużo chrząstek, ale w sumie niezły! – Wypluwa kość, wyssaną tak, że aż błyszczą bielą. Rzucam wszystko, jak stoję. W okienku pojawia się Sacziko – Pokazuję na niego i przełykam ślinę. – Doi! – beszta go Sacziko. Ty primadonno!

Widzę, że nie możesz się oprzeć, jak masz publiczność, co?

Przepraszam, Mijake, powinnam była cię ostrzec przed małym hobby Doiego: szkoła czarów. – Doi w odwecie imituje ciosy kung-fu. – Święta Akademia Iluzjonistów to nie żadne hobby, szefowo, jeszcze zobaczycie przed Budokanem kolejki na mój występ.

Kiwa na mnie dwoma doprawionymi kciukami. – Po oczach Szijake widać, że to kocur straszliwie złakniony czarów.

– Mijake – poprawia Sacziko.

– On też – mówi Doi.

Nie wiem, co na to wszystko powiedzieć – po prostu odetchnąłem z ulgą, że krew to tylko sok pomidorowy, piąta. Zejście na ląd dopiero rano. Sacziko prosi mnie o przygotowanie minisałatek, więc myję zieloną sałatę i ozdobne pomidorki.

Znowu rosną zamówienia na pizzę – kto je coś takiego na śniadanie? – i zanim zdaję sobie z tego sprawę, Sacziko jest już z powrotem, i obwieszcza dwornym tonem: – Eidzi Mijake, mocą władzy powierzanej mi przez cesarza Nerona i z uwagi na twoją satysfakcjonującą postawę, ogłaszam, że twój wyrok dożywotniego więzienia zostaje zawieszony na szesnaście godzin. Stawisz się, wszelako, w tej instytucji poprawczej o północy, na kolejne osiem godzin ciężkiej pracy. – Marszczę brwi. – He? – Sacziko wskazuje na zegar. – Ósma. Oczywiście masz dokąd pójść?

– Drzwi pizzerii rozsuwają się. Sacziko rozgląda się i ponownie patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć: „aha!”.

– Więzień ma gościa za bramą!

Ai mówi, że wszędzie, byle nie w Jupiter Cafe, więc ruszamy w stronę Szindzuku, żeby znaleźć jakieś miejsce na śniadanie. Rozmowa się trochę nie klei – właściwie nie spotkaliśmy się od tamtego dnia w Jupiter Cafe, mimo że przy ch spędziliśmy w ciągu ostatniego tygodnia ponad dwadzieścia godzin. – Gdyby było

bardziej wilgotno, niż jest – zaczynam – toby padało. – Ai zwraca twarz ku niebu. – Wiesz, pada. – Wczoraj wieczorem złapała powrotny autobus z Niigata i teraz wygląda na zmęczoną. Jestem przepecony i wymięty jak łóżko w burdelu. Tak mi się wydaje. – Jak ci poszło z ojcem? – Ai jest niewyraźna. – Bez sensu. Wiedziałam, że tak będzie... – zaczyna. Słyszę, że dzwonią, i nawet wiem, gdzie, ale gdy mówi się o problemach z rodzicami, czuję się tak, jakby mi mówiono o stanie medycznym organów, których nie mam. Ale przecież nie posiadam się z radości, że Ai przyszła zaprosić mnie na śniadanie. Mijamy maleńką świątynię – Ai przerywa, żeby spojrzeć na drzewa, pąkolistną bramę, słomiane liny i papierowe zwoje. Za cytrusem siedzący posąg dzizo, butelka whisky Suntory i wazon z chryzantemami.

Starzec odprawiający długą dobrą modlitwę.

– Czy muzycy są przesądni? – pytam.

– To zależy od instrumentu. Ci, którzy grają na instrumentach strunowych, pod względem technicznym także pianiści, mają ten luksus, że są w stanie ćwiczyć tak długo, aż jest dobrze, a wszelkie nasze pomyłki zwykle tuszuje orkiestra. Dęte drewniane, a już zwłaszcza blaszane, mają trudniej. Bez względu na to, jak jesteś dobry, jedno niefortunne zadęcie i niebiańska dziewiąta Brucknera rozpruwa się wskutek – to metafora mojego ostatniego dyrygenta – wskutek pierdnięcia.

Większość znanych mi trębaczy zamiast ciasteczek zajada do porannej kawy środki uspokajające. A czy mistrzowie pizzy z Jakuszimy są przesądni?

– Ostatni raz poszedłem do świątyni po to, żeby bogu obciąć głowę.

– Przy pomocy błyskawicy?

– Miałem tylko małą piłkę z dziecięcego zestawu stolarskiego.

Dociera do niej, że mówię poważnie. – Bóg nie dał ci tego, czego chciałeś?

– Dał mi dokładnie to, czego chciałem.

– I to dlatego obciąłeś mu głowę?

– Tak.

– No, no, muszę się zastanowić, czy dać ci to, czego chcesz.

– Ai Imadzo – ja, Eidzi Mijake, przysięgam, że nigdy nie obetnę ci głowy. – W takim razie w porządku. Ale czy niszczenie przedmiotów kultu nie jest karygodnym postępkiem?

– Jeszcze nigdy nikomu tego nie mówiłem. Dopiero dzisiaj.

Ai rzuca mi spojrzenie o dziewięćdziesięciu dziewięciu możliwych znaczeniach. Nad wejściem do McDonalda widnieje elektroniczna tablica informująca o ilości wolnych miejsc – rozbłyskuje wchodzącymi i wychodzącymi pojedynczymi figurkami. W siedzeniach pewnie są czujniki. Ai proponuje, żebym poszedł na górę zająć stolik, a ona stanie w kolejce – jestem za bardzo wykończony, by się sprzeczać. McDonald zalatuje McDonalodem, ale przynajmniej tuszuje smród Mijakego, niemytego niewolnika kuchni. Na górze gromada studentek pielęgniarstwa: palą, nadają, gadają przez komórki. Podliczam pieniądze, jakie dzisiaj zarobiłem, i zmęczenie trochę mi przechodzi. W McDonalddie Tydzień Europejski – na ścianach ekrany wideo, a na nich sceny z Rzymu, którym towarzyszy senna, wsączająca się do środka muzyka. Na szczycie schodów pojawia się Ai z tacą. Rozgląda się za mną. Mógłbym pomachać, ale wolę popatrzeć na nią.

Czarne getry, błękitna koszulka pod jedwabną bluzką w kolorze soku jagodowego, do tego kolczyki z masy bursztynowej. Gdyby Ai była pielęgniarką, natychmiast dałbym sobie złamać jakąś kość,

żeby znaleźć się pod jej opieką. – Skończył im się czekoladowy szejk, więc wybrałam bananowy. Widzę, że masz bzika na punkcie mundurków pielęgniarek.

– Pewnie mnie śledziły.

Ai wbija słomkę w wieczko mojego kubka. – Chyba w marzeniach – tak czy inaczej cuchniesz serem. Sacziko mówi, że wśród klientów masz mnóstwo pielęgniarek – mają ćwiczenia po drugiej stronie ulicy. Te przysadziste szare budynki to szpital Sensodzi.

– A ja myślałem, że więzienie. Pijesz tylko zieloną herbatę?

– Zielona herbata to wszystko, na co, zgodnie z dziennym jadłospisem, mogę sobie pozwolić do lunchu.

– Ooo, znowu zapomniałem. Przepraszam.

– Nie musisz. Cukrzyca to choroba, a nie grzech.

– Nie chciałem...

– Odpręż się, odpręż; wiem. Jedz.

Pod oknem płynie potężna rzeka trutki – urzędnicy gnają, żeby dopaść swoich biurów, zanim kierownik działu zasiądzie przy swoim. – Dawno temu – zaczyna Ai – ludzie tworzyli Tokio. Ale to z biegiem czasu zmieniło się i teraz Tokio tworzy ludzi.

Wciągam do ust strugę szejka i czekam, aż rozpuści się na języku. – Powracając do twojego ojca: powiedział, że jeśli go nie posłuchasz i pojedziesz do Paryża, to możesz się już nie pokazywać w Niigata.

– Więc odpowiedziałam, że będzie, jak zechce.

– To znaczy, że nie pojedziesz do Paryża?

– Ależ pojedę. Ale nigdy nie wrócę do Niigaty.

– Twój ojciec powiedział to serio?

– To była termojądrowa groźba wymierzona w moją matkę, nie

we mnie. „Jeżeli ty chcesz, żeby córka zaopiekowała się tobą na stare lata, ty każ jej zostać”. I faktycznie, zaraz potem poszedł sobie pograć w paczinko. Matka wybuchnęła płaczem, właśnie tak jak przewidział ojciec. Zastanawiam się, w którym wieku żyjemy? Czy wiesz, że w regionie Niigata są górskie wioski, do których sprowadza się żony z Filipin, hurtem, po dwadzieścia sztuk, ponieważ miejscowe dziewczyny, gdy tylko osiągną pełnoletniość, od razu wyjeżdżają stamtąd najszybszym shinkansen. A mężczyźni zastanawiają się, dlaczego.

– No to wygrałaś. Możesz jechać do Paryża.

– Bez błogosławieństwa, ale wyjeżdżam.

Zapalam papierosa. – Jesteś strasznie twarda.

Ai potrząsa głową. – Rozziew między tym, jak widzisz samego siebie, a tym, jak inni cię widzą to... tajemnica, dla mnie. Myślę, że to ty jesteś twardy. Ja jestem twarda mniej więcej jak twój szejk – który, nawiasem mówiąc, w dziewięciu dziesiątych składa się ze smalcu wieprzowego, ja strasznie chcę, żeby rodzice byli ze mnie dumni. A prawdziwa siła nie ma nic wspólnego z nieustannym oczekiwaniem aprobaty ze strony innych ludzi. – W Rzymie zapada wieczór; na balkonie stoi dziewczyna wkładająca słoneczniki do słoja z terakoty. Zauważa kamerzystę, rzuca gniewne spojrzenie, robi nadąsaną minę, śmiga włosami i znika.

Ai bawi się saszetką od herbaty, wkładając ją i wyjmując z wrzątku. – Ja naprawdę uważam, że oni byliby szczęśliwsi, gdybym skończyła jakiś dwuletni kurs kosmetyczny w żeńskim college’u, wyszła za dentystę i urodziła gromadkę dzieci.

Muzyka. Pochłaniasz ją, ale i ona ciebie pochłania.

Przełykam przeżute frytki. – Spoko. W porównaniu z rodziną Mijake, twoja rodzina to ktoś w rodzaju Von Trippsów z *Dźwięków*

muzyki.

Ai obraca saszetkę. – Von Trappsów.

Nagle znikąd wyrasta pięcioletnia dziewczynka i podchodzi do naszego stolika, patrząc na Ai. – Jak dzieci trafiają do brzuszka mamusi?

– Przynosi je bocian – odpowiada Ai.

Dzieciak patrzy z niedowierzaniem. – A skąd biorą je bociany?

– Z Paryża – odpowiadam, czym wywołuję uśmiech Ai. Na szczycie schodów pojawia się ojciec dziewczynki z tacą zastawioną kolorowymi pysznościami i mała ucieka. Facet wygląda na dobrego ojca.

Ai patrzy na mnie. Wyobrażam sobie, jak będzie wyglądać, gdy będzie bardzo stara, i jak wyglądała jako mała dziewczynka. Nigdy nie wpatrywałem się tak w czyjeś oczy. Od czasu, gdy z Andżu bawiliśmy się w „kto pierwszy mru nie”.

Gdyby to było w filmie, a nie w McDonalddie, to pewnie teraz pocałowalibyśmy się. A może to coś jeszcze ba dziej intymnego. Lojalność, smutek, dobre wiadomości nie dobre dni. – Dobra – mówię w końcu, ale Ai nie pyta: „Co, dobra?”.

Paznokciem kciuka pociera o zdrapkę McTeriakiburgera. – Popatrz. Wygrałam pudełko na drugie śniadanie w kształcie robota. To na pewno dobry znak.

Pozwolisz, że ci kupię nową baseballówkę?

– Tę dostałem w prezencie od Andżu – odpowiadam, zanim zmienię zdanie.

Ai nachmurzą się. – Od kogo?

– Mojej siostry bliźniaczki.

Ai jeszcze bardziej się nachmurzą. – Mówiłeś, że jesteś jedynakiem.

Nie ma odwrotu. – To było kłamstwo. Jedno jedyne. Chcę to odkręcić. Oprócz tego chcę ci powiedzieć całą masę innych rzeczy: odezwał się do mnie mój dziadek – dzięki pomysłowi z ogłoszeniem, który mi podsunęłaś – i spotkały się ze mną macocha i przyrodnia siostra. Właściwie, bardziej to była zasadzka niż spotkanie.

Pomyślałem sobie także, iż dążenie do znalezienia kogoś, kto w sposób oczywisty nie chce się ze mną spotkać, nawet jeżeli jest to ojciec, jedynie mnie unieszczęśliwi, więc kończę... Co jest?

Ai aż się gotuje z irytacji. – No tak, to cały ty, Mijake!

Próbuję zrozumieć. – Co?

Ai puka się w czoło. – Dobra, dobra. Zaczynj od siostry bliźniaczki. A potem o macosze. No.

Około południa płynę z powrotem do Mknącej Gwiazdy, unosząc się niczym fala świetlna. Ai do wieczora ma lekcje, ale jutro przyjdzie do mojej kapsuły... nie, w środę – no, dość już tego przypominania sobie, jaki dzisiaj dzień. O Ai myślę dziewięćdziesiąt razy na godzinę. Zabawce zegnaliśmy się w Szindzuku – pogubiliśmy się beznadziejnie, bo ja czekałem na to, co ona powie, a ona na to, co powiem ja. Przyjemny ten dzisiejszy spacer ze stacji Kita Sendzu. Krzewy, jesienne drzewa, dzieciaki z lizakami w spacerowych wózkach – dzisiaj unieważniają przygnębiającą brzydotę Tokio. – Dzień dobry, Eidzi-kun – odzywa się uprzejmie Macziko – pachniesz serem. – Ogląda film Beata Takesziego nakręcony na Okinawie. – Dobry reżyser, ale tylko naprawdę świetni aktorzy mogą się pokusić o grę w nieświetnych rolach. – Macziko pokazuje mi zdjęcia z wakacji i dostaję w prezencie to, które mi się spodobało – przedstawia pomarańczowy sad znikający na wzgórzu za mglistą zasłoną deszczu. Rozmawiamy przez chwilę na temat pizzerii. Macziko ma ten

szczególny talent, że pozwala człowiekowi poczuć się kimś interesującym – i już omal zaczynam jej opowiadać o Ai, ale nagle przychodzi mi na myśl, że mogę jej się wydać cikliwy, a zresztą i tak nie ma na razie o czym opowiadać, więc idę na górę do mojej kapsuły.

– Eidzi–kun! Zapomniałam ci to dać. Przyszło dzisiaj rano. – Odwracam się i schodzę z powrotem po paczkę – wyściełaną kopertę, jedną z najmniejszych.

Adresatem jest pan Fudzin Joda – kto to? – mieszkający w Hakodate na Hokkaido.

Z przodu przybita pieczęć z napisem *BŁĘDNY ADRES*. Z tyłu pod nadrukiem *NADAWCA* moje nazwisko i adres widniejące na naklejce. – Coś nie tak? – pyta Macziko.

Nie jestem przecież w ciemną bitą, więc odpowiadam – Nie, nic. – Jednakże coś jest nie tak, nigdy nie wysyłałem tego listu. W kapsule poszarpana serwetka do herbaty odwraca na chwilę moją uwagę od tajemniczej przesyłki – to Kotka, z czystej złośliwości, bo na noc została sama. Mam nadzieję, że da sobie z tym spokój i nie zabierze się do moich koszul. Biorę prysznic, starannie zbieram strzępki poszarpanej tkaniny i zmagam się na gitarze z opracowaną przez Howlin Wolfa wersją *All You Need Is Love*. Powinienem padać ze zmęczenia, ale sen mnie nie bierze. Wreszcie przypominam sobie o paczce. Otwieram. W środku dyskietka komputerowa owinięta w list. Z pojemnika na lód wyciskam do szklanki parę kostek lodu i uzupełniam wodą. Uwielbiam dźwięk kostek rozsadzanych przez tworzące się w nich szczeliny.

Tokio, 1 października

Nazywam się Kozue Jamaja. Jakkolwiek nieprawdopodobnie czy brutalnie zabrzmieć może to sprawozdanie z ostatnich dziewięciu

lat mojego życia, proszę uprzejmie o doczytanie do końca. Trzyma Pan w rękach mój testament. I poproszę Pana o to, by zechciał Pan zostać legalnym jego wykonawcą.

Zakończenia są proste, natomiast każdy początek musi się od czegoś zaczynać.

Ja wybiorę pewną noc w porze deszczowej przed dziewięciu laty. W owym czasie nazywałam się Makino Matani. Byłam gospodynią domową wychowującą dwuletniego syna, żoną właściciela towarzystwa finansowego. Niedługo przedtem ukończyłam studia w zakresie biznesu w poważanym żeńskim college'u w Kobe. Z moimi eks-koleżankami, które powychodziły za dentystów, sędziów i urzędników państwowych, co roku wysyłałyśmy sobie kartki z życzeniami noworocznymi.

Normalnie, jak w życiu. Nadeszła pora deszczowa. Te ostatnie chwile pamiętam doskonale – mój syn bawił się plastikowym pociągiem, a ja w kabinie prysznicza pozbywałam się sezonowej pleśni. Z telewizora docierały do mnie doniesienia o gwałtownych powodziach i osunięciach ziemi w zachodniej Japonii.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Otworzyłam i do środka wtargnęło trzech mężczyzn, zrywając łańcuch przy drzwiach, którego nauczyłam się używać za namową męża. Chcieli się dowiedzieć, gdzie ukrywa się mój mąż. Ja chciałam się dowiedzieć, kim oni są. Jeden z nich uderzył mnie w twarz, tak mocno, że wybił mi ząb. – Oficerowie zajmujący się sprawą pani męża – warknął tamten – i to my jesteśmy od zadawania pytań. – On i jeszcze drugi przeszukiwali mieszkanie, podczas gdy trzeci obserwował, jak usiłuję uspokoić płaczącego syna. Zagroził, że okaleczy go, jeżeli nie powiem, gdzie jest mąż. Zadzwoiłam do męża do pracy i dowiedziałam się, że rano telefonował tam, mówiąc, że jest chory. Zadzwoiłam na

telefon komórkowy i okazało się, że nie ma połączenia. Zadzwoniłam na pager – głucho. Byłam już bliska hysterii – zbir nalał mi szklaneczkę whisky mojego męża, ale nie mogłam przełknąć. Syn patrzył na to wszystko szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Dwaj pozostali bandyci wrócili z pudełkiem wypełnionym osobistymi rzeczami mojego męża i całą moją biżuterią. I wtedy usłyszałam naprawdę niedobre wiadomości. Dowiedziałam się więc, że mój mąż narobił długów na około pięćdziesiąt milionów jenów w instytucji kredytującej wspieranej przez Jakuzę. Nasza polisa na życie została przepisana na tę instytucję jako jedyne go beneficjenta w razie samobójczej śmierci męża. A gdyby mąż nie dotrzymywał terminów spłaty, dom wraz z wyposażeniem miał przejść na własność instytucji. – Nie wyłączając ciebie – dodał najbrutalniejszy ze zbirów. Syna zabrali do sąsiedniego pokoju. Usłyszałam, że teraz ja odpowiadam za długi męża. Potem mnie pobili i zgwałcili. Porobili zdjęcia, „żeby zagwarantować sobie moje posłuszeństwo”. Ze względu na syna musiałam znieść tę mękę w milczeniu.

Gdybym przypadkiem nie wypełniła ich rozkazów, wówczas zdjęcia rozestaliby do każdej osoby figurującej w moim notesie z adresami.

Po miesiącu mieszkałam już w pojedynczym pokoju bez okien w okolicach Buraku w Osace. Oddano mnie do burdelu. Nie wolno mi było opuszczać budynku ani utrzymywać kontaktów z nikim z zewnątrz. Nic poza seksem z klientami.

Pewnie nie dowierza Pan, że w XXI wieku w Japonii istnieje coś takiego jak zniewolenie seksualne. Godna pozazdroszczenia niewiedza, ale właśnie Pana niedowierzanie świadczy o tym, że tego rodzaju praktyki mogą bezkarnie kwitnąć.

Ja sama pewnie nie uwierzyłabym, że z „szanującej się” kobiety można zrobić prostytutkę, ale właściciele okazali się mistrzami nadzoru. Pozbawiono mnie wszystkiego, co miałam w dawnym życiu, wszystkiego, co mogłoby mi przypominać o tym, kim byłam – wszystkiego z wyjątkiem syna. Pozwolono mi go zachować – to uchroniło mnie od wybrania ucieczki drogą samobójstwa. Moi klienci nie tylko wiedzieli, że jestem więziona, ale czerpali z tego przyjemność, i byliby współwinni przestępstwa, gdyby to wyszło na jaw. Chyba najgorszy był ostatni mur, jak wyrósł między mną a realnym światem: chodzi o zjawisko nazywane przez psychologów „syndromem zakładnika” – przekonanie, że zasłużyłam sobie na swój los i że nie popełniono żadnej „zbrodni”. Poza tym byłam przecież „dziwką” – czy prosząc o pomoc, miałabym prawo przynosić wstyd moim dawnym przyjaciółom, a nawet matce? Lepiej, że tkwią w przeświadczeniu, że ulotniłam się gdzieś z moim mężem – bankrutem. W pokoju mieszkało ze mną sześć innych kobiet, w tym trzy z dziećmi młodszymi od mojego syna. Naszym alfonsiem był jeden z tych, którzy mnie zgwałcili – jego właśnie musiałyśmy prosić o jedzenie, lekarstwa, nawet o pieluszki dla dzieci. On także dostarczał narkotyki, w bezpiecznych ilościach. Osobiście je wydzielał, abyśmy nie przedawkowały.

Powymyślałyśmy sobie pseudonimy i po jakimś czasie nasze dawne życie przestało mieć jakikolwiek związek z tym, kim się stałyśmy. Wszystkie marzyłyśmy o tym, żeby w jakiejś mglistej przyszłości po ucieczce zabić właściciela, ale też wszystkie wiedziałyśmy, że nigdy nie ośmieliłybyśmy się wrócić do Osaki. Gdy jedne pracowały, inne na zmianę musiały opiekować się ich dziećmi. Alfons powiedział nam, że jak odpracujemy sumy sprzeniewierzone przez nieobecnych członków naszych rodzin, to będziemy mogły

odejść, więc im bardziej będziemy się starały przypodobać klientom, tym szybciej się stąd wydostaniemy. Jesienią dziewczyna, która pracowała w burdelu od dwóch lat, została zwolniona. Tak myślałyśmy.

Moje „zwolnienie” nastąpiło szybciej, ponieważ po przepracowaniu następnego roku moja odporność się wyczerpała i przeszłam załamanie nerwowe. Klienci skarżyli się alfonsowi, że już się nie staram. Alfons wziął mnie na krótką rozmowę.

Kiedy chciał, umiał być delikatny. To był jeden z jego sposobów. Powiedział, że porozmawiał z moimi wierzycielami i że tej nocy zostanę wraz z synem przeniesiona do innej branży. żeby to uczcić, wypiliśmy dzin z tonikiem.

Obudziłam się w ciemnym dusznym miejscu, zawinięta w dywan. Miałam mętlik w głowie, byłam otumaniona narkotykiem. Nie było przy mnie syna. Nadal byłam w burdelowej koszuli nocnej. Przeżyłam chwilę grozy, myśląc, że mnie żywcem pogrzebano, ale obmacałam wszystko wokół i stwierdziłam, że znajduję się w bagażniku zaparkowanego samochodu. Znalazłam mechanizm otwierający i wreszcie udało mi się wyjść. Znajdowałam się w zamkniętym na klucz garażu. W bocznym lusterku zobaczyłam alfonsa i zamarłam. Spał. Potem zauważyłam, że nie ma nosa. Ktoś przyłożył mu pistolet do nozdrzy i pociągnął za spust. Ani śladu po moim synu. Uciekłam – ale zanim wydostałam się z garażu, zaczęłam dochodzić do siebie. Byłam zagubiona, bez grosza, wszyscy, którzy mnie pamiętali, byli przekonani, że zniknęłam. Pomyślałam, że moi byli właściciele uznają, iż zabrał mnie albo zabił ten sam gang, który zabił alfonsa. Wahałam się – zawróciłam, w kurtce alfonsa znalazłam po omacku portfel. Do podołka miał przytroczoną torbę podróżną. Był w niej gruby na cal plik

banknotów o nominale dziesięć tysięcy jenów. Nigdy nie widziałam takich pieniędzy. Kiedy znalazłam wyjście z zamknięcia, stwierdziłam, że jestem w okolicach ogromnego szpitala centralnego w Osace, jedyne miejsce w mieście, w którym blada jak śmierć kobieta w koszuli nocnej mogła wtopić się w tło.

Nie mam czasu, by rozpisywać się na temat tych wszystkich lat, które minęły.

Przez rok przemieszkowałam w schroniskach dla kobiet, tanich hotelach. Konta w bankach zakładałam na fałszywe nazwiska. Sensem mojego życia stało się poszukiwanie syna. Mój eks-mążonek ulotnił się jak duch i już o nim nie myślałam. Wynajęłam prywatnego detektywa, żeby wytropił odnogę Jakuzy, która mnie więziła. Detektyw po tygodniu zwrócił mi zaliczkę – dostał ostrzeżenie.

Skończyło się na tym, że powodowany współczuciem i poczuciem winy zatrudnił mnie jako sekretarkę i księgową. Było to zręczne posunięcie, ponieważ trzy czwarte jego klienteli stanowiły kobiety, które zlecały śledzenie swoich mężów, aby zyskać na ugodach rozwodowych. Brudy wołały omawiać z kobietą. Jak z ginekologią, tak z niewiernością małżeńską. Polecały naszą agencję przyjaciółkom i tak biznes kwitł. Zaczęłam towarzyszyć szefowi w terenie. Kobiety są właściwie niewidzialne, nawet dla większości paranoicznych mężczyzn. (Stwierdziłam ponadto, że organizacja zawiadująca burdelem wykasowała wszelkie komputerowe wzmianki o mnie i moim synu. Zażywałam więc przywileju bycia kobietą nieistniejącą). Życie w burdelu zahartowało mnie – tak mocno, jak mocno mnie zraniło. Po trzech latach szef zaproponował mi spółkę, a kiedy zabił go rak, przejęłam cały interes. Przez cały ten czas poszukiwałam organizacji, która zabiła Makino Matani i

jej syna, a powołała do życia Kozue Jamaja. Jest gargantuiczna, bezimienna i wielogłowa. Nie ma nazwy. Członków ma ponad sześć tysięcy.

Uzyskiwałam listy polecające do jej przywódców, nawet zaproszenia na wesela ich dzieci. Doszło do tego, że mnie zatrudniła jako niezależnego szperacza. Mój status, jako osoby na wpeł wtajemniczonej, dawał mi większy dostęp do sekretów organizacji i odsuwał podejrzenia.

Mojego syna zamordowano, ażeby jego organy sprzedać niewyobrażalnie bogatym zrozpaczonym rodzicom należącym do japońskiej elity. Rynek wewnętrzny przynosi największe dochody, ponieważ rodzice zapłacą każdą cenę za czysty, wyhodowany w kraju towar, niebagatelny jest jednak również eksport do wschodniej Azji, Ameryki Północnej i Rosji. Taki los staje się udziałem dzieci i ostatecznie kobiet więzionych w burdelach. Dyskietka, którą załączyłam do tej przesyłki, zawiera nazwiska, cyfrowe portrety i dzieje ludzi, którzy kierują tą organizacją; wpływowych ludzi ze świata prawa, którzy ich chronią; chirurgów, którzy przeprowadzają operacje; polityków, którzy tuszują ich działania; biznesmenów, którzy piorą ich pieniądze; ludzi i urzędników celnych, którzy przechowują i transportują organy.

Jutro jest 2 października. Dzień, w którym planuję się ujawnić. Przekażę zgromadzone dane swoim kontaktom w policji i świecie mediów. Zdarzy się jedna z dwóch rzeczy: media podniosą krzyk, a japońskim życiem publicznym i politycznym wstrząśnie haniebny skandal, którego fale przetoczą się od szpitali na Kiusiu po gmach parlamentu; albo zostanę zabita przez tych, których zamierzam zdemaskować. Jeżeli zdarzy się ta druga ewentualność, kopie tej dyskietki oraz listu zostaną rozesłane do audytorium, które

wybrałam kierując się najrozmaitszymi względami.

Proszę zrozumieć: trzyma Pan w ręku list od nieżyjącej kobiety. Moja zemsta na ludziach, którzy uprowadzają matki z dziećmi, żeby wycinać im narządy, nie udała się. Moja nadzieja i dzieło mojego życia spoczywają teraz w pańskich rękach.

Proszę mieć oczy otwarte i działać tak jak Panu sumienie podpowiada. Nie mogę wesprzeć Pana radą – moja, obmyślona jak najlepiej próba nie powiodła się. Jakuba to mocne, dziewięćdziesiąt tysięcy państwo działające w ramach naszego państwa. Jeżeli spróbuje Pan posłużyć się zwykłymi policyjnymi kanałami, uzyska Pan co najwyżej gwarancję, że zostanie Pan zabity. Ma Pan bardzo mocną kartę w bardzo niebezpiecznej grze, w której nikt nigdy nie zwróci się do Pana z prośbą o rozdanie. Ale ze względu na spokój duszy mojego syna Eidzi Mataniego, który przez tych ludzi został zamordowany, i ze względu na tylu innych, kiedyś, teraz i w przyszłości, błagam, niech Pan działa.

*Dziękuję,
Kozue Jamaja*

Dlaczego ja? Jej syna łączy ze mną tylko imię zapisywane przy pomocy identycznego znaku kandzi – ei jak wołanie, dzi jak ziemia. Jeszcze nie spotkałem się z takim połączeniem, ale samo to przecież nie może tłumaczyć, dlaczego Kozue Jamaja wciągnęła mnie na swoją listę zaufanych. Przesiewam wspomnienia z naszego spotkania, żeby znaleźć jakiś ślad. Nie znajduję niczego.

I nie ma sposobu, by się tego dowiedzieć. Wołam na dół. – Macziko? Czy są w dzisiejszej gazecie jakieś wielkie afery?

– Co? – pyta Macziko. – Nie mów, że nie słyszałeś.

– Co?

Macziko czyta nagłówki z pierwszej strony: *Wysoko postawiony*

polityk zamieszany w skandal. „Nie brałem łapówek!”. Współpracownicy osłupieni rewelacjami na temat uczciwości ministra!

Zdobywam się na uśmiech i zamykam drzwi. A więc Kozue Jamaja także nie żyje. Ogarnia mnie wewnętrzna pustka i żal po tej zranionej osobie, która odwiedziła mnie podczas mojego tygodnia studiowania opowieści. Ale byłbym głupcem, gdybym dał się w to wplątać. Trzymanie tej dyskietki to śmiertelne niebezpieczeństwo, samobójstwo. Pakuję ją do najmniej uczęszczanego kąta mojego mieszkania – do pudełka z kondomami, pod skarpetki – dopóki nie wymyślę, co dalej. Jeżeli dzisiaj czy jutro nie wpadnie mi do głowy żaden bezpieczny pomysł, powinienem wyrzucić to do rzeki, w nadziei, że jakiś inny adresat okaże się bardziej roztropny i silniejszy. Gdzie tam, już widzę, jak stoimy rządkiem na moście i wrzucamy swoje dyskietki do wody, poddając się jak jeden tchórzliwym podszeptom. Zmieniam Kotce wodę, włączam wiatrak, rozwijam materac i usiłuję zasnąć. Mimo że nie spałem od dwudziestu godzin, nie mogę przestać myśleć o pani Jamaja. Czuję, że mam przed sobą dziwny tydzień, ostry.

Puls tętni głucho. Niezłomna włącznia uderza w niezniszczalną tarczę.

* * *

Wpadam do pracy, gdy wtorek wydaje ostatnie tchnienie. Ledwo udaje mi się przebrać w kucharski fartuch i białą przepaskę, a już rodzi się środa. Duża grupa zjeżdżających z dyżuru taksówkarzy zatrzymuje się i zamawia tyle pizzy, co na biurową imprezę, no i przez dziewięćdziesiąt minut jestem zajęty. UKF zmienia częstotliwość, jak chce, przeskakując między stacjami chińsko–,

hiszpańsko– oraz innojęzycznymi. – Tagalog, człowieku – podsumowuje Doi. – Eter w stratosferze jest dzisiaj superczysty, człowieku. Czuję to w zatokach. – Czeka, aż piekło dostarczy pizzę, i pali w klatce papierosa własnej roboty. Pociera oko. – Mijake coś mi wlało tu w kąciuku – podasz mi wykałaczkę, człowieku? – Ignoruję swoje przeczucia i daję mu wykałaczkę. – Dzięki. – Doi przy jej pomocy odciąga powiekę na dół.

– Niedobrze. Mógłbyś spojrzeć? Chyba wleciała mi muszka. – Podchodzę i zaglądam. Doi nagle kicha, szarpie głową w dół i wbija sobie wykałaczkę w oko.

W twarz tryska mi strumień białej cieszności. – Cholera! – krzyczy Doi. – O, cholera!

No nienawidzę, kiedy mi się to robi! – Tkwię w miejscu, nie mogąc uwierzyć, iż rzeczywistość może być tak groteskowa. W okienku pojawia się Sacziko.

Zaczynam coś mamrotać – ona potrząsa głową – i przestaję. – Dać się mu raz zrobić, Mijake, to miło z twojej strony, ale za drugim razem wychodzisz na frajera. Doi, jeżeli nadal będziesz marnował śmietankę do kawy, to będę zmuszona udać się do asystentki kierownika i obciąć ci pensję. Mówię poważnie. – Doi parska śmiechem, a ja uświadamiam sobie, że znowu dałem się nabrać. – Słuchać i wyyyykonywać. – Sacziko zwraca się z nadprzyrodzonym posłannictwem do piekarzy. – Moim karmicznym przeznaczeniem jest doglądanie przytułków dla obłąkanych, za życia, po życiu i tak bez końca, dopóki się nie poprawię. Mijake – jeden podwójny „Titanic” na grubym spodzie, dodatkowo mięsko z rekina. – Pakuję do pudełka pizzę dla Doiego. Wychodzi w glorii bezapelacyjnego zwycięstwa. A ja nieustannie myślę o przesyłce od pani Jamai. Do klatki zakrada się Tomomi na

jedną ze swoich nieśmiertelnych przerw na kawę. Opowiada, jak wściekle jest zajęta – „zajęta” to stanowczo jej ulubione słowo – i pyta, skąd wiem, że Ai nie udaje orgazmów, kiedy uprawiamy seks, bo kiedy ona miała romans z panem Nero, czuła się zobowiązana do tego, żeby zajmować się tymi sprawami przy licznych okazjach, bo mężczyźni są tacy niepewni tego, jak wypadli. Tomomi działa na mnie tak jak tarantula w spodniach. Ostrzy pazury i nieustannie pogania, żeby jej odpowiadać. Ratuje mnie poniekąd osa wielkości małego helikoptera, która wpada do pomieszczenia – Tomomi wrzeszczy: – Zabij ją! Zabij! – i wypada z powrotem na salę. Drzwiczki okienka zamykają się z trzaskiem. Osa lata, bzyząc, przez jakąś minutę, ostrożnie obserwując mnie wielosoczewkowymi oczyma, aż wreszcie ląduje na Laosie. Trudno w takiej sytuacji skupić się na pizzach, ale wolę już towarzystwo osy niż Tomomi. Staję na ladzie i pac plastikowym wiaderkiem w południowo-wschodnią Azję. Osa intonuje śmiertelny bzyk przypominający dźwięk rogu i próbuje przebić naczynie – a ja czuję nieznośne swędzenie i – zamiast przenieść osę w pojemniku, wpadam w popłoch i przesuвам wiaderko nad wywietrznikiem na ścianie. Następuje ledwie słyszalne trzaśnięcie i róg przestaje dźwięczeć. – Ostatni z ludzi czynu – mówi Onizuka, przesuważąc palcem kolec w dolnej wardze. Do klatki zawsze wchodzi jak duch, a mówi tak cicho, że muszę prawie czytać z jego warg. Kiwa głową, wskazując na piekło, gdzie pizza czeka na zapakowanie. – To moja „Królowa Eskimosów” dla gmachu KDD? Klienci gównu mi zapłacą, jak dostaną zimne pizze. – Drzwiczki otwierają się z trzaskiem. – Nie żyje? – pyta Tomomi. – Osa w porządku – odzywa się Onizuka – tylko Mijake przerobił się na papkę, bo usiłował precyzyjnie się przez wentylator. – Tomomi śmieje się na próbę, sprawdzając, czy

mnie rozdrażni. Onizuka odchodzi bez słowa z pizzą. Po minucie przychodzi Doi – mógłbym przysiąc, że wczoraj utykał na lewą nogę, choć dzisiaj utyka na prawą – i Tomomi opowiada mu o osie. Dealer narkotyków i królowa zła wszelkiego dyskutują, czy jestem winny zagłady gatunku. – To była tylko osa – mówię – tam, skąd przylatują, jest ich mnóstwo. – Ale to nie wystarczy Tomomi. – Tam, skąd pochodzimy, jest całe mnóstwo ludzi, ale czy to oznacza, że ludobójstwo jest w porządku? – To za głupie, żeby się o to spierać, zwłaszcza że to przecież Tomomi wrzeszczała: „Zabij! Zabij!”, więc sprawdzam pizzę, wędrując cal po calu przez piekło. Kiedy ponownie się włączam Doi i Tomomi rozmawiają o wronach. – Mów, co chcesz – odzywa się Tomomi – wrony są bystre. – Doi potrząsa głową. – Wrony to naziści ze skrzydłami, człowieku. Portier w naszym domu przegnał taką wronę miotłą. Następnego dnia ta sama wrona dziabnęła go w głowę z lotu nurkowego, tak że poszła krew, człowieku. Wrona? Żeby atakować umundurowanego portiera? Odjazd, człowieku.

Jakby jakieś spięcia w naturze. – Tomomi ostrzy kredkę do powiek i otwiera ręczne lustro. – Co słaby utyje, to silny wyje.

* * *

Z Ueno do Kita Sendzu łatwo dotrzeć, nawet w godzinach szczytu, ponieważ okręty podwodne metra wyruszają puste, jeśli nie liczyć pracowników nocnej zmiany i ekscentrycznych miliarderów. Te zaś, które jadą w przeciwną stronę, do Ueno, ciągną wagony naładowane ludzkim towarem. Tokio stanowi model teorii opisującej powstanie wszechświata w seryjnym wybuchu. Eksplozja następuje o piątej po południu i ludzka materia zostaje rzucona do przedmieść, ale o piątej rano ciężenie ludzkiej materii

znowu dochodzi do głosu i wszystko z powrotem napływa do centrum, gdzie następnego dnia o tej samej porze następuje kolejna eksplozja.

Swoje dojazdy odbywam wbrew naturalnemu prawu Tokio. Czuję się skonany.

Muszę jakoś przywyknąć do tego, że zaniechałem poszukiwań ojca. Ai przychodzi do mojej kapsuły po próbie, około piątej po południu. Jej obiad to dla mnie śniadanie. Na szczęście zapytała, czy może coś ugotować – ze względu na cukrzycę sama wolałaby wybierać potrawy, a określenie mojego repertuaru kulinarnego przymiotnikiem „ograniczony” zakrawałoby na zarozumialstwo. Wracam z Kita Sendzu do Mknącej Gwiazdy. Przez połowę nieba sunie dziwna chmura.

Rowerzyści, kobiety z wózkami spacerowymi, taksówkarze – wszyscy zatrzymują się i zadzierają głowy. Połowa nieba jaśnieje czystym październikowym błękitem, druga połowa to mroczna kipiela burzowej chmury. Plastikowe torby wciągnięte w powietrzne wiry unoszą się wysoko i znikają. Buntaro wcześniej zjawia się w sklepie, bo chce uzupełnić księgi po tygodniowej nieobecności. Spogląda na mnie i pociąga nosem. – Wiem – mówię. – Wiem. Śmierdzą serem. – Buntaro wzrusza ramionami i jakby nigdy nic powraca do swojego kalkulatora. Wpełzam na górę.

Kotka wita mnie i czmycha gdzieś w swój koci wymiar. Myję jej miseczkę, zmieniam wodę, biorę prysznic i decyduję się na szybką drzemkę, zanim zabiorę się do sprzątania na przyjście Ai.

Twarz rozpływa mi się, jakby była nie na miejscu. Język jak pumeks. Ślina zgromadzona w zagłębieniu języka wycieka na poduszkę. Przy stole Ai sieka marchewkę i jabłka. Przez chwilę wydaje mi się, że jestem po ślubie z Ai, a ona przygotowuje obiad

dla dziewięciorga naszych dzieci, ale potem czuję zapach jabłka. Do tego gałka muszkatołowa. Kotka liże łapy i patrzy na mnie. Buntaro wpuszcza Ai na górę, ona puka, ale jestem za bardzo zaspany, żeby się obudzić, Buntaro potwierdza, że bezwzględnie jestem u siebie i Ai zagląda, dostrzega mnie, wycofuje się i idzie po składniki do sałatki. Jak się chce, życie staje się istną rozkoszą. Ai pewnie mi ufa, skoro przebywa ze mną w mojej kapsule, gdy jestem ubrany – czy też nieubrany – tak jak jestem. Z tego zaś, że mi ufa, wynika, że jestem godzien zaufania. Marchewka i jabłko świetnie pasują do siebie. Ai sieka orzechy włoskie – orzechy włoskie nigdy nie przyszły mi do głowy – i rodzynki, a następnie posypuje tym sałatkę. Ma na sobie stare dżinsy i wypłowiałą żółtą koszulkę, jaśniejszą od skóry. Włosy upięte. I ta mityczna szyja. Zgarnia oberki do worka na śmieci. Nosi grube szkła w czarnej oprawie, które jakimś dziwnym trafem pasują do niej. Ai nigdy nie usiłuje robić na mnie wrażenia i właśnie to robi na mnie takie wrażenie. W uchu ma piracki srebrny kolczyk. – Cześć, kanibalu z Kiusiu – mówi i nagle dociera do mnie, że ona wie, iż patrzę na nią, więc w wewnętrznym akordzie przechodzę z As do d–moll na wolnej strunie. – Dlaczego w zamrażarce trzymasz listy?

– Uważaj – mówi Ai – w tych ościach możesz trafić na jakąś rybę.

– Smakuje wspaniale.

– Żywisz się wyłącznie makaronem?

– Dzięki Nero czasami urozmaicam dietę pizzą. Czy pozwolisz, że wykończę tę sałatkę?

– Jedz, zanim ciebie wykończy szkorbut. Nigdy mi nie mówiłeś, że masz taki widok.

– Co to za widok. Na Jakuszymie są widoki.

Teraz Suga wygląda na zmieszanego. – Ja... yyy... Mijake?

– Yyyy... może innym razem.

– Nie będzie innego razu, przynajmniej przez długi czas. Przyszedłem się pożegnać.

– Wyjeżdżasz z Tokio? – podsuwam mu poduszkę. – Blisko czy daleko?

Suga zdejmuje sandały i siada. – Do Saratogi.

– W jakiej to prefekturze? Ai słyszała o tym mieście. – Saratoga w zachodnim Teksasie?

– W samym środku pustyni.

– Pięknie – mówi Ai, chrupiąc – ale dziko.

Próbuję jakoś posprzątać. – Po co na pustynię?

– Nie wolno mi mówić o szczegółach. Nalewam mu herbaty. – Dlaczego?

– O tym też nie wolno mi z nikim rozmawiać.

– Czy ma to jakiś związek z tym całym twoim Świętym Graalem?

– W zeszłym tygodniu, zaraz jak stąd wybyłem, poszedłem do biura i z powrotem wzięłem swój mózg do galopu. Oczywiście nie na żarty. Piszę program poszukujący, przemycam go do pola pliku i przepuszczam przez dziewięć miliardów plików, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście gdzieś jest ukryta jakaś strona Świętego Graala. Pierwsza próba i niewypał. Przekładając to na megabajty, wyglądało to mniej więcej tak, jak próba wciśnięcia Chin do tunelu Sumida.

System obronny Pentagonu rozpoznaje program jako ciało obce, rozwala go i uruchamia program śledzący. Ledwie zdążyłem wyskoczyć.

– Tego Pentagonu? – pyta Ai.

Suga kręci młynka palcami, i skromny, i tryskający dumą. – Więc ślęczę nad problemem przez parę dni i nagle z głębi dobija się genialna myśl. Błysk natchnienia. Włamuję się do systemu obronnego Pentagonu, wybijam jego własny system operacyjny, nakładam mu kaganiec i jego zmuszam do szukania tych plików, które sam ma za zadanie chronić! Mniej więcej tak, jakby przestawić tropiącego cię psa twojego wroga tak, żeby cię doprowadził do jego kryjówki.

Specjalnie tak mówię, żeby brzmiało to zrozumiale, a e najpierw musiałem wprowadzić moją ścieżkę ucieczki za pośrednictwem sześciu różnych zombi, poprzez sześć różnych sieci komórkowych. Potem...

– I udało ci się?

Suga oszczędza nam szczegółów. – Udało się. Ale trzeba było sprawdzić kosmiczną ilość Świętych Graalów, nie. Tylko pomyślcie. Dziewięć miliardów plików, na wierzchołku dziewięciu miliardów piramid, a każda z nich zbudowana jest z dziewięciu miliardów plików – o ile dobrze się temu przyjrzałem. Po spuszczeniu mojego programu poszukującego przysypiam. Wielki Głęboki Sen.

Jest już jedenasta rano, nie – przy komputerze pracowałem od siódmej wieczorem poprzedniego dnia. I co dalej? Budzę się i widzę trzech facetów przeszukujących moje biuro. Samo południe, szok. Jeden z nich – chyba haker – załadowuje wszystkie moje osobiste pliki do przenośnego napędu, jakiego jeszcze nawet nie widziałem. Drugi, starszy, w typie pryncypała, robi remanent całego mojego sprzętu. Trzeci, taki otyły, opalony cudzoziemiec w kowbojskim kapeluszu przerzuca moje mangi z Zaxem Omegą i pije moje piwo. Byłem tak zdumiony, że nie zdążyłem się przestraszyć. Facet w typie pryncypała błyska jakąś legitymacją – Agencja Ochrony

Danych, mówi ci to coś? – i gada, że naruszyłem Japońsko–Amerykański Dwustronny Traktat Obronny i że mam prawo do zachowania milczenia, ale jeżeli nie chcę być sądzony za szpiegostwo przez sąd amerykański w najbliższej bazie wojskowej, to lepiej, żebym padł na kolana i wszystko wypaplał, ocalając swoje cenne życie.

– I to wszystko prawda? – pyta mnie Ai.

– I to wszystko prawda? – pytam Sugę.

– Chciałem, do diabła, żeby było inaczej. Ciągłe mam przed oczyma sceny sodomii ze *Skazanych na Shawshank*. Pryncypał wyjmuje urządzenie nagrywające wielkości pudełeczka od zapalek i zaczyna strzelać pytaniami. Czuję, że za chwilę podłączy mi do jąder elektrody. Przede wszystkim, w jaki sposób dostałem się do Pentagonu? Z kim od tamtego momentu rozmawiałem? Czy słyszałem o którejs z na stepujących organizacji – nie słyszałem i nawet nie mogę sobie ich już przypomnieć. Wiedzą, do jakich szkół chodziłem, gdzie mieszkam, wszystko.

Potem ten haker gada o danych technicznych – widzę, że mój pierścień zombi zrobił na nim wrażenie. Ale co z tego, ściemnia się, a ja nawet nie wiem, co oni zamierzają ze mną zrobić. W końcu ten cudzoziemiec, który przerzucał moje albumy z fotografiami i „MasterHackera”, odzywa się do tego pryncypała, po angielsku. Dociera do mnie, że to on tutaj dowodzi. Pytam, czy mogę się odcedzić.

Towarzyszy mi młodszy haker – pytam go o jakieś dalsze szczegóły, ale ten tylko potrząsa głową. Wracamy do biura, a pryncypał proponuje mi do wyboru: pracę albo oskarżenie na mocy jakiegoś straszliwie brzmiącego paragrafu. Opowiada o pracy, do tego pieniądze – poważne! Sztuczna inteligencja, tarcza

antyrakietowa... – Suga przygryza wargę. – Au... To jedyny minus. Nie mogę nikomu się pochwalić.

– No a co z IBM i z twoim uniwersytetem?

– No właśnie, takie było moje kolejne pytanie. Pryncypał kiwnął na zagranicznika – a ten tylko warknął do komórki. Pan Suga już został otoczony opieką, słyszę od pryncypała. I możemy załatwić jakiś doktorat, skoro twoi rodzice martwią się o kwalifikacje, MIT byłoby do przyjęcia? Pozostałe szczegóły omówimy później. No i faktycznie pojutrze odlatuję, więc mam milion rzeczy do zrobienia. Przyniosłem ci prezent, Mijake. Zastanawiałem się nad tropikalnymi owocami, ale to jest trochę bardziej osobiste. Masz. – Wyjmuje kwadratowe pudełko, otwiera szybkim ruchem i uwalnia z zatrząsków czarny płaski przedmiot.

– To jest najwspanialszy wyhodowany przeze mnie w domu wirus komputerowy.

Już drugi raz w ciągu ostatnich dwóch dni dostaję dyskietkę. – Yyyy... dzięki.

Jeszcze od nikogo nie dostałem wirusa.

Ai mamrocze coś pod nosem i nagle odzywa się na głos: – To może spowodować zagrożenie życia, jeżeli dostanie się do systemów szpitala. Czy przyszło ci to w ogóle do głowy? – Suga kiwa głową i siorbie herbatę. – Etyczni cybereksplorery to jednostki odpowiedzialne, no nie. Uduchowione istoty w maszynach, a nie bezmyślni wandale. Rozmnażamy się. Ponad sześćdziesiąt procent najlepszych systemów poszukiwawczych to systemy etyczne. – Ai obrzuca Sugę ponurym spojrzeniem. – A ponad osiemdziesiąt pięć procent całej statystyki preparuje się natychmiastowo – ciągnie uparcie Suga. – Choćby ten wirus – nazywam go „Doręczyciel” – dostarcza twoją wiadomość do każdego adresata znajdującego się w

książce adresowej każdej osoby, do której ty ją wysłałeś. Potem wiadomość z wirusem powiela się i sama rozsyła na wszystkie adresy w tych książkach adresowych – i tak dalej przez dziewięćdziesiąt dziewięć pokoleń. Mucha nie siada, nie? I do tego kompletnie nieszkodliwe. – Ai wygląda na nieprzekonaną.

– Rozsyłanie mailem rupieci do dziesiątek tysięcy ludzi nie sprawia na mnie wrażenia działania szczególnie etycznego. – Sugę rozpiera ojcowska duma. – Nie rupieci! Mijake może rozesłać dowolne przesłanie do setek tysięcy użytkowników.

Czegoś takiego nie mogę zabrać ze sobą do Teksasu, skoro w Saratodze jest taka ściśle tajna instalacja badawcza, nie, a szkoda byłoby pozwolić, żeby coś takiego się zmarnowało.

Suga wychodzi, ja kończę sałatkę i na deser kroję melona. Zanoszę kawałek na dół i daję Buntarowi, który kiwa głową, wskazując na sufit, i pytająco kiwa małym palcem. Udaję, że nie rozumiem. Nie ma mowy, żebym przystawiał się do Ai.

Panuje między nami takie jak gdyby jeszcze–nie. Tak sobie mówię. Ai przygotowuje miejsce na stole.

– Czas na moją insulinę. Jak chcesz, to patrz, chyba że jesteś za wrażliwy na widok igły wbijanej w skórę?

– Chcę popatrzeć – kłamię.

Wyjmuje z torebki apteczkę, przygotowuje strzykawkę, dezynfekuje przedramię i spokojnie wbija igłę. Otrząsam się. Obserwuje mnie, jak ja obserwuję ją, gdy wprowadza insulinę do swojego krwiobiegu. Nagle robi mi się głupio.

Przystawianie się do Ai byłoby czymś tak nie na miejscu, jak pokrzykiwanie na kwiatek, żeby się pośpieszył. Do tego, gdyby mnie odpaliła, to chyba musiałbym się zdematerializować. – No więc, Mijake – mówi Ai, wyjmując igłę. – Twoje następne

posunięcie?

Próbuję przełknąć ślinę. – Y... proszę?

Wyciera kropelkę krwi sterylnym wacikiem – Zamierzasz zostać w Tokio, skoro już zrezygnowałeś z tropienia ojca? – Zrywam się i wycieram patelnię. – Nie wiem.

Zanim cokolwiek zacznę robić, muszę zdobyć pieniądze, więc prawdopodobnie zostanę w pizzerii, dopóki nie trafi mi się coś lepszego... Chcę pokazać ci listy, jakie otrzymałem od matki.

Ai wzrusza ramionami. – Dobra.

Omiotam plastik z granulek lodu – Ai czyta, podczas gdy ja kończę jedzenie i biorę prysznic.

– Długo pod tym prysznicem.

– Yyyy, kiedy biorę prysznic, czuję się tak, jakbym wrócił na Jakuszimę.

Ciepły deszcz. – Wskazuję głową na listu – Co o tym myślisz?

Ai wkłada je starannie do kopert. – Zastanawiam się, co o nich myśleć. – Fuji film podaje dziesiątą. Musimy iść – Ai chce się znaleźć w domu, zanim kłusownicy zaczną wychodzić ze swoich barów, ja zaś muszę przed północą zjawić się w pracy. Na dole Buntaro zajada chrupki i ogląda film, w którym roi się od cyborgów, motocykli i spawarek.

– Smakowała sałatka? – pyta niewinnie, tak że najchętniej bym go zamordował.

Wskazuję głową na ekran.

– Co oglądasz?

– Sprawdzam dwa prawa kinematografii.

– Jakie?

– Pierwsze prawo brzmi: „Każdy film, którego tytuł kończy się na »ator« zalatuje czystą bzdurą”.

– A drugie?

– „Jakość filmu jest odwrotnie proporcjonalna do ilości pojawiających się w nim helikopterów”.

– Właściwie to szkoda, że pokazałeś mi te listy – mówi Ai, gdy dochodzimy do stacji Kita Sendzu.

– Dlaczego?

Ai podzwania drobniakami. – Nie sądzę, żebyś chciał wiedzieć, co naprawdę sądzę. – Ostatnie jesienne ćmy wirują wokół migotliwego światła.

– Ale przecież pokazałem ci je właśnie po to, żeby się tego dowiedzieć.

Ai kupuje bilet – ja pokazuję miesięczny – i schodzimy na peron. – Jesteś niezbędny matce, a i twoje życie byłoby o wiele bogatsze, gdyby było w nim miejsce dla niej. Twoja rezerwa nie pomaga ani tobie, ani jej. Te listy to traktat pokojowy.

Czuję, że trochę mnie to ukłuło. – Skoro chce, żebym się z nią skontaktował, to dlaczego nie dała mi swojego adresu w Nagano?

– A nie przyszło ci do głowy, że nie chciała podsuwać ci możliwości odrzucenia jej? – Ai szuka mojego spojrzenia. – Tak czy inaczej, przecież powiedziała ci, gdzie jest. Góra Hakuba.

Udaje mi się umknąć spojrzeniem. – Góra Hakuba to żaden adres.

Ai przystaje. – Mijake, przy swojej wyjątkowej bystrości – bzzzz! Daje o sobie znać mój detektor sarkazmu – jesteś mistrzem samooszukiwania się. U podnóża Hakuby nie może być więcej niż dziesięć hoteli. Odnalezienie twojej matki to drobiazg w porównaniu z poszukiwaniem bezimiennego faceta w Tokio. Gdybyś rzeczywiście tego chciał, jutro wieczorem mógłbyś się z nią już spotkać.

O, dziewczyna zaczyna się wtrącać. Wiem, że powinienem odpuścić, ale nie umiem. – A czego niby według ciebie chcę?

– Nie jestem twoim psychiatrą – ucina Ai, wzruszając ramionami. – Ty mi powiedz. Złość? Obwinianie?

– Nie. – Ai nie może połapać się w tym wszystkim.

– Miała siedem lat, żeby wrócić do nas obojga, i kolejne dziewięć, żeby wziąć chociaż mnie.

Ai marszczy brwi. – Dobra, ale jeżeli nie chcesz wiedzieć, co naprawdę myślę o tych twoich powikłaniach, to może pogadaj ze mną o pogodzie, zamiast pokazywać mi osobiste listy. I do diabła, Mijake... – patrzę na nią. – Co?

– Ai prawie warczy na mnie: – Czy musisz palić? – Chowam zapalniczkę MacArthura i wsuwam parlamenty z powrotem do kieszeni koszuli. – Nie miałem pojęcia, że aż tak ci to przeszkadza. – Słowa padły i wiem, że zabrzmiały cokolwiek złośliwie. Ai wścieka się, już na całego. – Jak nie miałyby mi przeszkadzać? Od dziewiątego roku życia dźgają mnie w rękę jak w poduszkę na igły, dzięki czemu moja trzustka jeszcze mnie nie zabiła. Dwa razy do roku zaliczam hipoglikemię, podczas gdy ty nabijasz sobie płuca rakiem, a inni swoje wypluwają – tylko po to, żebyś mógł wyglądać jak facet z reklamy marlboro. Tak, Mijake, twoje palenie naprawdę mi przeszkadza.

Kompletnie nie wiem, co odpowiedzieć.

Wieczór rozsypuje się.

Przyjeżdża pociąg. Siedzimy obok siebie w drodze do Ueno, ale równie dobrze moglibyśmy w ten sposób siedzieć w różnych miastach. żeby tak było. Zadowoleni obywatele z krainy reklamy kpią ze mnie, przesyłając miętowe uśmiechy. Ai nie odzywa się. W chwili, gdy coś się udaje, los przystawia swoją pieczęć. Wysiadamy

w Ueno, spokojnym jak zawsze.

– Pozwolisz, żebym cię odprowadził na peron? – pytam, proponując rozejm.

Ai wzrusza ramionami. Idziemy korytarzem, przestronnym jak zawieszona w przestrzeni sala animacji. Przed nami rozlega się nieznośne rytmiczne dudnienie – człowiek w pomarańczowym kombinezonie rozwala coś przy pomocy czegoś na kształt gumowego młota. Coktokolwiek to jest, widok zasłania nam kolumna.

Odbijamy nieco w bok, chcąc ominąć mężczyznę, ale i tak musimy obok niego przejść, żeby dostać się na peron. Poważnie zastanawiam się, czy naprawdę nie zamierza zatłuc kogoś na śmierć. Okazuje się jednak, że to tylko płyta chodnikowa, którą robotnik chce na siłę wcisnąć do ciasnego otworu. Łup! Łup! Łup! – To jest życie – mówi Ai, najwyraźniej do siebie. Z tunelu wyłania się wyjący jak wilk pociąg. Włosy Ai rozwiewają się w jego podmuchu. Czuję się fatalnie. – Yyyy...

Ai... – zaczynam, lecz Ai przerywa mi, gniewnie potrząsając głową. – Zadzwonię do ciebie. – Czy to znaczy: „w porządku, nie przejmuj się”, czy też: „nie próbuj dzwonić, dopóki nie zastanowię się, czy ci wybaczyć”? Nieskazitelna dwuznaczność stypendystki Paryskiego Konserwatorium. Pociąg zatrzymuje się, ona wchodzi, siada, zaplata ręce, zakłada nogę na nogę. Macham jej na pożegnanie i drugą ręką bez zastanowienia wyciągam z kieszeni paczkę parlamentów i rzucam ją w szczelinę między pociągiem a peronem. Lecz Ai zdążyła już przymknąć oczy.

Pociąg odjeżdża. Nawet nie zauważyła.

Cholera. To, myślę sobie, to dopiero jest życie.

* * *

Mój labirynt w pizzerii Nero kurczy się z nocy na noc. Z piekła bije coraz większy żar. Sacziko nic nie mówi na temat Ai. Środowa noc, jak na razie najbardziej zawałona. Pierwsza w nocy, druga, wszystko kręci się na okrągło. Jakże dręczące potrafią być uczucia. Pewnie dlatego ich unikam. W chwili, gdy coś się udaje, los przystawia swoją pieczęć. Doi ssie kostki lodu, wkłada palec do nosa, drapie się i tasuje karty. – Wybierz kartę – mówi – jakakolwiek. Potrząsam głową – nie jestem w nastroju. – No! To stara sumeryjska sztuczka ze sznytami na trzecie tysiąclecie, człowieku. Wybierz kartę. – Doi podsuwa mi rozłożone w wachlarz karty i odwraca głowę. Biorę więc kartę. – Zapamiętaj ją, ale nie mów, jaka to karta.

Dziewiątka karo.

– Już? Przełóż i potasuj! Tak czy owak, tak czy siak, gdziekolwiek chcesz, pochowaj śmiertelne szczątki swojej karty... – robię, co mówi – nie ma sposobu, żeby Doi mógł podpatrzeć. W drzwiach staje Tomomi. – Mijake! Trzy „Tłuste Syreny”, do tego ekstra morskie rośliny i kałamarnica. Doi – dłubanie w nosie nie przystoi hippisowi w twoim wieku. – Doi drapie się tym razem po nosie: – Gryźnij się w język, niedźwiedzico, nie zdarzyło ci się mieć, człowieku... pryszcz w nosie?

Tomomi patrzy na niego. – Owszem, właśnie mi wyrósł pryszcz w samym nosie. Nazywa się Doi. Ta dostawa na imprezę u specjalisty od kręgosłupa została zamówiona siedem dni temu – jeżeli zadzwonią ze skargą, wpakuję ci do ucha słuchawkę i będziesz miał okazję, żeby sobie poradzić z ich negatywną energią, człowieku. – Doi ucisza ją gestem: – Droga pani, właśnie wykonuję sztuczkę. – Tomomi wciąga ze świstem powietrze. – Czy chcesz, żebym powiedziała panu Nero o aromatycznych substancjach, jakie

przewozisz w pojemniku swojego skutera? – Doi składa karty do pudełka i gdy Tomomi już wychodzi, mówi do mnie szeptem: – Nie bój nic, człowieku, ciąg dalszy sztuczki nastąpi... Minuty pną się z mozołem jak pasażer ruchomych schodów idący pod prąd. Onizuka robi przerwę po dalekim kursie. Siedzi w klatce i dzieli grejpfruta na cząstki. Przygotowuję dla niego kolejną dostawę: pakuję do pudełka kurczaka „Tikka” i minisałatkę. Żeby podgonić noc, zabawiam się w przechytrzenie zegara: zanim sprawdzę, która godzina, mówię sobie, że jest dwadzieścia minut wcześniej, niż naprawdę, jak sądzę, jest, i w ten sposób sprawiam sobie miłą niespodziankę. Ale dzisiejszej nocy nawet moje lipne okulary są jakby zbyt różowe. Doi ponownie pojawia się w klatce, słuchając w ekstazie piosenki z radia – *Riders on the Storm*, człowieku... – Z powodzeniem mógłby być hodowcą ptaków w leśnej głuszy. – To ja na moim skuterze z pizzą. – Popija z piersiówki tybetańską, zalatującą rzygowiną herbatę z masłem i ćwiczy wyjmowanie kart z uszu. Zapomniał już o niedokończonej sztuczce, a ja staram się mu nie przypominać. – Kondycja ludzka, człowieku, to karciana gra. Swoje karty dostajesz w łonie matki. W dzieciństwie kilka kart odkładamy, i trochę więcej dobieramy. W okresie dojrzewania, człowieku – kolejne karty – praca, miłości, hulanki, małżeństwo... dostajesz karty, zrucasz się. Bywa, że trafia ci się silne rozdanie. Kiedy indziej dobra passa kończy się paskudnym zamroczeniem. Kładziesz stawkę, licytujesz, blefujesz. – Do klatki wchodzi Sacziko na przerwę. – A w jaki sposób wygrywa się w tej grze? – Doi rozkłada karty w pawi ogon i wachluje się. – Kiedy wygrywasz, reguły zmieniają się i okazuje się, że przegrałeś. – Sacziko opiera nogi na pudle z firmowymi saszetkami ketchupu Nero. – Metafory, jakie układa Doi, zawsze wywołują większy zamęt w głowie niż

abstrakcyjne idee, które mają rzekomo przedstawiać w prosty sposób.

Tomomi dokłada zamówienie na „Satanikę”: chrupiąca skorupka, potrójne kapary.

Przygotowuję podkład i myślę o Ai: śpi, śniąc o Paryżu. Suga śni o Ameryce.

Kotka śni o kotach. Pizze pojawiają się i znikają. Rośnie plik zrealizowanych zamówień nadzianych na szpikulec. W rzeczywistym świecie, na zewnątrz, zapala się kolejny upalny świt. Obieram ogórki do ósmej, gdy wyznaczona pora sprowadza nowego kucharza klapnięcie w plecy i okrzyk – Mijake do domu! – o sile dziewięćdziesięciu decybeli. Wracając do domu do Kita Sendzu linią Czijoda, podłączam się do diskmana. Nie ma muzyki. Dziwne, przecież zmieniałem wczoraj wieczorem baterie. Naciskam „eject” – w środku zamiast CD karta do gry.

Dziewiątka karo.

Na sekretarce telefonu w kapsule wiadomość. Nie od Ai. – Yyyy... witaj, Eidzi. To ja, twój ojciec. – Śmiech. Przechodzi mnie dreszcz – po raz pierwszy od marca czuję chłód. – Cześć, już mówiłem. Twój ojciec, Eidzi. – Głęboki oddech. Pali. – Nie takie trudne. Hmm. Niezły pasztet. Od czego mam zacząć? – słyhać odgłos zniecierpliwienia. – Po pierwsze, nie wiedziałem – wierz mi – że przyjechałeś do Tokio, żeby mnie odnaleźć. Ta sadystka Akiko Kato wykombinowała to z moją żoną, nie ze mną. Od sierpnia siedziałem w Kanadzie, na konferencjach i w interesach – do domu wróciłem dopiero w zeszłym tygodniu. – Głębokie westchnienie. – Zawsze miałem nadzieję, że ten dzień w końcu nadejdzie. Eidzi, ale nigdy nie zdobyłem się na wykonanie pierwszego kroku. Do głowy by mi nie przyszło, że mam prawo. O ile to ma sens. Po drugie,

chodzi o moją żonę. To takie krępujące, Eidzi – mogę mówić do ciebie Eidzi? Inne formy wydają mi się niewłaściwe. Żona ani słowem nie pisnęła o liście, który napisała, żeby cię odstraszyć ani o spotkaniu w zeszłym tygodniu... Dowiedziałem się zaledwie przed godziną, kiedy mojej córce się wypsnęło. – Niespokojne poruszenie. – Trochę się uniosłem i ledwie co zdążyłem się uspokoić, na tyle żeby do ciebie zadzwonić. Co za małostkowość. Co za podejrzliwość. Jakim prawem odgradzała cię ode mnie? A także od mojego umierającego ojca... Ciarki mnie przechodzą, gdy pomyślę, jakie zdanie wyrobiłeś sobie na temat naszej rodziny. Choć z drugiej strony, nie bez racji. Moja żona i ja – nasze małżeństwo to niezupełnie... zresztą, nieważne. – Milczenie. – Po trzecie. Co po trzecie? Straciłem kontakt. To przeszłość. Pozostaje przyszłość, Eidzi. Chcę ci powiedzieć, że strasznie chcę spotkać się z tobą, na wypadek gdybyś się wahał. I to zaraz, o ile to możliwe. Dzisiaj. Mamy sobie tyle do powiedzenia, od czego mam zacząć? Na czym skończyć? – Zakłopotany śmiech. – Przyjdź dzisiaj do mojej kliniki – jestem chirurgiem plastycznym, to przy okazji, jeżeli matka ci nie mówiła. Ani moja żona, ani żadna inna wrogo nastawiona osoba nie będzie nam przeszkadzała. Albo możemy iść do restauracji, jeżeli jeszcze nie zdążyłeś zjeść... Słuchaj, odrobiłem już popołudniową operację. Możemy umówić się o pierwszej? Podaję ci numer na chirurgię. – Zapisuję. – Dojedź metrem do stacji Edogauabaszi, zadzwoń i pani Saraszina, moja asystentka, można jej całkowicie zaufać, przyjedzie i cię odbierze. To tylko minuta stamtąd. To co, do pierwszej... – Odgłos jakiegoś dziwnego gruchania – przez lata modliłem się, żeby ten dzień kiedyś nadszedł... Ilekroć szedłem do świątyni, prosiłem... trudno mi... – Śmieje się. – Dość już, Eidzi! O pierwszej! Stacja metra Edogauabaszi.

Życie jest cudowne, wspaniałe i piękne.

Zapomniałem o Ai Imadzo, zapomniałem o Kozue Jamai, leżę na wznak i odtwarzam raz po raz wiadomość, póki nie przyswoję sobie każdego słowa, każdej osobliwości. Wyjmuję zdjęcie ojca i ożywiam jego twarz, tak że zaczyna mówić.

Kulturalny, ciepły, suchy głos, który wzbudza szacunek. Nie taki nosowy jak mój.

Powiem Buntarowi i Macziko – nie, jeszcze poczekam. A wieczorem wejdę do Mknącej Gwiazdy, prowadząc za sobą tajemniczego dżentelmena, i od niechcienia rzucę: „a przy okazji, Buntaro, pozwól, że ci przedstawię mojego ojca”. Kotka obserwuje mnie ostrożnie z ubikacji – Co za dzień dzisiaj, Kotko! – Prasuję najlepszą koszulę, biorę prysznic, a potem próbuję zdrzemnąć się przez godzinę.

Nic z tego. Słucham *Live in New York City* Johna Lennona i nastawiam budzik, na szczęście, bo następną rzeczą, jaka do mnie dociera, jest dzwońdzwońdzwońdzwońdzwonienie w uszach i godzina – jedenasta trzydzieści. Ubieram się, krzątam się koło Kotki, podaję jej obiad sześć godzin wcześniej, na wypadek gdybym po spotkaniu z ojcem musiał iść prosto do pracy. Na szczęście Buntaro rozmawia przez telefon z dystrybutorem i nijak nie może wściubić nosa w moją radość.

Stacja Edogauabaszi. Z takim przejęciem wpatruję się w tłumy przewalające się przez stację w południe, że nie zauważam jej. – Przepraszam? Domyślam się, że to ty jesteś Eidzi Mijake, poznaję po baseballówce. – Odpowiadam skinieniem głowy elegancko ubranej kobiecie, właściwie już nie młodej, ale i nie starej. Uśmiecha się pomalowanymi jagodową szminką wargami. – Jestem Mari Saraszina, asystentka twojego ojca – właśnie

rozmawialiśmy przez telefon. Oczekujemy cię z ogromnym wzruszeniem.

Kłaniam się. – Dziękuję, że wyszła pani na spotkanie.

– Ależ drobiazg. To tylko kawałek spacerkiem. Cóż za dzień dla twojego ojca.

Odwoływanie popołudniowych spotkań... – potrząsa głową. – Bez precedensu w ciągu sześciu lat! Pomyślałam sobie: czyżby wizyta cesarza? Potem dowiedziałam się, że to odwiedziny syna! – jego słowa, nie moje – i pomyślałam: aha, wszystko jasne! Zamierzał sam odebrać cię z Edogauabaszi, ale w ostatniej chwili puściły mu nerwy. Tak między nami mówiąc, nie lubi ostentacji w uczuciach i tym podobnych historii. Dość plotkowania. Chodź. – Pani Saraszina idzie i nieprzerwanie mówi.

Drogę przebiega nam kot wielkości psa. Idący z naprzeciwka piesi i rowerzyści ustępują jej miejsca. Prowadzi mnie bocznymi uliczkami koło bezimiennych butików i galerii sztuki. – Klinika twojego ojca należy do najnowocześniejszych w dziedzinie kosmetologii. Mamy wierną, protegowaną ustnie klientelę, więc unikamy ostentacyjnej reklamy, w przeciwieństwie do głośnych gabinetów przycinających i fastrygujących co się da. – Drogę przebiega nam kot wielkości myszy. – Jesteśmy na miejscu, widzisz, mógłbyś uchodzić teraz za osobę dobrze poinformowaną. – Wysoki anonimowy budynek, wciśnięty pomiędzy dwa bardziej rzucające się w oczy gmachy. Na parterze jubiler przeprowadzający wyceny na zamówienie. Krótki korytarz zamknięty stalowymi drzwiami. Mari Saraszina wskazuje metalową płytkę. – To my – Junona. Zeus zamienił ją w łabędzia. – Płasa palcami po klawiaturze elektronicznego zamka. – A może to był byk? – Obserwuje nas kamera wideo. – Wiem, że dość drakońskie są te

rygory bezpieczeństwa, ale na liście naszych klientów znajdują się gwiazdy telewizji i tym podobne osoby. Nie uwierzyłbyś – Mari Saraszina przewraca oczami – do czego ci wstrętnei paparazzi gotowi są się posunąć, żeby tu zerknąć. Twój ojciec zweryfikował system bezpieczeństwa po tym, jak jakiś reporter przebrany za inspektora z ministerstwa zdrowia próbował dostać się do kartoteki naszego klienta. Ci ludzie to szakale.

Pijawki. Sfałszował dowód osobisty, tabliczkę z nazwiskiem, zabezpieczenia. Pani Kato, adwokat twojego ojca, w sądzie oczywiście go zniszczyła – aczkolwiek przy tobie, jak wnoszę, jej gwiazda blednie. Jest winda. Mari Saraszina naciska 9. – Pokój z widokiem. – Uśmiecha się uspokajająco. – Boisz się?

Kiwam głową, jestem tak podekscytowany, że w środku czuję pustkę. – Trochę.

Strzepuje kłaczek z mankietu. – To zupełnie naturalne. – Przechodzi na szept sceniczny – Twój ojciec boi się trzy razy bardziej. Ale – odpręż się. – Drzwi otwierają się na jaśniejącą białą salę przyjęć ozdobioną liliami, przesyconą antyseptycznym zapachem. Kanapy w drobne prążki, stoliki z grubego szkła, gobelin z łabędziami na jakiejś zagubionej rzece. Dwie ściany łagodnym łukiem przechodzą w sufit – subtelny zwój spirali ucha, w środku kostki. W tle szmer klimatyzacji i celtycka muzyka na harfę. Pani Saraszina wciska klawisz interkomu na biurku. – Panie doktorze? Gratulacje, to chłopiec! – Pokazuje mi w uśmiechu nieskazitelne zęby. – Mam go przysłać? – Słyszę chrobotanie jego głosu. Mari Saraszina śmieje się. – Świetnie, panie doktorze. Idzie. – Siada przed komputerem i wskazuje mi stalowe drzwi. – Śmiało, Eidzi. Twój ojciec czeka. – Ruszam, ale ustawienie czasu rzeczywistego pozostaje w pozycji „przerwa”. Mówię do niej: –

Dziękuję. – Robi minę, jakby chciała powiedzieć: „nie mówmy o tym”. Jeszcze tylko jedne drzwi – idę! Obracam gałkę – pokój, do którego prowadzą, jest hermetyczny. Drgnięciu stalowych drzwi towarzyszy charakterystyczne cmoknięcie.

Ręce wykręcone do tyłu, całym ciałem walę o ścianę, kopniak w nogi pozbawia mnie oparcia i ciężko uderzam zębami o zimną podłogę. Jedne ręce mnie rewidują, drugie unieruchamiają mi ramiona – pod kątem o wiele większym niż przewidziała natura – jakby chciały pobić rekord w zadawaniu bólu. Znowu jakuza.

Gdybym miał ukryty nóż, to sam bym się nim dźgnął, za to, że jestem taki głupi.

Znowu. Zastanawiam się, czy nie oddać dobrowolnie dyskietki Kozue Jamai, ale ta myśl wyskakuje mi z głowy, wykopana przez stopę wbity w moją kość ogonową.

Odwracają mnie błyskawicznie na plecy i stawiają w pozycji pionowej. W pierwszej chwili mam wrażenie, że znajduję się w scenografii jakiegoś dramatu ze sfer lekarskich. Wózek ze sprzętem medycznym, szafka z lekami, stół operacyjny.

Nieco dalej dziesięciu czy jedenastu ludzi stojących w cieniu – nienawidzę ich twarzy. Czuję zapach kiełbasy. Jakiś facet filmuje mnie ręczną kamerą i na wielkim ekranie widzę siebie. Po bokach mam dwóch facetów o ciałach kulomiotów olimpijczyków, którzy przytrzymują mnie za ramiona. Zbliżenie i kamera filmuje moją twarz pod różnymi kątami. – Światło! – rozlega się głos starszego człowieka i białość wypełnia mi oczy. Wloką mnie i sadzają. Kiedy odzyskuję wzrok, stwierdzam, że siedzę przy stoliku do kart. Obok mnie Mama-san i trzech facetów.

Opodal, na wyciągnięcie ręki, ekran z przyciemnionego szkła zajmujący prawie całą ścianę. Włącza się interkom i pomieszczenie

wypełnia głos Boga. – Ten żaloszny egzemplarz to on?

Mama–san spogląda na ekran. – To on.

– Nie miałem pojęcia – mówi Bóg – że Morinowi przypadły w udziale takie ciężkie czasy.

Teraz już wiem, że naprawdę mam kłopoty. – A facet, z którym rozmawiałem przez telefon? – pytam Mamy–san.

– Aktor. W ten sposób zaoszczędziliśmy sobie trudu sprowadzania cię siłą.

Próbuję z powrotem wziąć swoje życie we własne ręce i obrzucam spojrzeniem trzech facetów, którzy wraz ze mną siedzą przy stoliku. Ich postawa i twarze wskazują, że oni także znaleźli się tutaj wbrew swojej woli. Błyszczący od potu, tłuśny jak pączek astmatyk, gość, który nieustannie kurczy się, jakby miał dostać w twarz, i podstarzały facet, kiedyś najwyraźniej przystojny, oszpecony przez pionowe blizny biegnące od kącika ust, unieruchamiające jego twarz w parodii uśmiechu. Panowie Pączek, Kurcz i Śmich siedzą, wbijając nieruchome spojrzenia w stół.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj po to – zagaja Bóg – żebyście spłacili mi swoje długi.

Ponieważ trudno mi zwracać się do nieucieleśnionego głosu, więc zwracam się do Mamy–san:

– Jakie długi?

Bóg pierwszy śpieszy z odpowiedzią. – Poważne szkody w Paczinko Plutona.

Rekompensata za obroty handlowe utracone w dniu otwarcia. Dwa cadillaki.

Stracone premie ubezpieczeniowe, rachunki za sprząatanie i ogólne odszkodowania.

Pięćdziesiąt cztery miliony jenów.

– Ale to Morino spowodował te szkody.

– A ty – dopowiada Mama-san – jesteś ostatnim żyjącym zwolennikiem jego frakcji.

Robi mi się słabo. – Przecież wiecie, że nie byłem żadnym zwolennikiem.

Bóg grzmi przez głośniki: – Mamy twoją umowę! Podpisaną także twoją krwią!

Czy istnieje atrament, który by bardziej zobowiązywał?

Patrzę na przyciemnione szkło. – A ona? – Wskazuję na Mamę-san. – Była księżową Morina.

Na twarzy Mamy-san maluje się coś na kształt uśmiechu. – Ależ dziecko, ja byłam szpiegiem. A teraz zamknij się i słuchaj. Albo jeden z tych okropnych facetów chwyci skalpel i rozetnie ci język.

Zamykam się i słucham.

– Pan Tsuru wybrał was, swoich najbardziej beznadziejnych dłużników. Macie zagrać w karty. Gra jest prosta – trzech wygrywa, jeden przegrywa. Zwycięzcy opuszczają ten pokój jako wolni ludzie i nie są winni ani grosza. Przegrywający ofiaruje swoje organy potrzebującym pacjentom. Płuco – wlepia we mnie spojrzenie – siatkówkę i nerkę.

Wszyscy zgromadzeni zachowują się tak, jakby to było całkiem normalne.

– To znaczy mam powiedzieć – muszę zacząć ponownie, ponieważ za pierwszym razem nie wydobyłem z siebie głosu – to znaczy mam powiedzieć: jasne, świetnie, pohandlujmy moimi organami?

– Możesz się nie zgodzić.

– Ale?

– Ale wtedy przegrasz walkowerem.

– Nie zgódź się, chłopcze – szydzi Kurcz, który siedzi naprzeciwko mnie. – Trzymaj się swoich zasad.

Czuję zapach musztardy i keczupu. Żadnej logiki, która pozwoliłaby mi się temu przeciwstawić. – Gra?

Mama-san wyciąga talię kart. – Ciągnij! Losujemy kolejność tasowania. Asy najwyższe, kto wyciągnie najwyższą, tasuje pierwszy, pozostali gracze – zgodnie z ruchem wskazówek zegara, od tego, który zaczyna. Potem zaczynamy właściwą grę. W tym samym porządku wykładamy karty, aż pojawi się dama pik.

– Kogo wybierze – dorzucą Bóg – ten przegrywa. Czuję się tak, jakby mnie cofnęło do kręgielni.

– Czy to jego głos? – pytam Mamę-san. Struny głosowe mam suche jak pieprz. – Czy to pan Tsuru?

Kurcz klaszcze w dłonie ze złośliwą satysfakcją.

Ach, więc to Tsuru jest Bogiem. Bóg to Tsuru. Próbuję zyskać na czasie. – Przecież nawet ty – mówię do Mamy-san – musisz przyznać, że to szaleństwo.

Usta Mamy-san zwięzają się w ciasną szparkę. – Ja otrzymuję rozkazy od prezesa towarzystwa. Ty otrzymujesz rozkazy ode mnie. Ciągnij.

Ręce mam jak z kamienia. Walet pik.

Pan Pączek wyciąga dziesiątkę karo.

Kurcz ciągnie dwójkę trefl.

Śmich wyklada dziewiątkę pik.

– Chłopak tasuje pierwszy – odzywa się Tsuru zza przyciemnionej szyby.

Gracze wbijają we mnie wzrok.

Niezdarnie tasuję karty. To samo robią na ekranie ręce

kilkakrotnie większe od moich. Dziewięć razy, na szczęście.

Pan Pączek wyciera ręce o koszulę. Karty fruną z ręki do ręki jak w układzie gimnastycznym.

Kurcz trzema palcami wykonuje magiczny gest i ciągnie.

Śmich przekłada karty skrupulatnymi okrężnymi ruchami.

Mama-san przesuwa talię na środek stołu. Spoczywa tam zupełnie niewinnie.

Patrzę na nią, jakby to była bomba, bo też niczym innym nie jest. Czekam na wybuch, trzęsienie ziemi, wystrzał, okrzyk: „Gliny!”.

Słyszę skwierczenie kielbasek na grillu.

Ciężki oddech mężczyzn.

– Weź kartę z wierzchu – podpowiada łagodnie głos Tsuru – albo straż usunie ci powieki i nie zdołasz już zamknąć oczu, nawet mrugnąć.

Wykładam dziewiątkę karo.

Oddech pana Pączka świszczy, w miarę jak nasila się jego astma. Ciągnie asa trefl.

Kurcz trzykrotnie intonuje *Namu amida butsu* – ma buddyjskie wykształcenie – i dopiero potem błyskawicznie wysuwa rękę i porywa asa pik. – Dzięki ci – mówi.

Śmich jest najbardziej opanowany z nas wszystkich. Spokojnie wykłada siódmkę pik.

I znowu moja kolej. Czuję się tak, jakby Mijake zdalnie sterował Mijakem.

Widzę siebie na ekranie. Ja odpowiada spojrzeniem, nigdy nie przypuszczałem, że tak właśnie wyglądam. Moja ręka sięga...

W przyciemnionym szkle rozsuwają się wąskie drzwi i ze środka wyskakuje zabawny labrador – gryzie kielbasę i ślizga się na

wypolerowanym marmurze. – Przyprowadź ją! – krzyczy Tsuru, jego prawdziwy głos rozlega się u wejścia, tylko częściowo przechwycony przez mikrofony i głośniki. – Nie wolno jej biegać z pełnym żołądkiem! Ma delikatny układ trawienny! – Dwaj strażnicy w końcu odprowadzają psa do pana.

– Stanowimy telewizyjny obiad dla starego popaprańca – mruczy Śmich.

Wszystkie spojrzenia w sali ponownie kierują się w moją stronę. Coś uwiera mnie pod językiem.

Wykładam szóstkę kier.

Oblizuję przedramię, czuję smak soli i widzę maleńkiego czarnego owada.

Ręka pana Pączka zostawia plamę potu na filcu stolika. Trójka karo.

Kurcz modli się do Buddy i pstryknięciem wyklada dzokera. – Dzięki ci.

Śmich wzdycha i wyklada piątkę trefl.

Poszło dwanaście kart – z pięćdziesięciu dwóch, pięćdziesięciu czterech licząc dwa dzokery.

Wpatruję się w koszulkę leżącej na wierzchu karty, szukając jakiegoś rozwiązania i nagle widzę wlepione we mnie trapezowate oczy. Znam je.

Jak się żyje, mając tylko połowę narządów?

Nie, przecież Tsuru nigdy nie dopuści do tego, żeby ten, który przegra, odszedł wolno i opowiedział o wszystkim, pokazując na dowód blizny i ubytki. Można przyjąć, że szczęśliwi zwycięzcy będą milczeli, ale ten, kto przegra, musi przecież skończyć w taki sposób, jak syn Kozue Jamai.

W jaki sposób dostałem się tutaj?

Patrzę na ekranowego Mijake. On także nie zna odpowiedzi.

Mama-san otwiera usta, żeby mi pogrozić...

Wykładam kartę i napotykam spojrzenie czarnej damy patrzącej mi prosto w oczy.

Pokój chwieje się w posadach.

– Kurwa, no – odzywa się Kurcz – a już myślałem, że chłopak podłapał sukę, a nie jej siostrzyczkę.

– No, to ci chłopak.

O czym oni mówią? Śmich kiwa głową, wskazując leżący na stole mój wyrok śmierci. – Przyjrzyj się. To dama trefl, nie pik. Trefl.

– Muszę wziąć inhalator – odzywa się pan Pączek. Mama-san przyzwala kiwnięciem głowy i pan Pączek wydobywa urządzenie z kieszeni marynarki.

Odchyła głowę, wdycha strumień leku, przytrzymuje, wydycha. Potem wyklada damę pik.

Zapada milczenie.

Ekranowy pan Pączek poci się gorzej niż człowiek umierający na dzumę.

Ekranowy ja dygoce w torturze ulgi, poczucia winy i współczucia.

Mama-san odchrząkuje. – Pojawiła się pańska dama.

Głośnik milczy.

– Panie Tsuru? – Mama-san marszczy brwi, patrząc na przyciemnione szkło. – Pańska dama odezwała się.

Brak odpowiedzi.

Mama-san przechyła się i puka w szkło. – Proszę pana?

Strażnik marszczy nos. – Co on tam teraz pichci?

Drugi strażnik marszczy brwi. – To nie są kiełbaski...

Strażnik stojący najbliżej popycha drzwi i zagląda do środka. – Proszę pana? – Oddycha chrapliwie, jakby otrzymał cios karate i blokował go, napinając mięśnie brzucha. – Panie Tsuru! – Nie ruszając się z miejsca, odwraca się w naszą stronę, blady jak papier.

– No i? – dopytuje się Mama-san. Strażnik porusza szczękami, ale nic nie słychać.

– Co?

Przełyka ślinę. – Pan Tsuru usmażył sobie twarz na płycie piecyka. Następuje samoistny wybuch orgiastycznej teatralności. Zamknąć oczy, tylko tyle mogę zrobić.

– Panie Tsuru, panie Tsuru, panie Tsuru! Słyszysz mnie pan?

– Odciągnij mu głowę od palnika!

– Wyłącz gaz!

– Jego usta przywarły do metalu!

– Karetka, karetka, karetka, niech ktoś wezwie...

– Kurwa! Pękła mu gałka oczna!

– Wytrzymaj o swoją koszulę!

– Wywal stąd, kurwa, tego psa! Ktoś głośno wymiotuje.

Pies poszczekuje radośnie.

Mama-san przejeżdża po przyciemnionej szybie jakimś metalowym przedmiotem. Dźwięk nie do zniesienia – w sali cisza. Imponujące jest to jej opanowanie, zupełnie jakby dawno temu przygotowała scenariusz tego zdarzenia i tylko je próbowała. – Widowisko pana Tsuru zakończył deus ex machina. Wygląda na to, że podniecenie było zbyt silne i spowodowało drugi atak, a skoro nasz drogi przywódca postanowił wybrać los barbecue, to właściwie nie ma większego znaczenia, kiedy przyjedzie karetka. – Zwraca się teraz do dwóch z trzech starszych mężczyzn. – Mianuję się

tymczasowym szefem tej organizacji. Jesteście ze mną albo przeciwko mnie. Musicie się opowiedzieć. I to już.

Następuje chwila intensywnych kalkulacji.

Ludzie Mamy-san patrzą na nas. – A co z nimi zrobimy?

– Gry karciane nie należą już do strategii organizacji. Odprowadźcie ich do drzwi.

Uwierzę, że sprawy przybrały nowy obrót, dopiero gdy znajdę się za drzwiami i zacznę uciekać. Mama-san grozi nam na pożegnanie: – Jeżeli któryś z was pójdzie na policję i jakimś cudem przekona jakiegoś nowo mianowanego detektywa, że nie jest szaleńcem, to zapewniam, że, po pierwsze: zostanie profilaktycznie aresztowany; po drugie – w ciągu sześciu godzin dostanie kulę w łeb; po trzecie: jego długi przejdą na następnego w kolejności krewnego, a ja ze swej strony zapewniam, że jego życie zostanie zrujnowane. I to wszystko nastąpi w takiej właśnie kolejności. To żadna groźba, tylko standardowa procedura. Teraz potwierdźcie, że zrozumieliście.

Potwierdzamy skinieniem głowy.

– W biznesie jesteśmy od trzydziestu lat. Sami oceńcie, do czego jesteśmy zdolni, by chronić swoje interesy. A teraz wynocha stąd.

Kino nabite. Pary, studenci, trutnie. Jedyne wolne miejsca z przodu, ale tam ekran wisi nad samą głową. Właściwie wszystko w Tokio jest prawie nabite, nabite do końca albo tak, że aż się przewala. W recepcji ani śladu po Mari Saraszina. – Na waszym miejscu, chłopaki – powiedział strażnik, gdy zamknęły się drzwi windy – kupiłbym sobie, kurwa, bilet na loterii. – Miejsce obok mnie zajmuje dziewczyna – ręka jej chłopaka sunie ukradkiem po oparciu jej fotela. Winda ruszyła, powoli zjeżdżając w dół. Pan Pączek upuścił papierosy. Patrzyliśmy, jak leżą, tam gdzie upadły.

Pan Pączek zaczął się trząść – ze śmiechu, strachu czy z jakiegoś innego powodu – nikt z nas nie wiedział, dlaczego. Śmich przymknął oczy i odchylił głowę do tyłu. Ja wbiłem wzrok w migające cyfry coraz niższych pięter. Kurcz podniósł papierosa i zapalił. Brutalny ten film, tandetny i lipny. Gdyby ludzie, którzy wymyślają scenariusze epatujące przemocą, naprawdę zetknęli się z przemocą, wówczas odechciałoby im się opisywania takich scen. Drzwi windy otworzyły się i bez słowa zanurzyliśmy się w popołudniowym tłumie. Słoneczna pogoda zakrawała na jakiś wynaturzony kaprys. Doszedłem do miejsca, w którym uliczni aktorzy splatali balony, tworząc z nich krokodyle i żyrafy. Musiałem wbić sobie paznokcie w rękę, żeby powstrzymać się od płaczu. Film kończy się i publiczność przeciska się między rzędami. Ja zostaję i patrzę na napisy. Kierownicy planu, treserzy zwierząt, dostawcy żywności. Wchodzi publiczność na następny seans.

Oglądam film ponownie, aż wszystko zaczyna mi się zlewać. Po spotkaniu człowieka z balonami wałęsałem się w jak najgęstszym tłumie. Plułem sobie w brodę, że nie wyjechałem z Tokio ścigać Morina. Powinienem był wiedzieć. Z holu kina dzwonię do Ai, a gdy odzywa się, szybko odkładam słuchawkę. Pakuję się do metra, zamkniętej w okręgu linii Marunouchi, i siadam obok trutni. Szkoda, że nie jestem zwykłym trutniem. Stacje przesuwają się za oknem, przesuwają, przesuwają, a potem powtórka, i znowu. Tak bardzo przenika mnie strach, że chyba już nigdy nie zasnę.

Konduktor potrząsa mną delikatnie, chcąc mnie obudzić.

– Objechałeś trasę sześć razy, chłopcze, więc pomyślałem, że powinienem cię obudzić. – Dobrze mu patrzy z oczu i zazdroszczyę jego synowi.

– Jest noc czy jesteśmy w tunelu?

– Za piętnaście jedenasta, czwartek piątego. Wiesz, który mamy rok?

– Tak. To akurat wiem.

– Powinieneś pojechać do domu, póki pociągi kursują.

Chciałoby się. – Muszę jechać do pracy.

– A kim jesteś, rabusiem grobów?

– Nic tak egzotycznego... Dziękuję, że mnie pan obudził.

– Do usług.

Konduktor przechodzi dalej. Nad siedzeniami po przeciwnej stronie, za kołyszącymi się uchwytami, widnieje reklama internetowej firmy reklamowej: z komputerowego chipa wyrasta jabłoń, która owocuje chipami, z których wyrastają następne jabłonie, owocujące kolejnymi chipami tworząc las zarastający przestrzeń reklamową po obu stronach. Dopiero teraz dotarło do mnie, że każdą cząstką mózgu myślę o dyskietce Kozue Jamai i że świta mi niesamowity pomysł.

Nie śpię, intensywnie czuwam.

* * *

Wymykam się myślami z pizzerii Nero, bo też myśl jest mi tu niepotrzebna. Kiedy zjawiam się po czwartkowym starciu, Sacziko obrzuca mnie dziwnym spojrzeniem – wie o mojej sprzeczce z Ai – ale przecież nie mogę się tym gryźć.

Nie opuszcza mnie myśl o Eidżim Mijake sprzed dwudziestu czterech godzin, tym, który gania wte i wewte po tych swoich trzech metrach kwadratowych Tokio, wydając na świat swoje pizze. Szczęśliwy, zaślepiony cholerny idiota. Szkoda, że nie mogę go ostrzec. Wychyłam kieliszek dženki, żeby uchronić się przed skutkami bezsenności, i zabieram się do nadgania złożonych

zamówień. – Masz moją dziewiątkę karo, człowieku? – pyta Doi po powrocie. Zapomniałem. – Nie. Jutro. – Doi wiesz sobie. – Magia polega na wykorzystywaniu zbiegów okoliczności, człowieku. W tym życiu tylko zbiegi okoliczności są nieobliczalne. – Myję ręce i twarz. Ilekroć skrzypną drzwi, boję się, że to jakiś gangster przysłany przez Tsuru.

A gdy dzwoni telefon, boję się, że w drzwiach pojawi się Sacziko lub Tomomi i powie: – Telefon do ciebie, Mijake. Nie przedstawił się. – Doi jest dzisiaj nadzwyczaj gadatliwy – opowiada mi, jak zwolnili go z poprzedniej roboty. Był nocnym stróżem na wielopiętrowym cmentarzu, gdzie popioły zmarłych składa się w specjalnych przegródkach małych szafkowych świątyń. Wylali go za to, że puszczał własną muzykę zamiast taśm z buddyjskimi mantrami pogrzebowymi. – No pomyśl tylko, człowieku, co bym wybrał, gdyby to mnie zapakowali do skrzynki na wieczność? Jęki kapłana otwierającego kopertę z przesadnie wysokim rachunkiem telefonicznym czy złote lata rock'n'rolla? Nie ma dyskusji! I czułem, człowieku, te fluidy, ilekroć puszczałem taśmy Grateful Dead. – Doi przesuwa palcem wskazującym po gardle. Słyszę go, nie słuchając. Jego pizza gotowa do wyjazdu. Pakuję ją do kartonu i Doi odjeżdża. W radiu leci *I Heard It on the Grapevine* – zawily, ciężki kawałek. W drzwiach pojawia się Sacziko – Masz rozmowę z tajemniczą osobą na trzeciej linii!

– Ai?

– Nieeee...

– Kto?

– Powiedziała, że to osobista rozmowa. – Sacziko wychyla się, sięgając do telefonu w kuchni, włącza przycisk i podaje mi słuchawkę.

– Halo?

Rozmówca nie zgłasza się.

Ze strachu zaostrzam ton. Przecież nie jestem mu już ci nic winien!

– Jest druga w nocy, dzień dobry, czy może dobry wieczór, Eidzi? Nie jestem całkiem pewna. – Kobieta w średnim wieku, nie Mama-san. Jest podenerwowana tak jak ja, chyba.

– Zaraz, proszę mi powiedzieć, z kim mówię?

– To ja, Eidzi, twoja matka. Opieram się o ladę.

Tomomi przygląda mi się badawczo przez okienko. Zamykam je.

– To, yyy, niespodzianka. – Czy dostałeś moje listy? Brat powiedział mi, że przeadresował je do ciebie. Powiedział, że mieszkasz w Tokio.

– Tak.

Tak, dostałem twoje listy. Tylko że terapia, która zabliznia twoje rany, sprawia, że zarazem otwierają się moje.

– No... – zaczynamy w jednej chwili.

– Ty pierwszy – mówi.

– Nie, ty pierwsza.

Bierze głęboki oddech. – Pewien facet poprosił mnie o rękę.

Co mnie to obchodzi? – Ooo. – Tomomi uchyla drzwi. Zamykam je wściekle z trzaskiem. Mam nadzieję, że złamałem francy nos. – Gratulacje.

– Tak. Ten hotelarz z Nagano, o którym pisałam ci w ostatnim liście.

Hotelarz, ehe? Ładny chwyt. Zwłaszcza przy twojej przeszłości.

Dlaczego mi o tym mówisz?

Jakoś nigdy przedtem nie przyszło ci do głowy, żeby opowiedzieć nam o swoim życiu.

Przecież nigdy nie obchodziło cię, co sądzimy. Zwłaszcza na odległość.

Chcesz, żebym dla ciebie się ucieszył? Mam powiedzieć: „Jasne, mamo, świetna wiadomość!”? Niewiele brakuje, żebym odłożył słuchawkę, wybawiając nas oboje z pożałowania godnej sytuacji, ale w końcu odzywam się. – Skąd dzwonisz?

– Jestem z powrotem w klinice Mijazaki... picie, wiesz. Przez dłuższy czas było ze mną kiepsko. Dlatego właśnie... Ale teraz, hotelarz, właśnie, nazywa się Ota, mówi, że jak się pobierzemy, to moje problemy staną się też jego problemami i dlatego... chcę wyzdrowieć. Więc wróciłam.

– Rozumiem. To dobrze. Powodzenia. Pani Ota. Przeciętna, zamężna, szanowana. Jak komputer ZRESETOWANA. Nowy opiekun, nowy plik kart kredytowych, nowa szafa. Miło. Ale powiedz: dlaczego mówisz mi o tym?

Pan Ota nie wie o nas. Nie powiedziałaś mu. Chcesz się upewnić, że zgodzę się zachować dla siebie twoje małe brzydkie sekreciki. Mam rację?

– Eidzi, on bardzo chciałby cię poznać.

To miło ze strony pana Oty. Dlaczego niby miałbym chcieć poznać właściciela dochodowych hoteli?

Dwadzieścia lat, troszkę za późno, mamo, zabierasz się za odgrywanie roli troskliwej matki.

Prawda jest taka, że to ty mnie kiedyś unieszczęśliwiłaś i że próbujesz zrobić to po raz drugi.

Świetnie. Uporaj się z piciem, wyjdź za męża, żyj długo i szczęśliwie, ale mnie zostaw w spokoju. Ty znerwicowana, zachłanna, wiarołomna wiedźmo.

Otwiera się okienko – powiewająca biała flaga na długopisie –

na półce pojawia się niedosiężny kubek Doraemon Sacziko, emitujący cząsteczki kawy. Okienko zamyka się.

– Eidzi?

Didżej przerywa I Heard It on the Grapevine. Nie umiem wyjaśnić, nawet sobie samemu, dlaczego mówię to, co teraz mówię.

– Mamo, a gdybym, yyy... przyjechał odwiedzić cię jutro w Mijazaki?

Kończę wyjaśnienia i Sacziko kiwa głową. – Przeciwno takiej misji humanitarnej nic nie mam. Ale jako wyższy oficer w armii Nerona mam dla ciebie jeszcze jeden rozkaz: zanim wyjedziesz z Tokio, zadzwoń do mojej współmieszkankei.

– Czy ona, yyy, mówiła coś?

– Jej nastrój mogę określić na podstawie tego, co gra. Po twoim telefonie w zeszłym tygodniu Ai grała Szopena i inne przyjemne kawałki. Wczoraj wieczorem byłam skazana na słuchanie tych ciężkich agresywnych kawałków Erika Satiego skomponowanych specjalnie z myślą o wyeksmitowaniu sąsiadów.

– Wiesz, Sacziko, trochę jakby się zakałapućkałem.

– Ai to nie skowronek wesoło szczebioczący przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Życie jest krótkie, Mijake. Zadzwoń do niej.

– Nie wiem...

– Nie ma. Nie przyjmuję żadnego „nie wiem”. No już: „Wedle rozkazu, panno Sera”.

– Ja naprawdę...

– Zamknij się, albo nie zrobisz już w tym mieście żadnej pizzy.

– Wedle rozkazu, panno Sera.

– Tomomi mówi, że miałeś, człowieku, ciężkie posiedzenie... – W klatce zjawia się Doi z małym mikserem w garści. – Wiesz, w jaki sposób pacyfikuję wszystkie te ostre fluidy, człowieku?

Odwracam się. – Doi, to moja ostatnia noc. Miej litość.

– Żadne sztuczki, człowieku! Tylko magiczny antystresowy koktajl... – Czy robiłby mi to, gdyby wiedział, że zostałem z jedną kartą w garści i że po południu o mały włos nie straciłem połowy swoich narządów? Pewnie tak. – Najpierw truskawki! – Doi wsypuje do miksera owoce z koszyka. Naciąga na urządzenie czarny aksamitny kaptur i miksuje truskawki, nadając im płynną postać. Ściąga kaptur i zdejmuje wieczko. – Następnie pomidory! – Wrzuca trzy przejrzałe pomidory. – Pożywienie zawierające czerwony barwnik łagodzi fale stresu.

Zielone wzmacnia. Dlatego właśnie króliki i wegetarianie są tacy nerwowi... Co dalej? Sok malinowy... surowy tuńczyk... ziarna azuki... wszystkie najważniejsze grupy pożywienia. – Doi zakłada wieczko, kaptur i miesza. – I wreszcie na sam koniec, wspaniałe ukoronowanie... – Wykonuje efektowny gest i wyciąga z chusteczki papużkę falistą koloru różowego. Stworzenie trzepocze, mruga i świergocze. – No, wejdz, maleństwo! – Delikatnie wkłada ją do jaskrawej papkowatej cieczy. Zakłada wieczko i kaptur. Wiem, że to głupia sztuczka, więc nie chcę dać po sobie poznać, jakie to robi na mnie wrażenie. Doi trzyma mikser niżej, za półką stojącą między moim labiryntem a klatką, gdzie – chyba? – zamienia pojemniki, a potem potrząsa mikserem niczym barman w tak muzyki hawajskich gitar płynącej z radia.

– Doi! – W klatce zjawia się Sacziko z tabliczką do pisania.

Doi zrywa się i zmieszany odkłada to, czego trzymać nie powinien.

– Przykro mi, że ci się wtarabiam z tą nieznośną „roboczą” sprawą, ale...

– Cały czas w ramach przerwy, szefowo! Jeszcze trzy minuty!

Pokazuję Mijakemu napój ukojenia... – Podnosi mikser, nadal przykryty czarnym kapturem i przez następne trzydzieści sekund pracuje nad przekształceniem jego zawartości w płyn. Pokonana Sacziko siada. Doi zdejmuje kaptur, wieczko i z miejsca wypija ciecz o konsystencji zupy. – Pyyycha.

– Oooo... – Sacziko podnosi się i stawia mikser B, ale bez kaptura – wiedziałem!

– na półce. – Sam zrobiłeś tę papużkę? Wygląda jak prawdziwa. Z czego to? – Sacziko jest autentycznie pod wrażeniem.

– Szefowo! Zepsułaś mi numer!

– To nie rozrzucaj swoich rekwizytów po kuchni! – Nie nazywaj mojej Tutu rekwizytem! Papużki też mają uczucia, kapewu?

– Jak na prawdziwą papużkę Tutu nie jest za bardzo żywa. – Sacziko wyjmuje ptaka z czerwonej brei. Główka stworzenia odpada, wypuszczając chmurę białego proszku.

– Doi – pytam go – czy to jest dalszy ciąg sztuczki? Autentycznie przerażony Doi wytrzeszcza oczy. – Człowieku...

Karetka odwozi Doiego do szpitala na płukanie żołądka i szczepienia przeciwko wściekliczynie, więc zgłaszam się do rozwożenia pizz. Sacziko mówi, że to ona powinna, bo lepiej zna teren. Tomomi sama obsadza telefony. Przygotowuję i wkładam do kartonu „El Gringo” – gruby spód, gorgonzola, pikantne salami, pomidory i bazylię – tymczasem wraca Onizuka. Tomomi opowiada mu, co się przydarzyło Doi – już myślę, że Onizuka może zrezygnował ze swoich zasad i uśmiechnie się, ale niebezpieczeństwo mija i Onizuka powraca do swojego nieszczęsnego ja. Interes kręci się trochę słabiej. Do 7:30 zdążyłem już nauczyć się na pamięć streszczenia porannych wiadomości. Rozmowy handlowe, spotkania na szczycie, wizyty osobistości. W

ten właśnie sposób panuje się nad całymi populacjami – nie zatajać informacji, a ogłupiać nimi i zanudzać, tak żeby kogokolwiek przestały interesować. Piątek, 6 października, od rana pochmurnie, około południa 60% prawdopodobieństwo wystąpienia opadów, wieczorem – 90%.

Szoruję lady, licząc, że w ciągu najbliższych trzydziestu minut nie będzie żadnego zamówienia. Muszę obmyśleć sobie najtańszą trasę do Mijazaki. Zaglądam do piekła – sześć pizz posuwa się do przodu, promieniejąc aurą przeznaczenia. W radiu piosenka zatytułowana: „Czuję, jak ziemia porusza się pod stopami”. Radia i koty mają to do siebie, że robią swoje bez względu na to, czy ktoś jest obecny czy nie. Przeciwnie niż gitary, które po zamknięciu w futerale poniekąd przestają być gitarami. Sacziko na ladzie mojego labiryntu kładzie kopertę. – Wyłudziłam z podręcznej kasy, ale akurat tyle jest ci winien Neron.

– Przykro mi, że opuszczam cię w krytycznej chwili.

– No cóż, indeks giełdowy pójdzie w dół, jak tylko wieść się rozniesie, ale jakoś przez to przebrniemy. Może nawet sama wdzieję fartuszek, jeżeli biuro nikogo nie przyśle. Wiadomo. Zadzwoń do mnie po powrocie do Tokio – nie mogę obiecać, że utrzymam dla ciebie posadę w branży, ale mogę cię umieścić wszędzie, gdzie znajdzie się wolne miejsce.

– Dzięki, wiem, ile to znaczy.

– Nie wiesz jeszcze, jak długo cię nie będzie?

– Zależy... od wielu spraw. O ile zdołam pomóc matce w dojściu do siebie.

Wkładam kopertę do mojego wyposzczonego portfela.

– Zadzwoń do Ai. Nie chcę być tą osobą, która jej powie, że zwiąłeś z miasta.

– Nie wydaje mi się, żebym był w tej chwili kandydatem na faceta miesiąca.

– Ai nie obchodzą faceci miesiąca, idioto. Zadzwoń do niej.

Do okienka wciska się Tomomi. – Gdybyś tak zachował trochę sił na przygotowanie jeszcze jednej pizzy przed szczęśliwym połączeniem waszych rodzin, facet z Osugi i Bosugi zamówił swoją cotygodniową „Kamikaze”. – Tomomi kładzie z trzaskiem zamówienie na półce i znika. Patrzę nastroszony na Sacziko i czuję, że grunt usuwa mi się spod nóg. – Osugi i Bosugi? PanOpticon?

– Stałe zamówienie od początku świata. „Kamikaze” to pizza, do której nie ma instrukcji – powinniśmy się zebrać i ją wystawić. Tylko że nikt inny w Tokio nie jest w stanie jej przetrwać. Skórka z mozzarelli, banan, jaja przepiórcze, małże, atrament ośmiornicy.

– Nieposiekane chilli.

– Któryś z kucharzy mówił?

Dla mnie to cała tajemnica. – Zgaduję...

– Dzieło nie do zapomnienia. Tymczasem muszę iść i opisać wypadek Doiego. – Nie widzi więc wyrazu mojej twarzy, kiedy patrzę na karteczkę z zamówieniem.

Tekst zapisany przez Tomomi aż kłuje w oczy. Tsukijama, Osugi i Bosugi, PanOpticon.

Najpierw wybucham śmiechem, nie mogąc uwierzyć.

Potem zastanawiam się: kolejna pułapka.

Wreszcie myślę: to nie pułapka. Niezależnie od faktu, że nikt nie zna nazwiska mojego ojca, to przecież od śmierci Tsuru już nikt na mnie nie czyha. Zresztą Mama-san puściła mnie. To nie pułapka, a tokijska karciana sztuczka. Na czym polega? Przyjrzyjmy się jej faza po fazie. Pizzę „Kamikaze” znam, bo... tak, mam.

Przypominam sobie. Parę tygodni temu jakiemuś facetowi pomylił się numer i zadzwonił do mojej kapsuły, myśląc, że to pizzeria. On właśnie zamówił taką pizzę. Tym facetem był mój ojciec.

Reszta jest prosta. Ojciec nie jest klientem Akiko Kato – jest jej kolegą.

Z powodu Akiko Kato prowadziłem obserwację PanOpticonu z Jupiter Cafe.

W Jupiter Cafe poznałem Ai Imadzo.

Poprzez Ai Imadzo poznałem Sacziko Sera.

Za sprawą Sacziko Sera jestem u Nerona i przygotowuję pizzę dla ojca.

Koniec z błędzeniem, pochopnymi wnioskami i kłamstwami. Dla ojca byłem zaledwie sześćdziesięcioszekundową rozrywką. Potem już nikim. Teraz – tylko kłopotem. Ależ... głupi się czuję. Dekoruję jego pizzę. Jest tak obrzydliwa jak jej nazwa. Wkładam ją do piekła i obserwuję, jak czarna breja rozpala się pomarańczowym blaskiem. Dlaczego głupi? A nie „wściekły”? Ojciec wiedział, jak skontaktować się ze mną, od chwili gdy Akiko Kato otrzymała mój list. Morino, Tsuru, to wszystko... a wystarczyło, żeby dwa miesiące temu powiedział mi, że bym sobie poszedł. Byłbym pewnie zawiedziony, ale posłuchałbym. Tym razem to ja będę decydował o przebiegu zdarzeń. Nie wiem, co zrobię, jak stanę przed nim, ale skoro już Tokio odgrzebało spod ziemi tego człowieka, to zamierzam się z nim spotkać. Otwieram okienko. Ani śladu po Tomomi. Sacziko siedzi i gryzie pióro. – Jeżeli powiem, że ta dzika papużka sama z siebie wleciała do miksera, to mi uwierzą w biurze?

– Jeżeli tylko zechcą.

– Bardzo mi pomogłeś.

– Ale mogę za ciebie dostarczyć „Kamikaze”. Sacziko rzuca okiem na zegarek.

– Twoja zmiana kończy się za dwie minuty.

– PanOpticon mijam po drodze do Szindzuku.

– Jesteś dwunożnym błogosławieństwem, zesłanym przez niebo, Mijake.

Drzwi do PanOpticonu obracają się w nieustannym ruchu. W donicach z brązu stoją palmy. Jaskrawe czlekożerne orchidee patrzą na mnie, gdy je mijam.

Dziewięć identycznych skórzanych foteli czeka, aż ktoś zajmie w nich miejsce. Po wypolerowanej podłodze kuśtyka jednonogi mężczyzna o lasce. Guma piszczy, metal dzwoni. Za biurkiem siedzi puciołowaty ochroniarz, który wyrzucił mnie, gdy przed dwoma miesiącami próbowałem dotrzeć do Akiko Kato. Pod uchem ma rozmazaną piankę, pozostałość po goleniu. Ziewa na mój widok. – Tak, synu?

– Mam pizzę dla pana Tsukijamy w Osugi i Bosugi.

– Czyżby?

Podnoszę karton.

– „Nie ma obawy, zawsze jest Nero!”. Nie ma tam jakichś ładunków wybuchowych? Wy, międzynarodowi terroryści, lubicie szmuglować broń, wykorzystując do tego celu kartony z pizzą – mówi, najwyraźniej przekonany, że jest bardzo dowcipny.

– Jak chcesz, przepuść to przez skaner.

Macha pałką w stronę windy. – Wschodnia winda, dziewiąte piętro.

Recepcja Osugi i Bosugi wygląda na opuszczoną. Konsola ze stosem akt, rośliny ginące z braku słońca, monitor pozostawiony na pastwę wygaszacza – komputerowej twarzy, która zmienia nastrój,

od złości poprzez zdziwienie, zazdrość, radość, smutek i powraca do złości. Pomrukuje kserokopiarka. Dokąd mam iść? Nagle z sennego oparu wynurza się ludzka głowa. – Tak?

– Dzień dobry. Pizza dla pana Tsukijamy.

Kobieta wspina się ociężale na wyższy poziom świadomości, zakłada słuchawkę na ucho i naciska guzik na konsoli. Oczekując na odzew, zapala papierosa. – Proszę pana, z tej strony Momoe. Jest chłopak z pizzą na śniadanie.

Mam go przysłać, czy też jest pan jeszcze zajęty uzgadnianiem szczegółów z klientem? – Wciąga policzki, słuchając odpowiedzi mojego ojca. – Rozumiem, przyjęłam. – Zadziera kciuk do góry w stronę korytarza i zdejmuje słuchawkę. – Prosto, do końca w prawo. Pan Tsukijama pracuje na samym przodzie. I najpierw zapukać!

Zadeptany dywan, stary klimatyzator, ściany wymagające odświeżenia.

Otwierają się przede mną drzwi – i strzał – wychodzi Akiko Kato z koszykiem lotek. W jej uszach kołyszą się srebrne kolczyki w kształcie jeżowców.

Przechwytuje spojrzenie, jakie ukradkiem na nią rzucam, a ja przechwytyuję spojrzenie, jakie ona ukradkiem rzuca na mnie. Nie zatrzymuję się, przypomniawszy sobie, że jestem tu legalnie. Dochodzę do końca korytarza i omal nie wpadam na kobietę poprawiającą but. Jest w moim wieku. Nogi ma bardziej sexy niż Zizzi Hikaru. Czuję zapach perfum i wina. Dziewczyna odzyskuje równowagę i idzie tam, skąd ja przyszedłem. Przede mną już tylko jedne drzwi, uchylone – Daisuke Tsukijama. Wspólnik. W środku mężczyzna – chyba mój ojciec – rozmawiający przez telefon. Podsluchuję. – Kochanie, wiem! Reagujesz za bardzo emocjonalnie

– to ty – proszę, kochanie – posłuchaj mnie! Czy słuchasz? Dziękuję.

Musiałem zostać tutaj na noc, bo gdybym to scedował na podwładnych, oni by wszystko spieprzyli i wtedy dopiero musiałbym tu przesiedzieć parę nocy, żeby wyjść z syfu, a do tego mój wyruchany klient zwinąłby swoje konto i przeniósł się do jakiego pyszałka, a wtedy byłoby po premii i jak miałbym zapłacić za pieprzonego kucyka? Przestań – przestań, kochanie – tak, wiem, że wszyscy jej przyjaciele mają kucyki, ale tatusiowie jej przyjaciół są sędziami i mają więcej forsy niż, kurwa, Szwajcaria... Myślisz, że dla przyjemności przesiaduję tu po godzinach? Myślisz, że dla przyjemności – co? Co? O, o, o to, o to naprawdę chodzi w naszej rozmowie? Nawrót paranoi! Ze też to musiało przydarzyć się tobie, kochanie... Co? Nie zrobiłaś tego! Nie. Powiedz, że nie. A jednak. No niezła bomba na śniadanie. Prywatny detektyw. Ty durne kobieciątko. Jasne, prywatni detektywi opowiadają bzdury! Dlaczego? Bo chcą jeszcze raz na tym samym zarobić! Jestem taki wściekły – trzask szafek na akta – że nie mam siły na dalszą rozmowę. Na głowie mam firmę. A skoro masz tyle pieniędzy, żeby wyrzucać je na te gry, to po co ten pośpiech z wyprzedawaniem udziałów, które zostawił stary?

Tak, tobie też życzę miłego dnia. Kochanie. – Odkłada słuchawkę. – A najlepiej rzuć się z balkonu, kochanie.

Robię głęboki wdech... Może mnie rozpoznać...

Nie, nie może mnie rozpoznać, a ja mogę mu powiedzieć...

Nie może mnie rozpoznać, a ja nie mogę mu powiedzieć...

Pukam. Cisza. Potem pogodnie – Wejść! – poznaję ojca, jest taki jak na fotografii, którą dostałem od Morina. Leży na obszernej sofie w szlafroku. – Chłopak z pizzą! Podśłuchujesz, jak rozmawiam

przez telefon?

– Staralem się nie podsłuchiwać.

– Niech to będzie dla ciebie lekcją.

– Przykro mi, ja...

– Pamiętaj: taniej wychodzi utrzymanie dziwki w futrze niż konia w stajni.

– Trudno mi sobie wyobrazić, żebym kiedykolwiek musiał to sobie przypominać.

Ojciec szczyrzy zęby – w uśmiechu, który przydaje się do zdobywania tego, czego się pragnie – i przywołuje mnie ruchem ręki. W tle wspaniały widok na drapacze chmur, ale mnie pochłaniają teraz szczegóły. Włosy ojca, jakby trochę zbyt czarne. Stelaż na obuwie stojący w gabinecie. Na biurku zdjęcie przyrodniej siostrzyczki w roli łabędzia–baletnicy. Kształt jego dłoni. Ta wyprostowana sylwetka. Jego ciało jest chyba w lepszej kondycji niż jego firma – pewnie się gimnastykuje. – Ty nie jesteś Onizuka i nie jesteś Doi.

Nie, jestem synem twojej pierwszej kochanki. – Nie.

– Więc? – pyta wyczekująco ojciec. – Kim jesteś?

– Kucharzem.

– Aha! Więc to ty przygotowujesz mi te pyszne „Kamikaze”.

– Tylko w tym tygodniu. Pracuję dorywczo.

Kiwa głową, wskazując na karton z pizzą. – To założę się, że jeszcze nie miałeś okazji dostarczać czegoś takiego jak moja „Kamikaze”, mam rację?

Kładę karton na stoliku do kawy. – To nietypowa kombinacja.

– Nietypowa? Jedyna w swoim rodzaju! Czuję zapach perfum i wina.

Ojciec uśmiecha się, marszcząc zarazem brwi. – Czy nic ci nie

jest?

Albo teraz ci powiem, albo zniknę stąd na zawsze.

Szczerzy zęby w uśmiechu. – Wyglądasz tak, jakbyś miał noc tak samo długą i ciężką jak ja.

Ależ ci dobrze z sobą samym. – Do widzenia.

Zaskoczenie i udawana uraza. – Nie mam niczego podpisywać?

– A, tak. Tutaj, proszę...

Ojciec smaruje swój podpis na kwicie.

Rozwaliłbym ci czaszkę tym twoim golfowym trofeum.

Nawrzeszczałbym, a chce mi się płakać.

Chcę, żebyś wiedział. Ze wszystko przez ciebie, i cała krzywdą, i śmierć.

Zawłóklbym cię na dno morza, tam, między podnóże skały a kamiennego wieloryba.

– Halo00000! – Ojciec macha do mnie ręką. – Pytałem, czy Doi wraca w przyszłym tygodniu?

Przełykam ślinę, kiwam głową i zostawiam człowieka, którego już nigdy nie spotkam. Odwracam się jeszcze – przymyka oczy, wbijając zęby w czarny zakalec.

Przed PanOpticonem kupuję paczkę hope'ów, siadam na słupku i obserwuję ruch uliczny: sznur samochodów to nieruchomieje, to rusza. Dwadzieścia lat przełożone na dwadzieścia minut. Wypalam jednego, drugiego, trzeciego. Wiatr przewraca kartki w atlasie chmur. Wrony rozprawiają się ze stertą odpadków.

Tokio przemienia się w plugawą gumkę do mazania. Lato wybywa, nie zostawiając zastępczego adresu. Trutnie w Jupiter Cafe zajadają swoje śniadanka. Chcę zatrzymać jakiegoś przechodnia i opowiedzieć mu o minionych sześciu tygodniach, od czatowania pod PanOpticonem aż do mijającej właśnie chwili. Jak

się czuję?

Ooo, nie mogę zacząć. Ale, słuchaj, Andżu, dotrzymałem obietnicy. Szkoda, że Ai nie pracuje dzisiaj w Jupiter Cafe. Wjechałbym do środka na moim harleyu davidsonie, jak Richard Gere w filmie *Oficer i dżentelmen*, ona wsiadłaby i zniknęlibyśmy na ginącej w oddali drodze prowadzącej na północ. Obserwuję pieszych ruszających en masse, na komendę zielonego światła. Dołączam do nich.

Przechodzę ulicę Kita – czuję się rozczarowany, że ojciec okazał się dokładnie taki, jak zapowiadały wszelkie znaki na niebie i ziemi. Czekam na zielone światło.

Przechodzę przez aleję Omekaido – wstyd mi, że jego krew płynie w moich żyłach – i znowu czekam, aż zapali się zielone światło. Potem z powrotem przechodzę przez ulicę Kita – smutek ogarnia mnie na myśl, że znalazłem to, czego poszukiwałem, ale tego, co odnalazłem, już nie chcę. Czekam i z powrotem przechodzę przez aleję Omekaido. Czuję się wolny. Robię jedno, drugie, trzecie okrążenie. Mogę już iść. Słyszę swoje imię. Onizuka na skuterze z Nerona.

Hamuje. Nawet nie jestem zdziwiony, na zdziwienia zdążyłem się już uodpornić, może na zawsze. Nie wiem, czego chce, ale na wszelki wypadek nie odwracam się do niego plecami, gdyby na przykład chciał mnie dźgnąć nożem w nerki. – No chodź. – Podjeżdża i s pluwa. – Szukałem cię.

– No to znalazłeś.

– Widziałem, jak chodzisz w kółko.

– Nie w kółko. Raczej w kwadraty.

Bawi się ćwiekiem w wardze. – Chcę cię o coś zapytać.

Podchodzę do niego.

Wskazuje kciukiem na Nero. – Pyskata Tomomi mówi, że jedziesz do Mijazaki.

– Pyskata Tomomi ma rację.

– Twoja mama jest chora?

– Owszem, tak.

– Cienko ze szmałem?

Do czego on zmierza? – No, Bankiem Japońskim nie jestem.

– Mój ojczym prowadzi firmę transportową. Powiedział, że jeden z jego kierowców może podrzucić cię do Osaki, a stamtąd leci wóz do Fukuoki. – Onizuki żarty nigdy się nie trzymają i teraz też nie próbuje dowcipkować. Daje mi świstek papieru. – Mapka, adres, numer telefonu. Bądź tam przed południem.

Jestem tak zdziwiony – i wdzięczny – że nie mogę wydusić z siebie słowa.

Onizuka odjeżdża, zanim zdobywam się na jakiegokolwiek podziękowanie.

– Chcesz odwiedzić matkę w Mijazaki, ale nie masz pewności, kiedy wrócisz – oznajmia Buntaro, gdy wchodzę do Mknącej Gwiazdy. Mój gospodarz zwija gazetę z ogłoszeniami o nieruchomościach na Okinawie. – Gdybym tak mógł powiedzieć „Nie!”, chłopcze! Moja własna matka zamordowałaby mnie. Zgoda, moja żona zajmie się kotem. Jak za dawnych czasów. Czysz masz zapłacony do końca października, a twój depozyt wystarczy na listopad, chyba że potrzebujesz i chcesz, żebym ci zwrócił, a w takim razie pieniądze prześlę ci na konto, popakuję twoje rzeczy i zamknę w magazynie. Zadzwoń do mnie z Mijazaki, kiedy będziesz wiedział, co dalej. Mknąca Gwiazda donikąd nie wyrusza. Moja żona przygotowała ci drugie śniadanie. – Pociera swój złoty ząb, a ja uświadamiam sobie, że to jest jego talizman. – No to już – mówi.

– Pakuj się! – Kapsuła wygląda dokładnie tak, jak ją zostawiłem przed dwudziestoma godzinami. Skarpetki, kartony z jogurtem, zmięte poduszki. Dziwne. Kotki nie ma, a na okiennym gzymsie wyczekuje Karaluch. Biorę śmiertcionośny spray, podkradam się – Karaluch ani drgnie. Śni na jawie czy co? Drażnię go, szturchając kantem opakowania po ciastkach. Jest martwy. Jak łupina.

Onizuka Transjapan Ltd znajduje się blisko stacji Takaszimadaira przy linii Toei Mita. Wchodzę przez bramę na ogrodzony murem dziedziniec z wnęką załadunkową, w której stoją trzy średnie ciężarówki. Jest dopiero jedenasta. Idę z powrotem na stację, gdzie znajduje się olbrzymi sklep z elektroniką. W środku zimno jak w lutym przed świtem. Dwie identycznie wyglądające recepcjonistki przy stanowisku informacji dźwięczą swoim: „Dzień dobry” w tak idealnej zgodzie, że sam nie wiem, do której się odezwać. – Przepraszam, na którym piętrze komputery?

– Podziemie, trzecie piętro – odpowiada Panna z Lewej.

– Czy mógłbym zostawić u pań plecak?

– Ależ oczywiście – odpowiada Panna z Prawej.

Płynę schodami na dół. Wraz ze mną zstępują na dół dusze klientów. Wokół draperie z połyskującymi klonowymi liśćmi zapowiadającymi nadejście jesieni.

Miniaturowe telewizory, przestrzenne stereo, inteligentne mikrofalówki, kamery cyfrowe, telefony komórkowe, jonizujące zamrażarki, grzejniki likwidujące wilgoć, elektryczne pledy, fotele masujące, podgrzewane stelaże na naczynia, drukarki o 256 kolorach. Napisy na schodach ostrzegają mnie, bym nie stawał na żółtych liniach, namawiają do pomagania dzieciom i osobom w podeszłym wieku oraz zachęcają do kupowania towarów najwyższej jakości. Towary na półkach obserwują, jak je oglądamy. Ani

jednego okna. W dziale komputerów wita mnie jakiś poskromiony Suga w krawacie ze spinką. Jego skóra błyszczy, jakby była pokryta błoną. Ciekawe, może mają tutaj oświetlenie emitujące witaminę B, które ma rekompensować całkowity brak naturalnego światła. – Sprawia pan wrażenie osoby, która już podjęła decyzję!

– Tak, chciałbym trochę doposażyć jeden z moich pecetów.

– Cóż, zapewniam, że mamy dla pana oszałamiający wybór. Jaką kwotę chce pan przeznaczyć?

– Yyy... Mam do przepuszczenia grant badawczy. Mam modem jak z dwudziestego piątego wieku i potrzebuję sprzętu, który by do niego pasował.

– Nie ma problemu. Co to za modem?

Przesadziłem. – Yyy... naprawdę bardzo szybki.

– Tak, proszę pana, ale jaki?

– Yyy, Suga Modem. Saratoga Instruments.

Facet blefuje: – Bbbardzo finezyjny sprzęt. Na którym uniwersytecie pan pracuje?

– Yyy, Uaseda.

Posłużyłem się magicznym słowem. Tamten wyciąga swoją kartę wizytową i kłania się tak nisko, że mógłby mi językiem wyczyścić buty. – Fudżimoto – do pana usług. Realizujemy program zniżek akademickich. W takim razie proszę się tym pobawić, a jeżeli będę mógł w czymś pomóc, to proszę zawołać.

– Dobrze.

Udaję, że czytam opisy techniczne nowych urządzeń, zbieram plik broszur i decyduję się zasiąść przy jednym z komputerów. Klikam, wchodzę do Internetu i odnajduję stronę Tokijskiej Policji Stołecznej. Zapisuję sobie na dłoni. Rozglądam się, mając nadzieję, że nie podgląda mnie jakaś ukryta kamera. Załadowuję dysk Sugi.

Serdecznie witamy w programie wirusa pocztowego! Okazuje się, że Suga wymyślił wirusa, który jest bardziej przyjazny dla użytkownika od samego Sugi.

Czy wiadomość chcesz wpisać przy pomocy klawiatury, czy załadować ją z dyskietki? Naciskam D. OK. *Włóż dyskietkę i naciśnij ENTER.* Wyjmuję dyskietkę Sugi, wkładam tę, którą otrzymałem od Kozue Jamai i naciskam Enter.

Program wirusa zaczyna działać. Dyskietka bzyczy, mruga dioda. OK. Teraz wpisz adres szczęśliwego odbiorcy. Wklepuję spisany na dłoni adres strony policyjnej.

Naciśnij ENTER, żeby przykleić znaczek! Cursor pulsuje, ja czekam z uniesionym palcem – mnożą się konsekwencje naciśnięcia tego klawisza – i klikam. Teraz już za późno na zmianę decyzji. *Doręczyciel dostarcza twój list do pierwotnego adresata...* Trzask. *Doręczyciel preadresowuje twój list do adresatów drugiej generacji...* Krótka przerwa. *Trzecia generacja adresatów...* Długa przerwa. *Czwarta generacja [ziewam].* Ekran pustoszeje. *Doręczyciel będzie kontynuował do 99 generacji.* Wiadomość przewija się w trybie off–screen. *Wyloguj się/ opuść miejsce zbrodni/ więcej jak diabli.* Pibip. Pa–pa. Pa–pa, Suga. Wyjmuję dyskietkę pani Jamai i wkładam do kieszeni w koszuli. Jestem roznosicielem zarazy. Ale tym razem jest to zaraza, która może przynieść ozdrowienie. – Przepraszam – podchodzi starszy ekspedient. – Co właściwie załadował pan do naszego systemu? – Staram się wymyśleć jakieś prawdopodobne wyjaśnienie, lecz bezskutecznie. – No cóż, ciążyło na mnie moralne zobowiązanie i musiałem upowszechnić informację na temat zorganizowanych działań jakuzy, która porywa ludzi, ćwiartuje ich i handluje ich narządami. Wydawało mi się, że najbezpieczniej doprowadzę do ich

demaskacji za pośrednictwem waszego komputera. Mam nadzieję, że wszystko w porządku? – Sprzedawca kiwa poważnie głową, zastanawiając się, czy jestem w nieszkodliwej fazie obłądu, czy też zacznę zaraz wywijać nożem. – Cieszę się, że mogliśmy panu pomóc. – Składamy sobie nawzajem podziękowania, kłaniamy się sobie, po czym w jednej chwili znikam w windzie. Z informacji odbieram swój plecak i przez nikogo nie niepokojony wychodzę na zewnątrz, gdzie zanurzam się w gorących oparach zatkanego przez korki miasta. Do najbliższej studzienki wrzucam obie dyskietki. Z budki w pobliżu Onizuka Transjapan próbuję dodzwonić się do Ai, najpierw do domu, potem na komórkę, ale bez skutku. Za kwadrans południe. Lepiej może już poszukam ojczyma Onizuki i przedstawię mu się. Jestem tak wypluty, że nic już nie wydaje mi się rzeczywiste.

Osiem MOWĄ GÓR JEST DESZCZ

Idę zatłoczonym pasażem handlowym w śródmieściu Tokio i kopię piłkę. Nie ma obleganych miejsc z wysmakowanymi rzeczami, sklepy chylą się ku upadkowi, masowo wyprzedają bluzy sprzed lat trzydziestu i kiepski sprzęt sportowy.

Przejrzyste grudki z meduzami ze starożytnych mórz. Jakim sposobem i kiedy wszedłem w posiadanie piłki, nie umiem powiedzieć, ale mam ją – przekleństwo, a nie błogosławieństwo, ponieważ w Japonii bramki przeciwnika mogą kryć się gdziekolwiek. Jeżeli podniosę piłkę, sędzia obetnie mi ręce zardzewiałymi nożycami. Jeżeli stracę piłkę, już do końca swoich dni będę opluwany przez szkolną dzieciarnię i gryziony przez psy. Choć piłkarze należą do wybranych, to sami nie wybierają. Muszę znaleźć bramki przeciwnika i wbić piłkę. W strumieniu amatorów zakupów wirują znajome twarze – sprzedawca ze sklepu muzycznego w Kagoszimie, sekretarka mojego ojca, fryzjer Gendzi tnący powietrze palcami jak nożycami – ale wiem, że wystarczy moment dekoncentracji i zawodnik przeciwnika z miejsca przejmie piłkę. Deptak zanurza się w bagnistą mgłę i powietrze oziębia się. Z góry spada meduza. Ginie. Brnę przez zwały ich szklistych ciał, odbijając kolanami piłkę, której ruchom towarzyszą lepkie siorbnięcia. Wiem, że nieprzyjaciel śledzi mnie na radarach dostarczonych przez nazistowskie Niemcy, ale dlaczego pozwolił mi przeniknąć na swoje terytorium? Jest i Claude Debussy – spaceruje po grząskim terenie w śniegowcach. – W posiadaniu, Monsieur Mijake?

Fantastiquel – mówi i dodaje scenicznym szeptem: – Mam dla pana sprawdzoną wiadomość od pańskiego dziadka stryjecznego. Ktoś z naszej drużyny okazał się zdrajcą! Niech pan nikomu nie ufa, nawet mnie!

– Buntaro?

– Macziko–san?

Porzucona przed laty Mknąca Gwiazda. Zwisające tandetne plakaty tu i ówdzie poprzipinane szpilkami. Rygluję za sobą drzwi – zbawienna przezorność, widzę zrzucających maski zawodników przeciwnika gromadzących się na chodniku. To dlatego przeciwnik postanowił ukryć swoje bramki w mojej kapsule – ze względu na stan zaniedbanej wypożyczalni. Spycham piłkę za ladę i nagle wyrasta przede mną problem schodów, które są dziewięć razy wyższe, niż myślałem. Wykopuję na nie piłkę, ale ta odbija się i wraca. Tymczasem przeciwnik taranuje okno przy pomocy drewnianego posągu boga śmiechu – szkło ugina się pod naciskiem, ale nie pęka. Pakuję piłkę między stopy i jak gad wślizguję się stopień po stopniu na górę.

I jestem już prawie na samej górze, gdy słyszę dźwięk rozbijanego szkła. Jeśli spróbuję wpełzać szybciej, piłka wymsknie mi się i potoczy do tamtych. Ryk drużyny przeciwnej – transmisja w radiu kierowcy – jestem już na najwyższym stopniu – tamci rozwijają atak pod górę – blokuję kławkę kijami bilardowymi.

Moja kapsuła to ponury magazyn, w którym nie ma już nic prócz budowlanego gruzu.

Przede mną miejsce mojej chwały – bramka przeciwnika.

Pan Ikeda wrzeszczy mi do ucha: – Coś ty zrobił?

Odwracam się, stając twarzą w twarz z ojcem. – Wreszcie zdobyłem gola.

– To nasza bramka, a nie ich! Zdrajco! Wskazałeś im drogę!
Kije bilardowe trzaskają, rozpadając się w drzazgi.

* * *

Ogr szarpie mnie za kolano, przytrzymując drugą ręką kierownicę. – Coś ci się śniło, synu. Coś mamrotałeś. – Jest ogrem ponurym. Rozglądam się wokół, żadnych wskazówek. Kabinę samochodu ozdabiają amulety ze świątyń i kaplic. Każde z wielkich jak bile oczu kierowcy patrzy w inną stronę. – Co ty tam mamrotałeś? Nic nie rozumiem. To w ogóle nie miało sensu. – Naraz powrócił do mnie Eidzi Mijake razem z ostatnimi siedmioma tygodniami. – Żadnego sensu, to znaczy w żadnym ze znanych języków – ciągnie dalej Ogr, nazywa się chyba Honda, ale nie jestem pewien, a na sprawdzanie jest za późno. Czuję dziwną lekkość. Rano spotkałem ojca. Poczucie przegranej, ale i zwycięstwa, a nade wszystko wolności. I teraz, gdy zmierzam w stronę Mijazaki na spotkanie z matką, po raz pierwszy od sześciu lat następuje kompletny zwrot w porządku moich wyobrażeń. Zmierzam z prędkością mniejszą niż 5 km/h. Cztery pasma ruchu, a my pełzniemy w ślimaczym tempie. Zegar na desce rozdzielczej mruży 16:47. Spałem ponad trzy godziny, ale nadal czuję silny dryf na krawędzi snu. Jeżeli wirus spisuje się tak, jak zachwalał Suga, to plik Kozue Jamai dotarł już pod każdy adres e-mailowy, jaki znajduje się w książce adresowej każdego adresu figurującego w książce adresowej każdego adresu figurującego w książce adresowej, i tak dalej, powielony w dziewięćdziesięciu dziewięciu generacjach. A to w sumie daje... chyba więcej komputerów, niż jest w całej Japonii, z góry uchylając wszelkie możliwości zatuszowania sprawy. Zresztą, to i tak już wymknęło mi się spod kontroli. – I ni

stąd, ni zowąd mijamy Hadano – mówi Ogr. – Radio kierowcy podaje, że dziesięć kliknięć przed nami, na naszej jezdni wywróciła się cysterna z mlekiem. – Znikły miejskie zabudowania Tokio, przechodząc w obszary układających się mozaikami pól ryżowych. – Jak jest ładny dzień – mówi Ogr – wtedy tam na prawo widać górę Fudzi – tymczasem mżawka spowija widzialny świat. Krople deszczu rozpryskują się gwiazdami na szybie, przechodząc w supernowe, zmiotane w co dziewiątym uderzeniu wycieraczek.

Radio mamrocze. Opony toczą się z sykiem po drodze ekspresowej Tomei.

Mikrobus dla niepełnosprawnych pełen dzieciaków mija nas na wewnętrznym pasie. Dzieciaki machają. Ogr błyska reflektorami i dzieciarnia szaleje. Ogr chichocze. – Ciekawe, co każe dzieciakom zachowywać się w ten sposób? Nie ja.

Dziwne stworzenia z tych dzieciaków. – Migają rzędy szklarni. Czuję, że powinienem podtrzymywać rozmowę w ramach zapłaty za podróż, ale kiedy rozpoczynam zdanie, ziewnięcie rozdziera mi paszczę. – Ma pan dzieci?

– Gdzie tam, nie ja. Ja i małżeństwo, za nic w świecie. Tirowcy w każdym porcie mają dziewczynę. A w każdym razie tak mówią. Ale ja? – Ogr ma coś za uszami, ale niegrzecznie byłoby go podpytywać. – Papierosa? – Podsuwa mi paczkę cabinów i już mam zapalić, gdy nagle przypominam sobie. – Przepraszam, obiecałem przyjaciółce, że rzucę. – Zapalam więc Ogrowi, a sam próbuję uwędzić głód w dymie. Samochody z wolna ruszają. Ogr zaciąga się, przechyla się przez olbrzymią kierownicę i strzepuje popiół. – Też kiedyś miałem twoje lata, aż trudno uwierzyć. Złapałem robotę na wielgachnych cysternach Shella w Szoua. Jakich wielgachnych? No wielgachnych. Wydział przewozów miał własny stacjonarny

program szkoleniowy – takie dzieciaki to nie to co typowy silnik – łapiesz?

Sypialnie mieliśmy w byłych koszarach za Jamagatą. Ponure miejsce, jeszcze w marcu mróz i deszcz ze śniegiem. Czternastu chłopaków, długi wspólny korytarz z maleńkimi przepierzeniami dla każdego, wyobrażasz sobie? – Trę oczy.

Wyprzedzamy dzieciaki w mikrobusie. Przyciskają twarze do szyb i robią małpie miny. Przychodzą mi na myśl ludzie tonący w okrętach podwodnych. – No, a ja nigdy wcześniej nie lunatykowałem. Gdzie tam. Dopiero tej pierwszej nocy w Jamagacie. Żebym tylko chodził. No więc, powiedzmy, że śni mi się, że chodzę sobie po moim rodzinnym mieście: idę korytarzem i powtarzam: – Dzień dobry.

Ładna pogoda. Dzień dobry. – Jakbym śnił, że jestem sławnym artystą, a po przebudzeniu okazuje się, że lustra są upačkane pastą do zębów. Ale to było zupełnie nieszkodliwe. Zawsze po sobie sprzątałem. Kursanci uważali, że jest się z czego pośmiać. Nigdy mnie nie budzili, bo wiadomo: „Lunatyka się nie budzi”, choć nie wiadomo, dlaczego. – Radio wariuje. Ogr próbuje ponownie je nastroić. – Ale ja dowiedziałem się, dlaczego – to było najgorsze sześćdziesiąt sekund w moim życiu. W jednej chwili spaceruję sobie w upalny dzień po zacienionym rynku jakiegoś miasta w Chinach, a już w następnej obskakuje mnie dwóch krzyczących facetów – dwóch innych chwyta mnie za ręce, dwóch następnych na siłę odgina mi palce. A co trzymałem? Topór. Zabrałem z kantyny. Topór jak cholera, taki, którym się rąbie zamrożone tusze. I tak szedłem od przepierzenia do przepierzenia, budząc moich współkursantów klepieniem w głowę. – Przed nami na szosie w zapadającym z wolna zmierzchu błyskają światła karetki. Srebrna

cysterna leży na boku – kabina zmiażdżona i porozrywana. Ekipa stawia maszynę przy pomocy wciągarki. Kontrolerzy ruchu sygnalizują zwężenie jezdni – z trzech pasów do jednego. Mają na sobie odblaskowe kurtki i machają jarzącymi się pałkami. Część z nich oczyszcza jezdnię, polewając ją z węży. Ogr gładzi amulet: – Taki ten świat się wydaje twardy jak skała. A potem nagle wstrząs, szarpnięcie i wszystko się ulatnia. – Samochody suną sznurem przez zwężający się jak szyjka butelki przesmyk. Ogr sięga po omacku po paczkę swoich cabinów. – Masz zapalniczkę? – Zapalam mu, zastanawiając się, czy to już koniec opowieści. – Sen miałem taki.

Chiny, upał, że aż praży. Przechodziłem przez targ arbuzowy. Słodkie, rozpływające się w ustach arbuzy. Za takiego sprzedałbym duszę. Słyszę, jak matka szepcze mi do ucha: – Uważaj, synu! Chcą ci sprzedać zepsuty owoc! – Patrzę, a w pyle na drodze leży coś, co przyciąga moją uwagę – sztylet, z takich, co to wykopują je archeologowie. Idę od straganu do straganu i stukam w te arbuzy ostrzem sztyletu. Na podstawie odgłosu oceniałem, czy miąższ jest zepsuty czy zdrowy. Wiedziałem: pierwszego dobrego arbuza rozłupię na pół i z miejsca zjem.

– Mijamy przesmyk i Ogr zaczyna rozpędzać maszynę, wrzucając coraz wyższe biegi. – Leczenie powstrzymuje lunatykowanie. Jestem nieobliczalny. A to ma wpływ na moją licencję, tak że odpadają robótki łączone i niebezpieczne ładunki.

A żona? A dzieciaki? Także się boję, co mógłbym im kiedy zrobić, gdyby znowu się zaczęło. Tak więc widzisz... – Ogr zaciąga się, wysysając z papierosa cały żywot. – Uważaj na to, co ci się śni.

– Naukowcy nazywają to Efektem Ai Imadzo. – Słysząc ją tak wyraźnie, jakby była w sąsiednim pokoju. – Najświetniejsze

umysły w dziedzinie psychologii poświęciły tej tajemnicy swoje najlepsze przedsięwzięcia, ale rezultaty nadal są nieprzekonywające. Dlaczego, ach dlaczego tak jest, że gdy tylko przygotuję facetowi posiłek, to on od razu wskakuje do najbliższej ciężarówki i wyjeżdża z Tokio?

Nie spodziewałem się żartu. – Próbowałem dodzwonić się do ciebie dzisiaj rano.

– To wygodne zwałać winę za zmiany nastroju na moją starą przyjaciółkę cukrzycę, ale tak naprawdę muszę obwinić siebie.

– Nie ma mowy, Ai, byłem...

– Zamknij się. Nie. To moja wina.

– Ale...

– Przyjmij moje przeprosiny albo koniec z przyjaźnią. Ze też akurat mnie przyszło do głowy pouczać cię, jak masz się zachować w stosunku do swojej matki.

– Ale miałaś rację. Matka zadzwoniła do mnie z Mijazaki. Wczoraj w nocy.

– Sacziko mówiła. To dobrze, ale to, że mam rację, wcale nie usprawiedliwia prawienia ci kazań. Tak czy inaczej. Siedzę na taborecie do gry i lakieruję sobie paznokcie u stóp. A gdzie ty jesteś, mój zbiegu?

– Właśnie jestem przed kawiarnią dla tirów, która się nazywa „U Okaczana”, gdzie żywcem pożerają mnie moskity.

– Kawiarni „U Okaczana” są tysiące.

– Ta jest między, yyy, nigdzie a... nigdzie.

– Pewnie Dżifu.

– Chyba właśnie tak. Wysadził mnie tu jeden tirowiec, ale wcześniej zadzwonił do swojego koleżki, który ma ksywkę Anioł Morski, żeby mnie zgarnął, kiedy będzie tędy przejeżdżał w drodze

do Fukuoki. Ale zanim to zrobi, ma jeszcze walkę na pięści z nieuczciwym stacyjnikiem benzynowym, który wysunął niestosowne sugestie pod adresem jego żony.

– Oby wyszedł z tego bez szwanku. Biedny Mijake – utknął w kiepskim filmie o kierowcach ciężarówek.

– To nie jest najszybsza droga do Kiusiu, ale za to najtańsza. Mam wiadomość.

– Jaką?

– Odstaw lakier. Nie chcę, żebyś poplamiała taboret.

– A co?

– Przez dziewięć minionych lat dorastałem w najspokojniejszej wsi na najspokojniejszej wyspie w najspokojniejszej prefekturze w Japonii. Nie działo się nic. Dzieciaki wszędzie tak mówią, ale na Jakuszimie tak naprawdę jest. Odkąd widziałem cię po raz ostatni, zdarzyło się wszystko to, co nie zdarzało się wcześniej. Przeżyłem najdziwniejszy dzień w swoim życiu. A kiedy powiem ci, kogo spotkałem dzisiaj rano...

– Wygląda na to, że powinnam do ciebie oddzwonić. Podaj mi numer.

* * *

– Eidzi! – Siedzi na wysokim parapecie, oplatając ramionami kolana. Cienie bambusowych zarośli kołyszą się na macie i spłowiałej fusumie. – Eidzi! Chodź szybko! – Wstaję i podchodzę do okna. Sieć pajęcza z nici do czyszczenia zębów. Z okna domu babki widzę park Ueno, ale nikogo już nie ma. Jest jednak Andżu, klęcząca przed wrakiem prastarego cedru. Wychodzę. Słoneczny latawiec Andżu zaplątał się w najwyższych konarach. Lśni ciemnym złotem. Andżu jest zrozpaczona. – Popatrz! Mój latawiec

utknął!

– Klękam obok niej – nie mogę znieść widoku łez w jej oczach – i staram się ją pocieszyć. – Dlaczego nie uwolnisz go? Przecież fantastycznie wspinasz się po drzewach! – Andżu zdobywa się na jedno z wyuczonych ostatnio westchnień. – Cukrzyca, mądralo, nie pamiętasz? – Pokazuje w dół, na nogi podziurawione strzykawkami, kroplówkami i narzędziami tortur. – Uwolnij go, Eidzi, zrób to dla mnie! – Zaczynam więc wspinać się – wbijam palce w korę gada. W odległej dolinie beczą owce. Znajduję parę porzuconych skarpetek, brudnych, że skaranie.

Po życiu nastaje mrok, wieją wiatry, przylatują wrony w poszukiwaniu wygodnych miejsc. Boję się, żeby latawiec nie podziurawił się i nie podarł, zanim do niego dotrę. Jak go odszukać w tej nawałnicy liści? Po kilku minutach znajduję go na szczycie konaru. Mężczyzna, który nadal nie ma twarzy. – Dlaczego wspinasz się na moje drzewo? – pyta.

– Szukałem latawca siostry – wyjaśniam. Marszczy brwi. – To uganianie się za latawcami jest ważniejsze od opiekowania się własną siostrą?

Naraz dociera do mnie, że zostawiłem Andżu samą – na ile dni? – w domu naszej babki i nawet nie pomyślałem o jedzeniu czy wodzie. Kto jej otworzy puszkę z obiadem? Jeszcze bardziej się niepokoję, gdy widzę, w jak opłakanym stanie znajduje się teraz to miejsce – spod okapu wyrastają krzaki; jeszcze jedna surowa zima i dom runie. Czy to naprawdę dziewięć lat? Gałka w pozbawionych zamka drzwiach obraca się bezużytecznie – gdy pukam, cała framuga wpada do środka. Za krokwiemi przemykają cienie kotów. W mojej kapsule widzę futerał na gitarę. W futerale jest Andżu. Nie może od środka otworzyć awaryjnych luków, a powietrze jej się

kończy – słyszę, że dobija się rozpaczliwie, próbuje, szarpie, ale zamki są tak strasznie zardzewiałe...

* * *

– I obudziłem się, a wszystko było snem – światła deski rozdzielczej oświetlają Anioła Morskiego, skóra i siatkowy podkoszulek. Rechetliwy śmiech na trzy–cztery. Chyba nikt nie ma takich gumowych warg jak on. Jestem już w kolejnej ciężarówce przecinającej dżdżystą hiperprzestrzeń. Znaki drogowe przelatują z prędkością światła – droga ekspresowa Meiszin, zjazd do Otsu 9 km. Zegar na desce wyświetla 21:09. – Sny, niesamowita sprawa – mówi Anioł. – Opowiadał ci Honda o swoim lunatykowaniu? Ale kibel. Faktem jest, że babom wydaje się odpychający. Po prostu i normalnie. Sny. Naczytałem się o tym. Tak naprawdę to nikt nie wie, co to jest. Wśród sławnych naukowców nie ma zgody co do tego. W jednym obozie mówi się, że hipokamp miesza ci we wspomnieniach w lewej półkuli mózgowej. Potem prawa półkula kleci nieprawdopodobne historie i kojarzy je z obrazami. – Anioł nawet nie czeka, aż mu cokolwiek odpowiem – gdyby mnie tu nie było, z powodzeniem gawędziłby sobie z manekinem Zizzi Hikaru. Zjazd do Kioto 18 km. – Ale od snów wolę scenariusze. Jak leci. – Po szybie spaceruje włochata mucha. – Opowiedzieć ci moją historię ze snami? Każdy z nas ma taką.

Byłem w twoim wieku. Zakochałem się. A może mi odbiło. Na jedno wychodzi.

Jak by nie było. Ona – Kirara miała na imię – była jedną z tych rozpieszczonych córeczek. Chodziliśmy do tego samego klubu pływackiego. Swego czasu byłem nieźle zbudowany. Jej tatuś był faszystowskim mózgowcem stojącym na czele jakiejś paskudnej

organizacji. Co to było? Aha, tak, Ministerstwo Edukacji. A to stawiało Kirarę o klasę wyżej. Dla mnie bez różnicy. Opętało mnie. Z podręcznika przepisałem jakiś miłosny wiersz. Dostałem całusa! Nadal czuję ten zew czystego seksu, i Kirara uległa. Zaczęliśmy urządzać sobie sesje nad jeziorem, gdzie wyjeżdżaliśmy samochodem mojego kuzyna. Liczyliśmy gwiazdy. Liczyliśmy znamiona na jej ciele. Nie zaznałem takiej rozkoszy już nigdy. Ale nagle jej ojciec zwiędział się o naszym flircie. Nie byłem materiałem na księcia dla jego księżniczki. Jak by nie było. Jedno słówko tatusia i rzuciła mnie jak padlinę. Nawet zapisała się do innego klubu. Dla Kirary byłem zaledwie kąskiem do schrupania, ale ona dla mnie była całym menu w restauracji miłości. Byłem nieprzytomny.

Obłąkany. Wysyłałem jej następne wiersze. Kirara nie zwracała na mnie uwagi.

Nie mogłem spać, jeść, myśleć. Postanowiłem dowieść jej swojego oddania, popełniając samobójstwo. Umyśliłem sobie, że się wyprawię do lasów u stóp góry Fudzi i tam zażyję tabletki nasenne. Mało to oryginalne, wiem, ale miałem osiemnaście lat, a mój wuj miał tam domek. Rano wyruszyłem i wysłałem do Kirary list, w którym napisałem, że bez jej miłości nie mogę żyć i że nie mam wyjścia i muszę umrzeć, no i napisałem jej też, gdzie zamierzam to zrobić – co to za sens umierać z miłości, jeśli nikt nie zwróci na to uwagi? Wsiadłem w pierwszy pociąg, dojechałem do spokojnej wiejskiej stacyjki i ruszyłem przed siebie. Pogoda robiła się niepewna, ale ja – gdzie tam. Jeszcze nigdy w swoim życiu nie byłem tak pewien podjętej decyzji. Znalazłem domek wuja, minąłem go i doszedłem do polany. Uznałem, że to jest to miejsce. I zgadnij, kogo tam zobaczyłem, gdy spojrzałem w górę.

– Yyyy... ptaka?

– Kirarę! Moją ukochaną z pętlą wokół szyi! Wisiała i kręciła się to w jedną, to w drugą stronę. Straszny widok! Wzdęta, obrobiona. Wrony i robaki już zdążyły zabrać się do dzieła.

– To znaczy...

– I obudziłem się przerażony, bo nadal byłem w porannym pociągu jadącym w kierunku góry Fudzi. I jak tu nie mówić o objawieniu! Na następnej stacji wysiadłem, złapałem najbliższy pociąg i wróciłem do domu. Na wycieracze znalazłem mój pożegnalny list, nie przeczytany, nie otwarty, z napisem „zwrócić nadawcy” nabazgranym czerwonym jak krew atramentem na kopercie. Kirara – albo jej ojciec – zwróciła go, nawet nie czytając. Wiesz, jak głupio się poczułem?

Potem ona poszła na uniwersytet i... – Anioł zwalnia, żeby przepuścić ciężarówkę.

Kierowca dziękuje kiwnięciem dłoni. – Po latach zobaczyłem jeszcze Kirarę. Na lotnisku w Kansai, z daleka. Odpicowany mąż, ona kapie od złota, w wózku brzdąc. Zgadnij, co sobie w mgnieniu oka uświadomiłem?

– Zazdrość?

– Gdzie tam. To, że nic nie czuję, kompletnie. Byłem gotów umrzeć dla niej, a nawet jej nie kochałem. Tak naprawdę nigdy. Tylko tak mi się wydawało.

Wjeżdżamy do wentylowanego tunelu pełnego odgłosów. – Tego rodzaju opowieści wymagają morału. Mam jeden. Wierz w to, co ci się śni, a nie w to, co ci się wydaje.

* * *

Coraz więcej tuneli, mostów ponad dolinami, stacji obsługi.

Ciężarówka trzęsie się do świtu na ekspresowej drodze w kierunku Czugoku. W dwudziestym pierwszym wieku w ciągu trzydziestu minut przemierza się odległości, których pokonanie w dawnych wiekach wymagałoby całych dni. Niby mgła, niby pada, na pół gwizdka pracują wycieraczki. Kształty powracają do swoich nazw, nazwy z powrotem nabierają kształtu. Wysepki widniejące u ujścia rzek. Czaple polujące na ryby. Bładoróżowe betoniarki wypełniające betonem nadbrzeża. Zamurowane tunele w zboczach gór. Składy zastawione skrzynkami z piwem, bezkresne i monolityczne jak Utopia. Myślę o matce, że setki kilometrów stąd leży w łóżku, nie śpi i myśli o mnie. Nadal nie mogę się otrząsnąć po tym, jak się wprosiłem do Mijazaki. Czy ona jest tak samo zaskoczona? Tak samo się denerwuje jak ja teraz? Zjazd do Oka jamy. Postrzępione sznury dymu z fabrycznych kominów. Anioł Morski mruczy bez końca jakąś melodię. Na autostradach rządzą pojazdy – już nie ich kierowcy, tych pojazdy zmieniają równie często jak olej. Odwiedziny matki w Jakuszimie to były istne tortury. Odkąd nas porzuciła, do śmierci Andżu odwiedzała nas raz na rok. Zjazd do Fukujamy. Płomień blasku liże krawędź zamglonego świata. Ziemia w tydzień ogołocona z drzew, w miesiąc zniwelowana, wyasfaltowana w jedno popołudnie i na zawsze zapomniana. Skruszona, przykryta zielenią, zduszona, wykorzeniona. Linie i kable, to zwisające, to naprężone, biegną między słupami – odmierzającymi prędkość palcami przyciśniętymi do strun gitary.

Babka nie chciała jej widzieć, tak więc zawsze dzień wcześniej zostawaliśmy na noc u Wuja Paczinko w Kamikaju – głównym porcie. Zawsze mieliśmy na sobie swoje szkolne mundurki. Ciotka Paczinko specjalnie na tę okazję zabierała nas do fryzjera.

Wiedzieli oczywiście wszyscy. Z przystani promowej matka brała taksówkę, mimo że do domu Wuja Paczinko piechotą było tam mniej niż dziesięć minut. Kazała się prowadzić do najlepszego pokoju i na ciotczyne paplanie o niczym odpowiadała, bezlitośnie wytykając jakiś bezbarwny szczegół. Zjazd do Hiroszimy. Anioł wyłącza wycieraczki. Tablice reklamują bank, który padł wiele miesięcy temu. Góry uciekają latami wstecz ku wybrzeżu Morza Japońskiego.

Pozbawione koloru przedmieścia migających w powtórce miast. Po wielu latach Wuj Asphalt – był już po sześciu piwach – powiedział mi, że Wuj Paczinko matkę do odwiedzin zmusił i pod tym warunkiem przesyłał jej pensję. Miał dobre chęci, ale chyba źle zrobił, że nas wszystkich zmuszał. Matka zadawała pytania, a my odpowiadaliśmy. Pytania zawsze były takie same i pomijały ryzykowne tematy: jakie przedmioty lubimy najbardziej? Co robimy po szkole? Odpowiadaliśmy tak jak kontrolowani kontrolerowi. Ani iskierki czułości. Zjazd do Tokujamy. To tutaj właśnie mój stryjeczny dziadek, Subaru Tsukijama, spędził swoje ostatnie tygodnie na japońskiej ziemi. Dzisiaj pewnie nie poznałby prefektury Jamaguczi. Pole golfowe wykrojone na zboczu wzgórza, spowite w zieloną siatkę. Tańczą po nim mikroskopijne figurki. Znowu przypominam sobie o wirusie komputerowym i zastanawiam się, czy nadal rozsyła paskudne wieści od Kozue Jamai. Teraz i tak nie ma ze mną żadnego związku. Jego zauważalne konsekwencje to zaledwie wierzchołek góry lodowej: wyniki większości akcji są nieuchwytnie dla ich wykonawców. Brudny strzęp wybielonego nieba – poranek zapomina o deszczu tak samo nagle, jak dziecko o tym, że obraziło się „na zawsze”. Andżu pewnie bardziej byłaby chętna do pogawędki z mamą, ale

wy czuwała moją nieufność i tak samo jak ja zamykała się w sobie. Matka paliła jednego za drugim. Każde jej wspomnienie przyćmiewa dym z papierosa. Ciotka Paczinko nigdy nie pytała, co u niej, przynajmniej przy nas, tak więc wiedzieliśmy tylko to, co zdołaliśmy podsłuchać zza przepierzeń. Potem późnym popołudniem matka wsiadała do wodolotu i wracała do Kagoszimy, a my wszyscy oddychaliśmy z ulgą. Kiedyś została dwa dni – to musiało być wtedy, gdy Andżu zauważyła w tempurze pierścionek matki, ale takie przedłużone odwiedziny więcej się nie powtórzyły.

Zjazd do Jamaguczi. Samoistnie kołyszące się drzewa na bezwietrznym wzgórzu.

Góry układają się w równą linię. Na pogrzeb Andżu nie przyjechała. Plotka, okrutna rozrywka wyspy, głosiła, że dzień przed śmiercią Andżu poleciała na Guam „do pracy” i nawet nie zostawiła na wszelki wypadek numeru telefonu.

Krążyły też inne historie, jeszcze mniej sympatyczne. Uzbroiłem się w trzycalowy pancerz obojętności wobec jej osoby. Po raz ostatni spotkaliśmy się – i to był jedyny raz bez Andżu – kiedy miałem czternaście lat. To było w Kagoszimie, na starych śmieciach u Wuja Kasy. Miała krótkie włosy i krzykliwą biżuterię. Nosiała ciemne okulary. Znalazłem się tam z musu. Ona chyba też. – Urosłeś, Eidzi – powiedziała, kiedy ociągając się, wszedłem do pokoju i usiadłem. Postanowiłem, że będę nieprzyjemny. – A ty nie. – Ciotka Kasa od razu pośpiesznie wtrąciła: – To w ostatnich miesiącach Eidzi tak wystrzelił. A jego nauczyciel muzyki powiedział, że jest urodzonym gitarzystą. Jaka szkoda, że nie przyniosłeś ze sobą gitary, Eidzi.

Twoja matka z przyjemnością by posłuchała, jak grasz.

– Matka? – odpowiedziałem, patrząc w mostek jej okularów. – Nie mam niczego takiego, ciociu. Umarła przed śmiercią Andżu.

Ojca gdzieś mam, ale nie matkę.

Przecież wiesz.

Matka skryła się za chmurą dymu z papierosa.

Ciotka Kasa podała herbatę. – Twoja matka bardzo długo jechała, żeby się z tobą spotkać, i powinieneś ją chyba przeprosić. – Gotów byłem wstać i wyjść, ale matka mnie uprzedziła. Zabrała torebkę i odwróciła się do Ciotki Kasy. – Naprawdę nie trzeba. Nie powiedział niczego, z czym bym się nie zgadzała. Nie zgadzam się natomiast na zmuszanie nas do podtrzymywania tych rodzinnych rozmów, skoro wiadomo, że ani nie ma rodziny, ani nie ma o czym rozmawiać. Wiem, że robisz to z uprzejmości, ale kiedy się policzy straty, okazuje się, że uprzejmość nieodwracalnie zostaje zniszczona przez nieuprzejmość. Przekaż mojemu bratu pozdrowienia ode mnie. Za pięćdziesiąt minut mam nocny pociąg do Tokio i zamierzam go złapać. – Może upływ lat trochę zmienił ten scenariusz, ale do tego sprowadzała się treść rozmowy. Może dorzuciłem mamie ciemne okulary, ale nawet nie pamiętam, jakie ma oczy.

Anioł Morski otwiera puszkę kawy i włącza radio. Słońce też się włącza, gdy przejeżdżamy mostem Szimonoseki. I znowu jestem na Kiusiu. Uśmiecham się, bez powodu. Dusza powracająca do ciała uznanego za martwe, które ze zdumieniem stwierdza, że wszystko wciąż działa – tak właśnie się czuję. Połamane ogrodzenia, orgia polnych kwiatów, nietknięta przez planistów przestrzeń. Kiusiu to pozostawiony samopas dziki podziemny świat Japonii. Z Kiusiu przybyły – ślizgiem, galopem bądź wpływ – wszystkie mity. Anioł Morski pamięta, że stąd pochodzę. – Jak powtarzała co rano moja stara, kochana mamusia – pierwsza godzina jest podarunkiem niebios. – Jak by nie było. Dwadzieścia minut do Kitakiusiu...

* * *

– Pan Aojama! Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje z powodu, yyy, pańskiej śmierci. Pan Aojama opuszcza lornetkę i manipuluje ostrością. Ma na sobie mundur Kolei Japońskich, ale wygląda o wiele bardziej dystyngowanie niż w Ueno. – Śmierć nie jest taka straszna, Mijake, nie wtedy, kiedy właśnie ma miejsce. To mniej więcej tak, jakby się otrzymywało wypłatę. I muszę cię przeprosić za to, że oskarżyłem cię o szpiegowanie.

– Proszę o tym zapomnieć. Działał pan pod wpływem stresu. To oczywiste.

Pan Aojama przeciąga palcami po górnej wardze – Zgoliłem wąsy.

– Dobrze pan zrobił, panie naczelniku. Gwoli szczerości, w ogóle do pana nie pasowały.

– Uważam, że poważniejsze zmiany w życiu powinno się jakoś upamiętniać.

– A nie zdarza się nic poważniejszego jak śmierć.

– W rzeczy samej, Mijake.

– Czy mogę zapytać, jaką śmiercią umarłem?

– Ależ jak najbardziej żyjesz! Twoje ciało znajduje się w autobusie jadącym z Kitakiusiu do Mijazaki. To tylko sen.

– Jeszcze nigdy nie miałem snu... tak mało podobnego do snu.

– Sny o żywych można mierzyć miarką ich śmierci. Spójrz uważnie...

Lecimy. Pan Aojama leci stylem dowolnym Supermana. Ja mam przypięty paskami odrzutowy plecak Zaxa Omegi. Pod nami bezy różowych chmur. Zastony spowijające Ziemię rozsuwają się. – To kolejny przywilej, z jakiego my, zmarli, możemy korzystać – nieograniczona możliwość podziwiania wielkości stworzenia.

– Czy pan jest bliskim mi zmarłym?

– Ja pracuję dla ciebie, a ty dla mnie.

– Dlaczego Andżu nigdy nie przychodzi?

– No właśnie. – Pan Aojama zerka na zegarek. – Sprawa w toku. – Czy zmarli naprawdę, yyy, obracają się wśród żywych?

– Nic wielkiego.

– Naprawdę widzicie... wszystko? – Chodzi mi o moje seanse z Zizzi Hikaru.

– Gdy tylko chcemy. Ale czy was nie nuży oglądanie miliona kanałów telewizji? Niewiele z nich przyciąga uwagę. I pomyśleć, że złoczyńcy uważają, że ich nikczemne zbrodnie są tak wyjątkowe. Gdyby tylko wiedzieli. Nie. Ja pojawiaam się w twoim śnie w intencji odkupienia.

– Yyy... pańskiego czy mojego?

– Naszego. Źle traktowałem cię w Ueno. Niezależnie od tego, że naplułeś do mojego czajnika.

– Fatalnie się z tego powodu czułem.

Pan Aojama spogląda przez lornetkę. – Za dwa dni w gazetach pojawią się niepomysłne wiadomości. Spójrz. Zbliża się chwila odkupienia. – Pan Aojama pokazuje w dół. Chmury rozstępują się jak na archaicznych zwojach – i widzę sekretną plażę, kamiennego wieloryba i podnóże skały. Na wielorybie siedzi dziewczynka, przygarbiona, rozpaczliwie samotna. Andżu, nikt inny. – Niedokończona sprawa, Mijake.

– Nie rozumiem.

– Ale zrozumiesz.

Mój odrzutowy plecak przestaje działać. Matka – twarz z pudełka kasety z horrorem – ale już ulatuje w tokijskie niebo, a wraz z nią balkon z dziewiątego piętra. Obracam się, widzę boisko,

które unosząc się, osiąga graniczną prędkość, i przypominam sobie, że jeśli nie obudzę się, zanim uderzę w ziemię, to...

* * *

– Uaaaaa! – budzę się z wrzaskiem na fotelu w tylnej części autobusu – drzwi zamykają się z sykiem i pojazd rusza. Prostuję się, mrużę oczy. Tak, autobus. Anioł Morski zaproponował, że popyta wśród tirowców w Kitakiusiu, czy kto nie jedzie na południe od Mijazaki, ale wolę nie ryzykować spóźnienia, bo matka oczekuje mnie wczesnym popołudniem. Gdy zasnąłem, dosiadła się do mnie starsza pani.

Robi na drutach i twarz ma tak okrągłą i pooraną jak księżyc, do tego chyba stosuje aromaterapię, bo czuję... zioła, których nazwy nie pamiętam. Błyska lśniąca opalenizną pomarańczy. Pomiedzy nami stoi koszyk pełen owoców kaki. I to nie jakieś wodniste jak w Tokio, lecz kaki-marzenie. Takie, dla których kradzieży warto narazić się na gniew czarnoksiężnika. Cieknie mi ślinka – od półtora dnia nic nie miałem w ustach. – Proponuję wymianę – mówi pani Kaki. – Jeden owoc za twój sen.

Ale wstyd. – Mówiłem przez sen?

Kobieta wbija wzrok w robótkę. – Zbieram sny.

Więc opowiadam jej mój sen, przemilczając jedynie to, że Andżu to moja siostra. Druty szczękają niczym miecze na odległym wzgórzu. – Nie mam zamiaru ci dopłacać, młody człowieku. Co pominąłeś? – No więc przyznaję, że Andżu to moja siostra bliźniaczka. Pani Kaki zastanawia się. – Kiedy ona odeszła, nieszczęsna?

– Odeszła dokąd?

– Na tamtą stronę, oczywiście.

– Stronę czego...

– Życia. – Nie, jej druty stukają tak jak laska ślepeca.

– Dziewięć lat temu. Skąd pani wiedziała?

– Od czwartku za tydzień skończę osiemdziesiąt jeden lat. – Albo jej umysł błądzi, albo mój nie nadąża. Kobieta ziewa. Drobne białe zęby. Przychodzi mi na myśl Kotka. Odkłada druty. – Sny to brzegi, na których ocean ducha spotyka się z ziemią materii. Plaże, na których to, co dopiero się zdarzy, co było kiedyś, co nie nastąpi nigdy, spaceruje pośród tego, co nadal jest. Pewnie sądzisz, że jestem starą, siwą, przesadną kobietą, do tego prawdopodobnie pomyłoną. – Lepiej bym tego nie mógł ująć. – Owszem, jestem pomyłona. Jak inaczej mogłabym wiedzieć to, co wiem?

Nie chcę jej urazić, pytam więc, jaki jest według niej sens mojego snu.

Uśmiecha się, pokazując zęby. Zdaje sobie sprawę, że traktuję ją protekcjonalnie. – Jesteś poszukiwany.

– Poszukiwany? Przez...?

– Konsultacji za darmo nie udzielam. Weź swoje kaki, chłopcze.

* * *

Mijazaki sprawia po Tokio wrażenie zabawki. Na dworcu autobusowym udaję się do informacji turystycznej, żeby zapytać o klinikę, w której przebywa moja matka. Nikt o niej nie słyszał, ale kiedy pokazuję adres, dowiaduję się, że lokalnym autobusem muszę pojechać w kierunku Kiriszimy. Na następny muszę czekać ponad godzinę, więc idę do dworcowej łazienki, gdzie myję zęby, a potem siadam w poczekalni i popijam słodką zimną kawę z puszki, obserwując autobusy i pasażerów. Mieszkańcy Mijazaki spacerują niespiesznym krokiem. Bez pośpiechu płyną chmury, pod palmami

przy fontannach tęcze. Podchodzi samotny pies o mętnym spojrzeniu i wacha mnie na dzień dobry. Matka w zaawansowanej ciąży usiłuje zapanować nad gromadką niesfornych i rozbrykanych dzieci. Przypominam sobie o moim kaki – moja babka mówi, że kobietom w ciąży absolutnie nie wolno jeść kaki – i obieram ją syczorykiem. Lepią mi się palce, ale perłowy owoc jest doskonały. Wypluwam lśniące pestki. Jeden z chłopców nauczył się już gwizdać, ale umie tylko jedną melodię. Matka obserwuje dzieci skaczące wokół plastikowych siedzeń. Ciekawe, gdzie ich ojciec. Odzywa się dopiero, kiedy zaczynają bawić się gaśnicą: – Jeżeli będziecie tego dotykały, to kierowcy będą się gniewać! – Idę się przejść. W sklepie z upominkami z niesprzedanym od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku towarem wpada mi w oko miseczka z wypłowiałymi plastikowymi owocami o uśmiechniętych twarzyczkach. Kupuję ją dla Buntara, żeby się zrewanżować za breloczek z Zizzi. U Lawsona kupuję tutkę z bombami szampanowymi i do przyjazdu autobusu czytam czasopisma.

Powinienem chyba być podenerwowany, tymczasem brak mi sił. Nie wiem nawet, jaki jest dzień.

Oczekiwałem eleganckiego obiektu z parkingami i rampami na wózki na peryferiach miasta, tymczasem szosa, którą wiezie mnie autobus, prowadzi w coraz bardziej wiejską okolicę. Jeszcze ponad tysiąc jenów i farmer jadący w autobusie wskazuje mi lokalną drogę, mówiąc, że mam nią dojść do ścieżki, która zaprowadzi mnie do celu. – Trudno nie zauważyć – przypomina, co zwykle zwiastuje niebezpieczeństwo. Po jednej stronie pnie się zbocze porośnięte sosnami; po drugiej – wczesny ryż, zżęty i rozwieszony do wyschnięcia. Natykam się na duży, płaski, okrągły kamień leżący na ścieżce. Świerszcze ciągną trele i stukają Morse'em. Wkładam

kamień do plecaka. Kosmos kwitnie różowościami, karmazynem i bielą. Cała ta przestrzeń. Powietrze. Idę i idę. Zaczynam się martwić – po dwudziestu minutach widzę jedynie koniec drogi, ale ani śladu kliniki. Strachy na wróble rodem z komiksowego horroru rzucają mi chytre spojrzenia. Wielkie głowy, kościste szyje. Kończy się asfalt i widzę, że dalej ścieżka całkiem się urywa przy grupie budynków starej farmy, położonej u podnóża góry naznaczonej piętnem wczesnej jesieni. W okolicach kości ogonowej czuję kałuże potu – chyba nieciekawie pachnę. A może kierowca kazał mi wysiąść na niewłaściwym przystanku? Postanawiam zapytać na farmie. Skowronek przerywa swój trel i zapada cisza, że aż dźwięczy w uszach. Działki warzywne, słoneczniki, niebieska pościel rozwieszona na słońcu. Na niewielkim wzniesieniu, w ogrodzie skalnym zarośniętym przez trawę, stoi tradycyjna, kryta strzechą herbaciarnia. Już mijam bramę, gdy nagle zauważam ręcznie malowany napis Klinika Górská Mijazaki.

Pomimo wyraźnych oznak zamieszkania nikogo nie widzę. Żadnego dzwonka czy brzęczyka przy frontowych drzwiach, więc wchodzę do chłodnego pomieszczenia recepcji, gdzie kobieta w białym stroju – sprzątaczką? – układa góry akt w mniejsze wzgórza. Przegrana sprawa. Dostrzega mnie. – Cześć.

– Dzień dobry. Czy mógłbym rozmawiać z siostrą dyżurną?

– Może pan porozmawiać ze mną, jeśli to panu nie przeszkadza.

Suzuki. Doktor.

A pan?

– Yyyy, Eidzi Mijake. Przyjechałem, żeby się spotkać z matką – jest pacjentką.

Mariko Mijake.

Doktor Suzuki odpowiada mi przeciągłym ahaaaaaa. – I do tego

jest pan gorąco oczekiwanym gościem. Tak, nasza siostra marnotrawna od samego rana siedzi jak na szpilkach. Wolimy używać słowa „członkowie”, a nie „pacjenci”, jeśli nie brzmi to zbyt ekstrawagancko. Spodziewaliśmy się, że zadzwoni pan z Mijazaki: trudno było panu do nas trafić? Obawiam się, że to trochę daleko, ale uważam, że odosobnienie także może stanowić środek terapeutyczny, zważywszy, w jakiej ciasnocie żyjemy. Jadł pan? Wszyscy są na lunchu w stołówce.

– W autobusie zjadłem kulkę ryżową...

Doktor Suzuki widzi, że denerwuję się na myśl o spotkaniu z matką w obecności przyglądających się nam ludzi.

– Może wobec tego poczeka pan w herbaciarni? Jesteśmy z niej dumni – jeden z naszych członków był mistrzem ceremonii parzenia herbaty i znowu nim będzie, o ile mam coś do powiedzenia w tej sprawie. Budując, wzorował się na herbaciarni Senno–Sojeki. Pójdę powiadomić pana matkę, że jej gość tu jest.

– Pani doktor...

Doktor Suzuki obraca się na pięcie. – Tak?

– Już nic.

Wydaje mi się, że widzę uśmiech na jej twarzy. – Proszę po prostu być sobą.

Zdejmuję buty i siadam w chłodnej chacie na cztery i pół maty. Wokół brzęczący owadami ogród. Pszczoły, fasolka, lawenda. Popijam jęczmienną herbatę – jest już ciepła i pieni się – z butelki, którą kupiłem w Mijazaki. Na suficie przysiada motyl, składa skrzydła. Wyciągam się i przymykam oczy, tylko na chwilę.

* * *

Nowy Jork tonie w tumanach śniegu i szarych wron. Znam

kobietę kierującą wielką żółtą taksówką, którą jadę, ale jej nazwisko umyka mi, gdy tylko usiłuję sobie je przypomnieć. Przez tłum dziennikarzy wyposażonych w obiektywy o owadzych oczach brnę do studia nagrań, gdzie John Lennon popija jęczmienną herbatę. – Eidzi! Twoja gitara nie pozostawia żadnych wątpliwości. – Od dwunastego roku życia cały czas pragnąłem poznać tę półboską istotę. Moje marzenie ziściło się, a mój angielski jest sto razy lepszy, niż śmiałem marzyć, ale w tej chwili mogę zdobyć się tylko na: – Przepraszam za spóźnienie, panie Lennon. – Wielki człowiek wzrusza ramionami, dokładnie tak jak Juzu Daimon. – Po dziewięciu latach grania moich piosenek możesz mi mówić John. Zresztą, mów do mnie, jak chcesz. Byle nie Paul. – Słyszając to, wybuchamy wszyscy śmiechem. – Pozwól, że ci przedstawię resztę kapeli. Jako już poznałeś latem w Karuizaua, byliśmy na rowerach... Jako Ono ubrana jest tak jak Dama Pik. – Wszystko w porządku, Sean – mówi do mnie – mamusia tylko szuka swojej ręki w śniegu. – Odbieramy to jako bardzo zabawny żart. John Lennon wskazuje następnie na fortepian. – A na klawiszach, ladies and genitals, pozwolą państwo, że przedstawię, pan Claude Debussy. – Kompozytor kicha, wskutek czego wypada mu zęb, co powoduje nowy wybuch śmiechu – a wypadnięcie kolejnych zębów wywołuje jeszcze większy śmiech.

– Moja przyjaciółka, pianistka, Ai Imadzo – mówię do Debussy’ego – jest wielbicielką pana twórczości. Uzyskała stypendium do Paryskiego Konserwatorium, ale ojciec zabronił jej jechać. – Moja francuszczyzna także jest nienaganna!

– W takim razie jej ojciec jest zasranym knurem i ma syfa – mówi Debussy, zbierając na kolanach zęby z podłogi. – A twoja panna Imadzo jest kobietą wybitną.

Każ jej jechać! Zawsze miałem słabość do azjatyckich dam.

Jestem w parku Ueno, pośród krzewów i namiotów, w których przemieszkują bezdomni. Wydaje mi się, że jest to miejsce cokolwiek nieodpowiednie na wywiad, ale to był pomysł Johna. – John, o czym właściwie jest *Tomorrow never knows*?

John przybiera pozę filozofa. – Zawsze chciałem to wiedzieć.

Chichoczemy bezradnie. – Ale ty to napisałeś!

– Nie, Eidzi, wcale nie... – ociera łzy. – To ja zostałem przez to napisany!

W tym momencie unosi się pola namiotu i wchodzi Doi z pizzą. Kiedy otwieramy karton, okazuje się, że w środku jest kompost z konopi indyjskich. Pani od Obrazów – wygląda na to, że jesteśmy jej gośćmi – wyciąga nóż do ciasta, którego rękojeść ozdabia polerowana czaszka gronostaja. Każdy z nas dostaje cieniutki plasterek – ma smak zielonej herbaty. – Którą piosenkę Johna lubisz najbardziej, Eidzi-kun? – uświadamiam sobie, że Pani od Obrazów to w istocie robocze przebranie Kozue Jamai – śmiejemy się z tego wszyscy.

– *#9dream* – odpowiadam. – Powinien zostać uznany za arcydzieło. – John jest zachwycony tą odpowiedzią. Robi minę hinduskiego bóstwa i śpiewa: – *Ah, bowakama pousse pousse*. – Śmiech rozsadza mi płuca i zaczynam mieć poważne trudności z oddychaniem. – Prawdę powiedziawszy – ciągnie John – *#9dream* wywodzi się z *Norwegian Wood*. I jedna, i druga piosenka jest opowieścią o duchach. „Ona” w *Norwegian Wood* dotyka cię samotnością. „Dwa duchy dziwnie tańczące” w *#9dream* koją cię harmonią. Ale ludzie od harmonii wolą samotność.

– Co oznacza ten tytuł?

– Dziewiąty sen to to, co zaczyna się po każdym zakończeniu.

Guru wpada we wściekłość. – Dlaczego przestajesz szukać oświecenia?

– Skoro jesteś tak cholernie kosmiczny – szydzi John – to się sam dowiesz!

Wybucham takim śmiechem, że aż...

* * *

– Obudziłem się. U wejścia do herbaciarni stała moja matka. Ai wyłącza muzykę. – Chichotałeś tak, że się obudziłeś? Co ona sobie pomyślała?

– Później przyznała, że była przekonana, że dostałem ataku. A potem jeszcze powiedziała, że Andzu jako mały berbec śmiała się przez sen.

– Długo rozmawialiście? – Przez trzy godziny. Przegadaliśmy akurat południowy upał. Dopiero co wróciłem do Mijazaki.

– W takim razie oboje nie mogliście się nagadać?

– Bo ja wiem... Doszło jakby do niewysłowionego porozumienia. Ona porzuciła rolę „matki”, a ja porzuciłem rolę „syna”.

– Z tego, co mi opowiadałeś, wynikało, że nigdy tych ról nie graliście.

– Zgadza się. Mam na myśli to, że ja postanowiłem, że nie będę oceniał jej w odniesieniu do jakichś standardów „matki”, a ona postanowiła, że nie będzie mnie zestawiać z żadnymi standardami „syna”.

– To... w jakim punkcie teraz jesteście?

– Chyba zaczniemy jako, yyy, poniekąd...

– Przyjaciele?

– Nie chcę udawać, że to było letnie święto pokoju i miłości. Raczej pole minowe, naszpikowane sprawami, które staraliśmy się

omijać, a z którymi kiedyś przyjdzie nam się zmierzyć. Ale... jakby polubiłem ją. Jest osobą z krwi i kości.

Prawdziwą kobietą.

– Nawet ja mogłabym ci to powiedzieć.

– Wiem, ale zawsze myślałem o niej w kategoriach wycinanki z czasopisma, która odpowiadała za to i za tamto, ale tak naprawdę niczego nie czuła. Dzisiaj dostrzegam w niej kobietę czterdziestoletnią, która nie miała tak lekkiego życia, jak wylicza plotkarska machina na Jakuszimie. Kiedy mówi, to całą sobą wnika w wypowiedane słowa. Zupełnie inaczej niż w listach. Opowiadała mi o alkoholizmie. O tym, co robi z człowieka. Bez potępiania czy czegoś takiego, po prostu jak naukowiec analizujący chorobę. I wiesz co, moja gitara – okazało się, że jest jej! Przez te wszystkie lata moja gitara była jej gitarą, a ja nawet nie wiedziałem, że mama umiała grać.

– A hotelarz z Nagano był tam?

– Odwiedza ją co dwa tygodnie, dzisiaj nie. Obiecałem jej, że przyjadę w następną sobotę.

– Świetnie. Upewnisz się, czy ma uczciwe zamiary. A twój ojciec?

– To była jedna z min. Kiedy indziej, może. Pytała, jak mi się podoba Tokio i czy mam jakichś przyjaciół. Z dumą opowiedziałem o jedynej mojej przyjaciółce, genialnej pianistce.

– Ależ elitarny klub. Gdzie zatrzymasz się na noc?

– Doktor Suzuki zaproponowała, że znajdzie dla mnie futon w jakimś kącie, ale złapię pociąg do Kagoszimy i przenocuję u wuja...

– Wuja Kasy, tak? A jutro rano wsiadasz na prom do Jakuszimy, żeby odwiedzić grób siostry.

– Skąd wiedziałas?

Natarczywe chmury suną po filmowym niebie.

– Uważnie słucham, kiedy opowiadasz mi o Andżu. I o swoich snach. Mam bezbłędne wyczucie.

* * *

Horyzont zieje nudą. Te obmywane przez pływy mielizny dochodzą do morza Hjuga Nada, na południe od cieśniny Bungo, do której w swój ostatni rejs na pokładzie I-333 popłynął mój stryjeczny dziadek. Gdybym miał taką lornetkę, przez którą mógłbym dostrzec rok 1940, wówczas moglibyśmy do siebie pomachać. Może też bym mu się przyśnił. Być może to właśnie czas sprawia, że w rzeczywistości jawy wszystko nie zdarza się w jednej chwili, ale już sny rządzą się innymi prawami. Czuję zapach jesiennych owoców. – No jaki ten świat mały – to pani Kaki. – Witam ponownie. Mogę się przysiąc? – Oczywiście. – Plecak wrzucani na półkę, którą mam nad głową. Kobieta siada, jakby obawiała się, że się potłucze. – Smakowało ci moje kaki?

– Mmmm, było pyszne. Dziękuję. A mój sen?

– Jeszcze lepszy. – Dziwna starsza pani wyciąga robótkę.

– Czy mogę spytać, co pani robi z tymi snami, które pani, yyy zbiera?

– A ty co robisz z owocami kaki?

– Owoce kaki zjadam.

– Starsze panie także potrzebują strawy.

Czekam na wyjaśnienie, lecz pani Kaki nie kwapi się. W oddali przesuwa się elektrownia nuklearna, fregata na kotwicy, samotny windsurfer. Czuję, że powinienem poprowadzić grzeczną rozmowę.

– Jedzie pani do Kagoszimy?

– Tu i tam.

- Odwiedza pani krewnych?
- Uczestniczę w konferencjach.

Czekam, aż mi powie, w jakich konferencjach uczestniczą osiemdziesięcioletkowie – uprawa owoców? Szycie? – ale ona nie przestaje robić na drutach. Przychodzi mi na myśl rozpad atomów. – Jest pani kimś w rodzaju interpretatora snów?

Nie da się zbyt długo spokojnie patrzeć w jej pozbawione tęczówek oczy. – Moja młodsza siostra, która kieruje wszystkim od strony biznesowej, o naszym zawodzie mówi, że jesteśmy „chanelowcami”.

Uznaję, że się przesłyszałem. – Zbiera pani rzeczy Chanel?

– A wyglądam na kogoś takiego?

Jeszcze raz. – Chanellowiec? To ktoś w rodzaju, yyy, inżyniera?

Pani Kaki potrząsa głową, lekko poirytowana. – Tłumaczyłam mojej siostrze.

To grzebanie się w słowach tylko myli ludzi. Jesteśmy czarownicami, tłumaczę jej, a więc powinno się nas nazywać „czarownicami”. Od nowa muszę zacząć ten rządek. To szalik dla mojej babci. Będzie jęczała, jeśli nie wyjdzie idealnie.

– Przepraszam – powiedziała pani, że jest czarownicą?

– Częściowo emerytowaną, przecież skończyłam już pięćset lat. Uważam, że trzeba ustąpić miejsca młodszym.

Stroi ze mnie żarty albo jest zupełnie szalona. – Nigdy bym się nie domyślił.

Z marsem na czole pochyla się nad robótką – Oczywiście, że nie. Żyjesz w świecie oświetlanym przez telewizję, przepuszczanym przez satelity, cementowanym przez naukę. Myśl, że istnieją kobiety, które energię życiową czerpią z potencjału wyzwalanego w snach, jest, jak sam powiedziałeś, zupełnie szalona.

Szukam jakiejś stosownej odpowiedzi.

– Nie szkodzi. Nieufność to dobra rzecz w biznesie. Kiedy do tych brzegów dotarł Wiek Rozumu, wszystkie odetchnęłyśmy z głęboką ulgą.

– Jakim sposobem może pani, yyy, jeść sny?

– Jesteś zbyt nowoczesny, żeby to zrozumieć. Sen to połączenie ducha i materii.

W połączeniu wyzwala się energia – stąd sen, z marzeniami sennymi, krzepi. Bez snów w kondycji umysłowej można by się utrzymać co najwyżej tydzień. Starsze panie, tak jak ja cieszące się długowiecznością, karmią się snami zdrowych młodzieńców, takich jak ty.

– Ale czy to rozsądnie tak rozpowiadać o tym?

– A dlaczego by nie? Przecież zamknęliby każdego, kto upierałby się, że to prawda.

W pewnym sensie pożałowałem, że zjadłem kaki. – Przepraszam, yyy, muszę skorzystać z toalety. – Kiedy idę w stronę toalety, mam wrażenie, że pociąg stoi w miejscu, tylko krajobraz za oknem i ja sam kołyszymy się z tą samą prędkością.

Moja towarzyszka podróży zaczyna mnie z lekka przerażać – może nie tym, co mówi, ale tym, w jaki sposób to mówi. Ciekawe, jak mam sobie w tej sytuacji poradzić. Ale po powrocie na miejsce stwierdzam, że pani Kaki zniknęła.

* * *

Czerwona zaraza starła z powierzchni globu ludzkie istnienie. Ostatnia wrona oderwała ostatni kawałek mięsa od kości. Tylko my przeżyliśmy, Ai i ja – dzięki naszej wrodzonej odporności. Mieszkamy w herbaciarni Amadeusz. Orbity satelitów coraz

bardziej obniżają się, a tratwy elektroniczne unoszą się tuż przy naszym balkonie, omal na wyciągnięcie ręki. Znajdujemy z Ai rozrywkę w długich spacerach po Tokio. Ja wybieram dla niej diamenty, ona ściąga dla mnie najlepsze gitary. Ai gra w Budokanie, na żywo, *Arabesque* Debussy'ego, potem ja eksploatuję mój Lennonowski repertuar. Na zmianę stajemy się dla siebie publicznością. Ai nadal przyrządza pyszne sałatki i podaje je w naczyniach TV Żyjemy tak, jak brat z siostrą, od długiego już czasu.

Któregoś dnia słyszymy dobiegający z balkonu odgłos. Meeeeeeee. Wyglądamy przez uchylone okno i widzimy szkaradne, zmierzające w naszą stronę ptaszysko.

Wielkie jak świnia, ozdobione dyndającymi workami jak indor i jak kondor kudłate. Dziób jak ostrze piły do metali. Oczy kaprawe jak u alkoholika. Co kilka kroków wstrząsane wymiotami ptaszysko wyrzuca z siebie okokształtne jajo, potem siada na nim i wiercąc się, wciska je w dziurę w tyłku. – Szybko! – krzyczy Ai. – Zamknij okno! On chce tu wejść! – Ai ma rację, ale ja waham się – taki dziób jednym uderzeniem mógłby rozłupać mi nadgarstek. Za późno! Ptaszysko wskakuje, przewraca krzesło i toczy się po dywanie. Cofamy się, przestraszeni, ale i zaciekawieni. Może wyniknąć z tego coś złego, ale może i dobrego. Ptaszysko wstaje i dumnie człapie, spoglądając krytycznym okiem potencjalnego nabywcy na wystrój wnętrza. W końcu sadowi się na weselnym torcie jak na grzędzie i mówi głosem Doiego: – Ten kot w peruce będzie musiał zniknąć z sufitu, człowieka, to tak na początek. Kapewu?

* * *

– To znowu ty, Mijake! – mówi Ai, ale słyszę, że się cieszy. – Widziałam w wiadomościach ostrzeżenie przed tajfunem dla Kagoszimy. Jesteś już na miejscu? – Jeszcze nie. Muszę się przesiąść w – odczytuję tablicę – w Mijakonodžo.

– Nigdy nie słyszałam.

– Bo tylko maszyniści znają tę stację. Przeszkodziłem ci w czymś?

– Ścisnęłam się z pewnym bardzo sexy Włochem o nazwisku Domenico Scarlatti.

– żeby wzbudzić zazdrość we mnie i w Claudzie.

– Scarlatti jest jeszcze bardziej martwy niż Debussy, ale, słowo daję, te jego sonaty...

– Miałem sen i byłeś w nim z takim parszywym indorem...

– Eidzi Mijake i jego zabójczy urok. To dlatego do mnie dzwonicz?

– Nie, właściwie dzwonię po to, żeby ci powiedzieć, że, yyy, kiedy się obudziłem, uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie zakochałem się w tobie, i pomyślałem sobie, że jest to coś, o czym powinnaś wiedzieć.

– Prawdopodobnie zakochałeś się? To chyba najbardziej romantyczna rzecz, jaką zdarzyło mi się usłyszeć.

– Powiedziałem „prawdopodobnie”, bo obawiałem się, że może posuwam się za daleko. Ale, skoro nalegasz, to, yyy, tak, stanowczo jestem w tobie zakochany.

– Dlaczego mówisz mi to teraz, kiedy jesteś tysiące kilometrów stąd? Dlaczego nie spróbowałeś, kiedy byłem u ciebie w kapsule?

– A chciałaś?

– A myślałaś, że drałowałam do Kita Sendżu na przedobiednią konwersację?

Dostaję jajkiem w głowę, moja twarz ocieka żółtkiem szczęścia.
– Dlaczego nic nie mówiłaś?

– To ty jesteś mężczyzną. To ty musisz w lombardzie zastawić swoją godność i miłość własną.

– To nie fair, panno Imadzo.

– Nie fair? To spróbuj побыć trochę kobietą.

– To stało się tak niepostrzeżenie. Nie miałem o tym pojęcia, kiedy mnie odwiedziłaś. To znaczy, oczywiście nie wyrzuciłbym cię, gdybyś, yyy... ale wtedy pokazałem ci listy i...

– Wszystko przerodziło się w sen o śmierdzącym indorze.

– Ohydny, nie śmierdzącym. Ale coś w tym chyba jest. Nie sądzisz?

– Mam pozwolenie Scarlattiego i mogę ci zagrać K.8 Allegro g-moll.

Ai gra do chwili, gdy moja karta telefoniczna wyczerpuje się. Chyba mnie lubi.

Pociąg sunie pod sklepieniem zmierzchającego świata i wtacza się na teren dworca Kolei Japońskich w Kagoszimie. W głowie harcują mi – w rytmie tanga, walca i tańca kurczaków – duchy z K.8 g-moll. Ilekroć pomyślę o tej dziewczynie, moje serce przyspiesza odrzutem niczym ośmiornica. Konduktor ogłasza, że z powodu tajfunu Osiemnaście wszystkie usługi kolejowe zostają zawieszane do odwołania – najwcześniej jutro rano. Z piersi połowy pasażerów wyrwał się zgodny jęk. A ja tu na miejscu mam problem, którego miłość nie rozwiąże. Wuj Kasa mieszka za pasmem wzgórz, w północnej części Kagoszimy – piechotą dwie godziny. Dzwonię do niego, w nadziei, że po mnie wyjedzie, ale jest zajęte. Chyba już pójde do portu i prześpię się w terminalu promów. Potężne podmuchy wiatru przewalają się przez plac autobusowy. Palmy

naprężają się, flagi łopoczą, gnane wiatrem kartony pędzą na złamanie karku. Nikogo nie widać, stoiska wcześniej pozamykane. Skręcam w Bulwar Portowy i zgarnia mnie bezwzględny wiatr, który omal nie porywa mnie w stronę Nagasaki. Żeby iść, muszę się pochylić. Opodal Sakuradzima, wulkaniczna wyspa, dzisiejszej nocy niezbyt rzeczywista. Mroczne morze ogarnięte szaleństwem fal. Po kilkuset metrach widzę, że jestem w poważnych tarapatach – na elektronicznej tablicy napis informujący, że terminal jest zamknięty. Mógłbym wziąć taksówkę do Wuja Kasy – trochę żenujące, żeby to on miał płacić. Mógłbym zatrzymać się w hotelu – ale rano nie miałbym czym zapłacić. Czasami bidne z nas ssaki. Może na policji ulitowaliby się – nie. Może znalazłbym schronienie w jakimś podcieniu – chyba nie. Postanawiam mimo wszystko iść do Wuja Kasy – dotrę tam około dziewiątej. Idę na skróty przez szkolne boisko, na którym dziewięć lat temu zdobyłem jedyne gola w swojej krótkiej karierze. W oczach coraz więcej gryzącego piasku. Mijam stację i brnę przed siebie nadbrzeżną ulicą, ale z wysiłkiem i powoli. Żadnych samochodów.

Usiłuję dodzwonić się do Wuja Kasy z budki, ale wygląda na to, że linie pozrywało. W powietrzu szybują przedmioty nie mające bynajmniej aerodynamicznych kształtów: pokrowce samochodowe, skrzynki na piwo, trójkołowe rowery. Morze huczy, wiatr wyje, słona woda atakuje umocnienia brzegowe, chlastając mnie pyłem wodnym. Mijam wiatę na autobus, z której wiatr zdążył już zerwać dach. Zastanawiam się, czy nie zatrzymać się przy którymś z domów i nie poprosić o przenocowanie w holu. Mijam drzewo, w którego pień wbił się dach zerwany z wiaty. I naraz słyszę uuuusz. Błyskawicznie kucam, a obok, skacząc, przelatuje jakieś czarne zwierzę – opona od ciężarówki! Teraz już obawiam się,

żebym i ja nie został zdmuchnięty jak uliczny parasol. Znajduję się na wysokości ogrodu Isoteien. Przyjeżdżałem tu z wycieczkami szkolnymi i pamiętam te ceglane budynki z altankami, w których prawdopodobnie mógłbym się schronić.

Wchodzę na mur – wiatr zdmuchuje mnie i ląduję w chłoszczących pnączach.

Zazwyczaj tchnący spokojem ogród tworzy teraz scenerię godną filmu o opętaniu przez demony. Tam do drzwi bezskutecznie dobija się obłąkana kobieta. Tutaj – przedzieram się, biję na oślep pięściami, płynę w zaroślach, kołyszące się gałązki wbijają mi się w twarz. Teraz na stromy stok i bez problemu wchodzę do chatki.

Zapach kompostu, szpagatu i brezentu – jestem w szopie z inspektami. Klamka urwana, ale wyciągam worek z ziemią i udaje mi się zaprzeć drzwi. Budynek drży w posadach, ale w środku jest stanowczo lepiej niż na zewnątrz. Oczy przyzwyczajają się do ciemności. Cały arsenał łopat, rydli, wideł, grabi. Pod jedną ze ścian jest jeszcze wąskie przepierzenie, ale jest zbyt ciemno, żebym cokolwiek widział. Po pierwsze, zbieram doniczki i jak tylko umiem staram się naprawić szkody wyrządzone wtargnięciem wiatru. Po drugie, organizuję namiastkę łóżka.

Po trzecie, dopijam butelkę zielonej herbaty, którą kupiłem w Mijakogdzieście. Po czwarte, kładę się, słucham, jak tajfun naciera na stary budynek, i niepokoję się. Po piąte, daję sobie spokój z niepokojami i w obłądnym, ryczącym chórze próbuję wyodrębnić poszczególne głosy.

* * *

Mój pęcherz wychodzi poza ciało – złoty embriokształtny worek. Boleśnie ciąży mi w kroczu. Jestem w Liverpoolu – wiem, bo widzę

minisamochody i fryzury a la ul – i rozglądam się za toaletą. W Anglii grawitacja jest silniejsza – wchodzenie po stopniach tej katedry wykańcza mnie. Zamiast drzwi włącz. Wpycham się plecami do przodu, żeby uchronić moje dzieciątko–pęcherz. – Chwileczkę, kapitanie! – odzywa się Lao Tse zza drucianej kratki. – Musisz mieć bilet.

– Już zapłaciłem na lotnisku.

– Zapłaciłeś za mało. Kopsnij jeszcze dziesięć tysięcy jenów. – To zawrotna cena, ale jak nie zapłacę, zleję się w spodnie. Z trudem wyciągam portfel, zwijam banknot i przeciskam go przez kratkę. Lao Tse przedziera go na pół, zwija w kulki i upycha w dziurkach od nosa, żeby zatamować krwawienie. – No to którą do kibla? – pytam. Lao Tse spogląda na mój wzbierający pęcherz. – Już lepiej pokażę ci drogę. – Katedra w Liverpoolu to wyłożony kamieniem labirynt. Lao Tse pełźnie przede mną kraulem. Ja ciągnę za nim stylem grzbietowym. Woda strugami ścieka ze ścian. Raz po raz krople rozpryskują mi się na twarzy. Moje dzieciątko–pęcherz zaczyna kwilić głosem foki wleczonej wbrew woli w głąb lądu. – Czy już blisko? – wyrzucam z siebie, łapiąc oddech. Jesteśmy w grocie. Ociekające wodą stalaktyty.

Urynały zajęte przez rządę umundurowanych osobników. Czekam. Czekam. Ale żaden z nich ani drgnie.

– Pułkownik Sanders! – Generał MacArthur klepie mnie w ramię. – Jeden z miejscowych ukradł moją platynową zapalniczkę! Warta majątek, do diaska!

Słyszał pan coś o winoroślach? – Znalazłem się w ciele potentata drobiowego z zadaniem szpiegowania Kwatery Głównej i ustalenia, czy cokolwiek wiedzą na temat projektu kaiten. Jak można być tak grubym. Wiem, że słowa kryją nieuchwytnie sensy, ale przecież

trudno się skupić, gdy ma się wyjący pęcherz. – Nie? – General MacArthur kicha jak fontanna. Tak czy inaczej mogę cię podrzucić do portu. – Dżip US Army jedzie do portu w Kagoszimie, pęcherz już jak dziecko dociera do pasa. Obawiam się, że od nagłego wstrząsu rozpedzonego dżipa może pęknąć, ale bez szwanku docieramy do terminalu promów. Niestety, cały kompleks po wojnie przebudowano i oznakowano w całości brajlem. Zastanawiam się, czy nie nalać do kosza na śmieci, ale rezygnuję, bo już widzę te nagłówki – „Miejscowy chłopak zapomina instrukcji obsługi toalety” – i kuśtykam przed siebie korytarzem.

Mocz wyciekający z umierającego szpiega. Pęcherz jest już tak ciężki, że ledwie mogę go unieść. – Tędy – syczy niewidzialny towarzysz. Trafiam do nowiuteńkiej toalety przestronnej jak port lotniczy. Podłoga, ściana, sufit, wykończenia, umywalki, pisuary, drzwi do kabin – wszystko oślepia śnieżną bielą. Jedyne mój opiekun to maleńka, widoczna w oddali plamka. Adwokat. Podchodzę do najbliższego pisuaru, opieram o ścianę to bliźnię, które noszę i...

Adwokat nuci pod nosem *Beautiful Boy* w tak deprymujący sposób, że zatyka mi pęcherz. Przeszywam go spojrzeniem i nagle odskakuję – stoi tuż obok mnie i odlewa się. I nadal nie ma twarzy.

* * *

Budzi mnie rozhisteryzowany pęcherz i bardzo blisko słyszę odrażające odgłosy zniszczenia. Tajfun dobija się do drzwi, kiedy odsuwam worek z ziemią. Sikam przez szczelinę. Mocz rozwiewa się i leci pewnie do samego Morza Chińskiego. Wracam do mojego brezentowego gniazda, ale kto zdoła przespać taką noc miotaną terrorem nieba. Bóg piorunów napiera na Kagoszimę. Szuka mnie.

Ciekawe, dlaczego moje sny są takie wyraziste – zazwyczaj ulatniają się, gdy tylko otwieram oczy. Kiedy rozpocząłem swoją seryjną wędrówkę po wujkach, gdy już nie było Andżu, wyobrażałem sobie, że gdzieś, w jakimś domu, w jakiejś rodzinie, żyje sobie Rzeczywisty Eidzi Mijake. Że śni o mnie co noc. I że tak naprawdę jestem snem Rzeczywistego Eidzi Mijakego. Ja zasypiam i śnię, a on budząc się, moje życie na jawie wspomina jako swój sen. I na odwrót. Tajfun łapie oddech i nowym podmuchem przypuszcza kolejny atak. Szopa nie da się zdmuchnąć.

Potykam się o coś twardego i upadam. Natrafiam na płaski, okrągły, średniej wielkości kamień. Wkładam go do plecaka. Kiedy podmuch przeradza się w silny wiatr, do moich uszu dociera czyjeś chrapanie, i to – rzecz zdumiewająca – dobiegające z wnętrza szopy! Wstaję i zaglądam za wąskie przepierzenie. Kobieta, śpi w najlepsze! Nie wygląda na ogrodnika – pewnie jest gościem, którego w tym miejscu, tak samo jak mnie, uwięził tajfun. A może była zanadto przestraszona i nie chciała się odzywać, a potem po prostu zasnęła. Obudzić ją? A jak przestraszy się na śmierć? Otwiera oczy. – Yyyy... – zaczynam.

– Więc w końcu mnie znalazłeś. – Zrywa się. Jej kimono rozsuwa się. Jestem tak zdumiony, że nie mogę wydobyć z siebie głosu. Przeżywam niesamowitą chwilę, gdy wydaje mi się, że to matka Juki Czijo, dziewczynki, która zgłosiła zaginięcie na stacji Ueno. Dotyka wilgotnym kciukiem moich sutków, drugą rękę zagłębia w moje slipy – co to, to nie, powiedziałem już Ai, że ją kocham, ale ta rozchyła usta i milion mikroskopijnych srebrnych rybek raptownie zmienia kurs. Nie mogę się oprzeć. Nie mogę się poruszyć, odwracam spojrzenie, ulegam.

I już jestem.

Nad jej ramieniem miga mi pani Kaki. Sadowi się na worku z ziemią i ssie ociekający sokiem miąższ owoców. Lśniące pestki wypluwa.

* * *

Wspaniały ogród jest zdewastowany po orgii urządzonej przez bogów. W powietrzu unosi się zapach soków spływających z zielonych żył. Strzępki kwiatów, połamane gałęzie, wyrwane z korzeniami krzewy. Znajduję mały, płaski, okrągły kamień. Wkładam go do plecaka. Najchętniej zostałbym jeszcze przez chwilę i popatrzył na staw, ale wolę nie spotkać właściciela szopy, a poza tym prom na Jakuszimę odpływa za dziewięćdziesiąt minut. Przedzieram się przez poszarpane pnącza i wspinam się na mur, akurat wtedy, gdy przejeżdża autobus i gdy patrzy na mnie jadąca nim uczennica – mój jedyny świadek. Z powrotem wśród domów, sąsiedzi już na nogach, rozprawiają i naprawiają ogrodzenia. Zatrzymuję się u Lawsona i kupuję butelkę soku grejpfrutowego „Mała Syrenka” i miseczkę ramenu – o smaku kimczy; proszę jeszcze dziewczynę, żeby mi dołała wrzątku. Siadam na falochronie i jem. Sakuradzima bucha popiołem w bezchmurne niebo, morze gładkie jak stół. Tajfuny dewastują światy, ale po nich nastają poranki, które zaprowadzają ład. Dzwonię do Wujka Kasy, żeby powiedzieć, że żyję – mówię mu, że noc spędziłem z przyjaciółmi w Kagoszimie – i ruszam w dalszą drogę do portu.

Prom już czeka – pracownicy portu przy pomocy chorągiewek i gwizdków ustawiają samochody i ciężarówki. Wypełniam kartę pokładową, płacę, myję się, czyszczę zęby i szukam telefonu.

– O tajfunie Osiemnaście mówili w wiadomościach – powiedziała Ai – ale też nie za dużo, z powodu gołębi.

– Gołębie ściągnęły nagłówki?

– Wczoraj przez cały dzień nad Tokio latały gołębie, wpadały do budynków, zderzały się z samochodami. Jak w jakimś wydumanym filmie katastroficznym.

Możesz sobie wyobrazić te plotki, teorie i ekspertów tłoczących się w studiach telewizyjnych. Tajne doświadczenia, ptasia grypa, czciciele Aum, przemieszczenia fal magnetycznych, faceci obwieszający koniec świata. W jaki sposób kryształki lodu obecne w atmosferze miałyby wpływać na gołębie, nikt nie ma pojęcia, ale to też powiększa powszechne bajdurzenie. A dzisiaj rano wyszłam, żeby kupić kawę na śniadanie, i patrzę, a drzewo kamforowe rosnące przed więzieniem jest całe czarne od wron! Podziałało to na mnie gorzej niż amatorska orkiestra dęta!

Poważnie, zupełnie jakby lada chwila miał się zjawić księżę ciemności.

– Mój nędzny tajfun przy tym wszystkim to drobiazg.

– Pozwól, że zmienię temat, zanim zaczniesz pipczyć. Wczoraj wieczorem rozmawiałam przed pracą z Sacziko. Jeżeli nie masz gdzie zatrzymać się po powrocie do Tokio, to możesz kimać tutaj. Na kanapie. Poważnie. Będziesz musiał sprzątać i gotować co trzy dni. I nie wolno ci będzie odbierać telefonów, na wypadek gdyby dzwoniła babcia Sacziko, żeby nie pomyślała sobie, że mieszkasz z Sacziko i jesteś jej kochankiem.

– Ej... – Najbardziej podoba mi się to „Poważnie”. – Dzięki.

– Nie musisz od razu decydować. Przemyśl to.

* * *

Na pokładzie rozpoznaje mnie kilku mieszkańców wyspy. Matki szkolnych kolegów, kuzyni przyjaciół, hurtownik trzciny cukrowej i

owoców, który robi interesy z Wu jem Pomarańczą. Pytają, jak się żyje w Tokio, bardziej przez grzeczność niż z ciekawości. Odpowiadam, że wracam, żeby przed zmianą pogody pozabierać zimowe ciuchy. Gadki o tajfunie, o kosztach remontów, o tym, kto, ile i za co zapłaci. Chowam się na pokładzie drugiej klasy i ustawiam barierkę ochronną z plecaka, żeby się za nią ukryć i zdrzemnąć. Damski klub turystyczny z Kansai rozkłada się wokół mnie na pozostałej części pokładu. Panie umundurowane we flanelowe koszule, ocieplacze, spodnie na każdą pogodę, idiotyczne kapelusiki i sensowne obuwie. Rozkładają mapy i plany marszrut. Jak łatwo przewidzieć, mieszkańcy wyspy szybko separują się – wyraźnie ich to nuży. Ponieważ wczorajszy rejs odwołano, statek płynie z kompletem pasażerów. Wpadam na faceta, który zarysem szczęki i układem kości policzkowych przypomina charta – pyta mnie, o której prom przy pływa do Kamijaku, głównego portu na Jakuszimie.

Za informację płaci niełuskanymi orzeszkami. Biorę kilka, nie chcąc mu robić afrontu, ale okazuje się, że powodują przykre uzależnienie. Przejadamy w drodze prawie całą torbę, układając pokaźną stertę łupinek. Chart jest wydawcą w Oczi i okazuje się, że biuro rzeczy znalezionych w Ueno nie jest mu obce – poznał siostrę pani Sasaki na jakimś obiedzie literackim. Silniki ożywają z warrrrkotem, turystki wołają aaaaa! jednym głosem, a obraz w iluminatorze obraca się i przesuwa.

Serwis informacyjny o dziewiątej dotyczy spodziewanej rezygnacji kolejnego premiera, będącej wynikiem załamania koalicji. – Nic bardziej nieświeżego od porannych wiadomości – rzuca Chart – i nic bardziej ożywczego od Peryklesa. – Ale już za chwilę słyhać tylko jeden syk i włącza się wideo z programem o

parku narodowym Kiriszima–Jaku. Wszyscy mieszkańcy wyspy znają ten scenariusz na pamięć. W trakcie tej podróży kołysz nas do snu.

* * *

Cała Japonia została zabetonowana. Wycięto ostatnie święte gaje, przeznaczając drewno na pałeczki, śródlądzie wybrukowano i ogłoszono narodowym parkingiem, a tam, gdzie kiedyś stały góry, rosną bloki mieszkalne, których szczyty giną w chmurach. Ludziom po ukończeniu dwudziestego roku życia amputuje się nogi, a ich tułowia wyposaża się w elementy sprzęgające, które podłącza się bezpośrednio do wymyślnych skateboardów – do użytku w domu bądź w biurze – albo do okazalszych pojazdów do odbywania dłuższych podróży. Moje dwudzieste urodziny wypadły we wrześniu, więc od dawna powinienem mieć za sobą ryt przejścia i związaną z nim operację. Ale ja bardzo nie chcę, żeby mi obcięto nogi, i dlatego przyłączyłem się do ruchu oporu. Udałem się do odległego miejsca, niedostępnego dla samochodów, gdzie miałem zostać przedstawiony trzem naszym przywódcom mieszkającym w Mijakondzo. Przywódcy, dla lepszego kamuflażu, amputacji poddali całe swoje ciała. Ich głowy siedziały rzędem, wystawione na palące promienie słońca. Szyje przymocowano do krawędzi kanału zamykającego tory w kręgielni. W tym momencie uświadamiam sobie, że stoję przed Gunzem, Nabem i Kakizakim. Na szczęście wszyscy trzej na mój widok mrugają w podnieceniu oczami i krzyczą: – Mesjasz! Mesjasz! Mesjasz! – Czuję się trochę zakłopotany. – Jesteście całkiem pewni? – Wyglądało na to, że są. – Zostanie ci objawione przesłanie! Sam jeden musisz przemienić los ludzkości spadającej jak meteoryt w bezkresne cierpienie! – Brzmi

wspaniale. – W jaki sposób? – Kakizakiemu opada szczęka, ale odzywa się w te słowa: – Wyciągnij korek.

Koło nóg mam korek od wanny – ze lśniącym łańcuchem. Ciągnę. Pod spodem ziemia – od czasu wprowadzenia ustawy o powszechnym asfaltowaniu ziemia jest zakazana. Ziemia porusza się i ze środka wysuwa się dżdżownica – wychodzi z otworu. Po niej następna, i jeszcze jedna, i jeszcze. Ostatnie dżdżownice w Japonii.

Kurcząco–rozkurczającym się ruchem zmierzają do wyznaczonego z góry miejsca na ruszcie o wymiarach dziewięć na dziewięć. Każdy układ na tym ruszcie tworzy kandzi, czyli japońskie pismo utrwalane tym razem nie za pomocą pociągnięć pędzla, lecz ciał dżdżownic. Powstałe słowa tworzą jedno jedyne prawdziwe pismo. Oznacza to także śmierć dla dżdżownic – asfalt podsmaża ich delikatne ciała. Skwierczą i wydzielają zapach tuńczyka z majonezem. Ale ich poświęcenie nie jest daremne. W osiemdziesięciu jeden znakach odczytuję prawdę – tajemnice serc i umysłów, kwarków i miłości, pokoju i czasu. Prawda żarzy się w płomienistym kamieniu osadzonym na siatce mojej pamięci. Udzielę tej mądrości złąknionym przedstawicielom mojego gatunku, a jałowe pustynie zakwitną.

* * *

– Mijake! Mijake, ty kundlu! Obudź się! Nade mną unosi się odwrócona dołem do góry twarz pana Ikedy, mojego byłego nauczyciela wf. W ręku trzyma wysychającą niedojedzoną kanapkę z tuńczykiem i majonezem. Zrywam się z jękiem niezadowolenia. Pan Ikeda uznaje, że chce mi się po prostu spać. A ja muszę coś sobie przypomnieć... – Zauważyłem cię w terminalu, ale wtedy pomyślałem sobie, nie, Mijake jest daleko w Edo! Tak szybko

wracasz, co się stało? Trudno sobie poradzić w wielkim mieście, co?

O czymś zapomniałem. O czym? – Nie, proszę pana, skąd. Właściwie...

– Ach, mieć dwadzieścia lat i mieszkać w Tokio. Nawet bym ci zazdrościł, gdybym nie był już sobą. W Tokio przeżyłem dwa pierwsze wspaniałe okresy w moim życiu. Bywało się na najlepszych uczelniach sportowych – nie mogłeś nie słyszeć – szaleństwa młodości też były. Te dni! I noce! Przydomek, jakim mnie nazywały panie, powie ci wszystko. As. As Ikeda. A potem w pierwszej placówce, gdzie uczyłem, stworzyłem najlepszą szkolną drużynę piłki nożnej, jaką kiedykolwiek oglądała Japonia. Z powodzeniem mogłaby zakwalifikować się do rozgrywek o puchar, gdyby sędziowie nie byli zgrzybiałymi, ślepymi, ułomnymi, skorumpowanymi, zaślinionymi workami łajna. Nasz przydomek, mój i moich chłopców? Niezwycięzeni! A nie tak jak ta banda kundli. – Pan Ikeda macha rozgorzyczony ręką na myśl o drużynie „Gimnazjalistów z Jakuszimy” biegających w dwuczęściowych dresach.

– Wywozi pan przyjazne wrażenia?

– A co mogę powiedzieć przyjaznego na temat tego spasionego, popapranego tasiemca, trenera z Kagoszimy. Jak był ten tajfun, modliłem się, żeby jakaś ciężarówka załadowana czymś łatwo palnym walnęła w jego dom.

– A jaki był wynik, proszę pana?

Pan Ikeda wykrzywia twarz. – Moczymordy Kagoszima – dwadzieścia; Kundle Jakuszima – jeden.

Nie mogę się oprzeć, żeby jeszcze nie podrażnić. – Jeden gol? To pomyślny znak, proszę pana.

– Moczymordy Kagoszima wbiły sobie samobója. – Pan Ikeda

kręci się niewyraźnie. Program wideo dla turystów kończy się – jesteśmy już na pewno w zasięgu nadajnika na Jakuszimie. Wyglądam przez okno i widzę wyspę sunącą nad horyzontem. Premier obiecuje, że pod jego przewodnictwem kraj stanie się superpotęgą w dziedzinie stylu życia. Chart otwiera z trzaskiem orzeszka. – Politycy i trenerzy sportowi są dość zręczni, by opanować reguły gry, ale też głupi, skoro uważają, że to się liczy.

Przypominam sobie mój sen. – Jest panu niedobrze z powodu choroby morskiej? – pyta Chart. – Czy też chodzi o pańskiego byłego nauczyciela wf?

– Śniło mi się... że byłem kimś w rodzaju sanzohoszi, który przywozi z Indii święte teksty buddyjskie. Dopuszczono mnie do boskiej wiedzy niezbędnej do ocalenia ludzkości przed nią samą.

– Dam panu sześć procent od pierwszych dziesięciu tysięcy sprzedanych egzemplarzy, potem – dziewięć.

– Ale zapamiętałem tylko jedno słowo.

– Jakie?

– „Świnka”.

– Jak w...

– Choroba, która sprawia, że szyja puchnie.

– Świnka i co?

– I nic. Świnka.

– No to po sprawie. – Chart potrząsa torebką. – Zjadłem ostatniego orzeszka.

Wystarczy odwrócić spojrzenie i Jakuszima rośnie. Dziwnie jest, gdy się skądś wyjeżdża, ale jeszcze dziwniej, gdy się powraca. Przez osiem tygodni nic się nie zmieniło, ale już nic nie jest takie samo. Most na rzece Kamijaku, góry zarysowujące się wstęgą zmiętego aksamitu, skarpy odcinające się więziennymi szarościami. Książka,

którą się czytało, już nie jest książką, którą była, zanim zaczęło się ją czytać. Może nawet dziewczyna, z którą się sypia, nie jest już tym, kim była, zanim weszła do łóżka. Oto nadbrzeże – jeden z pracowników obsługujących liny krzyczy do mnie i macha ręką. To jeden z trunkowych partnerów wuja Asfalta do madzonga. Trap opada i dołączam do dużej grupy schodzących na brzeg pasażerów. Powinienem iść i pokłonić się głowie rodziny, Wujowi Paczinko. Ale celem tej podróży są pokłony, jakie chcę złożyć Andżu.

Przed kasą pro mową zatrzymuje się van i hurtownik, który prowadzi interesy z Wujem Pomarańczą, proponuje, że mnie podrzuci.

– Jedzie pan aż do Anbo?

– Wskakuj.

Odjeżdżamy. – Ciepły dzień – mówię. – Niebawem pokropi – pada odpowiedź.

Hurtownik jest milkliwy, więc nie ma mowy, by krępowały nas chwile milczenia.

Pokazuje, żebym się częstował pomarańczami ponkan, które stanowią główny towar eksportowy wyspy i śmiało można powiedzieć, że jeden z najbardziej wybornych produktów owocowych w kraju, o ile nie w całej Azji. Odkąd sprowadziłem się na Jakuszimę, zjadłem dziesiątki tysięcy ponkanów. Wystarczy mnie naciąć, a popłynie sok. Patrząc na zapomniane szczegóły mojego domu. Napis rdzawą farbą olejną zachęca turystów do noclegu, maleńki pas startowy, chylący się ku upadkowi tartak. Tutaj, daleko na południowym zachodzie, drzewa nadal mają letnie, teraz liche, liście. Mijamy gromadę ścigających się rowerzystów w modnych kolorach tropikalnych ryb. W tym miejscu droga kapryśnie skręca. Przez most, koło wodospadu i dalej już

wieś Anbo.

Cmentarz tłucze i tnie owadami. Drzewa poruszają się. Popołudnie kiśnie. Stara październikowa formuła. Kwatera rodziny Mijake należy do najbardziej zadbanych – babka ciągle przychodzi, codziennie rano, i sprząta, pieni, zamiata, przynosi świeże polne kwiaty. Kłaniam się przed głównym nagrobkiem z szarego kamienia i podchodzę z boku do mniejszego czarnego nagrobka postawionego dla Andżu.

Widnieje na nim żałobne imię, jakie wybrał dla niej kapłan, ale myślę, że chodziło o to, by wyciągnąć więcej pieniędzy od pogrążonych w smutku żałobników. Moja siostra nadal nazywa się Andżu Mijake. Wylewam nad grobem wodę mineralną.

Wkładam do stojaka bukiet kwiatów, obok tych, które ułożyła babka. Szkoda, że nie znam nazw tych kwiatów. Kiście białych gwiazdek, ogony różowych komet, karmazynowe, małe kuleczki. Częstuję ją bombą szampanową z tutki, dla siebie też biorę. Potem zapalam kadzidło. – To prezent od naszej mamy. Dała mi pieniądze i kupiłem w świątyni koło stacji Mijazaki. – Wyjmuję moje trzy płaskie kamienie i buduję dla Andżu piramidę. Potem siadam na stopniu i przykładam ucho do wypolerowanego kamienia, mocno, żeby sprawdzić, czy w ogóle słyszę.

Spokojny oddech morza na skraju lądu. Chcę złożyć pocałunek na nagrobku, więc składam i tylko ciemnego ptaka o różowych oczach mam za świadka. Podnoszę się i o niczym szczególnym nie myślę, i czekam na wybuch cukierkowej bomby szampanowej. Jaki krótki. Góry, klasyczne pieśni, prawdziwa przyjaźń. Mgła stacza się z Mijanury, przyćmiewając słońce i przykrywając błękitne morze piwną pianą. Zabrałem ze sobą dziennik naszego dziadka stryjecznego, żeby poczytać Andżu. Przecież oboje zginęli pod wodą.

Ale myślę, że Andżu wyraźniej usłyszysz, jeżeli będę czytał po cichu – tutaj czy gdzie indziej. Nie muszę mówić o tym, co stało się w Tokio. Jest się donośniej niż się mówi, bardziej słyszalnie – dla niej, dla mnie, dla nas. Mrówki odkryły cukierka Andżu. – Hej, Andżu, zgadnij, kogo teraz pójde odwiedzić?

Gdy ostatni raz szedłem tą ścieżką w dolinie, niosłem trofeum zawodnika meczu i kopalem kamień. Byłem o jedną trzecią niższy niż teraz. Czuję się tak, jakbym wybiegał na spotkanie z moim jedenastoletnim ja. Chwasty okupują środek ścieżki. Wokół ani żywej duszy. Słowik opiewa tamten świat, małpa zaś skrzeczy o tym. Mijam kolistą bramę i kamienne lwy. Do świątyni boga piorunów nigdy nie wróciłem. Z Kioto przybył słynny rzemieślnik, żeby wstawić nową głowę w miejsce zaginionej, a wydział turystyki wizerunkiem tej nowej twarzy opatrzył broszury. Widzę, że las prawie już przykrył stromą ścieżkę. Wyznawców każdej zimy ubywa. Umierają więc bogowie, dokładnie tak samo jak gwiazdy pop i siostry. Wiszący most nie wygląda już tak bezpiecznie. Odgłosy moich kroków raczej dudnią niż grzmia, jakby któregoś dnia deski miały się rozsypać. W dole rzeka – wezbrała po nocnych opadach. W dolinie ponad połowa pól ryżowych leży odłogiem. Farmerzy wymierają, a ich synowie robią pieniądze w Kagoszimie, w Kitakiusiu albo w Osace. Terasy pól ryżowych i stare stodoły oddane na pastwę zniszczenia – tajfuny są znacznie tańsze od budowlańców. Dolina przeszła we władanie owadów. Kopię kamienie. Z okapów domu mojej babki wyrastają rozczochrane krzewy. Patrzą na dawne miejsce, a mgła gęstnieje w deszcz. Babka jest zgorzkniała – ale kochała Andżu, po swojemu, zawzięcie. Oddalając się od obrazu, można ujrzyć całą ramę. W najgorszym razie krzyknie, żebym sobie poszedł, co po ostatnich

siedmiu tygodniach wcale nie byłoby takie tragiczne.

– Babciu?

Brnę przez trawę na podwórko i przypominam sobie starą opowieść o czarodziejce siedzącej przy kołowrotku i oczekującej na powrót flirtującego męża – dom próchnieje i popada w ruinę, ale dziewczyna ani o dzień się nie starzeje.

Pomiędzy omszałymi kamieniami drgnął perłowy cień – zwoje spoczywającego tam węża! Nie widać ani głowy, ani ogona, a zwoje grubości mojej ręki. Wreszcie wąż znika za rdzewiejącym kultywatorem. Czy Andżu opowiadała kiedyś o perłowym wężu? A może mi się śniło? Jak przez mgłę przypominam sobie gadanie babki o wężu, który za czasów jej dzieciństwa zagnieździł się w magazynie i rzekomo był zwiastunem śmierci w rodzinie. Pewnie przesąd. Wężę nie dożywają siedemdziesięciu lat. Tak myślę. Pukam w futrynę i na siłę otwieram uparte drzwi.

Słyszę radio. – Babciu? To ja, Eidzi.

Odsłaniam siatkę przeciw owadom, wchodzę w chłód i głęboko oddycham.

Kuchenna sake, wilgotne drewno, toaletowe chemikalia. Zapach kadzidła dochodzący z pokoju. Starsi ludzie specyficznie pachną – podejrzewam, że oni tak samo mówią o młodych. Przemykająca mysz. Grające radio wskazuje, że babki prawdopodobnie nie ma w domu. Miała w zwyczaju zostawiać je dla psa, a kiedy pies zdechł, zostawiała grające radio dla domu. – Babciu? – Zaglądam do pokoju, pomimo dziwnego wrażenia, że właśnie w tej chwili ktoś umarł. Miotelka do kurzu oparta o podnóże domowego ołtarza. Zwisające zwoje z jesiennymi scenami, wazon z kwiatami, szafka wypełniona ozdobami i bibelotami zbieranymi przez całe życie na wyspie. Babka nigdy nie wyjechała z Jakuszimy. Deszcz pryska

przez moskitierę, więc zamykam okno. Zawsze bałem się tego pokoju. Andżu nie.

Podczas ona czatowała na zewnątrz i wpadała, żeby przyłapać duchy wyjadające wiśnie, jakie zostawiała dla nich babka. Patrząc na zmarłych w czarnej emaliowanej gablotce. Poubierani w nieprzemakalne ubrania, komplety, mundury i kostiumy wypożyczane od fotografów. O, i moja siostra, szczyrzy zęby pierwszego dnia w podstawówce.

– Babciu?

Wchodzę do kuchni, nalewam sobie szklanek wody i siadam na kanapie, na której razem z Andżu próbowaliśmy, bezskutecznie, kwitować. Uważała, że wszystko przez moje mizerne zdolności postrzegania pozazmysłowego, ponieważ ona przy pomocy swoich mogła wyginać łyżeczki. Przez całe lata jej wierzyłem.

Kanapa strzela sprężęęęęęzynami, ale po długim marszu w lepkim powietrzu i tak jest wygodna, jakby za bardzo wygodna...

Śnię, ze wszystkich snów, śnię o tobie.

Śnię malunki szronem na świątynnym dzwonie. Śnię świetlistą wodę, co kroplą spływa z włóczni Izanagi.

Śnię drobiny tężejące w wyspy, które zwiemy Japonią. Śnię rybę latającą i Plejady. Śnię płatki skóry w wyżłobieniach klawiszy. Śnię miasta i załączki. Śnię myśl w ośmiu częściach.

Śnię dziewczynę, tonącą, samotnie, bez słowa skargi. Śnię jej młode ciało, pośród fal i prądów, aż rozpływa się błękit, nic nie zostawiając.

Śnię kamiennego wieloryba – spowity wodorostami, obrośnięty skorupiakami – patrzy.

Śnię przesłanie bulgoczące bańkami z jego nozdrza.

– Przerwywamy program, żeby podać komunikat o zagrożeniu...

* * *

– Silne trzęsienie ziemi nawiedziło region tokijskiej metropolii. Trwało sześćdziesiąt sekund. Państwowe Biuro Sejsmologiczne donosi, że wstrząs miał 7,3 w skali Richtera i był silniejszy od wielkiego trzęsienia Kansai w 1995 roku.

Wskazuje ponadto na ogromne szkody budowlane na obszarze całego basenu kantońskiego. Słuchacze z regionu Tokio proszeni są o zachowanie spokoju i, w miarę możliwości, o wyjście z budynków na otwartą przestrzeń, z dala od groźących zawaleniem murów, oraz o przygotowanie się na wstrząsy wtórne. Proszę nie używać wind. Wyłączyć gaz i urządzenia elektryczne. W miarę możliwości nie przebywać w pobliżu okien. Zespół Szybkiego Reagowania ocenia ryzyko wystąpienia tsunami. Wszystkie programy zawieszamy do kolejnego obwieszczenia. Uzupełnione komunikaty o zagrożeniu będziemy nadawali non-stop w miarę napływu informacji. Powtarzam...

W pokoju zimno. Ściszam radio i podnoszę słuchawkę archaicznego telefonu.

Próbuję trzykrotnie, ale numer Ai nie odpowiada. Tak samo numer Buntara. Tak samo U Nerona. Żadnego odzewu z Ueno. Ani z centrali w Tokio.

Wszystko bym oddał, żeby z miejsca zasnąć. Wszystko. Czy eter i kable zatkały się, bo połowa użytkowników telefonów w kraju próbuje dodzwonić się do stolicy, czy też dlatego, że z Tokio została kupa gruzu spowita chmurą cementowego pyłu?

Za oknem wiekowy spokojny deszcz zmywa wszystkie liście, kamienie i sosnowe szpilki w dolinie. W domu radiowiec podaje, że ogłoszono stan klęski. Już widzę tafłę szkła eksplodującą tuż przy twarzy Ai albo belkę wbijającą się w jej fortepian.

Tysiące zdarzeń widzę. Chwytam torbę, ślizgiem przelatuję przez korytarz, wciskam stopy w tenisówki, otwieram uparte drzwi. I ruszam biegiem.

Dziewięć

Spis treści

motto

dedykacja

PANOPTICON

UTRACONA WŁASNOŚĆ

GRY WIDEO

ZIEMIA ODZYSKANA

STUDIUM OPOWIEŚCI

KAI TEN

KARTY

MOWĄ GÓR JEST DESZCZ